

Peter S. Beagle

Pieśń Oberżysty (The Innkeeper's Song)

Przekład Łukasz Nicpan

Data wydania oryginalnego 1993

Data wydania polskiego 1996

Przyjechały trzy damy o słońca zachodzie: jedna była brązowa jak piernik na miodzie, druga czarna, o kroku szerokim żeglarza, trzecia blada jak księżyc, gdy za dnia się zdarza. Białaska ze szmaragdem pierścioneł nosiła, lisa na srebrnym sznurku brązowa wodziła, a czarna miała laskę z rózanego drzewa w której, przysięgam państwu, mieczyk się podziewa. Zajęły moją izbę, drzwi rygłem zaparły, ser i baraninę do cna mi wyżarły, śpiewki takie śpiewały, że co jedna obca, po wino posyłały stajennego chłopca. Raz kłótnię było słycać, dwakroć płacz żalósny – ich śmiechy się po całej okolicy niosły, sufit trząsł się i tynki ze ścian się sypały, a lis mi zjadł gołębie, tylko dwa zostały. Odjechały o wschodzie, wyniosły się z cizka, białaska jak królowa, czarniawa jak mniszka, brązowa wznosząc trele śpiewu radosnego, a ja muszę nowego szukać stajennego.

Dla Padmy Hejmadi nareszcie i na zawsze Gdybyśmy byli tylko przyjaciółmi, kolegami po piórze, w tym samym języku i kraju w restauracji na obrusie nabazgranym, dayenu - i tego byłoby dosyć - dayenu. Ale myśmy naprawdę sobie poślubieni I to jest największa łaska, jaka znam.

Prolog

Dawno temu w pewnym kraju na południu była nad rzeką wieś. Jej mieszkańcy uprawiali kukurydzę, kartofle, pewną odmianę zielononiebieskiej kapusty oraz pnącą roślinę sraczkowatej barwy, której owoce smakowały jednak lepiej niż to zapowiadał ich wygląd. W czasie deszczu przeciekały tam wszystkie dachy (z niektórych wprost się lało), dzieci rosły przeważnie chude - w przeciwieństwie do krów i świń - lecz nikt w tej wiosce nie cierpiał prawdziwego głodu. Pod ręką mieszkali piekarz i młynarz, a czasu wolnego miano w sam raz tyle, by się skłócić w tylko dwa odrębne kościoły. Kora pewnego drzewa rosnącego jedynie w tamtych stronach, dodana do herbaty, spędzała gorączkę, odarta zaś i utłuczona na proszek służyła do wyrobu barwnika koloru zielonego cienia. We wsi tej mieszkali pewien chłopiec i pewna dziewczyna, którzy przyszli na świat w odstępie zaledwie kilku kwadransów, kochali się od dziecka i zamierzali się pobrać na wiosnę w roku swych osiemnastych urodzin. Tego jednak roku deszcze padały wyjątkowo długo, wiosna się spóźniała, a rzekę skuł lód, co za pamięci najstarszych ludzi zdarzyło się wcześniej tylko raz. Toteż, gdy wreszcie nastały cieplejsze dni, zakochani wybrali się na mostek poniżej młyna, gdzie nie byli już od blisko pół roku. Mrużąc oczy w popołudniowym słońcu rozmawiali o rzemiośle tkackim, którego uczył się chłopiec, oraz o tym, kogo nie zaproszą na swoje wesele. Wtedy to właśnie dziewczyna wpadła do rzeki. Złamała się pod jej ciężarem przegniła od zimowych deszczy poręcz barierek, o którą się opierała roześmiana narzeczona, i biedaczka wpadła do wody. Udało jej się jeszcze zaczerpnąć tchu, ale krzyknąć już nie zdążyła. Tylko nieliczni mieszkańcy wsi umieli pływać, w ich liczbie ów chłopiec. Skoczył do wody, zanim nad powierzchnią ukazała się głowa jego ukochanej. Dziewczyna objęła go ramieniem, po raz ostatni przytuliła policzek do jego policzka - i rozdzieliła ich niesiona bystrym prądem kłoda. Kiedy dopłynął do brzegu, nie zobaczył już swojej miłej. Rzeka pochłonięła ją równie łatwo jak kamyki, które rzucali do niej z mostu, całe życie temu. Kto żyw wziął udział w poszukiwaniach. Mężczyźni zepchnęli na wodę czółna i dłubanki i odpychając się żerdziami od dna przez cały dzień krążyli po rzece jak żałobne ważki. Kobiety przeciągały wzdłuż brzegów sieci rybackie, a wszyscy z wyjątkiem niemowląt rozchlapywali wodę na płyciznach powtarzając znane każdemu zaklęcia służące do przywoływania topielców. Nie znaleziono jednak dziewczyny i po zmroku wrócono do domów. Tylko chłopiec został nad rzeką, zbyt otepiały z rozpacz, by odczuwać zimno, zbyt oślepiiony łzami, by dostrzec, że zrobiło się ciemno. Płakał i płakał, aż zostały z niego tylko drzenie, lament i jakieś ciche pytające skamlenie, które nie ucichło nawet wtedy, gdy nieborak usnął w końcu w sękatych objęciach korzeni drzewa. Chciał

umrzeć, a że był przemoczony i słaby jak noworodek w nocnej wichurze, jego pragnienie mogłoby istotnie ziszczyć się przed świtem, gdyby po wschodzie księżyca nie rozległ się niezwykle śpiew. Do dziś dnia najstarsi ludzie we wsi, których pra-pra-dziadowie spali owej nocy w przytulnych kołyskach, opowiadają o tym śpiewie tak, jakby ich samych obudził. Nie było we wsi nikogo, kto nie zerwałby się wówczas ze snu i nie podbiegł zdumiony do drzwi - choć niewielu tylko ośmieliło się przestąpić próg - upierano się jednak później długo, że każdy słyszał inną melodię i z innej dobiegającą strony. Pierwszy, wedle zgodnej opinii, obudził się szewczyk, przekonany w półśnie między snem a jawą, że to skóry dwóch kozłów bagiennych, które jego ojciec rozwiesił i oskrobywał poprzedniego dnia, śpiewają w szopie garbarni jakieś zachwycająco piękne kołysanki. Szarpnął starego za ramię i garbarz zaklinał się potem, że zerwawszy się z posłania usłyszał głosy zmarłej żony i brata przeklinające go na wypródki jak awanturujący się pod oknem podpici żołnierze. Pewnego pasterza obudził na wzgórzu za wsią nie ryk atakującego sheknatha, ale szydercze i krnąbrne pobekiwania jego stada. Piekarza obudził nie żaden w ogóle dźwięk, ale kręcący w nosie słodki zapach, jakiego nigdy wcześniej nie wydzielały gliniane piece. Kowalowi, który cierpiał na bezsenność, zdawało się, że słyszy upiornych Księżycowych Łowców przybywających po niego na koniach ze świńskimi ryjami i wykrzykujących jego imię głosami wygłodniałych dzieci. Natomiast tkaczce, nauczycielce chłopca, przysnił się wzór, jakiego wcześniej nie byłaby sobie nawet w stanie wyobrazić. Nie budząc się podeszła do krosna i aż do świtu tkła z zamkniętymi oczami, błogo uśmiechnięta. Opowiadano ponadto, że małe dzieci, które jeszcze nie umiały mówić, siadały w kołyskach i wołały coś tęsknie w nieznanym języku, dojarki i gęsiarki pospieszały na spotkania z kochankami, zwiedzione nawoływaniem, dobiegającym z oplecionych winoroślą altan, a cichy rynek wypełniły tłumy wirujących niezdarnie na zadnich łapach posiwiatych borsuków. Na niebie świeciły tamtej nocy nie oglądane wcześniej gwiazdy, co pamiętają wszyscy, nawet ci, których wtedy nie było jeszcze na świecie. A chłopiec? Co z chłopcem płaczącym przez sen, marznącym nad rzeką? No cóż, obudził biedaka i dodał mu otuchy śmiechem zmarłej kochanki. Zadzwieczał tak blisko, że policzek młodzieńca, gdy się ocknął i usiadł, był jeszcze ciepły od jej oddechu. Obudziwszy się, chłopiec zobaczył coś, czego nikt poza nim nie widział, bo nikt nie był tak głupi, żeby patrzeć: czarną kobietę na koniu. Koń stał w rzece, po stawy skokowe w niosącej śnieżne bryły bystrej wodzie i najwyraźniej nie wydawał się tym zachwycony, ale czarna kobieta bez trudu osadzała go na miejscu. Chłopiec ujrzał ją z tak bliska, że mógł rozpoznać strój dzikich wojowników z górzystej krainy na południowym zachodzie:

spódniczkę i sztylpy ze skóry, tak twarde, że nie imać się ich ostrze miecza. Nieznajoma nie nosiła jednak żadnego oręża, nie licząc laski wiszącej u łęku siodła. Twarz miała szeroką, o wydatnych kościach policzkowych, zwężającą się ku podbródkowi, oczy złociste jak odbłask księżycy na wodzie. To ona śpiewała. Tyle o niej wiadomo; co wszakże naprawdę śpiewała i jak brzmiał jej głos, tego mieszkańcy wsi nie ośmielają się wyjawiać. W każdym razie dorośli, dzieci bowiem do tej pory wykrzykują podczas zabaw wyliczankę, którą nazywają "Piosnką Czarnej Damy". Za jej śpiewanie obrywają lanie od rodziców, jeśli ci usłyszą. Słowa owej rymowanki są takie:

Ciemno-widno, niebo-skała, Gąsienica, motyl, pała, Ślepy trup w mogile leży, Kto chce znaleźć mnie, niech bieży...

Dzisiaj wierszyk wydaje się, oczywiście, nonsensowny, ale wtedy tak chyba nie brzmiał, bo oto na oczach chłopca woda wokół kolan konia wygładziła się i znieruchomiła jak lustro sadzawki w bezwietrzny letni dzień, a księżyc płynął wśród wzburzonej rzeki niczym talerzowaty cichy liść grążela. I nagle z tego drugiego księżycy wychynęła ukochana chłopca, martwa topielica. Stała przed czarną kobietą z ociekającymi wodą włosami i patrzyła na nią szeroko otwartymi niewidzącymi oczyma, jeszcze mrocznymi od rzecznej ciemności. Czarna niewiasta nie przestając śpiewać pochyliła się w siodle, zdjęła z palca wskazującego pierścień i wsunęła go na palec wskazujący martwej dziewczyny. Ledwo zaś to uczyniła, w oczach topielicy obudziło się zdumienie, a wtedy chłopiec ją poznał i wykrzyknął jej imię. Zmarła zdawała się go jednak nie słyszeć; wyciągnęła ręce do czarnej amazonki, a ta podniosła ją i posadziła za sobą na koniu. Chłopiec wołał i wołał (żyje dziś w tamtych stronach nazwany jego imieniem mały brunatnozielony ptaszek, którego rozpaczliwy krzyk rozdziera ciszę nocy narzekaniem przypominającym brzmienie słów: "Lukasso! Lukasso!"), lecz zyskał tylko jedno przeciągłe spojrzenie czarnej kobiety, która następnie zwróciła wierzchowca ku przeciwnemu brzegowi rzeki. Chłopiec próbował je gonić, ale był tak osłabiony, że upadł, a gdy się podźwignął, błysnął mu tylko w ciemności zieloną iskrą pierścień na palcu jego ukochanej i dobiegły go z oddali głosy obu kobiet złączone we wspólnym śpiewie. Nieborak osunął się znowu na brzeg i przeleżał tam aż do świtu. Nie spał jednak, szybko też przestał płakać, a gdy weszło słońce i wlało odrobinę ciepła w jego nogi i ramiona, usiadł, otarł zabłoconą twarz i zamyślił się głęboko. Gdyby był tylko dzieckiem, pograżyłby się w bezdennej i bezpłodnej rozpacz, lecz on już wyrósł z lat dzieciennych, zachowując jednak młodzieńczy upór i spryt, nie poddał się więc zwątpieniu. Po jakimś czasie wstał i powłókł się do wsi, prosto do chaty

wujostwa, u których mieszkał od śmierci rodziców i młodszego brata w czasie morowej zarazy przed siedmioma laty. Wszyscy jeszcze spali. Chłopiec zawinął w węzelek to, co było jego własnością: koc, najlepszą koszulę, zapasową parę butów oraz nóż, potrzebny do pokrojenia kawałka chleba i sera, jakie również pozwolił sobie zabrać. Był młodzieńcem kryształowej uczciwości, a przy tym honorowym, więc nigdy nie przyjął od nikogo niczego ponad to, co mu się słusznie należało. Jego dziewczyna wyśmiewała się z takiej dumy, nazywała go prostakiem, uparciuchem i - czego już naprawdę nie pojmował - niewdzięcznikiem, ale tak już został wychowany i takim zasadom hołdował w osiemnastej wiosnie życia. Z ciężkim więc sercem wyprowadzał ze stajni kowala małą kasztankę, najlepszego konia we wsi. Zostawił w jej boksie, wraz z karteczką z przeprosinami, wszystkie zaoszczędzone na wesele pieniądze, po czym cichaczem sprowadził klaczkę na drogę nad rzeką. Obejrzał się za siebie tylko raz, akurat w chwili, gdy z komina chaty, gdzie mieszkali w kłótlivej harmonii obaj wioskowi księża, zaczął unosić się dym. Skłócenie kapłani wstawali wcześniej, żeby mieć więcej czasu na spory, toteż zawsze pierwsi rozpalali ogień. I tak oto chłopiec - dodajmy przy okazji, że miał na imię Tikat - siedząc na kradzionym koniu po raz ostatni oglądał swój dom.

ROSSETH

Ja pierwszy je zobaczyłem, chyba najpierwszy z całej okolicy. Marinesha byłaby pierwsza, ale uciekła do lasu, kiedy próbowałem się przed nią wytłumaczyć. Nie umiem z nią postępować; może to zresztą w ogóle niemożliwe. Ciekaw jestem, czy kiedyś się nauczę. Oczywiście o tej porze nie miałem na gościńcu nic do roboty. Było już późno, po zachodzie słońca, czas wprowadzać konie do stajni. Trzeba oddać sprawiedliwość grubemu Karshowi: złego obchodzenia się ze zwierzętami nie można mu zarzucić. Bez chwili wahania oddałbym mu na przechowanie najlepszego konia najczystszej krwi lub ukochanego starego ślepego psa - ale dziecka już nie. Na imię mam Rosseth, o ile mi wiadomo, co w tutejszym języku oznacza rzecz małej wartości, dorzuconą na osłodę przy dobieciu kiepskiego interesu. Karsh mnie tak nazwał. Imię Marineshy z kolei oznacza "zapach poranka". Wdychałem ten zapach przez cały dzień przy robocie, przekomarzając się z nią, przyznając, aż prawie się zgodziła spotkać ze mną po wieczornym udoju pod barciowym drzewem. Pszczół tam już nie ma, dawno temu opuściły dziuplę, ale Marinesha wciąż tak nazywa drzewo - uważam to za bardzo wzruszające, podobnie jak jej sposób zaczesywania włosów nad czołem. A więc było tak: pogłaskałem tę niedotykalską po włosach, nic więcej, przysięgam, nie zdążyłem nawet wykrztusić pierwszego niezręcznego kłamstwa (prawdę mówiąc nie sądziłem, że przyjdzie, nigdy nie dotrzymuje słowa), a jej już nie

było, pierzchała między drzewami jak ćma, zostawiwszy mi na rękach swoje łyzy. Najpierw chwycił mnie gniew, potem strach: nie zdążę wrócić w porę do gospody, żeby Karsh nie odkrył mojej nieobecności, choć bowiem większość jego ciosów chybiała, te nieliczne, które dochodziły celu, bolały dotkliwie. Stałem więc na środku drogi, łamiąc sobie głowę, jaką by tu wymyślić bajkę, w którą Karsh byłby skłonny w przypływie dobrego humoru uwierzyć, kiedy usłyszałem stukot kopyt trzech koni. Idąc obok siebie stępa wyłoniły się zza zakrętu drogi za źródłem, z którego nikt nie pije. Dosiadały ich trzy kobiety: jedna czarna, druga brązowa jak Marinesha (choć o wiele mniej ładna), a trzecia tak blada, że nazwanie jej "białą" niewiele mówi. Jeśli białe są lilie, nieboszczycy i duchy, dla określenia koloru jej skóry należałoby użyć całkiem innego słowa. Kiedy tak wytrzeszczałem na nią oczy, przyszło mi na myśl, że ta barwa skóry pochodzi od czegoś w jej wnętrzu, od jakiegoś gorącego, szalonego życia, które w niej tętni i płonie bez żadnego względu dla ciała, żadnej troski o nie i żadnej dla niego litości. Odniosłem wrażenie, że nawet koń się jej boi. Czarna jechała nieco w przodzie. Ściągnąwszy wodze zatrzymała konia tuż przede mną i przez chwilę przyglądała mi się w milczeniu podłużnymi, szeroko rozstawionymi oczami. Gdyby można uzyskiwać złoto z dymu, miałbyś jakieś wyobrażenie o ich kolorze. Stałem przed nią niczym ciele, z rozdziawioną głupkowato gębą. Dziś wiem już, że gdzie indziej bywa zupełnie inaczej, ale tam, skąd pochodzę, niewiasty nie wyjeżdżają konno bez eskorty, nawet w gromadzie. Ponadto Lal (jej imię poznałem później, lecz nie nauczyłem się go nigdy wymawiać poprawnie) była pierwszą czarną kobietą, jaką widziałem na oczy. Czarnych mężczyzn owszem, widywałem, i to nawet często: wędrownych kupców, czasem poetów recytujących dla chleba wiersze na jarmarkach, ale kobiet - nigdy. Podobnie jak większość moich współziomków sądziłem, że czarne kobiety w ogóle nie istnieją. - Niechaj słońce oświetla ci drogę - zdołałem w końcu wybełkotać słowa pozdrowienia. Głos mi zgrubiał już kilka lat wcześniej, ale w owym momencie nie poznałbyś tego. - I twoją także - odpowiedziała czarna kobieta. Przyznaję szczerze, choć ze wstydem, że usłyszawszy ją przemawiającą w moim ojczystym języku jeszcze szerzej rozdziawiłem jadaczkę, mniej bym się bowiem zdziwił, gdyby zaszczekała jak pies lub zatrzepotała rękami i zakwiliła jak jastrząb. Dama tymczasem spytała: - Chłopcze, czy nie znasz w tych stronach jakiejś karczmy lub zajazdu? Głos miała niski i chrapliwy, a jej słowa wznosiły się i opadały jak fale. - Ka-karczmy... - wyjąkałem. - A, chodzi pani o gospodę! Lal wyznała mi potem, iż była przekonana, że ich babskie szczęście postawiło im na drodze skończonego gamonia. - I owszem! - zawołałem. - Jest tu gospoda, czemu nie? Pracuję tam. Jako chłopiec stajenny. Na imię mi Rosseth. Język plątał mi się w gębie jak róg

końskiej derki i dwa razy się weń boleśnie ugryzłem wyrzucając z siebie te słowa. - Znalazłoby się tam dla nas miejsce? - Wskazała towarzyszki, a potem swoją osobę, zwracając się do mnie jak do ciężkiego kretyna. - Jasne! - wykrzyknąłem. - Na pewno! Mamy dużo pokoi, a mały ruch o tej porze... (Karsh byłby mnie zabił, gdyby to usłyszał)... wolne boksy w stajni, gorący mesz... Nagle zobaczyłem, jak torba przy siodle brązowej kobiety porusza się, wyrzusza i odgina z jednego rogu, zupełnie jak moje usta nieszczęsnego przygłupa, więc słowa "gorący mesz" powtórzyłem jeszcze kilkakrotnie. Najpierw wyłonił się ostry, uśmiechnięty pyszczek z czarnym wężącym nosem, potem rudy łepiek ze spiczastymi uszami, złocistobiała szyja, pierś i łopatki (po łopatki tylko wychynał wtedy z torby) ciemniejsze niż głowa i porośnięte futerkiem, na którym gra mięśni wzbudzała migotliwe cienie. Widziałem w życiu wiele lisów, przeważnie już martwych lub zdychających w sidłach, ale nigdy takiego, który podróżowałby w torbie przy siodle niczym kogut bojowy albo używany do polowań shukri, a już na pewno nie takiego, który patrzyłby na mnie tak, jakby znał moje imię, moje prawdziwe imię, którego ja sam nie znałem. - Karsh - wybelkotałem. - Mój gospodarz... Pan Karsh nie pozwoli... - Przekonajmy się więc, jak mały jest ruch o tej porze - postanowiła czarna kobieta i dała mi ręką znak, żebym wsiadł na konia za którąś z jej towarzyszek. Widząc zaś, że stoję jak w ziemię wkopany (obleciał mnie bowiem nagle prawdziwy strach, aż oblałem się rumieńcem wstydu), uśmiechnęła się pobłaźliwie. Ja nie miałem jednak zamiaru dzielić siodła z lisem, nie byłbym też w stanie uczynić nawet kroku w stronę płonącej białym ogniem dziewczyny. Lal uśmiechnęła się nieco szerzej, co sprawiło, że kąciki jej oczu się uniosły. - A więc siadaj za mną - powiedziała, więc wdrapałem się na wierzchowca, którego dosiadała, i tak mocno przywarłem do jej pleców, jakbym nigdy wcześniej nie siedział na koniu. Skórzany ubiór Lal pachniał zmęczeniem i morzem, a spod tej woni przebijał zapach kobiecego ciała. - Trzy mile do krzyżówki, a potem milę na zachód - wskazałem drogę, zapominając na resztę dnia o Marineshy.

OBERŻYSTA

Nazywam się Karsh. Nie jestem złym człowiekiem. Żeby tak szczególnie dobrym, też nie powiem, ale raczej dość uczciwym w swoim fachu. Nie mam też za grosz odwagi - gdybym ją miał, zostałbym żołnierzem lub żeglarzem. A gdybym umiał ułożyć piosenkę, nawet tak głupią jak ta o trzech kobietach, którą ktoś podpisał moim imieniem, zostałbym twórcą pieśni i bardem, bo ani chybi nie nadawałbym się do niczego innego. Jednak do tego, czym się zajmuję, nadaję się pod każdym względem. Oberżysta Karsh. Gruby Karsh. Od czasu jak pomieszkiwały u nas te baby, ludziska plotą rozmaite bzdury na mój temat. Od czasu tej pieśni. Stałem się zagadką,

człowiekiem znikąd; teraz rzeczywiście powinienem zostać żołnierzem, tłuc się po świecie, oglądać potworności, dopuszczać się potworności, zmienić imię i odmienić życie, żeby uciec od własnej przeszłości. Brednie! Jestem Karsh, oberzysta, jak mój ojciec i ojciec mojego ojca, a jedynym obcym krajem, który znam, jest rolniczy region Sharan-Zek, gdzie przyszedłem na świat. Od blisko czterdziestu lat mieszkam jednak tutaj, od trzydziestu zaś prowadzę oberżę "Pod Tasakiem i Ościeniem", co każdemu wiadomo. Bzdury! Założę się, że huncwot sprowadził te babska, żeby mi zrobić na złość, albo po to, żebym nie spostrzegł, że znowu lata za tą durnowatą Marineshą. Chłopak ma nosa na takich cudaków - przynajmniej tyle wziął po mnie - zaraz zmiarkował, że owe trzy nieznajome to ni pies, ni wydra; sprowadził je, choć wiedział, że nie życzę sobie mieć do czynienia z podobnymi klientkami, choćby nie wiem jak hojnie płaciły. Dość mam na co dzień urwania głowy z pijanymi wieśniakami jadącymi na jarmark do Limsatty. Mógł być, łajdak, skierować je tych siedem, osiem mil dalej na południe do klasztoru Sióstr Cieniaszek, jak go nazywamy, ale nie - musiał, ladaco, przyprowadzić lisa i całą bandę pod moje drzwi! O tym cholernym zwierzaku też wspomina pieśń. Kiedy wjechały na podwórze, czyściłem właśnie szkło i porcelanę; muszę to robić sam, bo w całym domu nie ma ani jednej osoby, której można by taką robotę powierzyć. Wszedłem, uważnie się im przyjrzałem i mówię: - Nie mamy miejsc, ani jednego wolnego miejsca, nawet w stajni, bardzo mi przykro. Jak już mówiłem, nie należę do śmiałków, czy też do ludzi chytrych na zarobek, jestem po prostu człowiekiem, który przez całe życie prowadził zajazd przydrożny. Ta czarna uśmiechnęła się do mnie i mówi: - Powiedziano mi co innego. Słyszałem już kiedyś podobny akcent, bardzo dawno temu; dwa oceany dzielą próg mojej gospody od krainy, gdzie mieszkają ludzie mający taką wymowę. Mój gagatek zsunął się z siodła, zadbawszy na wszelki wypadek, żeby przedzielał nas koń. Czarna dodała: - Wystarczy nam jedna izba. Mamy czym zapłacić. Nie wątpię w to, patrząc na trzy zmordowane podróża postacie w postrzępionych strojach. Każdy karczmarz wart swej zapłaty rozpoznaje takie rzeczy na pierwszy rzut oka, podobnie jak umie przewidzieć kłopoty, kiedy proszą się o nocleg pod jego dachem i chcą się karmić jego skopowiną. Przez tego huncwota wszedłem na domiar złego na kłamcę, a należę do ludzi upartych. - Owszem - powiedziałem - mamy kilka wolnych pokoi, ale dla pań nieodpowiednich, w zeszłą zimę ich ściany przegniły od deszczu. Niech panie spróbują szczęścia w klasztorze albo pojedą do miasta, gdzie można przebierać w gospodach. Cokolwiek sobie teraz o mnie pomyślisz, miałem nosa, że wtedy skłamałem i skłamałbym tak samo jeszcze raz. Tyle że postarałbym się już lepiej. Czarna nie przestawała się uśmiechać, a bawiła się przy tym od niechcenia długą, leżącą w poprzek

siodła laską z różanego drzewa, wyjątkowo piękną, jakich się w naszych stronach nie wyrabia. W pewnej chwili rzeźbiona rączka przekręciła się o ćwierć obrotu i ze środka łysnęło na mnie ćwierćcalowe stalowe ostrze. Czarna kobieta powiedziała jakby nigdy nic: - Weźmiemy, co pan ma. No i czy nie sprawdziło się co do joty? Ostrze ukryte w lasce przesądzało oczywiście sprawę, mimo to spróbowałem kolejnego wykrętu; próbowałem, w pewnym sensie, bronić własnej uczciwości, choć wątpię, abys rozumiał, o czym mówię. - Stajnie nie nadałyby się nawet dla sheknatha - powiedziałem. - Dach przecieka, słoma zamokła, nie godzi mi się umieszczać tak pięknych rumaków w tak nędznym pomieszczeniu. Nie pamiętam, co mi odpowiedziała - zresztą czy nie wszystko jedno? - po pierwsze dlatego, że gromiłem wzrokiem mojego chłopaka, żeby się nie powazył zaprzeczyć tym słowom, po drugie dlatego, że w następnej chwili z torby przy siodle brązowej towarzyszyki czarnej damy wyskoczył na ziemię lis i pomknął prosto na północ, chwyciwszy po drodze w zęby jedną z moich kur. Ryknąłem jak zarzynany, zleciały się psy i służba, a ten huncwot rzucił się w pościg za lisem z takim zapalem, jakby to nie on go tu sprowadził, żeby zagryzał mi kury! Przez kilka następnych minut odbywała się na podwórku bezcelowa bieganina w kłębach kurzu. Pamiętam, że koń białej dziewczyny spłoszył się i omal jej nie zrzucił. Łajdak miał jednak odwagę wrócić, muszę mu to przyznać. Brązowa kobieta powiedziała: - Przykro mi z powodu tej kury. Zapłacę panu za nią. Głos miała niższy od czarnej, śpiewniejszy, bardziej nosowy. Z południa, jak oceniłem, ale nie urodzona w tamtych stronach. - Spodziewam się! - wrzasnąłem. - To była młoda kura, warta na każdym jarmarku co najmniej dwadzieścia miedziaków. Przeceniłem jej wartość najmarniej o jedną trzecią, ale bo też tak i trzeba, inaczej ludzie nigdy nie uszanują cudzej własności. Ponadto dostrzegłem w tym zdarzeniu szansę na wyplątanie się z głupiej przygody. Zapowiedziałem brązowej: - Jeżeli jeszcze raz zobaczę tego lisa, ukatrupię drania! Mało mnie obchodzi, czy to pani ulubieniec czy nie. Ta kura też była czyjaś ulubienicą. Bo i prawda, Marinesha była do niej bardzo przywiązana. Pasowały do siebie jak ulał. Brązowa sprawiała wrażenie wściekłej jak sto diabłów, a mnie błysnęła nadzieja, że cisną mi po prostu w twarz dwadzieścia miedziaków i odjadą razem ze swoimi groźbami. Ale tymczasem odezwała się czarna, nie przestając się bawić laską ze sztyletem, na którą zresztą ani razu nie spojrzała: - Nie zobaczy go pan, obiecuję. A teraz chciałybyśmy obejrzeć nasz pokój. No i nici z mojego planu! Chłopak odprowadził ich konie do stajni, Gatti Jinni - Gatti Bielmo, jak go wołają dzieciaki, mój posługacz - wziął, co tam miały z bagażu, a ja zaprowadziłem je do izby na piętrze, którą trzymam głównie dla garbarzy i handlarzy skórami. Wiedziałem z góry, że mój zamiysł spali na panewce, więc jak tylko czarna

wniosła ze zdziwieniem brew, zaprowadziłem je do pokoju, gdzie przez jeden sezon uprawiała swój proceder pewna dziwka z Tazinary. Reguła kontrastu, pojmujesz; goście przeważnie rzucają się na ten pokój po obejrzeniu tamtego. Przysięgnij na swoich bogów, że ty nie praktykujesz podobnych sztuczek, a tę kolację ja stawiam, zgoda? No więc, czarna i brązowa rozejrzały się po izbie, a potem spojrzały na mnie, ale co mi miały do powiedzenia, tego się nigdy nie dowiem, bo skoczyła na mnie biała - dosłownie skoczyła, rozumiesz, jak przedtem lis na kure. Od przyjazdu nie odezwała się ani słowem - tyle żeby uspokoić spłoszonego konia, toteż nie miałbym ci wiele do powiedzenia na jej temat poza tym, że nosiła na palcu szmaragdowy pierścień, a w siodle siedziała tak, jakby nawykła raczej jeździć oklep na chabcie od pługa. Aż tu nagle, szybciej od lisa - jego ruchy przynajmniej widziałem - znalazła się tuż przede mną i zasyczała ognistym szeptem: - Czuję w tym pokoju śmierć, obłęd i znowu śmierć. Jak śmiesz proponować nam tu nocleg? Oczy miała brązowe, koloru ziemi, pospolite oczy wieśniaków, podobne do oczu mojej matki, zresztą do większości znanych mi oczu. Wyglądały bardzo dziwnie w tej niesamowicie bladej twarzy, w której płonęły. Była wściekła jak durli, gdy zaczyna swoje toki. Nie powiem, żebym się jej przestraszył, ale na pewno przestraszyłem się tego, co powiedziała, bo skąd niby mogła to wiedzieć? Oberża "Pod Tasakiem i Ościeniem", jeszcze zanim ją kupiłem, cieszyła się złą sławą z powodu morderstwa popełnionego w tym właśnie pokoju oraz drugiego w piwnicy. No i faktycznie, zdarzyła się tu kiedyś przykra historia, gdy wynajmowała ten pokój tamta kurwa z Tazinary. Jeden z jej klientów, młody żołnierz, wpadł w szal - szaleńcem, moim zdaniem, musiał być zresztą już wcześniej - i próbował zastrzelić ją z kuszy. Chybił o włos, po czym wyskoczył oknem i skręcił sobie ten swój głupi kark. No jasne, znasz całą historię, znają ją przecież wszyscy w trzech okolicznych powiatach - jakże by inaczej gruby Karsh mógł tak tanio kupić tę gospodę? - ale blada dziewczyna, sądząc po wymowie pochodziła z południa, może z Grannach Harbor, może z innych stron, a już na pewno nie mogła wiedzieć, o który pokój chodzi. Nie mogła go znać. - To było dawno - odrzekłem. - Od tamtego czasu wysprzątano i dwa razy wykadzono całą gospodę. Nie powiedziałem tego z taką bogobojuścią, z jaką by należało, wspomniawszy wydatki, które musiałem ponieść na tych zawodzących, jęczących klechów. Dobre dwa lata trwało, nim z zasłon i prześcieradeł wywietrzała woń ich cwanych bożków. Gdybym miał tyle rozumu co pluskwa, zdołałbym pewnie pozbyć się tych kobiet, podkreślając moje oburzenie z powodu poniesionej straty - ale gdzie tam! Jestem, jak ci już mówiłem, człowiekiem upartym, co ściąga mi czasem na głowę najdziwniejsze kłopoty. Powiedziałem więc: - Mogą panie wziąć mój pokój, jeśli wola, widzę

bowiem, że należycie do osób nawykłych do wszelkich wygod, jakie może zaoferować przyzwoita gospoda, nie baczących na koszty. Ja będę spał tutaj, jak już nieraz bywało. Głupia przewrotność - nie cierpię tego pokoju i wolałbym raczej spać w piwnicy na kartoflach albo na drwach do pieca. Tak im jednak powiedziałem. Białaska już otwierała usta, żeby coś powiedzieć, ale brązowa dotknęła lekko jej ramienia, czarna zaś stwierdziła: - Będziemy zadowolone, jestem pewna. Za jej plecami dojrzałem wtedy mojego huncwota. Stał w progu i rozdziawiał gębę jak pisklę w gnieździe. Rzuciłem weń świecą - i nawet trafiłem - a potem puściłem się za nim w pogoń po schodach.

TIKAT

Dziewiątego dnia zaczął mi doskwierać głód. Zabrałem ze sobą o wiele za mało jedzenia. Czyż zresztą mogło być inaczej, skoro byłem przekonany, że dogonię czarną kobietę jeszcze przed zachodem słońca i zmuszę ją do oddania mi Lukassy? Jeszcze i dziś nie mogę się nadziwić, że pomyślałem nawet o wzięciu koca na wypadek chłódów, jakie możemy napotkać wracając szczęśliwie do domu. Biedactwo, tak długo leżała w wodzie, że musiała przemarznąć do szpiku kości. Tylko o tym jednym myślałem przez całe dziewięć dni. Teraz już wiem oczywiście, że nic bym nie zyskał, gdybym ukradł nawet tuzin koni (a nie było ich aż tylu w naszej wiosce!) i objuczył je zapasem jedzenia, picia i odzienia, nie udało mi się bowiem ani razu zbliżyć do uciekinierki na odległość mniejszą niż pół dnia konnej jazdy, mimo że mojej klaczce pękło w czasie pościgu jej dzielne serce. Widziałem stale obie jadące na linii horyzontu, nie większe od mojego kciuka, nie bardziej materialne od dymu z kominów w miasteczkach, które objeżdżały szerokim łukiem. Co pewien czas natrafiałem na resztki ogniska, starannie zawsze rozrzuconego, co oznaczało, że musiały kłaść się czasem na spoczynek; niezależnie jednak od tego, czy również odpoczywałem czy galopowałem przez całą noc, o świcie znajdowały się zawsze poza zasięgiem mojego wzroku i dopiero w południe udawało mi się doścignąć ruchliwy miraż znikający na zboczu najdalszego wzgórza, migotliwy cień wśród skał, tak odległy, iż wyglądał jak połysk kałuży na drodze. Nigdy nie czułem się bardziej samotny niż wtedy. Głód potrafi jednak odwracać myśli od zatracania się w samotności i smutku. Początkowo bardzo dokucza, lecz szybko sprowadza sny, niezwykle przyjemne, chyba najprzyjemniejsze, jakie miałem w życiu. Nie zawsze widziałem w nich jadło i napoje, jak skłonny byłbyś zapewne przypuszczać: najczęściej śniłem, że jestem już stary i siedzę w domu z naszymi dziećmi i moją dziewczyną, która wciąż, po tylu latach, nosi znak po mocnym uścisku mojego ramienia, kiedy ją objąłem, jak złamała się ta poręcz na mostku. Śnił mi się także mój

ojciec i moja nauczycielka, która była również jego nauczycielką; śniło mi się, że jestem mały, siedzę na kupie trocin i wiórów i bawię się nieżywą myszką. Wszystkie te sny były mi bardzo drogie, więc coraz usilniej starałem się nie budzić. Nie pamiętam już, kiedy po raz pierwszy zauważyłem ślady drugiego konia. Grunt z każdą milą stawał się twardszy i bardziej kamienisty, więc często przez cały dzień - albo nawet dłużej - nie natrafiałem na nic więcej, tylko kilka rys po podkowie na przewróconym kamieniu. Musiało to być jednak wkrótce potem, jak zaczęły się sny, śmiałem się bowiem i płakałem z radości widząc, że Lukassa ma wreszcie własnego konia. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi wymogła na mnie obietnicę, iż kupię jej kiedyś prawdziwego damskiego wierzchowca, nie żadną z tych kobył od pługa, mało co się różniących od wołów, ale rasowego rumaka, równie dla mnie nieosiągalnego wtedy jak dzisiaj, w naszym zaś ówczesnym życiu tak bezużytecznego jak bransolety na wieprzu. Mimo to przyrzekłem jej to - tak drobna wydała mi owa prośba; Lukassa wyrażała ją całą swą postacią, od której oczu nie mogłem oderwać. Mieliśmy wtedy po jakieś siedem, osiem lat, a już byłem w niej bez pamięci zakochany. Gdybym był przy zdrowych zmysłach, z pewnością zadałbym sobie pytanie, skąd się wziął drugi koń na tym pustkowiu i czy rzeczywiście niósł Lukassę, czy kogoś zupełnie innego. Kobieta, która potrafiła śpiewem wyciągnąć moją ukochaną z dna rzeki, mogła z pewnością równie łatwo przywołać konia; lecz czemu zrobiła to dopiero teraz, gdy tyle już drogi przebyły siedząc na jednym wierzchowcu, i to najwyraźniej niestrudżonym? W tym jednak czasie prawie tyle samo szedłem pieszo, co jechałem wierzchem. Uczepiony zwieszanej nisko szyi mojej kłaczki błagałem ją, żeby jeszcze nie zdychała, żeby pożyła jeszcze trochę, choć pół dnia, pół mili. Nie zgadłbyś, które z nas dwojga podpira i ciągnie drugie, a ode mnie byś się tego nie dowiedział, ponieważ unosiłem się nad ziemią zaśmiewając się z żartów, jakie mi opowiadały kamienie. Czasem spotykałem zwierzęta - wielkie bezbarwne węże, dzieci z ptasimi twarzami - a czasem nikogo. Niekiedy, gdy czarna kobieta nie patrzyła, brałem Lukassę na barana. Jedenastego, dwunastego, a może piętnastego dnia padła pode mną kłaczka. Wyczułem, że zdycha, i zdążyłem w porę zeskoczyć, żeby mnie nie przygniotła swym ciałem. Gdybym miał dość sił, aby ją zakopać, zrobiłbym to, a ponieważ nie miałem, usiłowałem ją zjeść, nie udało mi się jednak przeciąć jej skóry, więc tylko podziękowałem mojej towarzysze podróży i poprosiłem o wybaczenie, a potem rzuciłem się na pierwszego ptaka, który wbił w nią szpony, i udusiłem go. Smakował jak krwawy kurcz, mimo to siedziałem obok martwej kłaczki, żułem łykowate mięso i powarkiwałem na inne ptaki przyglądające mi się z bliska. Nawet po moim odejściu nie ośmieliły się od razu na nią rzucić. Mięso ptaka podtrzymywało mnie na siłach

przez dwa następne dni; myśli rozjaśniły mi się na tyle, że zdałem sobie wreszcie sprawę z tego, gdzie się znajduję. Otaczały mnie Północne Pustkowia; choć nie pustynia w dosłownym tego słowa znaczeniu, okolica prawie równie niegościnna. Jak okiem sięgnąć widzisz tylko ziemię - spękaną i spieczoną, pociętą szczelinami i najeżoną skalnymi uskokami. To zagradza ci drogę usypisko głazów, z których najmniejszy przewyższa rozmiarami człowieka na koniu, to koryto rzeki, tak dawno temu wyschłe, że wyrosły w nim karłowate pokręcone drzewka, to skalne rumowiska, które mogły być kiedyś górą, zanim nie zwały jej łapy jakiegoś olbrzyma. Żadnej drogi, żadnego traktu. Gdybym był przy zdrowych zmysłach, szukałbym przejścia wśród tego pustkowia modląc się do bogów, żeby nie złamać nogi albo nie wpaść na zawsze w jakąś dziurę. Półobłąkany z głodu, parłem przed siebie z pieśnią na ustach, spokojny i nieustraszony. Przyśniła mi się własna śmierć, co mi zapewniało bezpieczeństwo. W jednym ze snów zobaczyłem starego człowieka. Miał szare, błyszczące oczy i białe wąsy, których koniuszki zagryzał w ustach, a ubrany był w splowiały szkarłatny płaszcz podobny do żołnierskiego szynela. Wjechał w mój sen galopem na karym koniu. Siedział tak blisko szyi wierzchowca, że prawie dotykał policzkiem końskiego ucha i coś przy nim szeptał. Kiedy przelatywali obok, staruszek spojrzął na mnie i wtedy zobaczyłem jego roześmiane oczy; nie spodziewam się już ujrzeć w życiu podobnej radości. Ten widok mnie zbudził wydając na męki samotnej śmierci na pustkowiach, z dala od Lukassy. Upadłem z płaczem na ziemię i przywoływałem tego starca, dopóki znowu nie zasnąłem, tym razem prawdziwym snem, skulony jak małe dziecko. Śniło mi się, że przebiegają obok mnie konie, których dosiadają ogromne psy. Kiedy się obudziłem, słońce właśnie zachodziło, niebo nabrało aksamitnej głębi i wiał słaby wiatr. Sen i nadzieja na deszcz dodały mi sił. Ruszyłem żwawo przed siebie i po jakimś czasie stanąłem na skraju nie tyle nawet kotliny, ile kamienistego leja, na którego dnie lśniło bajorko stojącej wody. Psy były tam w dole, zajęte swą ofiarą. Czterech Mildasów, sądząc po sztyletach i krótko ostrzyżonych włosach. Tylko dwa razy widziałem wcześniej Mildasów; na szczęście rzadko zapuszczają się dalej na południe. Otoczyli kołem starego człowieka w szkarłatnym płaszczu i ciosami pięści przekazywali go jeden drugiemu, kopiąc przy tym tak mocno, aż gałki oczne wywracały się biedakowi białkami do góry i zataczał się jak pijany. Kiedy w końcu upadł skulony, podawali go sobie kopnięciami niczym szmacianą piłkę, przeklinając go przez cały czas i zapowiadając, że jeszcze sroższe męki czekają bezmyślnego głupca, który ośmielił się ukraść im konia. Nie rozumiem co prawda ani słowa w języku Mildasów, ale gesty dręczycieli były dostatecznie wymowne. Koń, o którego chodziło, stał nie opodal z wiszącymi luźno wodzami i wygrzebywał kopytem osty spod

kamieni. Mały, kosmaty i czarny, prawie kucyk, należał do rasy, którą Mildasi hodują - tak przynajmniej twierdzą - od tysiąca lat. Koniki te jedzą wszystko, co wyrasta z ziemi, i są niezwykle wytrzymałe. Mildasi nie dostrzegli mnie. Stałem oparty o skałę i usiłowałem zebrać myśli. Było mi żal staruszka, ale mój żal wydawał się równie przytłumiony i daleki, jak reszta moich uczuć, nawet głód, nawet świadomość, że umieram. Mój koń umarł już jednak naprawdę, natomiast w pobliżu stały cztery wierzchowce Mildasów i czekały na swych panów nie spętane, podobnie jak kary kuc, ja zaś zdawałem sobie sprawę, że potrzebuję jednego z nich, żeby dotrzeć tam, dokąd dotrzeć muszę. Nie pamiętałem, po co ani dlaczego muszę się tam dostać, pamiętałem jednak, że to bardzo ważne, ważniejsze niż głód. Przyglądając się napastnikom, starcowi i zachodzącemu słońcu ułożyłem więc najlepszy plan, na jaki było mnie w moim ówczesnym położeniu stać. Wiedziałem o Mildasach tyle co wszyscy: że rządzą łupieżcze wycieczki ze swych siedzib na pustkowiach, nigdy się nie poddają, a własne wierzchowce cenią wyżej niż życie. Wiedziałem i jeszcze coś, co mi o nich opowiadał wujek Vyan. Wujek jeździł za młodu z karawanami i od niego wiem, że Mildasi są na swój sposób ludem religijnym. Wierzą, że słońce jest bogiem, który nie pojawiałby się każdego ranka, gdyby nie ofiarowywali mu daniny z krwi. Zwykle składają ofiary ze zwierząt, które specjalnie w tym celu hodują, ale ponieważ ich bóg woli krew ludzką, dostarczają mu jej, ilekroć nadarzy się okazja. Jeśli mój wujek mówił prawdę, zabijają starca, ledwo tarcza słońca dotknie wzgórz na horyzoncie. Powoli, jak wydłużający się cień, obszedłem skałę. Konie spojrzały na mnie, lecz żaden nie zarżał, nawet gdy zbliżyłem się na małą odległość. Nie mam podejścia do koni jak niektórzy; przypuszczam, że nabrały do mnie zaufania dzięki mojemu szaleństwu. Wujek Vyan opowiadał mi, że konie Mildasów są niczym psy - wierne i czasem dzikie, i niełatwo je przestraszyć. Chciałem zanieść modły do bogów, żeby się mylił, ale nie było czasu na modlitwy. Mildasi stali odwróceny do mnie plecami i przygotowywali się do złożenia ofiary. Nie bili już staruszka i nawet z niego nie drwili: wydawali się równie poważni jak obaj księża z naszej wsi, kiedy błogosławią nowo narodzone dziecko lub proszą o deszcz. Najpierw oprawcy pomazali policzki staruszka czymś żółtym, a potem starannie wyrysowali palcami na tych plamach jakieś znaki. Następnie innym mazidłem umalowali mu na czarno usta. Biedak stał nieruchomo, nic nie mówił i nie wrywał się już. Potem jeden z Mildasów zaczął śpiewać wysokim wibrującym głosem, jakby to jego miano zamordować. Tylko kilka nut, w kółko i w kółko. Kiedy przestał śpiewać, między tarczą słońca a wierzchołkami wzgórz lśniła szczelina cienka jak pasemko wiatru. Śpiewak umilkł; wziął teraz od jednego z kompanów długi nóż i podsunął starcowi pod nos, żeby go sobie dobrze

obejrzał, wskazał na ostrze, potem na rękojeść, znowu na ostrze, jak moja nauczycielka, kiedy próbuje mi wyjaśnić ukrytą zasadę jakiegoś wzoru. Poznałbym ten nóż, gdybym go jeszcze kiedyś zobaczył. Koń, którego sobie upatrzyłem - przed wielu godzinami, przed wieloma dniami? - był siwy jak królik. Pozwolił mi się dotknąć. Śpiewak Mildasów znów zaczął zawodzić, a wtedy wskoczyłem na siwka wrzeszcząc i wymachując rękami, żeby spłoszyć pozostałe. Wyglądały na zaskoczone, jakby nieco rozczarowane moim zachowaniem; zatańczyły na tylnych nogach i spojrzały w stronę swoich panów, którzy dopiero teraz odwracali głowy i wybałuszali oczy w niemym zdumieniu. Dwaj zdążyli już jednak wyciągnąć swoje toporki, którymi Mildasi, jak zapewniał mnie wujek Vyan, potrafią nocą strącać ptaki w locie. Nagle kary konik się spłoszył, stanął dęba, zarżał i puścił się galopem zbijając z nóg śpiewaka i tratując Mildasa z nożem, który skoczył kompanowi na pomoc. Dwaj pozostali rzucili się do cugli karego, ten jednak przemknął obok nich kierując się ku swoim towarzyszom. Tymczasem i pozostałe wierzchowce ogarnęła panika, jakby płomień pochodni przywiązanej do karego podpalił im ogony. Mój siwek - Królik, jak go tamtego dnia nazwałem - wyskoczył w górę odbijając się wszystkimi czterema kopytami, po czym poniósł mnie prosto na dwóch Mildasów, którzy z furkoczącymi toporkami w rękach zagradzali nam drogę. Rozpłaszczyłem się na grzbiecie Królika, objąwszy go za szyję tak mocno jak Lukassę wtedy nad rzeką. Staruszek tymczasem gdzieś zniknął. Jeden z toporków świsnął mi koło nosa, obcinając jedynie kosmyk siwej grzywy mego wierzchowca. Drugiego nawet nie dostrzegłem, ale biedny Królik zarżał rozziewając i, zwyczajem prawdziwych królików, raptownie skręcił w boku. Koniuszek jego prawego ucha zniknął, a z rany zaczęła kapać mi na ręce krew. Obejrzałem się za siebie tylko raz i zobaczyłem, jak wszyscy czterej Mildasi - dwóch z nich utykało - usiłują na gwałt chwycić konie, którym jednak wcale nie było pilno zmieniać się na powrót w zrównoważone i posłuszne wierzchowce. Wciąż jeszcze odwracałem głowę, gdy nagle, jedną ręką chwyciwszy się siodła, drugą zaś mego paska, wskoczył na Królika za moimi plecami staruszek w czerwonym płaszczu, omal nie zrzucając mnie na ziemię. Stęknął, świsnął i zaśmiał się jak wiatr. - Pędź, chłopcze! - zaskrzeczał mi do ucha. - Pędź co koń wyskoczy! Potem odwrócił się i krzyknął do Mildasów: - Głupcy, niedorozwinięte pętaki! Sądziście, że zdołacie mnie zabić? Mnie! Tylko dlatego, że zachciało mi się trochę z wami poigrać, już myśleliście, że... Królik przesadził nagle głęboką szczelinę, staruszek krzyknął, wczepił się we mnie i nie dokończył przechwałki, co mnie zresztą bynajmniej nie zmartwiło. Gdyby ucichł choć na chwilę, mógłbym udawać, że w ogóle nie istnieje. Lecz on nawet pięciu minut nie potrafił wytrzymać w milczeniu. Kiedy nie pomstował

na głupotę Mildasów i nie chełpił się swym sprytem, dzięki któremu im uciekł, zachęcał mnie, bym bódł ostrogą Królika i zwiększył dystans dzielący nas od pościgu. Nie miałem ochoty z nim gadać. Odburknąłem, że jest ciemno i musimy posuwać się ostrożnie, na co parsknął ironicznym śmiechem: - Te kuce Mildasów mają ślepia w kopytach! On może tak gnać całą noc i nie potknie się ani razu. Podobnie, niestety, jak konie tych, którzy nas gonia! Od jego głosu rozboleła mnie głowa, poza tym, mimo chełpliwych przechwałek śmierział mi tchórzem. Mildasi nas nie dogonili. Nie mam zresztą nawet pewności, czy w ogóle puścili się za nami w pogoń, bo nie zwracałem uwagi ani na jazgotliwe pokrzykiwania staruszka, ani w ogóle na nic, z wyjątkiem trudnego zadania, by utrzymać się w siodle i - większego jeszcze wysiłku - pamiętania o tym, po co się w nim utrzymuję. Możliwe, że podążaliśmy nadal tropem Lukassy i czarnej kobiety, choć niewykluczone, że zatoczywszy koło wracaliśmy tam, skąd przybyłem. Byłem u kresu sił, u kresu wytrzymałości, u kresu wszystkich uczuć, prócz woli utrzymania się w siodle. W głowie miałem pustkę, myślałem tylko o tym jednym. Uratował mnie staruszek, co do tego nie mam wątpliwości. Podtrzymał mnie, kiedy spałem kiwając się z boku na bok, a nocą prowadził Królika przez pocięte szczelinami bezdroże i niechybnie przez cały czas plótł mi coś nad uchem, nie bacząc na to, że go nie słucham. Nie zachowałem z owej nocy żadnego wspomnienia, nie pamiętam żadnych snów, w ogóle nic. Obudziłem się na twardym stoku wzgórze otulony szkarłatnym płaszczem starego. Wysoko na niebie stało jaskrawe słońce, a Królik trzącał mnie chrzapami, chcąc się dobrać do rosnących pod mym ramieniem kolczastych roślin. Staruszek gdzieś zniknął. Na szyi siwka wisiał bukłak z wodą; napiłem się chciwie, lecz w miarę. Byłem bardzo osłabiony, ale przy zdrowych zmysłach, jak mniemam. Poranne niebo lśniło bladawo, niemal białe, a w powietrzu czuło się zapach śniegów, zimne tchnienie dalekich gór. Oparłem się o Królika, zapatrzyłem na kołujące nad Pustkowiec ptaki, podobne do tego, jakiego pożarłem, i oświadczyłem kucowi: - Będę żył! W tej krainie musi być woda i ja ją znajdę, musi być zwierzyzna łowna i jadalne korzonki w ziemi, inaczej Mildasi by tu nie przetrwali. Nie umrę! Pospieszę za Lukassą za góry i nawet dalej, jeśli będzie trzeba, i nie spocznę, póki się z nią nie rozmówię i nie dotknę jej ciała. Dopiero kiedy nie zechce wrócić ze mną do domu, dopiero wtedy wyzionę ducha, nie wcześniej. Królik skubał mój wystrzępiony rękaw. Lisa zwietrzył pierwszy; dopiero kiedy zarżał, targnął łbem i zastrzygl uszami, dostrzegłem go i ja. Zwierzak biegł śmiało w górę po stoku, kierując się w naszą stronę. Z jego pyska zwisał luźno ptak niemal tak duży jak on sam. Mały lisek, ale sprężysty i ładny, z błyszczącymi jak gwiazdy ślepiami. Umyślnie poczekał, chcąc się upewnić, że na niego patrzę, dopiero wtedy się przemienił.

Ujrzałem tylko błysk niczym migotanie powietrza nad płomieniem i oto podchodził do mnie staruszek z martwym ptakiem w ręku. Królik uderzył kopytami, prychnął i odbiegł kawałek w bok, lecz ja byłem zbyt zmęczony, żeby się przestraszyć, spytałem więc tylko: - Człowieku, który zmieniasz się w lisa, lisie, który zmieniasz się w człowieka, którym z tych stworzeń naprawdę jesteś? Sute białe wąsy złagodziły chytry uśmieszek przechery. - Ten oto ptaszek może zaraz zmienić się w nasze jadlo. I tylko to się liczy. Rażno, jakby niedawno nie objęły go kułaki Mildasów, nie poraniły do krwi, jakby nie słyszał nad sobą śmiertelnej pieśni, usiadł obok mnie i zabrał się do skubania ptaka. Ofiarnicza farba zniknęła z oblicza staruszka, a sińce na rumianych policzkach przybladły. Skubał pióra nie przestając się do mnie uśmiechać, ja zaś przyglądałem mu się ciekawie. - Jeśli oczekujesz, że zaraz wywalę jęzor i zacznę ziajać - mruknął - nie doczekasz się, nie mam takiego zwyczaju. Nie pojrzę też na surowo tego ptaka krusząc w zębach kości. W tej postaci jestem takim samym człowiekiem jak ty. Wybuchnąłem tak serdecznym śmiechem, że omal nie przewróciłem się na plecy, po czym wystękałem: - Ale ów człowiek taki sam jak ja rozpruł zębami tyle brzuchów, co każdy normalny lis! Nie mogłem tego wiedzieć, lecz tak to wtedy odczułem. Staruszek odpowiedział: - Może byś tak jednak rozpałił ognisko, gdyż ludzie zwykli piec swoją strawę, jeśli tylko mogą. Ze skórzanego trzosa, jaki nosił u pasa, wyjął i podał mi krzemień i krzesiwo. Nie opodał leżało trochę suchego chrustu, nie więcej niż naręcze. Szczęśliwy traf, inaczej nie zdołałbym bowiem zebrać nawet tak małej wiązki. Samo połamanie gałązek na podpałkę zajęło mi tyle czasu, że mój dziwny towarzysz zdążył oskubać i pięknie oczyścić ptaka, nim rozpałiłem ogień. Płomienia ledwo starczyło na przypieczenie mięsa, jakoś nam się to jednak udało i spożyliśmy posiłek jak ludzie, choć jeśli o mnie chodzi, tylko resztką sił powstrzymałem się od połknięcia mojej połówki niedopieczonego ptaka, a potem również porcji starca. Tymczasem on paplał beztrosko i wyciągnął ze mnie moje imię, własnego nie zdradzając. Oświadczył tylko, że towarzyszy pewnej wielkiej damie z dalekiego wybrzeża. Zapytałem, czy jest czarna, na co pokręcił przecząco głową. - Brązowa, owszem, ale z pewnością nie czarna. Nazywa się Nyateneri i jest bardzo mądra. - To dla niej ukradłeś tego konia Mildasów - stwierdziłem. - Na mą dusze, chciałbym mieć takiego wiernego i dzielnego sługę! Moje słowa go ubodły, zgodnie zresztą z moją intencją. - Jesteśmy towarzyszami, równymi sobie, zapamiętaj! Nie jestem na posyłki u mej pani, załatwiam własne sprawy, jakie chcę i kiedy mi się podoba! Naprawdę się wściekłem, aż pozołkły mu szare oczyska. - Nie jestem byle sługą! - Na co koń komuś, kto potrafi, gdy zechce, podróżować na własnych czterech nogach? Miałem nadzieję, że gniew uczyni go nieostrożnym, tymczasem starzec opanował się

szybko i uśmiechał do mnie, celowo zwlekając z odpowiedzią. - Chciałem się tylko zabawić z tymi głupimi Mildasami. Dziwi cię, że mam inny niż ty pogląd na rozrywkę? - Omal nie zatłukli cię na śmierć - stwierdziłem - i byliby poderżnęli ci gardło, gdyby nie ja. I to ma być zabawa? - Nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo - oznajmił z całą wyniosłością, do jakiej zdolny jest człowiek mający pełne usta i tłuszcz na wargach. - Twoja interwencja była śmiała, acz zupełnie zbędna. Wtrąciłeś się w nie swoją sprawę. - Zabiliby cię jak nic. Ocaliłem ci życie. Tym razem zmilczał i obróciwszy głowę spozierał na mnie z ukosa. - Człowieku czy lisie, jesteś moim dłużnikiem - oświadczyłem. - I doskonale o tym wiesz. Wąsy mu się zjeżyły; przyglądał je językiem. - Podobnie jak ty moim, chłopcze, wszak to ja nakarmiłem cię i napoiłem. Jeśli mnie nawet ocaliłeś, uczyniłeś to przypadkiem, i doskonale o tym wiesz, tymczasem ja pomogłem ci świadomie, mogąc cię zostawić na pastwę długich mąk konania. Nie poluję dla nikogo, dla ciebie uczyniłem wyjątek, więc jesteśmy kwita, zarówno w twoim, jak i w moim świecie. Co powiedziałś zamilkł i milczał dopóty, dopóki nie zjedliśmy ptaka i nie zakopaliśmy resztek, by nie zostawiać śladów dla Mildasów. - Jeśli chcesz umyć pyszczek i łapy, mogę się odwrócić - powiedziałem ziewając, gdyż posiłek przyprawił mnie o senność. Staruszek siedział oplótlony rękami kolana nieruchomy jak głaz i przypatrywał mi się przeciągle. Wyglądał na dobrodusznego dziadunia, ale poczułem się nagle tak, jak musi się czuć w ostatniej chwili życia ptak, który zbyt późno zauważył lisa. - Nigdy ich nie dogonisz, zapewniam cię. Ani na tym kucyku Mildasów, ani na żadnym innym wierzchowcu. Zresztą nawet gdyby ci się udało, zaraz szczerze byś tego pożałował. Nie zapytałem, kogo ma na myśli ani skąd wie to wszystko, powiedziałem tylko: - Czarna kobieta jest z pewnością wielką czarodziejką, ponieważ moja Lukassa utonęła, a tamta przywróciła ją do życia. Choćby jednak nie wiem jak okrutnie szykowała mi niespodzianki, będzie musiała dobrze się napocić, zanim się mnie pozbędzie. Odnajdę je bowiem i sprowadzę Lukassę do domu. - Chłopięce gadanie! - prychnął pogardliwie staruszek. - W tej kobiecie jest tyle z czarownika co w tobie, ale czego ona nie wie o ucieczce i pościgu, tropieniu i zacieraniu śladów, o puszczaniu ujadających psów na ich własny trop, tego nawet ja nie wiem. Zaś teraz dołączyła do niej moja pani, Nyateneri - owszem, trafnie się tego domyśliłeś - a wobec tej pary biedny lisek może tylko ssać łapę i modlić się, żeby ich przebiegłość nie wystrychnęła go na zbyt wielkiego dudka. Zaniechaj pościgu, chłopcze, i wracaj do domu! - Lisie gadanie! - odciąłem, modląc się w duchu, żeby nie udało mu się mnie przekonać. - Powiedz swojej pani, powiedz im obu, że narzeczony spieszy Lukassie na ratunek. Wskoczyłem na grzbiet Królika i siedząc na nim nieruchomo zmierzyłem starego

najgroźniejszym spojrzeniem, na jakie mogłem się zdobyć, mimo że ledwo go widziałem, bo nagle zakręciło mi się w głowie. - Te słowa zanieś im ode mnie - dodałem. Staruszek nie poruszył się, oblizywał jedynie wąsy, po każdym zaś takim liźnięciu jego uśmiech stawał się trochę szerszy. W końcu zapytał: - Co mi dasz, jeśli wskażę ci trop, który cię do nich zaprowadzi? - W jego żółtoszarych oczach pojawiła się taka ironia, a w szczekliwym głosie zadźwięczała taka kpina, że prawie nie mogłem uwierzyć własnym uszom. - Co mi dasz? Nadal jesteś zbyt bliski śmierci, żeby unosić się pychą. Doskonale wiesz, że bez mojej pomocy nigdy nie odnajdziesz ich śladu. Daj mi ten medalion, który nosisz na szyi. Jest niewiele wart, nie odczujesz straty, a ja bez wynagrodzenia nie mogę nikomu udzielać pomocy. Ten drobiazg mi wystarczy. - Dostałem go na imieniny od Lukassy - odpowiedziałem - kiedy miałem trzynaście lat. W ustach staruszka błysnęły lodowato zęby. - Słyszysz, Lukasso? Twój ukochany świniopas woli twoje prezenciki od ciebie samej! A więc udław się nim, chłopcze, i bądź zdrow! Odwrócił się i odszedł. Rzuciłem za nim medalion, a stary pochwycił go w locie, nie oglądając się za siebie, po czym rzekł: - Zsiadaj z konia, nie ma potrzeby, abyś zaraz wyruszał w drogę. Prześpij się tam do końca dnia. - Nie odwracając się wskazał mi skalną półkę, pod którą mogłem znaleźć cieniste schronienie. - O wschodzie księżyca ruszysz na północ, mając tamte wzgórza po lewej ręce. Będziesz szedł bezdrożem, ale znajdziesz ślad. - Dokąd wiodący? - spytałem. - Dokąd one zmierzają i dlaczego zabierają ze sobą Lukassę? Stary schodził coraz dalej w dół zbocza pozostawiając mnie w stanie gniewnego wzburzenia. Zsunąłem się z siodła, dogoniłem franta i chciałem dotknąć jego ramienia, ale okręcił się tak szybko, że nie zdołałem tego uczynić. - A co ty zamierzasz? - spytałem. - Powiedz mi choć tyle! Nie kierujesz się przecież na północ. Rumiany na policzkach, z białymi wąsami, o włosach tak złowrogo białych jak woda, która pochłoneła Lukassę, uśmiechał się coraz szerzej, aż w końcu oczy zwęziły mu się w szparki i całkiem zamknęły, więc nie zobaczyłem, że się go przeląknę. Nawet jego szept zabrzmiał szorstko. - No jakże? Ruszam w pogoń za karym kucem! I zmieniwszy się na powrót w lisa czmychnął bez pożegnania, nie obejrzawszy się za siebie. Bujną kitę zadarł wysoko jak kot domowy, a opuścił ją dopiero wtedy, gdy - jak mu się zdawało - straciłem go z oczu. Ale ja patrzyłem za nim długo, więc widziałem, jak tę kitę opuszcza.

LAL

Sny powróciły, ledwo oddałam pierścień tej dziewczynie. Wiedziałam, że wrócą, ale zgodziłam się na to z powodu snu, jaki mi zesłał mój przyjaciel. Przyśniła mi się biała topielica: płakała ze wszystkich nie strwonionych jeszcze sił swojego nie przeżytego jeszcze życia i tak

rozdzierająco krzyczała z dna rzeki, że nawet moją skórę, choć znajdowałam się w odległości wielu mil, boleśnie zranił jej krzyk, podrapał mi nawet podeszwy stóp. Ten sen miałam na trzy noce przed jej śmiercią. Nie należał jednak do moich złych snów; stanowił jedynie sposób komunikowania się ze mną mojego przyjaciela, praktykowany przezeń przez wszystkie lata naszej znajomości. Złe sny są starsze, dużo starsze i skądinąd przychodzą. Złymi snami krwawie - ja Lal, Lalkhamsinkhamsolal, szczupła, smukła i nieustraszona Żeglarka Lal, Samotnica Lal, błąkająca się po morzach i zakątkach świata dla własnej tajemniczej przyjemności. Odkąd skończyłam dwanaście lat, każdej nocy płakałam i krzyczałam przez sen, dopóki mój przyjaciel nie podarował mi szmaragdowego pierścienia, który sam dostał od pewnej umierającej księżniczki. - Dość się już naśniłaś - rzekł do mnie z uśmiechem kryjącym się niczym płochliwe zwierzątko w zaplecionej w warkoczyki brodzie. - Nie będą cię już dłużej dręczyły złe sny, przyrzekam, z wyjątkiem tych, które sam ci pošlę, jeśli mi się uda. Zatrzymaj pierścień dopóty, dopóki nie spotkasz osoby, która potrzebuje go bardziej od ciebie. Poznasz ją gdy nadejdzie czas i potem nie będziesz już potrzebowała mojego pierścienia. Przyrzekam ci to, chamata. Nazywa mnie tak od początku, a ja dotąd nie wiem, co znaczy to słowo. Ano cóż, pomylił się, choć taki jest mądry: pomylił się co do mnie, nie co do pierścienia. Wszystkie stare zmyry, przyczajone w oczekiwaniu chwili, w której oddam pierścień, wyskoczyły rozchichotane i syczące i wczepiły mi się w serce, ledwo zmożona snem zamknęłam powieki. Jaejian o gębie plugawej jak dół kipiącego błota i jego bezimienny kompan tego dnia, gdy na niecałe trzy godziny wymknęłam się z domu... Szavak... Daradara, jego zabójczyni, oraz uczynek, do jakiego mnie zmusiła w kałuży jego krwi... Loum, mały chłopiec, któremu nie mogłam pomóc; nie mogłam mu pomóc, bo sama byłam mała... Unavavia w pasiastym szlafroku i jej noże... Edkilos, który udawał poczciwca... Bismaya, która mnie sprzedała... Nie jestem księżniczką, nigdy nie pretendowałam do tego tytułu, choć takie krążą o mnie opowieści. Od urodzenia wychowywano mnie na osobę kondycji niższej, choć o niebo jednocześnie wyższej od pozycji księżniczki: na bajarkę, kronikarkę i pamiętnikarkę. Mamy na to specjalne słowo: inbarati. Najstarsza córka w mojej rodzinie była "Inbarati z Khaidun", odkąd to słowo i miasto istnieją. Mając dziewięć lat umiałam już wyśpiewać dzieje każdej rodziny z Khaidun, zarówno w języku literackim, którego mnie nauczono, jak i w jarmarcznej gwarze, za której używanie obrywałam zawsze cięgi od moich nauczycieli. Potrafiłabym je wyśpiewać i dziś (gdyby mi było jeszcze kiedyś dane przemówić którymś z tych języków), podobnie jak wszystkie pieśni wojenne, bajki o zwierzętach, wszystkie wersje podania o założeniu naszego miasta oraz wszelkie opowieści o powodziach, suszach i

plagach, jakie nas nękały. Nie mówiąc już o historiach wspaniałych romansów i legendarnych kochanków, z niestrudzonym okrucieństwem wystawiających wzajemnie na próbę swą wierność. Moi ziomkowie są wyjątkowo sentymentalni... Bismaya - kuzynka, towarzyska zabaw, najbliższa przyjaciółka. Zmarła w dzieciństwie, więc nie zdążyłam jej zabić. Zasłużyła na śmierć, nawet nie przez to, że uknuła plan wykradzenia mnie i sprzedania, ile dlatego, że uczyniła tak z dziecięcych nudów. Gdybyśmy kochały tego samego chłopca, gdybym się nad nią znęcała (dokuczałam jej rzeczywiście, Bismayi trudno było nie dokuczać), nawet gdyby zechciała zostać Inbarati zamiast mnie - no cóż, nie sądzę, abym jej to wybaczyła, ale miałabym przynajmniej czego nie wybaczać. Lecz ona zdradziła mnie dla samego dreszczyku podniecenia i dla drobnej sumki potrzebnej na kupno upragnionego ptaszka. Bismaya najczęściej nawiedza moje sny. Znam pewien sposób radzenia sobie z sennymi zmorami, sposób, którego nauczyłam się sama, zanim jeszcze spotkałam mojego przyjaciela, bo co prawda bardzo chciałam umrzeć, ale nie chciałam oszaleć. Jest taka opowieść, którą powtarzam sobie w nocy, stara portowa historia z Khaidun - o rybaczce, która знаła mowę ryb i potrafiła je przywoływać, bądź też jednym słowem opróżnić port ze wszystkich pływających stworzeń prócz dzieci nurkujących w poszukiwaniu monet. Ten dar był przedmiotem podziwu, lecz nie przyczyniał rybaczce sympatii. Liczne perypetie owej niewiasty zapewniały mi jaki taki spokój od wschodu do zachodu księżyca. Kiedy zaś nadal nie udawało mi się zasnąć, nuciłam sobie tasiemcową pieśń o pewnym wielkim królu, tak nafaszerowaną opisami jego bohaterskich czynów, zwycięstw i uczt, że miałam się w co wsłuchiwać aż do świtu. Pierścień był skuteczniejszy, pozwalał spać naprawdę, ale i te opowieści należały do mych wiernych towarzyszy. Dziewczyna przespała pierwsze noce jak martwa (do niej to wyrażenie stosowało się zresztą dosłownie), a ja leżałam, przyglądałam się błędnym gwiazdom tamtej krainy i nasłuchiwałam całą swoją istotą, czy nie usłyszę po raz trzeci wezwania mojego przyjaciela. Pierwszy sen wyrwał mnie z łóżka kochanka - co skłonna byłabym nawet uznać za pomyślny zbieg okoliczności - drugi sprawił jednak, że obudziłam się targana mdłościami, wymiotując cudzym bólem, rozdygotana cudzym strachem. Zetknęłam się w mym śnie z taką rozpaczą, jakiej sama nigdy nie zaznałam, choć sądziłam, że znam bezdenny smutek nie gorzej od innych uczuć. Podobnie jak nie potrafiłabym wyobrazić sobie czarownika tak potężnego, by mógł kruszyć do morza okręty wojenne niczym suchary do zupy, a tak przy tym litościwego, że posyłałby delfiny, żeby przewoziły do brzegu marynarzy, i tak bezbronnych, że prosiłby o pomoc nędznego zbiega ukrywającego się nago pod koszem na ryby na nabrzeżu w Lameddin. Mój przyjaciel zawołał mnie, gdy już od pół godziny siedziałam w siodle pędząc na

złamanie karku w nieznanne strony. Są ludzie, którym zawdzięczam życie i tacy, którzy mnie zawdzięczają swoje; on oddał mi duszę. Trzeci sen przyśnił mi się na Pustkowiach, owej nocy kiedy zjechałyśmy z gościńca. Lukassa (poznałam jej imię dzięki chłopcu, który po niej płakał) wracała już do siebie, przynajmniej na tyle, na ile mogła w danych okolicznościach, i stała się znów ładną, miłą, niewykształconą dziewczyną, która nigdy nie opuszczała opłotków rodzinnej wioski... nie licząc odejścia w śmierć. Nie pamiętała ostatniego zdarzenia, jakie ją spotkało, ani prawie niczego z wcześniejszego życia: imienia, rodziny, przyjaciół ani tego głupiego chłopaka, co wciąż za nami gonił, bezmyślnie jak staczający się ze wzgórza kamień. Dla niej wszystko zaczęło się od nowa wraz z moim śpiewem przy księżycu. Tamtej nocy molestowała mnie - niczym dziecko, które żąda, by opowiadać mu w kółko ulubioną bajkę - żebym wytłumaczyła, jak śpiewem wydobyłam ją z rzeki. Zmęczona i zniecierpliwiona, odburknęłam: - Lukasso, to zwyczajna sobie piosenka, której dawno temu nauczył mnie pewien starzec. Śpiewał ją zresztą głównie w ogródku warzywnym. - Chcę ją poznać - nalegała. - Teraz to i moja piosenka, mam prawo ją znać. - Zerknęła na mnie z chytrą wieśniaczą nieśmiałością i dodała: - Może nigdy nie zostanę taką potężną czarodziejką jak pani, ale myślę, że mogłabym się nauczyć paru sztuczek. - Bo to zresztą i wszystko, co potrafię - odrzekłam - kilka sztuczek, garść trików. Ale choć jest tego tak niewiele, nauczenie się ich zabrało mi całe życie. Nie kręć się, opowiem ci inną historię, o Zivinaki, królu kłamców. Chciałam, żeby dziewczyna jak najszybciej zasnęła, bym mogła się zastanowić, co zrobić, jeśli nie przyśni mi się trzeci sen, ale Lukassa nie przestawała mnie molestować, bym ją nauczyła słów piosenki. Doprawdy, była na swój sposób równie uparta jak jej kochanek. Dziwna to musi być wioska... Tamtej nocy w ogóle nie zmrużyłam oka, mimo to mój przyjaciel mnie odwiedził. Wyłonił się z płomieni ogniska, kiedy przyklękałam, żeby dołożyć chrustu: drżący stary człowiek, nagi i pokryty bliznami, jak za pierwszym razem, kiedy mnie odszukał. W uszach nie nosił klejnotów - czterech w lewym, trzech w prawym; widzisz? wszystko pamiętam, przyjacielu - w oczach nie było mieniących się kolorów, a w brodzie warkoczyków i tych śmiesznych wstążeczek. Nie miał też pierścieni, szat ani laski. Co zaś najstraszniejsze, nie rzucał w ogóle cienia, ani w świetle księżycy, ani w blasku ognia. W moim kraju... w miejscu, które było niegdyś moim krajem... wierzono, że kto ujrzy mężczyznę lub kobietę nie rzucających cienia, niechybnie umrze wkrótce, w samotności i pohańbieniu. Sama w to wierzę, choć to zwykle bzdury. Z cieniem czy bez cienia, podbiegłam doń z radością i próbowałam okryć go płaszczem. Sukno upadło oczywiście na ziemię, a moje ramiona przeniknęły przez rozmigotany miraż; gdziekolwiek marzył mój przyjaciel, nie marzył przy wym

ognisku. - Poradz mi, co zrobić! - zawołałam. Wtedy mnie dostrzegł, odpowiedzieć jednak nie mógł. Zamiast tego wyciągnął rękę ku gwiazdom szarzejącym nad płaskimi, spękanymi wzgórzami Północnych Pustkowi. Z jego palca wytrysnęła świetlista wstęga, zielona jak zielone były niegdyś jego oczy, i pomknęła prosto w stronę gór, zbyt odległych, aby je można dojrzeć nawet za dnia. Kiedy opuścił ramię i spojrzał na mnie ponownie, musiałam szybko odwrócić wzrok od malującej się na twarzy mojego przyjaciela lodowatej zgrozy, ponieważ samo nawet oglądanie jego ducha w takim poniżeniu mogło mi zaszkodzić. - Znajdę cię - zapewniłam. - Twoja Lal cię znajdzie! Jeśli mnie nawet usłyszał, nie doznał pociechy. Zniknął po moich słowach, lecz swąd jego strachu jeszcze długo po brzasku piekł mnie w gardle, ów zaś zielony szlak świecił na wzgórzach nawet wtedy gdy ja i Lukassa podjęliśmy podróż. Wskazałam dziewczę świetlistą wstęgę, lecz Lukassa nie mogła jej dostrzec. Pomyślałam sobie wówczas, że mój przyjaciel zachował tylko tyle siły, by zwracać się wyłącznie do mnie, do nikogo więcej. Pamiętam, że tamtego dnia opowiedziałam Lukassie to i owo o sobie, wyjaśniłam jej również, dokąd się udajemy i po co. Nudziara nie zadała żadnego istotnego pytania, powtarzała tylko w kółko: - Czy ja żyję? Czy żyję? Nie licząc tej jednej dręczącej ją wątpliwości sprawiała wrażenie całkiem zadowolonej siedząc ze mną na koniu i całymi dniami przemierzając pustkowia tak niegościnnie i nagie, iż nie zdziwiłabym się wcale, gdyby zapragnęła utonąć powtórnie, byle w słodkiej, bystrej wodzie ojczystych stron. Powiedziałam jej, że jeden z moich przyjaciół znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie, a ja spieszę mu na pomoc. Wtedy po raz pierwszy się uśmiechnęła, a ja zrozumiałam, czemu tamten młody chłopak tak ją goni. - Mówi pani o swym kochanku. - Nonsens! - zaprzeczyłam energicznie, zaszokowana takim przypuszczeniem. - To mój nauczyciel. Okazał mi pomoc, kiedy nie było dla mnie na świecie ratunku. Gdyby nie on, byłabym dziś bardziej martwa, niż tobie się to zdarzyło! - To znaczy, że chodzi o tego staruszka, który śpiewał warzywom - domyśliła się Lukassa. Przytaknęłam. Milczała chwilę, po czym zapytała: - Dlaczego jadę z panią? Czy należę teraz do pani jak ta piosenka do mnie? - Umarli nie należą do nikogo. Nie mogłam cię zostawić ani zostać przy tobie, więc co miałam zrobić? - Powiedziałam to obcesowo i szorstko, bo wprawiła mnie w zakłopotanie. - Co się zaś tyczy kochanków, twój chłopiec przez cały czas od tamtej nocy, kiedy wyłowiliśmy cię z rzeki, uparcie za nami podąża. Może chciałabyś na niego poczekać? Nie wątpię bowiem, że bardzo jest spragniony twego towarzystwa, ja zaś do kompanii raczej nie przywykłam. - Choćby nie wiem jak straszna moc więziła mojego przyjaciela, z całą pewnością nie mogłam liczyć na wsparcie tej dziewczyny. Nie miałam żadnego powodu, żeby ją ze sobą dalej ciągnąć, nie leżało to zresztą w

niczym interesie. - Wracaj z nim do domu - poradziłam. - Do życia wiedzie droga przeciwna tej, którą zmierzamy. Lukassa zawołała wówczas, że obie są jej po równi nie znane, w tym zaś obcym świecie zna tylko śmierć i mnie. Tak więc pojechaliśmy dalej razem, a chłopak włókł się za nami zostając coraz dalej w tyle, lecz nie rezygnując. Choć tak szalenie zależało mi na czasie, zaczęliśmy iść na zmianę pieszo, oszczędzając konia; bywały dni, że obie przemierzałyśmy tę posępną krainę na piechotę. Jeśli trzeba, potrafię się obywać niemal bez jedzenia - nie w nieskończoność, oczywiście, ale dosyć długo - co okazało się okolicznością nader pomyślną, gdyż Lukassa jadła za dwóch. Okazywała apetyt nie tyle zdrowego dziecka, ile kogoś, kto obżera się do niemożliwości, aby sobie lepiej uprzytomnić, że naprawdę żyje. Co do mnie, byłam aż nadto tego świadoma, nawet bez obżarstwa. Woda... Nie znam krainy, w której nie potrafiłabym znaleźć wody; tam, gdzie się urodziłam, nawet dwuletnie dziecko umie ją wywęszyć nie gorzej niż obiad na stole. To wcale nie takie trudne, jak się przeważnie sądzi, tyle że ludzie myślą o szukaniu wody dopiero wówczas, kiedy wpadają w panikę z pragnienia i umysł mają zmacony. Północne Pustkowia są jednak niemal zupełnie suche - nie znam bardziej wysuszonej pustyni - więc gdyby zielony szlak, z nocy na noc coraz słabiej błyszczący na niebie, nie przecinał czasem podziemnego ciekłu, mogłyśmy się znaleźć obie, ja i Lukassa, w srogich tarapatach. A tak, udawało nam się zwykle zdobyć dość wody, żeby nie padł nam z pragnienia koń, a nam samym nie zaschło w gardłach od wdychania gorącego powietrza. Jak sobie radził ścigający nas chłopiec - nie mam pojęcia. Kiedy teren zaczął się podnosić, otoczenie stało się nieco - acz nie zanadto - przyjaźniejsze. Częściej znajdowałyśmy teraz wodę, w zastawionych przez nas sidłach pojawiły się ptaki i króliki, ulitował się też nad nami słaby wietrzyk. Ale już pierwszej nocy na wyżynie straciłam z oczu zielony szlak, więc gdy Lukassa zasypiała, płakałam z bezsilnej złości, wiedziałam bowiem, że zielona wstęga wciąż świeci, starając się mnie doprowadzić do miejsca, gdzie czeka mój przyjaciel, lecz błyszczy za słabo nawet dla mojego wzroku. Droga, jeśli można ją tak nazwać, rozwidlała się stale i rozbiegała we wszystkich możliwych kierunkach: w głąb ślepych kanionów zaspanych zdradliwymi piargami, w dół porośniętych rzadkim lasem żlebów, w istny gąszcz pagórków, z których połowę starły w przeszłości skalne lawiny; każdy zaś z tych kierunków wydawał mi się właściwy. Zdałam się na moje szczęście oraz na to, że pragnienia czarowników oblekają się w świecie w formy materialne: wskazówka, jaką pragnę ci podsunąć, istnieje realnie, jak kamień lub jabłko, niezależnie od tego, czy dany czarownik posiada dość siły, by ci to wyraźnie unaocznić. Miałam więc tylko nadzieję, że realność wskazówek mojego przyjaciela będzie mną kierowała za dnia, podobnie jak namacalność jego bólu dręczyła mnie

nocą. Nyateneri spotkałyśmy o świcie czwartego dnia naszej wędrówki przez wyżynę. Nie próbowała podchodzić nas ciszką - nie rozpaliliśmy jeszcze ogniska, żeby przygotować posiłek, gdy usłyszałam odgłos kopyt konia, Lukassa zakopywała właśnie resztki po śniadaniu - a jednak mnie zaskoczyła: ukazała się tak nagle, rozbłysła jak gwiazda. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie zaskakiwano, więc byłam na siebie zła, w każdym razie do chwili, gdy poczułam na skórze swędzenie czarów i zauważyłam leciutkie drganie dzielącego nas powietrza. Kto dostatecznie długo przebywał z czarownikiem, ten chcąc nie chcąc nabywa tej umiejętności, podobnie jak ten, kto długo mieszkał z szewcem, potrafi wskazać, w którym miejscu nieznajomego przechodnia uwierają buty. Nie były to jej własne czary - niezależnie od tego, kim jest, na pewno nie jest czarodziejką - lecz niewątpliwie znajdowała się we władzy czarów, choć nie umiałabym określić jakich. Ostatecznie ja też nie jestem czarodziejką. Skórę miała brązową, o odcieniu mocnej herbaty, a jej wąskie oczy, opadające lekko ku kącikom, miały barwę zmierzchu. Była wyższa ode mnie, o długich rękach i nogach, leworęczna. W jej barkach czuło się potężną siłę, zdolną zapewne napiąć wielki łuk, który nosiła przewieszony przez plecy, choć wydawało się wątpliwe, by mogła celnie wypuszczać zeń strzałę. Kiedy prowadzi się życie podobne do mojego, takie właśnie rzeczy zauważa się przede wszystkim. Co do reszty jej osoby: miała na sobie zwykły strój do konnej jazdy, wyróżniający się jedynie zgrzebnością, sprawiającą wrażenie umyślnej, do tego buty, kraciaste spodnie, tunikę i płaszcz sidrin z Przylądka Dylee; typowy strój z zachodnich stron, czyli ni przypiął, ni przyłatał. Kaptur sidrinu zakrywał jej włosy, a najwyraźniej nie kwapiła się, żeby go odrzucić. Dosiadała deresza, równie okazałego i solidnie zbudowanego jak ona sama, za którym stapał mały, kędzierzawy kary konik niewiele większy od kuca, o zamglonych żółtych ślepiach drapieznika. Nigdy przedtem nie widziałam podobnego konia. Nie od razu się odezwała; osadziwszy wierzchowca przyglądała się mnie i Lukassie. W jej postawie nie czuło się ani przyjaznych zamiarów, ani wrogości; wszystko gasił ów ledwo widoczny migotliwy połysk czarów i wrażenie śmiertelnego zmęczenia. Lukassa podbiegła do mnie, ja zaś powiedziałam: - Wszystko, na co patrzysz, jest twoje. Posłużyłam się formą przywitania z moich ojczystych stron; nie potrafię się go jakoś wyzbyć, być może z tej przyczyny, że mówi coś istotnego o moich ziomkach. Szczodrzy w sprawach materialnych, z czego słyną, odznaczają się nieufnością wobec tego, co niewidzialne. Muszę się wreszcie pożegnać z tym przywitaniem. - Siri te mistanye - odpowiedziała nieznajoma, a mnie na brzmienie jej słów ciarki przebiegły po karku. Rzecz nie w tym, że nie zrozumiałam ich znaczenia; zgodnie z ogólnie przyjętym zwyczajem pozdrawiany odpowiada na pozdrowienie w

swoim ojczyznym języku. Odezwała się tonem dość uprzejmym i zgodnie ze zwyczajem pochyliła głowę, ale wyrządzona mi wyborem języka zniewaga była z pewnością zamierzona, więc miałam pełne prawo wyzwać ją na pojedynek lub kazać zabierać się precz. Poczułam się jednak zbyt zaciekawiona, wbrew doznaniom mojego karku, zdecydowałam się więc na rozwiązanie kompromisowe i spytałam ją o imię, dodając, że możemy rozmawiać w Banli, skoro język uniwersalny jest dla niej zbyt trudny. Banli to żargon kupców, którym się posługują na targowiskach całego świata. Uśmiechnęła się do mnie na te słowa, przyjmując obelgę tak, jak została pomyślana. - Nazywam się Nyateneri - oznajmiła - i jestem córką Lomadis, córki Tyrrin. Domyśliłam się wówczas, że musi pochodzić z Wysp Południowych (choć jej strój na to nie wskazywał), gdyż tylko tam kobiety wywodzą swój ród po kądzieli. Potwierdzała to zresztą jej wymowa, śpiewniejsza i bardziej przeciągła od mojej, wydłużająca zgłoski, podczas gdy ja akcentuję je wznoszeniem się i opadaniem głosu. - Ty jesteś Żeglarka Lal, Nocna Lal - stwierdziła Nyateneri. - Tej drugiej nie znam. - Mnie również nie - odpaliłam. W podróży używam dwóch imion, podałam jej jedno z nich. - Dlaczego wzięłaś mnie za tamtą Lal? - Bo któraż inna kobieta odważyłaby się zapuścić w tę niegościnną krainę? A cóż dopiero czarna kobieta z mieczem w lasce u siodła? I po cóż by wędrowała po tych nagich wzgórzach, gdzie żadna droga nie wskazuje kierunku, chyba że spieszy świecącym w nocy zielonkawo szlakiem na pomoc potężnemu czarownikowi, który popadł w srogie tarapaty? - Roześmiała się na widok moich wybałuszonych z niedowierzania oczu, po czym gestem nakazała mi milczenie. - O tym, że Lalkhamsinkhamsolal - wymówiła te słowa niemal bezbłędnie - była niegdyś ulubioną towarzyszką i uczennicą tego maga, ćwierkają wróble na dachach... - Maga, którego imienia wymawiać nie należy - wtrąciłam i tym razem to ona zamilkła, ja zaś podjęłam: - Jedni nazywają go Nauczycielem, inni Utajonym, jeszcze inni po prostu Starcem. A ja go nazywam... lecz to już moja sprawa. - Urwałam, zła na siebie, ponieważ omal się nie wygadałam, jakim nazywam go imieniem, choć z drugiej strony nie miałam wcale pewności, czy to by mogło cokolwiek zaszkodzić. Kącik ust Nyateneri zadrżał ledwo dostrzegalnie. - Ja nazywałam go zawsze Chichotkiem. Ktoś, kto zna go tak dobrze jak ty, zrozumie dlaczego. Po karku znowu przebiegły mi ciarki i przez chwilę nie byłam w stanie wydobyć z siebie głosu. Ten czarownik śmieje się cicho i wcale nie tak często, nie udało mi się jednak nigdy powstrzymać, żeby nie roześmiać się razem z nim. Ma taki jasny i szczery dziecięcy śmiech i sprawia przy tym wrażenie całkowicie nieświadomego jego zaraźliwej mocy. W śmiechu wyraża się jego prawdziwa natura. To ten śmiech wspierał mnie i bronił skuteczniej, niż zdolne by to były uczynić miecze i smoki, kiedy

tamci odkryli moją kryjówkę i zjawili się po mnie. Każdy, kto znał ten śmiech, musiał znać i starego czarownika. Nyateneri przerzuciła nogę ponad siodłem i czekała z uniesionymi pytającymi brwiami. - Zsiądź - powiedziałam. - Witamy. Kiedy zsiadała, spadł jej z głowy kaptur; Lukassa wydała okrzyk zdziwienia na widok grubych, przyprószonych siwizną kasztanowych włosów przybyłej, wystrzyżonych w kępki, kłaczki i strąki podobne do grotów włócznie i tworzące jakies przypadkowe wzory: przypominały błoto, po którym przeszła armia. Nie powiedziałam nic przy Lukassie - nie paliło się - ale znam się trochę na klasztornych fryzurach. Umiem nawet rozpoznać pewną ich liczbę; tej jednak nie znałam. Pomagałyśmy właśnie Nyateneri wycierać i karmić jej konie, kiedy z torby przy siodle wystawił nos ten lis. Nyateneri założyła mu zaraz na szyję wąską obrózkę ze srebrnego sznurka i przedstawiła go nam jako swojego dobrego przyjaciela, wieloletniego towarzysza podróży. Lis bardzo przypadł do serca Lukassie; uprosiła Nyateneri, żeby wolno jej było brać go na ręce. Karmiła zwierzaka okruchami i śpiewała mu smutne kołysanki, a on leżał z uśmiechniętym pyszczkiem w jej ramionach. Co do mnie, przyglądałam się owej paskudnej kreaturze i zastanawiałam, jaki to klasztor pozwala swoim mniszkom trzymać w celach oswojone lisy. Nyateneri spojrzała na mnie pytająco, kiedy Lukassa zaczęła się dopraszać, żeby tę jedną noc mogła spać razem z lisem. Uzyskawszy zgodę, poniosła go z triumfem na swój koc; przechera puścił do nas oko znad jej ramienia, na co Nyateneri skarciła go ostro we własnym języku. Rudzielec tylko ziewnął ukazując białe zęby i czerwony jak krwawa rana język, po czym zamknął ślepią. - Nie zrobi jej krzywdy - zapewniła mnie Nyateneri przyglądając mi się swymi niezwykłymi oczyma, które przed chwilą były zamglone i szare, a w zapadającym zmierzchu nabrały niemal lawendowego odcienia. - No i? - zapytała. - Skąd go znasz? Gdzie go poznałaś? Tym razem uśmiechnęła się szczerze ukazując zęby podobne nieco do lisich. - Poznałam go, podobnie jak ty, dawno temu i daleko stąd. Jedyna różnica między nami polega na tym, że ja wiem, gdzie on się znajduje. Oparła się o głaz czekając, aż zaproponuję jej skwapliwie połączenie sił. Tymczasem ja powiedziałam: - Zachodzi między nami jeszcze jedna co najmniej różnica. Ja nie uciekłam z klasztoru o surowej regule, gdzie czeka nagroda dla tego, kto mnie odstawi do miejsca moich ślubów. Mogłabyś się dla mnie okazać wielce niewygodną towarzyszką, nie mówiąc już o tym, że i bardzo irytującą. Strzelałam na oślep, ale trafiłam; jej wyniosła postawa rozwiała się na mgnienie odsłaniając ciało kobiety rozpiętej na kole tortur i bliskiej już obłędu. Znałam ten wyraz twarzy; ujrzałam go kiedyś w błotnistej kałuży. Oblicze Nyateneri uspokoiło się wcześniej niż jej głos. - Nie wyznaczono za mnie nagrody, co do tego mogę cię zapewnić. Nikt też na świecie nie oczekuje mojego powrotu.

- Jej wysmukłą opartą o kamień postać, stworzoną do wojen i niewygód zimy, przebiegł lekko tylko dreszcz. - Dziewczyna mogłaby jechać na moim jucznym, dzięki czemu zyskałybyśmy na szybkości. Poza tym mam zamiar jeszcze tej nocy wskazać ci właściwą drogę, więc potem nie będziesz mnie już potrzebować i zrobisz, co zechcesz. Przez jakiś czas przyglądałyśmy się sobie w milczeniu, zastygłe w takim bezruchu, że mogłam słyszeć, jak oddycha, a ona słyszała zapewne mój oddech, zaś obie słyszałyśmy, jak Lukassa nuci sennym głosem kołysankę lisowi. - Nigdy nie nazywałam go inaczej jak moim przyjacielem - powiedziałam w końcu.

LIS

Ho, ho... ho, ho, gdybym tylko chciał, mógłbym im podwędzić wszystkie konie, wszyściuteńkie, w jedno mrugnięcie oka, mógłbym je wyrwać spod tych ich obdartych, kosmatych, dumnych tyłków. Chłopak nie ma pojęcia, podobnie jak nikt zresztą, do czego jestem zdolny. Jeśli tylko chcę. Nie ma pojęcia, kim jestem, co mnie bawi, kiedy i dlaczego. Nie wie tego on, nie wiedzą Mildasi, nie wie czarna, nie wie biała, nie wie gruby oberżysta, nikt. Wie tylko Nyateneri. Ho, ho, ho, a znów tego, co ja wiem o Nyateneri, nie wie nikt poza mną. Ona wie, z czego podśmiewam się ukradkiem, a ja wiem, czego ona się boi. Wiem, dlaczego śpi na podłodze, nie w łóżku, i dlaczego zawsze tak krótko. Ja śpię w łóżku, słodko jak niemowlaczek, ale wystarczyłoby, że zastrzygłbym uszkiem przygniecionym przez ramię Lukassy, wystarczyłoby że przerzuciłbym kitę przez pierś Lal - i Nyateneri w okamgnieniu zerwałaby się na nogi, szybciej niż ja to potrafię, przyparłaby mnie do ściany i w blasku księżyca błysnęły jej sztylet. Czasem drażnię się tak z nią dla żartu przez całą noc - to drapnę się, to przeciągnę, to siapnę cicho nosem i Nyateneri już się zrywa, czujna, gotowa. Na co? Czy na spotkanie z tymi dwoma, którzy od tak dawna depczą nam po piętach? Bo przecież nie z tym chłopczyzna, kto by się tam nim przejmował? Z tymi dwoma mężczyznami, niewysokimi zwinnymi szybkobiegaczami, pokonującymi niestrudzenie milę za milą. Bez włóczni, bez mieczy, z samymi tylko zębami, w czym są podobni do mnie. Nyateneri wie, że nas ścigają, ale ich nie widzi. A ja widzę, czuję ich zapach, wiem, czym się żywią, kiedy odpoczywają, co myślą, co zamierzają. Wiem wszystko, co chcę wiedzieć. Śmieszy mnie całe to polowanie i te depczące nam po piętach pogonie. Co będzie, kiedy ten chłopczyzna dogoni swoją wybranek? Ja go znam, i owszem, ona ani trochę. Albo kiedy ci szybkobiegacze dościgną Nyateneri, co wtedy, pytam? Cała trójka to zawołani mordercy, padną co najmniej dwa trupy. Wolalbym, żeby Nyateneri ukatrupiła tamtych, w przeciwnym razie koniec z podróżą w torbie przy siodle i z ciepłymi ogniskami w zimne noce. Tak, tak, lepiej, żeby zwyciężyła Nyateneri. W tej gospodzie jest

okropnie tłoczno i nikt tu nie przepada za lisami. Na dachu siedzą słodziutkie gołąbki, a wszędzie pod nogami biegają rozkoszne kurczątka. Nyateneri mi zapowiedziała: - Będziesz jadł to, co ja; nie wolno ci się oddalać ani zbliżać do kur grubego karczmarza i bacz, żeby nikt nie dostrzegł choćby koniuszka twoich wąsów. - Więc tkwię w ukryciu, posypiam, czekam i pozwalam się Lukassie karmić pochrzynami i melonami. A czasem siadam w bezruchu, w zupełnym kamiennym bezruchu, i zapuszczam się daleko w głąb siebie. Tylko wiatr, krew i cisza, za dnia w jedną stronę, nocami w drugą - łowię uchem odgłosy pogoni, a węchem przyszłe zdarzenia. Tarzam się w pyle, na dzikich pustkowiach, i śmieję się siedząc nieruchomy jak głaz. - Ukaże się szlak - zapowiadał chłopcu staruszek i szlak się ukazuje, ale to j a go wytyczam, a nie ludzka postać. Ho, ho, ho, spójrzcie tylko, jak odbiegam od Nyateneri podczas naszej podróży, przykucam na gorących kamieniach, podnoszę nogę, drapię się, podskakuję, znowu przykucam, zostawiam swój ślad na wzgórzach i kamieniach prowadząc chłopaka prosto pod drzwi gospody grubego karczmarza. Dotrzymuję słowa danego przez ludzką postać i chłopczyzna podąża moim tropem, przez cały czas gapiąc się pod nogi. Długa jeszcze czeka go droga, lecz wkrótce się tu zjawi; on również zawsze dotrzymuje słowa. Tak, tak. Już dwa razy, kiedy Nyateneri nie patrzyła, przybierałem postać człowieka. Miły staruszek z bokobrodami siada w izbie gościnnej na dole, z każdym pogawędzi, szalenie miły staruszek, przyjechał w odwiedzinach do wnuka w miasteczku. Kiedy gruby oberżysta wychodzi, Marinesha przynosi staruszkowi najlepsze piwo. Grubas nie lubi tej ludzkiej postaci. Marinesha przeciwnie. Podobnie chłopiec o imieniu Rosseth i posługacz Gatti, obaj przepadają za rumianymi policzkami i błyszczącymi oczami staruszka. Przysiadają się, przynoszą ludzkiej postaci piwo, zadają pytania, opowiadają; o aktorach, którzy nocują w stajni, o jakimś handlarzu koni, o szkutniku w drodze na Przylądek Dylee. W obu przypadkach mówił głównie Rosseth; opowiedział o trzech paniach okupujących prywatny pokój oberżysty. Wszystkie trzy takie śliczne, takie zachwycające, ciekawe co też je sprowadza? Za każdym razem Marinesha wychodziła z izby. Rosseth nawet tego nie zauważa. Ciągnie: - Najmilsza jest Lal. Porusza się jak woda, a pachnie jak morze z przyprawami korzennymi. Zaśmiać się, pociągnąć łyżek, zmilczeć. Posługacz Gatti, mały człowieczek o zagniewanej pomarszczonej twarzy, z bielmem na jednym oku, unosi się zachwytem: - Nyateneri, mniem, mniem! Co za kobieta! Żadnych fumów, żadnych mieczy ukrytych w lasce, sam wdzięk, sama skromność! Stale mi się śni. Nie roześmiać się, wlać piwo do gardła. Ludzka postać mówi: - Niech pan będzie uważny, niech pan będzie ostrożny, Mlecznooki szczęśliwce. Kobiety z tego kraju zakochują się gwałtowną miłością w mężczyznach tak krzepkich jak pan.

Niech pan będzie czujny, pewnej nocy poniesie pana do lasu, jak pan wnosi po schodach kufry gości. Gatti wybałuszył na mnie swe jedyne oko i od tej pory wodzi nim stale za Nyateneri. Czeka. Nyateneri zaczyna się denerwować. Pyta grubego oberżystę, skąd przybył Gatti Bielmo, od jak dawna u niego pracuje? Grubas na to, że to nie jej interes. Nyateneri piorunuje go wzrokiem i karczmarz odpowiada, że od osiemnastu lat, po czym szybko się oddala. Nyateneri wychodzi przed karczmę i kopnięciem przewraca beczkę na deszczówkę. Już od dwunastu dni Lal i Nyateneri wyjeżdżają gdzieś codziennie, ani pomyślą o biednym lisie, ani pomyślą o biednej Lukassie. Nieboga siedzi, czeka, wychodzi na dwór, porozmawia z aktorami, zamieni słówko z Marineshą, pogawędzi ze mną. Raz nawet płakała. Dwunastej nocy Lal i Nyateneri wracają tak późno, że Rosseth już śpi, więc muszą same wprowadzić konie do stajni. W pokoju udają, że śpię zwinęty na poduszce, jak małe kociątko, uroczy obrazek. Lukassa leży obok mnie i też nie śpi. Wchodzą zmęczone, w gniewnym nastroju. Lal mówi z wyrzutem: - Mówiłaś, że wiesz. Nyateneri: - On tu gdzieś jest. Lal siada ciężko na łóżku, ściąga buty. - W miasteczku go nie ma. Sprawdziłyśmy. Więc gdzie? Nyateneri mówi tylko: - Jutro. Przeszukamy wszystkie zagrody. Każdą chatę. Każdą pieczarę, oborę, zajrzemy pod każdy mostek nad rowem. On tu jest! Lal: - Więc czemu się do nas nie odezwie? Czemu się nie ukáže choćby w jeszcze jednym śnie? - Ciska buty w ką. - Jest zbyt osłabiony. Kiedy ból staje się nie do zniesienia, kiedy trzeba nieustannie walczyć, nie ma już siły na sny, na projekcje. Otwieram jedno oko i przez palce Lukassy widzę, jak Nyateneri gładzi brzechwę strzały. Przystaje. Zamykam oko. Odzywa się znowu Nyateneri, lecz głosem zupełnie zmienionym: - Czarodzieje są śmiertelni. Skrzypi łóżko. Lal zrywa się i zaczyna biegać po pokoju, od drzwi do okna, w które skrobią gałęzie drzewa skrob, skrob, skrob. - Nie ten czarodziej! Nie w taki sposób! Owszem, czarodzieje czasem umierają, kiedy stają się chciwi lub zaczynają się bać, ale on nie pragnie niczego, nie boi się niczego, ze wszystkiego się śmieje. Żadna moc nie ma nad nim władzy. Teraz odzywa się Nyateneri, ostrym tonem: - Tego wiedzieć nie możesz! Na dobrą sprawę nic o nim nie wiesz, zresztą podobnie jak ja. Powiedz mi, ile ma lat, skąd pochodzi, opowiedz mi o jego rodzinie, nauczycielu, o jego prawdziwym domu! - Strzała pęka z trzaskiem, po czym leci w ką, w ślad za butami Lal. Nyateneri nastaje dalej: - Powiedz mi, kogo kocha! Lal wciąga głęboko powietrze, znowu je wypuszcza. Lukassa siada na łóżku, patrzy, głaszcze mnie po futerku. Nyateneri kontynuuje: - Nie nas, o nie! Był dla nas dobry, chronił nas, ocalił, to wszystko prawda, wiele nas nauczył i kochamy go obie. Właśnie dlatego tu jesteśmy. Ale on nas nie kocha. - Uśmiecha się, błyskają białe zęby, napinają się wargi. - Sama dobrze wiesz. Cisza, żadnego dźwięku, tylko

szmer mojego oddechu z głębi smacznego snu. Lal wygląda przez okno, przygląda się ślicznym kurkom siedzącym na krzaku jak na grzędzie i mówi: - Kogoś jednak kocha. Ktoś zna jego imię. Nyateneri bierze do rąk następną strzałę. Głos Lal zniża się do cichego szeptu: - Przecież go widziałas. Nikt nie mógłby wyrządzić na odległość tego, co jemu uczyniono. Tego, kto złamał jego czarodziejską moc, nauczyciel musiał darzyć pełnym zaufaniem, szczerą miłością. Nie mogło być inaczej. Zaczynają wymieniać różne imiona: kobiet, mężczyzn, a nawet pewnej istoty, która nie należy do żadnej z tych płci, żyje w ogniu i błocie... lecz kogo to obchodzi? Przy każdym jednak z tych imion bądź to Lal kręci głową, bądź Nyateneri stwierdza: - Nie sądzę. A raz nawet wybuchają śmiechem, aż Lukassa przestaje mnie drapać za uszami i przenosi wzrok z jednej na drugą. W końcu przerywają tę wyliczankę i Lal mówi: - To nikt z tych, których znam. Rozlega się pukanie do drzwi. Nyateneri okręca się i unosi do góry jak dym, z łukiem w ręku gotowym do strzału. - To ja, Rosseth - dobiega z korytarza głos. - Proszę mnie wpuścić! Łuk zniża się, Lal podchodzi do drzwi. W progu stoi chłopiec stojący z drewnianym półmiskiem w rękach; wcale nie wygląda na zakłopotanego. Zalutuje mnie woń zimnego mięsa, smacznego sera i podłego wina. Chłopak wyjaśnia: - Obudziłem się i usłyszałem wasze głosy. Późno panie wróciły, więc pomyślałem sobie, że mogły panie jeszcze nie jeść kolacji. - Pałają mu oczy, wielkie jak winogrona lub figi. Z ust Lal wrywa się ni to westchnienie, ni to śmiech. - Dziękujemy ci, Rosseth. Jesteś bardzo troskliwy. Chłopak wciska jej półmisek do rąk. - Wino jest trochę skwaśniałe, najlepsze Karsh trzyma pod kluczem, ale mięso świeże, wczorajsze, zapewniam. Nyateneri podchodzi i mówi: - Dziękujemy, Rosseth. Wracaj do łóżka. Uśmiecha się do niego. Chłopak staje w pąsach. Jego nogi robią krok do tyłu, ale reszta ciała dwa kroki w głąb pokoju. Jego wzrok pada na mnie: zwinięty na poduszce Lukassy, z nosem nakrytym kitą, pochrapuję cichutko i słodko. Oczy Rossetha robią się wielkie jak śliwy, a z jego ust wydobywa się - niczym odgłos kichnięcia - jedno tylko słowo: - Karsh! Lukassa porywa mnie z poduszki i chowa za plecami, zaś Nyateneri stwierdza: - Karsh nie życzył sobie oglądać tego lisa na oczy i jego oczy nie oglądają go. - Ty go również nie widziałeś - podpowiada Lal, dotyka policzka chłopca, po czym końcami palców wypycha go za próg i zamyka drzwi. Rosseth długo stoi w korytarzu, czuję jego zapach. Lal odwraca się, stawia półmisek na stole i stwierdza: - Pocziwy dzieciak! Jest zupełnie oszołomiony i naprawdę ciężko pracuje. - Następnie zanosi się śmiechem i pokiwawszy głową dodaje: - Przypuszczam, że mój... nasz przyjaciel niejedną raz wyrażał się o nas dwóch dokładnie tymi samymi słowami, zwracając się do tego, którego kochał. Nyateneri wraca do swoich strzał. Lukassa przez cały czas milczy. Patrzy, ściska mnie, nie odzywa się ani

słówkiem, ale wzdłuż jej ramion zaczyna spływać coś, od czego nie tylko jeży mi się futro, ale i sztywnieją kości. - Dzisiaj - mówi ni stąd, ni zowąd. Obracają na nią spojrzenia. - Co: dzisiaj? - pyta Nyateneri. - Nie jutro, dzisiaj - odpowiada Lukassa. - Znalazłyście go dzisiaj. - Stoi i patrzy im prosto w oczy, nieustępliwie, pewna swego. Wiercę się w jej ramionach, ziewam, wyciągam nogi. Lal mówi z naciskiem: - Mylisz się, Lukasso, nie znalazłyśmy go. Trop, jaki nam zostawił, wiódł do tego kraju, ale szukamy go wszędzie od dwunastu dni i nic, a jesteśmy dobrymi tropicielkami, Nyateneri i ja. Nikt nie przypomina sobie, żeby go widział... nie natrafiłyśmy na żaden znak, żaden ślad... Lukassa jej przerywa: - Więc przynajmniej byliście w miejscu, gdzie przebywał... byliście w miejscu, gdzie coś się zdarzyło, coś złego. - Spoglądają jedna na drugą; Nyateneri unosi z lekka brew. Lukassa dostrzega jej niedowierzanie, woła głośnie: - Przyniosłyście to na sobie, czuję tego zapach. Otarłyście się dzisiaj o śmierć, jesteście nią całe wymazane. - Dygocze coraz mocniej, gotowa mnie upuścić! Powtarza: - Śmierć! Nyateneri zwraca się do Lal. - Najpierw w tamtym pokoju, pierwszego dnia po naszym tu przyjeździe, a teraz znowu. Czy ona zna jeszcze inne sztuczki? - To nie sztuczka. - Lal mówi to bardzo cicho, a jej złote oczy brązowieją. Dodaje gniewnie: - Ona zna śmierć lepiej od nas, potrafi wyczuć jej obecność. Musisz mi uwierzyć na słowo. Nyateneri odpowiada wolno: - Wierzę. Zapada cisza, wszyscy milczą. Lal kosztuje wina, krzywi się, ale pije dalej. Lukassa bierze z półmiska plastry zimnego mięsa, jeden dla mnie, drugi dla siebie, potem jeszcze jeden dla mnie. Nyateneri woła w nagłym olśnieniu: - Wieża! Lal mruga powiekami. - Wieża? Po chwili sobie przypomina: - A, ta sterta czerwonych cegieł kryjąca tylko pająki, sowy i kurz kilku stuleci. Czemu właśnie tam? - Jesteś aby pewna, że stuleci? Żadna budowla w tym kraju nie jest dość stara, by obrócić się aż w taką ruinę. I skąd nagle wieża, skoro wszystkie inne budynki - dosłownie wszystkie - są płaskie jak krowie placki? - Nyateneri wzrusza ramionami. - Zresztą od czegoś musimy zacząć. - Zerka na Lukasse. - Ona pojedzie z nami. Przyda się nam jako podręczna wykrywaczka śmierci. Lukassa rzuca mnie na łóżko - mnie! jak pierwszą lepszą poduszkę! - i podchodzi prosto do Nyateneri. Wspina się niemal na palce, żeby jej zajrzeć w oczy i oświadcza: - Ja nie należę do nikogo! Lal mi to uświadomiła. Nie jestem kapeluszem, oswojonym lisem ani kuglarzem, który pokazuje sztuczki. Jestem waszą towarzyszką, twoją i Lal, czy nie jestem? A skoro tak, od jutra wszędzie z wami jeżdżę i nie wracamy już więcej do tego tematu. - Wszyscy rozdziawiają gęby ze zdumienia, nawet ja, a Lukassa dodaje: - Przebyłam dłuższą drogę niż wy. Lal uśmiecha się i odwraca, a Nyateneri... Tyle już lat się znamy, ani przyjaciele, ani wrogowie, jedno sekretem drugiego, przychodzimy, odchodzimy, nic nie mówimy, wiemy, co wiemy. Ho, ho, ho,

Nyateneri! Tylko jeden raz wcześniej zastygła tak ze zdumienia, dawno już temu, obojeśmy wtedy ledwo uszli z życiem. Kręci powoli głową, siada, podnosi swój wielki łuk. - A więc, towarzyszki - mówi - mam zamiar naciągnąć na mój łuk nową cięciwę. Jeśli i ona mi tak przytnie, zajmie to około pięciu minut. Potem kładę się spać. Wszystkie powinnyśmy to zrobić, ponieważ czeka nas jutro ciężki dzień. - Milknie i nie odzywa się więcej. W łóżku Lukassa szepcze mi do ucha to samo, co każdej nocy: - Jak ci na imię, lisku? Liżę przegub łapy, a dziewczyna wzdycha cicho z rezygnacją i szepcze: - Mnie nazywają Lukassa, ale sama nie wiem... Co noc to samo. Zasypia. Lal też już śpi. Nyateneri nachyla się nad łóżkiem i szepcze do mnie w naszym języku: - Słuchaj no, ten staruszek ma przestać raczyć się piwem w karczmie. - Z całej siły zaciskam powieki, a Nyateneri ostrzega: - Zapamiętaj sobie! Nazajutrz o świcie wszystkie trzy wychodzą. Lukassa całuje mnie na pożegnanie w nos i przykazuje: - Bądź grzeczny, lisku. Nyateneri rzuca mi groźne spojrzenie. Nasłuchuję ich kroków na schodach; poszły. Zjadam resztę mięsa i sera i chowam się pod łóżko, zanim wejdzie Marinesha, żeby zamieść izbę. Bardzo bezpieczna kryjówka. Marinesha wychodzi uchyliwszy okno. Gałąź drapie o szybę, drap, drap! Ludzie nie wiedzą, że lisy potrafią się wspinać na drzewa, kiedy bardzo im na tym zależy. Wiedzą to wiewiórki.

MARINESHA

To było tak: goniłam lisa na drzewie... to znaczy on nie siedział już na drzewie, zdążył zeskoczyć, łypnął na mnie jednym ślepiem i myknął między stajnię a mój ogródek warzywny. Niosłam akuratnie kosz z praniem, żeby je rozwiesić na słońcu, więc jak go tylko zobaczyłam, rzuciłam kosz i skoczyłam za nim. Niecnota zabił moją kurkę... Prawdę powiedziawszy ona nie była moja, ale to ja ją nazwałam. Wołałam ją Sonia. Wszędzie za mną chodziła, nawet jak nie miałam dla niej prosa. A to lisisko ją zagryzło! Ukatrupiłabym go jak nic, gdybym go dopadła. Jak nic bym ukatrupiła! Ale kiedy wybiegłam za stajnię, śladu już po nim nie było, jakby się ulotnił. Musiał się machnąć w drugą stronę, przecisnąć pod łaźnią i przedrzeć przez dzikie jeżyny, co tam rosną. A tyle razy mówiło się Rossethowi, żeby zagroził to przejście. Wyskakują stamtąd żaby i straszą gości, a parę razy wyszedł tamtędy tharakki. Rosseth potrafi być nawet na swój sposób miły, ale to chłopak zupełnie nieodpowiedzialny. No więc stałam tam i aż się trzęsłam z wściekłości na tego drania, co mi zabił Sonię... taka była rozkoszna kwoczek!... ale zaraz przypomniałam sobie o mokrym praniu i poleciałam z powrotem. Miałam nadzieję, że się nie rozsypało. Nie rozsypało się, dziękować Bogu, w każdym razie nie wypadło z kosza nic, czemu jedna więcej zielona plama po trawie miałyby zaszkodzić. Szłam właśnie w stronę drzewa

naril, na którym lubię o tej porze roku rozwieszać bieliznę, bo przechodzi zapachem kwiatów, kiedy zobaczyłam nagle tych dwóch nieznajomych. Wychodzili z sadu, jakby przyszli na przelaj przez pola, a nie od drogi. Od razu mi się nie spodobali. Nie mam zaufania do ludzi, którzy nie chodzą jak się należy drogą. Byli obaj niscy, chudzi, brązowawi i wydali mi się niemal kropka w kropkę do siebie podobni, tyle że jeden miał coś z ustami: kiedy się odzywał, poruszała mu się tylko połowa górnej wargi, a drugi miał niebieskie oczy. Przełękłam się tych jego oczu. Nie umiałabym powiedzieć dlaczego. Stałam całkiem nieruchomo i udawałam, że ich nie widzę. Tak samo zachowywała się Sonia, kiedy w górze kołował jastrząb. Inne kury rozbiegały się na wszystkie strony gdacząc wniebogłosy, tylko moja Sonia stała bez ruchu na miejscu, ani razu nie spojrziała na drapieżcę ani nawet na jego prześlizgujący się po ziemi cień, i zawsze się jej udawało, biedulce, więc pewnie myślała, że i dalej tak będzie. Cóż, i mnie się poszczęściło niewiele lepiej od niej, bo ci dwaj podeszli prosto do mnie. Byli naprawdę mali, mojego najwyżej wzrostu, a poruszali się cicho jak duchy. W ogóle nie słyszało się ich kroków. Ten z niebieskimi oczami stanął tuż przede mną, a drugi, z tą śmieszoną wargą, za mną; nie widziałam go bez odwracania głowy, ale czułam jego obecność. Byli bardzo uprzejmi, tego im nie zaprzeczę. Niebieskooki powiedział: - Zechciej nam wybaczyć, młoda damo, ale szukamy przyjaciółki? Takiej wysokiej kobiety? Z łukiem i oswojonym lisem? Imieniem Nyateneri? Tak właśnie mówił, jakby cały czas zadawał pytania, a głos miał miękki i śliski jak oliwa. Taka obca wymowa zawsze mnie zbija z tropu. Wiem, że to niemądre u kogoś, kto prawie całe życie przepracował w gospodarstwie, a jednak tak jest. Otóż mi przyjaciele dla takiej wielkiej baby! - tak sobie wtenczas pomyślałam. Nie widziałam powodu, żeby jej oddawać jakieś przysługi. Paradowała dumnie w tych swoich okropnych buciskach i pozwoliła, żeby jej lis zagryzł moją Sonię. - Nikt taki się u nas nie zatrzymał - odpowiedziałam tym dwóm. - Jedyne panie, jakie u nas obecnie mieszkają, przyjechały z komedianami i śpią z nimi w stajni. Ale łuków żadnych nie noszą. - No i dobrze, niech nie dostanie tej swojej głupiej wiadomości, pomyślałam sobie, może to ją nauczy mówić od czasu do czasu: "Dzień dobry, Marinesho". Niebieskooki zapytał następnie: - A może nocowała tu tylko kilka nocy, a potem pojechała dalej? To byłoby niedawno, całkiem niedawno? Pokręciłam głową i powiedziałam: - W zeszłym tygodniu mieliśmy tylko kilku tancerzy i jedną handlarzkę koni. Wyleczyła osła Rossetha z kołowacizny, ale była niska i drobna. Nikt więcej nie nocował, mówię najszczerzą prawdę. - Dziwne, jak gładko człowiek kłamie, kiedy już raz zacznie, jak to wciąga! Tę handlarzkę koni zmyśliłam na poczekaniu. Mężczyzna stojący za moimi plecami odezwał się: - Czy możemy się zobaczyć z

gospodarzem? Mogłabyś nas do niego zaprowadzić? Miał identyczny głos jak ten pierwszy. Gdyby się zamknęło oczy, człowiek by ich nie odróżnił. Rozejrzałam się za Rossethem, ale oczywiście nigdzie go nie było. Niebieskooki kiwnął głową. - To najlepsze wyjście? Porozmawiajmy z gospodarzem? Położył mi rękę na ramieniu, a ja aż krzyknęłam, tak była gorąca. Naprawdę aż krzyknęłam, a potem jeszcze przez tydzień mnie piekło. Jeszcze dziś czuję gorąc, jak sobie przypominę ten dotyk. Niebieskooki powiedział: - Prowadź, proszę? Z naręczem prania w rękach zawróciłam więc do gospody, a ci dwaj za mną. Więcej mnie już nie dotykali i nie mówili nic takiego, co by mnie mogło przestraszyć - po prawdzie w ogóle nic nie mówili i to było właśnie najgorsze, rozumiesz, bo ich nie widziałam, a poruszali się tak cicho, jakby w ogóle nie istnieli. Więc jak tylko podeszliśmy do drzwi, odskoczyłam w bok i zawołałam: - Tu niech panowie zaczekają na pana Karsha - a potem zawróciłam, ale to biegiem, do drzewa naril i zaczęłam rozwieszać pranie na gałęziach z takim pośpiechem, jakby moje życie od tego zależało, i nawet się nie obejrzałam, czy tamci weszli do środka, czy nie. Rozwieszałam to pranie i rozwieszałam i dopiero jak już skończyłam, zmiarkowałam, że płyną mi łzy.

ROSSETH

Kiepsko spałem, przez tych komediantów. Za dwa dni mieli dawać przedstawienie w cechu bławatników w mieście, więc co noc od tygodnia prawie od zmierzchu do świtu przeprowadzali próby. Nie dlatego, żeby nie umieli swoich ról na pamięć - nie ma chyba takiej wędrowniej trupy w tym kraju, która nie wystawiałaby Małżeństwa nikczemnego Lorda Hassidanya rzadziej niż dwadzieścia, trzydzieści razy w roku - lecz z tej przyczyny, wedle mego zdania, że mieli wystąpić przed najliczniejszą i najbardziej wymagającą publicznością, jaka im się trafiła w całej karierze, więc tak czy siak nie mogliby ze zdenerwowania zasnąć. Przepowiadali więc w kółko swoje role w grupkach po dwóch, trzech lub całym zespołem odgrywali to sztuczdyło od początku do końca - na słomie, przy świetle latarni, dla koni, które przypatrywały im się z powagą znad drzwi boksów i kiwały łbami po co bardziej celnych kwestiach. W końcu zlazłem ze stryszku, życzyłem im wszystkim połamania kulasów, wyszedłem na dwór i aż do wschodu słońca przechadzałem się pogrążony w rozmyślaniach, jak to mam czasem w zwyczaju. Te panie wyjechały tuż przed świtem, pierwszy raz wszystkie trzy razem. Nie zauważyły mnie. Zwykle do nich machałem, kiedy widziałem, jak codziennie wyjeżdżają, i Lal - przynajmniej ona jedna - zawsze mi odmachiwała, ale tym razem cofnąłem się, skryłem w wypalonym pniu drzewa i z ukrycia obserwowałem je w milczeniu. W ich zachowaniu dostrzegłem jakąś zmianę, dosłownie: jakby woń nowego celu, którą nagle

odkryłem, wyczulony na nią jak na żaden inny zapach na świecie, z wyjątkiem zapachu Karsha, który ma zwyczaj podchodzić człowieka zniecka, żeby go przyłapać na lenistwie. A może po prostu wyglądały inaczej niż zwykle, skąpane w czerwonosrebrzystym blasku porannej zorzy? W każdym razie sprawiły na mnie wrażenie tak obcych, jakbym pierwszy raz w życiu doświadczył prawdziwej obcości. Równie nieznanymi nie wydawały mi się nigdy wcześniej, choć przecież powinny. Byłem wówczas zbyt młody, by patrzeć inaczej niż zmysłami, a moje zmysły były w nich zakochane, w całej trójce. A jednak nigdy nie widziałem ich tak jasno jak tamtego ranka. Bez przerwy mi się wtedy śniły, śnią się nieraz nawet i dziś jeszcze, choć swoje już wiem. Nie chcę, abyś myślał, że byłem takim kompletnym niewiniątkiem: miałem już kobietę, przynajmniej w pewnym sensie (nie, nie Mannesę, ją nigdy); Lal, Nyateneri i Lukassa wydawały się jednak cieniami przyszłości, choć wtedy nie miałem jeszcze o tym pojęcia, więc tym, co przejmowało mnie w nich lękiem, podziwem i co budziło moje pożądanie, byłem, rzecz można, przyszyły ja sam. Oczywiście i z tego nie zdawałem sobie wówczas sprawy: wiedziałem tylko, że jeszcze nigdy nie ranił mnie tak kobiecy śmiech dolatujący z małego pokoiku na piętrze. Słucham? Przepraszam, zamyśliłem się... Czekają mnie codzienne obowiązki, zabrałem się więc do roboty: oczyściłem boksy, zadałem obroku do żłobów, rozesałem świeżą ściółkę, wyczesalem bodiaki z grzyw i ogonów, a nawet wyrównałem pilnikiem parę kopyt, w zależności od oczekiwań właściciela danego szkapiska. Karsh zagonił mnie do pracy w oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem" ledwo skończyłem pięć lat, a mam wrodzoną smykałkę do koni. Choć prawdę mówiąc nie umiałbym już dziś powiedzieć, czy nadal je lubię, czy nie; mam do nich podejście i kropka. Karsh wybrał się na targ do miasteczka wkrótce po wyjeździe tych kobiet. Pod jego nieobecność gospodą zarządzał zwykle Gatti Jinni, miał jednak zwyczaj upijać się wieczorem raz w miesiącu, bez żadnej ustalonej reguły czy przyczyny. Raz w miesiącu musiał się po prostu urznąć i ów raz przypadł akurat poprzedniego wieczoru; wiedziałem o tym dobrze, bo sam pijaniutkiego odprowadzałem do pokoju, gdzie wytarłem mu zapłakaną i zaślinioną gębę i położyłem go do łóżka. Podczas roboty zerkałem co chwila na gospodę i zobaczyłem tych dwóch nieznanymi zmierzających za Marineshą do drzwi. Nie byłoby w tym nic niezwykłego, ale kiedy mężczyźni weszli do środka, Marinesha puściła się biegiem do kosza z praniem, który zostawiła pod drzewem, a trzęsła się tak, że dostrzegłem to aż ze stajni, rzuciłem więc łopatę i ruszyłem w stronę dziewczyny. Po paru jednak krokach zawróciłem i łopatę podniosłem; jak by nie było, nawet rycerz od gnoju potrzebuje lancy. Marinesha nie była w stanie wykrztusić z siebie słowa, co nie miało nic wspólnego z tym, że nie odzywała się do mnie od dwóch dni, od

czasu gdy wyrwało mi się w izbie karczemnej słowo podziwu nad urodą Lukassy. Kiedy jej dotknąłem, przytuliła się do mnie i cicho zaszlochała, od czego mnie z kolei obleciał strach. Marinesha jest sierotą, podobnie jak ja; żeby przeżyć, nauczyliśmy się przybierać pokorną postawę, ale nie umiemy ukrywać przerażenia, podobnie jak nie jesteśmy zdolni do aktów bohaterstwa. Poklepałem ją po plecach i wybąkałem: - Już dobrze, nie ruszaj się stąd - po czym zarzuciłem na ramię mój wierny szpadel i wszedłem do gospody. Ci dwaj wychodzili właśnie z ciasnej izdebki na piętrze, w której Karsh umieścił dwóch pielgrzymów z Darafshiyanu. Nie wiem, czy zaglądali wcześniej do pokoju tych kobiet, czy nie. Drobni, szczupli mężczyźni o pełnych wdzięku, niemal wykwintnych ruchach, ubrani w pospolite brązowe ubrania dopasowane jak futerko na zwierzęciu. Przypominali shukri, te agresywne, giętkie jak fale zwierzątka, które zwęszywszy krew zapuszczają się w jamy, wdrapują na drzewa, wleżą wszędzie, zupełnie niezmożone. - Nazywam się Rosseth - przedstawiłem się. - Czym mogę panom służyć? Czasem jest nawet korzystne, kiedy się nie zna własnego prawdziwego imienia, bo i tak nie powinno się go nigdy zdradzać nieznanym. Zwrócili na mnie wzrok i przyglądali mi się w milczeniu, które wydawało się bez końca. Poczułem, że drzę, zupełnie jak Marinesha, z tą tylko różnicą, że we mnie strach budzi gniew. - Gospodarza nie ma - powiedziałem. - Jeśli chcą panowie dostać pokój, będą panowie musieli poczekać do jego powrotu. Na dole. Staralem się przemówić jak najoprzykrzej, żeby ukryć okropne drżenie głosu. Mężczyzna o niebieskich oczach uśmiechnął się do mnie, a ja się zmoczyłem. Zmoczyłem się i już; jego wargi rozciągnęły się i zwężyły, we mnie zaś uderzyła nagle fala śmiertelnej trwogi niczym fala żaru z otwartego pieca. Poleciałem plecami na ścianę. Gdybym się nie podparł łopata, wykopyrtnąłbym się jak nic. Nie upadłem jednak; odezwał się za to we mnie głupi upór Karsha i - choć omal nie narobiłem w portki ze strachu - zachowałem się zupełnie tak jak on, czyli jak skończony dureń. Zacinając się, jestem tego pewien, powtórzyłem: - Będą panowie musieli poczekać na dole. Popatrzyli po sobie; sędzę, że tylko przez grzeczność nie wybuchnęli śmiechem. Ten, którego usta wykrzywiały się ku górze, rzekł: - Nie potrzebujemy pokoju? Szukamy pewnej kobiety? Później uświadomiłem sobie, że znam skądś ten rodzaj wymowy, ale wtedy pomyślałem tylko, że tak chyba przemawiałby ogień, gdyby umiał się posługiwać ludzkim językiem. Niebieskooki (a trzeba ci wiedzieć, że niebieski jest w tym kraju kolorem śmierci) podskoczył do mnie w dwóch susach i chwyciwszy za gardło podniósł mnie do góry. Zrobił to tak zręcznie i z taką gracją, że ani się obejrzałem, jak przebierałem nogami w powietrzu, dusiciel zaś zamruczał mi do ucha: - Wysoka kobieta o szarych oczach? Przyszliśmy tu po jej śladach? Słucham? Skądś z

bardzo daleka dobiegł mnie jakiś denerwujący loskot; dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to moje pięty kopią tak w ścianę. Powiedziałbym im. Nyateneri stwierdziła później, że dowiodłem męstwa zachowując milczenie, ale ja prawdę mówiąc wygadałbym im wszystko, gdybym tylko mógł wykrztusić słowo. Zobaczyłem, jak poruszają się wargi drugiego z nieznajomych, lecz nie słyszałem nic poza dudnieniem krwi w uszach i tym wysokim, pieszczotliwym głosem, który mówił: - Słucham? Proszę? A potem zjawił się Karsh. W każdym razie tak mi się zdawało.

OBERŻYSTA

Powinienem się był ożenić, gdy nadarzała się okazja, przynajmniej miałby mi kto robić zakupy. Czasem najmuje człowieka wyłącznie do tego zadania i zawsze tego później żałuję. Nikt, kto nie urodził się z żyłką do handlu, nie da sobie rady z tymi starymi złodziejami z targowiska w Corcorui, każdy wróci do domu z wózkiem przegniłych warzyw, zrobaczywiałym mięsem i soloną rybą, którą czuć już z daleka, zanim człowiek usłyszy turkot wozu na gościńcu. Ja się hultajom oszukać nie pozwalałam, ale nigdy robienia sprawunków nie lubiłem, nawet gdy ojciec brał mnie ze sobą na targ, żebym się przyuczał do zawodu. Natomiast mój stary ubóstwiał się targować, podobnie jak ci wszyscy rzeźnicy, handlarze ryb i reszta złodziejskiej hałastry, uwielbiał wrzaski, pyskówki, i wyszukiwanie najświeższych melonów prosto ze statku ze Stimeszt i chyba by umarł ze wstydu zamiast zapijać się na śmierć, gdyby kramarze zaprzestali któregoś dnia starań, by go obedrzeć ze skóry. Pod tym względem nie wdałem się w niego. Wróciłem więc tego dnia do domu, jak zwykle w dzień targowy, zmęczony i wściekły jak jasna cholera, bo na domiar złego piekła mnie od śniadania zgaga. W innych okolicznościach nie miałbym nawet nic przeciwko temu, żeby po wejściu do gospody zobaczyć, jak mojemu ciemiedze ukręcają szyję, przygwoździwszy go do ściany na piętrze, lecz tym razem marzyłem tylko o galonie czerwonego piwa, więc ta nowa niespodzianka przepełniła miarę mojej cierpliwości. Tym bardziej, że sprawiali ją jacyś cudzoziemcy. - Puść go! - ryknąłem, aż zagrzechotały gliniane naczynia - gdybym tak się nie darł, czy miałbym w mojej knajpie posłuch przez te czterdzieści lat? - i ten, który dusił chłopaka powiedział: - Dobrze? Już się robi? - i postawił go na ziemi. Potem obrócili się obaj w moją stronę z uśmiechem niewiniątek, od którego cierpły człowiekowi kości. - Nareszcie gospodarz? Właściciel tego zajazdu? - Nazywam się Karsh. Nikt prócz mnie nie ma prawa pchać się z łapami do mojej służby! Zejdźcie no panowie na dół, jeśli chcecie porozmawiać o noclegu. Ponieważ nie ruszali się z miejsca, ja pofatygowałem się do nich na górę; nie mam zwyczaju nadymać się dumą. Z bliska wyglądali

starzej niż z daleka, choć człowiek musiał się dobrze przypatrzeć, żeby określić ich wiek. Mieli długie szyje i trójkątne twarze o brązowej skórze, tak ciasno opiętej na czaszkach, że zmarszczki rysowały się na niej nieznacznymi tylko bladymi kreskami. Wydawało mi się, że gdybym dotknął tej napiętej skóry, zaskrzypiałaby jak papier na latawcu. Przybysz, który dusił chłopaka - huncwot stał już na własnych nogach, trochę kasłał, ale wielka krzywda mu się nie stała - powiedział mi, że szukają pewnej kobiety, swojej przyjaciółki. - Dobrej, najlepszej przyjaciółki? Mamy do niej pilną, bardzo pilną sprawę? Akcent z południa, podobny do wymowy tamtej damulki, lecz z pewnym charakterystycznym dodatkiem, swego rodzaju niespokojnym drzeniem, jakiego na południu raczej się nie słyszy. Domyśliłem się, oczywiście, o kogo im chodzi i nie widziałem najmniejszego powodu, żeby nie przyznać, iż ta, której szukają istotnie u mnie mieszka. Nie odstręczały mnie ich manieri ani to, że szarogęszą się w mojej gospodzie nie kupiwszy nawet butelczyny; gorszym łażęgom udzielałem już noclegu, a poza tym nie bałem się ani trochę o pannę Nyateneri. Rozsiekałaby ich na kawałki, bo już pewnie niejednego przedziurawiła swoim sztyletem lub strzałą z tego okrutnego łuczyska. Pytam więc chłopaka: - Czy pani jest u siebie? Potrafię czasem czytać w jego myślach, częściej niżby sobie tego życzył, ale przez te wszystkie lata nie nauczyłem się czytać w jego twarzy. Ze spojrzenia Rossetha nie byłem w stanie wywnioskować, czy był mi wdzięczny za to, że zjawiłem się w samą porę, czy zły, że nie okazałem dostatecznego zainteresowania jego zgniecioną tchawicą, czy przerażony - a może zazdrosny, skoro już o tym mowa - że owe podejrzone typki roszczą sobie prawo do zażyłości z panną Nyateneri. Pokręcił przecząco głową. - Te panie wyjechały rano i nie wiem, kiedy wrócą. - Mówił trochę zachrypniętym głosem, ale nie tak bardzo: powietrze przepływało mu przez krtań całkiem gładko. W jego wieku zdarzały mi się gorsze turbacje, bez porównania gorsze, a przecież żyję. Półgębek stwierdził: - Więc zaczekamy? W jej pokoju? Uznali to za oczywiste, bo jeszcze nie skończył mówić, a już byli w połowie korytarza. Zawolałem za nimi: - Nie, nie zaczekają panowie w jej pokoju! - A choć tym razem nie podniosłem głosu, usłyszeli mnie i odwrócili się. Ojciec mnie jeszcze nauczył, jak zdobyć posłuch gościa, tak by nie stracić klienta i samemu nie zarobić w ucho. - Pokoje są terenem prywatnym - oświadczyłem. - Będą takimi i pokoje panów, jeśli się tu zatrzymacie. Mogą panowie poczekać w izbie ogólnej, gdzie chętnie postawię panom po kwaterce piwa. To ostatnie dodałem z powodu spojrzeń, jakimi mnie zmierz yli. Nie należę do osób odważnych, jak już mówiłem, ale lata pracy w karczmarstwie nauczyły mnie, że dobry żart i propozycja darmowej kolejki potrafią zażegnać prawie każdą burdę. Rzadko kto przybywa do zajazdu na krzyżówce w poszukiwaniu awantury, kiedy

może ją znaleźć bez trudu w miasteczku niecałych pięć mil dalej. Trzymam za kontuarem pałkę z drzewa dika, która się parę razy przydała jak znalazł, ale dzisiaj musiałbym jej szukać pod szmatami do naczyń, fartuchami i obrusami, które przechowuję na okoliczność prywatnych bankietów. Ostatni raz napędziły mi takiego strachu czyjeś ślepie, kiedy gościłem w knajpie bandę półdzikich flisaków z Arameshti i wpadła im w oko kelnerka, co pracowała u mnie przed Marineshą. Półgębek pokręcił głową i uśmiechnął się półgębkiem. - Dziękujemy, panie gospodarzu? Wolelibyśmy nie? Na co ja z kolei pokręciłem głową. Ramiona tamtej parki obwisły wtedy luźno, a chłopak przysunął się do mnie blisko; widać nie miał już ochoty służyć za gwóźdź w ścianie. Na szczęście w tej samej chwili wszedł do gospody Gatti Jinni z paru aktorami, których usiłował namówić do partyjki basta. Zwykle nie pozwalam gościom ze stajni pokazywać się w karczmie przed zmrokiem, ale tym razem powitałem ich jak monarchów, wołając, że pokoje dla nich już przygotowane, a kolacja czeka na piecu. Wytrzeszczyli na mnie gały, ja zaś odwróciłem się do kusych przybyszów z południa i skinąłem na nich palcem. Nie, nie tyle skinąłem, co im pogroziłem, a to jednak pewna różnica. Ano, spojrzeli najpierw po sobie, potem na Gattiego Jinni i jego nowych frajerów (prawie co miesiąc zmywam mu głowę za to, że oskubuje mi przy kartach gości, ale łajdak uważa, że ma do tego prawo), a potem na powrót przenieśli badawcze spojrzenie na mnie i chłopaka. Widzisz, nie dostrzegłem żadnej zabójczej broni u żadnego z nich, ale nie wątpiłem ani przez chwilę, że mogliby nas wszystkich ukatrupić gołymi rękami i nawet bardzo by się nie spocili. Widać nie byliśmy jednak dla nich warci nawet kropelki potu. Kiedy ruszyli w naszą stronę, odepchnąłem chłopaka na bok - machał tą łopata rozrzucając gnój po całej sieni - ale ci dwaj minęli nas bez słowa i bez jednego spojrzenia. Zeszli po schodach, minęli szynk i wyszli na drogę. Drzwi za nimi nawet nie skrzyknęły. Kiedy wybiegłem przed gospodę, żeby zobaczyć, czy nie zaczepiają Marineshy, już ich nie było. - Pójdę poszukać tej pani - zawołał chłopak. Na przemian czerwienił się i bladł, pocił się i dygotał, tak jak to bywa, kiedy człowiek nie wie, czy narobić w portki, czy kogoś zamordować. - Ostrzegę ją - powiada - uprzedzę, że na nią czekają. Ledwo zdążyłem ucapić go w drzwiach i kazałem wynieść kubły z pomyjami.

NYATENERI

Kiedy wyjeżdżałyśmy rankiem, Rosseth podpatrywał nas z ukrycia. Pamiętam, że wydało mi się to dziwne; chłopak nie krył się dotąd przed nami, obnosił swój podziw jak ptak upierzenie - przydawał mu kolorów i lekkości jak zresztą na pióra przystało. Moje współtowarzyszki nie spostrzegły szpiega. Zwróciłabym im uwagę na chłopaka, ale Lal jechała w przodzie

podśpiewując te swoje przeraźliwie rozwlekłe i niebywale monotonne pieśni; zaś jeśli chodzi o Lukasę, trudno mi wprost wyrazić, jak silne jej obecność wywierała na mnie wrażenie: węż mi się zaostrzał i jeżyły włosy na głowie. Teraz wiem już oczywiście, dlaczego tak się działo, ale wtedy sądziłam jedynie, że widocznie odwykłam od towarzystwa zwyczajnych ludzi. Ze wszystkich miejscin, jakie miałam okazję oglądać w tej dzikiej północnej krainie, Corcorua jest najbardziej podobna do normalnego miasteczka. Co prawda mieszkańcy dużego miasta uznaliby ją zapewne za nadmiernie wyrośnięty stragan z warzywami, pstre skupisko kolistych drewnianych chat ustawionych rzędami wzdłuż wyschłych kolein, które tam uchodzą za drogi i ulice. Owych chatynek jest jednak więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje; więcej jest też koni niż wołów, więcej sadów i winnic niż gruntów ornych, a najwięcej karczem. Wino, jakie w nich serwują, mówi właściwie wszystko o stanie wyjałowienia gleby, choć wyrabiają tam również dość smaczny gatunek brandy z drobnych, bledziutkich jabłuszek. Wydaje mi się, że z czasem można by się do niego nawet przyzwycząić. Mieszkańcy Corcorui są wzrostu przeważnie niskiego, wydają się zaś wręcz karłami wobec dzikiego majestatu otaczających je gór i nieba, jakkolwiek przejęli coś z nieokiełznanego rozmachu natury, co niekiedy działa na mnie ożywczo. Urodziłam się w kraju podobnym do tego i choć we wczesnej młodości wywieziono mnie na południe, wiem, że mieszkańcy północy zamurują przeważnie i okładają tynkiem drzwi swojej duszy, aby nie tracić w chłodach wiecznej zimy naturalnego wewnętrznego ciepła. Ludzie ci nie zasługują na szczególne zaufanie, mniej nawet niż inni, byłabym chyba jednak w stanie ich polubić, podobnie jak ich brandy. Rynek nie pasuje do tej nędznej miejsciny, która jednak niewątpliwie jest miasteczkiem i stanowi zapewne handlowy ośrodek całej prowincji. Jeśli wierzyć Rossethowi, handel odbywa się tu przez okrągły rok, zjawisko rzadkie nawet w łagodniejszym klimacie; targ w Corcorui jest zaś niewątpliwie jedynym, na którym widziałam tkaniny z przędzy miedzianej, jakie wyrabia się tylko w zachodniej Gakary, wystawione na sprzedaż obok spiętrzonych w piramidy skrzynek limbri, tych ohydnych kandyzowanych owoców z Sharan-Zek, od których cierpną człowiekowi zęby. Sprzedają tu ponadto najszlachetniejsze miecze i kolczugi z Camlannu, których nie można zwykle dostać nawet w samym Camlannie, tak wielki istnieje na nie popyt. Kupiłam sobie w Corcorui sztylet, za cenę nieprzyzwoicie co prawda wysoką, mimo to niemal godziwą. Dogoniłam Lal, gdy jadąc stępą przecinałyśmy rynek (objeżdżanie miasteczka żeby dostać się na główny trakt zabiera blisko dwie godziny, o czym nikt nie raczył nas za pierwszym razem uprzedzić) i powiedziałam do niej: - Mieszkańcy północy nie cierpią limbri. Pierwszy raz widzę,

żeby sprzedawano je na północ od Siritangany. Zanim nie poznałam Lal bliżej, brałam jej śmiech za pomruk zdziwienia lub westchnienie. - On zawsze wykazywał nieprzyzwoity pociąg do tego świństwa - odrzekła. - Przepada też za takimi krainami jak ta: pospolitymi rolniczymi okolicami unurzany w piachu i błocie. Czy widziałaś kiedyś, żeby zatrzymał się na dłużej w mieście godnym tej nazwy? - Kiedy pierwszy raz zabrał mnie ze sobą, zamieszkaliśmy na zapleczu sklepu rybnego w Tork-na'Otch. - Lal skrzywiła się z odrazą; Tork-na'Otch słynie z wędzonej ryby i niczego więcej. Powiedziałam: - Mógł się już stąd wynieść, ale z pewnością tu był, i to całkiem niedawno, jak wszystko na to wskazuje. Z tobą komunikował się poprzez sny być może dlatego, że snom łatwiej odnaleźć człowieka będącego w podróży, ale ja mieszkałam kiedyś długo w jednym miejscu, więc do mnie pisywał listy. Zachowałam je do tej pory. Wysyłał je stąd, z Corcorui. Opisowywał mi rynek, ludzi a nawet dom, w którym mieszkał. Co do tego nie mogę się mylić, to wykluczone. Musiałam mimo woli podnieść głos, bo Lukassa obróciła się w siodle i obrzuciła mnie spojrzeniem swoich jasnych, zawsze szeroko otwartych oczu, które zdawały się widzieć nie mnie obecną, ale mnie z przeszłości, jakby obejrzawszy się przez ramię zaglądała w czasy minione. - Wierzę ci - odrzekła Lal - a jednak nie udało nam się odnaleźć tego domu, choć przeszukałyśmy, i to dwukrotnie, każdy zakątek, od rynku aż po pastwiska letnie. Pozwalam się, za twoją zresztą radą, prowadzić kapryswi Lukassy z powrotem do tej starej ceglanej wieży, bo nic innego nie przychodzi mi już do głowy. Jeśli i tam nie znajdziemy żadnego śladu, mam zamiar wrócić do gospody i się upić. A że upijam się wolno, będę musiała wcześniej zacząć. Zmilczałam. Jakiś młody przekupień uchwycił się mego strzemiesienia i podtykał mi klatkę z ptaszkami śpiewającymi; jakaś kobiecina uwiesiła się u wodzy wierzchowca Lukassy i zachwalała głośno jedwabne haleczki. - Oddam ci dwie za cenę jednej, panienko. Patrz, przypominają śnieżne zaspę z marszczonych koronek. Twój kochanek będzie się przez nie przedzierał z zachwytem! Lukassa nawet na nią nie spojrziała. Jechałyśmy za Lal wzdłuż rzędów wózków z warzywami, przeciskałyśmy się gęsiego między straganami z winem a kramami zawalonymi stosami owczych skór i grempowanej wełny. Nasze konie hamowała co jakiś czas ciżba handlujących bądź obawa, by nie stratować płaczących się pod nogami małych urwipółciów, od których roilo się na rynku; w końcu jednak ukazała się nam z lewej strony wąska, brukowana uliczka, a za nią sady i wijący się między nimi w stronę żółtych wzgórz biały gościniec. Puściliśmy konie klusem. Dzień był taki piękny, że aż zaczęłam sobie podśpiewywać. Lal ściągnęła wodze dopiero na zboczu wzgórza, gdzie stały domy, które już dwa razy zdążyłyśmy przeszukać za mniej lub bardziej niechętną zgodą ich mieszkańców. Były one

większe od zabudowań w miasteczku, choć podobnie jak tamte przeważnie drewniane, z wyjątkiem nielicznych budynków ceglanych bądź kamiennych. Zbudowane na planie koła, nakryte malowanymi kopulastymi dachami, przypominały rosnące w foremkach bułki. Podobnie do nich zresztą, przynajmniej na mój gust, pozbawione były smaku: wystarczy spędzić popołudnie, nie mówiąc już o całym tygodniu, wśród tych monotomnych krągłości, by człowiek zaczął wzdychać do okapów, szczytów, kalenic, krawędzi i w ogóle wszelkich załamań i kątów. Co prawda piętrzące się za nimi góry dostarczały oczom pod dostatkiem, wręcz w nadmiarze załomów i grani; nawet oglądane z daleka pochłaniały bowiem zbyt wielkie połacie nieba, a śnieg bynajmniej nie łagodził ich surowego wyglądu: lód lśnił niczym ślina na ich ostrych turniach. Przypominały kolosalne dzikie świny. Lal dotknęła ramienia Lukassy i rzekła: - Dziś jesteś nie tylko naszą towarzyszką, ale i przewodniczką. Jedź przodem, a my podążymy za tobą. Choć powiedziała to ciepłym i spokojnym tonem, w oczach dziewczyny odbiło się takie przerażenie i odraza, że obie z Lal obejrzałyśmy się szybko za siebie, żeby sprawdzić, jakie to niebezpieczeństwo na nas czyha. A kiedy odwróciłyśmy się z powrotem do Lukassy, ta odsądziła się już od nas o spory kawałek i dogoniłyśmy ją dopiero wjechawszy między wzgórza i daleko w tyle pozostawiwszy pierwsze chaty. Poprzedniego wieczora byłam zmęczona i zła, toteż myśl ponownej wycieczki do czerwonej wieży rzuciłam w gruncie rzeczy jako złośliwy żart. Lal nie dała Lukassie żadnych wskazówek co do kierunku jazdy, a mimo to dziewczyna skręciła z gościńca w jedyną ścieżkę, która prowadziła do zrujnowanej wieży, jakby od lat znała tę drogę. Kiedy zbliżyłyśmy się do celu, ściągnęła koniowi wodze, tak że zaczął iść stępą jak na rynku w Corcorui. Oczy miała puste, usta rozchylone; w krajach, gdzie różdżkarstwo cieszy się szacunkiem, widywałam różdżkarzy, którzy wyglądali zupełnie jak Lukassa w tej chwili - gdy tropili żyłą wodną za pomocą węchu lub innego zmysłu do miejsc, gdzie stanowczo nic nie zapowiadało jej obecności. Z tyłu dolatywał mnie przyspieszony oddech Lal. Czerwona wieża popadła w taką ruinę, jaka każdej budowli groziłaby rozpadem; pośród tych surowych szarych gór wyglądałaby jednak równie absurdalnie nawet wówczas, gdyby każda składająca się na nią cegła tkwiła na swoim miejscu. Ta górská kraina przygniała człowieka, skłania go do opuszczenia głowy i nakrycia jej połą płaszczą; okazały dom przypominałby w tej skali małą buleczkę, a forteca bułkę czerstwą i twardą jak kamień. Wieża z biegnącymi po murze schodami, z otworami na każdym podejściu, zwieńczona pomieszczeniem, które musiało być niegdyś czymś w rodzaju obserwatorium astronomicznego, należała całkowicie do bajkowego świata południa, gdzie nocami można bez końca wpatrywać się w gwiazdy, by układać potem o nich długie

opowieści. Dokładnie taką budowlę wzniosłoby dla siebie ów dumny nieznosny starzec. Powinnam była domyślić się tego już wczoraj, wcześniej od Lukassy. Dziewczyna zsiadła z konia w cieniu wieży, a my zaczęłyśmy skradać się za nią; takie to przynajmniej sprawiało wrażenie. Lukassa przeszła powoli przez zrujnowaną, oplecioną dzikim winem bramę, a my obie za nią, stąpając bezszelestnie. Przekonałyśmy się za pierwszą wizytą, że wejście w ten portal niczym nie zagraża, inaczej nie puściłybyśmy dziewczyny przodem. Nie zwróciła najmniejszej uwagi na biegnące na zewnątrz schody, skierowała się prosto do wewnętrznej ściany, otworzyła prawie niewidoczne drzwi, o których istnieniu ani Lal, ani ja nie wspominałyśmy, i ruszyła bez wahania w górę po wpuszczonych w mur stopniach, nie odzywając się do nas ani słowem i nie oglądając za siebie. Podążyłyśmy za nią w milczeniu. Lal odgarniała na bok pajęczyny, a ja osłaniałam twarz przed odchodami sów i nietoperzy, które strącała idąca przodem Lukassa, a które czyniły płytkie stopnie schodów bardzo zdradliwymi. Była to wspinaczka równie długa, uciążliwa i nieprzyjemna dla powonienia jak za pierwszym razem. Przypomniałam sobie odprowadzające nas tego ranka spojrzenie ciemnych jak laskowe orzechy oczu Rossetha, pełnych wizji czekających nas niezwykłych przygód, o których przeżywanie tak uporczywie nas wciąż podejrzewał. Ten chłopiec stanowczo za dużo fantazjuje i nawet nie zdaje sobie sprawy, jaki sam jest po ludzku piękny; trudno o bardziej uroczą kombinację. Jakbym za mało jeszcze miała na głowie zmartwień!... W ciemnościach obie z Lal uderzyłyśmy czołami, podobnie jak za pierwszym razem, w zniżający się nagle na szczycie schodów sufit. Lukassa tej przykrości uniknęła; poruszając się zwinnie, przygięta niemal do ziemi, wśliznęła się w otwór po lewej stronie tak szybko, że na chwilę zniknęła nam z oczu. Złapawszy oddech szepnęłam do Lal: - Niezależnie od tego, czy znajdziemy naszego przyjaciela czy nie, będziesz mi musiała wyjaśnić, skąd ta dziewczyna знаła drogę. Przynajmniej tyle mi się od ciebie należy. Wieża była oczywiście budowlą podwójną: pod zewnętrzną powłoką ruiny kryła tajemne jądro. Zewnętrzne schody nie doprowadziłyby nas nigdy do podestu, na którym stałyśmy, a tym bardziej do małej, znanej nam już izdebki, w której zniknęła Lukassa. Poprzedniego dnia obie z Lal przez całe popołudnie ostukiwałyśmy ściany, zapuszczałyśmy się w zakamarki, naradzałyśmy, snułyśmy przypuszczenia, klęłyśmy i gubiłyśmy się w domysłach, zanim udało nam się znaleźć ową komnatę, a ta gaska szła do niej prosto jak po sznurku, jakby wracała do rodzinnego domu! Lal odrzekła cicho: - Ja nie znam odpowiedzi. Ją samą musisz zapytać - choć wiedziała, że nie dojrzałam jeszcze do tego, aby prosić Lukassę o cokolwiek - czy to o podanie sera, czy o pomoc przy zapięciu sprzączki przy uprzęży. W komnacie panował przeraźliwy ziąb. Czary, wbrew

temu, co niektórzy sądzą, nie posiadają zapachu, pozostawiają za to po sobie chłód, który mój wesoły przyjaciel nazywał często “tchnieniem z tamtej strony” - tej, skąd do nas przychodzą, “jak kot sąsiada, którego zwabiamy przez płot kawaleczkami kurczaka, żeby łowił u nas myszy”. Trójnóg z kociołkiem leżał przewrócony na słomianej macie, na przeciwległej ścianie wisiał przybity za jeden róg ciemnoniebieski jedwabny kobierzec, ponadto znajdowało się tu kilka retort, długi stół oraz wysoki drewniany taboret i jeden pęknięty kieliszek do wina, na podłodze zaś widniały wypisane kredą i węglem drzewnym jakieś zdeptane i zamazane wzory, których ani Lal, ani ja nie byliśmy w stanie odczytać. Lukassa stała pośrodku czerwono-czarnego rysunku na posadzce przypominającego dziecięcą grę w klasy. Zwróciła w naszą stronę twarz - straszne oblicze zapowiadającej klęski prorokini, zmarszczone jak powierzchnia wody jakimiś nieludzkimi falami i nakazami. Odwróciwszy się do nas zawołała - ona, nasza blada towarzyszka, która nigdy dotąd nie podniosła głosu, nawet kiedy stała przede mną w wyzywającej postawie: - Niczego nie widzicie, nie czujecie? To tu... to tu! Przysięgłabym, że kamienna komnata drgnęła, smagnięta jej krzykiem, jak dobra lutnia, co szmerze i wzdycha w ramionach muzyka, kiedy ktoś się w pobliżu odezwie. Lal odrzekła miękko: - Naprawdę niczego nie jesteśmy w stanie dojrzeć, Lukasso. Co się tu wydarzyło, powiedz? Wyłącznie z powodu zadraśniętej dumy własnej zamierzałam zrazu bronić moich wizjonerskich zdolności i przenikliwości wzroku Lal. Żadna z nas nie stałaby przecież żywa w progu tej lodowatej izdebki, gdybyśmy odgadły atmosferę niektórych innych pomieszczeń i rozegrane w nich świeżo zdarzenia równie błędnie jak odczytałyśmy nastrój tej komnatki. Jedno z dwojga: albo nasze zmysły zaćmił poprzednio jakiś czarnoksiężski opar, albo - wołałabym, oczywiście, by to drugie okazało się prawdą - dopiero obecność Lukassy sprawiła, że na powierzchni stołu ukazała się mała, wyschnięta rdzawa plama, na podłodze rowki wyżłobione przez szpony, a na jedwabnym kobiercu ukryty dotychczas złotozielony wzór przedstawiający człowieka ze skrzydłami smoka, sczepionego w walce z czymś na kształt migotliwego cienia. Czyjaś ręka niemal zdarła kobierzec ze ściany, rozpruła od góry do dołu, tak że utkana z nici krew walczących prawie na nas tryskała, gdyśmy stały jak oniemiałe przed gobelinem. Dla dodania sobie otuchy wymówiłam w myślach zaklęcie, na co Lal wyszeptała słowo, które musiało oznaczać “amen”, choć nie pochodziło z żadnego ze znanych mi języków. Proroczy gniew Lukassy już złagodniał; kiedy odezwała się ponownie powtarzając swoje: “To tu!... to tu!”, zabrzmiało to raczej jak skarga dziecka zrozpaczonego z powodu ślepoty i tępoty dorosłych. - Tu stał wasz przyjaciel, a tu jego przyjaciel... a stąd - wskazała niedbałym gestem pobliski kąt izby - wyszli ci inni. - To wszystko

było dla niej zupełnie oczywiste. We wskazanym przez nią kącie, zbudowanym z kamienia i łupku spojonych zaprawą murarską, nie było powietrza, jedynie sam chłód. Nawet jeśli ta wieża już dziś nie istnieje, co wielce jest prawdopodobne, ten kąt izby nadal tkwi na swoim miejscu. Spojrzałyśmy po sobie z Lal i pomyślałyśmy obie to samo, jestem o tym przekonana: "To nie kąt komnaty, to nie ściana: to drzwi, otwarte drzwi." Stojąca za nami Lukassa wykrzyknęła zniecierpliwiona: - Tam, gdzie stoicie... patrzcie, patrzcie! - Po czym podbiegła do nas i wskazała pustkę tak intensywną, że aż musiałam się powstrzymać, by nie chwycić i nie odciągnąć jej ręki, zanim ta pradawna mordercza nicość ją odgryzie. Zamiast tego odwróciłam się do dziewczyny i zapytałam najspokojniej jak umiałam: - Jaki inny, Lukasso? Jak wyglądał? Aż tupnęła nogą ze złości. - Nie on - oni, ci inni! Najpierw ci dwaj walczyli, okropnie zagniewani, a potem zjawili się Oni. - Przenosiła wzrok z jednej na drugą z nas i dopiero teraz zaczęło ją ogarniać zdumienie: jak dziecko, które po raz pierwszy dostrzega strach na twarzach dorosłych. Wyszepiała: - Wy nie możecie... nie możecie... - Nic nie wyłania się bez zaproszenia z ciemności takiej jak ta - zwróciłam się do Lal ponad głową Lukassy. - Musiało paść wezwanie. - Lal przytaknęła, a ja zapytałam dziewczynę: - Kto wezwał tych... Innych? Który z nich? - Ale Lukassa ścisnęła tylko rękę Lal i nawet na mnie nie spojrzała. Powtórzyłam pytanie, powtórzyła je również Lal - bez rezultatu, mimo zachęt i próśb z jej strony. W końcu machnęła z rezygnacją ręką i powiedziała do Lukassy: - Mówisz, że ci dwaj walczyli ze sobą. Dlaczego to robili i jak? Kto z nich zwyciężył? - Dziewczyna zacięła się w milczeniu, a ja zaczęłam żałować, że nie wzięłam ze sobą lisa. Lukassa wciąż coś do niego poszeptuje, więc przechera wie o niej pewnie więcej niż my obie; a jeszcze więcej się dowie, jestem tego najzupełniej pewna, za dobrze go znam. - Czary - podsunęła jej Lal. - Czy walczyli za pomocą czarów? - Lukassa wypuściła jej rękę, nie tyle z własnej woli, ile dlatego, że tak gwałtownie zaczęła dygotać. W głosie Lal zabrzmiał ostrzejszy ton. - Posłuchaj, Lukasso, jeden z tych walczących to właśnie człowiek, którego od dawna szukamy, staruszek, co śpiewał piosenki swojemu ogródkowi warzywnemu. Gdyby nie chodziło o niego... - Zerknęła na mnie, zawahała się, po czym ponownie obróciła Lukassę twarzą do siebie, chwyciła jej dłonie i powiedziała wyraźnie i dobitnie: - Nikt poza tobą nie może nam pomóc w odnalezieniu go, a wiedz, że gdyby nie on, leżałabyś teraz martwa na dnie rzeki. Co dalej się stanie, zależy wyłącznie od ciebie. - Jej słowa zadzwoniły jak końskie kopyta na zimnych kamieniach. Jeśli się nie jest doświadczonym czarownikiem (a czasem nawet i w takim przypadku), lepiej nie przebywać dłużej, niż się musi wśród ścian tak przeżartych odwiecznymi czarami jak te, co nas otaczały, wywołuje to bowiem w umyśle człowieka omamy;

lepiej tego określić nie umiem. W tamtej chwili zaczęło mi się wydawać - nie! rzeczywiście tak było - że Lal trzyma Lukassę w złożonych dłoniach jak wodę i gdyby dziewczyna przelała się przez nie albo przeciekła jej przez palce, wsiąkłaby na wieki w szczeliny posępnej komnaty. Nie stało się tak jednak. Lukassa zwiesiła głowę, znowu ją podniosła i utkwiała w nas obu badawcze, w przeszłość zwrócone spojrzenie. Nie nazwałabym jej w owym momencie Lukassą, ponieważ zaczęłam się już domyślać, że kimkolwiek naprawdę jest, nie jest tą, którą się urodziła. - On walczył tak mężnie - wyszeptła w pustkę, nie kierując swych słów do żadnej z nas. - Tak przebiegle. Jego przyjaciel również wykazywał się przebiegłością, lecz był zbyt zadufany w sobie i zbyt wystraszony. Stali twarzami do siebie i zmieniali tę komnatę to w brzuch słońca, to w dno oceanu, to w lodowatą paszczkę demona. Ściany wokół nich kipiały, a powietrze popękało w mnóstwo maleńkich noży, tak że trzeba było wciągać w płuca przeszywające ostrza. Nie było też słychać żadnego dźwięku, już od tysiąca lat, bo całe powietrze zmieniło się w noże. Aż w końcu starzec zmęczył się, posmutniał i zawołał: "Arshadinie! Arshadinie!" Nawet powtórzony cichym i czystym dziewczęcym głosem, okrzyk ten sprawił, że zacisnęłam powieki. Lukassa ciągnęła: - Ale jego przyjaciel nic sobie z tego nie robił, nacierał tylko na niego tym gwałtowniej ciemnością nocy i ognistym płomieniem, a także wizjami bladych istot, które jakby zżerały mu duszę. A potem w sercu starca tak bardzo wezbrały uczucia lęku, smutku i osamotnienia, że stał się znowu straszny i tak mocno uderzył piorunem, że ów przyjaciel na chwilę stracił nad nim władzę i ogarnęło go przerażenie jeszcze większe niż jego przeciwnika. Właśnie wtedy wezwał na pomoc tamtych. I to wszystko jest wypisane tu, na tych kamieniach, wszędzie dokoła... Patrzyłam na ślady szponów i czekałam, aż Lal wypowie pytanie, które powinno teraz zostać zadane. Lecz ona milczała, gdy zaś na nią spojrzałam, zrozumiałam, że spodziewa się, iż to ja je zadam. Dostrzegłam ponadto jej ogromne zmęczenie. Sława niezmożonej wiele dla Lal znaczy, więc nigdy wcześniej nie dała mi poznać, jak przetarty już i wystrzępiony jest mit o jej niespożytych siłach. Nie mogła być ode mnie aż o tyle starsza; choć przypominam sobie, że byłam jeszcze młodziutka, kiedy po raz pierwszy usłyszałam opowieść o Lal-Samotnicy. Zaciekawilo mnie, kiedy po raz ostatni prosiła kogoś o przysługę. - Ostatniej nocy mówiłaś nam o czyjejś śmierci - powiedziałam. - Kto tu więc zginął: czy starzec, czy ten, którego nazywasz jego przyjacielem? Lukassa spojrzała na mnie i tylko lekko pokręciła głową, jakby moja szokująca ślepotą odebrała jej możliwość odczuwania zdumienia, gniewu i współczucia, pozostawiając jedynie zdolność do swego rodzaju oniemiałej wyrozumiałości. Ten, którego szukałyśmy, również często tak na mnie spoglądał. - Och, jego przyjaciel, ma się

rozumieć! - oświadczyła ze znużeniem. - Lecz potem znowu powstał. - Przyznaję, że to ja wydałam cichy okrzyk; Lal udało się zachować milczenie, oparła się tylko na chwilę o stół. Lukassa dodała: - A potem wezwał na pomoc tych drugich i oni zabili staruszka, który jednak nie umarł, tylko... tylko uciekł. Jego przyjaciel zaczął go ścigać. Nie wiem, dokąd pobiegli. - Nagle usiadła, położyła głowę na podkurczonych kolanach i zasnęła.

LISONJE

Ano właśnie, skoro wspomniałeś o nogach... Mówiłam ci, że nie mam pamięci do imion, pamiętam tylko kwestie z moich ról. Oraz takie niezwykle epokowe zjawiska jak nogi tego dzieciaka, prześliczne długie giczołki zwisające prawie aż do ziemi po bokach tego śmiesznego małego siwka, na którym wjechał w moje życie. Była to jedna z tych chwil, jakie się pamięta do grobowej deski: zmywałam właśnie nad beczką deszczówki przy drewnianej wczorajszy makijaż z mojej nieszczęsnej starej gęby (śliczne dzięki za uprzejme słowo), gdy nagle zobaczyłam spod ręcznika te nogi. Zaczęłam podnosić ręcznik - o tak, pomaluszku - a piękne kulaski wydłużały się i wydłużały, aż sięgnęły temu chłopcu prawie do ramion. Biedaczek wyglądał jak skóra i kości, podobnie jak jego siwy kucyk. Wydawało mi się zawsze, że moje życie, jak daleko sięgam pamięcią, czyli praktycznie od początku świata, upływało w wiecznej podróży, ale wystarczyło mi rzucić okiem na tego mizerotę, bym zrozumiała, że wszystkie owe błędne drogi, jakie przebyłam do kupy wzięte, nie równają się ani ułamkowi dystansu, który przebył ten nieborak. Rozumiem się jeszcze na tym i owym, pozwolę sobie zauważyć, nie tylko na aktorstwie, choć mówiono ci pewnie co innego. Ano więc, gapiliśmy się tak na siebie i gapili, i pewnie gapilibyśmy się aż do dzisiejszego dnia, gdybym w końcu się nie odezwała. Myślę, że oni obaj, ten chudziak i jego szkapina, dowlekli się na podwórko tej gospody i jeden nie miał już siły zrobić następnego kroku, a w drugim zgasła ostatnia iskierka nadziei - kompletnie stracili animusz, pojmujesz - a to najgorsze, co może człowieka spotkać, możesz mi wierzyć. W oczach chłopca tliło się jeszcze życie, ale nic więcej, absolutnie nic, jakby na śmierć zapomniał, po co żyje. Widywałam zwierzęta, które tak wyglądały, lecz nigdy ludzi. Życie w utajeniu, tak bym to określiła. Co wtedy powiedziałam? Och, coś całkiem idiotycznego; ze wstydu zapomniałam. Coś w rodzaju: "Hej, chcesz się mnie wykuć na pamięć czy co?" albo: "Kiedy w moich rodzinnych stronach ktoś się tak zagapi na drugą osobę, musi się z nią ożenić". Coś równie albo jeszcze bardziej głupiego, ale to i tak bez znaczenia, ponieważ zanim skończyłam mówić, chłopak najzwyczajniej w świecie spadł z konia. Można powiedzieć, że zaczął się po prostu przechylać na jedną stronę i przechylał się tak i przechylał, aż znalazł się na ziemi. Udało mi się złapać

biedaka w ostatniej chwili, a potem oparłam go o beczkę z deszczówką i spryskałam mu wodą twarz. Dla mnie to nie pierwszozna: kiedy tylko nie tłukłam się w podróży i nie odbywałam prób nowej sztuki, przeważnie opierałam o ścianę jakiegoś chłopca i ocierałam mu głowę. Okropna strata czasu, kiedy się nad tym lepiej zastanowić. Co nie znaczy, żeby ta głębia mi się nie spodobała. Twarz wiejskiego chłopaka - w każdym razie kiedyś nim był; sama urodziłam się w chłopskiej zagrodzie, podobno gdzieś niedaleko Przylądka Dylee. Trupa wyjechała stamtąd nazajutrz po moim urodzeniu, więc oczywiście pewności nie mam. Chłopiec otworzył po chwili swoje ciemne wiejskie oczy, popatrzył na mnie i wyszeptał: - Lukassa! Najspokojniej w świecie, jakby przed momentem nie zemdlął z głodu i wycieńczenia. Doprawdy że nieraz w ogóle nie rozumiem tych normalnych ludzi. No cóż, w tym czasie to akurat imię było mi znane nie gorzej od własnego, znacznie zaś lepiej, dowiedz się, niżbym pragnęła. Jestem już na tyle stara, że nie wstydzę się przyznać, iż wiele nocy spędziłam niegdyś nasłuchując jak kto głupi cudzego płaczu i mamrotania aż do rana pewnego imienia. Wtedy jednak robiłam to z własnego wyboru, choć to może śmieszne - ale to coś zupełnie innego niż być budzoną przez blisko dwa tygodnie każdej bez wyjątku nocy przez tego chłopaka Rossetha, który przewracał się z boku na bok w sąsiednim końskim boksie i jęczał: "Nyateneri... Lukassa, słodka Lukassa... och, Lal... Lal!..." Próby wyperswadowania mu takiego zachowania nie przynosiły lepszych rezultatów niż budzenie go ze snu kopniakiem; rankiem zrywał się rześki jak ptaszek, podczas gdy reszta naszej trupy wyglądała tak, jak gdybyśmy przez całą noc oddawali się właśnie temu zajęciu, o którym on tak marzył i śnił. Moi koledzy przebąkali już o morderstwie, czemu się jednak, choć coraz słabiej, sprzeciwiałam. - Lukassa wyjechała ze swoimi przyjaciółkami - poinformowałam mizeraka. - Pojęcia nie mam, kiedy wróci, może dziś wieczorem, może jutro. Usiądź tu, przyniosę ci coś do jedzenia. Ale nie ruszaj się z miejsca, zrozumiano? - Nie miałam bowiem pewności, pojmujesz, czy te ciemne, niesamowite oczy w ogóle mnie widzą. - Zostań tu! - powtórzyłam z naciskiem i pobiegłam poszukać Rossetha. W gruncie rzeczy pocziwy był z niego chłopak, nie licząc tej obsesji, z której - jestem pewna - zdążył już wyrosnąć, jeśli oczywiście znajduje się jeszcze wśród żywych. Pobiegł zaraz podwędzić resztki z wczorajszej kolacji (które nam by podano tego dnia na wieczerzę, w taki bowiem sposób zwykł Karsh karmić gości ze stajni) i udało mu się nawet wystarać o kubek podłego czerwonego piwa. Ja tymczasem zatroszczyłam się o obrok dla siwka i wyciągnęłam z naszego podróżnego kufra kaftan, który noszę w sztuce Dwie córki Lady Vigga, gdzie przez połowę przedstawienia występuję przebrana za mężczyznę. Rzadko je ostatnio grywamy, chyba że ktoś sobie specjalnie zażyczy, więc przód był prawie zupełnie

czysty, prawdziwy cud. Kiedy wróciłam, Rosseth wlewał właśnie łyżką zupę w usta naszej długonogiej mizeroty, a kilku aktorów z trupy stało nad nimi i usiłowało wypytywać chłopca. Ten jednak nie zwracał na nich żadnej uwagi, ledwo mnie jednak zobaczył, wykrztusił zaraz: - Z iloma przyjaciółkami? - Z tyloma, ile ich masz - odburknęłam. Chyba się starzeję, skoro zwykle "dziękuję" zaczyna więcej dla mnie znaczyć niż bohaterские poszukiwania uprowadzonej księżniczki czy kogoś w tym rodzaju, nawet kiedy bohater posiada najzgrabniejszą parę nóg, jakie w życiu widziałam. - Czy z czarną kobietą - targnął niecierpliwie głową - i drugą, brązową o postawie wojownika? Przypuszczam, że to niktzemne z mojej strony, ale dość już miałam jednego Rossetha, któremu na samą myśl o tych paniusiach robiły się maślane oczy, a teraz jeszcze ten!... więc nagle ogarnęła mnie prawdziwa irytacja. Taka drażliwość bierze się niewątpliwie ze zbyt częstego odgrywania tych samych w kółko historii. - Nazywam się Lisonje - powiedziałam - zaś ten, kto cię karmi, ma na imię Rosseth. Więc może i ty zdradziłyś nam swoje? - Tikat - wyszeptał i natychmiast zasnął. Trygvalin, nasz etatowy odtwórca ról młodzieńców, zamierzał napoić zdechlaka gorzałką, lecz go powstrzymałam. Ladaco sam ją pędzi, a my z powodu jego szczodrości w częstowaniu mamy zamknięty wstęp do niektórych miast, a nawet do całych prowincji. Powiedziałam do Rossetha: - Nieborak mógłby zamieszkać z tobą na stryszku. Gospodarz by się nie dowiedział. Rosseth spojrzał tylko na mnie i mruknął: - Karsh wszystko wywęszy. Tikat przecknął się tymczasem i wybąkał: - Pochodzę z... - tu wymienił jakąś nazwę, której za skarby świata nie zdołałabym powtórzyć. - Przyjechałem po Lukassę - dodał. Ot, po prostu! Kiedy go nieśliśmy do stajni, kiedy rozpinaliśmy na nim ubranie - całe wychudzone ciało miał pokryte głębokimi zadrapaniami i otwartymi ranami, toteż części łachmanów przykleiła się do zakrzepłej krwi - kiedyśmy go myli, najdelikatniej, jak potrafiliśmy, nie przestawał powtarzać w kółko: - Powiedzcie Lukassie, że po nią przyjechałem. Ten wiejski chłopaczek przebył naprawdę długą drogę, szkoda gadać. Rosseth stwierdził w pewnej chwili: - Będziemy musieli powiedzieć Karshowi. - Ten biedak nie ma pieniędzy - zauważyłam. - Nie posiada nic prócz skóry i kości oraz swojej szkapy. Sądzisz, że taka zapłata wystarczy twojemu panu? Choć tyle już czasu minęło od naszych występów w Corcorui, kiedy mieszkaliśmy w jednej stajni z Rossethem, wciąż czuję wstręt do tego obleśnego tłusciocha. Karsh nie jest zdziercą - zresztą to jedyny i wyłączny powód, dla którego zatrzymaliśmy się w jego gospodzie, ale na tym, o ile mi wiadomo, jego zalety się kończą. Nie grzeszy wyobraźnią, szczodrością, a przede wszystkim miłosierdziem. Oddałby najlepszy pokój rodzinie skorpionów, gdyby miały czym zapłacić, ale nie przenocowałby pod przeciekającym dachem swej komórki

samotnego wędrowca bez grosza przy duszy. Jaki jest pan Karsh, wszyscy zresztą wiedzą. - Gospodarz potrzebuje właśnie dodatkowej pary rąk do pracy - przypomniał sobie Rosseth. - Na tydzień, dwa mają się u nas zatrzymać trzy duże grupy przyjezdnych na targ. Sama Marinesha sobie nie poradzi, a ja też będę zbyt zajęty, żeby jej pomagać. Jeśli możesz pracować choć trochę - zwrócił się do chudzielca - myślę, że mógłbym wspomnieć o tobie Karshowi. - Mogę pracować - oświadczył Tikat, spróbował wstać i niemal mu się to udało. - Ale tylko do powrotu Lukassy, ponieważ potem jedziemy razem do domu. Jasne postawienie sprawy, nie ma co. Dardis mruknął mi nad uchem: - Za pięć minut próba - i zwiął, zanim zdążyłam mu wsadzić kuksańca pod żebra i powiedzieć, co o tym myślę. Od dwudziestu lat kieruje trupą, grał Nikczemnego Lorda Hassidanya na każdym skrzyżowaniu dróg między Portem Grannach a Wzgórzami Durli, a wciąż żyje w strachu, że zapomni w trzecim akcie roli, jak to mu się kiedyś zdarzyło w Limsatty. Skutek taki, że jesteśmy, cały zespół, skazani na próbowanie tego starego, obmierzłego sztuczdyła w każdej wolnej chwili chyba już do końca naszych dni. Dało mi to zgrabną wymówkę, żeby przestać sypiać z Dardisem - lepiej już znosić wzdychania przez sen Rossetha i wahać bąki puszczone przez konie, niż wysłuchiwać w środku nocy wciąż tych samych kwestii - i mam wrażenie, że staliśmy się od tamtej pory lepszymi przyjaciółmi. Dziwne, jak to się czasem w tych sprawach układa między ludźmi... Rosseth wciągnął Tikatowi kaftan przez głowę, odwołał mnie gestem na bok i rzekł: - Wszystko będzie dobrze, zobaczy pani. Niech teraz trochę odpocznie, a potem pójdziemy do Karsha i powiemy mu, o co chodzi. Na pewno się uda. Kiedy odwróciłam wzrok od chłopaka, Tikat właśnie siadł, próbując się podnieść, ale poplątały mu się te fantastyczne nogi - niczym noworodkowi bagiennej kozy, który wie, że musi natychmiast wstać i podyrdać za matką albo zginie. Doświadczenie życiowe mi mówi, że nikt na świecie, ani mężczyzna, ani kobieta, nie jest wart takiego poświęcenia, ale ostatecznie, jak już mówiłam, rozumiem się tylko na swoich rolach, więc mogę się mylić.

TIKAT

Obudziwszy się zapytał zaraz o Królika, na co chłopiec stajenny odpowiedział, że kuc zdążył już pogryźć dwa konie i jednego aktora. Uzyskawszy tę odpowiedź ponownie zasnąłem. Kiedy się obudziłem po raz drugi, obok mnie nie było już nikogo. Zapadał zmierzch i panowała niczym nie zmacona cisza, nie licząc jakichś stuków i szurania na dole. Aktorzy, czy kim tam byli, dokądś odeszli, a ten chłopak, Rosseth, pogwizdywał sobie na podwórzu. Zlazłem powoli ze stryszku uświadamiając sobie mętnie, że mam na sobie cudzą, za małą na mnie tunikę, sztywną od zaschniętego potu obcych ludzi. Przypomniało mi się ujadanie jakiegoś psa: przy

każdym jego szczeknięciu głowa robiła mi się wielka jak bania, a potem z wolna na powrót się kurczyła. W boksie przy wrotach do stajni dojrzałem Królika; zarżał na mój widok, znajdował się jednak zbyt daleko, poza zasięgiem moich rąk. Oparłem się o drzwi i wyszeptalem: - Dobry Królik, dobry! Oglądana z wrót stajni oberża wydawała mi się ogromna, większa od wszystkich widzianych dotychczas domostw. Z dachu sterczały w górę dwa kominy, we wszystkich oknach paliło się światło, a ze środka dobiegały śmiechy. Orzeźwiający wieczorny wiatr przywiał woń dymu z pieca, ochłodził mi twarz i sprawił, że poczułem przyływ świeżych sił. Ruszyłem w stronę gospody, sądziłem bowiem, że spotkam tam Lukassę. Rosseth znalazł mnie pod drzewem obok chlewika. Musiałem przedtem wymiotować, ale nie zemdląłem po raz drugi; wiedziałem, kim jestem i gdzie się znajduję, zdawałem sobie również sprawę, że będzie lepiej, jeśli pozostanę jeszcze jakiś czas na czworakach. Chłopak kucnął obok mnie i powiedział: - Już dwa razy tędy przechodziłem, Tikat. Szukałem cię. Dlaczego się nie odzywałeś? Gdy nie odpowiadałem, wsunął mi ręce pod pachy i usiłował mnie podnieść, ale go odepchnąłem - chyba mocniej niż zamierzałem, bo usiadł na piętach i długo gapił się na mnie w milczeniu. Wyglądał na młodszego ode mnie o rok, może dwa lata. Był zbudowany podobnie do Królika: miał krótkie nogi, rozłożystą klatkę piersiową, rozczochrane rude włosy o złotym połysku, szerokie usta oraz ciemne, rozbiegane oczy, a do tego - jak wtedy oceniłem - poczciwą, zaciekawioną, irytującą gębę. - Nie potrzebuję niczyjej pomocy! - burknąłem. Rosseth uśmiechnął się do mnie bez złości czy urazy. - W takim razie przypadniesz Karshowi do gustu, bo on nie okazuje pomocy nikomu. Chodź! - powiedział i wyciągnął do mnie rękę. - Nie potrzebuję twojego Karsha - fuknąłem. - Chcę tylko Lukassy i mojego konia, niczego więcej! Podniosłem się na kolana i przez chwilę trwaliśmy tak naprzeciwko siebie, a knury chrumkały w gęstniejącej ciemności i wciskały ryje między sztachety płotu, usiłując dosięgnąć moich wymiocin. - Lukassa jeszcze nie wróciła - poinformował mnie Rosseth - podobnie jak jej towarzyszki. A jeśli chodzi o to, czego potrzebujesz czy nie potrzebujesz, uwierz mi, że najważniejszą sprawą, jaka naprawdę się teraz liczy, jest zgoda Karsha na to, byś mógł nocować i stołować się w gospodzie, dopóki się nie wyłizesz. No, ruszaj się, Tikat! Teraz już wyglądał na swój wiek, dostrzegłem też, jak bardzo jest niespokojny. Wstałem bez jego pomocy, lecz przy trzecim kroku ugięły się podę mną kolana. Rosseth chwycił mnie wpół, ale ponieważ dość już miałem podpierania mnie, poklepywania i sadzania jak małe dziecko, więc znowu go odepchnąłem. - Mogę się czołgać! - warknąłem. - Nieraz to już robiłem. Natręt parsknął gniewnie, zupełnie tak samo jak Królik, kiedy jest ze mnie niezadowolony. Potem chwycił mnie znowu i podniósł, nie pytając o zgodę. Jego drobne dłonie

o połamanych paznokciach okazały się silniejsze, niż wyglądały. Szepnął mi do ucha: - Nie robię tego dla ciebie, tylko dla Lukassy. Jesteś jej przyjacielem, więc do jej powrotu muszę ci pomagać. Potem możesz sobie wsadzić gdzieś tę swoją zasraną dumę. Rusz się! Oprzyj się na mnie albo będę cię co chwila podnosił z ziemi jak worek. No, rusz się! - Poczulem, jak zatrzęsł się ze śmiechu wsuwając mi rękę pod ramię. - Ty i Karsh, dobrana z was będzie para! - parsknął. - Nie mogę się wprost doczekać waszego spotkania! Gospoda okazała się w środku mniejsza, niż wyglądała od zewnątrz. Weszliśmy przez kuchnię; w oparach tłustego dymu przecisnęła się obok nas jakaś kobieta, a potem mężczyzna, ledwo ich jednak widziałem zażawionymi oczyma. Ktoś rąbał mięso z taką zajadłością, że hałas tasaka zagłuszał całkowicie słowa, jakie przy tym wykrzykiwał. Rosseth wprowadził mnie niczym ślepego do izby karczemnej, w której dym rozrzedzał się na tyle, że mogłem dojrzeć za stołami kilkanaście co najmniej osób przy wieczerzy. Stoły i krzesła z surowego nie heblowanego drewna miały krzywe wszystkie nogi; pamiętam, że pomyślałem sobie wtedy: "Oho, u nas robimy znacznie lepsze!" Izba wydała mi się w porównaniu z kuchnią zimna, mimo ognia buzującego na kominku. Niską powalę zbito z poczerńiałych od sadzy, na pół przeciętych pni podpieranych przez potężne słupy, których nawet nie okorowano. U belek wisiały trzy lampy, które kołysały się leniwie w przeciągu i rzucały na tynkowane ściany długie poruszające się miarowo cienie. Pod stopami szeleściła rogoża z sitowia. Nikt nie zwrócił na nas najmniejszej uwagi. Goście nie różnili się zbytnio od tych, jacy zatrzymywali się na noc u Babki Taiwari, która jako jedyna w naszej wsi trzymała kilka pokoi, aby wynajmować je podróżnym. W izbie znajdowało się paru kupców, przy długim stole zasiedli pijani handlarze bydła, jeden marynarz, świątobliwa para odbywająca pielgrzymkę na wzgórze, a w dalekim kącie, bacznie się wszystkiemu przypatrując, blady grubas w brudnym fartuchu. Rosseth zaprowadził mnie prosto do niego informując po drodze półgębkiem: - Pamiętaj, że Karsh nie cierpi ludzi, którzy mu się sprzeciwiają, ale pogardza tymi, którzy tego nie robią. Zanotuj to sobie. Grubas przez cały czas nie spuszczał z nas oka. Kiedy podeszliśmy bliżej, okazało się, że jest większy, niż się wydawał z daleka, podobnie jak jego oberża z bliska okazała się mniejsza. Odnosiło się wrażenie, że cały składa się z surowego ciasta, taki chlebowy człowiek, który jakimś cudem uniknął pieca chlebowego. Jego oblicze przypominało kołacz upstrzony znamionami i piętnami mogącymi uchodzić za rodzynki bądź jagody; ale wetknięte w tę twarz oczy były niebieskie i okrągłe ze zdziwienia jak oczy małego chłopca, nakryte ciężkimi, pomarszczonymi powiekami starego zrzędy. Nie wiem, czy w mniej surowej twarzy wyglądałyby one normalnie, wiem jednak, że już nigdy potem nie widziałem takich oczu, jakie

miał gruby oberżysta Karsh. Rosseth zatrząskotał nerwowo: - To jest Tikat, proszę pana. Przybył tu z południa i szuka roboty. Przymilne niebieskie oczy przyglądały mi się uważnie, wąskie wargi prawie się nie rozchyliły, a mimo to chrapliwy głos grubasa wzniósł się ponad gwar wieczerzających gości. - Jeszcze jeden z tych twoich znalezionych na gnojowisku włóczęgów, he? Tylko że ten wygląda mi na takiego, co nie podoła opróżnić nocnika. Błękitne oczy zapomniały w jednej chwili o moim istnieniu. Rosseth klepnął mnie w ramię, mrugnął do mnie i przesunął się, żeby znaleźć się na powrót w polu widzenia Karsha. - Jest zmęczony i zdrożony, temu nie przeczę, proszę pana. Ale niech mu pan tylko da coś zjeść i pozwoli się trochę przespać, a będzie jutro skoro świt gotów na pańskie rozkazy, tak w gospodzie, jak i w obejściu. Daję panu na to moje słowo. - Twoje słowo! - W głosie oberżysty zadźwięczała nuta kategorycznej odmowy, ale jego oczy zwróciły się na mnie ponownie i tym razem lustrowały moją postać dłużej i baczej. W końcu grubas wzruszył ramionami. - No dobra, daj mu coś do żarcia, niech się prześni i jutro mi się pokaże. Może coś dla niego znajdę, kto wie. - Może spać ze mną na stryszku... - zaczął Rosseth, ale cebrowaty łeb Karsha zwrócił się w jego stronę, a gniewny głos przerwał mu sucho: - Praca od świtu do nocy w zamian za dach nad głową. Powiedziałem: niech się stawi jutro. Grube pomarszczone powieki niemal zupełnie zakryły małe chłopięce oczy. Rosseth chciał jeszcze coś powiedzieć, odsunąłem go jednak na bok. Głowa rosła mi wciąż i malała, w jednej chwili ogromna i przepastna, w następnej kurczyła się do rozmiarów zasuszonej gruszki. Powiedziałem: - Posłuchaj mnie uważnie, grubasie. Nie puściłem się w tę długą, samotną i niebezpieczną podróż po to, żeby spać i jeść w twoim chlewie. Będę pracował dla ciebie uczciwie, lepiej niż którykolwiek z twoich pracowników, ale tylko dopóty, dopóki nie zjawi się Lukassa, bo wtedy wrócimy oboje do domu. Dokąd jednak będę u ciebie pracował, poczynając od dzisiejszej nocy, chcę spać w twojej stodole i jeść to samo, co podajesz gościom. - Rosseth czynił desperackie wysiłki, żeby pokryć śmiech atakiem kaszlu i zdusić go rękawem. - Jeśli się nie zgadzasz na moje warunki, powiedz to jasno i niech cię szlag trafi. Choć nie mam grosza przy duszy, znajdę sobie stancję lepszą od najlepszego pokoju, jaki twój chlewik ma do zaoferowania. Ale i tak będę wracał tu po Lukassę, jutro, pojutrze i popojutrze, więc równie dobrze możesz mnie do czegoś wykorzystać, nie sądzisz? Mówiłem coś jeszcze, ale pogłos dudniący w mojej przepaścistej łepetynie zagłuszył słowa. Rosseth wziął mnie pod rękę i pomógł usiąść na krześle. Kiedy ponownie otworzyłem oczy, gruby karczmarz wciąż się we mnie wpatrywał, a jego blada, obrzmiała gęba była tak pozbawiona wyrazu jak worek mąki, który zresztą przypominała do złudzenia. Usłyszałem, jak Rosseth przedkłada mu z ożywieniem:

- Przy tych dwóch nowych grupach, które nie wiadomo jak długo zabawią, będzie nam potrzebna dodatkowa para rąk do pracy, proszę pana... Następnie usłyszałem pomruk cedzonej odpowiedzi Karsha, podobny do zgrzytu stępki łodzi na kamieniach: - Nie musisz mi tego stale przypominać! Zamknij gębę i daj mi spokojnie pomyśleć. Odniosłem wrażenie, pewnie z powodu zmęczenia, że gwar w izbie przycichł nieco po tych słowach. Od pierwszego wejrzenia powziąłem niechęć do oberżysty Karsha - nadal go nie lubię - ale przyznaję, że jest czymś więcej niż tylko ciastem na chleb. - Dobra, zabieraj go sprzed moich oczu - polecił po chwili Rossethowi - niech coś przekąsi w kuchni, prześpi się gdzie bądź, a rano niech mi wyszoruje łaźnię i pozatyka dziury, których ty nie miałeś czasu tknąć i dlatego wciąż przełazą przez nie żaby. Potem niech Shadry da mu jakąś robotę w kuchni. Szeroko otwartymi ślepiami przyglądał mi się przez chwilę ze zdziwieniem, którego znaczenia moje znużenie nie pozwoliło mi dociec, po czym zaczerpnął tchu, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, coś ważnego, mającego związek z Lukassą i ze mną. Zamiast tego jednak obrócił wzrok na Rossetha i burknął: - Nie widziałeś gdzie znowu tych dwóch? Chłopak pokręcił przecząco głową, a Karsh odwrócił się bez słowa i wyszedł z izby. Poruszał się płynnie, jak fala przetaczająca się między dwoma brzegami, która nigdy o żaden z nich się nie rozbija. Moja matka, podobna do niego tłuszczoszka, poruszała się tak samo. Rosseth westchnął cicho: - Uff! - a potem się roześmiał. - Pamiętam, co ci powiedziałem, a mimo to wciąż nie mogę uwierzyć... - Zachichotał. - Chodź - zadysponował odzyskawszy głos - zasłużyłeś sobie na sutą kolację... Co się stało, o co chodzi, Tikat? Przy stole handlarzy była zaczęto śpiewać sprośną piosenkę, którą zna każde dziecko w naszej wsi. Pomyślałem o Lukassie i ogarnęło mnie zawstydzenie. Rosseth powiedział: - Chodź, Tikat, kolacja czeka.

ROSSETH

Wróciły, kiedy Tikat i ja kończyliśmy kolację. Jedliśmy na dworze siedząc pod drzewem, na którym Marinesha lubi rozwieszać pranie. To ja usłyszałem je pierwszy: stąpanie trzech koni i nietrudne do rozpoznania skrzypienie siodła Lal, któremu żadne namydlenie i nacieranie oliwą nie jest w stanie zaradzić. Tikat również je poznał: upuścił miseczkę, odwrócił się i patrzył, jak w gęstniejącym mroku skręcają na podwórze. Padające z okien gospody światło zabłysło w źrenicach i wydobyło z ciemności kości policzkowe Nyateneri, która pochylała się do Lal i coś do niej mówiła. Lukassa ze wzrokiem wbitym w ziemię jechała nieco z tyłu, luźno puściwszy wodze. Żadna z kobiet nas nie zauważyła. Szczerze mówiąc zapomniałem w tamtym momencie o istnieniu Tikata. Troska o Lukassę była jego zmartwieniem, moim zaś - ostrzeżenie Nyateneri przed tymi dwoma uśmiechniętymi nieznanymi kurdupkami, którzy jej szukali. Zerwałem się

na nogi i puściłem biegiem w stronę nadjeżdżających wołając, by się zatrzymały. Lal i Nyateneri ściągnęły koniom wodze i czekały na mnie. Za plecami usłyszałem rozdzierający krzyk Tikata: - Lukassa! Nawet wówczas nie byłem w stanie ogarnąć ładunku smutku, porażającej radości i wdzięczności zawartego w tym jednym słowie - i do śmierci go nie zapomnę. Nie obejrzałem się jednak. Uczepiony strzemienia Nyateneri wyrzuciłem z siebie nowiny jednym tchem: jak się zachowywali ci dwaj nieznajomi, co mówili, jak wyglądali, jak brzmiały ich głosy, co czułem oddychając tym samym co oni powietrzem; wyjaśniłem, że było to niemal równie przerażające jak uczucie braku tchu, gdy zacisnęły się na moim gardle palce niebieskookiego. Pamiętam uczucie szczęścia, jakie mnie opanowało, gdy doszedłem do tego miejsca opowieści i z ust Lal wyrwało się westchnienie, a dłoń Nyateneri zacisnęła się na moim ramieniu. Zauważyłem, że Nyateneri nie sprawiała wrażenia strwożonej ani zaskoczonej, a gdy Lal zapytała ją: - Kim są ci dwaj? - odpowiedziała tylko lekkim wzruszeniem ramion. Lal nie powtórzyła pytania, ale od tej chwili baczniej obserwowała Nyateneri niż mnie. Opowiadałem właśnie, jak Karsh zmusił nieznajomych do opuszczenia gospody, gdy usłyszeliśmy nagle rozpaczliwy krzyk Tikata, a potem tętent kopyt. Ledwo zdążyliśmy się obejrzeć, gdy wpadła między nas Lukassa, barkiem wierzchowca omal nie strącając z siodła Lal, za co nawet nie przeprosiła. Nyateneri i ja staraliśmy się uspokoić wszystkie trzy konie, dziewczyna zaś tymczasem powtarzała w kółko: - Każcie mu przestać! Każcie mu przestać mówić takie rzeczy! Niech przestanie, niech tak do mnie nie mówi! Oczy miała oszalałe ze strachu, aż wydawało się, że zmieniły kształt, tak naciągnęła się wokół nich skóra. Po chwili podszedł Tikat, powolutku jak człowiek, który nie chce przestraszyć dzikiego zwierzątka. Jego twarz, cała jego długa postać wyrażała nieme zdumienie. Najłagodniej, najtkliwiej jak można powiedział: - To ja, Lukasso, Tikat. Tikat. Za każdym razem, gdy powtarzał swe imię, dziewczyna wzdrygała się i odsuwała coraz dalej, chowając się za konia Lal. Nyateneri uniosła w milczeniu brwi, a Lal wyjaśniła: - To jej narzeczony. Jechał za nami od dłuższego czasu, składając dowody prawdziwego męstwa. Następnie pozdrowiła Tikata jakimś dziwnym płynnym gestem obu dłoni wykonanym na wysokości piersi; nie udało mi się go nigdy powtórzyć, choć często próbowałem, nigdy też nie widziałem, by ktokolwiek uczynił podobny. - Pięknie się spisałeś - pochwaliła chłopca. - Sądziłam, że cię już dawno zgubiliśmy. Potrafisz iść po śladzie prawie tak dobrze jak kochać. Tikat podniósł na nią oczy równie oszalałe jak spojrzenie Lukassy, choć nie ze strachu, a z rozpaczy. - Co pani jej zrobiła? - zawołał. - Ona mnie zna od urodzenia! Co pani jej zrobiła? Wiedźmo, czarownico, co zrobiłaś z moją Lukassą? Kogo właściwie przywróciłaś do życia?

Gdzie moja Lukassa? Raptem od trzech godzin znałem tego dumnego, hardego chłopaka, a już współczucie dla niego rozdzierało mi serce. - No, no, no! - zamruczała cicho Nyateneri nie zwracając się do nikogo w szczególności, a Lal wyciągnęła rękę, ujęła dłonie Lukassy i powiedziała: - Posłuchaj, dziecko, oto twój narzeczony, na pewno go pamiętasz. Dziewczyna wyrwała się jej, przerażona zeskoczyła z konia i rzuciła się biegiem w stronę gospody. W progu zderzyła się z Gattim Jinni, który upadł na plecy jak chrabąszcz. Lukassa potknęła się, przykłękała na jedno kolano - Tikat krzyknął strwożony, ale nie podbiegł do niej - po czym szybko zerwała się na nogi i wpadła w drzwi; wchłonął ją gromki śpiew handlarzy bydła. - Same tajemnice dookoła! - mruknęła w zapadłej nagle ciszy Nyateneri. - Istotnie - przyznała Lal. Zeskoczyła z siodła, a po chwili to samo uczyniła Nyateneri. Lal wcisnęła mi do ręki wodze trzech koni, rzuciła: - Dziękuję, Rosseth - po czym sama pospieszyła do gospody. Nyateneri mrugnęła do mnie i podążyła za tamtą. Gatti Jinni wciąż się gramolił na progu, klnąc na czym świat stoi. Zrobiłem co mogłem; zebrałem w garść wodze, wolną ręką objąłem Tikata i poprowadziłem całe bractwo do stajni. Konie, czując żłób, popychały mnie ochoczo, a chłopak, ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami, potykając się o kępki chwastów, włókł się za mną potulnie jak baran na postronku. Nie odezwał się już do mnie ani słowem, nawet gdy mu pomagałem wejść po drabinie na stryszek, nagrabiłem siana na posłanie, a potem jeszcze oddałem moją zapasową derkę i życzyłem dobrej nocy. Kiedy później na dole szczotkowałem konie, wydało mi się, że słyszę, jak Tikat przewraca się na sianie i coś mamrocze, lecz gdy wdrapałem się z powrotem na górę, żeby zanieść mu trochę wody, okazało się, że mocno śpi. Ucieszyło mnie to, ze względu na stan nieboraka. Sprawiwszy się z końmi uznałem, że trzeba pójść do gospody i pomóc Marineshy sprzątnąć po kolacji. Byłem już w połowie drogi, kiedy tuż przede mną wyrosła jak spod ziemi czyjaś sylwetka. Omal nie upadłem ze strachu - ci dwaj nieznajomi znajdowali się gdzieś w pobliżu, czułem ich siódmym zmysłem - tymczasem postać pozdrowiła mnie uprzejmie, ja zaś od razu poznałem ten niezwykły, ostry głos. Należał do staruszka, który przyjechał w odwiedziny do wnuka w Curcorui, i co jakiś czas zjawiał się w oberży, żeby przy kubku piwa pogawędzić z każdym, kto mu się nawinął. Piękniejszego pana nigdy nie widziałem: miał lśniące policzki, białe wąsy i cudownie długie, delikatne dłonie. Ilekroć patrzyłem, jak obraca w nich nasze gliniane kubki opowiadając o niezwykłych bestiach i starodawnych bitwach, myślałem sobie: Chciałbym mieć takie dłonie i przeżyć takie życie, o jakim one świadczą. Choć nie widziałem go ani razu w towarzystwie Lal, Nyateneri czy Lukassy, myślałem o nim tak samo jak o nich: jak o wietrze z południowego zachodu, który

wieje przez moje szare dni przynosząc aromaty takich wydarzeń i snów, jakich moja dusza nie była w stanie ogarnąć, a cóż dopiero zrozumieć. Jego głos zacząłby mnie drażnić i wprowadziłby w zdenerwowanie, gdybym musiał słuchać go dłużej, ale wtedy wydawał mi się wręcz przyjemny. - Tu jesteś! - zawołał staruszek. - A zresztą gdzież miałbyś być, jak nie w drodze do jakiejś roboty? Poklepał mnie po ramieniu i uśmiechnął się oczyma niebieskimi jak oczy Karsha, choć zupełnie do nich niepodobnymi, przypominającymi cienie na śniegu - oczyma, w które niemal równie trudno było patrzeć, jak słuchać jego głosu. - Niestety, niestrudzony chłopcze - rzekł - spotykasz w mojej osobie posłańca, który ci przynosi jeszcze jedno zadanie do spełnienia. Panna Nyateneri udała się mianowicie przed kwadransem do łaźni i życzy sobie, abys jej tam usługiwał. Zgodziłem się na ochotnika przekazać ci to zlecenie, jeśli cię spotkam. Otrzymałeś je, zatem się oddałem. Życzę ci dobrej nocy, młodzieńcze. Te ostatnie słowa wypowiedział już na odchodnym, znikając mi z oczu w ciemności. Wezwanie, jakie mi przekazał, nie zaskoczyło mnie bynajmniej swoją niezwykłością. Łaźnia w oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem" była bardzo wykwinna jak na owe czasy i tamte strony; składała się z dwóch pomieszczeń: w jednym mieściła się wanna, sąsiednie zaś było przedzielone długim korytem wypełnionym wielkimi kamieniami. Nyateneri zapewne rozpałała już pod nimi ogień i niektóre rozżarzyły się do czerwoności. Łaźnie parowe, dość popularne na północy, w okolicach Corcorui cieszą się znacznie mniejszym powodzeniem; Nyateneri należała do nielicznych gości korzystających z mojej pamięci z tego jedynego luksusu Karshowej oberży, na którego zbudowanie wyrzekał zresztą głośno każdego dnia, odkąd go poznałem. Nie oglądając się za staruszkiem pobiegłem do gospody. Pod pompą w kuchni napełniłem wodą dwa wiadra i pośpieszyłem do łaźni. Ścieżka do niej wiodąca bywa po ciemku zdradliwa, jest bowiem poprzecinana splątanymi korzeniami starych drzew (nawet znając ją prawie na pamięć mogłem łatwo skrócić sobie nogę, nie mówiąc o rozchlapaniu wody z wiader), dlatego szedłem powoli. Nierówności ścieżki nie były wszakże jedynym powodem mojej opieszałości; do drugiego nawet dziś przyznaję się ze wstydem. Żeby napełnić łaźnię parą, nie musiałem wchodzić do środka - zimną wodę lało się na rozżarzone kamienie wykopany w ziemi i przechodzącym spodem pod belkami głębokim rowkiem. Ale w ścianie znajdowała się jeszcze jedna szczelina, prawie na wysokości oczu, długa jak moja dłoń, szerokości kciuka, przez którą miałem nadzieję podejrzeć nagą Nyateneri, nim skryją ją kłęby pary. Nic nie usprawiedliwia tej mojej zdrożnej chętki, może z wyjątkiem skutków, do jakich doprowadziła. Noc była tak cicha, że mogłem wyraźnie słyszeć dobiegające zza ściany odgłosy lekkich kroków Nyateneri. Chętnie ściągnąłbym z nieba wschodzący za moimi plecami księżyc

w drugiej kwadrze, obawiałem się bowiem, że osoba tak bystra jak ta pani od razu dostrzeże nagłe ściemnienie srebrnej szpary, gdy przesłoni ją moja głowa. Postawiwszy na ziemi jedno wiadro zacząłem ostrożnie przechylać drugie przykucając jednocześnie, by móc zapuścić wzrok w wąską szparkę w ścianie. Początkowo nie widziałem nic prócz własnych rzęs i kory drewnianych bali, następnie przemknęła przez moje pole widzenia, najpierw w lewo, potem w prawo, jakaś jasna plama, a jednocześnie dobiegł mnie tupot dwóch par stóp, jakby jeden tancerz naśladował kroki lub podskoki drugiego. Przywarłem policzkiem do bali i zmrużyłem oko - i oto nagle ukazał mi się widok cudowny i upragniony, od którego aż zaschło mi w gardle: lewa pierś Nyateneri. Na chwilę wypełniła całe pole widzenia: złotobrazowa jak pagórki latem, okrągła jak dynie piniak, które wczesną jesienią leżą na kramach w rynku, z taką samą jak u tych roślin cudowną sterczącą ku górze brodawką. Potem usłyszałem głos Nyateneri mówiącej coś w nie znanym mi całkiem języku, a następnie odpowiedź w tym samym obcym narzeczu. Tego, który jej udzielił, poznałem natychmiast po pierwszym wypowiedzianym słowie. Nyateneri odsunęła się od ściany umożliwiając mi szerszy widok na wnętrze pomieszczenia. Stała teraz tyłem do mnie; długie nogi miała z lekka rozstawione, ugięte w kolanach, w lewej ręce trzymała sztylet, ręcznik okręcony luźno zwisał wokół prawego przedramienia. Za nią płonęło długie palenisko, od którego zaleciał mnie zapach rozgrzanych wielkich kamieni. Nyateneri odezwała się po raz drugi, z rozbawieniem i zachętą w głosie, kiwając zapraszająco sztyletem. Tym razem odpowiedział jej drugi z mężczyzn, zaś w chwilę później w polu widzenia ukazał mi się po drugiej stronie paleniska Półgębek; uśmiechał się jak wąż zbliżający się do swojej ofiary, a choć ledwo odrywał stopy od ziemi, zdawało się, że tańczy. Nie miał żadnej broni. Kiedy zbliżył się na tyle blisko, że mogłem usłyszeć jego lekki, niespieszny oddech, Nyateneri cisnęła mu nagle ręcznik w twarz, przeskoczyła zwinnie przez koryto paleniska i wylądowała w przysiadzie po drugiej stronie. Niebieskooki już tam na nią czekał; usiłował zaatakować dzielną kobietę od dołu, zanim odzyska równowagę, tymczasem Nyateneri w ogóle jej nie straciła: sztylet błysnął tak szybko, że moje przywarte do szczeliny oko nie nadążyło za jego ruchem i wojowniczką pojawiła się nagle za swoim przeciwnikiem, ten zaś skoczył natychmiast w stronę drzwi. Znalazłszy się za nią, Niebieskooki polizał przegub lewej ręki i zaśmiał się z cicha, nie zadając sobie nawet trudu, żeby się odwrócić. Nie widziałem drzwi ani Półgębka, mogłem się tylko domyślać po odgłosie stóp jego i Nyateneri oraz spokoju Niebieskookiego, że nie udało jej się uciec. Po chwili ukazała się znowu w moim polu widzenia, po tej samej co on stronie paleniska, i zbliżała się ku swojemu przeciwnikowi dosłownie jak trąba powietrzna, wirując tak szybko, że

jej sztylet rozmnożył się jakby w kilkanaście ostrzy. Niebieskooki uniknął ataku jedynie dzięki temu, że wyskoczył wysoko w górę i wywinął koziółka ponad cięciem ostrza, które ledwo o włos chybiło jego brzucha. Spadając na ziemię sam z kolei wymierzył cios; wydawało się, że użył w tym celu zaledwie trzech palców, nie zdołałem też dojrzeć, czy uderzenie doszło celu, Nyateneri zachwiała się jednak i poleciała na ścianę, gdzie dwóch napastników natychmiast ją osaczyło, zanosząc się owym straszonym skrzekliwym śmiechem. W następnej chwili usłyszałem mój własny rozpaczliwy krzyk. Myślę, że i tamci go usłyszeli. Przyjemnie byłoby się łudzić, że ten mój daremny sprzeciw odwrócił, choćby na moment, uwagę mężczyzn, chociaż bardzo w to wątpię. Nyateneri zgięła się wpół, wymierzyła błyskawiczne kopnięcia i przekreśliła się w sposób, którego nawet opisać nie potrafię, po czym z powrotem przeskoczyła palenisko, zanim Półgębek i Niebieskooki pozbierali się z ziemi. Ten pierwszy oddychał teraz inaczej niż przedtem, a w jego głosie, gdy wykrzyknął coś do Nyateneri, nie dźwięczał już śmiech; tyle pojąłem, choć nie rozumiałem języka, w jakim się odezwał. Nyateneri odtańczyła triumfalny taniec wymachując sztyлетem i poklepując się wzgardliwie po pośladku. Niech mi zostanie wybaczone, że mimo lęku o życie tej niewiasty podnieciłem się widokiem jej nagiego ciała jak parszywy kundel. A potem zaczął się dłuższy już taniec myśliwych i łownej zwierzyny, którego wszystkie figury do tej pory stoją mi przed oczami. Nyateneri wołała najwyraźniej unikać bezpośredniego kontaktu z przeciwnikami, choćby i nieuzbrojonymi: jej celem były drzwi i mrok nocy za nimi. Natomiast ci dwaj starali się jedynie unikać ciosów jej sztyletu i czekali na okazję przeprowadzenia ataku za pomocą swoich długich wąskich dłoni. Jeden po drugiej, drugi po drugiej stronie paleniska nacierali nieustannie, doskakując co chwila, żeby zbić Nyateneri z nóg, bynajmniej nie zawiedzeni, kiedy wywijała im się i wymykała z okrzykami triumfu, wiedzieli bowiem, że prędzej czy później musi się potknąć, musi źle obliczyć odległość, musi zaczerpnąć tchu, o jeden raz za dużo. Osaczyli ją: nie mogła ich zabić i nie mogła wydostać się na zewnątrz, choćby nawet udało jej się długo unikać ataków. Wynik tego pojedynku był z góry przesądzony; wiedziałem o tym równie dobrze jak tamci dwaj. Tylko Nyateneri zdawała się nie przyjmować tego do wiadomości i się nie poddawała. W walce brał udział jeszcze trzeci element: palenisko. Nyateneri przypuszczała każdy atak, rozpoczynała każdy wypad właśnie z tego miejsca, a cofała się i odskakiwała w bezpieczne schronienie tylko wtedy, gdy zbliżała się do niej jedna lub druga para rąk, stale też usiłowała zwabić napastników w pobliże ognia, do rozżarzonych kamieni. Dwa razy omal jej się to powiodło: raz Półgębek wisiał już w powietrzu wymachując rękami, wierzgając nogami i w niemej zgrozie wybałuszając oczy, kiedy

Niebieskooki wyrwał go z niebezpieczeństwa jedną ręką, drugą salutując kpiąco Nyateneri. Jej sztylet, nawet gdy wyskakiwała do góry lub spadała przewrotką na ziemię, odprawiał przez cały czas migotliwy motyli taniec, pozostawiając krwawe ślady na ciałach napastników, a czynił to w sposób tak niedostrzegalny, że chyba dopiero po dłuższej chwili zauważali nowe rany. Nigdy w życiu nie zdarzyło mi się widzieć wojownika dzielniejszego od Nyateneri. A jednak nie była w stanie osiągnąć drzwi. W końcu gra szła już tylko o to, czy osaczonej uda się przedostać do wyjścia. Niebieskooki i Półgębek, mimo odniesionych ran, odznaczali się jeszcze większą wytrzymałością niż ich przeciwniczka, poza tym jeden mógł zawsze zapewnić drugiemu chwilę wytchnienia, na co Nyateneri nie mogła sobie pozwolić. Jak dotąd unikała większości ciosów, wystarczyło jednak, by któryś z mężczyzn drasnął ją paznokciem, dosięgnął kantem dłoni lub zawadził łokciem, a efekt takiego kontaktu dosłownie nią wstrząsał i po każdym z owych uderzeń wolniej dochodziła do siebie i ciężiej przeskakiwała na drugą stronę ognistego okopu, do chwilowego azylu. Połowę tego pojedynku mogłem śledzić jedynie domyślając się jego przebiegu z towarzyszących walce odgłosów, lecz jeden jego fragment, świadczący o całości, mam dotąd przed oczami: oto Nyateneri zebrała się w sobie, skoncentrowała całą swą hakai... ach, ty nie znasz tego słowa? inaczej mówiąc najgłębszą moc, lepiej tego wyjaśnić nie potrafię... i z kąta, gdzie osaczył ją Niebieskooki, skoczyła nad paleniskiem prosto do gardła Półgębka. Śmiały zamiar, niestety nieostrożny: mężczyzna zrobił dwa kroki do tyłu i jeden w bok i dosięgnął Nyateneri ciosami obu rąk, po których sztylet wypadł jej z dłoni i potoczył się w stronę ognia. Kobieta rzuciła się za nim w desperacji i zawisła do połowy ciała nad paleniskiem, znikając mi z pola widzenia. Dotąd widzę, jak sztylet balansuje na krawędzi ognistego koryta polśniewając to czerwono, to srebrzyście i znowu czerwono. Nyateneri wciąż nie wydawała żadnego dźwięku. Słyszałem jedynie cichy, radosny chichocik jej przeciwników i widziałem wyraz naznaczonego bólem szczęścia na ich gębach, gdy przebiegali przed moim judaszem, żeby na nią uderzyć. Potem straciłem z oczu całą trójkę. Na jak długo? Pięć sekund, pół minuty? Odwróciłem się od ściany i zacisnąłem powieki, zbyt wstrząśnięty, by odczuwać żal (podobnie chyba jak Tikat). Zdawałem sobie niejasno sprawę, że powinienem czym prędzej uciekać, schronić się do gospody, do stajni, zresztą gdzie bądź, zanim ci dwaj wybiegną i mnie znajdą. Nie byłem jednak w stanie się poruszyć: ani przedtem, żeby pomóc Nyateneri, ani teraz, by ratować własną skórę. To się już kiedyś zdarzyło. Ogień, krew, śmiejący się mężczyźni i ja, przytomny, ale nieprzydatny: zagubiony, samotny i zbyt przerażony, żeby myśleć, żeby oddychać. To się już kiedyś zdarzyło. Był tam jakiś olbrzymi mężczyzna pachnący chlebem i

mlekiem. Nie widzisz w tym żadnego sensu, czy tak? Ano właśnie. Otworzyłem oczy dopiero wtedy, gdy usłyszałem pełne wściekłości i niedowierzania warknięcie Półgębka, przypominające warknięcie shukri, który odkrył nagle, że myszy umieją fruwać. W jaki sposób Nyateneri zdołała wyjść cało z rozżarzonych kamieni - do dzisiaj nie mam pojęcia, lecz gdy nachyliłem się ponownie do otworu w ścianie, walcząca przebiegła przede mną i znieruchomiała na chwilę ze sztyłem w ręce, tym razem prawej, bo lewa zwisała jakoś dziwnie wykrzywiona. Ach, wciąż ją taką widzę... choć nie powinienem - z rozmaitych powodów... jak stoi tam z potarganymi siewiącymi włosami, wargami skrzywionymi dumą i drwiną, okryta, niczym królowa aksamitnym płaszczem, warstewką potu cętkowaną plamkami krwi. Czy jej pragnąłem? Czyżbym jej nadal pragnął? Owszem, pragnąłem, z całego serca, stać się nią. Czy mnie rozumiesz? Rozumiesz? To był już koniec i nawet ja zdawałem sobie z tego sprawę. Kiedy ponownie rzuciła wyzwanie swoim przeciwnikom w ich ojczystym języku, usłyszałem w jej głosie świszczącą zadyszkę, a gdy przykucnęła i rozwarła ramiona zapraszając obu w swoje objęcia, jedno kolano zadrżało, co prawda ledwo dostrzegalnie, ale skoro ja to dostrzegłem, tym bardziej musieli zauważyć osłabienie przeciwniczki Niebieskooki i Półgębek. Lewa ręka Nyateneri nie nadawała się już najwyraźniej do walki, poza tym kobieta nie przestawała potrząsać głową, jakby usiłowała się pozbyć dręczących ją wątpliwości lub przebudzić z natrętnego snu. Nie okazywała jednak strachu ani rezygnacji. W polu mojego widzenia pojawił się Niebieskooki; uśmiechał się i dotykał palcem brwi, lecz w geście, który nie oznaczał już pozdrowienia, ale pożegnania. Nyateneri go wyśmiała. Wtedy właśnie wkroczyłem do akcji. Och nie, nie mam zamiaru przechwalać się twierdząc, że rzuciłem się do rozstrzygającego bohaterskiego ataku, ponieważ nie sędzę, abym był w stanie, dla ocalenia kogokolwiek, spojrzeć po raz drugi w twarze tych dwóch mężczyzn. Chcę tylko powiedzieć, iż uświadomiłem sobie w tym momencie, że jestem Rossethem, to znaczy kimś więcej - na moje szczęście czy nieszczęście - niż tylko okiem przyklejonym do szpary w ścianie. Wróciła mi zdolność myślenia, poruszania się, odczuwania gniewu, a nie tylko trwogi i załamania z powodu utraty bliskiej osoby; mogłem zrobić wreszcie to, po co tam przecież przyszedłem. Podniosłem wiadro, które przez cały czas jak głupi trzymałem w ręku, pochyliłem się i zacząłem ostrożnie lać wodę w rowek pod ścianą łaźni. Należy to robić powoli; napełnienie łaźni parą wymaga znacznie mniej wody, niż by można sądzić. Usłyszałem krzyk jednego z napastników, następnie drugiego, a potem wybuch szalonego śmiechu Nyateneri, który sprawił, byłbym przysięgł, że zbita z bali ściana zadrżała pod moim policzkiem jak ciepłe, żywe ciało. Opróżniwszy wiadro,

wyprostowałem się i przytknąłem oko do szczeliny. Półgębek cofał się tyłem w moją stronę szykując się najwyraźniej do posiekania na kawałki morderczymi dłońmi gęstniejącej wokół niego pustki. Sztylet Nyateneri ledwo z niej wybłysnął, przesywając ciało Półgębka poniżej żeber równie łatwo jak skłębione opary. Prawdopodobnie już pierwsze pchnięcie okazało się śmiertelne, choć sądzę, że zadano i drugie. Ranny zgiął się w pół i runął na twarz w mleczny tuman. Rzuciłem wiadro i skoczyłem do drzwi. Należało przeszkodzić w ucieczce Niebieskookiemu, zatrzymać go jakimś sposobem, żeby Nyateneri mogła go dopaść. Nie miałem żadnego planu; wiedziałem tylko, że cokolwiek zrobię, może się łączyć fatalnie dla mnie skończyć; bałem się, ale strach mnie nie paraliżował, już nie. Popełniłem masę głupstw przez owe lata, jakie dzielą tamtą noc od dzisiejszej, ale już nigdy nie zaniechałem działania; tym grzechem nie splamię się aż do śmierci. Nyateneri mnie tego nauczyła. Kucając pod drzwiami przeklinałem się w duchu za pozostawienie wiadra; być może udałoby się zdzielić nim Niebieskookiego lub cisnąć je łotrowi pod nogi, gdy będzie wybiegał z łaźni. Nie przyszło mi jakoś do głowy, że tamten wcale nie musi salwować się ucieczką, będąc nawet w pojedynkę co najmniej równym przeciwnikiem dla zmęczonej Nyateneri. Zza drzwi nie dobiegały żadne odgłosy. Wyobraziłem sobie, jak Niebieskooki i Nyateneri krążą niewidzialni w tumanach pary, zaniechawszy wszelkich podstępów, starając się jedynie zawczasu wyczuć powierzchnię skóry i każdym na niej włoskiem oddalonego o kilka centymetrów przeciwnika. Nagle coś w środku huknęło o bale - tępy, głuchy stuk; mogłaby go z powodzeniem wydać rozbijana czaszka - ja zaś niewiele myśląc otworzyłem na oścież drzwi. To, co nastąpiło potem, wydarzyło się tak szybko, że nawet dziś jeszcze nie potrafię się w tym połapać. Najpierw buchnęła oczywiście para i z miejsca mnie oślepiła, a potem runęło na mnie czyjeś ciało, niesamowicie twarde; miałem wrażenie, jakbym wpadł na ścianę. Runąłem na plecy; napastnik zwałił się na mnie, zaplątawszy się nogami w moje kulasy. Wczepiła się w moje ciało istota gorąca i cicha jak duch. Ogarnięty śmiertelną trwogą, zacząłem kopać nogami usiłując je wyswobodzić. Jedna z moich wierzgających stóp natrafiła na coś miękkiego; dało się słyszeć stęknięcie, w następnej zaś chwili wydusił mi resztkę powietrza z płuc następny zwałający się na mnie ciężar. Niebieskooki i Nyateneri szepili się na moim tułowiu niczym burzowe wichry, przygważdżając me ciało do ziemi i maltretując tak srodo, że w końcu zacząłem się miotać w bezsilnej furii, marząc już tylko o tym, żeby zamordować oboje dręczycieli. Czyjś łokieć wyrznął mnie w nos łamiąc mi go, jak w pierwszej chwili sądziłem. A potem wszystko ustało. Usłyszałem, poczułem raczej, stłumiony suchy chróbot, jakby ktoś grzecznie odchrząknął, po czym jedno z ciał, gdy je

odepchnąłem, zsunęło się ze mnie powoli, a czyjaś głowa stuknęła o ziemię obok mojej. Usłyszałem zmęczony szept Nyateneri: - Dziękuję ci, Rosseth. Nie miałem siły wstać, musiała mi pomóc, co też uczyniła z niezwykłą ostrożnością i delikatnością, choć jedną rękę miała tak bezwładną, jak Niebieskooki szyję. Leżał nieruchomo na boku, mały i jakby zdziwiony. Kapała na niego krew z mojego nosa. - Czy on żyje? - spytałem. - Gdyby żył, my byśmy nie żyli - odrzekła Nyateneri. - Z tymi ludźmi ma się tylko jedną szansę. Z reguły - dodała zaśmiaawszy się cicho. Wróciła do łaźni, podniosła leżący pod drzwiami sztylet i zaczęła obracać go niezgrabnie w prawej dłoni. - Nigdy się nie nauczyłam dobrze rzucać nożem - stwierdziła w zamyśleniu. - Nie wiem, co mnie opętało, żeby tym razem spróbować. Gdybyś nie otworzył tych drzwi, byłoby już po mnie. Dziękuję ci. Bolący i wciąż krwawiący nos sprawił, że zrobiło mi się niedobrze. Nyateneri skłoniła mnie, żebym się położył i oparł głowę na jej kolanach, po czym przytknęła mi do nosa jakąś wilgotną szmatkę, co uznałem za wyjątkowo nieprzyjemne. - Kim byli ci ludzie? - zbulgotałem, ale kobieta udawała, że nie dosłyszała pytania i odpowiedziała ni w pięć, ni w dziewięć: - Tak, wiem, że będziemy musieli zawiadomić Karsha, nie widzę innego wyjścia. Czuję się zbyt zmęczona, żeby grzebać teraz jakichś zmarłych. Głaskała mnie w roztargnieniu po włosach, ja zaś wdychałem zapach jej rozluźniającego się ciała i uświadamiałem sobie po raz pierwszy w życiu, że nic nigdy nie dzieje się tak, jak to sobie człowiek wyobrażał. Oto opierałem głowę na kolanach Nyateneri, wyczuwałem policzkiem jej wilgotną skórę, piersi, które tak chciwie podglądałem, unosiły się i opadały w rytm oddechu, a tymczasem moim jedynym zmartwieniem i troską była płynąca z nosa krew. Wolno ci się śmiać, proszę bardzo. Nawet ja uważałem to wtedy za komiczne. Po jakimś czasie odzyskałem siły na tyle, by móc usiąść, więc Nyateneri wróciła do łaźni po płaszcz. Zapytałem przez otwarte drzwi: - Oni pani szukali, chcieli panią zabić. Dlaczego? Co pani im zrobiła? Nie odpowiedziała mi, dopóki nie wyszła. Siedziałem w aksamitnej ciemności, u moich stóp leżał trup, a w sadzie zaczął już po nim lamentować lirlith; wy te ptaszki nazywacie płaczkami nocnymi. Nie pojmuję, jak to się dzieje, że potrafią tak szybko wyczuwać śmierć, a przecież ją wyczuwają; w takiej przynajmniej wierze wyrosłem w tym kraju. Nyateneri oparła się o framugę drzwi i próbowała prawą ręką poruszać ostrożnie lewą. Zapytała mnie znieacka, choć zupełnie spokojnie: - Jak to się stało, że to ty przyniosłeś mi wodę, a nie Marinesha? Prosiłam o tę dziewczynę. - Nie widziałem się z nią - wyjaśniłem. - Spotkałem tego staruszka... wie pani, o kim mówię? Tego z białymi wąsami... i on mi powiedział, że ma dla mnie od pani wiadomość. Może coś pokręcił, jest naprawdę stary. - Aha! - mruknęła i zamilkła, a gdy po raz trzeci zapytałem o Niebieskookiego i Półgębka,

przykucnęła obok mnie, zajrzała mi w oczy, dotknęła kontuzjowaną ręką mego ramienia i rzekła: - Rosseth, okłamywanie kogoś, kto właśnie ocalił mi życie, nie leży w mojej naturze, więc proszę, nie zmuszaj mnie do tego. Jej zmieniające się nieustannie oczy błyszczały srebrzyście w księżycowej poświacie. - Na każdym kroku jakieś tajemnice - mruknąłem ośmielając się ją przedrzeźniać; przyznaję jednak, że poczułem się zaszczycony, jak dziecko, które dało się przekupić okazaną przez dorosłego odrobiną zaufania - odrobiną świata spoza granic pokoju dziecięcego. - Dobrze, nie będę pani zmuszał, jeśli obieca mi pani, że kiedyś mi o tym wszystkim opowie. Skinęła z powagą głową i powiedziała: - Obiecuję. Dotyk jej dłoni palił mnie takim żarem jak ręce Niebieskookiego, unoszące mnie za gardło nad ziemią tak dawno już temu. Spytałem Nyateneri, czy bardzo ją boli, na co mi odrzekła: - Dosyć, choć nie aż tak, jakby mogło. Nie bardziej niż ciebie nos. Co powiedziawszy, cmoknęła mnie w jego czubek, a potem musnęła mi usta przelotnym pocałunkiem. - Chodź - powiedziała - musimy wesprzeć się wzajemnie, jeśli mamy wrócić do karczmy. Czuję się naprawdę stara. Obszedłem łąźnię, żeby pozbiierać wiadra. Kiedy wróciłem, Nyateneri stała wyprostowana, trzymając sztylet za koniuszek ostrza. Po chwili wyrzuciła go z uwagą w górę na tyle wysoko, by zrobił w powietrzu tylko jeden powolny obrót. - Oczywiście nie jest dobrze wyważony - mruknęła pod nosem. - Nie przeznaczono go do rzucania. Potem odwróciła się i uśmiechnęła do mnie. Miałem nadzieję, że jeszcze raz mnie pocałuje, lecz nie zrobiła tego.

OBERŻYSTA

W naszym kraju nadal panuje królowa; władza z czarnego zamku w Fors na'Shachim. A może teraz już rządzi król albo znowu armia, zresztą to obojętne. Poborcy podatków po staremu zdzierają z nas skórę, niezależnie od tego, kto ma władzę. Więc nieważne czy król, czy królowa, czy jakiś pyszałkowaty kapitan - wybiorę się tam któregoś dnia i wystaram o audiencję. Czeka mnie trudna i męcząca podróż. Rozbójnicy ustawią się w kolejce na gościńcu, żeby ograbić mnie z tego, z czego nie zdążyli oskubać woźnice i karczmarze, a potem będę musiał wysupłać ostatniego miedziaka ukrytego w podeszwach butów na łapówki, które mi otworzą dostęp do majestatu i pozwolą złożyć skargę. Ale dopnę swego i zostanę wysłuchany. Choćbym miał głową przyplacić moją śmiałość. "Wasza Wysokość" - zapytam - "gdzie w królewskich rulonach i prawniczych pergaminach ustanowiono, że oberżysta Karsh ma nie zaznać ani chwili świętego spokoju? Gdzie twoi czcigodni ministrowie zapisali, że gdy nie trapią go codzienne plagi i przeciwności losu nieodłączne od prowadzenia tak nędznego interesu jak karczma "Pod Tasakiem i Ościeniem", ma go prześladować nie kończąca się parada gburów, oszustów,

niewydarzeńców i opętańców? Zechciej też, Wasza Wysokość, zaspokoić ciekawość starego człowieka i powiedz mi, gdzie Ty ich wszystkich wynajdujesz? Gdzie monarcha, choćby tak potężny jak Ty, znajduje, i to jednocześnie, trzy obłąkane kobiety, z których żadna nie jest nawet z grubsza tą, za którą się podaje, kompletnego durnia, utrzymującego, że jest narzeczonym największej wariatki z tego grona, nie śmierdzących groszem komediantów, co zapełniają mi stajnię i nie dają zmrzyć oka koniom moich gości - i wreszcie chłopca stajennego, który zawsze był nicponiem i ladaco, ale ostatnio zapowiada się na prawdziwego pomyleńca? No i ten ostatni akt prawdziwego geniuszu, ci dwaj rozchichotani knypkowaci mordercy ukatrupieni w mojej łaźni - Wasza Wysokość! moje niewybredne chłopskie podniebienie nie jest dość subtelne, by smakować podobnie wyszukane potrawy! Dla mnie pozostają one bez różnicy jedynie czystymi utrapieniami; po co marnować takie perły sztuki udręczania na grubego, zmęczonego Karsha? Pokaż mi tylko, Wasza Wysokość, gdzie to zapisano, a powlokę się w długą drogę powrotną do karczmy Pod Tasakiem i Ościeniem i już nigdy nie będę zawracał Twej królewskiej głowy.” Koniecznie muszę przed śmiercią powiedzieć to wszystko zasiadającej na tronie osobie. Wiem, że to nic nie zmieni, nie mam co do tego żadnych złudzeń. Mój fatalny los pozostanie mym losem, niezależnie od tego, kto i gdzie go zapisał. A gdyby naszła mnie pokusa, aby wyrwać się choćby na chwilę spod władania mej przeklętej doli, wystarczy, że przypomnę sobie tamten wieczór, kiedy stałem i gapiłem się tępo przy blasku latarni na dwa rozciągnięte na ziemi trupy, a ta brązowa bitna zakonnica Nyateneri miała czelność zapytać, czy wszystkim kąpiącym się w naszej łaźni przysyłam takich kąpielowych. Ów huncwot zaś stał przy niej bliźiuteńko i gapił się na mnie wyzywająco jakby mówił: spróbuj no tylko zagonić mnie do roboty! Zrobiłbym to, dla samej zasady, ale niech tam, pal sześć, a poza tym miałem inne zmartwienia na głowie. Przed trzydziestu laty właśnie nieboszczycy, można rzec, oddali karczmę “Pod Tasakiem i Ościeniem” w moje ręce, a to czas dostatecznie długi, bym się zdążył nauczyć, że dwa kolejne trupy mogą mi ją teraz z łatwością odebrać. Za stary już jestem, żeby zaczynać jak Gatti Jinni u jakiegoś innego karczmarza. Panna Nyateneri przebąkiwała coś przez chwilę o morderstwie, braku odpowiedzialności i prawodawstwie, ale tylko tak, dla picu. Za stary ze mnie wróbel, nie weźmie mnie na takie plewy. Trochę się jednak zdziwiłem, nie powiem: dwa małe trupki, podobne do dwóch kopczyków brudów z pralni, kostnieją na zimnie, podobnie jak musiały sztywnieć jej własne mięśnie, nerwy i serce na tym wietrze, jaki zawsze się zrywa w podobnych przypadkach, a ta mi tu zmywa głowę, jakby jej łachy wróciły z prania brudne. Pozwoliłem jej się wygadać, pochlebiam sobie, a potem mówię: - Nie mamy co prawda w Corcorui szeryfa ani królewskiego

urzędnika, ale co parę miesięcy przejeżdża przez miasteczko okręgowy sędzia. Jeśli nam się poszczęści, przybędzie tu za jakieś cztery, pięć dni. Jeśli pani sobie życzy, zgłosimy mu wtedy tę sprawę. I co powiesz? Panna Nyateneri zamilkła natychmiast jak niepyszna. Nie zaprzeczę, że patrzyłem z przyjemnością, jak spuściwszy oczy i przycisnąwszy łokcie do tułowia mamrocze, że i ona sama, i jej towarzyszki spieszą się i nie pragną rozgłosu. Nie zwykłem czerpać szczególnej przyjemności z czyjogoś zakłopotania - bo jaka stąd dla mnie korzyść? - ale z tych trzech bab, które wlaży mi na głowę przed dwoma długimi tygodniami, ta szczególnie zaszła mi za skórę, odkąd jej lis czmychnął z moją kurą w pysku. Toteż zaplotłem ręce na brzuchu i napawałem się jej zmieszaniem, a ten łajdak, mój stajenny, nabzdyczył się, jakbym groził damie jego serca, o dobrą głowę od niego wyższej. Musiała sobie coś zrobić w lewą rękę, bo dotykał jej delikatnie, leciusiańko, zawstydzony jak panna. Szkoda gadać, to były dla nas obu długie dwa tygodnie. W końcu się nad nią zlitowałem i mówię: - W takim razie jestem zdania, że trzeba nam się brać za łopaty i nabrać wody w usta. Zgadza się pani ze mną? - Wytrzeszczyła ślepią, a ja dodałem: - My, karczmarze, szynkujemy zapomnianiem na równi z jedzeniem i winem. Ci dwaj przez panią zakatrupieni obchodzą mnie tylko dlatego, że nie byli pani widać obcy. Tropili panią do drzwi mojej gospody, podobnie jak tamten pomyłony smarkacz z południa pani przyjaciółkę, a wygląda na to, że jeszcze większe kłopoty was tutaj dopadną, i niech mi pani nawet nie próbuje przeczyć. Nie jestem w stanie nic na to poradzić, stanęłyście tu wbrew mojej woli, prawem zbrojnej przemocy, ale niech pani z łaski swojej nie żąda ode mnie, żebym się w tę waszą awanturę angażował. Pogrzebiemy z moim chłopakiem pani ofiary i żywa dusza się o tym nie dowie. Uśmiechnęła się; po obliczu tykowatej pannicy przemknął co prawda tylko skąpy lisi uśmieszek, na tyle jednak wyraźny, bym mógł go uznać za pierwszą grzeczność ze strony panny Nyateneri, grzeczność okazaną gospodarzowi oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem". - Czy i pozostali goście myślą się co do pana podobnie jak ja? - spytała zaciekawiona. - Zrobi mi pan przyjemność potwierdzając. - Skąd mogę wiedzieć? - odpowiedziałem pytaniem na pytanie. Chłopak wybałuszył oczy na coś za moimi plecami, ale nawet nie odwróciłem głowy. - Trudnię się zapomnianiem - powtórzyłem. - Moich gości pytam tylko o to, czy życzą sobie skandele do łóżka, dodatkową kołdrę albo nadziewaną gęś na kolację. Gęś to specjalność Shadry'ego i trzeba ją zamawiać na dzień z góry. - Usłyszałem u mojego boku chichocik tej czarnej, Lal, a nieco dalej w ciemności oddech ich trzeciej kompanionki, tej białaski. - Nie tylko o tym należałoby uprzedzać na dzień z góry - odezwała się Lal - a nie czyni się tego. - Panna Nyateneri zatrzaskała usta; dosłownie słyszało się, jak je zamyka, a nie należę do ludzi z bujną wyobraźnią. Panna Lal

dodała jeszcze: - Niech pan wraca do gości, miły gospodarzu, a ja i moje przyjaciółki zajmiemy się tą przykrą sprawą. Rosseth także może pan zabrać ze sobą. Zawsze przybierała pańskie tony, ale tym razem usłuchałem jej skwapliwie. Dopiero po zrobieniu dobrych dziesięciu kroków zorientowałem się, że ów huncwot Rosseth za mną nie podąża. Gdy się obejrzałem, stał odwrócony plecami do mnie, a twarzą do trójki kobiet i mówił: - Przyniosę szpadel. Pozwólcie mi chociaż przynieść wam szpadel! - Podpierał się pod boki i kręcił z uporem łepetyną. Tak samo się zachowywał na stryszku i na kartoflisku, kiedy miał pięć lat. - Nie jesteś nam potrzebny, Rosseth. - Głos Lal zadźwięczał twardo, prawie szorstko, niemal tak jak sobie bym życzył. - Idź ze swym panem, chłopcze. Wtedy odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie jak ślepiec; wpadłby na mnie, gdybym się w czas nie usunął. Jeszcze przez chwilę przyglądałem się tym babom - nie patrzyły za nami, skupiły się jak kruki nad trupami - a potem pośpieszyłem za chłopakiem do gospody. Po raz pierwszy od bardzo dawna to ja szedłem za nim.

LAL

Może i szkoda, ale nie doszłoby do tego wszystkiego, gdybym się nie upiła. Piję rzadko - to jedna z niewielu przyjemności, jakich życie mi zawsze skąpiło - lecz nigdy bez powodu. Uznałbyś pewnie, że tego dnia powinnam upić się z radości, skoro nie tylko trafiłyśmy wreszcie na ślad tego, którego ja nazywam moim przyjacielem, a Nyateneri Chichotkiem, ale uzyskałyśmy też częściowy przynajmniej wgląd w jego losy. To prawda, choć owego dawno minionego wieczoru, w ciasnym pokoiku cuchnącym Karshem, lisem Nyateneri i stadem gołębi, które karczmarz trzymał na poddaszu nad swoją izdebką, była to prawda jałowa i bezwartościowa. Cóż bowiem dla nas za pożytek z wiedzy, że nasz ukochany mistrz mieszkał w pobliżu Corcorui w śmiesznej piernikowej wieży i został zdradzony przez bliskiego przyjaciela, którego z kolei zgładziły jakieś demony, skoro nie miałyśmy bladego pojęcia, jak dawno to się stało ani dokąd potem uciekł? Lukassa nie potrafiła nam powiedzieć nic więcej ponad to, co jej samej wyjawiała ta straszna komnata, więc trop był jeszcze zimniejszy niż kiedy o świcie wyruszałyśmy z oberży. Mój przyjaciel musiał sam poszukać do nas drogi, my straciłyśmy już wszelkie sposoby dotarcia do niego. Co do mnie, czułam się psychicznie zmęczona i zła na cały świat; nie byłam w stanie ani zebrać myśli, ani zasnąć. Posłałam więc Karsha po jego trzy ostatnie, jak się skarżył, butelki "Córki Smoka" (wina z najdalej na południu położonych winnic, jakie posiadał w swej piwnicy, tak czerwonego, że aż prawie czarnego) i zabierałam się właśnie przykładnie do drugiej z nich, kiedy dano mi znać, że jestem potrzebna w łaźni. Dla towarzystwa wzięłam ze sobą butelczynę. Lukassa powlokła się za mną. Kiedy za dużo wypiję - a jeśli już

piję, to zawsze za dużo, jak już mówiłam - wpadam przeważnie w nastrój posępnej zadumy i niechęci do świata. Kto wie, może to właśnie moja prawdziwa natura, a reszta - tylko maska? Kiedy we trzy grzebałyśmy dwa trupy w kłujących jeżynach oddalonych od łaźni o dobry kawałek drogi, nie odzywałam się do Nyateneri ani słowem: żadnych pytań, żadnych wymówek. Obie znałyśmy się na tej robocie i wiedziałyśmy, że najlepiej wykonywać ją w milczeniu. W czasie owego pochówku wysuszyłam do końca drugą butelczynę nie częstując moich towarzyszek. Nyateneri wypowiedziała nad grobem kilka słów w ojczystym języku, po czym wróciłyśmy do gospody. Po drodze Nyateneri i Lukassa zezowały na mnie z ukosa, pierwsza z lewej, druga z prawej strony. Milczałam jak zaklęta, dopóki nie znalazłyśmy się w naszym pokoiku i nie stanęła przede mną ostatnia butelka wina. Taka już jestem, pozostałam taka do dzisiejszego dnia. Dlatego wolę podróżować sama... Dopiero wtedy wsiadłam na Nyateneri. Nie jestem specjalnie dumna ze wszystkiego, co wtedy wykrzyczałam, więc nie widzę powodu, żeby przytaczać słowo w słowo moje oskarżenia. Główny mój zarzut zasadzał się na tym, że oszukała nas obie: Lukassę i mnie; naraziła na niebezpieczeństwo nasze życie twierdząc kłamliwie, gdyśmy się spotkały, że nikt jej nie ściga, choć dobrze wiedziała, iż depczą jej po piętach ci dwaj mordercy. A kiedy jeszcze zaczęła się bronić wykazując, że powiedziała tylko, iż nikt nie czeka na jej powrót, nie zaś że nie dybie na jej życie - o, wtedy zupełnie oniemiałam z oburzenia i wybiegłam zza stołu z zamiarem skoczenia jej do gardła. Zamiar oczywiście niemądry, bo nawet ranna i wyczerpana walką Nyateneri była nadal znacznie ode mnie silniejsza, na szczęście skoczyła za łóżko i wyciągnęła do mnie ręce w geście pojednania. Gołębie na poddaszu obudziły się, rozgruchały i roztrzepotały, aż ze szpar między belkami stropowymi sypnął się chłodny pył.

- O co ci chodzi? Chcieli mnie zabić, a tymczasem zginęli z mojej ręki. Tyś ich nawet w ogóle nie widziała, zobaczyłaś dopiero dwa trupy. O jakim więc mówisz zagrożeniu? Jakich z ich powodu doznałaś niewygód? Czy choć jednej nocy nie zmrużyłaś przez nich oka? To była moja sprawa, sama musiałam się z nią uporać, zrobiłam to i rzecz skończona. Koniec, kropka, nikomu poza mną nie stała się żadna krzywda. Chyba temu nie zaprzeczysz, Nocna Lal? - Czyżby? - krzyknęłam. - Dwa trupki i nic się nie stało! Czy u ciebie to zawsze tak łatwo idzie, bez żadnych... - zabrakło mi słowa - bez żadnych następstw? Zapytaj Rossetha, którego ci dwaj omal nie udusili... zapytaj ją! Najpierw wyprawa do wieży, potem spotkanie z Tikatem, teraz ten pogrzeb ofiar Nyateneri - biedna Lukassa miała niewątpliwie najcięższy dzień z całej naszej trójki, trudno ją więc winić, że skuliła się w kącie, szepcząc coś do lisa i kręcąc w palcach kosmyk włosów. Sama bym tak robiła, gdyby nie wino. Nyateneri obejrzała się i długo, w

zamyśleniu, przyglądała się dziewczynie, która w pierwszej chwili podniosła na nią wzrok, ale zaraz go znowu spuściła. - Owszem, zapytam. I może usłyszę od niej w zamian, jak się czuje zmarły przywrócony do życia? Dowiem się też może, dlaczego mnie nie uprzedzono, że podróżuję z czarodziejką i chodzącym trupem, za którymi goni jakiś obłąkany wiejski parobek? Można było chyba w stosownym czasie poruszyć i tę kwestię, nieprawdaż? Przemawiała ze swoją zwykłą słodką ironią, ale głos drżał jej z lekka, gdy na mnie patrzyła. Choć miotła mną wściekłość, nie myślałam już o skakaniu winowajczynie do gardła. - To była nasza i tylko nasza sprawa - odrzekłam. - Nie naraziłyśmy cię w ten sposób na takie niebezpieczeństwo, na jakie ty nas naraziłaś swoimi tajemnicami! Gdyby było inaczej, wyznałabym ci prawdę. Nyateneri parsknęła pogardliwym śmiechem. - Istnieje tylko jeden czarownik, którego słowa zwykłam traktować serio! Jej lewa ręka brzydko spuchła; podczas kopania grobów posługiwała się nią bez skargi, rzucało się jednak w oczy, że każdy ruch sprawia naszej współtowarzyszce ból. - Lecz nawet on nie usiłował nigdy podnosić z grobu umarłych - dodała. - Twierdził, że nie istnieje skuteczny, wolny od błędu sposób przeprowadzenia takiego zabiegu i nawet najpotężniejsi czarownicy nie byłiby w stanie uczynić tego jak należy. Więc nie trudź się i nie przekonuj mnie, że nauczyłaś się tej sztuki od n i e g o. Za dobrze go znałam! - Guzik go znałaś! - wrzasnęłam. Dopiero widok jej mrugających ze zdziwienia oczu uświadomił mi, jak nisko upadłam. Cofnęłam się do najdawniejszego języka, jakim posługiwałam się w dzieciństwie: do tajemnej mowy inbarati z Khaidun. Tobie to pewnie niewiele mówi o stanie mojej wściekłości i upojenia, ale mnie tak. Brzmienie tej mowy tak mną samą wstrząsnęło, że aż zaczęłam dygotać, po czym powiedziałam powoli w uniwersalnym języku: - Gdybyś go znała tak dobrze, jak twierdzisz, wiedziałabyś, jak kochał ogrodnictwo i jak kiepskim był ogrodnikiem. Jego dynie miały wielkość piątki, zielony groszek pękał jak pergamin, kukurydza wschodziła uschnięta, bób zaś nie wschodził wcale. Bez pomocy czarów nie wyhodowałby nawet kartofla. Nyateneri gapiała się na mnie kręcąc z niedowierzania głową i sama wyglądała przy tym jak pijana. - Co? - zawołała. - Co takiego? Skorzystałaś z jego starego ogrodniczego zaklęcia? Nie wierzę! - W jej gardle wzbierał już jednak śmiech, nie ten ironiczny, ale głęboki bulgoczący rechot. - Oj, nie wierzę, nie uwierzę w to! Podniosłaś ją z martwych jak melon, jak... - Śmiech nie pozwolił jej dłużej mówić, padła na łóżko obok Lukassy i klepała się po udzie zdrową ręką, zanosząc się niepohamowanym chichotem. Po chwili rozchichotał się również lis. Lukassa wyglądała w pierwszej chwili na urażoną, lecz śmiech Nyateneri był tak zaraźliwy, że wkrótce wszystkie trzy trzymałyśmy się za brzuchy, a lis miotał się między nami i szczypał nas boleśnie w nosy i

podbródki. Gdy go zgoniłam z łóżka, najspokojniej w świecie wskoczył na stół i strzygąc uszami rachował trzepoczące na stryszku gołębie. Do dziś zachodzę w głowę, po co Karsh trzymał te ptaki i do kogo na tym świecie chciał posyłać listy? Zapewne już nigdy się tego nie dowiem. Śmiech rozpuścił kolczastą kulę złości, która przez cały dzień, jeśli nie dłużej, siedziała mi w żołądku. Lukassa uczepliła się tego śmiechu jak dziecko ostatnich chwil wakacji. I nic dziwnego: od swojego powrotu do życia nie uśmiechnęła się nawet dwa razy. Nyateneri wypytywała ją ze śmiechem, choć bez złośliwości: - Powiedz, jak się człowiek czuje jako dynia i głowa kapusty? Co się wtedy czuje? Dziewczyna odpowiedziała jej w końcu, ale takim głosem, że naprawdę wiele bym dała, by go móc zapomnieć. - Ja nigdy nie byłam warzywem - odrzekła cicho. - Warzywo nie wie, co się z nim dzieje, a ja wiedziałam. Kiedy wpadłam do rzeki, byłam umierającą Lukassa, a kiedy już umarłam, ciągle byłam Lukassa, wciąż i wciąż. To prawda, w takim razie nadal nie pojmuję, dlaczego oplakiwała własną śmierć z taką rozpaczą i z takim gniewem, że aż musiałam zboczyć z drogi, zmienić trasę podróży, a w końcu całe swe życie. Dziewczyna ciągnęła: - A gdy wypłynęłam spod wody w stronę księżycy i stanęłam przed Lal, wciąż byłam Lukassą, choć... - Głos jej się załamał - ... już trochę mniej. Inaczej. Jakaś część Lukassy została na dnie rzeki wśród kamyków, a ja nie mogę wrócić, żeby ją odszukać. Zresztą gdybym nawet mogła, ona by nie przyszła na moje wezwanie, bo nie ma już imienia i nikt jej zawołać nie może... Zamilkła i nawet lis nie ośmielił się spojrzeć jej w oczy. Kiedy poczułam łzy, nie od razu się zorientowałam, co się dzieje, tak dawno już nie płakałam. W pierwszej chwili sądziłam, że zaszkoziło mi wino, potem, że dostałam jakiegoś skurczu albo ataku drgawek, gdyż mięśnie mojej twarzy, gardła i brzucha zaczęły jak gdyby odrywać się ode mnie, choć walczyłam z tym tak zawzięcie, że ledwo mogłam oddychać. Moje własne ciało okazało się zdradzieckie niczym Bismaya, bezmyślnie okrutne jak ludzie. Usłyszałam jakiś dziwny, cienki głos, jakby lament dziecka, a potem z oczu trysnęły mi łzy, a ja już się przed nimi nie broniłam; poddałam się - ja, Lal, która nigdy się nie poddawała, nikomu, nawet w głębi serca, i wszyscy o tym od dawna wiedzieli. Aż do tej chwili nikt z ludzi żyjących na tym świecie nie widział mych łez, nikt prócz mojego przyjaciela, jeśli oczywiście znajdował się jeszcze wśród żywych. Od tamtego czasu zdarzyło mi się płakać, ale tylko raz, ze szczęścia, lecz to nie należy do niniejszej opowieści. Nyateneri i Lukassa wytrzeszczyli na mnie oczy a ja, zgięta niemal wpół, zanosila się rozdzierającym szlochem. Owszem, część mojego rozrzewnienia sprawiło niechybnie wino, ale nie było to wyłącznie pijackie roztkliwienie. Widzisz, wszystko, ale to absolutnie wszystko, co mi zostało z początkowego okresu życia, to moje imię, Lalkhamsinkhamsolał; gdybym je

straciła, moja dusza zawołana po imieniu nie byłaby w stanie odpowiedzieć. Czy mnie aby dobrze rozumiesz? Samo już wyobrażenie sobie takiego nieszczęścia przekraczało moje siły i okazało się nie do zniesienia. Ta wiejska gąska gapiała się na mnie z gamoniowatym zdziwieniem, podczas gdy ja zalewałam się łzami nad jej stratą i jej odwagą, lecz również nad sobą, nad moim przyjacielem i nad miastem Khaidun, gdzie się urodziłam. Płakałam tak długo, że aż tyle zdążyłam opłakać. W końcu Nyateneri objęła mnie ramieniem, a ja natychmiast się uspokoiłam. Uczyniła to niezręcznie i sztywno, bo też, szczerze mówiąc, niełatwo się mnie obejmuje. Odsunęłam się od niej, otarłam twarz i osuszyłam oczy. Nyateneri odwróciła się i napełniła winem mój kubek. Następnie pociągnęła łyk, zakrzuszyła się, wzdrygnęła i zauważyła: - Sądzę, że zdałoby się nam jeszcze trochę tej potwornej lury. - Więcej nie ma - chlipnęłam - Karsh tak powiedział. Uświadomienie sobie tego faktu wycisnęło mi z oczu jeszcze kilka łez. - Karsh się mylił - oświadczyła Nyateneri, zerwała się z łóżka, wybiegła z pokoju i już zbiegając po schodach wołała głośno gospodarza, a wszystko to wydawało się Lukassie i mnie dziełem jednej chwili. Siedziałyśmy w milczeniu, skrępowane bardziej niż ludzie nieznajomi. Doprowadziłam się do jakiegoś takiego porządku, a gdy byłam już w stanie wydusić z siebie głos, powiedziałam do dziewczyny: - Posłuchaj, tylko jeden człowiek może przywołać z powrotem Lukassę, która leży na kamienistym dnie rzeki. Tym człowiekiem jest Tikat. Wzdrygnęła się, co poczułam tak wyraźnie, jakby zatrzęsała się pod nami ziemia. Nie spojrzała na mnie. - Nikt inny - powiedziałam. - Jeśli chcesz odzyskać tę część siebie, musisz do niego pójść. - Nie chcę. Nie pójdę. - Ledwo ją usłyszałam, tak cichym odezwała się głosem. Zaciśnęła palce na poręczy łóżka i wpatrywała się w swoje ściśnięte kolana. - Zostaw mnie w spokoju. Nie chcę! - On cię kocha - perswadowałam. - Choć mało wiem o miłości, tego jestem absolutnie pewna. Lukassa pokręciła jednak głową tak energicznie, aż usłyszałam chrobot chrząstki w jej szyi i zawołała: - Och, przestań, Lal, nie mogę tego znieść! Rzadko zwracała się do mnie po imieniu; Nyateneri zaś w ogóle nigdy. Dotknęłam ramienia dziewczyny chcąc ją pocieszyć, równie niezdarnie jak Nyateneri mnie przedtem przytulała, ale Lukassa odepchnęła moją rękę i siedziała dalej nieruchomo, dopóki nie usłyszałyśmy ponownie stukotu butów na schodach. Wtedy zwróciła w moją stronę twarz jeszcze bledszą niż zwykle, ale spokojną, z suchymi oczami. - Nie jestem wcale pewna, czy chcę, by tamta Lukassa wróciła - szepnęła. A potem Nyateneri pchnęła nogą drzwi i wkroczyła do pokoju z naręczem butelek wina o nazwie "Córka Smoka". Uśmiechała się tak groźnie, że zaczęłam wypatrywać tkwiących między jej zębami strzępków brudnego fartucha karczmarza Karsha. - Zwykle nieporozumienie - oświadczyła. - Wiedziałam, że się wyjaśni,

kiedy przedstawię panu oberżyscie sytuację. Może był to tylko rezultat zmęczenia po walce na śmierć i życie, jaką stoczyła, a może ja jestem taka próżna, jak się o to zresztą zawsze podejrzewałam, ale Nyateneri wykazała się tej nocy znacznie słabszą ode mnie głową. Bez ceregieli i wykrzywania się pociągnęła prosto z butelki jak prosty żołnierz i nim jeszcze osuszyła tę pierwszą, zaczęła nam opowiadać o klasztorze, z którego uciekła. Przynajmniej tego domyśliłam się trafnie, jeśli już nawet niczego więcej. - Znajduje się daleko na zachodzie - zaczęła. - Nie, ty go nie znasz, Lal, wznosi się w miejscu, do którego nigdy nie dotarłaś, choć tak zawołana z siebie podróżniczka. Najbliższym niego miastem, co wcale nie znaczy, że blisko położonym, jest Sumildene - grodek, którego nie odwiedza nikt, kogo tam nie zagna surowa konieczność. Mogłabym to potwierdzić, bo zajęchałam raz do Sumildene, lecz nie widziałam potrzeby, żeby się w to wgłębiać. Nyateneri mówiła dalej: - Na zachód i na południe od Sumildene rozciągają się tereny podmokłe, nadające się tylko pod uprawę tilgit, zdolne wyżywić niewielu tylko rolników. - Uśmiechnęła się na widok naszych pytających spojrzeń. - Co to takiego tilit? Rodzaj bagiennych chwastów, które się suszy i młóci do znużenia, a potem wyrabia się z nich niewyobrażalnie ohydną papkę, podtrzymującą przy życiu miejscową ludność dopóty, dopóki ci nieszczęśnicy nie wolą raczej umrzeć, niż nadal żreć owo świństwo. Ach, jakże chciwie my w klasztorze wyglądałyśmy postu! Uciekłabym stamtąd choćby tylko z powodu tej diety.

- Jak się nazywa ten klasztor? - spytałam, lecz Nyateneri rozłożyła tylko ręce i uśmiechnęła się przepraszająco, wobec tego zadałam jej inne pytanie: - Jak długo tam mieszkałaś? - Dwadzieścia jeden lat - odrzekła cicho. - Od dziewiątego roku życia. - Na moje następne pytanie odpowiedziała, nim je postawiłam: - Jedenaście lat. Uciekam już jedenaście lat. Lukassa pociągnęła łyżeczkę wina i zmarszczyła nos i usta do prześlicznego kichnięcia. - Nic nie rozumiem - poskarżyła się. - O jakim wy mówicie klasztorze? Nyateneri nic nie odpowiedziała; ja ją wyręczyłam: - O klasztorze, który nie pozwala mniszkom na zrywanie ślubów. Są takie. - Lis zeskoczył ze stołu, zwinął się w kłębek i błyskał jasnymi ślepiami spod ciężkich od senności powiek. Ciągnęłam: - Nie słyszałam jednak o klasztorze, który ściągaby odstępczynię przez jedenaście lat, nie mówiąc już o posyłaniu za nią skrytobójców. - Kiedy Nyateneri, nie patrząc na mnie, odkorkowała drugą butelkę, jakiś złośliwy chochlik kazał mi dorzucić: - Muszę powiedzieć, że nie jestem zbyt wysokiego zdania o tropicielach, którym trzeba aż tyle czasu na wytropienie zwierzyny. Ja sama znalazłabym cię w najgorszym razie w ciągu dwóch lat, a znam i takich, którym takie zadanie zabrałoby niespełna rok. Był to z mojej strony zwyczajny podstęp

i Nyateneri z pewnością natychmiast go dostrzegła. Mimo to pociągnęła tęgi łyk, odstawiała butelkę tak zamasyście, aż z szyjki chlusnęło wino, i powiedziała do ściany: - Pierwsi zabójcy dopadli mnie w jeszcze krótszym czasie. Klasztor karmi tylko najlepszych z najlepszych. Wyznaję, że usłyszawszy to zaniemówiłam na dłuższą chwilę ze zdumienia. Nyateneri zdążyła już wydudlać sporą część zawartości drugiej butelki, nim odzyskałam głos i spytałam: - Pierwsi? Czy to znaczy, że byli... następni? Tym razem Nyateneri zaśmiała się w sposób, który ją postarzał. - Aż dwa zespoły. Polują zespołami. Zgubić ich nie można, można tylko zabijać. - Jej śmiech zacisnął się na mnie w taki sam zapewne sposób, w jaki musiał się zacisnąć na grubym Karshu. Nyateneri mówiła dalej: - Szybko, szybciej niż sądzicie, wiadomość o niepowodzeniu jednego zespołu dociera do klasztoru, skąd natychmiast wysyłają następny. Jestem pierwszą w dziejach uciekinierką, która przetrwała trzy takie pościgi. W klasztorze muszą być niepokieszeni! Po dłuższym milczeniu Lukassa zadała wreszcie pytanie, na którego postawienie ja sama byłam zbyt wstrząśnięta. - Ale dlaczego? Dlaczego tamci zabijają każdego, kto ich porzuca? Nie robiliby tego gdyby wiedzieli, co to znaczy być martwym. W jej głosie zabrzmiał ton dziwnie przygnębiającej, niemal okrutnej pokory; do dziś dźwięczy mi w uszach. Nyateneri nakryła jej dłoń swą zdrową ręką. Nie uścisnęła jej ani nie pogłaskała; po prostu położyła ją na chwilę. - Przypuszczam, że to wiedzą - powiedziała - w każdym razie na pewno lepiej od innych. Zgromadzili aż za dużo wiedzy, za dużo tajemnic i nie chcą się nimi dzielić. - Lukassa już nabierała tchu do kolejnych indagacji, lecz Nyateneri ją ubiegła i naśladując ze śmiechem, wolnym jednak od złośliwości, intonację dociekliwych dziecięcych pytań powiedziała: - "Jakie tajemnice, jaką wiedzę?" Ach, Lukasso, wielkie i groźne tajemnice, straszne tajemnice królów, królowych, kapłanów, generałów, sędziów i ministrów; tajemnice zdolne burzyć świątynie i cesarstwa, wszczynać i kończyć wojny, zmusić tę królową do zrzeczenia się korony, tego człowieka do popełnienia samobójstwa, a ich do wygubienia całego narodu w imię zachowania jednej z tych żalonych sekretnych prawd. Głupie, idiotyczne tajemnice! Kontuzjowaną dłonią uderzyła w stół, niezbyt mocno, tak jednak energicznie, że aż z bólu zacisnęła wargi i pobladła na twarzy. - Pozwól mi obejrzeć swoją rękę - poprosiłam, lecz Nyateneri cofnęła ją i podjęła opowieść, głosem jeszcze bardziej opanowanym niż przedtem. - Ten klasztor jest bardzo stary. Nawet nie potrafię powiedzieć, jak bardzo. Wstępują do niego ludzie najróżniejsi: leciwi, młodzi, niektórzy tak młodziutcy jak ja byłam. Łączy ich tylko to, że każdy przyniósł ze sobą jakiś sekret. Żeby zostać przyjętym, trzeba wyznać przynajmniej jeden. - Ależ ty miałaś zaledwie dziewięć lat! - zawołałam. Wpatrując się w jej oczy ponownie sięgnęłam do zranionego

nadgarstka. Grzbiet dłoni i napiętek były gorące, ale nie wyczułam pod palcami złamanej kości. Nyateneri przymknęła oczy. - Sekretów miałam już jednak pod dostatkiem. Z radością mnie przyjęto, a ja... byłam uszczęśliwiona, że się tam znalazłam; długo mnie to cieszyło. Dużo się przez ten czas nauczyłam. Nalej mi jeszcze trochę wina albo zwróć mi moją rękę. Jakież to znów ogrodnicze zakłęcie nad nią odmawiasz? - Żadne zakłęcie, próbuję tylko zastosować sztukę dla oszukania bólu, jakiej się nauczyłam na Wyspach Południowych. Czasami mi się udaje. W klasztorze nauczyli cię chyba niejednego na temat bólu, prawda? Nasza wojowniczką dwoma haustami wychyliła kubek. - Już wcześniej to i owo o nim wiedziałam - mruknęła, po czym zamilkła na dłuższą chwilę; sączyłyśmy obie wino, a ja zajmowałam się jej ręką. Lukassa siedziała na łóżku i przyglądała się nam spod oka; od czasu do czasu, gdy myślała, że tego nie widzę, podsuwała lisowi swój kubek, aby i on się napił. Pod oknem rozlegają się trzy gwizdnięcia, potem słychać powolne kroki na korytarzu za drzwiami; przepity głos mruczy żeglarską piosenkę - to któryś z marynarzy zdąża chwiejnie na swój barłóg. Dwa pokoje dalej para świątobliwych pątników śpiewa na dwa głosy antyfonę. Znam trochę tę modlitwę. - Dlaczego uciekłaś? Ręka Nyateneri zaczyna reagować na moje starania. Pojęcia nie mam, na jakiej zasadzie działa ta sztuczka wyspiarzy, nie najlepiej się też czuję - choć wiem, że to tylko złudzenie - doświadczając uczucia pompowanej przez moje ciało niemal wrzącej wody. Jednak jakoś to działa. Nyateneri wzruszyła ramionami. - Zaproponowano mi miejsce w kapitule klasztoru, której władza sięga daleko poza jego mury. Przygotowywano mnie do tej roli od dziecka i w końcu nadszedł czas, abym zajęła należne mi miejsce wśród wszystkich tych wyższych istot. Poczułam się w pewien sposób zaszczycona, nawet wdzięczna. Prawdę mówiąc wdzięczność żywię do tej pory. Gdyby nie zaproponowano mi udziału we władzy, może nie dowiedziałabym się nigdy, że władza mnie w ogóle nie interesuje, co wtedy zrozumiałam w jednej chwili. Miałabym spędzić resztę życia jako ktoś w rodzaju cyrkowego tresera tajemnic, utknąć na zawsze w tych ponurych lochach wielkości i nosić u podniebienia sekrety prastarej wiedzy tajemnej, wiszące łebkami w dół jak śpiące nietoperze? O nie, na to ta chuda dziewczynka z północy nie zamierzała się godzić! - Nyateneri ponownie grzotnęła w stół, tym razem kubkiem wina, a potem obejrzała się i powiedziała cicho, jednak nie do którejś z nas, ale do lisa, nie mam co do tego żadnych wątpliwości: - Choć zgodziła się wcześniej na wiele rzeczy, które nie budziły jej sprzeciwu, oraz na takie, które jej sprzeciw budziły, na to nie myślała się godzić. Lis odwzajemnił jej spojrzenie, po czym ziewnął ostentacyjnie, tak jak tamtego wieczora, kiedy się pierwszy raz spotkałyśmy. "Oni się znają jak kochankowie", pomyślałam,

“ich zażyłość jest silniejsza od miłości, silniejsza od nienawiści, silniejsza od podejrzliwości, zaufania i zdrady”. Zaciekawilo mnie, w jaki sposób się poznali, jak dawno temu, wreszcie jak długo żyją lisy. Nyateneri ciągnęła: - Takiej propozycji się nie odrzuca, więc powiedziałam “tak”. Powiedziałam: “Tak, dziękuję, choć nie jestem godna takiego zaszczytu”. - I tej samej nocy uciekłaś... - szepnęła Lukassa. Pochylona do przodu chłonęła chciwie piwnymi oczami historię Nyateneri, tak jak opowieści szeptane jej przeze mnie. Nyateneri skwitowała jej słowa bladym uśmiechem. - Wiedziałam, że w nocy postawią warty przy drzwiach mojej celi. Uciekłam tej samej godziny. I uciekam od tamtej pory... Korytarzem przetarabaniło się z wrzaskiem, śmiechem i spluwaniem kilku zataczających się handlarzy bydła (po przekleństwach sądząc, Efrańczyków z dalekiego zachodu), a potem dał się słyszeć nakazujący im ciszę głos Karsha; jeszcze nie warknięcie, ale już ostrzegawczy pomruk, jaki wielki zwierz wydaje na chwilę przed rykiem. Ten grubas wiedział, jak prowadzić zajazd, choć w tylu innych dziedzinach udawał niewiedzę. Para świątobliwych pątników nie przestawała wznosić swych antyfon, podobnie jak my nie przerywałyśmy naszej posępnej libacji. To wszystko zdarzyło się tak dawno temu. - No cóż - powiedziałam. - Może gdy ta najświeższa nowina dotrze do klasztoru, kapituła zniechęci się i zaniecha wysyłania następnych morderców na pewną śmierć. Nyateneri już nabierała tchu, żeby mi odpowiedzieć, lecz zamiast to zrobić wstała, podeszła do okna i zapatrzyła się na czarne liście drzewa, spomiędzy których przebłyskiwały gwiazdy. - Może żaden już następny zespół nie podąży śladem tego ostatniego - zakończyłam. Jak długo trwało, zanim się odwróciła i spojrzała na mnie? Bardzo długo; inna rzecz, że alkohol wydłuża mi zwykle czas, więc pewności mieć nie mogę. Wydawało się jednak, że trwało to wieki. Niewykluczone nawet, iż w ogóle się nie odwróciła; pamiętam tylko jej słowa i brzmienie zniżonego do szeptu głosu: - Nie powiedziałam wam jeszcze wszystkiego... Usłyszawszy to, zerwałam się na równe nogi, mimo wypitego wina, i zawołałam: - Otóż i macie, jak zwykle! Czy to wywrzeszczałam? Wydaje mi się, że tak. Chyba naprawdę przewidywałam, na co się zanosii. - Ich jest zawsze trzech - szepnęła. - Zawsze trzech... Czy to już wtedy usłyszałyśmy skradające się kroki na schodach, czy w chwilę potem, gdy znowu się na nią rozdarłam, a ta zaczęła mnie uciszać? - Uspokój się, Lal, teraz mówię prawdę. Ów trzeci działa osobno; obserwuje pierwszą dwójkę, ale się z nią nie kontaktuje. Do tej roli wyznaczają z reguły najsprytniejszego. Trzyma się zawsze w pewnej odległości za pierwszą parą. Uspokój się, Lal, uspokój się już! Rozległo się niezmiernie delikatne pukanie do drzwi; trzeba było dobrze nastawiać uszu, żeby je w ogóle usłyszeć.

NYATENERI

Modliłam się, żeby to nie był on. Każdy, byle nie on! Wolałabym już, żeby się zjawił ten trzeci morderca, mimo że nie władałam jeszcze ręką od miecza i czułam się mniej więcej tak, jak tamtych dwóch sztywniejących pod ziemią. Byle nie on, nie teraz, jeśli mogę o to prosić zainteresowane bóstwo. Jestem zmęczona i wystraszona, nie potrafię przewidzieć, co dalej nastąpi. Boję się jego widoku. Lal wstała, żeby otworzyć drzwi. - Nie otwieraj! - wyrwało mi się wbrew woli. Popatrzyła na mnie bacznie, a ja się podniosłam.

LAL

Kiedy wstałam, pokój zaczął mi pulsować przed oczami, tak że musiałam je zamknąć, bo od migotania świec zakręciło mi się w głowie. Przez chwilę nie byłam nawet w stanie skoncentrować wzroku na podchodzącej do drzwi Nyateneri. Mój umysł zachował jednak chłodną przenikliwość. Trzymając się oparcia krzesła karciałam się w myślach: Głupia, głupia, po tym, co się zdarzyło w łaźni nie trzeba było tykać wina! Ktokolwiek stoi za tymi drzwiami, morderca, poganiacz bydlą czy posługacz, mógłby nas teraz wszystkie trzy zaszlachtować jak wieprzki. Co się ze mną dzieje, co ja ze sobą zrobiłam? Własnym ciałem zasłoniłam Lukassę. Dłonie tak mi się pociły, że laska z mieczem wciąż się z nich wyślizgiwała i nie dawała się otworzyć.

LIS

Hohohoho, czuję ich zapach. Czuję zapach ich wszystkich. Gołąbków też.

ROSSETH

Aktorzy wrócili późno i w kłótliwych nastrojach, mimo to nie obudzili Tikata. Mnie zresztą również nie, bo nawet nie próbowałam zasnąć. Siedziałem na stryszku, gapilem się na zachodzący księżyc i kątem oka obserwowałem Tikata, który próbował się przekopać przez słomiane posłanie, jakie mu przygotowałem. Lisonje, którą zawsze lubiłem, wdrapała się po drabinie, wsadziła głowę w peruce w otwór wjazdu i zapytała: - No i jakże się miewa nasze leśne łabędziątko? - Nie najgorzej, czcigodna pani, jeśli pytasz o jego cielesną powłokę - odrzekłem. Ilekroć bawią u nas komedianci, czyli, odkąd pamięcią sięgam, przez dwa, trzy tygodnie każdego lata, gadam ich językiem i Karsh musi potem przez co najmniej tydzień oduczać mnie tej napuszonej mowy za pomocą warknięć i kuksańców. Opowiedziałem Lisonje, co się wydarzyło po powrocie Lukassy i tylko tyle. Stara aktorka podparła się na łokciach i przyglądała

się przez chwilę w milczeniu śpiącemu Tikatowi. Nie zdążyła jeszcze zmyć makijażu i zdjąć kostiumu kochanki nikczemnego lorda Hassidanya i wyglądała jak dziecko, które zasiedziało się do późna wśród dorosłych. - Którejś nocy - mruknęła w końcu - i to już niezadługo, zrzucę cię z tej drabiny i legnę sobie z nim na sianku, by zażyć rozkoszy. Zrobiłabym to już teraz, gdyby nie był takim zakochanym głupcem, który znienawidziłby potem mnie i siebie. - Rozważała przez chwilę tę myśl, po czym pokręciła energicznie głową i dodała: - Nie, nawet i wtedy bym tego nie zrobiła, nawet i wtedy... Nie wolno mi zapominać, że te przyjemności już nie dla mnie. - Poklepała swoją dłoń i zaczęła schodzić po drabinie, ale zaraz na powrót wetknęła głowę w otwór i poradziła: - Uważaj na niego, Rosseth. Widywałam już ludzi pogrążonych w takim śnie złamanego serca. Na twoim miejscu co chwila bym go budziła, ponieważ on w ogóle nie ma ochoty się zbudzić. Zszedłszy na dół szybko zasnęła, podobnie jak reszta jej kompanii. Nie poruszyłem się, dopóki nie byłem w stanie zidentyfikować chrapań dobiegających z poszczególnych boksów: od gromkiego rżenia starego Dardisa po cieniutkie poćwierkiwanie Lisonje. Następnie, zgodnie z jej zaleceniem, potrząsnąłem Tikata za ramię, póki nie zamrugał powiekami. - Coś zaniepokoiło świnię - szepnąłem - muszę sprawdzić co. Spij! Zaklął siarczyście i natychmiast zasnął nie przewróciwszy się nawet na drugi bok. Nie miałem wyboru. Zdaję sobie doskonale sprawę, że ten, kto tak mówi, ma przeważnie na myśli jedynie to, że nie usprawiedliwia wyboru, jakiego dokonał; przypuszczam, że ze mną nie było inaczej. Ale naprawdę szczerze niepokoiłem się o Nyateneri - czy prócz rany w rękę, w której dzierżyła miecz, nie odniosła jakichś wewnętrznych obrażeń? Uznałem więc, że nie zaszkodzi się dowiedzieć, czy nie mógłbym w czymś pomóc. Co się zaś tyczy uwagi rzuconej przez Lal... a gdzie ona była, pozwolę sobie zapytać, gdy ja i Nyateneri zmagaliśmy się z tymi chichoczącymi kurdupłami w łaźni? Połączyła nas wspólna walka i pocałunek, razem zaglądaliśmy w oczy śmierci - może niezupełnie ramię przy ramieniu, ale jednak - miałem więc prawo, wręcz obowiązek, sprawdzić, jak się miewa moja przyjaciółka. Tak rozumując zląłem na bosaka po drabinie, przekradłem się cichcem do gospody i wszedłem po schodach na piętro nie budząc po drodze ani jednego aktora, ani jednego wieprzka, ani nawet Karsha, który chrapał w pustej izbie karczemnej oparłszy policzek na zgiętym w łokciu ramieniu. Owszem, po tylu latach mogę się już przyznać, że drapałem się na te schody jedno tylko mając w głowie, gnany ślepym, odwiecznym przemożnym pragnieniem, które trafnie odgadłeś i dlatego od pewnego czasu chichoczesz domyślnie pod nosem. "W jego wieku, cóż by to mogło być innego, che, che?" A jednak, wyobraź sobie, to było coś innego, coś więcej niż tylko żądza, nawet w moim wieku, bo

przecież nie w twoim. Ale niech ci będzie, niech ci będzie, że pociągały mnie tylko jej usta i wżgórki brązowych piersi.

NYATENERI

Jeśli wychowanie i trening, jakiemu mnie poddano, czegoś mnie nauczyły, to tego, że niewiele jest rzeczy na tym świecie, o które warto prosić bogów. Zwycięstwo w bitwie to ich dar najpospolitszy; pokój serca zależy wyłącznie od ciebie. Jeszcze nie otworzyłam drzwi, a już opuściłam oczy, zniżając je do wysokości, na której spodziewałam się napotkać jego wzrok. Niewykluczone nawet, że wymówiłam jego imię. - Martwiłem się - wyszeptał tak cicho, że ledwo go dosłyszałam. - Jak pani ręka? Czy już lepiej? Martwiłem się o panią. - W czuprynie utkwily mu źdźbła słomy. Nie zaprosiłam go do środka, będę przy tym obstawała do końca moich dni. Jeśli nawet coś wymamrotałam zgrubiałym głosem, to ta przekłeta pijaczka Lal wykrzyknęła za moimi plecami: - Siemasz, Rosseth, witaj! Wejdz i dołącz do naszej kompanii, poznasz "Córkę Smoka"! To ona, ta przekłeta pijaczka, nie ja. Ja byłabym go odpawiła, przysięgam!

LAL

Co to ma za znaczenie? Od chwili, gdy ujrzałyśmy go na progu, wiedziałyśmy od razu, co nastąpi dalej. No może nie do końca; w każdym razie ja tego nie wiedziałam. A co by było, gdybym wiedziała? Nie umiem powiedzieć. Czy to ja go zaprosiłam do środka, czy nie ja, faktycznego wyboru dokonała Nyateneri i ona dobrze o tym wie. Owszem, byłam pijana, choć nie sądzę, żeby aż w pestkę; owszem, odezwały się wtedy po długiej, bardzo długiej przerwie moje stare cierpienia i zastarzała złość. Nie mam jednak zwyczaju uprawiać miłości dla oszukania bólu, pod wpływem nagłej żądz czy ze strachu, choćbym nie wiem jak była wstawiona. Co mnie o północy ujęło w tym przysadzistym, potarganym chłopcu stajennym, to to, jak patrzył na Nyateneri: choć wzrok mu zasnuwały niewinne egoistyczne pragnienia, potrafił dojrzeć jej prawdziwą ranę. Nikt nigdy nie patrzył na mnie w taki sposób i już nie popatrzy. Nie pragnę zresztą, aby tak na mnie patrzono; o wiele już na to za późno. Ale gdyby tak wtedy, gdyby wtedy... Mam nadzieję, że to ja zawołałam: - O, Rosseth! Wejdz! Witamy, witamy! Ale już naprawdę nie pamiętam.

ROSSETH

Nie zaproszono mnie do środka, w każdym razie nie słowną zachętą. Przez chwilę Nyateneri i ja przyglądaliśmy się sobie w progu, ja coś wybąkałam, ona się cofnęła i wszedłem

do pokoju. Tak to się odbyło. Wszystkie stały, Lal za stołem, Lukassa między łóżkiem a oknem. W pokoju wisiał oczywiście ciężki zapach wina i walały się wszędzie opróżnione butelki, ale żadna z trzech kobiet nie była pijana, w każdym razie nie do tego stopnia, który wówczas kojarzyłbym z upojeniem. Dla mnie pijaństwo oznaczało taszczenie raz w miesiącu nieprzytomnego Gattiego Jinni na jego smutne poddasze lub przyglądanie się, jak Karsh mężnie stawia czoło szczerzącemu zęby flisakowi z tasakiem w jednej ręce, a szyjką stłuczonej butelki w drugiej, podczas gdy dwaj pokaleczeni wieśniacy zarzucają podłogę. Co do mnie, rzadko w tamtych czasach miewałem sposobność zakosztowania trunku innego niż czerwone piwo, a i tego niemal nigdy nie było pod dostatkiem, choćby na tyle, żeby poczuć senność. Samego Karsha, nawiasem mówiąc, nigdy nie widziałem pijanego; gospodarz pił wyłącznie do lustra. Oczywiście, pewne objawy nie uszły nawet mojej uwagi. Nyateneri była blada i napięta jak niedawno pod łaźnią, a jej oczy o zmiennej barwie nabrały odcienia ciemnej szarości bez śladu błękitu i silnie błyszczały, jak błyszczą czasem oczy ludzi ogromnie zmęczonych. Lal uśmiechała się, choć nie do mnie, jak w pierwszej chwili sądziłem, a do czegoś poza moimi plecami i nieco w górze; uśmiech błąkał się od jej warg do złocistych oczu i z powrotem, przewijając się przez ciepłą czerń policzków i czoła. Natomiast Lukassa... Lukassa patrzyła prosto na mnie; na twarzy miała wypieki i z trudem hamowała śmiech. Nigdy przedtem jej takiej nie widziałem i niczym lodowy kolec przeszła mnie myśl: "Biedny Tikat!" Nic na to nie mogłem poradzić. Co czułem wtedy w tym ciasnym pokoiczku z trzema kobietami, w których byłem zakochany, gdy z przeciągłym skrzypieniem zamykały się za mną drzwi? A jak ci się zdaje? Oblewały mnie na przemian fale gorąca i zimna: płonęły mi uszy i wargi, a żołądek ścisnęła lodowata pięść. Błąkający się na twarzy Lal uśmieszek przyprawiał mnie o takie drżenie, że ledwo mogłem ustać na nogach, a znów od ceglanych rumieńców na policzkach Lukassy sztywniałem niczym jeden z tych zakochanych bęcwałów z przedstawień aktorskiej trupy. A Nyateneri? Najdelikatniej jak mogłem ująłem i pocałowałem jej lewą dłoń - zdawało mi się, że zalkała w mojej jak uwięzione zwierzątko - a potem wspiąłem się na palce (ale tylko trochę, nie myśl sobie), pocałowałem ją w usta i powiedziałem najgłośniej, jak mogłem: - Kocham panią. Nigdy wcześniej nikomu tego nie mówiłem, choć można przyjąć, że spałem już z kobietą. Westchnienie Nyateneri wpłynęło mi w usta. Do dziś je czuję, przepojone zapachem wina i kapitulacją: raczej przed samą sobą niż przede mną, ma się rozumieć, ale jakież to miało wówczas dla mnie znaczenie? Wyszeptła coś wargami przy moich wargach, nie zrozumiałem słów. Ponad jej ramieniem zobaczyłem w kącie pokoju lisa: ślepią zaciśniętą, uszy postawione,

całe ciało stężało od czujności; czerwonym językiem przyglądał wąsy, raz lewy, raz prawy. Nie, nie porwałem Nyateneri w ramiona i nie poniosłem do łóżka (tak niewiele kroków, a tak daleka wyprawa!) Po pierwsze, jako nie wprawiony w podobnych czynach, pewnie zrobiłbym sobie przy tym krzywdę; po drugie zaraz przy pierwszym kroku potknąłem się o butelkę wina i Nyateneri musiała mnie podeprzeć; po trzecie wreszcie... po trzecie znajdowały się tam Lukassa i Lal, a cokolwiek sobie myślisz o mnie i mojej historii, dowiedz się, że byłem chłopcem skromnym. Kipiącym żądzą - niewątpliwie, niedoświadczonym i wystraszone - zapewne, ale nie próżnym. Próżność postępowała kilka kroków z tyłu.

LAL

To, co przydarzyło mi się tamtej nocy, nie powtórzyło się już nigdy więcej. Przedtem i owszem (poznałam moje opuszczenie po niedowierzaniu, jakie się maluje na twojej twarzy), przedtem to mi się raz zdarzyło, jeśli przez to rozumiesz pójście do łóżka z więcej niż jedną osobą. W owym pierwszym przypadku stało się to jednak wbrew mojej woli, nie doznałam wtedy żadnej przyjemności, więc nie widzę potrzeby, żeby ci o tym opowiadać. A tu miałam wybór, więcej niż swobodny, i doznałam przyjemności płynącej z prawdziwego pożądania, o jakiej wcześniej nie miałam nawet pojęcia, choć tak długo już znałam moją gorącą krew. Kiedy Nyateneri westchnęła i wzięła Rossetha w ramiona, poczułam, że i ja muszę go osiąść. Szaleńcze to pragnienie spadło na mnie nagle jak grom z jasnego nieba. Za dużo wina, za głęboki płacz? Zapewne. Nie miało to jednak nic wspólnego z zazdrością o Nyateneri; ledwo ją w tamtym momencie widziałam, nie słyszałam też nic prócz własnego głosu, który odezwał się gdzieś obok mnie: - O nie, nie bez nas! Nie dzisiejszej nocy! Dlaczego to powiedziałam? I dlaczego wypowiadałam się również w imieniu Lukassy, choć w tamtym momencie nie dbałam o nikogo prócz siebie? Potrafię to wyjaśnić tylko w taki sposób, że widocznie musiałam jednak trochę widzieć Nyateneri i dostrzegłam w spojrzeniu, jakie mi posłała, nie gniew, lecz przerażenie, błaganie i rozpacz. Rosseth, biedny chłopiec, wytrzeszczył na mnie oczy, a Lukassa... Lukassa zaniósł się śmiechem tak dźwięcznym i cudownym jak brzęk oblodzonych gałązek, które wiosną potrącają jedna o drugą. - Rosseth należy do nas wszystkich - oświadczyłam. - Jest naszym rycerzem, naszym niewinnym i dzielnym kochankiem, gotowym służyć każdej z nas trzech nie faworyzując żadnej i nie czekając na zaproszenie. Choć moje ciało drżało jak liść - nawet teraz nie mogę opanować tego drżenia - przemówiłam głosem spokojnym, wolno cedząc słowa. To jeszcze jedna z moich sztuczek, jedna z najstarszych, nabyta wielkim kosztem. Nigdy mnie nie zawodzi. - Zasłużyłeś na nagrodę - zwróciłam się do Rossetha.

Podeszłam do chłopca, ujęłam w dłonie jego rozognioną twarz i przyciągnęłam do swojej. Mało to się słyzy żartów i przyśpiewek o damach całujących rozdziawiającego gapiowato jadaczkę chłopca stajennego z nawozem na butach i pod paznokciami, dla którego kochanie oznacza tylko to, co robi ogier wspinając się na klacz? Wargi Rossetha okazały się miękkie i jędrne zarazem, a smakowały jak pierwszy powiew wiatru o letnim poranku. A gdy mnie dotknął, zrobił to tak delikatnie, że miałam ochotę zalać się znowu łzami, wybuchnąć śmiechem lub wybiec z pokoju. Byłabym upadła, gdyby mnie nie podtrzymał. Wielkie to szczęście, że tak rzadko miewałam w życiu okazję, by się przekonać, jak łatwo czułość znajduje przystęp do mojego serca. Każdego dnia dziękuję za to losowi. Naprawdę.

LIS

Gołąbeczki. Podnoszę pyszczek, nie dzieli nas już sufit, nie dzielą żadne belki. Zamykam oczy i widzę ciemne soczyste trzepoczące skrzydła gołąbków, które wzbijają w powietrze kurz i plewy, widzę opadające puszyste kłaczki pierza. Ptaszyny gruchają jedna przez drugą i wiercą się w gniazdach, zaniepokojone moją obecnością. Ich śliczne, do kropelek krwi podobne ślepka, są tak blisko i również mnie widzą. A tu na dole, hohoho, tu na dole również wielkie zamieszanie. W izbie ścisk i tłok, wszyscy wszystkich próbują rozbierać. Chłopiec cofa się tyłem do łóżka, w jednej ręce trzyma rękę Nyateneri, drugą usiłuje rozpiąć koszulę Lal. Lal mu pomaga, łamie sobie paznokieć, przeklina. Nogi chłopaka zaplątują się w nogi łóżka, klapie na siedzenie. Lukassa kłęczycy za nim na łóżku i zanoszą się śmiechem. Nyateneri odwraca się i spogląda na mnie. Wymieniamy uwagi. Nie rób tego. Nie rób! Muszę. Nic z tego nie wyjdzie. Nie ma nadziei. Wiem, ale muszę. Pomóż mi! Okno otwarte niemal dostatecznie szeroko. Drzewo poskrzypuje skrzyp-skrzyp, jedna cienka gałązka wskazuje na uroczą sypialenkę gołąbków. Nyateneri: Pomóż mi! Lal podnosi ręce i ściąga ją na łóżko.

ROSSETH

Lal ma dołeczki na ramionach. Jej obojczyki są tak dumne i aksamitne jak poroże młodego sintu na wiosnę. Jej kark rozrzewnia mnie do łez, gdy kobieta chyli nade mną głowę. Lukassa pachnie świeżymi arbusami, pieprzem i aromatycznymi jabłuszkami, jakie sprzedają w kramach na targu. Piersi ma miększe i bardziej spiczaste od piersi Nyateneri, a wewnętrzne strony przedramion prawie przezroczyste, naprawdę: niemal widzę małe niebieskie rybki pływające wolniutko w jej żyłach. Chce mnie dotknąć i natrafia na pieszczącą mnie rękę Lal. Odwraca głowę i uśmiecha się, po prostu. Nyateneri nie widzę. Jej dłonie również gładzą moje ciało.

Ugryzła mnie w usta, aż do krwi, ale jej twarzy nie widzę.

NYATENERI

Nie, nie, nie mogę do tego dopuścić, nie mogę! Przez wzgląd na nich, z każdego innego powodu. Nie mogę! Ileż w tym jednak słodczy, ile ciepła przyjaźni! Kiedy to ostatni raz ktoś uwielbiał cię tak jak ten chłopiec - c i e b i e, a nie twój łuk, twój sztylet lub to wszystko, co potrafisz, co wiesz? Czyje dłonie pieściły cię tak delikatnie jak dłonie Lal albo z takim zachwytem jak dłonie Lukassy? Jesteś taka zmęczona i od tak dawna samotna. Nie mogę pozwolić, żeby to się stało. To się zresztą nie może udać - i on to wie. Próbuję odepchnąć od siebie Rossetha, lecz to nie Rosseth, a Lukassa chwyciła moją bolącą rękę i przeciąga nią po swoim ciele, a potem po ciele Lal, jakby ją ubierała w mój dotyk. Nabrzmiały jak rzeka brzuch Lal na moich ustach; kochana niezdara Lukassa wbija we mnie kolano, złamany paznokieć Lal drapie mnie w biodro. Nie, to się nie uda, nie. Lukassa. Fala jej włosów rozrzucona na moim ciele. Nie!

LAL

Ktoś wsuwa mi ręce pod plecy, czyjeś usta całują moje piersi. Oczy mam otwarte, ale widzę tylko czyjeś włosy. Rosseth wypowiada szeptem moje imię. Lukassa jęczy: "Och, och, och!" a każde z jej westchnień ogrzewa bliznę na wewnętrznej stronie mego uda. Mam ochotę powiedzieć jej, kto mi zadał tę ranę, ale ktoś tymczasem wdmuchuje mi do ust moje imię mruczając: "Lal!" i pocałunkiem zaciera wspomnienie o dawnym cierpieniu. Obejmuję ramionami każdego, kogo tylko zdołam osiągnąć, i na oścież otwieram wszystkie okna i drzwi mego ciała, żeby wpuścić niepojętą radość.

LIS

Niemal dostatecznie szeroko - może wystarczy? Może się przeciśnie mały, malutki lisek o aksamitnym futerku? Pod ścianą, przedziej, hop na parapet, pazurki przednich łap, nos, wąsy, uszy się mieszczą. Witajcie, gołąbeczki. Rzut oka za siebie: nikt nie widział. Nyateneri aż trudno dojrzeć w tym kłębowisku nóg. Okrzyki, śmieszki, biedne łóżeczko skrzypi i trzeszczy, ostatnia butelka roztrzaskuje się na podłodze. Za dużo hałasu dla małego liska, gdzie indziej będzie zaciszej. Skurczyć się, przeciskać co sił - jedna łapka, dwie łapki, jedna łopatka, głowa, druga łopatka - i oto cały lisek siedzi na pięknej szerokiej gałęzi i uśmiecha się chytrze w blasku księżycy. Gdyby Nyateneri zawołała: "Wróć!" - może bym i wrócił. Księżycowy lis: Za późno. Za późno. Nic mnie tu nie trzyma. Idę na spotkanie z gołąbkami. W głosie Nyateneri szczęście,

ból i rozpacz, ale kogo to obchodzi? Nie mnie, nie mnie woła. Wbiegam po ścieżce księżycowej poświaty na dach, do ślicznego puszystego okienka, za którym czeka na mnie słodki trzepocik krwi.

ROSSETH

To chyba Lukassa. Nie widzę jej twarzy - świeca przy łóżku, już dawno przewrócona czyjaś noga, zgasła w kałuży łoju - ale to zapach Lukassy, jej włosy w moich ustach, jej drobne ostre ząbki zaciskają się na moim nadgarstku. Oj, niedobrze, to powinna być Nyateneri, której zraniona ręka wprowadza mnie do... och, to nie do wiary!... a długie nogi oplatają mnie i mocno ściskają. Ale wokół ciemność, tylko cień księżycy i butelki po winie. Nyateneri gdzieś się zapodziała, choć czuję w pobliżu jej zapach, jakby moja głowa spoczywała nadal na jej kolanach, a kilka kroków dalej stygły tamte dwa trupy. Rozlega się śmiech Lal, jaki cichy i piękny! Jeśli wyciągnę w lewo rękę... o tak... jej śmiech owieje mi dłoń. Przez moje palce przeciska się gorący szept: - Rosseth, mój chłopcze, jakiś ty silny, jak mi tam w środku dobrze, jak cudownie! Och, Rosseth, Rosseth, o tak, tak, mój kochany, najdroższy!... To imię, które nadał mi Karsh, imię, którego zawsze tak nienawidziłem, teraz wydaje się takie piękne, moje imię. Gdybym mógł schować się w tym imieniu, gdy ona je wymawia i już nigdy go nie opuszczać... Ale przecież to nie ja w nią wszedłem, przecież nie mogę się mylić, nawet w tak rozkołysanej ciemności! To Lukassa mnie w siebie przyjmuje, przegina się do tyłu i całuje mnie. Ta, która nigdy się do mnie nie odzywa, teraz oddycha jednym oddechem ze mną, a jej pośladki parzą moje speszzone dłonie. Jakże ja, za głupi nawet na to, by posiąść kobietę, której najbardziej pożądam, mogę zaspokajać dwie inne jednocześnie? Krążą co prawda legendy o takich mężczyznach, ale ja nie jestem żadnym rycerzem, tylko Rossethem, chłopcem stajennym, którego cały pomysłuńek odfrunął na księżyc pozostawiając na ziemi to durne ciało podrygujące na łóżku jak dziecinnie łódeczka na wzburzonych falach Zatoki Byrnarik, której nigdy nie dane mi było zobaczyć. "Pojadę kiedyś nad Zatokę Byrnarik, aby tam brykać, bryk bryk bryk..." To tam, dokąd zabiera mnie teraz Lukassa. To słowa piosenki... Była taka piosenka. Czyjaś ręka przesuwa się po moich plecach, biodrze, pieści mnie, natrętna, natarczywa, potem uległa, gdy i ja ulegam, kołysze się wraz ze mną na falach Zatoki Byrnarik. Ciszę przerywa nagle przenikliwy szept Lal, ostry jak jej miecz, gdy wyskakuje z trzcinowej pochwy. - Czy to Rosseth? Rosseth?

NYATENERI

Zdradziły mnie w końcu włosy, czego zresztą mogłem się spodziewać. Włosy Rossetha są

kręcone i gęste, moje co prawda równie szorstkie i zmierzwione, lecz beznadziejnie proste, więc o żadnym oszustwie nie mogło być mowy. Kiedy palce Lal zacisnęły się na moich włosach, wszystko musiało się wydać, nawet gdyby czar jakimś cudem trwał nadal. Tak się jednak nie stało. To niesamowite uczucie, kiedy opuszcza człowieka nawet tak drobne zakłęcie. Bez urazy, ale nie byłbyś w stanie sobie tego wyobrazić. Nawet ja nie potrafię sobie tego wyobrazić, choć spotkało mnie to w życiu już trzy razy. Poeci i kiepscy czarownicy bredzą o poszumie ogromnych skrzydeł, o uczuciu porzucenia przez boga, kiedy było się napełnionym jego obecnością i uwznioślonym niemal ponad ludzką wytrzymałość. Brednie! To przypomina raczej... Znasz to uczucie, kiedy bańka mydlana pęka na przegubie ręki pozostawiając po sobie tylko wrażenie chłodnego tchnienia, które zaciera się w pamięci skóry, jeszcze zanim uświadomi je sobie ospały umysł? Znasz je? A więc jest to coś podobnego. Tyle i nic ponadto. Zrozumiesz więc może i to, że osoba, która znajduje się pod działaniem czarów, zdaje sobie sprawę z tego jedynie dzięki reakcjom innych. Przez całe dziewięć lat, kiedy byłem Nyateneri, córką Lomadis, córki Tyrrin, ani razu nie spojrzało na mnie z lustrzanego hełmu lub mulistego stawu odbicie kobiecej twarzy. Piersi, które tak kusiły Rossetha, że wreszcie pokonały jego nieśmiałość, jedwabista skóra, miękkie wargi o delikatnym rysunku, płynne pełne gracji ruchy - to wszystko było tylko pozorem, sztuczką, jedyną jaką znałem, która mogła choć na krótko zwieść mych prześladowców. Żyłem w przebraniu, przebrany tak skutecznie, że mogłem podróżować i mieszkać z prawdziwymi kobietami w warunkach codziennej zażyłości, nie wzbudzając w nich najmniejszych podejrzeń - przebrany, lecz nie odmieniony, ani fizycznie, ani we własnym odczuciu. Ani razu w ciągu tych jedenastu lat nie uległem złudzeniu, że jestem naprawdę panią Nyateneri. A jednak, jednak... gdy leżałem w tym przeciążonym łóżku, w objęciach Lal, gdy dłoń Lukassy wsunęła się między nasze ciała, a moja własna znalazła w końcu Rossetha, gdy ich trzy ciała odpowiadały mojemu zachłannym, cudownym zdumieniem - czyje imię było wówczas prawdziwe, czyja płeć niewzruszona i niezmienna? Niewinna żądza Rossetha zbudziła z długiego zimowego snu moje pożądanie, a ono wylazło z gawry wydając pomruki rozkoszy. Kimże jednak była istota, która pragnęła pocałunków tego chłopca nie mniej niż pełnych warg Lal, dotyku jego dłoni nie mniej niż nieśmiałych pieszczot nieżywej kiedyś Lukassy? Czy mną, tak zwanym mężczyzną, czy Nyateneri - kobietą, co nigdy nie istniała? Wiem tylko tyle, że całowałem ich troje i byłem przez nich wzajemnie całowany i jako Nyateneri, i jako ów mężczyzna, którym nie okazał się Rosseth, kiedy Lal krzyknęła z rozkoszy i wczepiła mu palce czuprynę. Tamtej nocy nie znalazłbyś w naszym łóżku ani rachmistrzów spisu powszechnego,

ani patroli pogranicznych straży...

LAL

Przez tę jedną chwilę, kiedy z całej siły szarpnęłam Nyateneri za włosy, żeby w migotliwej ciemności zajrzeć w jej pochylającą się nade mną obcą, choć znajomą twarz, przez ową jedną chwilę byłam znowu Samotnicą Lal - zimną, złą i dyszącą żądzą mordy. Nie dlatego, że kobieta, z którą leżałam w łóżku, okazała się mężczyzną, ale dlatego, że ten mężczyzna mnie podszedł, a ja nie mogę, nie mogę pozwolić sobie na to, żeby podchodzono mnie podstępem, czy to we dnie, czy w nocy, w łóżku czy w ciemnym zaułku. Podstęp to jedyny grzech, jakiego nie odpuszczam. Moja laska kryjąca miecz stoi oparta w kącie pokoju... ach, głupia, goła Lal!... ale palce już zwinęłam w pięść do ciosu, który zgruchocze tchawicę Nyateneri. Nagle słyszę nad uchem okrzyk: - To on mnie tego nauczył, Chichotek! Opuszczam ręce, a Nyateneri... on, ona?... śmieje się, wyciska mi na wargach płomienny pocałunek i zaczyna się we mnie powoli poruszać. Z mojego gardła wydiera się krzyk. W gołębniku na górze wszczynają się jakiś rwetes: nieśmiało gruchanie protestu, nerwowe trzepoty, jakby ptaki wskakiwały i zeskakiwały z grzęd. Co też muszą sobie myśleć handlarze bydła, marynarz i para pątników słysząc dochodzące z naszego pokoju odgłosy? Co by sobie pomyślał ten chytry grubas, gdyby zakradł się ciszką po schodach, pchnął zniecka drzwi i ujrzał przewalające się na łóżku ciała, jakby w jakimś księżycowym cyrku gołych linoskoczków i gibkich zwierząt? Co ja sama bym sobie pomyślała, gdyby wargi Lukassy nie zakrywały moich myśli cudownym parawanem, gdybym nie miała za chwilę... już, zaraz!... odtańczyć mojego tańca, tańca Lal, wysoko w powietrzu, hen w górze, w kielichu rozkwitającej nocy, ponad gołębnikiem, tańca na linie, ale bez liny, bez żadnego w ogóle zabezpieczenia prócz miłości tych trojga nieznajomych, którzy nie pozwolą mi spaść?

LIS

Tam, w górze, między krokwiemi, zostały jeszcze trzy, o co mu chodzi? Trzy przebiegłe gołąbki poza zasięgiem moich pazurków. Lepiej zbudujcie więcej stryszków z gołąbkami - po co tyle krzyku, po co budzić tych wszystkich biedaków? Gruby karczmarz ryczy, przeklina, biega od pokoju do pokoju, zagląda do szaf, pod podłogi, pod łóżka... a nawet do łóżek. Psy węszą na dziedzińcu, w stajni, na schodach, węszą i skamlą, zupełnie jak ich gruby pan. Rosseth miota się na wszystkie strony, zagląda we wszystkie dziury, a ma przy tym minę wniebowziętego winowajcy. Tikat im pomaga - z tym prawdziwa bieda, chłopak za dużo wie o nazbyt wielu sprawach. Trzeba było mu pozwolić umrzeć z głodu, miły lisie. Całe dnie o kilku drobnych

kościstych gołąbkach! Nyateneri, Lal i Lukassa ciągle dokądś wyjeżdżają i ani pomyślą o biedaku, który w upalne dni ukrywać się musi na polu, a nocami dygotać w dziupli drzewa. Nie może nawet przybrać ludzkiej postaci, odkąd zjawił się w karczmie Tikat. Lepiej się już miał na Północnych Pustkowiach, lepiej w klasztorze, choć karmili tam podle. Weźmy na przykład dzisiejszy ranek. Niebo zachmurzone, w powietrzu lekka mgiełka, szaro, ponuro i zimno. Ruszam truchcikiem w stronę gór wypatrując po drodze ptaszków, królików, a w ostateczności kumbii, tych dużych soczystych stworzeń podobnych do czerwonych kretów, dorównujących mi prawie wielkością. Ale nie napotykam żadnego kumbii, żadnego smacznego zwierzątka, czuję tylko zapach nadciągającej burzy i znajduję jedną głupią jaszczurkę, której nogi się płaczą na mój widok. Niedobrze jeść jaszczurki, szkodzą na oczy i wypadają od nich zęby. Zostawiłem połowę. Moje futerko iskrzy. Burza nadciąga ze wschodu, czarnozielona, opleciona błyskawicami. Żaby w leniwych strużkach ogarnia niepokój... a może by tak upolować sobie jakąś ładną żabunię? Albo i dwie? Skradam się ostrożnie brzegiem strumyka, ot tak, żeby popatrzeć. Dolatuje mnie szczekanie psa. Nie znam go. Znowu zaczyna szczekać, tym razem bliżej... musi być wielki, pędzi na złamanie karku... a jednak nie czuję jego zapachu, żadnego smaku w wąsikach, żadnego dreszczu w żyłach, który by ostrzegał: pies, pies! Jest już widno, ale tak mglisto, że widzę tylko drzewa, kamienie i sztachety krzywego płotu. Słyszę już jednak ziajanie. A więc na brzeg i w nogi, przez jeżyny, kolczaste jagody, czepliwe ciernie, chaszczę, w które psy się nie zapuszczają. Inne, bo ten i owszem. Krzaki łamią się za mną z trzaskiem. Dogania mnie bolesne skomlenie, musiał wbić sobie cierń - to ostatni dzwonek dla biednego liska, który nie zrobił przecież temu psisku żadnej krzywdy. Pędzi za mną, a po piętach depcze mu już pierwszy grzmot burzy. Ale ja wypadam tymczasem na zorane pole, gnam przez wyżłobione kołami koleiny, zamiatam zygzakiem po tarasach, śmigam przez oplecione winoroślą bindarze - ho, ho! Zmykam tak szybko jak istoty, którymi się karmię. Równie szybko, ale przemyślniej. W bieganiu nie mam sobie równych. Jeszcze jeden grzmot, bliższy niż mój prześladowca, ale nie tak hałaśliwy. Spod huku burzy i świstu wiatru na manowcach wciąż przebijają jego ziajanie. Na domiar złego spada deszcz. Grzmoty to fraszka, ale ulewa przygniata mnie do ziemi, turla przez zgniecione w błocie łodygi kukurydzy - a przez cały czas świszczę nade mną, we mnie, szare ziajanie tego psiska, jeszcze uporczywsze, zimniejsze od strug deszczu. W jednej chwili, odmierzonej moim oddechem, podrywam się na nogi i pędzę w lewo, w stronę gęstwiny drzew. Nie oglądam się za siebie, bo i po co? Króliki też się na mnie nigdy nie oglądają. Za drzewami sad, za sadem gospoda, gdzie mili, dowcipni staruszkowie chronią się

przed burzą pod spódnicami Marineshy. Tam mnie łap, ty wstrętny kundlu bez zapachu, tam mnie łap! Coś jednak jest nie w porządku. Nic się nie dzieje. Wpadam między leśne drzewa, przebiegam las, wpadam do sadu, drzewa owocowe śmigają w tył, a gospoda się nie przybliża. Jak to możliwe? Widzę ją, nawet przez zacinający na wietrze deszcz i mgłę - widzę kominy, podwórko, łaźnię, stajnię, a nawet moje najmilsze drzewo chłuszczące gałęziami okno pokoju, w którym mieszkają panie. Biegnę i biegnę, już trzy razy powinienem tam dobiec, ale podobnie jak nie można dobiec na księżyc, nie mogę dotrzeć do gospody. Szczekanie psa rozlega się z mojej lewej strony - skręcam do miasteczka, lecz już po chwili zawracam. Ile bym jednak razy nie próbował, gospoda oddala się coraz bardziej, a pies coraz bardziej się zbliża, moje futro coraz bardziej nasiąka wodą i coraz ciężiej je nieść moim nogom. Nikt nie dorówna mi w biegu, ale nawet ja nie potrafię biec w nieskończoność. Króliki nie oglądają się za siebie, ludzie tak. Pod jakimś wysokim drzewem odwracam się i przybieram ludzką postać - któryż pies będzie polował na ludzką postać jak na biednego liska? Ten pies. Wypada z deszczu i mgły, widzę jego ujadającą paszczkę, wilgotne kły i śmieszne, długie uszy. Pędzi pod powalą burzowych chmur jak ogień na czterech kpach. Ojoj, pora porzucić tę ludzką wyniosłą postawę. Robię dwa podskoki, spadam znowu na cztery łapy i czmycham tam, dokąd mnie pędzi, prosto do miasteczka. Dogonić mnie nie może, ale i ja nie mogę mu uciec. Burza przegania nas w biegu i odchodzi w stronę nędznego kraju Mildasów. Mgła przerzedza się, ostatni grzmot przetacza się po dachach domów, ostatnia błyskawica gaśnie w południowym słońcu. Przypominam sobie o kamiennym przepuście, ciasnym, ciaśniętym, którym z targu spływają ścieki, zbyt wąskim dla takiego wielkiego paskudnego psiska jak to, które mnie goni - może sobie ujadać do rury dzień i noc. Teraz jak najszybciej, żeby mnie nie ubiegł. Nuże, co sił w nogach. Ale przepustem rwie deszczówka niczym wezbrana w rzece woda. Widzę unoszone nurtem ciemne trupki - szcurów, ptaków - gdybym tam wskoczył, woda poniosłaby i mojego trupa. Nie ma czasu na zastanawianie się, tak czy nie, wystarcza go tylko na piękny podniebny sus i oto ryba-lis płynie w powietrzu. Spadam i gnam na złamanie karku, a w jedno szczeknięcie później rozlega się za mną znowu tupot ciężkich łap. Byle na targ, byle dopaść jakiegoś koszyka, piramidy głów kapusty, przewróconej beczki, jakiegokolwiek sterty ziemi, za którą mógłby się schować zmęczony mały lisek z wlokącą się za nim po ziemi utyłaną w błocie kitą. Na rynku pusto, wszyscy kryją się jeszcze przed burzą. Beczki opięte brudnymi płóciennymi pokrowcami, markizy obwisłe pod ciężarem deszczówki. Skręcam w lewo, potem w prawo, mijam stragan z owocami, jeszcze dziesięć kroków i wdrapuję się na jakiś kosz do połowy wypełniony zielonymi

warzywami podobnymi do dyń. Jestem już prawie z drugiej strony, gdy czyjaś ręka ucapią mnie za kark - mocno, krzepko, boleśnie. Nikt mnie tak nigdy nie chwyta, nawet Nyateneri. Przekręcam się w lisiej skórze, tnę zębami i chwytam pustkę. Druga ręka zaciska się na moich biodrach i obie wznoszą mnie wysoko, rozciągniętego niczym martwy królik. Ale moje piękne zęby pozostały żywe i tym razem udaje im się zacisnąć na mokrym rękawie i kościstym nadgarstku pod nim. Nieruchomieję jednak, gdy czyjś głos wymawia bez słów moje imię, piękne zęby nie zaciskają się i nie wypruwają z rękawa ani jednej niteczki. Znam ten głos. Dobrze go znam. Ręce obracają mnie, po czym jedna zwalnia uchwyt. Zawisam w powietrzu na wysokości twarzy tego, który mnie ucapił, i ani drgnę. Nyateneri i Lal by go nie poznały. Jest szary, zupełnie szary, szaruteńki - kości, krew, serce, wszystko szare. Szary jak deszcz, przejrzysty jak deszcz; ubranie wisi na nim w strzępach, a tak przemoczone, jakby miał na sobie tylko strugi deszczu. Nigdy by go nie poznały. Lecz to jednak on, we własnej osobie, ten sam w tym jedynym miejscu, które jeszcze nie posiwiłało, więc czekam, żeby mi powiedział, czy mogę się już poruszyć. Po jakimś czasie powtarza moje imię, tym razem ludzkim głosem. Nyateneri też zna moje imię, ale nigdy go nie używa, nigdy. On mówi: - Narażasz mnie na wielkie kłopoty, jak zwykle zresztą. Pies! Nie widzę nigdzie żadnego psa, żadne łapy nie dudnią za mną w nieustępliwym pościgu, nie mrozi mnie wściekłe ziajanie. Stwierdzam cieniutkim głosikiem: - Ten pies bez zapachu to ty. On śmieje się, próbuje się śmiać, jak to on, ale śmiech tryska mu z gardła niczym krew. - Ach nie, pochlebiasz mi. Burza i owszem, stać mnie jeszcze na wywołanie małej przelotnej burzy, ale zmiany postaci to już nie dla mnie. Nie, pies był tylko częścią burzy, podobnie jak zwid oberży, a wszystkie zachody po to, by cię tu do mnie sprowadzić. Męczące zadanie, szkoda gadać. Gdy ty nabierałeś sił i sprytu, ja zajmowałem się starzeniem. Dawnymi czasy, dawniej niż sięga pamięć Nyateneri, nie potrzebowałby rąk, żeby mnie ucapić, ani zwidów, aby mnie przywołać. Powiadam: - Sam sobie praw pochlebstwa. Czego ode mnie chcesz? Czuję, jak drży stawiając mnie ostrożnie na ziemi. Rozgląda się; przekupnie nie wrócili jeszcze na rynek; kuca obok mnie. - Lal - szeptem. - Nyateneri. Znajdują się tylko o kilka mil stąd, a ja nie mogę do nich dotrzeć, tak jestem zmęczony i chory. Pomóż mi się do nich dostać. To nie rozkaz, jedynie prośba, przysługa dla starego... przyjaciela? kolegi? towarzysza? Ja nie mam żadnego - Po licha zawracasz mną sobie głowę? Jesteś czarownikiem, możesz przyzywać burze i burzowe psy, żeby przypędziły biednego liska do twoich stóp. Wezwij teraz jedno z nich, niech cię zanieś tam, dokąd trzeba. Wezwij sheknatha. Łachmany parują już na słońcu, a on wciąż drży w objęciach własnych ramion. - To widowisko było ostatnim popisem mojej mocy, dobrze

o tym wiesz. Przybierz ludzką postać, mały lisiku, tylko na chwilę. Potrzebuję ramienia, na którym mógłbym się wesprzeć, niczego więcej. - Idź - powiadam. - Leć. Gdybym ja był czarownikiem, pofrunąłbym, gdzie oczy poniosą. Przysiadam na zadzie i uśmiecham się do niego. To najprzyjemniejsze zdarzenie, jakie spotkało mnie od wielu dni, od wizyty u gołąbków. Przez targowisko przebiega dwójka dzieci rozchlapując dla zabawy kałuże. On cofa się za stos pudeł i wydycha siwe powietrze. Wydaje mi się, że nie dałby rady wstać, nawet gdyby musiał. Mówi: - Proszę cię. To, co mnie ściga, jest rzeczywiste i znajduje się coraz bliżej. Nie może mnie znaleźć w tym miejscu. Zaprowadź mnie tylko do Nyateneri i do mojej Lal. Przecież wiesz, kto cię o to prosi. Coraz lepiej! - A kimże ja jestem, by robić sobie wroga z twojego wroga? Prostym liskiem, ziarnem w żarnach dwóch potężnych czarodziei. To nie dla mnie, piękne dzięki, mój panie. I odwracam się - lis na słońcu, rozglądający się, gdzie by tu zwinąć się wygodnie w kłębek, żeby wyskubać grudki błota z kity. Nigdy, dopóki jeszcze zipią, nie odwracaj od nich wzroku, nie popełniaj tego błędu. Tym razem nie ucapiła mnie jego ręka, ale potężny uchwyt woli czarownika: chwyta za moją biedną szyję, potrząsa tak, że omal nie łamię mi karku i ciska skamlącego między jakieś pudła. Potem pochyla się nad leżącym bez tchu i powiada wewnątrz mojej głowy: - A piśnij no tylko, tylko mi zaskomlij! Wiesz, kto cię prosi. - Zbliżają się głosy, turkoczą po bruku koła, szeleszczą markizy; przekupnie otwierają kramy. On kuli się jeszcze bardziej, na pierwszy rzut oka kupka szarych łachmanów, nic więcej. - Przybierz ludzką postać - nagli. - Nie bądź idiotą! A czy ktoś pomyśli o mnie? O mnie nikt nie myśli. Swoją usłużność i uczynność zachowują dla innych, dla obcych, nigdy dla mnie. Mówię mu: - Powiedziałeś, że opuściła cię moc. Skłamałeś. Prosisz o przysługę, a gotów jesteś mnie zabić, jeśli odmówię. Stary, ścigany, samotny - dobre sobie! I znowu dźwięczy czerwony duch tego śmiechu, od którego jeży mi się futerko i kładą uszy. - Nic dziwnego, że wciąż jesteś lisem, już taki kawał czasu, mimo twojej subtelnej wiedzy. Czy nie zastanawiasz się czasem, czemu to wciąż nim jesteś? - Rozlegają się czyjeś ciężkie kroki, słowa: "To mój stragan" dudnią jak kroki grubego oberżysty. - Prędeż, stań się człowiekiem!... - Ludzka postać wstaje spomiędzy pogiętych pudeł z poszarzałym żebrakiem w ramionach. Tak samo on trzymał mnie przed chwilą, ale ja jestem delikatniejszy. Nie mam wyboru. Kramarz wybałusza gały i drapie się w głowę. Miałby ochotę wrzasnąć, ale właściwie na kogo? Na tego miłego staruszka o niebieskich oczach, który pomaga się podnieść sędziwemu, śmierdzącemu nędzarzowi? Straganiarz stoi więc tylko i wydaje zabawne pomruki, kiedy ludzka postać taszczy obok niego swe bezwładne brzemię. Ludzka postać uśmiecha się i kiwa głową, jak do człowieka wyrozumiałego.

Bezwładne brzemię podkrada po drodze z dzbana garść suszonych moreli. Potem zamyka oczy i kryjąc twarz w łachmanach zmusza ludzką postać, żeby go przeniosła przez całe targowisko. Wzbudza ogólne współczucie, wielkie poruszenie, ludzka postać jest zasypywana zatroskanymi pytaniami. - Ach nie, nie, on wyzdrowieje, potrzeba mu tylko odrobiny cierpliwej opieki, jak nam wszystkim zresztą. Ach nie, dziękuję, poczciwość nigdy nie bywa ciężarem. Dziękuję za łaskawe zainteresowanie, to bardzo szlachetnie i uprzejmie, dziękuję, bardzo dziękuję. Do garści i kieszeni płaszcza ludzkiej postaci wtykają nawet hojnie kilka drobnych monet. Gdy jesteśmy już na gościńcu wybiegającym z miasta, on powiada: - Może zdołam przejść kawałek na własnych nogach. Tylko mi pomóż. - Otacza ramieniem szyję ludzkiej postaci i zawisa na niej całym ciężarem; już łatwiej go było nieść. - Dziwisz się pewnie, co się ze mną stało. Jak mogłem się doprowadzić do podobnego stanu. - Dostrzega, że jestem bardziej zainteresowany tropem starika na wilgotnej ziemi, bardziej ciekaw żab w rowach - rów jest ten sam, a w nim dwie żaby, jedna zielona, wyborna, druga brunatnoczerwona, o wstrętnym smaku... jak to się stało? Jego uśmiech wydaje się równie podarty jak ubranie. - No cóż, jesteś mądrym lisem, trafnie się domyślasz. Źle cię potraktowałem, obraziłem cię, wybac mi jeśli potrafisz. Ale ja mu nie wybaczam i nie odzywam się doń przez całą długą drogę do gospody, z czego zresztą biedak nie zdaje sobie sprawy, bo traci wcześniej przytomność.

TIKAT

Od razu go poznałem po tym czerwonym żołnierskim szynelu i chodzie: dwa kroki do przodu, trzeci nieco w bok. Poznałem go, choć dzieliła nas znaczna odległość, a twarz zakrywał mu do połowy ten człowieczyna w łachmanach, którego niósł na rękach. Rzuciłem koszyk Rossethowi pod nogi (zbieraliśmy spady i żołędzie dla świń) i puściłem się biegiem. Dogoniłem go na dziedzińcu. Wszystkie psy szczekały jak opętane i doskakiwały mu do pięt, a Gatti Jinni wrzeszczał na nie z okna. Kiedy podszedłem, Czerwony Płaszcz stawiał właśnie człowieka w łachmanach na ziemi, obejmując go w pasie ramieniem. Biedaczyna zawisł mu na rękach i zakaszłał. Był bardzo stary, o wiele starszy od mojego przyjaciela w czerwonym szynelu. Poznałem po jego kaszlu, że całkiem opadł już z sił i stoi jedną nogą w grobie. Czerwony Płaszcz spojrzał na mnie ponad głową tamtego i odezwał się znajomym mi szczekliwym głosem: - O, mój kompan koniokrad! Miło cię znowu widzieć. - Mildasi jednak cię nie dopadli - stwierdziłem, byle coś powiedzieć. Ciekawym, jak ty byś przywitał kogoś, kto ostatnio przyniósł ci śniadanie w lisich zębach? Obnażył je teraz; były tak białe jak zapamiętałem. - Czy karmiłbyś i czesał zgrzeblę małego siwka, gdyby mnie dopadli? Pospiesz się, to przyjaciel naszych pań.

Gdy powoli podszedłem do niego, wypuścił nagle starowinkę w łachmanach, a ten opadł na mnie. Podtrzymałem biedaka i zdumiała mnie, a nawet trochę przestraszyła jego waga, gdyż na oko biorąc powinien być leciuteńki, sama przecież skóra na kruchych kosteczkach, a tymczasem ugięły się pode mną kolana, zatoczyłem się do przodu i potknąłem, na co Czerwony Płaszcz wybuchnął głośnym śmiechem. Nie kryję, że byłbym upadł, gdyby mnie nie chwycił za ramiona i nie podparł. - Cięższy, niż się na pozór wydaje, co? No widzisz, starzy ludzie płatają nam czasem takie figle, koleżko koniokradzie. Co się tyczy tego tu, jego kości wypełnia ciemność, a krew zgęstniała mu i wyziębła od prawiecznej wiedzy tajemnej. Takie rzeczy trochę ważą, człowiek się męczy dźwigając je z miejsca na miejsce. Perorował tak chichocząc, podczas gdy ja wyteżałem wszystkie siły, żeby dowlec staruszka do drzwi gospody, w których stał z rozdziawioną gębą Gatti Jinni, mrugając powiekami. Byłem wdzięczny Rossethowi, gdy podbiegł i pomógł mi w milczeniu dźwigać moje brzemię. Z gospody wyszedł Karsh, odepchnął Gattiego Jinni i przyglądał się z groźną miną, jak się zataczamy podtrzymując biednego starca, jakbyśmy dźwigali ciężki i nieporęczny mebel. Za moimi plecami nie cichł śmiech Czerwonego Płaszcza, śmiech, od którego aż swędziały mnie dłonie. Karsh patrzył na Rossetha, nie na mnie; prosto na mnie nie patrzył nigdy. - Jeszcze jeden! - burknął. Choć każdego ranka budziłem się wówczas smutny, smutny pracowałem i smutny chodziłem spać, zrobiło mi się w tym momencie szczerze żal Rossetha, że musi dzień po dniu, przez całe życie słuchać tego gderającego burkliwego głosu. Zarazem jednak uświadomiłem sobie coś jeszcze: że Rosseth w gruncie rzeczy w ogóle Karsha nie słucha. Owszem, słyszał jego głos, słyszał rozkazy, zawsze pełen uszanowania, posłuszny, gotów na każde skinienie, ale w pewien sposób wymykał się swojemu panu, podobnie jak mnie uciekają słowa, które by to opisały. Karsh najwyraźniej również zdawał sobie z tego sprawę i było widać, że wcale mu się to nie podoba. Nie wydaje mi się natomiast, żeby sam Rosseth miał tego świadomość. Teraz pokręcił tylko przecząco głową i oświadczył wesoło: - Myli się pan, to wcale nie mój znajomy, proszę pana, ale gość z wizytą do panny Lal i panny Nyateneri! Zaprowadzimy go do ich pokoju i położymy tam, żeby sobie odpoczął, zanim wróca. Skinął mi głową i znowu zaczęliśmy ciągnąć i popychać półprzytomnego staruszka w kierunku gospody. Karsh odchrząknął i splunął. Nie uczynił najmniejszego gestu, żeby nam przeszkodzić, tylko mierzył nas gniewnym spojrzeniem wyblakłych oczu. Kiedy go mijaliśmy przestępując próg, odezwał się niezbyt głośno, ale zupełnie wyraźnie: - Gość, he? Raczej kolejny kandydat pod kolczaste jeżyny! Nie zrozumiałem, co ma na myśli, ale Rosseth aż zaczerwienił się na karku na te słowa. Krzyknął do Gattiego Jinni, żeby nam pomógł, ale ów zdążył się już

zaszyć w jednej ze swych zatęchłych kryjówek, musieliśmy więc sami wtaskać starego na schody. Sądziłem, że zdołam tam wejść. Wiedziałem, że w pokoju będzie unosił się jej zapach i że trudno mi będzie patrzeć na łóżko, na którym spała, i zastanawiać się, czy ktoś, kto umarł, może śnić o żyjącej osobie. Ledwo jednak wyjąłem zatyczkę ze skobla i pchnąłem na oścież drzwi, gdy mój wzrok padł na wiszącą na oparciu krzesła aksamitną chustę, którą kupiłem na jarmarku w Limsatty za pieniądze za pierwszą udaną tkaninę; była to ta sama chusta, którą Lukassa miała na sobie, kiedy utonęła. Zatrzasnąłem drzwi i odwróciłem się szybko. Rosseth chciał się okazać delikatny. - Tikat, one wyjechały jeszcze przy księżycu, nie będzie ich przez cały dzień. Ona... Lukassa... jej tam nie ma... Przypominam sobie, że wymawiając jej imię ponownie się zarumienił. Przypuszczam, że to musi być bardzo męczące, kiedy ktoś się tak bardzo stara, by nie urazić czyichś uczuć. - Przyślę ci Marineshę. Przepraszam - powiedziałem. Zbiegłem ze schodów tak szybko, jakby mnie goniły wszystkie potwory z moich majaków na Północnych Pustkowiach, tak szybko, że aż się potknąłem na podwórku i upadłem na kolana. Gdyby Karsh stał jeszcze w drzwiach gospody, pękłoby mu chyba ze śmiechu jego tłuste brzuszysko, musiałem bowiem wyglądać naprawdę komicznie. Nieoczekiwanie dla mnie samego pod drzwiami tamtego pokoju przeżyłem przełom. Podążałem za Lukassą przez lasy i pustynie, przez rzeki i góry, tropiąc najmniejszy ślad po niej, jaki te pustkowia dla mnie przechowały, ale do tego pokoju już za nią nie wejść, choćby stała w drzwiach i zapraszała mnie serdecznie do środka. Nie, tam już nie wejść, basta! - Niech ona do mnie wyjdzie, jeśli ma ochotę! - powiedziałem do gdaczących dokoła zakurzonych kur. - Teraz to ona musi do mnie wyjść! Głupie to było, jak widzisz, ślubowanie, a i nieuczciwe, wciąż bowiem wierzyłem, że moja dziewczyna znajduje się w mocy czarów, które nie pozwalają jej mnie poznać. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć tylko tyle, że byłem już bardzo zmęczony, przepełniony gniewem i rozpaczą. Klęczałem tam na podwórku i nikogo już nie kochałem.

MARINESHA

Gdyby nie Tikat, nie zbiłabym przez cały tydzień ani jednego naczynia. To może wydawać ci się głupie, ale inaczej byś mówił, gdyby to na ciebie wydzierał się wiecznie Karsh - za nieuwagę, niezgrabstwo i różne inne rzeczy, na które człowiek nie ma żadnego wpływu. A jednak udałoby mi się niczego przez cały tydzień nie stłuc, mimo jego szturchnięć, podkradania się cichcem od tyłu i wrzeszczenia mi nad uchem - ciekawam swoją drogą, czy i tobie nie leciałoby w takich razach wszystko z rąk? - udałoby mi się przez cały tydzień nie wyszczerbić nawet filiżanki czy spodeczka, mimo tego harmideru z powodu głupich gołębi,

gdyby Tikat nie wpadł do kuchni, kiedy się go najmniej spodziewałam i nie rozdarł się tym swoim wsiowym i szorstkim, ale całkiem przyjemnym głosem, którym nie udało mu się ani razu wymówić poprawnie mojego imienia, no i ma się rozumieć upuściłam miseczkę, bo kto by nie upuścił? Odwróciłam się i ze złości zamałowałam go w glacie. Nawet się nie zdziwił. Chłopak był dobrze wychowany, mimo swego pochodzenia. - Przepraszam, Marinesho - mówi. - Nie chciałem cię przestraszyć. Chciałem ci tylko powiedzieć, że Rosseth czeka na ciebie na górze. - Nie może być? - prychnęłam. Nie chciałam, aby sobie pomyślał, że wystarczy, jak Rosseth pstryknie palcami, a ja już lecę. - Idź i powiedz panu Rossethowi, że księżniczka Marinesha przybędzie do niego, kiedy jej będzie wygodnie, a jeśli to mu nie odpowiada, niechaj się dowie, że pewien uroczy pan chce go w tej chwili widzieć tu na dole w kuchni. - Shadry strasznie Rossetha nie lubił; naprawdę okropnie się z nim obchodził. Więc zrobiło mi się przykro, że go nim postraszyłam, i mówię do Tikata: - Przyjdę na górę, jak tylko będę mogła, ale muszę najpierw posprzątać te skorupy, żeby Karsh nie zobaczył. Chociaż wiedziałam, że i tak zobaczy. Tikat miał najładniejsze rzęsy, jakie w życiu widziałam. Nigdy byś nie przypuszczał, że chłopak ze wsi może mieć takie długie i gęste rzęsy barwy słońca na piasku w ciepłe późne popołudnie. Do tego był wysoki, o wiele, ale to o wiele wyższy od Rossetha, no i ten jego głos... Gdyby jeszcze dbał trochę o włosy, wyglądałby jak... sama nie wiem kto. Jak jakiś piękny ptak albo inne piękne stworzenie. Nie żebym z nim dużo rozmawiała, tyle co "dzień dobry" i "dobry wieczór", więcej ode mnie nie usłyszał, za to mogę ręczyć, ale był dla mnie zawsze bardzo uprzejmy, więc sam rozumiesz... Jednak tamtego dnia ledwo go poznałam. Nie potrafię powiedzieć, na czym polegała ta jego zmiana; gdybym ci powiedziała, że był bladej jak płótno albo że cały się trząsał, pomyślałbyś, że właśnie na tym - a tak wcale nie było. Dość że nigdy wcześniej go takim nie widziałam. Powiada do mnie: - Będziesz musiała sama mu to oznajmić, Marinesho, bo ja już na górę nie wrócę. - Co mrużysz? - pytam, bo mówił strasznie cicho. - Co z tobą? - Wiedziałam oczywiście, co mu dolega. Nie było chyba gościa, który by się nie orientował, że biedaczysko odbył tę okropną podróż w poszukiwaniu swojej ukochanej, a to blade, ciche jak mysz lelum- polelum odwróciło się od niego plecami i udawało, że w ogóle go nie zna. Uważałam, że tak się nie godzi i że to te dwie zadzierające nosa niewychowane paniusie tak ją podmówiły i wcale się ze swoją opinią nie kryłam. Pewnemu stajennemu wyciągnęła się mina, kiedy usłyszał ode mnie słowo prawdy, powiadam ci, ale co mi tam! Tikat miał maniery, a to jedyna rzecz, jaką na tym świecie naprawdę cenię. Maniery! Wykrztusił jednak tylko: - Nie mogę... jestem tchórzem... nie mogę! Przebiegł obok mnie i wyleciał z kuchni, omal nie

przewracając Shadry'ego, który właśnie wchodził. Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. Potem pozostało mi tylko udobruchać Shadry'ego, sprzątnąć skorupki stłuczonej miseczki i pójść na górę. Rosseth posadził właśnie najbardziej wiekowego starca, jakiego w życiu widziałam, na sienniku na podłodze. Starowinka miał oczy zamknięte i był koloru brudnego, zleżalego śniegu. Pracowałam kiedyś - jeszcze jako mała dziewczynka - u jednego znachora, więc napatrzyłam się nieboszczyków. Gdyby nie to, że Rosseth do niego mówił, pomyślałabym, że i ten stary już wyzionął ducha. Rosseth zapewniał go: - Będzie tu panu wygodnie jak każdemu innemu gościowi w gospodzie "Pod Tasakiem i Ościeniem". Jestem pewien, że pana znajome wrócą przed wieczorem. Gdybym mógł coś jeszcze dla pana zrobić... - Stary milczał. - Jedyne, co możesz dla niego zrobić - podpowiedziałam od drzwi - to zapytać, dokąd odesłać ciało i księża jakiego obrządku mają iść za karawanem. - Rosseth odwrócił się porywczo i spiorunował mnie wzrokiem, ale ja tylko uśmiechnęłam się do niego z miną niewiniątka. Strasznie go wkurzało, gdy się tak do niego uśmiechałam. Dodałam jeszcze: - Najlepsze zaś, co możesz zrobić dla siebie, to modlić się, żeby Karsh nie zaczął szukać tego zapasowego siennika, bo wyprułby z ciebie flaki i wypchał nimi nowy. Rosseth westchnął przeciągle, z rezygnacją, czym znowuż mnie zawsze cholerycznie wkurza, i mówi: - Ten pan przyjechał w odwiedziny do swoich znajomych. Nie zostaje na noc. - Bo nie przetrzyma nocy - stwierdziłam. Rosseth położył palec na ustach, co ja zlekceważyłam, dodając: - Te trzy lafiryndy znajdą po powrocie w swoim pokoju sztywnego trupa. - Bardzo mnie to rozbawiło, więc zaraz się roześmiałam. - Biedulki! Z nieżywego chłopca, obawiam się, nie będą miały żadnej pociechy. Rosseth był na mnie wściekły jak jasna cholera. Powiedziałam tak specjalnie, przyznając, bo od przyjazdu tych panius stał się prawdziwie nie do wytrzymania, a już szczególnie w ostatnich tygodniach. Przedtem pogawędziliśmy sobie czasem przyjemnie, kiedy Karsha akurat nie było w pobliżu, albo szliśmy na przechadzkę do lasu, albo nawet wybieraliśmy się na całe popołudnie do Corcorui, a teraz ten bęcwał nie gadał o niczym innym, tylko o tym, jakie to Lal ma śliczne dłonie, jaka to Nyateneri elegancka i jaka to urocza i przyjacielska panienka z tej Lukassy - jakby jej człowiek nie znał! Nudna niczym flaki z olejem, umęczliwa jak licho. Obawiam się, że po prostu straciłam do niego resztkę cierpliwości, ot co. - Chodź tu, Marinesho - wycedził przez zaciśnięte zęby - chodź i siadaj. Sam przycupnął przy materacu i kiwa na mnie palcem. Jeszcze czego! Nie ruszyłam się z miejsca, dopóki mnie nie poprosił, nawet ładnie, nie mogę powiedzieć. Dopiero wtenczas podeszłam i usiadłam naprzeciwko niego po drugiej stronie tego staruszka. - I co teraz? - pytam. Tyle i nic więcej, kapujesz. A Rosseth mówi: - Znasz się trochę na leczeniu, w każdym razie

lepiej ode mnie, chyba żeby szło o konia. Powiedz mi, co mam robić. - Już ci powiedziałam - fukam. - Zapytaj go, gdzie chce zostać pochowany. Wygląda, jakby od wielu dni nic nie jadł i chyba zmoczyła go ta burza, co rano przeszła nad miasteczkiem. Na domiar złego jest okropnie stary. Nic gorszego już mu nie dolega, ale i na to nie zdołasz zdechlakowi pomóc. Kiedy to powiedziałam, Rossethowi tak się wyciągnęła mina, że aż mi się go zrobiło żal. Niektórzy ludzie wyglądają o wiele sympatyczniej, kiedy są smutni i Rosseth właśnie do nich należał. Zapytałam go: - Dlaczego tak się przejmujesz tym obcym człowiekiem? Nie wątpię, że to poczciwy staruszek, ale dla ciebie ani brat, ani swat. A może?... Zażartowałam tak, bo Rosseth jest sierotą, zresztą podobnie jak ja, więc choć tyle mamy ze sobą wspólnego, ale ja znałam przynajmniej imiona rodziców i skąd pochodzili, a biedaczysko nie wiedział nawet, gdzie się urodził. Czyli ten staruszek na dobrą sprawę mógł być jego krewnym, pojmujesz, jak każdy zresztą przybłąda. A ten mi na to: - Spójrz tylko na niego, to jakaś ważna osoba. - Aż się znowu zagotowałam w środku i mówię: - Bo co? Bo jest ich przyjacielem? Tu cię gryzie, dlatego go tak niańczysz, co? - Ale Rosseth tylko pokręcił głową. - Tylko na niego spójrz, Marinesho - powtarza. - Tylko na niego spójrz. No więc przyjrzałam się uważniej twarzy tego starowiny, to znaczy zajrzałam pod jego zaślinione rozdziawione usta, pod zmarszczki i zadrapania z wżartym w nie brudem, pod tę okropną szarość jego skóry, a nawet pod rysy twarzy, jeśli rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć. I nagle... sama nie wiem... od tego patrzenia zrobiło mi się tak jakoś dziwnie radośnie, choć jednocześnie zachciało mi się płakać, ale to w gruncie rzeczy na jedno wychodziło. Sama nie wiem... po prostu się na niego gapiłam, Rosseth też, i więcej się już do siebie nie odzywaliśmy. Po jakimś czasie doleciał nas z dołu ryk Karsha wołającego Rossetha. - Idź, ja tu przy nim trochę posiedzę - zaofiarowałam się, a Rosseth spojrzał na mnie uważnie, uśmiechnął się, dotknął mojego ramienia, mruknął "dziękuję" i wyszedł. Siedziałam jakiś czas obok siennika i przyglądałam się staruszkowi, potem wstałam i poszłam po ścierkę, żeby mu obetrzeć twarz, nie widziałam bowiem powodu, dlaczego ma być brudny, nawet jeśli jest stary, chory, a może i umierający. Kiedy go wycierałam, otworzył oczy. - O, Marinesha! - ucieszył się, jakbyśmy się znali od dawna i mój widok mile go zaskoczył. Miał taki niezwykle, jakby zamyślony głos, z leciutkim tylko obcym akcentem. - No, no, czuję się jak kocię, któremu matka-kotka wylizuje mordkę. Muszę przyznać, że to bardzo odświeżająca pobudka. - Kiedy się uśmiechnął, nic nie szkodziło, że dziąsła ma bezzębne. Nagle jakoś się go zawstydziałam. Wolałabym, żeby sobie jeszcze trochę pospał. Zerwałam się na nogi i spytałam: - Czy czuje się pan już lepiej, proszę pana? Co mogę dla pana zrobić? - Zupełnie jak Rosseth, do tego przyszło.

Wtedy się roześmiał. Nie umiałabym ci opisać jego śmiechu. Taki cichy, drżący, prawie podobny do kaszlu, a jednak chciałoby się go słuchać w nieskończoność. - No cóż - powiedział - wystarczyłoby mi w zupełności, gdybyś mogła stać tak przede mną w słońcu, o więcej nie śmiałybym cię prosić, lecz zdaje mi się, że moje przyjaciółki wchodzą już na schody. Wiem, że nie darzysz ich sympatią, a nie chciałbym stawiać cię w kłopotliwej sytuacji po uprzejmości, jaką mi wyświadczyłaś. I rzeczywiście, w następnej chwili drzwi się otworzyły, a wszystkie trzy damule wpadły z rwetesem do pokoju i stanęły z rozdziawionymi jadaczkami i wybałuszonymi oczami, zupełnie jak ryby leżące rządkiem na straganie, potem ta czarna wykrztusiła: - Rosseth nam powiedział... A panna Nyateneri zatrzepotała rękami i zawołała: - Gdzieś ty się podziewał? - Taka bezczelna! Co się tyczy tej trzeciej, podeszła prosto do starca, opadła przy posłaniu na kolana i wsunęła ręce między jego dłonie, demonstrując ten wielki, pospolity szmaragd, który stale nosi na palcu. Staruszek dotknął go, uśmiechnął się i powiedział coś jakby: - Więc oto znowu powrócił do domu. - Jednak dobrze nie zrozumiałam. Tymczasem ta mazgajka ni stąd, ni zowąd uderzyła w bek, a on ją zaczął pocieszać: - Uspokój się, uspokój. Jesteś, gdzie być powinnaś. Uspokój się już. Na mnie, ma się rozumieć, żadne z nich nawet nie spojrzęło, jakbym była miską z resztkami dla psa - ani kiedy otwierałam drzwi, ani kiedy je za sobą zamykałam. Chwilę stałam na podeście schodów, nie żeby podsłuchiwać, ale żeby się przygotować na to, co mnie czekało na dole - brud, dym, smrodliwe zapachy z kuchni; Karsh i Shadry zaczęły wydzierać się na mnie na wyprzódki, Gatti Jinni będzie patrzył tylko okazji, żeby mnie przydybać gdzie w kącie, w izbie karczemnej będą rechotać pijani chłopcy i żołnierze, a goście zaczęły mi wydawać czterdzieści sprzecznych poleceń na raz. Zejdzie mi do północy albo i dłużej, jeśli będę miała pecha, zanim się uporam z robotą. Więc rozumiesz, musiałam zapomnieć, jak przyjemnie było siedzieć sam na sam z tym staruszką, zapomnieć o tym przynajmniej do czasu, aż będę mogła zacząć rozpamiętywać to sobie w spokoju gdzieś na osobności. Bo kto by inaczej chciał w ogóle schodzić na dół?

LAL

Oczywiście, że byłyśmy obie zazdrosne, jakże mogło być inaczej? Oto spiesząc na pomoc naszemu ukochanemu mistrzowi dotarłyśmy po długiej, pełnej niebezpieczeństw i trudów podróży do dalekiego kraju, gdzie musiałyśmy następnie przez wiele koszmarnych tygodni szukać dzień po dniu choćby śladu jego obecności na tym świecie, aby teraz patrzeć, jak ignorując całkowicie naszą obecność wita się z jakąś nieznaną dziewczyną, niczym z córką dawno zaginioną. Czegóż innego mogłyśmy się jednak spodziewać? Nasz mistrz zwracał się

zawsze do tych, którzy najbardziej go potrzebowali, czynił to zaś odruchowo, bez niczyich podpowiedzi. Moje własne życie jest tego świadectwem, podobnie jak życie Nyateneri. Gdyby jednak na dodatek, tuląc tak i pocieszając Lukassę, nazwał ją chamata, myślę, że byłabym zdolna go uderzyć. To imię należy wyłącznie do mnie, mimo że nie wiem, co znaczy. (Kiedyś go już uderzyłam, w zamierzchłej przeszłości; byłam wtedy bardzo młoda i omal nie oszalałam ze strachu sądząc, że mnie za to naprawdę zabije.) On wypowiedział jednak całkiem inne imię, przyglądając się Nyateneri i mnie znad głowy Lukassy, którą dziewczyna złożyła na jego chudym ramieniu. - Ma na imię Arshadin - oznajmił. Uwielbia takie przeskakiwanie od jednego do drugiego z nie zadanych przez ciebie pytań, niczym małpa wywijająca koziołki w koronie drzewa. Nigdy nie kłamie, co to, to nie, ale musisz się za nim wdrapać tam, wysoko, jeśli chcesz się połapać w tych susach. Te wolty są dokładnie tak irytujące, jak je sobie zamyślił, więc czasem ogarnia człowieka ochota, żeby i jego zmusić do podobnego wysiłku. Skinieniem głowy wskazałam Nyateneri i odrzekłam: - A o n ma na imię Soukyan. Nie powiem, żeby mi się to podobało. Uśmiech mojego przyjaciela nie zmienił się, pozostał ciepły i tajemniczy jak zawsze. - W takim razie będę go nadal nazywał Nyateneri. Chyba że bardzo by się temu sprzeciwiał. Spoglądał z poważną miną to na jedno, to na drugie z nas, jakby rozstrzygał spór między małymi dziećmi. Nyateneri i ja spojrzeliśmy sobie w oczy, chyba po raz pierwszy od tamtej nocy, o której oboje wolelibyśmy zapomnieć. W tygodniu, jaki upłynął od chwili, gdy on, Rosseth, Lukassa i ja podnieśliśmy się z tej skotłowanej, pijanej łóżnicy, prowadziliśmy nadal nasze uporczywe poszukiwania, odzywając się do siebie tylko w razie niezbędnej konieczności, a porozumiewając się odwracającymi szybko spojrzeniami z ukosa. Poza tym nic się nie zmieniło, tyle że Nyateneri, przybrawszy na powrót kobiecą postać, głównie w trosce o równowagę umysłową Karsha, przeniósł się do ciasnej klitki obok naszego pokoju, a biedaczysko Rosseth, nie mogąc nas unikać, nie był też w stanie się do nas odzywać. Na Lukassie, o ile mogłam stwierdzić, wydarzenia tamtej nocy nie pozostawiły śladu wyraźniejszego niż długi, słodki sen. Mnie samą wprawiły w nieprzyjemny zamęt. Do łóżka chodzę tylko ze starymi przyjaciółmi (a tych mogłabym policzyć na palcach jednej ręki), wobec których nie zachodzi niebezpieczeństwo zakochania się ani obawa, że zostanę oderwana od czekającego mnie zadania bądź zamierzonej podróży i przy których nie muszę się lękać ciosu w plecy. Nie śpiam z osobami świeżo poznanymi, ze współtowarzyszami podróży, ze współnikami ani z ludźmi zbytnio do mnie podobnymi, a tymczasem Nyateneri- Soukyan spełniał wszystkie te kryteria, nie mówiąc już o tym, że okazał się największym oszustem, jakiego poznałam w całym swoim życiu, spędzonym

wszak wśród oszustów. Cokolwiek się jeszcze mogło zawiązać między nami - nie byłam przecież aż tak naiwną gąską, by sądzić, że pozostaniemy sobie obojętni - nie mogło to być w żadnym razie zaufanie, nie wzbudzał go bowiem mężczyzna, który tak bezwstydnie i niebezpiecznie mnie podszedł. Zraniona duma, tak, z pewnością; ale z domieszką żalu, który jest jeszcze rzadszym niż zaufanie gościem w moim życiu. Nyateneri oświadczył chłodno: - Przywykłem do tego imienia i będę na nie odpowiadał. Potem podszedł i ukląkł przy sienniku, a mój przyjaciel położył mu rękę na głowie. Stałam bez ruchu, kołysząc się niemal z radości i ulgi, a zarazem pełna złości do całego świata. Nie ruszyłam się z miejsca nawet wtedy, kiedy mistrz na mnie skinął. - A otóż i moja Lal - powiedział bez ironii - która musi wszystkiego doglądać, o wszystkim pomyśleć, za wszystko wziąć odpowiedzialność. Tych, którzy do mnie przychodzą, chamata, uczę tylko tego, co im się, moim zdaniem, kiedyś w życiu przyda. Przewidując, że będziesz żyła zawsze w pobliżu Kostuchy i ocierała się o nią na ulicy, nauczyłem cię jak doliniarza sztuczki okradania jej kieszeni, kiedy się mijacie. Co się tyczy tego oto twojego towarzysza, ucieka on przed takimi posokowcami, jakich ty dotąd nawet nie poznałaś. Te psiska będą go tropiły do końca jego dni. Nyateneri nie patrzył na nikogo z nas, nie okazywał też żadnych uczuć. Mój przyjaciel podjął głosem drżącym ze zmęczenia, a trochę od jego zwykłego śmieszku. - Posokowce mają doskonały węch, lecz dość kiepski wzrok. Można by rzec, że nauczyłem Nyateneriego sposobu mącenia im wzroku, przynajmniej na jakiś czas. Ostatnie słowa wymówił z intonacją bliską pytającej. - Tylko na jakiś czas - przyznał Nyateneri. - Dwa ostatnie szły po tropie. Trzeci dotąd węszy. Mój przyjaciel kiwnął głową, bynajmniej nie zaskoczony tą nowiną. - No cóż, poleganie na takich fortelach pociąga za sobą pewien kłopot: otóż nie zawsze działają, nawet te najlepsze. Toteż gdy zużyło się wszystkie, nic człowiekowi prawdę mówiąc nie pozostaje; nie jest tym, kim był przedtem ani tym, kim stał się potem. Arshadin mnie tego nauczył. W pokoju panowała cisza, jak makiem zasiał. Musiałam ją przerwać. - Arshadin to ten chłopiec, który przybył tu wkrótce po mnie, mówi z akcentem z pogórza i ma śmieszne uszy. Nyateneri zaś rzekł niemal równocześnie ze mną: - Przypominam sobie. Niski, rasa południowca, cały czas nosił pod koszulą fujarkę chikchi. Mój przyjaciel pokręcił tylko wolno głową z lewa na prawo, zbyt zmęczony, by energiczniej zaprzeczyć. - Wy nie znacie Arshadina - rzekł. - Żadne z was. Nawet ja go nie znam. Przymknął oczy i zamilkł na chwilę. Lukassa poprawiała mu nerwowo poduszki, a ja i Nyateneri mierzyliśmy się wzrokiem, w milczeniu, pełni niechęci, cofając się ramię przy ramieniu przez wspólnie przeżyte, choć przedzielone wieloma latami, noce i dni. Ach, jego nigdy nie można popędzać, nigdy nic się z

niego nie wyciągnie bez jego zgody, pamiętasz, jak zwykł był zawsze powtarzać wciąż i wciąż od nowa; czy ci kiedyś powiedział: tak pamiętam - i czy to nie doprowadzało cię zawsze do furii? W pewnej chwili usłyszałam brzęczenie muchy w rogu okna i chrapliwy ryk ulubionego osła Rossetha, którym domagał się zimowych jabłek. Blade zmęczone oczy, niegdyś takie wesołe i zielone, otworzyły się nagle. - Brakowało mi ciebie, chamata. - Głos mojego przyjaciela był spokojny i pełen zadumy. - Nie byłem przygotowany na to, że w moim wieku będę jeszcze za kimś tęsknił. Równie dobrze mogłyby mi się zacząć wyrzynać mleczone zęby lub mógłbym zacząć śpiewać serenady pod oknami dziedzińca. To odkrycie - zawahał się na chwilę - bardzo mnie wytrąciło z równowagi. Oszołomiona, mrugałam oczami przypominając sobie, że ani mnie nie przytulił, ani nawet nie odprowadził wzrokiem tamtego dnia, kiedy samotnie wyruszałam w świat, ponieważ on, mój mistrz, uznał, że przyszedł na to pora. Byłam wtedy jeszcze bardzo młoda, a on stał się wszystkim, co miałam najdroższego, więc przepłakałam za nim niejedną noc skulona pod kocem, na który kapały krople z drzew, osłonięta przed wiatrem tylko ich gałęziami. Nie przyszło mi nawet do głowy zastanawiać się, czy i on beze mnie czuje się równie opuszczony i samotny, ta zaś myśl wydawała mi się nawet teraz tak niedorzeczna, jaką przedtem musiała wydawać się jemu. Nyateneri uśmiechnął się lekko i bez złośliwości, a mnie mimo to ogarnęło rozdrażnienie. - Wytrąciło z równowagi - powtórzył mój przyjaciel. - Jedno z dwojga: albo jestem bardziej sentymentalny niż sądziłem, albo moja próżność usycha bez kogoś, kogo mógłbym ratować, chronić i pouczać. Tak czy owak, Arshadin zapukał do moich drzwi, kiedy byłem trochę przygnębiony, jeśli wolisz, odrobinę rozstrojony. Zwyczajny sobie na oko chłopczyzna, bez twojego drapieżnego wdzięku, panno Lal, i nie tak urodziwy jak Nyateneri. Żaden też uciekinier czy ktoś w tym rodzaju, po prostu drugi z kolei syn jakiegoś wieśniaka, dobrze odżywiony, jako tako wykształcony i świetnie wiedzący, czego chce od życia. Urwał, głaszcząc machinalnie Lukassę po głowie, i spoglądał w zamyśleniu to na jedno, to na drugie z nas. Jestem Inbarati z Khaidun, choćbym nigdy już nie miała zobaczyć mojego rodzinnego miasta (co się zresztą spełni), wychowywaną od kołyski na bजारkę, ale od tego człowieka dowiedziałam się więcej o trudnej sztuce snucia opowieści niż od mojej matki, babki i wszystkich ciotek razem wziętych. Nigdy mu tego zresztą nie wyznałam. Mój przyjaciel ciągnął: - Arshadin miał tylko jedno niewygórowane pragnienie: chciał zostać największym czarownikiem, jaki kiedykolwiek istniał. No i osiągnął swój cel... Osioł Rossetha w tej właśnie chwili zaryczał po raz drugi, sprawiając, że wybuchnęliśmy wszyscy przesadnie głośnym śmiechem. Mój przyjaciel zamilkł na chwilę, po czym podjął cicho, jakby mówił do samego

siebie: - Widzicie, kiedy człowiek połknął bakcyła nauczania, nigdy nie schodzi mu z myśli pytanie: "A co będzie, kiedy spotkasz kogoś przewyższającego ciebie talentem? Nietrudno być miłym i usłusznym dla tych, którzy ci nie zagrażają, ale jak postąpisz wobec kogoś, kto okaże się twoim mistrzem, zanim jeszcze sam się o tym dowie? Jak się wtedy zachowasz?" Oboje z Nyatenerim zaczęliśmy mówić jednocześnie, ale mistrz uciszył nas gestem wcale nie mniej władczym przez to, że jego wykonawca był tak osłabiony i zmarniały. - Jeśli pozwolicie, opuścimy wasze gorliwe zapewnienia, że ja nie mógłbym nigdy stanąć w obliczu podobnej sytuacji. Każdy z nas spotyka swego mistrza - po cóż innego, jak wam się zdaje, przychodzimy na ten świat? - więc i ja swojego spotkałem, gdy pewnego pochmurnego popołudnia, żując herbatniki, podszedłem do drzwi. Poznałem go od razu. I ty, Lal, poznasz któregoś dnia szermierza lepszego od ciebie już po pierwszym skrzyżowaniu kling. Poznałem go i zaprosiłem na herbatę. Nyateneri przyglądał mu się z ironiczną zmarszczką na czole. - W takim razie musiało się to zdarzyć całe wieki temu. Nakłaniałeś mnie przecież, żebym się nauczył parzyć dobrą herbatę, lecz nigdy jej nie piłeś. Omal nie odszedłem od zmysłów usiłując zaparzyć taką, która by ci zasmakowała. - W tym czasie oprócz picia herbaty zarzuciłem również inne przyjemności - odrzekł bardzo cicho mój przyjaciel. - Kiedy do mnie przyszedłeś, już od dawna zajmowałem się przygotowywaniem mojej lamisetha. - Spostrzegłszy, że gapimy się na niego tępo, uśmiechnął się i wyjaśnił: - To stare słowo z terminologii czarowników. Oznacza z grubsza "drogę odejścia". Dla czarodzieja najważniejsze w życiu jest to, jak będzie umierał. Czy wiecie, dlaczego tak jest? Nyateneri? - zapytał, jakby znowu był naszym nauczycielem i zadawał nam podstępne pytania, na które istniała tylko jedna odpowiedź, i to zawsze zła. - Byłeś zawsze niezwykle ciekawy tych zagadnień, nawet bardziej niż Lal. Nyateneri pokręcił jednak tylko w milczeniu głową. Mój przyjaciel ciągnął: - Czarownik musi umierać w spokoju, pogodzony ze światem. Nie mówię o doczesnym pogodzeniu się z sąsiadami czy lokalnym władcą, ani o tym, co większość ludzi nazywa spokojem duchowym, rozumiejąc przez to należyte wypełnianie wszystkich przykazań tego czy innego boga, jakiemu służyli. To, o czym mówię, należy naprawdę do dziedziny ducha: oznacza wycofanie się, pewien szczególny sposób siedzenia w bezruchu, wymaga lat przygotowań i można je osiągnąć jedynie dzięki długiej nieruchomej podróży. To właśnie jest lamisetha. Termin, powtarzam, na dobrą sprawę nieprzetłumaczalny. Rozległo się pukanie do drzwi; podeszłam, by je otworzyć. Spodziewałam się zobaczyć Karsha, tymczasem za progiem stał Gatti Jinni. Gdy otworzyłam drzwi, cofnął się o krok. Najwyraźniej bał się Lukassy i mnie, chwycił się natomiast każdego pretekstu, by móc świadczyć uniżone

usługi Nyateneri. - Pan Karsh kazał powiedzieć - wybąkał - że jeśli pan starszy zostaje na noc, trza będzie dopłacić. - Zostaje na noc - odrzekłam - a nawet dłużej jeszcze, tyle że w lepszym od tego pokoju. Załatwię to z gospodarzem. Tymczasem przyślij nam tu na górę chleb, zupę i wino dla starszego pana... byle nie "Córkę Smoka"! Gatti Jinni zmykał już jednak korytarzem. Kiedy odwróciłam się od drzwi, Nyateneri mówił właśnie: - A jednak mnie przyjąłeś. Nie zaznałeś potem błogosławionego spokoju, to pewne, ale jakoś nigdy się nie skarżyłeś. Wargi mojego przyjaciela skrzywiły się ironicznie. - No cóż, to prawda. Wygląda na to, że łatwo mnie sprowadzić z obranej drogi; nie byłeś zresztą pierwszym, który odwiódł mnie podstępem od porządkowania własnej duszy. Postanowiłem sobie jednak wtedy, że będziesz stanowczo ostatnim; przysiągłem sobie, że kiedy pójdiesz w końcu w świat szukać własnej drogi, nie ulegnę więcej tej starej pokusie, nie pozwolę, by zatrzasnęła się nade mną znowu stara pułapka. No i nie zatrzasnęła się, aż do dzisiejszego dnia. Pod tym względem dotrzymałem danego sobie słowa. - Arshadin. Wypowiadając to imię miałam wrażenie, że wrywa się ze mnie na wolność niczym żywe zwierzątko. - Arshadin - przyznał mój przyjaciel. Kiedy ponownie je wymówił, zabrzmiało jak westchnienie zza stosu oblodzonego chrustu. - Arshadin stał mi się synem, choć nie rodzonym: synem poszukiwania, synem drogi; a lękam się, że i próżności. My, czarownicy, nie boimy się śmierci tak jak większość ludzi, zapewne dlatego, że lepiej od innych poznaliśmy nietrwałość rzeczy. Z tego też pewnie powodu odczuwamy przemożne pragnienie pozostawienia po sobie najmniejszego choćby śladu naszej bytności na tym świecie. U niektórych z nas może ono powodować chęć dokonania wiekopomnych dzieł, czyniących wrażenie panowania nad materią i przekształcania jej, reszcie wystarczy przekazanie własnej wiedzy komuś, kto będzie choć w stanie pojąć, jak wielkim kosztem została zdobyta, i komu można zaufać, że nie zabierze jej ze sobą do grobu. Ale Arshadin! Arshadin... Zamilkł i milczał tak długo, iż choć oczy trzymał wciąż otwarte, zaczęłam podejrzewać, że zasnął. Potrafił to robić na zawołanie, najczęściej w środku rozmowy, gdy stawała się zbyt gorąca lub szczerą, a on nie miał akurat ochoty się w nią wciągać. Możliwe zresztą, że robił tak dla żartu; pewności nigdy w tej mierze nie miałam. Obecnie zaś był już naprawdę stary, stareńki i okropnie zmęczony. Przyglądając mu się wtedy, zapragnęłam nagle, abym i ja mogła zasnąć i nie musiała go takim oglądać. Ledwo to pomyślałam, uśmiechnął się do mnie, jakby jego zapadnięte usta były proporcem lub kwiatem, i podjął swą opowieść, jak gdyby w ogóle jej nie przerywał. - Zasłużyłem sobie na Arshadina - stwierdził. - Pod każdym względem i w każdym sensie określenia "zasłużyć sobie". Nie znałem wcześniej większego od siebie czarownika; pamiętajcie, że byłem uczniem Nikosa, potem

studiowałem długo u Am-Nemila, a później u samej Kirisinji. Cieszyłem się, co prawda, mniejszym uznaniem w świecie niż każde z nich, ale nigdy nie opuszczała mnie świadomość, że zasłużyłem sobie na prawdziwego dziedzica, że mam słusne prawo zostać ojcem czarodzieja mądrzejszego i potężniejszego niż ja; kogoś tak ode mnie różnego, jak ptak różni się od skorupki jajka, z którego się wykuł. I dokonałem tego, ziściło się moje pragnienie, i otrzymałem dokładnie to, na co sobie zasłużyłem własną próżnością i głupotą. Nie mam prawa się uskarżać. - Z całym szacunkiem... - zaczął Nyateneri. - Bez cienia szacunku - sprostował żartobliwie mój przyjaciel. - Nigdy nie szafowałeś tym uczuciem. Lal przypominała dzikie zwierzątko, wychowano ją jednak w czci dla bardów, poetów oraz najbardziej nawet zbzikowanych starych czarowników. Natomiast ty odznaczałeś się zawsze zewnętrzną ogładą, nawet gdy miotła tobą rozpacz, ale prawdziwego szacunku nie znałeś. Przypisuję to brakom twego wykształcenia oraz młodzieńczej diecie, zawierającej zbyt wiele tilgit. Mimo owej krytyki, ujął oburącz dłoń Nyateneriego, na której nie było już prawie śladu sińców i opuchlizny, i przycisnął ją na chwilę do serca. - Z całym szacunkiem - powtórzył Nyateneri - ale wyrażona przez ciebie pochwała tego Arshadina nieco mnie zaskakuje. Ani ja, ani Lal nigdy aż do tej chwili nie słyszeliśmy tego imienia - zerknął na mnie szukając potwierdzenia swoich słów, po czym poprawił się: - a raczej aż do chwili, gdy Lukassa wykrzyknęła je nagle w tej śmiesznej wieży jak z cukrowej waty. Lecz jeśli nawet to on był owym czarownikiem, który wezwał... kogokolwiek tam wezwał... przecież poległ, a ty przeżyłeś. Nie bardzo więc rozumiem, jak Arshadin mógł być twoim mistrzem i największym ze wszystkich czarowników? Mój przyjaciel westchnął. Oboje z Nyatenerim spojrzeliśmy na niego ponownie, lecz tym razem żadne z nas nie zdołało powstrzymać uśmiechu. Dobrze znaliśmy to jego chrapliwe westchnienie rezygnacji, podobnie jak znaliśmy pełen przygany szum własnej krwi w uszach: upłynęła jeszcze jedna bezmyślna minuta, jeszcze jedno "tik" podobne do poprzedniego "tak"; jak sądzisz, ile takich "tik, tak" masz jeszcze przed sobą? Zawsze wzdychał w ten sposób, gdy chciał dać odczuć swym uczniom, że ich odpowiedź na jego pytanie skróciła mu życie o pokąźną chwilę napęliając smutkiem schyłek jego dni. Działo to na mnie niezmiennie, nawet gdy już wiedziałam, co się za tym kryje. - Lukasso - zwrócił się do dziewczyny - co stało się z tobą po śmierci? - Spojrzała na niego bez lęku, z tak jawnym natomiast pełnym uwielbienia zdumieniem, za jakie nam, mimo osłabienia, natarłby dobrze uszu, ją zaś poklepał tylko i zapytał jeszcze delikatniej: - Co się stało z tobą, z twoją wewnętrzną Lukassą? Czy zasnęłaś? Zasnęłaś tak, jak wedle ludzkich bajd zasypiają czarownicy? Jeszcze zanim pokręciła przecząco głową, przytaknął energicznie. - Jasne,

że nie! Byłaś w pełni świadoma i krzyczałaś, przestałaś tylko oddychać. Więc wyobraźcie sobie, a mówię to wam, bo wy przynajmniej nie sądzicie jak poniektórzy, że wiecie wszystko o czarach, wyobraźcie więc sobie tylko, co dzieje się w chwili śmierci z czarownikiem! Większość ludzi doświadcza pełnej jasności umysłu tylko od przypadku do przypadku; od wielkiego dzwonu, można by powiedzieć. Natomiast czarownik doświadcza pełnej jasności umysłu przez cały czas, w każdym dowolnym momencie, za co też przeważnie ludzie nazywają go czarownikiem; nigdy zaś większej niż w godzinie śmierci. - Obrzucił dobrotliwym spojrzeniem Nyateneriego i mnie, stary komediant. - Jeśli nie umiera pogodzony, jeśli nie dano mu odbyć jego lamisetha, taka pełna jasność umysłu może się okazać czymś naprawdę strasznym. Istnieje na opisanie tego stanu specjalne określenie, są też specjalne zaklęcia. Nie powiem, żeby w pokoju zapanowała tak dramatyczna cisza, jaką chciałby zapewne usłyszeć. Na dziedzińcu wymyślało sobie dwóch handlarzy bydła, czekały psy, gdakały kury, dał się też słyszeć ów szczególnie, podobny do ryku sheknatha w okresie rui wrzask Karsha, którym oberżysta zwykł zaprowadzać spokój. Tylko między naszą czwórką zalegała szczególnie napięta cisza. Przerwał ją dopiero mój przyjaciel: - Nie chciałem, żeby Arshadin nauczył się pewnych słów; mimo to poznał je. Nie zamierzałem go nauczyć pewnych rzeczy; inni nie mieli podobnych oporów, więc odszedł do nich. Bez urazy; nigdy się z Arshadinem nie kłóciliśmy ani nie obrażaliśmy na siebie. Na odchodnym uściśnął mi nawet dłoń. Nagle nasz mistrz zaczął cicho płakać... O jego płaczu ci jednak nie opowiem... Kiedy oboje z Nyatenerim byliśmy w stanie znów na niego spojrzeć - Lukassa w ogóle nie odwracała odeń wzroku, głaskała go po twarzy i ocierała mu oczy, na co my nigdy byśmy się nie odważyli - mój przyjaciel powiedział: - Kochałem go jak samego siebie. Fatalny błąd! Arshadin jako obiekt miłości w ogóle nie istniał. Arshadina właściwie nie ma, jest tylko wspaniały talent i nieopisana ambicja. Wydawało mi się, że zdołam stworzyć prawdziwego Arshadina na szkieletcie owych dwóch cech. Zgrzeszyłem próżnością: bezmyślną przerażającą próżnością... Dziękuję ci, kochanie, nie trzeba. Lukassa chciała mu pomóc wydmuchać nos. Nyateneri odezwał się grubym głosem, co mnie wówczas, jak pamiętam, przestraszyło, bo po raz pierwszy odebrałam wtedy jego głos jako głos mężczyzny: - Teraz rozumiem. Arshadin odszedł do innych mistrzów, którzy mieli go nauczyć tego, czego ty nie chciałaś, a ty wzięłaś się na powrót za przygotowania do należytego pogrzebu czarownika. Kiedy się zjawiłem, żeby zawracać ci głowę swymi problemami, o Arshadinie zdażyłaś już całkiem zapomnieć. Przypominałaś sobie o nim tylko od czasu do czasu. - Tylko od czasu do czasu - potwierdził cicho m ó j przyjaciel. - W każdym razie dopóty, dopóki nie zaczęły się projekcje. Początkowo

nie były zresztą takie najgorsze: garść koszmarów sennych, parę złych wspomnień stających jak żywe przed oczami, kilka raczej nieśmiałył skrobnięć do drzwi o północy. Nic takiego, czego nie można by od biedy uznać za naturalne i w czym należałoby zaraz dopatrywać się projekcji. Ja się ich jednak domyśliłem i wezwałem do siebie Arshadina. Wtedy jeszcze mogłem to uczynić. - Westchnął w sposób rozmyślnie komiczny, przewrócił nawet gałkami swych zmęczonych oczu. - Przybył i usiadł w moim domu, tak jak wtedy, pierwszego dnia, gdy zjawił się w porze herbaty; wyglądał również podobnie. Oznajmił, że jest mu naprawdę niezmiernie przykro, że musi mnie zniszczyć. Gdybyż tylko istniało inne wyjście, niestety nie istnieje! Nie żywi do mnie osobistej urazy, zapewnił. Najgorsze zaś jest to, że ja mu uwierzyłem. Tymczasem zjawiło się wino i jedzenie, po które wcześniej posłałam. Wniosła je nie Marinesha, jak się spodziewałam, lecz Rosseth. Widocznie Karsh mu kazał. Biedaczysko był strasznie zmieszany, obchodził nas ze spuszczoneym wzrokiem, omal nie wpadł na Nyateneriego, a stawiając tacę omal nie przewrócił się na siennik. Było mi żal tego chłopaka, choć jednocześnie budził moją złość. Pragnęłam, by jak najprędzej wyszedł - Rosseth, ten niezgrabny sługa, uroczy chłopczyzna, który mnie całował i ogrzał moje serce. Nawet teraz, po upływie tylu lat, kiedy ci o tym opowiadam, mam ochotę prosić go o przebaczenie. Mój przyjaciel dotknął jego ręki, podziękował i poczekał, aż chłopiec wymknie się z pokoju; dopiero wtedy podjął swe opowiadanie. - Wiedza, którą Arshadin pragnął osiąść, nie przychodzi łatwo ani tanim kosztem. Musiał zanosić prośby do rozmaitych możnych, łaścić się do różnych monarchów, uregulować z góry różne przykre należności. Uznał jednak, że warto ponieść takie koszty; kimże zaś jestem ja, nawet dzisiaj, żeby podważać jego decyzję? W swoim czasie również płaciłem znaczną cenę, pertraktowałem przez zasłonę z ognia z obliczami, których wolałbym nie oglądać na oczy, słuchałem głosów, które dotąd ranią mi uszy. Czary nie mają odcieni, jedynie zastosowania. Ileż to razy słyszałam, jak wygłaszał ten pogląd, kiedy ja sama lub któryś z gromady jego młodych uczniów pytał o naturę czarów? Wiem, że niektórzy z jego studentów odchodzili z przeświadczeniem, że jest amoralny; być może mieli rację. - Nigdy jednak - podjął - nie pełniłem roli zapłaty. A to wiele zmienia. Jedzenie zignorował, poprosił mnie tylko gestem, bym mu nalala wina, co też uczyniłam przestrzegając dawnego rytuału, jakiego nas nauczył: uczeń przed podaniem kielicha mistrzowi sam najpierw upija łyk. Wino okazało się odrobinę lepsze od "Córki Smoka", co nie znaczy, że było dobre. Mój przyjaciel wziął kubek z mych rąk i uśmiechając się do mnie podał go Lukassie. Przyjmował ją na uczennicę, nim go o to poprosiła, podobnie jak kiedyś postąpił ze mną. Odpowiedziałam mu uśmiechem i zadrzałam na tamto

wspomnienie. - Prawdziwą ceną za naukę Arshadina jest moja lamisetha - podjął matowym głosem. - Arshadin chce zdobyć pewność, że moja śmierć będzie tak bolesna i straszna, że stanie się griga'athem. Kogo nazywamy griga'athem, Nyateneri? Zaskoczenie wywołane tym pytaniem - nawet nie pytaniem, a samym wyrazem - sprawiło, że Nyateneri aż cicho chrząknął i cofnął się o krok. Po chwili udzielił jednak odpowiedzi, głosem równie bladym jak jego oblicze: - Błąkającego się złośliwego ducha bez domu i ciała, który nigdy nie zaznaje spoczynku. - Takiego, jak wyglądał w owej chwili, jeszcze nigdy Nyateneriego nie widziałam, później zaś tylko raz. - Ale przecież istnieje zaklęcie przeciw griga'athowi! Sam mnie go nauczyłeś. - Rzeczywiście, istnieje - przyznał wesoło mój przyjaciel - tyle że nie działa. Wymyśliłem je specjalnie dla ciebie, bo tak okropnie się zawsze bałeś tych krwawych istot, chociaż nigdy żadnej nie widziałeś i nie przypuszczam, abyś miał kiedykolwiek zobaczyć. - Uczynił pauzę, po czym dodał głosem nie do poznania zmienionym: - Lecz ja widziałem, a i was może to czeka. Nyateneri zamilkł, a ja uklękłam obok siennika i zapewniłam: - Nie stanie się tak, nie dopuścimy do tego! Wtedy mnie dotknął. Delikatnie przesunął od góry palcem po moich czole i policzku, pierwszy raz od dnia, kiedy zamknął za mną drzwi, całe wieki temu. - Oto macie moją Lal - powiedział. - Moją chamata, która ufa tylko własnej woli, tej zaś najgroźniejszym mieczem jest upór. Ostatecznie czymże jest griga'ath, jeśli nie jeszcze jednym dowódcą nieprzyjacielskich wojsk, jeszcze jedną pustynią, na której trzeba jakoś przeżyć, jeszcze jednym koszmarem sennym, który trzeba pokonać przed rankiem? Wystarczy odrobina zawziętości, gniewny pomruk: "Lal na to nie pozwoli, Lal czuwa, Lal nie dopuści!" Cóż wobec takiej postawy znaczy jakiś griga'ath! W jego słowach dźwięczała ironia, ale delikatny dotyk wysuszonego palca na moim policzku świadczył o miłości. - Widziałam kiedyś, dawno temu, jednego z nich - odrzekłam. - Był potworny, a przecież żyję. Skłamałam i on o tym wiedział. Nyateneriemu jednak moje kłamstwo najwidoczniej przyniosło ulgę. Mój przyjaciel rzekł: - Psozny griga'ath to co innego; taki los spotyka czasem po śmierci biedną duszyczkę, o której nikt na tym świecie ciepłej nie pomyśli ani jej nie zawoła z tamtego. Daleko gorszy jest griga'ath podległy władzy potężnego czarownika; widziałem kiedyś podobnego stwora. Zamilkł i zapatrzył się w zakurzony kąt pokoju, jakby oglądał oczyma wyobraźni tamten dawny obraz. A może fantazjował? Myślę, że jednak nie, ale pewności nie mam. - Najstraszniejszy ze wszystkich jest jednak griga'ath, który sam był za życia czarownikiem. Nie ma takiej rzeczy, której by taki duch nie zrobił, nie ma, nie ma też przed nim żadnej obrony, niezależnie od tego, czy przybywa na wezwanie jakiegoś Arshadina, czy też istot, którymi on się, jak sobie przynajmniej wyobraża, posługuje. -

Zaniósł się jakimś dziwnym, papierowym chichotem, jakiego nigdy wcześniej nie wydawał. - Biedny Arshadinek, nie ma zupełnie poczucia ironii. To jego jedyna słabość. Coś zaszemrało na korytarzu. Nie był to odgłos kroków, skrobnięcie, oddech ani szelest odzieży; ktoś po prostu przykucnął pod drzwiami. Nyateneri zerknął na mnie. Podniosłam się bardzo powoli, obracając jednocześnie rączkę laski kryjącej miecz, póki nie poczułam, że zatrask się otwiera. To mechanizm pierwszorzędnej roboty; zatrask nie uczynił większego hałasu, niż ten, kto czał się w korytarzu.

TIKAT

Pojęcia nie mam, jak to się stało, że mnie nie spostrzegła. Może z tej prostej przyczyny, że framugi na piętrze, o czym wiedziała, są za płytkie nawet na to, by mogło się w nich schować małe dziecko. Każdy, prócz biednego tkacza, zaskoczony tak nagle, zapadłby się pod ziemię w tej wnęce pod schodami. Lal rzuciła tylko okiem na prawo i lewo, po czym ruszyła powoli w stronę schodów pobłyskując wysuniętym z pochwy mieczem. Nie lubię jej i wciąż mnie oburza protekcjonalna uprzejmość, jaką mi okazuje w obecności Lukassy, ale nigdy nie czułem się większym niedołęgą, niż wtedy, gdy patrzyłem, jak skrada się tym korytarzem. Ani ja, ani moja ukochana nie mieliśmy czego szukać w jednym świecie z kimś, kto tak się porusza. Wcisnąłem się plecami w drzwi jakiegoś pokoju, wstrzymałem oddech i usiłowałem o niczym nie myśleć. Myśli rzucają cień i wywołują hałas na tym świecie. Upewniwszy się, że nikt się nie chowa we wnęce pod schodami ani na schodach, Lal zaczęła cofać się do swego pokoju, ostrożnie, bezszelestnie, krok po kroku. Wysunięty z laski, wąski jak igła miecz był delikatnie zakrzywiony na końcu, podobnie jak podane lekko do przodu szyja i barki Lal. Rzuciła ostatnie uważne spojrzenie, na szczęście nie w lewo, gdzie się skuliłem zaledwie kilka stóp od niej, a w prawo, ku schodom; spodziewała się widać ujrzeć kogoś nadchodzącego, nie zaś uciekającego. Kogokolwiek oczekiwała, nie byłem nim ja, Tikat, w oblepionych nadrzecznym błotem butach. Cienka jak igła klinga zastrzygła w jedną, następnie w drugą stronę niczym język węża; w rozszerzonych złotych oczach czarnej kobiety mignął prawdziwy lęk, a potem drzwi się za nią zamknęły. Przez chwilę nie ruszałem się z miejsca, po czym wyszedłem na palcach z mojej kryjówki i podkradłem się pod drzwi, by dalej podsłuchiwać, co czyniłem przedtem, kiedy mój oddech albo bicie serca obudziły czujność znajdujących się w środku osób. Usłyszałem głos starego: - ... poznał mnie na wylot i jak nikt przedtem wykorzystał moją pychę. Gotując obiad odpierałem jego drobne głupie projekcje, a nocą opędzałem się od irytujących wizyt mojego niekarnego ucznia, nie racząc się nawet obudzić. Do wcześniejszego poczucia straty przybył

wielki smutek, że oto on, mój prawdziwy syn, nie zdążywszy poznać prawdziwej głębi własnego talentu, już go tak głupio zdradził. Nie mogłem nic dlań uczynić, starałem się więc tylko jeszcze bardziej go nie upokarzać. W tym miejscu stary zaniósł się śmiechem, ja zaś przez chwilę nie byłem w stanie słyszeć niczego poza jego chichotem, tak bardzo przypominającym śmiech mojego zmarłego na morową zarazę braciszka. Kiedy odzyskałem zdolność skupienia uwagi na treści słów, wypowiedziała je właśnie szorstkim tonem Nyateneri, wyższa z dwóch kobiet: - A tymczasem projekcje stawały się stopniowo coraz dokuczliwsze... - Stopniowo - przyznał szeptem staruszek. - Nicpoń miał tyle cierpliwości, niewyczerpaną cierpliwość!... Przygotowywał się do tego kroku latami. Dopiero gdy stwierdziłem pewnej nocy, że osaczają mnie koszmarne sny, a ja nie mogę się obudzić, zrozumiałem, jak mnie podszedł, sprawiając, że sam się spętałem. On mnie naprawdę poznał; wiedział, co najbardziej Kocham i czego się najbardziej lękam w głębi duszy. Żadne z was, nie mówiąc o innych ludziach, nawet tego nie przeczuwa. Tę wiedzę zdobył jeden tylko Arshadin. - I trzeba przyznać, że dobry zrobił z niej użytek. - To odezwała się znowu Nyateneri, a jej głos przypominał rzenie rozwścieczonego konia. - I co nastąpiło potem? Czy ponownie zjawił się u ciebie? Musiałem mocno przycisnąć ucho do drzwi, żeby dosłyszeć odpowiedź. - To ja się do niego wybrałem... Kosztowało mnie to niemałą część mojej mocy, ale udało mi się znaleźć w jego domu. Nie spodziewał się mnie. Nie doszliśmy do porozumienia, a potem Arshadin usiłował mnie siłą zatrzymać, mimo to zdołałem się jakoś wydostać... Lukassa musiała stać tuż przy drzwiach, czułem bowiem klęcząc pod nimi jej zapach, słodki jak aromat świeżo upieczonego chleba. Staruszek mamrotał dalej: - Uciekłem do czerwonej wieży i ufortyfikowałem ją na przybycie Arshadina najlepiej, jak umiałem. Podążył za mną, najpierw duchem, nękał mnie projekcjami, które przedzierały się przez moje kontr-zaklęcia jak wiatr przez pajęczynę, a potem we własnej postaci. Część opowiadania zagłuszył nagły atak kaszlu, który chwycił staruszkę, zrozumiałem więc tylko: - Resztę znacie. Zna ją w każdym razie Lukassa. Musiałem się chyba zarazić napiętą czujnością Lal, bo co chwilę oglądałem się przez ramię, sprawdzając, czy nie wchodzi przypadkiem po schodach ten, kogo spodziewała się tam ujrzyć. Po chwili usłyszałem jej głos, również najwyraźniej rozgniewany: - Nie spodziewaliśmy się po tobie, że pospieszysz tropem nocnych zmór, dasz się pojmać w sidła, będziesz wył w objęciach ognistych kochanek, spadał przez wieczność w ostrą jak ostrza brzytwę pustkę i uciekał przed pełzającymi kwiatami płaczącymi za tobą głosami małych dzieci. Czy to takie sny zsyłał ci twój syn? Odpowiedział jej z miejsca, już bez pokasywania i mamrotania, głosem jasnym i wyraźnym jak bicz błyskawicy: - To nie były sny!

To nie są sny! Czyś jeszcze nie pojęła? To, co cię obudziło i sprowadziło tutaj, przytrafiło mi się naprawdę, dokładnie tak, jak to widziałaś! To były zresztą najłagodniejsze z projekcji. - Nagle parsknął cichym śmieszkiem. - Czy myślisz, że kilka niemiłych snów mogłoby mi wyrządzić coś takiego? Usłyszałem szelest koca, a potem koszuli lub jakiejś innej części ubrania, później zaś kobiecy krzyk. Poznałem głos Lukassy. Tak by krzyknęła - jestem tego pewien - gdyby rzeka dała jej czas na zawołanie mojego imienia. Nie bacząc na przysięgę złożoną samemu sobie przed niecałą godziną, porwałem się z zamiarem załomotania w drzwi, lecz w tej samej chwili ktoś dotknął leciutko mojego ramienia i obejrzałem się...

NYATENERI

Pokazawszy nam szczegółowo, co mu wyrządzono w snach, które razem śniliśmy, mistrz postanowił jednak zaspokoić głód i zaczął siorbać zupę i pogryzać chleb. Po jakimś czasie usłyszałem własny zachrypnięty głos: - Lukassa wspominała nam o jakichś Innych... - Więc ja już nie muszę - odrzekł z pełnymi ustami, bełkotliwie, ale z wyraźną przyganą. - Arshadin popełnił błąd nie zaufawszy własnej sile. Odwrócił ode mnie uwagę tylko na małą chwilkę, żeby wezwać pomoc, której, jak sądził, potrzebował. Nie popełni więcej tego błędu. Zaniósł się tym swoim nowym roztargnionym śmieszkiem przypominającym szelest suchej trawy, w której ukryło się małe, przestraszone zwierzątko. - Lukassa powiedziała nam - dodałem - że tamci zabili Arshadina, ale on zmartwychwstał. Czyż nie tak nam mówiłaś, Lukasso? Dziewczyna wpatrywała się w jedzącego jak zauroczona i zdawała się w ogóle mnie nie słyszeć. On zaś otarł wreszcie usta i rzekł wzruszając ramionami: - Ponieważ wykorzystałem krótki moment jego nieuwagi do ucieczki, trudno mi powiedzieć, co się wydarzyło potem. Powstało nieliczne zamieszanie. - Popatrzył mi prosto w oczy, pewien, że nie ośmielę się zarzucić mu kłamstwa, choćbym miał na swoje zawołanie siły potężnej armii. - Mogę wam tylko wyjawić, że od tamtej pory czmycham przed nim, nigdzie nie zagrzewając miejsca i nie kontaktując się z wami z obawy, by nie odkrył mojej obecności. Co zresztą prędzej czy później nastąpi, jeśli się już nie stało, kiedy popadłszy w skrajne wyczerpanie byłem zmuszony wezwać do siebie twego przyjaciela lisa, Nyateneri. Przemówiłem chwacko, chcąc zapomnieć o widoku, jaki nam się ukazał pod strzępami jego koszuli: - Powiedz nam tylko, gdzie się znajduje jego zamek, a oboje z Lal wyruszymy tam z samego rana. Gdyby nawet był tak martwy, jakeśmy się od dawna obawiali, sądzę, że zerwałby się z grobu po tych moich słowach. Usiadł gwałtownie, aż resztką zupy chlusnęła mu na piersi. - Nie zrobicie tego! Kategorycznie zabraniam! Zrozumiano? Odpowiedzcie mi oboje, żądam, żebyście mi to poprzysięgli. Słucham! Za moimi plecami

rozległ się śmiech Lal. Kompletne zaskoczenie; traktuje go jak istotę z poświaty księżycy, a teraz zgięła się ze śmiechu w pół i aż przysiadła na podłodze. Jej śmiech był tak zaraźliwy, że i mnie nie pozostało w końcu nic innego, jak oprzeć się o ścianę i zabębnić w nią pięściami, aż zatrząsł się cały pokój. Przypuszczam, że tę właśnie chwilę opisano w piosence o biednym Karshu: "Sufit trząsł się i tynki ze ścian się sypały". Biedny... Nigdy wcześniej tak o nim nie mówiłem. Starzec nie zwracał uwagi na naszą bezczelną wesołość ani na próby Lukassy, która starała się kromką chleba wytrzeć rozlaną zupę, tylko wciąż na nas krzyczał: - To nie dla was zadanie! Arshadin nie jest piratem rzeczonym ani baronem na dwóch koniach i czterdziestu akrach ziemi, z kamienną stodołą pełną zataczających się niedołęgów gotowych na jego rozkazy dopóty, dopóki ze łbów im się kurzy. Arshadin mieszka samotnie w domku tak niepokąznym, że wzięlibyście go za chatynkę drwała, a jednak pięćdziesięciu takich chwatów jak wy nie zdołaliby się dostać do środka, podobnie jak nie zdołalibyście opuścić tej izby, gdyby przyszło mi do głowy was tutaj zatrzymać, choć jestem już tylko cieniem samego siebie, dopalającą się świecą. Zrozum, Soukyanie. - To mówiąc chwycił mnie za ramię, i to wcale krzepko. - To sprawa czarowników, nie wasza! Nie możecie mi pomóc, w każdym razie nie w taki sposób. Arshadina mnie zostawcie, słyszysz? Lal nie przestawała chichotać. Usiadłem obok mistrza i napierałem nań dopóty, dopóki nie przesunął się na sienniku robiąc mi miejsce. Powiedziałem: - To mi przypomina te rymowane zagadki, które tak lubiłeś mi zadawać - Lal również, jak się domyślam - a potem nie pozwalałeś pokazywać ci się na oczy, dopóki nie znajdę rozwiązania; lub polecenie parzenia ci herbaty, której w ogóle nie miałeś zamiaru pić. Sądziłem, że to specjalne magiczne ćwiczenia, równie ważne jak ćwiczenia w strzelaniu z łuku, których celem było ukazanie mi w kropli wody budowy wszechświata. Dopiero z czasem zdałem sobie sprawę, że zadawałeś mi owe zagadki nie po to, żebym poszerzał wiedzę lub czegoś nowego się uczył, lecz w tym jedynie celu, by zdobyć trochę wolnego czasu dla siebie. W rezultacie zagadki te nauczyły mnie nie brać cię zbyt serio. Nadzwyczaj pożyteczna lekcja, nigdy jej nie zapomniałem. Po raz pierwszy, odkąd go znam, mojemu Chichotkowi odjęło na chwilę mowę z oburzenia, ale za to kompletnie, tak że parską tylko śliną. Poklepałem go po nodze. - No, no! - powiedziałem. - Nie jesteśmy już dziećmi, z jakimi miałeś do czynienia kiedyś, a nigdy nie byliśmy głupcami. Nauczyliśmy się jako tako postępować z czarodziejami. Powiedz nam więc, gdzie mieszka Arshadin. Nadaśał się; nie ma na to lepszego określenia. Splótł na brzuchu ręce, oparł się o poduszki i tępo zapatrzył w przestrzeń. Lal i ja znowu zaczęliśmy gadać jedno przez drugie. Ona zapewniała naszego mistrza, że wytropimy Arshadina z jego pomocą lub bez, byłoby jednak lepiej, gdybyśmy go

znaleźli, nim on wytropi nas. Ja palnąłem mówkę na temat upartych zarozumiałych i niewdzięcznych starców i wyrzuciłem z siebie wszystko, co mi leżało na wątrobie. Wszelako ani perswazje Lal, ani moja perora nie odniosły żadnego skutku, co zresztą mogliśmy z powodzeniem przewidzieć. Starzec zamknął po prostu oczy. Wtedy przemówiła Lukassa. Od naszego wejścia do pokoju nie robiła nic, poza okazywaniem czułości naszemu mistrzowi, i nie wydała żadnego dźwięku - gdy wreszcie przestała płakać - który konkurowałby z szelestem koca czy kojącym chlupotem zupy. Nawet ja zapomniałem nieomal o jej obecności, choć zwykle jestem na tę dziewczynę, milczącą czy nie, bardzo wyczulony. Teraz odezwała się zupełnie wyraźnie tym swoim cienkim, piskłym głosem z południa: - Białe zęby... białe bielutkie zęby rzeki... Z wyrazu twarzy Lal odgadłem, iż zrozumiała, podobnie zresztą jak ja, że Lukassa ma na myśli rzekę, z której Lal wydobyła jej ciało topielicy. Mój Chichotek udał, że cicho pochrapuje, ale żadne z nas nie dało się na to nabrać. Lal uspokoiła dziewczynę: - To było dawno, Lukasso. Tu nie ma żadnej rzeki. - W górach - powiedziała dziewczyna głosem już silniejszym i tak natarczywym jak wtedy w tamtej zimnej i pustej wieży. - Wysoko w górach on daje rzece piękne prezenty, żeby ją skłonić do śpiewu. Dharise uwiły gniazda w jego oknach, wielki sbeknath poluje na ryby w dole strumienia, a rzeka śpiewa: "Jestem głodna, wciąż głodna, daj mi więcej, więcej!" - Lukassa dyszała ciężko i chrapliwie, jakby przed chwilą biegła. Kiedy spojrzeliśmy ponownie na Chichotka, oczy miał już szeroko otwarte, a choć jeszcze przygaszone, już zaczynały mu błyszczeć. - Ta dziewczyna coś wie - stwierdziłem. - Najwidoczniej - przyznał i zmusił się do ziewnięcia. - Podobnie jak ja wiem, że za tymi drzwiami leży nieprzytomny chłopiec, jeden z tych, którzy pomogli mi wdrapać się po schodach. Nie ten, który przyniósł jedzenie, moja droga Lal - dodał, gdy rzuciła się do drzwi - ten drugi. Wnieście go i opatrzcie, a potem, kto wie, może pogadamy sobie jeszcze o Arshadinie. Kto wie?...

ROSSETH

Przyszli po konie dobrze przed świtem, ale ja czekałem już przed stajnią, po raz setny przepowiadając sobie w myślach logiczne powody, dla których powinni mnie ze sobą zabrać tam, dokąd się wybierają. Byłem pewny, że Nyateneri mi odmówi, choćbym nie wiem jak prosił i błagał, pewne nadzieje wiązałem jednak z Lal. Tymczasem nie dopuściła mnie nawet do głosu: spoglądała tylko na mnie (siedziałem pomiędzy tobołkiem z żywnością, którą podkradałem już od dwóch tygodni, a kilkoma naprawdę ostrymi narzędziami ogrodniczymi, na siodłowatym grzbiecie Tunziego, starego konia Karsha używanego do każdej roboty) i powiedziała: - Wybij to sobie z głowy, Rosseth! Będę ją błogosławił do końca moich dni za to, że się nie roześmiała ani

nie rozgniewała. Przemówiła jednak tonem tak kategorycznym i nie znoszącym sprzeciwu, że nie pozostawało mi nic innego, jak zachłysnąć się oburzeniem i w geście protestu wyrzucić ręce do góry. Nieoczekiwanie wstawił się za mną Nyateneri: - Nazwałaś go przecież naszym wiernym rycerzem. Czyżby to była tylko chwilowa nominacja? Szyję i całą twarz Lal aż po czoło oblał gorący rumieniec, puściła jednak mimo uszu uwagę Nyateneriego i zwróciła się do mnie: - Rozkulbacz to biedne stworzenie, Rosseth, i wracaj do łóżka. Już ci raz mówiłam, że nie możesz nam towarzyszyć. Masz zostać w domu. - A więc wypełniam jedynie twe rozkazy - odrzekłem. - Mój dom jest bowiem tam, gdzie ty się znajdujesz. Harde słowa, tyle że wymamrotane pod nosem, o ile sobie przypominam. Lal ani się nie uśmiechnęła, ani nie zmarszczyła gniewnie, więc nie wiem, czy je usłyszała. Powiedziała tylko: - Spójrz na mnie, Rosseth! Nie tak, popatrz mi prosto w oczy. W oczy Nyateneriego też. Słyszysz? Wykonałem jej polecenie, co samo w sobie wymagało sporego wysiłku; spojrzenie w spokojne oczy Nyateneriego okazało się jednak ponad moje siły. Jeszcze dziś peszy mnie nieco moje ówczesne zawstydzenie. Było mi wstyd nie tyle tego, co między nami zaszło, ile moich pełnych uwielbienia marzeń o kobiecie, za jaką go brałem. Miałem dopiero szesnaście lat, a w tym wieku łatwiej przychodzi stawić czoło chichoczącym mordercom niż zakłopotaniu. Lal powiedziała: - Zdradzę ci, dokąd się udajemy i dlaczego nie możesz nam towarzyszyć. Jedziemy w góry na poszukiwanie czarownika imieniem Arshadin, który prześladowuje naszego mistrza okrutnymi omamami i wizjami. Wyjaśniwszy mu, że tak się nie postępuje, wrócimy tu. Do tego czasu... - Mogę wam pomóc - wtrąciłem. - Będziecie potrzebowali kogoś do wyszukiwania w górach wody, wynajdywania ścieżek dla koni i przenoszenia tobołów, gdy trzeba będzie dać odpocząć zwierzętom. - Każdy następny argument brzmiał słabiej od poprzedniego, lecz mimo to uparcie brnąłem dalej. - Kogoś, kto będzie rozbijał obóz i utrzymywał go w czystości i kto będzie cierpliwie czekał, kiedy mu każecie. Znam się na tym, zajmuję się takimi rzeczami od małego. - Wiem - przyznała miękko Lal. - Dlatego chcemy wykorzystać twoje umiejętności, lecz tu, na miejscu, w gospodzie. Posłuchaj mnie, Rosseth - dorzuciła szybko, spostrzegłszy, że zamierzam protestować - właśnie w tej chwili Arshadin poluje na naszego mistrza. Siedzi w milczeniu z przymkniętymi oczami i dybie na niego, rozumiesz? Jeśli nie zdołamy trafić mu do przekonania (pokonać go w walce nie możemy, jest bowiem o wiele potężniejszym czarownikiem niż my wojownikami), cała nasza nadzieja w tym, że zdołamy odwrócić jego uwagę, sprawić, żeby przez jakiś czas polował na nas, co pozwoliłoby naszemu mistrzowi zebrać siły. - Urwała, po czym dodała z lekkim uśmiechem: - Nie wiemy nawet jeszcze, jak się do tego zabrać. - Istotnie, jeszcze tego nie wiemy

- powtórzył za nią kpiąco Nyateneri. - Musieliśmy bowiem wyteńczyć mózgownice, by przekonać mistrza, aby zechciał nas pobłogosławić na drogę, toteż nie starczyło nam już czasu na rzecz tak trywialną jak ułożenie planu działania. Wiemy tylko, że należy znaleźć pewną górę, odszukać pewną rzekę, zlokalizować pewnego czarownika, w ogóle coś przedsięwziąć. - Westchnął i pokręcił głową w szyderczym geście rozpaczy. - Nie można temu planowi zarzucić nadmiernej precyzji! Ignorując jego uszczypliwe uwagi, Lal ujęła mnie za rękę i powiedziała: - Chcemy, żebyś strzegł mistrza pod naszą nieobecność. Bardzo nam pomoże świadomość, że jest bezpieczny, zadbany i pod dobrą opieką... Mówiłaby dalej, ale wyrwałem jej rękę i zawołałem: - Mam być niańką! Bądź ze mną szczerą, przynajmniej tyle mi się od ciebie należy! Potrzebujecie niańki dla chorego starca, powiedz otwarcie! Przytaczam po prostu moje słowa... Koń Nyateneriego wcisnął się między rumaka Lal i moje szkapisko, a jego pan położył mi na szyi tę samą rękę, którą mnie głaskał po karku, kiedy uratowałem mu życie i z nosa ciekła mi krew. Szarpnąłem się w strzemionach, chcąc wyrwać się z uścisku jego palców, a Nyateneri zwrócił się do mnie przyciszonym głosem: - Posłuchaj mnie, chłopcze. Dowiedz się, że istnieje świat, jakiego nie znasz, gdzie mieszkają czarownicy i magowie, którzy nie otarłszy jeszcze ze snu powiek mogliby rozsmarować ciebie i mnie na chlebku na śniadanie i nawet by nie spostrzegli, że nie jesteśmy zeszlóroczną konserwą z mrożonych kwiatów. Dowiedz się ponadto, że wśród tych potężnych istot nie ma ani jednej takiej, która nie rzuciłaby w kąt każdego zajęcia, nie powiesiłaby na kołku własnej dumy, nie zerwałaby każdego przyrzeczenia, gdyby otworzyła się przed nią najmniejsza choćby szansa, że będzie jej wolno posiedzieć trochę przy łóżku tego chorego starca. Pomyśl o tym, Rosseth, gdy będziesz mu zmieniał pościel. Lal zdjęła rękę mówiącego z mojego ramienia. Sądzę, że Nyatenerim miotła taka wściekłość, iż zupełnie zapomniał o tym, że ściska mi bark. Ale i ja byłem wściekły, wprost nie mogłem wówczas uwierzyć w gwałtowność furii, która mną owładnęła. W tamtych czasach, jak ci już mówiłem, okazywanie gniewu stanowiło dla mnie nieosiągalny luksus, o jakim nawet marzyć nie śmiałem, toteż samo doświadczenie tego uczucia wydawało mi się - szesnastolatkowi - równie szokujące jak jego wyrażenie. Odpowiadając Nyateneriemu dołożyłem starań, żeby przynajmniej nie dygotać z gniewu. - Jest przecież Lukassa, której od waszego mistrza nie odciągnąłby siłą, jest Tikat, co nigdy nie oddala się od Lukassy na odległość większą od zasięgu głosu, na wypadek gdyby go kiedyś zechciała zawołać, wreszcie jest Marinesha, która wie więcej o leczeniu chorób niż my wszyscy do kupy wzięci. Co ja takiego mogę zrobić dla tego starca, czego by oni nie zrobili? - Powiedziałam ci już, że potrzebujemy strażnika - odrzekła Lal. - Musisz przede

wszystkim zadbać o to, żeby Karsh mu się nie naprzykrzał. Zapłaciliśmy z góry za dodatkowy pokój i usługi Marineshy, która będzie mu przynosić posiłki. Karsh nie ma żadnego powodu, żeby się kręcić w pobliżu. Czy potrafisz tego dopilnować, Rosseth? Zwlekałem z odpowiedzią, nie dlatego, by to, o co prosiła, przekraczało moje możliwości - ostatecznie czymże było moje dotychczasowe życie, jak nie ciągłą nauką obchodzenia się z Karshem? - ale dlatego, że czułem się nadal głęboko urażony, przede wszystkim zły na Nyateneriego, który sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie dostrzegał mojego stanu. - Dowiedz się ponadto - powiedział - że Arshadin z pewnością odnajdzie naszego mistrza i to raczej prędzej niż później, a gdy to nastąpi, nad twoją gospodą zbiorą się chmury tak groźne, jakich tu jeszcze nie widziano. Mogąc wybierać - zawiesił głos - wolelibyśmy oczywiście pozostawić na straży kogoś, kto złożył już dowody odwagi, rozumu i przebiegłości. Nikt lepiej od ciebie nie nadaje się do tego zadania. Zabrzmiało to wówczas w moich uszach jak najohydniejsze pogardliwe pochlebstwo; z pewnością równie krępujące dla niego, jak dla mnie. Dziś już inaczej byłbym skłonny oceniać jego słowa. Gdy nadal trwał w milczeniu, ponownie odezwała się Lal: - Jest jeszcze coś, o czym powinienes wiedzieć, Rosseth. Oprócz tych dwóch zabitych przez Nyateneriego, tropi go jeszcze trzeci morderca. Sądzymy, że to on ogłuszył wtedy Tikata tam pod drzwiami. Prawie na pewno podąży za nami w góry i nie będzie już stwarzał zagrożenia dla gospody, mimo to musisz na niego uważać, podobnie jak na projekcje i zwidy Arshadina. Wzięła mnie za rękę; ani w dotyku jej dłoni, ani w spojrzeniu nie wyczułem oszustwa. - Czy nadal sądzisz, że proponujemy ci rolę niańki? - spytała bez uśmiechu. W gospodzie huknęły drzwi od kuchni, otwarte z całkowitym lekceważeniem snu gości. Znałem ten trzask: Karsh wyszedł przed dom, stanął podparty pod boki i wypatruje mnie w zimnej mgle poranka. Jeszcze chwila i ryknie: "Rosseth! Rosseth!" Przenosiłem wzrok z jednego na drugie z tej pary pięknych nieznajomych, którzy wiedzieli doskonale, że mogą zrobić ze mną co chcą, unicestwiwszy moje dotychczasowe życie w oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem" tak kompletnie, jakby było snem z piosenki o Zatoce Byrnarik, dokąd ktoś chciał mnie kiedyś zabrać. Czy był to sen dobry, czy zły, nie miałem już doń powrotu. Po najgłębszym namyśle, na jaki się w życiu zdobyłem, powiedziałem: - Mój sąd obchodzi was tyle, ile mnie ten drań, który mnie dusił. Potem zsiadłem z Tunziego i zaprowadziłem konisko do stajni, aby je rozkulbaczyć. Nie obejrzałem się, nawet wtedy, gdy dobiegł mnie tętent kopyt.

OBERŻYSTA

Patrzyłem, jak się do mnie zbliża, podobnie jak tamtej nocy, gdy w łaźni wałały się trupy,

patrzyłem, jak się oddala. W mokre poranki głos niesie się u nas daleko, więc słyszałem stuk podków jeszcze na głównym gościńcu. - Nie chciały cię ze sobą zabrać, co? - zapytałem. Nie odpowiedział, mruknął tylko: - Muszę zobaczyć, co z Tikatem. Przepraszam, że się spóźniłem, ale miałem ciężką noc. - Tikat ma się wybornie i wy obaj doskonale o tym wiecie - burknąłem. - Komuś, kto umie się tak urządzić, żeby za odrapaną gębę i małego siniaka na karku zreć u mnie za darmo przez całe dwa dni, z pewnością nic nie dolega. Co się zaś tyczy tych pań... no cóż, głowa do góry, bratku, nie poddawaj się tak łatwo. Prędzej czy później zajedzie tu do nas karawana niewolników albo banda zbójców i uciekniesz sobie z nimi. Pamiętaj tylko, żeby podwędzić młodszego konia niż Tunzi - to szkapisko nie doczłapie się chyba nawet do sadu Hrakimakka. To mówiąc okładałem już huncwota, a przynajmniej usiłowałem go uderzyć: choć nie całkiem jeszcze rozbudzony, składał się już z samych uników i zwodów i przyjmował ciosy na te części ciała, których uderzenie mnie chyba bardziej bolało niż jego. Nie sądzę, żeby udało mi się porządnie walnąć tego łotra, odkąd skończył ósmy rok życia. Naprawdę szczerze w to wątpię. Przez cały czas, gdy go okładałem, powtarzał w kółko: "Ja nie chciałem uciec, naprawdę nie chciałem!" - tyle jednak zważałem na jego zapewnienia, co nic. Kto by nie chciał uciec od starego grubego Karsha i oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem", aby odejść w siną dal z dwoma pięknymi awanturnikami? Tłukłem go za to, że chciał mi wmówić coś przeciwnego oraz za to, że nie okazał dość rozumu i zwykłej przyzwoitości przypuszczając, że ja sam bym postąpił inaczej. A myślał, huncwot, że dobrze mnie zna! - Shadry czeka w kuchni na wodę i drwa - warknąłem na koniec. - Jak już skończysz u niego, masz mi oczyścić te rowki ściekowe za stajnią. Znowu się zatkały, smród bije aż tutaj. Tikat niech idzie ci pomóc, jeśli ma zamiar spędzić pod moim dachem jeszcze jedną noc. Co się tyczy twoich zamiarów - to mówiąc trafiłem go w łokieć, od czego przez cały dzień bolała mnie ręka - następnym razem nie słuchaj cudzych zakazów, tylko wiesz przed siebie, dokąd cię oczy poniosą i nie waz mi się pokazywać z powrotem, bo wytłukę z ciebie ostatnią kroplę jabłecznika! Rozumiesz, co mówię, łajdaku? Nie rozumiał, wtedy jeszcze nie. Mrugał tylko ze zdziwienia tymi swoimi ponurymi ślepiami, a potem wyrwał mi się i uciekł do drewni. Krzyknąłem za nim: - A trzymaj mi się z daleka od tego starego, słyszysz? Od dziewczyny też! Nie życzę sobie, żebyś odzywał się do tej wariatki! Mówiąc to obejrzałem się, poczułem bowiem na sobie czyjeś spojrzenie: przez witki kobiałki do jagód uśmiechał się do mnie lis! Zniknął, zanim przebrzmiało echo mojego krzyku, którym wzywałem Gattiego Jinni, ale jestem pewien, że drania widziałem. Widziałem go na pewno!

NYATENERI

Przykro mi, że nie lubisz mojego śpiewu - powiedziała Lal. - Nie dbam o to, a jednak mi przykro. Jechaliśmy stępa, pozwalając prowadzić karemu kucowi Mildasów, bo juczny czy nie juczny, najlepiej sobie radził w tym terenie: spod jego kopyt prawie nie przyskały kamienie, podczas gdy nasze biedne, ciężkie wierzchowce drapały się pod górę jak wędrowcy brnący przez śnieżną zamieć. - Nigdy nie skarżyłem się na twój głos - powiedziałem - nie znoszę tylko tych pieśni, które śpiewasz. Ani melodii, ani wyrazu, ani przyzwoitego zakończenia, wciąż tylko to smętne zawodzenie, które po całych dniach brzęczy mi w uchu jak natrętna mucha. Nie gniewaj się, ale czy twoi ziomkowie naprawdę nazywają to muzyką? Mój koń targnął łbem i zarżał zwietrzywszy skalnego targa, którego woń ja poczułem dopiero po chwili. Zwierzęta te zamieszkują wszystkie wyższe góry, choć nie spotyka się ich na północ od Corun Beg. Przez kilka następnych minut uspokajałem wierzchowca, tłumacząc mu, że to zastarzały zapach ubiegłorocznego legowiska, w co sam szczerze pragnąłbym uwierzyć. Lal wysforowała się naprzód i musiała na mnie zaczekać. - Naprawdę nazywamy to muzyką - odpowiedziała na moje wcześniejsze pytanie - a także, jeśli chcesz wiedzieć, historią, poezją i genealogią. Jedź przodem, skoro mój śpiew tak ci drażni uszy. Lub sam coś zaśpiewaj; uznałabym to za wielce interesującą odmianę. Nawet Lukassa coś sobie od czasu do czasu podśpiewuje, słyszałam też nieraz, jak Rosseth mruczy śpiewki o swym ciężkim losie, choć bogowie raczą wiedzieć, po co. Tylko ty nic nigdy nie zaśpiewasz. - Powietrze jest zbyt rozrzedzone - odrzekłem. - Oszczędzam je na oddychanie. Byliśmy w drodze już od czterech dni. Na wznoszące się za Corcoruą szczyty wspinaliśmy się percią, krętą niczym tor łodzi łowiącej podmuchy wiatru, jak to określiła Lal. Co pewien czas zbaczaliśmy trzy, cztery, a nawet pięć mil tylko po to, by się wznieść o niespełną jedną. Mimo to wspięliśmy się już tak wysoko, że mogliśmy patrzeć z góry na grzbiety kołujących sokołów śnieżnych - tak wysoko, że wzgórza, wśród których szukaliśmy naszego mistrza, wyglądały jak płaskie i blade pola uprawne, nad którymi górowały. Powietrze było naprawdę rozrzedzone, a do tego zimne, mimo pełni lata, i miało jakiś dziwny zapaszek przypominający odór gnijącego owocu. Nad nami piętrzyły się szare lodowe szczyty, od których wiało przeraźliwym chłodem. - A dla mnie śpiew jest jak oddychanie - powiedziała przez ramię Lal, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę. - Nie pojmuję ludzi, którzy nie śpiewają. Od początku naszej wyprawy, a na dobrą sprawę jeszcze dłużej, była w kłótliwym nastroju; nie dając wprost upustu swemu niepokojowi pozbawiała nas chwili wytchnienia, nawet gdy zapadało milczenie. Wiele osób czuje się tak jak ryba w wodzie w podobnie napiętej sytuacji, jednak moja towarzyszka do nich nie należała; nie znałem nikogo równie jak ona wrażliwego na subtelności

codziennego obcowania. Gniew jej nie trwożył; dwulicowość tak. Po raz drugi zatrzymałem konia i czekałem, aż Lal się obejrzy, nie słysząc za sobą stuku jego kopyt. - Czy to znaczy, że już nie jesteśmy kolegami? - spytałem, gdy to nastąpiło. - Czy z powodu tego, co zaszło między dwojgiem zmęczonych i samotnych ludzi, którzy niejedno razem przeszli, nie może nas już nigdy połączyć przyjaźń? - Życie nie nauczyło mnie, jak stawiać bez żenady podobne pytania, podobnie jak nie nauczyło Lal odpowiadać na nie, toteż mi nie odpowiedziała. Burknęła tylko, tak cicho, że ledwo ją dosłyszałem: - Przed zachodem słońca musimy stanąć na przełęczy Simburi. Nie obejrzała się więcej, żeby sprawdzić, czy za nią podążam. Dotarliśmy na przełęcz Simburi; swoją drogą dumna nazwa dla zwykłej ścieżyny wydeptanej przez stada przepędzane na letnie pastwiska, niewiele szerszej od strumyka, nad którym rozbiliśmy obozowisko. Przed rozkulbaczeniem i spętaniem koni prawie się do siebie nie odzywaliśmy, a potem usiedliśmy jedno naprzeciwko drugiego po przeciwnych stronach płytkiej jamy, w której setki albo i tysiące zapewne pokoleń pasterzy rozpalało ogniska. Pierwsza odezwała się Lal: - Jak myślisz, w którym miejscu trafił na nasz ślad? - W Trodai - odrzekłem. - W tej dziurze podobnej do kępki porostów na skale, gdzie wypytywaliśmy każdego, czy nie wie o jakiejś rzece w tych górach. Wytropił nas w Trodai. Pokręciła głową. - Pomniejszasz swoją zasługę. Przekonana jestem, że od wieków nie korzystano z tej starej zarośniętej ścieżki wybiegającej z Corcorui. Dzięki temu, że ją wybrałeś, zyskaliśmy nad nim dzień, a może nawet dwa przewagi. Moim zdaniem nie wytropił nas wcześniej jak zeszłej nocy lub dzisiejszego ranka. - Co za różnica? W każdym razie możemy już przynajmniej rozpalić ognisko, mam już bowiem szczerze dosyć marznięcia przez niego nocami i odmawiania sobie herbaty. Nazbieram trochę chrustu, a ty sprawdź tymczasem, czy w tym strumieniu nie pluskają rybki. Chciałem się podnieść, ale Lal chwyciła mnie za rękę, ściągnęła w dół i zasyczała: - Siadaj, głupcze! Nawet Rosseth nie stawałby tak na tle zachodzącego słońca! - Kuc Mildasów, usłyszawszy wściekłość i strach w jej głosie, wydał dziwny gardłowy pomruk, nie tyle rzenie, co pytające warknięcie. Mój śmiech najwyraźniej uraził Lal, nie byłem jednak w stanie się powstrzymać. - Gdyby dzieliła go od nas odległość strzału z łuku, a sądzę że tak właśnie jest, mógłby nas już dawno powystrzelać. Mówiłem ci wszak, że ci, którzy mnie tropią, nigdy nie używają broni; po części z pobudek religijnych, głównie jednak z powodu przepelniającej ich dumy. Teraz, gdy został sam, może uderzyć z zasadzki, choć osobiście w to wątpię. - Wstałem i umyślnie podniosłem głos: - Jedyna bieda z uczuciem dumy, wynikającym ze świadomości, że ma się przewagę nad uzbrojonym przeciwnikiem, stając przeciwko niemu z gołymi rękami, polega na tym, iż rodzi ono próżność, a

ta z kolei nonszalancję. Nie z innej przyczyny jego przyjaciele gryzą teraz ziemię i nie z innego powodu i on wkrótce do nich dołączy. Ująłem za rękę Lal, a ona poderwała się z ziemi tak szybko, jak zrywała się zbudzona z najgłębszego nawet snu, z mieczem do połowy głównej wysuniętym z pochwy, nim jeszcze podniosła powieki. Teraz jej oczy patrzyły czujnie i uważnie: podejrzliwie, lecz bez podejrzliwości. Moje życie zależało często od umiejętności dostrzegania tej subtelnej różnicy. - Poszukam drewna - zaproponowała. - Jeśli mamy tej nocy zginąć, przynajmniej nie umrzemy o czerstwym chlebie i solonym mięsie. Okazało się, że strumień aż roi się od małych, lecz bardzo smacznych rybek. Lal położyła się na brzuchu i wygarniała je z wody, jak to czyni sheknath, a ja smażyłem je na oleju z odrobiną drogocennej mąki, aż nabierały chrupkości. Mieliśmy ponadto wśród naszych bagaży korzeń darit, który długo zachowuje świeżość i odkaża jamę ustną, a nawet jedno zimowe jabłko, o którym zdążyliśmy już zapomnieć. Lal zaparzyła herbatę, dokładnie w taki sam sposób, w jaki mistrz nauczył mnie ją parzyć, z czego wywnioskowałem, że uczył tego pewnie wszystkich swoich uczniów, jakich kiedykolwiek miał. Nie przygotowuje jej się ze zwyczajnej mieszanki; myślę czasem, że musiałem zostawić za sobą taki trop z herbacianych liści, biegnący przez dwa kontynenty, o jakim żaden ze ścigających mnie morderców nawet nie marzył, ślad herbacianego uzależnienia, od którego znacznie trudniej było mi się uwolnić niż od mojej płci. Teraz nie już jednak na to nie mogłem poradzić. Otoczeni górskimi szczytami kończyliśmy kolację w ciemności. Nasze małe ognisko dawało trochę ciepła, ale blask rzucało nie dalej niż do pobłyskujących w mroku końskich ślepi. Nie dolatywał już do nas zapach skalnego targa ani żaden dźwięk, prócz cichego szemrania strumyka. Odezwałem się: - Ja pierwszy obejmę wartę. - Powinniśmy rozrzucić wokół nas gałązki bimy. Stanowiłoby to zawsze jakieś ostrzeżenie.

- W najmniejszym stopniu, wierz mi. - Spojrzała mi w oczy, kiwnęła głową i wzruszyła ramionami. Dodałem: - Ty go nie obchodzisz, zabójca ściga wyłącznie mnie. - A jeśli zaatakuje mnie przez pomyłkę, co wtedy? Do czuwania skłania mnie istnienie przypadku i cudzej głupoty, a nie fanatyczni mordercy. Naprawdę lękam się tylko śmierci bezmyślnej. Trudno się nieraz zorientować, kiedy Lal żartuje. - Jeśli miałby cię zabić, uczyniłby to z całym rozmysłem, mogę cię zapewnić. - Dziękuję, zdjąłeś mi kamień z serca. Jeśli wierzyć mieszkańcom Trodai, pojutrze powinniśmy stanąć nad rzeką Susathi, zakładając, że w ogóle do niej dotrzemy. Potem, jeśli ich dobrze pojęłam, czekają nas jeszcze dwa tygodnie drogi do siedziby Arshadina. Czy i ty tak to rozumiałeś? Zajęty dorzucaniem do ognia, teraz ja z kolei wzruszyłem ramionami. - Nie więcej, a może nawet o kilka dni mniej. Pamiętaj, że nie byli co do tego zgodni. - Nie wydaje mi się, by

zostało nam aż tyle czasu - szepnęła Lal. Za kręgiem blasku z ogniska rozległ się nagle szelest, a potem cieniutki pisk: jakieś małe stworzenie upolowało w ciemności zwierzątko mniejsze od siebie. - Choć tak chory i słaby - powiedziałem - uciekł przecież Arshadinowi i od tamtej pory skutecznie mu się wymyka. Dlaczego mielibyśmy się lękać, że stanie się łatwiejszym łupem teraz, kiedy wróciły mu siły? Siedząc przede mną ze skrzyżowanymi nogami Lal palcem wskazującym prawej dłoni puknęła we wnętrze lewej. - Po pierwsze dlatego, że znam mnóstwo starych opowieści o zmarłych, a potem zmartwychwstałych czarownikach, i zwróciło moją uwagę, że oni zawsze wracają do życia jeszcze silniejsi i nikczemniejsi, niż byli przedtem. Po drugie dlatego, że prawdziwa siła mojego przyjaciela... naszego przyjaciela nie powróciła i może już nigdy nie wróci. Owszem, mistrz potrafi się nadal bronić skuteczniej niż my bylibyśmy w stanie go strzec... owszem, nawet i teraz umie rzucać czary, za które pomniejsi czarownicy oddaliby wszystko, co dotąd poświęcił Arshadin. Lecz to już facet bez ikry. Ostatnie słowa rzuciła tak szorstko, że nie od razu je zrozumiałem. Zrozumiawszy zaś powiedziałem z oględnością, jakiej zwykle nie stosuję w rozmowie: - Facetem bez ikry bym go jednak nie nazwał... Lal uśmiechnęła się do mnie, po raz pierwszy od dłuższego czasu i rzekła: - W tym jednym przynajmniej punkcie nie powinno między nami dochodzić do zgrzytów. Śniliśmy te same sny, dzielimy wspólną wiedzę. Męki, jakie mistrz wycierpiał od Arshadina, odebrały mu ducha, pozbawiły go... - Urwała, zawahała się, a w końcu użyła słowa, które musiało pochodzić z jej ojczystego języka. - Zostały mu tylko wiedza, mądrość, przebiegłość i desperacja. Ale niech tylko Arshadin ponownie go dopadnie, żaden z tych przymiotów nie zda mu się na wiele więcej, niż zdałby się nam dwojgu. Nie możemy stracić ani jednego dnia, nie mówiąc o dwóch tygodniach, mając takiego przeciwnika jak Arshadin - odwróciła się od ogniska i dodała głośniejsz: - i takiego jak ten, który się nam teraz przysłuchuje, kimkolwiek jest. Jakiś nocny ptak zakwilił cicho w gnieździe; gdzieś w oddali zaskrzeczał nishoru. Nie tak daleko, jakbym sobie życzył, choć te ptaszyska muszą być naprawdę bardzo wygłodniałe, żeby odważyły się zbliżyć do ognia. - Żeglarko Lal - powiedziałem - widzę, do czego to wszystko prowadzi. - Uśmiechnęła się z zadowoleniem, a ja dodałem: - I wcale mi się to nie podoba. Oblicze Lal przybrało wyraz jeszcze większego ukontentowania. - Nie żeglowałeś ze mną dotąd... - To prawda, ale najpierw muszę zobaczyć rzekę płynącą z zachodu na wschód. Nie uwierzę w istnienie owej Susathi, dopóki nie obmyję w niej nóg. A ponieważ nie wiemy, w jakim dokładnie punkcie jej biegu staniemy, skąd będziemy wiedzieli, czy dom Arshadina znajduje się w dole czy w górze jej koryta? - Przypomnij sobie, co nam powiedziała Lukassa. Mówiła o białych zębach rzeki, mówiła, że ta

woda śpiewa o swym głodzie. Pamiętasz? - Wynika z tego tylko tyle, że jego dom stoi nad bystrzyną, co może oznaczać zarówno górny, jak i dolny bieg. Żadna wskazówka! Lal zaczęła tymczasem spokojnie rozkładać posłanie, a potem zajęła się swoją zwykłą wieczorną czynnością: szukania odpowiedniej gałązki do oczyszczenia zębów. Wiedziałem, że zajmie jej to co najmniej godzinę. Po chwili odezwała się nieśmiało jak nowicjusz w świątyni: - Nie każdy, kto potrafi kierować łodzią, bywa nazywany żeglarzem. Na to miano składa się nieco więcej umiejętności. - To powiedziawszy zamilkła i tylko mruzczała coś sobie pod nosem porównując różne gałązki. Noc spędziłem siedząc oparty plecami o kamień, z łukiem na kolanach. Zastanawiałem się, jaki znów figiel zamyśla teraz lis, rozważałem zagadkę prawdziwej natury owych Innych Arshadina, dużo też myślałem o chłopcu stajennym z gospody "Pod Tasakiem i Ościeniem". Obie warty, moja i Lal, minęły spokojnie; on, ów trzeci, znajdował się jednak w pobliżu i wiedział, że ja o tym wiem. Raz, na chwilę przed obudzeniem Lal, przez padający z ogniska krąg światła przemknął tharakki i zniknął mi z oczu w ciemności; przedstawiciel dwunożnej odmiany, innych się na tych wysokościach nie spotyka. Gdybym cisnął weń kamieniem, byłbym go pewnie trafił. Trzeba się nieźle napracować, żeby wypłoszyć tharakki - które w nocy nie widzą - z jego nory, mój prześladowca uznał widać jednak, iż ten mały żarcik wart jest podjętego trudu. Wiedziałem, że wróg nie zaatakuje, gdy jest ze mną Lal; będzie miał po temu dość okazji, gdy dotrzemy do rzeki. To było tylko przywitanie. Na płynącą leniwie dnem stromego górskiego wąwozu Susathi natknęliśmy się - ku naszemu całkowitemu zaskoczeniu - już w półtora dnia później. Jak już mówiłem, nasza wspinaczka nie obfitowała w dramatyczne przygody, ograniczała się do nużącego podążania naprzód krętą ścieżyną: nie zwisaliśmy nad przepaścią, wczepieni paznokciami w kruszące się półki skalne, nie namawialiśmy naszych wierzchowców do przeskakiwania śnieżnych szczelin, natomiast po raz setny skręcaliśmy w lewo, żeby wspiąć się na kolejne przesłaniające widok nieba zbocze zasłane kamieniami staczającymi się co chwila z hurkotem z jego stoku. Żadnych zapierających dech w piersiach zejść: jedynie kilka z grubsza poziomych przełęczy - dziurek od klucza w ścianie gór - zawałonych odwiecznymi lodowymi głazami i piarżystymi osypiskami, trudniejszymi do przebycia niż tamte monotonne zbocza. Po obejściu gęsiego jakiejś skalnej grani ujrzelśmy przed sobą, niezbyt daleko w dole, rzekę połyskującą w południowym słońcu i płynącą prosto jak cięcie miecza z zachodu na wschód. Staliśmy i spoglądaliśmy po sobie z Lal, a tymczasem wierzchowce trącały nas w karki chrapami i deptały nam po piętach, wyczuwszy dolatujący z dołu zapach wody. I ja go poczułem; przypominał chłodny pływ w nozdrzach. Lal westchnęła i

powiedziała: - No cóż, koniec żartów, zaczyna się... - Nie widzę jakoś żadnych bystrzyn - stwierdziłem. Lal przybrała ponownie minę osoby wtajemniczonej w arkana wiedzy tajemnej, minę tak irytującą, że sama z trudem ją znosiła, a co dopiero mówić o mnie. Powolutku opuściła jedną powiekę, a następnie ostrożnie ją uniosła, po czym wskoczyła na siodło i zaczęła zjeżdżać w dół. Dosiadłem więc i ja mego wierzchowca, chwyciłem za uzdę kuca Mildasów i ruszyłem za nią. Obejrzałem się za siebie tylko raz, lecz oczywiście nikogo za naszymi plecami nie dojrzałem wśród skał pokrytych starym jak świat zleżałym śniegiem. Pożałowałem, że tak szorstko odprawiłem Rossetha.

TIKAT

Dłużej dochodziłem do siebie po tym dotknięciu gołą ręką człowieka, którego nawet nie widziałem na oczy, niż po przeprawie przez Północne Pustkowia. Choć na ciele nie miałem żadnego śladu, jeszcze w wiele dni później chodziłem jak kołowaty, ledwo trzymałem się na nogach i bez ostrzeżenia dostawałem jakiejś dziwnej trzęsionki, toteż ani przez chwilę nie byłem pewny własnego ciała. Rosseth, który musiał w tym czasie pracować za nas dwóch, lecz nie skarżył się ani słowem, opowiedział mi o trzech mordercach, którzy od lat ścigali Nyateneri i w końcu ją dopadli w gospodzie "Pod Tasakiem i Ościeniem". Zapewnił mnie, iż żaden wstyd tak paść bez oporu w spotkaniu z tymi ludźmi niczym bydlę w rzeźni i że powinienem być z siebie dumny, że w ogóle wyszedłem z tego cało. Uwierzyłem mu na słowo. Nie zapytał mnie ani razu, co robiłem wtedy pod drzwiami; powściągliwość tę uznałem za równie uprzejmą z jego strony jak wzięcie na siebie moich obowiązków. Mimo że nie lubię opowiadać o sobie, w przeciwieństwie do Rossetha, który przez cały czas trajkocze jak nakręcony, skończyło się na tym, że dowiedział się o moim życiu prawie tyle samo, ile ja o jego losach. Nie mówię o mnie i Lukassie - o tym wiedział każdy handlarz skórami i kupiec zbożowy, który spędził w zajeździe choćby jedną noc - ale o naszej wiosce z parą księży i jedną dziwką, o kowalu, którego bali się wszyscy prócz mojej dziewczyny, o moim wujostwie i o mej nauczycielce tkackiego rzemiosła. Do dziś nie potrafię zrozumieć, jak doszło do tego, że tyle mu o sobie opowiedziałem - nawet historię kradzieży owocu dirigari z sadu mej nauczycielki, co do tej pory pali mnie wstydem. Ostatecznie Rosseth, o dwa lata ode mnie młodszy, był jeszcze smarkulem, niewinnym jak kuchciki Shadry'ego, jeśli nie bardziej, choć uważał się za franta kutego na cztery nogi niczym stary flis. Pojęcia nie mam, dlaczego tak się przed nim wywnętrzałem. - Opowiedz mi jeszcze o swoich rodzicach - nalegał często. Kiedy się zacinałem, zapomniawszy, jaka była ulubiona potrawa ojca albo jak się kończył ulubiony dowcip matki, w oczach chłopaka pojawiał się wyraz

niemalże nagany, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, że gdyby on znał swoich rodziców, wszystko by pamiętał. Pewnie by tak zresztą i było. Jego pierwsze wyraźne wspomnienie dotyczy Karsha, który niesie go dokądś, ucałiwszy za kark jak szczenię. Z dawniejszych czasów Rosseth zachował w pamięci jedynie jakieś strzępki i cienie, które mogły być równie dobrze fragmentami snów, choć wyczuwałem, że jest innego zdania. Kiedy go spytałem, jak trafił do gospody “Pod Tasakiem i Ościeniem”, odrzekł, że Karsh wytargował go od wędrownego przekupnia z Creeshi w zamian za trzy bojowe koguty i worek cebuli z Limsatty. Grubas do dziś nad tym biada, utrzymując, że dwa z tych kogutów były mistrzami walk, a cebulki z Limsatty już nigdy później nie bywały tak słodziutkie. Gatti Jinni twierdzi co prawda, że jeden z kogutów był ślepy, ale ręczyć za to nie mogę. O Lal i Nyateneri Rosseth już prawie nie wspominał, co wielce mi było na rękę. Odbijał to sobie jednakże trajkocząc wciąż o Lukassie. Ta dziewczyna z pewnością nie jest sobą, zapewniał mnie nieustannie, najwidoczniej dużo przecierpiała, a zdarza się często, że wielkie cierpienie tak ludzi odmienia, że nie poznają nawet swych najbliższych. Był całkowicie przekonany, że moja cierpliwość i wytrwałość w końcu zatriumfują; już teraz spostrzega, że dziewczyna spogląda na mnie z dnia na dzień przychylniej i zmienia się przy tym troszeczkę na twarzy. Jego zapewnienia płynęły z dobrego serca, więc nie mogłem mu powiedzieć, jak każdemu innemu, kto by tak głądził, żeby nie wtykał nosa w nie swoje sprawy. Nie byłem jednak w stanie słuchać tej gadaniny; nie pozostawało mi więc nic innego, jak unikać smarkacza, gdy pracowaliśmy razem, albo wynajdywać sobie jakieś zajęcia do wykonania w pojedynkę, byle usunąć się z zasięgu jego głosu. Dlatego też między innymi zacząłem coraz częściej przesiadywać u tego starca. Nigdy mi nie wyjawiał swego imienia. Początkowo zwracałem się do niego “proszę pana”, potem tafiya, jak ludzie z mojej wioski tytułują czasem osobę - niezależnie od jej płci i wieku - w której dostrzegają wyjątkową moc ducha, szlachetność, godność, czy jak to chcesz nazwać. Trudno to wyjaśnić: na przykład moją mistrzynię tkactwa tytułuje się tafiya, a już kowala nie, matkę naszej jedynej dziwki tak, ale jej samej nigdy. Podobnie z księżmi: jednego tak, drugiego nie. Dwóch czy trzech rolników i piwowara tak, ale sołtysa, lekarza i nauczyciela nie. Lepiej nie potrafię ci tego wytłumaczyć. Tak czy owak nazywałem staruszka tafiya, a on znał to słowo i wydawał się zadowolony. Z początku był bardzo słaby, i to nawet nie na ciele, choć stąd się jego osłabienie brało, przelatywało bowiem przezeń prawie wszystko, co zjadł, prócz cienkiej zupki z chlebem i odrobiną mleka czy wina od czasu do czasu. Istota tego osłabienia pochodziła jednak skądinąd, ale i tego nie potrafię ci jasno wytłumaczyć, podobnie jak prawdziwego znaczenia słowa tafiya. Kiedy wiatr zgasi ci

ognisko, możesz je nieraz na powrót rozniecić, jeśli okażesz dość cierpliwości, będziesz do niego dokładał i chuchał w płomienie. Jeśli jednak zgasi ci je ulewa, musisz rozpalić nowe ognisko lub obejść się bez ognia. Wydaje mi się, że ten stary chciał się przede wszystkim zorientować, czy to deszcz, czy wiatr, jak wolisz, zgasił ogień w jego duszy. Myślę, że właśnie o to chodziło. Jego towarzyszek zapłaciły za pokój i pieczę nad swym przyjacielem, a Karsh wywiązywał się jak należy z danego im przyrzeczenia. Opiekę nad staruszką miała sprawować Marinesha - grubas robił wszystko, żeby zawalić Rossetha robotą i trzymać go w ten sposób z daleka od izby chorego - ale dziewczyna skręciła sobie nogę w kostce uciekając z izby karczemnej przed zalotami dwóch powroźników. Do czasu więc, aż będzie mogła znowu wbiegać dwadzieścia razy dziennie po schodach, mnie przypadło zadanie zanoszenia mojemu tafiya posiłków, zmieniania mu pościeli i opróżniania nocnika. Ani się tym cieszyłem, ani smuciłem; wtedy było mi jeszcze wszystko jedno. Nie, nieprawda: wykonywałem te obowiązki niechętnie, nawet bardzo, wręcz bałem się wchodzić do pokoju starego i on to oczywiście zaraz wyczuł. Trzeciego dnia tej mojej posługi powiedział (pomagałem mu właśnie włożyć nocną koszulę, którą podkradłem z kufra pod wyrkiem Shadry'ego): - Żałuję, że nie cuchnę jeszcze obrzydliwiej, bo może wtedy nie czułbyś tak wyraźnie zapachu Lukassy wchodząc do mojej izdebki. Nic mu nie odpowiedziałem. Odkąd tamte dwie kobiety wyjechały, Lukassa spędzała przeważnie czas w towarzystwie chorego, choć widywałem ją też przechadzającą się po drózkach i łąkach w pobliżu gospody, a raz nawet widziałem jak gawędzi chwilę na podwórku z Marineshą. Później tego samego dnia dosłownie na mnie wpadła, gdy niosłem naręcze drewna na opał tak wysokie, że zasłaniało mi twarz. Kiedy ją zapytałem, dlaczego mnie nie poznaje, przecież to ja, Tikat, krzyknęła i uciekła jak za pierwszym razem. Pobiegnęłam za zmiennicą wołając jej imię, ale rozsypały mi się drwa, potknąłem się i upadłem. Gatti Jinni i Shadry, którzy to widzieli, zaśmiewali się z mojego wypadku do wieczora, podczas gdy mnie wciąż bolały nogi. Nie doczekawszy się odpowiedzi, stary dotknął mej dłoni i rzekł: - No cóż, mogę cię przynajmniej zapewnić, że nigdy jej tu nie spotkasz, gdybyś zaś wolał odwiedzać mnie rzadziej, poradzę sobie jakoś sam, nic się nie bój. Tyle mogę dla ciebie zrobić, nawet w moim obecnym położeniu. Czy zauważył, jaką wściekłość wzbudziła we mnie jego uprzejmość? Czy nawet dzisiaj nie dostrzegasz we mnie jej śladu? Zawsze nienawidziłem litości, irytuje mnie ona jak mało co na świecie. Przypuszczam, że to się zaczęło po śmierci moich rodziców, kiedy wszyscy, którzy przeżyli morową zarazę, płakali nade mną, dokarmiali mnie i pieścili, ja zaś miałem najszczerszą ochotę wymordować tę całą współczującą bandę. O moich odczuciach wiedziała tylko Lukassa.

Może zresztą taki się już urodziłem... Odburknąłem staruszkowi przez zęby: - Nie ma potrzeby! - i dalej poprawiałem na nim koszulę. Zaczynał już nabierać ciała, choć kości wciąż sterczały mu spod skóry. Przypatrywał mi się w milczeniu spod pół-przymkniętych powiek, a kiedy położyłem go do łóżka i zabrałem się do sprzątanania kubków i talerzy, odezwał się nagle: - Tikat, ona już nigdy niczego sobie nie przypomni... Nie odważyłem się na niego spojrzeć. Podszedłem do drzwi, starając się nie upuścić naczyń, gdy wyjmowałem zatyczkę ze skobla. Talerze Karsha nie wyszczerbiały się ani nie pękały, kiedy się je upuściło: rozpryskiwały się w drobne kawałeczki, tak że nie było nawet czego sklejać. - Jeśli tak ci na niej zależy, musisz udać się tam, gdzie przebywa, bo ona wrócić do ciebie nie może. Zamknąłem drzwi i zaniósłem naczynia do kuchni. Wróciłem jednak do starego o północy. W oknach gospody zaryglowano już oczywiście okiennice, drzwi zamknięto na klucz i spuszczone psy, ale te już mnie znały, a Rosseth pokazał mi, jak wejść do środka przez nie domykające się okienko w piwnicy. Wszyscy już spali, poza jednym wędrownym księdzem Mazarytaninem i jego służącym; Mazarytanom nie wolno nic robić rękami, co najwyżej czesać brody i podrapać się w swędzące miejsca, mógłbym więc wprowadzić cały pułk przez główne drzwi, zamiast skradać się tak daleko do bocznych. Białka starego błyszczały w blasku księżyca, ale ja już nieraz widywałem go śpiącego z otwartymi oczami. Stałem w drzwiach i nie mogłem się zdecydować, czy się odezwać, czy odwrócić i odejść. Przemówił pierwszy: - Wejdz, Tikat. Wziąłem więc z kąta zydelek na trzech nogach i usiadłem przy łóżku. Trudno mi było mówić, przemogłem się jednak. - Chciałbym się dowiedzieć, co tafiya miał na myśli, mówiąc, że to ja powinienem przyjść do Lukassy. Przecież przyszedłem za nią, ryzykując życie, przez góry i pustynie, aż tu, gdzie... - zabrakło mi słów - do tego miejsca, tak niepodobnego do naszej wioski, że póki tu jesteśmy, tak sobie myślę, Lukassa nie może mnie poznać. Ale gdy wróci do domu, kiedy wróci tam ze mną... - I wtedy nic się nie zmieni. - Ton jego głosu był łagodny, pocieszający, a jednocześnie okrutny. - Powiedziałem ci, że będziesz musiał udać się tam, gdzie ona przebywa, co nie oznacza jakiegoś określonego miejsca. Mam na myśli okolicę, gdzie Lal i Nyateneri były zawsze dla Lukassy starszymi siostrami, ja, jeśli pozwolisz, jej dziadkiem, a tyś tam nigdy nie istniał. Czy dobrze mnie rozumiesz, Tikat? Nie było długich popołudniowych spacerów nad rzeką ani wspólnego snucia marzeń w cieniu wierzb, nie istniał wysoki miły chłopiec, który pływał łódką z Lukassą, opowiadał bajki i nie pozwalał innym chłopcom, żeby się do niej zalecali. To się nigdy nie zdarzyło, Tikat, nigdy! Lukassa nigdy cię nie ocaliła przed dzikimi świniami ani nie przykładała ci na plecy zimnych okładów z liści, kiedy wujek obił cię za to, że wypileś mu wino z

pierzastych jagód. Nie można wrócić do życia i świata, które nigdy nie istniały. Skąd on to wszystko wiedział? A skąd ja mam wiedzieć? Był moim tafiya. Nie rozplakałem się - nikt prócz Lukassy nie widział nigdy moich łez - ale minęło chyba sporo czasu, zanim byłem w stanie przemówić głosem w miarę opanowanym. - Co mam więc zrobić, żeby się z nią połączyć? Przewrócił oczami i zaczął mnie bezlitośnie przedrzeźniać. - "Co mam zrobić, poradź mi, mistrzu! Doradź mi, pokieruj mną, myśl za mnie, o największy, najmądrzejszy z czarowników!" A czyja mądrość, powiedz, doprowadziła cię aż tutaj, twoja czy moja? Kto bardziej kocha to dziecko, ty czy ja? Nagle z taką siłą prasnął w koc rękami, że aż wyprostował się na łóżku. Przez chwilę przyglądał mi się z niewymowną odrazą, po czym rzekł: - Im jestem starszy, tym częściej marzy mi się, by mnie uważano za skończonego kosmicznego idiotę. Być może dzięki temu choć o paru kretynów mniej skamlałoby o moją czarodziejską radę. Zejdź mi z oczu! Jest taki rodzaj inteligentnej głupoty, którego nie cierpię, a ty go uosabiasz w stopniu doskonałym. Precz mi z oczu! Czy jego gniew był prawdziwy, czy udany, nie potrafiłbym rozstrzygnąć, nie przywiązywałem zresztą do tego żadnej wagi, jestem bowiem bardziej uparty niż głupi bądź mądry. Zorientowawszy się, że nie zamierzam wstawać z zydła, starzec uspokoił się równie nagle, jak przedtem się na mnie wściekł. - Nigdy mnie nie pytaj, co powinieneś zrobić, Tikat. Powiedz mi, co zamierzasz zrobić, a wtedy będziemy mieli przynajmniej o co się pospierać. Więc słucham. Zacząłem z namysłem: - Jeśli mam zacząć wszystko od początku jako ktoś obcy, jakby między mną i Lukassą nic się dotąd nie zdarzyło, jakby nie łączyło nas wspólne dzieciństwo i nie połączyła miłość od pierwszego wejrzenia, gdy raczkując zbliżyliśmy się do siebie... dobrze, niech i tak będzie, trudno, zgadzam się. Podejdę do niej jutro i przemówię uprzejmie jak do nieznajomej, niczego nie przewidując, na nic nie licząc, pragnąc ją tylko upewnić, że jestem jej przyjacielem, a nie jakimś szaleńcem. Tak jutro postąpię... a jeśli będzie trzeba i pojutrze również. Trudno! Mówiąc to patrzyłem nie na starego, ale na swoje złożone w miseczkę dłonie, cisnęły mi się bowiem na usta pytania, które musiałem powściągnąć: "Czy tak będzie dobrze? Czy to właściwy dla nas sposób rozpoczęcia nowego życia? Czy teraz mi pomożesz?" Nie zadałem ich jednak; nie miałyby to zresztą najmniejszego sensu, ponieważ okazało się, że chory smacznie śpi. Siedziałem przy nim prawie do rana. O świcie wśliznąłem się ciszką do stajni i udałem przed Rossethem, że się budzę, kiedy mną potrząsnął, bym wstawał do pracy. Przez cały czas mojego czuwania staruszek ani drgnął, pochrapywał tylko cichutko. Nie poruszył się nawet wtedy, kiedy wycierałem mu z kącika ust kapkę zaschniętej zupy, ani wtedy nawet, gdy powiedziałem głośno: - Już staję się podobny do Lukassy, kiedy się tak z tobą

cackam. Nad zagajnikiem za gospodą wznosi się porośnięty krzakami pagórek, na którym Karsh zbudował świątynię (do czego są zobowiązani wszyscy karczmarze), żeby mieli się gdzie modlić tacy świątobliwi pątnicy jak ten mazarytański księżulo. Kiedy wracałem do stajni, wydawało mi się, że pod krzakiem głogu w połowie wysokości zbocza siedzi Czerwony Płaszcz. Oczy i usta miał zamknięte i uśmiechał się przez sen, a w jego palcach połyskiwał medalion Lukassy. Przystanąłem, chcąc się lepiej przyjrzeć, ale zaraz straciłem go z oczu, oślepił mnie bowiem srebrzysty blask wstającego nad pagórkami niebieskawego poranka, więc nie wiem, czy naprawdę tam siedział, czy mi się przywidziało.

LAL

- W dole rzeki. - Skąd wiesz? Ponownie schyliłam głowę nad złożonymi dłońmi, w których trzymałam zaczerpniętą z rzeki wodę. Zrobiłam z tego małe widowisko, może nawet wcale nie takie małe, pozwalając wodzie łaskotać mi wargi i gardło, gdy ją sączyłam uśmiechając się tajemniczo. W końcu stwierdziłam: - Obecność żywego człowieka pozostawia ślad nie tylko w powietrzu czy na ziemi, lecz również na wodzie. Nie trzeba zaraz wsi, wystarczy jeden dom z paru mieszkańcami i kilkoma zwierzętami; dom, w którym się śpi, jada, a w rzece myje, łowi ryby, pierze, żeby smak wody się zmienił. - Jeszcze raz skosztowałam wody i pokiwałam głową. - W górze rzeki nikt nie mieszka. Spróbuj, a sam się przekonasz. - Jak to miło usłyszeć najfantastyczniejszą bujdę, z jaką się zetknąłem w ciągu całego życia, kiedy jest się jeszcze dostatecznie młodym, aby to umieć docenić! Przykucnął obok mnie, zaczerpnął garść wody, niecierpliwie spróbował jej językiem, po czym zerwał się jakby czymś nagle rozgniewany i zakłopotany. Dopiero gdy znaleźliśmy się wysoko w górach pozwolił rozwiać się ponownie swej kobiecej postaci. Ukazał mi się szczupły, szpakowaty mężczyzna, mocno zbudowany, jednak o sylwetce zgrabniejszej, niż to zapowiadała jego solidna postura, o fryzurze podobnej do spalonej ziemi (z jakiegoś powodu, którego mi nigdy nie wyjawiał, strzygł się co jakiś czas na klasztorną modłę) i oczach zmieniających się - jak przedtem oczy Nyateneri - wolno jak niebo o zmierzchu. W surowej, zmęczonej twarzy widniały znamionujące spokój usta o miękkim rysunku. - To głupie - stwierdził. - Słyszałem te wszystkie opowieści o tobie i jestem nawet gotów uwierzyć, że Lal Samotnica może po dwóch tygodniach od przejścia jaszczurki wytropić ją na każdej pustyni, nawet z zawiązanymi oczami, ale żeby jeden rybak, sikający z urwistego cypla... o, nie! bardzo przepraszam, młodość spędziłem w klasztorze i wyzbyłem się tam łatwowierności. Nie ma głupich! Zasłużyłam na taką reprimendę za moje przechwałki. - W górze rzeki nie ma ponadto żadnych bystrzyn, nie czuję smaku spienionej wody - dodałam;

Nyateneri tylko prychnął pogardliwie, a ja wytarłam ręce o spodnie i podnosząc się z kucek wskazałam na niebo. - No dobrze, a teraz przyjrzyj się naszym towarzyszom. Jeśli masz ochotę, możesz mi powiedzieć, jak się nazywają. Rzucił okiem na krążące kawałek dalej w górze rzeki czarnobiałe ptaki i rzekł: - Vraije. Na południu nazywają je "księżołowami". Bo co? - Bo chyba nawet w twoim kraju - odparłam - wiecie z pewnością, że te ptaki nie budują gniazd w pobliżu ludzkich siedzib. Gdyby w promieniu pięćdziesięciu mil znajdowała się jakaś wieś, nie zobaczyłbyś tu vraiji jeszcze przez pięćdziesiąt lat od dnia, w którym się wyludniła. Sprostuj mnie, jeśli się mylę. Mylić się jednak nie mogłam: we wszystkich chyba językach istnieją dowcipy i przysłowia ukazujące odrazę vraiji do ludzkich istot. Jedno z ohydniejszych wyznań w mojej ojczyźnie powstało na fundamencie tej ptasiej niechęci do ludzi. Nyateneri westchnął, potarł kark, spojrzął na ptaki, odszedł kilka kroków na bok, wrócił, znowu potarł kark i rzekł: - Rzeczywiście, nie ma tu w pobliżu ani jednego domu. Nie było to w pełnym tego słowa znaczeniu stwierdzenie, ale i nie pytanie. - To naprawdę można poznać po smaku wody - powiedziałam - i wcale nie wymaga takiej wprawy, jak ci się zdaje. Nyateneri ponownie się oddalił i w posepnym nastroju przyglądał się kamienistemu, urwistemu brzegowi o kształcie półksiężyca, porośniętemu mrocznymi drzewami. Dodałam nieco głośniejszym głosem: - Prawdziwy problem nie polega na tym, gdzie się znajduje dom Arshadina, lecz jak daleko stąd i jak się tam mamy dostać. Ponieważ wyczerpałam już całkowicie moje legendarne umiejętności tropiciela, z chęcią wysłucham każdej rozsądnej propozycji. Kiedy Nyateneri w końcu się do mnie odwrócił i przemówił, krew na chwilę zastygła mi w żyłach, odezwał się bowiem w Dirvic, języku martwym - lekko licząc - od pięciu stuleci. Znałam tylko trzy osoby władające językiem Dirvic, wliczając tego, który mnie go nauczył, i wszyscy oni skończyli fatalnie. Skąd znał ten język Nyateneri i jak odgadł, że i ja nim władam, wolę nawet dziś nie wiedzieć. - Moja pierwsza propozycja jest taka - rzekł - byśmy się od tej pory porozumiewali w tej okropnej mowie. Czy zdołasz to ścierpieć? Nieoczekiwana troskliwość zawarta w tym pytaniu sprawiła, że zapiekły mnie oczy, co z kolei wzbudziło mój gniew. - Postaram się - odburknęłam. Dirvic rani usta i powleka gardło warstewką goryczy. Nie służy, co prawda, do codziennej konwersacji. - W klasztorze mieszkał jeden mnich mówiący tym językiem, ale dawno już nie żyje - powiedział Nyateneri. - Jestem przekonany, że nikt poza nim nie posługiwał się tym wstrętnym dialektem. A więc do rzeczy. Rzuca się w oczy, że od momentu wyruszenia w drogę przemyśliwasz o ataku, byłby więc to istotnie z twojej strony zbytek uprzejmości pytać o moje plany. Oświeć mnie przeto, jak zamierzasz zbudować łódź. - Lepsza byłaby tratwa - odrzekłam. Nawet gdy składa się

w Dirvic takie proste zdanie, brzmienie słów zdaje się odłazić od ich treści jak łuszcząca się skóra. Brnęłam dalej: - Nawet gdybyśmy mieli dość czasu oraz potrzebne narzędzia, nie zdołałabym zbudować łodzi, nie jestem skutnikiem. Ale zdatne do żeglugi tratwy kleciłam już ze skąpszych materiałów niż te, jakie tu mamy pod ręką. - Wskazałam ręką drzewa, prawie wszystkie gęsto oplecione niebieskimi pnączami; jakiś gatunek iglastych o cienkiej korze, jakiego nigdy dotąd nie spotkałam. - Jeszcze przed zachodem słońca możemy mieć tratwę zdolną utrzymać się na wodzie. Może nawet z kilem, jakie budują na Wyspach O'anenu. Przyglądałam się, jak je robią, choć było to już dawno. Nyateneri pokręcił wolno głową. - Nie z tych drzew. - Wyraz jego twarzy stał się raczej łagodny niż drwiący, nawet trochę smutny. - Ty ich znać nie możesz, ale na północy, gdzie się urodziłem, nazywamy te drzewa jarana: drzewa-kpiarze. Wydaje się z pozoru, że drewno mają miękkie, tymczasem są tak twarde, że połamałaby sobie na nich zęby najhartowniejsza piła, prócz może najprzedniejszych wyrobów z Camlannu, tratwa zaś zbudowana z ich pni zatonełaby wnet po wodowaniu. Uprzedziłbym cię wcześniej, gdybyś mi wyjawiała swój plan. Na jego twarzy nie było nawet śladu triumfu, ale w języku Dirvic każde stwierdzenie pobrzmiwa szyderstwem. Przyszła teraz moja kolej, żeby spuścić wzrok i zacząć przechadzać się w zamyśleniu tam i z powrotem. Pogryzałam bok języka (nawyk jeszcze z dzieciństwa) i czułam się jak ostatnia idiotka. Mój przyjaciel powiedział prawdę: ogarnia mnie wściekłość, kiedy czegoś nie wiem, nawet jeśli wiedzieć tego żadną miarą nie mogłam. Na domiar złego, nie zostawiłam sobie drogi odwrotu, żadnej furtki na wypadek, gdyby się okazało, że czegoś nie przewidziałam. Nawet kumbii, ziemny królik, zachowuje się rozważnie: w jego świecie, podobnie zresztą jak w moim, nieostrożność jest tylko innym imieniem Kostuchy; imieniem, którego ostatnio o wiele za często wzywałam. Chodziłam w kółko i popatrywałam na te bezużyteczne drzewa, dopóki nie odezwał się znowu Nyateneri. Dirvic w dziwny sposób zmienia głos mówiącego: mój upodobił do głosu młodziutkiej Lukassy, a ton i wysokość głosu mojego towarzysza niemal do brzmienia jego głosu z czasu, gdy brałam go za kobietę. - Zapominasz o naszym nieodstępnym przyjacielu! - Obawiam się, że to jedyna rzecz, o jakiej nie zapomniałam - odrzekłam cierpko. - Dla jakiegoż bowiem innego powodu brukamy sobie usta tą wstrętną mową, jeśli nie dlatego, że wróg czai się gdzieś w pobliżu? Co on ma tutaj zresztą do rzeczy? - Jestem zdania, że powinien nam pomóc w budowie łodzi. Uważam, że wymaga tego sprawiedliwość. Tak długo mierzyłam go wzrokiem, aż zaczął się uśmiechać starając się usilnie ów uśmiech połknąć, żeby, jak się domyślam, ten, który nas obserwował, nie powziął jakichś podejrzeń, o ile już ich nie nabrał. - Ja nie oczekuję, Lal, że on zbuduje nam tratwę, podobnie jak

nie sędzę, aby nam się to udało. Nie jest czarodziejem, a tylko znakomicie wyszkolonym mordercą, ale zasadniczym elementem tego wyszkolenia jest umiejętność radzenia sobie w nieprzewidzianych okolicznościach. Jeśli nieprzewidziane okoliczności wymagają podróży wodą, gotów jest i na taki hazard. Położył mi rękę na ramieniu, a ja omal znowu nie podskoczyłam jak żgnięta ożogiem i nie warknęłam nań, przerażona tkliwością tego gestu. - To mój stary znajomy - dodał; język Dirvic nie zna takiego słowa, jego znaczenia musiałam się domyślić. - Znam tych ludzi tak dobrze, jak ty swoje sny. Popatrzyłam na niego przeciągle, a potem wybuchnęłam śmiechem demonstrując przy tym najgłębszą pogardę, na jaką mogłam się zdobyć. Strąciłam jego dłoń, odwróciłam się i rzuciłam przez ramię: - Musielibyśmy sprawić, żeby uwierzył, że popłynęliśmy w dół rzeki, a to nie będzie łatwe. Nyateneri pogroził mi pięścią i krzyknął: - Rzeczywiście nie! Odejdź gdzieś na bok, nadąsaj się i przemyśl to sobie. Tak też zrobiłam. Zeszłam nad rzekę, usiadłam pod jakimś płaskim otoczakiem, podciągnęłam pod brodę kolana i zmieniałam się w posąg zadumy. Nyateneri uczynił to samo na środku półksiężycowatego brzegu, gdzie spętaliśmy konie i złożyliśmy tobołki z kurczącymi się już zapasami. Od czasu do czasu wykrzykiwał w moją stronę tłumaczone na gorąco na język Dirvic fragmenty klasycznych poematów z Północy robiąc przy tym wyjątkowo groźne miny, które ja lekceważyłam wyniośle. Jakikolwiek był mu koniec pisany, urodził się na towarzysza wędrowniej trupy komediantów, podobnych tym, co nocowali w stajni Karsha, kiedy zajechaliśmy do oberży "Pod Tasakiem i Ościeniem". Powiedziałam mu to później. Błaznował tak przez dobre dwie godziny, podczas gdy dostojna Susathi toczyła przed nami swoje ciche wody nie zmarszczone ani jedną pobłyskującą w słońcu falką. Zakątek okazał się niebezpiecznie spokojny: choć zastanawiałam się pilnie nad problemem wydostania się stamtąd, mimo że wyostrzałam zmysły chcąc wyłowić najłżejszy szmer oddechu, tętno krwi, odgłos kroków, ledwo pozwoliłam sobie swobodniej oddetchnąć, oblało mnie natychmiast miękkie, puszyste ciepło. Nie zdrzemnęłam się, w każdym razie tak mi się wydaje; ale gdy w pewnej chwili na środku rzeki plusnęła ryba, zerwałam się na nogi z obnażonym mieczem krzycząc coś w języku, którym się już nie posługuję. Zdaje mi się, że wołałam coś do Bismai. Pod wieczór w ponurych nastrojach ruszyliśmy wolno ramię przy ramieniu, nie pokrzykując już na siebie, ale powarkując, co w Dirvic brzmi odpowiednio złowrogo. Niemal jednocześnie odezwaliśmy się tymi samymi niemalże słowami: - Przede wszystkim musimy stworzyć pozory, że tylko jedno z nas ruszyło w dalszą drogę. Nie udało nam się powstrzymać śmiechu, ale szkoda z tego chyba nie powstała żadna, zważywszy jak w Dirvic brzmi śmiech. Nyateneri powiedział: - Powstaje kwestia, czy

powinniśmy się pobić, czy tylko rozłączyć? Uważam, że mała bójka mogłaby nam wyjść na zdrowie. - Jeśli podjęlibyśmy walkę, jedno z nas przyplaciłoby ją życiem, bardzo zaś prawdopodobne, że poleglibyśmy oboje. I on o tym dobrze wie. - Nie mówię o prawdziwej walce, tylko o drobnej utarczce. Ostre słowa, szturchańce, kuksańce: kochankowie, którzy mają już siebie powyżej uszu. Ostatecznie Arshadin tak nas postrzega. Drwił sobie ze mnie, to było całkiem wyraźne, nawet w bezosobowej napastliwości języka Dirvic. Nie odpowiedziałam na zaczepkę, zmierzyłam go tylko wzrokiem od stóp do głów, dając ze swej strony do zrozumienia, że pamiętam smak jego skóry, dotyk paznokci na mych biodrach i rozkwitający wytrysk w moim wnętrzu, a wspomnienie to nie wzbudza we mnie żalu ani tęsknoty. Oznajmiłam: - Oddalę się w górę rzeki i zostawię cię samego. Musisz udawać, że sam budujesz tratwę. - Będzie to więc siłą rzeczy tratwa z odpadków: z dryfującego drewna, uschłych gałęzi, wszelkiego śmiecia, jakie uda mi się zgromadzić. I to mnie właśnie martwi, jakże bowiem taki przebiegły zbieg jak Soukyan może mieć nadzieję, iż popłynie czymś takim w dół rzeki, nie mówiąc już o pokonaniu bystrzyn. Widzisz, on mnie za dobrze zna... Zaniemówiłam usłyszawszy, że użył umyślnie swojego prawdziwego imienia. Ja sama od chwili, w której je poznałam, wymówiłam je tylko raz i dokładałam starań, żeby nigdy nie myśleć o nim inaczej jak o Nyatenerim. - Poczekaj do zmroku, tylko trzymaj się z daleka od tamtych drzew. Z jakiej odległości byłabyś w stanie go dojrzeć? Obrzucił mnie spojrzeniem tak pobłażliwym, że zdołałby nim chyba doprowadzić do furii Najlepszą Królową Vakalshakva, która, jak głoszą podania, odznaczała się tak łagodnym usposobieniem, że dzikie skalne targi i nishori wychodziły ze swych jam i pielgrzymowały na jej dwór, aby ległszy u stóp władczyni prosić o błogosławieństwo. Brudziły dywany i zjadały służących (choć nie tak święci jak ich pani, byli oni przynajmniej smacznymi) a Vakalshakva wymieniała dywany i najmowała nowych służących ani razu nawet nie napomniawszy swych drapieżnych gości. Znam osiem pieśni, w których jest opiewana, w tym wszakże ani jednej autorstwa skalnych targów bądź służących dobrej królowej. Wskazałam skinieniem głowy kłęb brunatnych wodorostów obracających się leniwie w małym wirze niedaleko brzegu. - Zbierz jak najwięcej tych "loków nieboszczyka". Ich łodygi są zakończone całym rojem pęcherzyków pławnych. Umocowane pod tratwą mogą przez jakiś czas utrzymać ją na wodzie. - Miejmy nadzieję - warknął wściekle Nyateneri nie spojrzawszy nawet we wskazanym przeze mnie kierunku. - Dzięki za znakomity pomysł! Pochwała zabrzmiała w języku Dirvic jak śmiertelna obelga. Mój towarzysz poczęstował mnie jednocześnie zaskakującym ciosem w ramię, po którym wpadłam plecami w jakiś gęsty kolczasty krzak. Nyateneri zarykiwał się ze śmiechu,

kiedy usiłowałam się stamtąd wygramolić. - Zostawię ci tobołek z linami - zawołałam i wyrznęłam go w szczękę. - Zostaw mi też puste bukłaki na wodę - przypomniał potrząsając mną tak gwałtownie, że aż zadzwoniły mi zęby. - W ogóle wszystko, co pływa. Po zmroku wróć tutaj, lecz bez koni. Uzgodniliśmy wszystko, co trzeba, goniąc się po brzegu i okładając pięściami. Konie przyglądały się nam bez zaciekawienia i rżały obojętnie, ryby wyskakiwały nad wodę polując na owady, a gdzieś w pobliżu, ukryty wśród drzew-kpiarzy, czekał na zapadnięcie nocy śmiertelny wróg Nyateneriego. Kiedy już wszystko uzgodniliśmy, plunęłam mu w oczy i szybko uciekłam; zatrzymałam się tylko po to, by krzyknąć do niego z daleka: - Przepraszam, że nie wyjawiałam ci planu budowy tratwy! Wciąż jestem Lal Samotnicą, więc trudno mi się zdobyć na zaufanie, nawet wobec partnera. Przepraszam! Nyateneri wyszczerzył zęby i pogroził mi pięścią. - Rozumiem! A przy okazji: powinnaś chyba wiedzieć, że nie umiem pływać. - Omal z miejsca nie zniweczyłam naszej gry, wytrzeszczając nań oczy z rosnącym przerażeniem, na szczęście zdążył warknąć groźnie: - Zwierzenie za zwierzenie! A teraz zmykaj i pamiętaj, że w całym swoim życiu nie spotkałaś groźniejszego przeciwnika niż nasz mały przyjaciel. No, zmykaj! Rzuciłam się do koni i zaczęłam je z furią kulbaczyć nie zapominając cisnąć demonstracyjnie na ziemię tobołka Nyateneriego, kiedy przytracałam jego konia do kuca Mildasów. Potem wskoczyłam na grzbiet mojego wierzchowca i ruszyłam w górę rzeki, prosto na zachód, nie oglądając się za siebie dopóki nie osiągnęłam górnego rogu półksiężyca. Nyateneri, zmniejszony już dzielącą nas odległością, schylał się właśnie, aby podnieść naręcze grubych gumiastych "loków nieboszczyka". Krzyknęłam do niego: - Uważaj na siebie! Miałam nadzieję, że ten wstrętny język zdoła zmienić przestrożę w ostatnie pożegnalne przekleństwo. Nyateneri nie podniósł nawet głowy. Splunęłam po raz drugi, tym razem żeby oczyścić usta z ohydneho smaku języka Dirvic, i pojechałam przed siebie brzegiem rzeki.

LIS

Kim jesteś? Człowiekiem w lisie czy lisem w człowieku? - pyta mnie przy każdym spotkaniu Tikat, a ja zatykam mu tę jego głupią gębę jedzeniem, najlepszy sposób. A jak jest naprawdę?... Naprawdę ani jedno na wierzchu, ani drugie pod spodem. Lis i ludzka postać istnieją obok siebie, w ogromnej zawsze ciasnocie, a głębiej... ho, ho, głębiej! Głębiej nic, takie stare, stareńkie nic, które dawno temu zmieniło się w coś. Oto prawda. Ale nawet "nic" ma pragnienia, czasem nawet chwyta je ochota, żeby posłuchać ludzkich głosów, pieśni, poczuć zapach ziemi o poranku, napić się wody, wpałaszować gołąbka. A ja? Jestem paluszkiem niczego, paluchem u nogi niczego - ale jednak nadal to ja, pan samego siebie. Nyateneri życzy

sobie jednego, ludzka postać drugiego, a ja i tak robię, co chcę. Lecz kiedy wzywa stare nic, śpieszę na wezwanie. I oto stare nic drgnęło - zimna ospała nicość w y c z u ł a go, podstępnego czarownika ukrytego w ciasnej izdebce w zajeździe jak lis w swojej norze - ho, ho, i wyczuła też tego drugiego, który węszy, szuka, już się prawie domyśla, już jest prawie pewny. Nad karczmą dochodzi do starcia dwóch potęg - wiedzą o tym psy, wiedzą kury, wie nawet i pogoda. Dzień w dzień pali słońce, ani jednej chmurki na niebie, w powietrzu wisi wciąż zapach deszczu, choć ani jedna kropelka nie spada. Stare nic domaga się we mnie: "Dowiedz się. Dowiedz!" A więc dobrze. Nyateneri przebywa daleko, więc w zajeździe znowu zasiada rumiana ludzka postać, snuje długie niemądre opowieści, zadaje pytania, przysłuchuje się, obserwuje. Gospoda roi się od gości jak pień martwego drzewa od robactwa - codziennie jacyś pielgrzymi, przekupnie, flisacy z kanału, żołnierze na przepustce, kilka razy zjawił się nawet łowca sheknathów z ostrą jak brzytwa jedwabną siecią i piką o podwójnym ostrzu. Rosseth chodzi smutny, nie ma serca do pogawędek, Marinesha jest zbyt zajęta, zresztą nigdy nie przepadała za ludzką postacią. Tylko Gatti Jinni gadałby od świtu do nocy i donosił czerwone piwo, ale co on tam wie, zagniewana mordka? To samo kucharz Shadry, głupi jak kuchciki, których bez przerwy tłucze. Tikat unika ludzkiej postaci, nawet nie spojrzy z drugiego końca jadalnej izby. Gruby karczmarz gania jak kot z pęcherzem, wnosi zamówione dania, obsługuje gości i wrzeszczy na żołnierzy, kiedy podszczypują Marineshę. Na ludzką postać spogląda zawsze koso, otrzymując w zamian uprzejmy uśmiech; co szkodzi? Do tego uśmiechu nie przyłgnęły gołębie piórka. "Dziewczyna" - podpowiada stare nic. "Dziewczyna". Lukassa spędza jednak większość czasu z podłym czarownikiem, do swojego pokoju wraca tylko na noc. A kiedy miękki, mięciutki lisek wciska się jej pod ramię, mówi szeptem: - A, jesteś! - i nachyla mu się do uszka. - Gdzie jest teraz Lal, gdzie jest Nyateneri, lisku, czy ty to wiesz? Tafiya - tak nazywa nikczemnego czarownika - tafiya mówi, że oni są głupi, zjedzą ich skalne targi albo potopią się w rzece, i że bym się o nich nie martwiła. Lecz ja mimo to się martwię. Powiedz mi, maleńki, gdzie są teraz moi przyjaciele? - Powtarza to pytanie do znudzenia, póki nie uśnie tuląc mnie o wiele za mocno w objęciach. Dla starego nic to za mało, ale cóż poradzić? Ludzie przemawiają inaczej do swoich przytulank przed zaśnięciem, inaczej do drugiego człowieka. A może by przybrać w łóżku ludzką postać? Zawołać: "Cześć, to ja, przespaliśmy ze sobą już niejedną noc!" - Wrzasnęłyby pewnie tak, że obudziłyby Lal i Nyateneri, gdziekolwiek obecnie nocują. Najlepiej poczekać do rana, do pierwszego brzasku, czasami o tej porze wychodzi na krótką przechadzkę. Najlepiej poczekać, doradzam staremu nic. Tymczasem niebo coraz bardziej się napina. Horyzont zbliża się z

każdym dniem do przeciwległego horyzontu, niebo i powietrze aż trzeszczą od tych zapasów dwóch mocy. Wiatr zgrzyta zębami, cierpi męki; woda się rozdziela - można wyczuć te zmagania, dojrzeć je w każdej najmniejszej kałuży, usłyszeć w kamiennej posadzce izby karczemnej, dosłuchać się ich w różnych głosach. Przekupnie w gospodzie wyteżają siły, chcąc dźwignąć swoje pakunki, a potem siadają i płaczą. Żołnierze piją na umór, a mimo to nie wszczynają burd, pielgrzymi zapominają słów modlitwy i biją się między sobą, flisacy chorują jak jeden mąż, wpadają na ościeżnice drzwi, mówią, że Shadry ich truje. I to wszystko - wiem o tym - za sprawą tego staruszka na piętorku. Ukrywa się, wciąż się ukrywa, naciąga na siebie powietrze, jak najszczelniej, żeby ten drugi go nie znalazł. Co go obchodzą lisy, co go obchodzą ludzie, choćby i pielgrzymi - co go obchodzi, że wszystko się drze, rozdwaja jak wodny chrząszcz składający jajeczka w skrzydle burzy? Co się z tego wylęgnie, czy ci dwaj zastanawiają się nad tym choć trochę? Czarownicy! "Dziewczyna" - przypomina stare nic. Więc ludzka postać wychodzi na dwór, na zakurzony zmrok, przechadza się w zadumie po dziedzińcu, kontempluje drzewo naril, skręca do sadu, wraca. I oto nadchodzi - drobi nerwowe kroczi, rozgląda się niespokojnie, boi się spotkać Tikata. Przyjrzyj się jej: smutna, okrągła, pospolita buzia, a pod nią biały ogień - lecz ogień nie j e j, z nią ten ogień nie ma nic wspólnego - przyjrzyj się jej, gdy tak krąży, tyle a tyle kroków w tę stronę, tyle a tyle z powrotem, jak w niewidzialnej klatce, dość jednak realnej, żeby rzucać cień. Czy ci nie żal tego biedactwa? Jeśli o mnie chodzi, o żalu nie może być mowy. A jednak... Naprzód, ludzka postaci, naprzód, dziadziu: ciepły, łagodny uśmiech, powolne ruchy, żeby się nie przestraszyła w ciemności. Jaki piękny wieczór, jak pięknie śpiewają ptaki (w istocie żaden nie śpiewa, nie w te noce), jak miło spotkać na drodze śliczną dziewczynę! Szczęśliwy ze mnie staruszek trzeba przyznać. Nie przesłaby się kawałeczek? - powiedzmy do gościńca i z powrotem? Człowiek w moim wieku nawet zwykłą grzeczność wita z radością. Bez jednego słowa, bez skinienia głową, bierze ludzką postać pod rękę i ruszamy. Pleść coś, mamrotać, od czasu do czasu poklepać rączkę - wyobraź sobie, że nie spacerowałem tak już ze dwadzieścia lat. Ale gdzież to się podziały towarzyszy? Ta wysoka, brązowa pani elegancka jak deszcz i ta czarna, o podłużnych, pięknych powiekach podobnych do okrętowych żagli? Ludzka postać może gadać, co jej ślina na język przyniesie. Dziewczyna drży, nie w ciele, ale głębiej, poniżej kości. - Są w niebezpieczeństwie. - Dodaje coś jeszcze, ale tak cicho, że nie dosłyszałem. Stare nic: "W jakim niebezpieczeństwie?" W jakim niebezpieczeństwie? Dostałem się między klingi głupich czarowników, trudna rada! Ale nie o to chodzi, stare nic potrzebuje czegoś więcej. Nigdy nie mówi, czego mu trzeba - czuje, wyczuwa,

pragnie, zawsze wie, czego chce, lecz nigdy nie wyraża tego słowami. Utrapienie dla biednego liska, całe to życie pokątne między trzema światami. Powiadam: - Rzeczywiście, te góry potrafią być niebezpieczne. Żyją tam zbójcy, nishori, skalne targi... Dziewczyna kręci głową: - Nie w tym rzecz. Moje przyjaciółki... pojechały walczyć z pewnym czarownikiem, którego nie można pokonać i ja o tym wiem! - Teraz drży na całym ciele, do jej piwnych oczu napływają łzy, ale żadna nie spada. - Jego nie można zabić, ja to wiem na pewno! O to ci chodziło, stare nic? O to ci chodziło? Ludzka postać chrząka, poklepuje dłoń dziewczyny i mówi: - Odwagi, moja droga, jeszcze nie urodził się taki czarownik, którego nie można by zabić. Wszystkie te bajdy o paktach z Kostuchą, o eliksirach młodości, o sercach ukrytych w złotych szkatułkach, w dziuplach drzew albo na księżycu, to duby smalone, dziecko, możesz mi wierzyć. Dla mnie samego to również pociecha, nie tylko dla tej niebogi - pomyśleć tylko: nieśmiertelny czarownik, cóż by to była za niesprawiedliwość! Przekonany jestem, że stare nic nigdy by na to nie pozwoliło. Jej to jednak nie pociesza, nie pozwala mi nawet skończyć, wrywa rękę i krzyczy: - Nie, nie! Ostrzegałam ich, ostrzegałam, ale oni nie rozumieli. Jego nie można zabić! Wpatruje się we mnie błagalnie, tak by chciała, żeby przynajmniej miły staruszek z białymi wąsami ją zrozumiał. A ja? Och, spoglądam w niebo, pod nogi, ku gościńcowi, w stronę gospody. Skrzypi ramię studni, kilku pijanych poganiaczy bydła wyrykuje ordynarne śpiewki, nikogo nie widać. Ale coś patrzy. Już ja wiem. Dziewczyna dodaje głosem cichym, spokojnym, lecz jednocześnie rozdartym jak niebo nad nami. - Byłam kiedyś martwa. Utonęłam w rzece. Lal mnie znalazła. - Co noc w łóżku szepce to samo w lisie futerko, opowiada samej sobie wciąż od nowa tę samą historię; może tym razem opowie ją inaczej? Ciągnie: - Lal wciąż mnie zapewnia, że ja żyję, a ja tymczasem znam jedynie śmierć - nie Kostuchę, jak ją zwykle nazywają, nawet lisy. Lukassa mówi dalej: - Odebrano mi wszystko, co znałam przed upadkiem do rzeki. W pustce, jaka się przede mną otworzyła, siedzi śmierć i gada do mnie, opowiada mi różne różności. Lal i Nyateneri nie mogą pokonać Arshadina, nie zdołają go nigdy zabić. Bo jest podobny do mnie - nie ma kogo zabijać. "Ach!" - wzdycha przeciągle stare nic, przeciągając westchnienie przez wszystkie moje żywoty. "Ach!" Stare nic może na tym poprzestać, ale ludzka postać musi dalej strzepić sobie język. Szarpie wąsy, wicherzy bokobrody, przewraca ze współczuciem chabrowymi oczami. - No cóż, moje dziecko, jeśli twoje przyjaciółki wybrały się, by stoczyć walkę z nieżywym czarownikiem, najgorsze, co może je spotkać, to długa droga powrotna. Nieboszczyk to nieboszczyk, kimkolwiek był za życia, możesz mi wierzyć. Teraz ona odwraca wzrok i wcale mnie nie słucha. Oglądam się szybko i oto co widzę: kroczy na sztywnych nogach, zacisnąwszy w kulaki wielkie

blade łapska i zwiesiwszy cebrowaty łysy łeb. Brudny fartuch wisi pod brzuszkiem - gruby oberzysta we własnej osobie! Ręka Lukassy, miękka od śniegu, wsuwa się pod ramię ludzkiej postaci. Dziewczyna milczy wyniośle i nie zaszczyciwszy karczmarza nawet jednym spojrzeniem, przechodzi obok niego dumna jak wracająca do swej niewidzialnej klatki księżniczka, której wszak nigdy nie widziała na oczy. A we mnie, ze mnie, stare nic wzdycha: Ach! Znowu ospałe i senne, dostało, czego chciało, pora spać - dobrze, niech śpi, śpij, przewróć się na drugi bok, mrucz, śpij jak najdłużej, przestań się bawić palcami u rąk i nóg. Najwyższy czas zostawić biedne lisy na chwilę w spokoju. Karczmarz łypie okiem na Lukassę, pociera łeb, obrzuca przeciągłym spojrzeniem ludzką postać. Och, tego już za wiele, nie wytrzymam, pękne ze śmiechu! Prędko, prędko, zdusić ten śmiech w starcze pokasywanie, pozdrowienie dla tłustego dumia, który przewrócił do góry nogami swój własny dom, przetrząsnął każdą izbę, spędził z łóżek gości, a wszystko dla paru głupich gołąbków. Wciąż tylko gapi się na ludzką postać, nigdy do niej nie zagada, nigdy nie obsłuży. A gdybym tak zawołał: "A, witam, witam! Uprzedzam, że na nic się waści zda ten nowy wyżeł, wyrzucone w błoto pieniądze. Prędko waść sprowadzisz następne ptaszęta?" Zamiast tego uklonić się nisko jak dżentelmen dżentelmenowi, uśmiechnąć, wyrazić zachwyt nad pięknem wieczorów, jakim człowiek może się cieszyć w jego oberży. Ludzka postać ma prawo pleść, co jej ślina na język przyniesie. Grubas chrząka. - Nie moja zasługa. - Znowu chrząka. - Nie widział pan gdzie mojego stajennego? - Pewnie jest w stajni? Znowu chrząka. - Patrzyłem, nie ma. - Ponownie pociera łepetynę, zrywa opadający fartuch. - Przeklęty gagatek, wciąż się gdzieś ostatnio zawierusza! - Niezbyt wściekły, nieszczęśliwie smutny, jedynie zmęczony. Ciekawe. - No cóż - powiada ludzka postać - w taką noc jak dzisiejsza byłby doprawdy grzech, gdyby pański służący nie zawodził sentymentalnych serenad pod oknem jakiejś panny. Kiedy wróci, niech pan nie będzie dla niego zbyt surowy, panie gospodarzu, niech mu się pan pozwoli nacieszyć tą resztką dzieciństwa, dobrze? W ogóle mnie nie słucha - ostatnio nikt nie słucha ludzkiej postaci dziadunia - ale ostatnie słowa, o! ostatnie słowa go dosięgły. Zmarszczył się gniewnie. - A co pan tam wie? Co pan w ogóle wie, u licha? Ten gnojek nie miałby w ogóle żadnego dzieciństwa, gdyby nie ja. Kosztowało mnie to najgorszą harówkę, jaką w życiu odważyłem, ale ją jednak odważyłem, bo co miałem robić, he? Nie miałem wyboru, do ciężkiej cholery! - Czerwienieje mu biała ciastowata gęba, widać to nawet w mroku, małe wyblakłe oczka mrużą się i pałają. - Co wy wszyscy w ogóle wiecie? I co z tego mam, jeśli nie liczyć ciągłych nerwów, kłopotów i... - hamuje się, choć z trudem, po czym posuwa się jeszcze kawałek: - i samych zmartwień, he? Psiakość. Nawet ludzka postać rozgląda

się za odpowiedziami, ale pan oberżysta nie myśli na nie czekać. Rzuca ostatnie groźne spojrzenie, wydaje ostatni wspaniały pomruk i zawraca w stronę gospody, nawołując basem chłopca stajennego: - Rosseth, ty skurczybyku! Rosseth! Zachwycająca wieczorna pieśń grubego oberżysty trzyma ludzką postać w zasluchaniu. Obok ścieżki pomyka z szelestem jakiś śpieszący do domu smakołyk. Nie dotrze tam nigdy.

LAL

Nie poczułam go za sobą ani razu, kuc Mildasów jednak go zwietrzył. Tak długo, jak długo jego kosmate czarne uszy strzygły do tyłu, a szkarłatne chrapy rozdymały się z rzeniem, jechałam w dogasającym blasku dnia w górę rzeki. Pułapka, jaką zastawialiśmy, była tak dziecinnie oczywista, iż liczyć mogliśmy jedynie na to, że nasz prześladowca uzna ją z miejsca za przykrywkę dla innego, prawdziwego potrzasku. Spodziewaliśmy się, że podąży za mną chcąc wykluczyć nawet tę znikomą szansę, iż istotnie mogę zawrócić, aby go zająć od tyłu. Wydawało się jednak o wiele bardziej prawdopodobne - taką przynajmniej mieliśmy nadzieję - iż dojdzie do wniosku, że próbuję odciągnąć go od Nyateneriego, a nie mógł wszak ryzykować, że jego ofiara może mu się naprawdę wymknąć na skleconej naprędce z pływającego śmiecia tratwce. Powinien więc zawrócić, nim ja się na to odważę, by dotrzeć do Nyateneriego przede mną. O ile wcześniej niż ja, zależało już tylko ode mnie. Kiedy zachowanie karego upewniło mnie w końcu, że nikt nie podąża naszym tropem, słońce zdążyło już zająć, a ja na dobre straciłam z oczu Susathi. Staralam się trzymać rzeki najbliżej jak mogłam, im dalej jednak brnęłam, tym bardziej nieprzejezdny stawał się brzeg, byłam więc zmuszona oddalać się od niego coraz bardziej, najpierw w gąszcz jeżyn i ostrych traw, a potem między drzewa. Nie czułam już nawet zapachu wody. Zsiadłam z kuca, po czym rozkulbaczyłam wszystkie konie i uwolniłam je od bagaży, a następnie swój grzbiet obarczyłam częścią ładunku, tak by zbyt ciężar nie opóźniał marszu. Potem ujmowałam kolejno w dłonie końskie pyski i mówiłam każdemu szeptem, że może podążyć za mną z powrotem w dół rzeki lub nie, wedle własnego uznania, lecz jeśli tak zdecyduje, niech za przewodnika weźmie sobie karego kuca Mildasów, który poprowadzi je wszystkie pod dobrą opiekę, na soczyste pastwiska. Mój przyjaciel nauczył mnie takiego postępowania z końmi, kiedy jest się zmuszonym je porzucić. Jaki z tego dla nich pożytek, nie umiem powiedzieć, ale stosuję się zawsze do jego zaleceń. Początkowo szło mi się ciężko, w odwiecznym mroku sędziwych drzew, po ścieżce, którą wcześniej przetarły jedynie kopyta moich trzech koni. Musiałam przekraczać omszałe korzenie, cierniste pnącza czepiały mi się nóg, a powietrze dusiło jakimś niezdrowym czadem, co zmuszało mnie często do

zatrzymywania się na długie postoje, z sercem tłukącym się jak oszalałe i zamętem w głowie. W takich chwilach wszystko przestawało się dla mnie liczyć, nawet niebezpieczeństwo grożące Nyateneriemu, które stawało się nieskończenie mniej realne od najbardziej zatartego z moich dawnych snów. Nie wiedziałam, co się ze mną dzieje, a to przerażało mnie o wiele bardziej niż wszystko, co czaić się może w mrocznym lesie lub na brzegu rzeki. Moim głównym wrogiem było zawsze obłąkanie, nie czarownicy ani skrytobójcy. Dwa razy gubiłam ścieżkę, a raz omal nie straciłam kryjącej miecz laski: jakieś pnącze wyrwało mi ją zręcznie zza pasa, zmuszając do panicznego przeszukiwania w ciemności krzaków i grzędawiska zbutwiałych liści; w końcu udało mi się jednak odszukać Susathi. Księżyc jeszcze nie wzeszedł, lecz jaśniejsze od jego poświaty bywają na północy długie letnie zmierzchy, które barwią chmury na białe, nie spotykany w innych stronach złocistofioletowy kolor, a szuwary przy brzegach rzeki zmieniają w pasma świecącego cienia. W porównaniu z mrokiem leśnej gęstwiny ta poświata wydała mi się najjaskrawszym południowym blaskiem słonecznego dnia, zawiesiłam więc buty na szyi i z ulgą puściłam się biegiem. Biegaczką jestem dobrą. Znalazłoby się co prawda wielu szybszych ode mnie, ale już nie tak wielu, dla których nauczenie się biegu śmigłego jak lot strzały było sprawą życia i śmierci. Nawet z butami na szyi i torbami objijającymi boki przebyłam tę samą drogę w czasie krótszym niż jadąc na koniu, a dwa inne prowadząc za sobą. Nie słyszałam żadnego innego dźwięku oprócz własnego oddechu i szmeru rzeki, znacznie w wieczornej ciszy głośniejszego; Susathi przypominała teraz niebieskoczarny chodnik zaczesany pod włos i ukazujący złotaworóżowy podszerstek. Czasami biegłam po kamieniach, a dwa razy musiałam przebyć ostrożnie w bród płytkie strumienie o mulistym dnie. Poza tym jednak zmieniłam się cała w bieg, więc gdybym nawet o czymkolwiek myślała, to chyba tylko o innej kobiecie, biegnącej nocą po innej ścieżce, oraz o tym, co ją ścigało. Ale bieg nie myśli... Bieg nie myśli. Nie wątpiłam, że poznam ten ostry zakręt rzeki, za którym zostawiłam Nyateneriego. Zatrzymałam się na dłuższą chwilę, dając sobie czas na powolne dojsście do siebie i nasłuchując najbliższych odgłosów docierających z półksiężycowatej łachy zasłanej kamieniami i porośniętej ostrą trawą. Usłyszałam jednak tylko skrzekliwe kwilenie długonogiego skira brodzącego w sitowiu. Ostrożnie złożyłam na ziemi swój bagaż, włożyłam buty i ruszyłam dalej. Brzeg był pusty. Wschodził właśnie księżyc, już prawie w pełni, zbyt jasny, aby można się przed nim schować. Zeszłam nad wodę i przykucnęłam, żeby odczytać ślady. Większość wyrzuconego przez rzekę drewna i serty "loków nieboszczyka" zniknęło (a więc Nyateneri zdołał jednak sklecić tę parodię tratwy!), kilka zaś bruzd wyżłobionych w kamienistym mule świadczyło, że

musiał ją zepchnąć na wodę, choć nie byłam w stanie dojrzeć na rzece żadnego ciemnego kształtu odpowiadającego wielkością takiej jednostce pływającej. Dostrzegłam natomiast przy blasku księżycy splątane ślady dwóch par stóp, w tym jednej obutej, Nyateneriego; drugie, bose, należały do mniejszego mężczyzny. Ślady pokrywały się, mieszały i zacierały wzajemnie. Nie znalazłam jednak ani zakrzepłej krwi, ani żadnego niechybnego śladu utykania na nogę lub wleczenia czyjegoś ciała. Żaden znak nie opowiedział Znakomitej Tropicielce Lal, co się tu rozegrało, kiedy Nyateneri odwrócił się w zapadającym zmroku i zobaczył wyłaniającego się spomiędzy drzew napastnika. Wyprostowałam się powoli nie wiedząc zupełnie, gdzie się zwrócić, ani nawet w którą spojrzeć stronę, nie mówiąc już o tym, na co liczyć i co dalej robić. Skira wciąż kwilił, księżyc stawał się coraz mniejszy i zimniejszy, a ja, przyglądając mu się, również malałam i ziębłam. Z lęku o Nyateneriego rozboleł mnie brzuch, a potem porwała mnie złość na mego towarzysza za to, że się o niego boję i że śmiał zniknąć i zgubić się wśród nocy. Ani razu zaś nie przyszło mi do głowy, by poczuć złość na jego przeciwnika, przynajmniej do chwili gdy wiatr od rzeki zmienił kierunek i zwęszyłam go. Tamci dwaj w łaźni zalatywali jedynie odorem gwałtownej śmierci, który usuwa szybko i na zawsze naturalną woń ciała. Ten natomiast pachniał niemal swojsko; zbyt intensywnie, by można jego zapach nazwać przyjemnym, ale bynajmniej nie kwaśno. Tak pachnie nie myśliwy, lecz nadciągająca burza. W garści już trzymałam obnażony miecz, choć nie pamiętałam, kiedy go wyciągnęłam; nigdy tego zresztą nie pamiętam. - Widzę cię! Widzę! - zawołałam. Śmieszek za moimi plecami był jak przyjemny zapach: rozgrzana senna błyskawica poruszająca się w gnieździe gromu. - Czyżby? Odwróciłam się, zanim przebrzmiała ostatnia sylaba tego drwiącego pytania, choć powinnam już właściwie leżeć martwa. Pod pewnym względem istotnie wtedy umarłam, dawno temu, tę zaś historię opowiada i pije twe wino mój duch. Nie rozumiesz? Nie szkodzi. Był niski, podobnie jak tamci dwaj, niższy ode mnie: przygarbiony, szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy, w luźnym ciemnym ubraniu. Zbliżał się od strony kępy szuwarów, w której przed chwilą nikogo nie dostrzegłam. Cofnęłam się o krok z mieczem wymierzonym w jego serce. - Stój - ostrzegłam. - Stój! Nie chcę cię jeszcze zabijać. Nie ruszaj się! Nie zatrzymał się, zwolnił jedynie kroku. W dogasającym świetle dnia blade oczy wydawały się niemal białe, a zęby w szerokich wykrzywionych ustach miały kolor rzeki pieniącej się nad zatopionym pniem. Włosy miał króciutko przystrzyżone, ledwo cień puchu wokół czaszki. Odezwał się przyjaźnie wznosząc puste dłonie: - No cóż, rozumie się, że nie chcesz mnie zabić, Zmierchnico Lal. Nie chcesz nawet przebywać pod jednym ze mną księżycem. Rosseth opowiadał mi, że ci dwaj, którzy go

wypytywali i których potem zabił Nyateneri, mówili obaj w taki dziwny sposób, z chłodną pytającą intonacją w każdym zdaniu. Ten mówił z matowym akcentem tamtej górskiej krainy, z lekka tylko zaciągając, jak czynią to mieszkańcy południa, a głos miał, prawdę mówiąc, bardzo podobny do głosu Nyateneriego. - Jeśli o mnie chodzi, nie szukam z tobą zwady - oświadczył. - Moje zadanie skończone. Pozwól mi przejść. Choć może się to wydać dziwne, przestał mnie nagle boleć brzuch, opuściły mnie też strach i gniew. Odrzekłam: - Nie pozwolę, dopóki mi nie powiesz, co zrobiłeś z moim towarzyszem, a wątpię, abym ci i później pozwoliła. Stój! Uśmiechnął się, ja zaś wciąż się cofałam dbając o to, by pozostawać na odkrytej przestrzeni i prosząc bogów, których imiona już prawie całkiem wyleciały mi z głowy, żebym się nie potknęła. Tamten postępował za mną spokojnie, tuż za ostrzem miecza, a jego wąskie dłonie kołysały się luźno u końca chudych ramion. - Jest martwy jak sztokfisz - powiedział - nie muszę ci tego mówić. Chyba nie sądzisz, że znowu mi umknął, bo cóż bym tu jeszcze robił? Opuść miecz, koleżanko, i pozwól mi przejść. - Ani mi się śni - odparłam, wciąż się cofając. - Więc gdzie jego ciało? My pogrzebaliśmy twoich dwóch kompanów, ale ty zdaje się nie masz zwyczaju chować swych przeciwników? Coś zrobił z ciałem Nyateneriego? Chwilę stał nieruchomo, więc gdybym chciała, mogłabym go dosięgnąć ostrzem miecza, choć pewności nie mam. Oczy połśniewały mu biało w księżycowej poświacie. Nie był pierwszym mężczyzną, który napawał się władzą nade mną. W końcu odezwał się lekkim tonem: - No cóż, zapakowałem go na tę żalną stertę patyków, zepchnąłem na wodę i puściłem z prądem. Nader właściwy, jak mi się zdaje, pogrzeb dla kogoś takiego jak on, nie sądzisz? Ostatecznie był z pochodzenia Goryjczykiem. Dzielny i sprytny lud Góro, spokrewniony z moimi ziomkami, zamieszkuje wysepki dwóch archipelagów na południowych Morzach Q'nrak. Urządza łupieżcze wyprawy na sąsiadów, toczy też walki między sobą. Goryjczycy żeglują po całym świecie i są naprawdę nieustraszeni. Kiedy ktoś z ich plemienia umiera, ciało - a w każdym razie to, co z niego pozostaje po odprawieniu przepisanych obrzędów - umieszcza się na bogato przystrojonej barce, którą spuszcza się z falą odpływu uprzednio ją podpaliwszy. Powiedziałam ostrożnie: - Nie widzę jakoś na rzece tratwy, nie mówiąc już o płomieniach pogrzebowego stosu. Aż klasnął w dłonie na te słowa i wybuchnął hałaśliwym śmiechem, jak ptaki padlinożercy w porze godów. Zgięty niemal wpół, wsparty rękami o uda, śmiał się tak długo, aż zachrypnął, a ja nie odważyłam się nań uderzyć nie mając pewności, czy mówi prawdę, czy kłamie. Po jakimś czasie wykrztusił świszczącym szeptem: - Och, widzę, że nie jesteś wytrawną znawczynią naszych obyczajów. Przyjrzyj się uważniej, proszę, choć odrobinę uważniej... - Ponownie chwycił go śmiech. -

Przyjrzyj się uważniej, a przekonasz się, co to znaczy pozostawać w dobrych stosunkach z ogniem! Wtedy uderzyłam. Ciosu, który zadałam, nawet byś nie zauważył. Nie przechwalam się, stwierdzam jedynie fakt. Wykonałam ruch samym tylko przegubem ręki, bez składania się i wypadu, a więc i bez angażowania myśli, po czym natychmiast odskoczyłam, zanim ciotka Kostucha zdążyła znaleźć pantofle pod łóżkiem. Niskiego człowieka o białych jak księżyc oczach nie było jednak w miejscu, które przed chwilą zajmował. To znaczy, chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiał, był - ostrze przecięło mu tunikę - ale nieco dalej, i nie śmiał się już jak przed chwilą, mruzczał tylko w jakiś dziwny specjalny sposób. - Ach, wybornie! Sprawiedliwie cię nazywają Fechmistrzynią Lal. Walkę z tobą uznam za prawdziwy zaszczyt. A teraz słuchaj uważnie: zanim wypowiedział tych kilka słów cięłam jeszcze trzy razy. Mówię ci o tym nie z próżności, lecz abys pojął, z jakim przeciwnikiem miałam do czynienia. Nawet Nyateneri nie wie, że nie tylko chybiałam za każdym razem, ale chybiałam grubo, nawet mojego wroga nie drasnawszy. Najpochlebniejsza opinia, jaką mogę sobie wystawić, uwzględnia fakt, że jego kontruderzenie, którego nawet nie spostrzegłam, dosięgnęło mnie w momencie, gdy po wypadzie niezbyt mocno stałam na nogach, a jednak zdołałam odskoczyć i opadając na ziemię uniknąć jego drugiego ciosu. Potem wycofałam się jak najszybciej poza zasięg ramion przeciwnika, a on postępował za mną mrużąc: - Doskonale, naprawdę wybornie! Twój przyjaciel natomiast nieco mnie rozczarował. Mam nadzieję, że to cię nie uraża? Odpowiedziałam mu zwodem barku i ciosem, którego omal nie przypłaciłam kiedyś życiem i którego opanowanie zabrało mi cztery lata ćwiczeń. Mój przeciwnik prawie go nie zauważył i nadal następował na mnie, szczerze rozbawiony. - Muszę mu jednak oddać sprawiedliwość: za późno mnie zobaczył. Gdyby się nie zagapił, nasz pojedynek mógłby potrwać nieco dłużej. Mimo to muszę przyznać, że spodziewałem się czegoś więcej po człowieku, który wymykał się nam od blisko jedenastu lat. Ten rekord nigdy nie zostanie wyrównany, jestem tego pewien. O, teraz widać ogień! Zachowałam się dokładnie tak jak sobie życzył. Spojrzałam ponad jego ramieniem; tylko na ułamek sekundy. Zanim pierwszy machinalny odruch zwrócił mi głowę w stronę rzeki, drugi już ją z powrotem odkręcał. Nie zobaczyłam spływającego z prądem ogniska, przynajmniej dopóki nie otrzymałam ciosu. Trafił mnie w lewy bok. Pojęcia nie mam, jakim cudem pękło mi tylko jedno żebro. Bólu zrazu nie poczułam żadnego, całkiem natomiast straciłam czucie w połowie klatki piersiowej. Udało mi się jednak nie wypuścić z ręki miecza, gdy poleciałam do tyłu i wyrznęłam plecami o jakiś zwalony pień. Mój przeciwnik dopadł mnie, zanim na dobre przejaśnił mi się wzrok, lecz ja już wcześniej zaczęłam kopać i dźgać mieczem, po czym

błyskawicznie odtoczyłam się na bok, więc tym razem nie zdołał mnie dosięgnąć. Skira w trzcinach zabulgotał cicho, co znaczyło, że zdobył łup. Zerwałam się na nogi plując i prychając, tak bowiem należy postępować, nawet gdy brakuje tchu, żeby uczynić swoją pogardę w pełni przekonującą. - Więc to miał być twój śmiertelny cios? Co za zawód! Następny podobny byłby mnie położył trupem i klasztorny zabójca o tym wiedział. Nie zaśmiał się jednak, tylko jego pomruki pogłębiły się i nabrały nowych tonów, gdy mówił zbliżając się do mnie niespiesznie: - Ach, jesteś naprawdę świetna! Wprost niewiarygodna! Słowa i ton głosu kochanka, co zresztą było w jego pochwalę najgorsze. Przez jakiś czas, nie umiem powiedzieć jak długi, starałam się tylko o to, żeby moje płuca zaczęły na powrót pracować, a mój przeciwnik nie zbliżył się do mnie na odległość mniejszą od długości miecza. Tymczasem poczułam okropne rwanie w boku, co samo w sobie mnie zresztą nie martwiło (nauczyłam się odkładać ból na potem, jak niektórzy odkładają na potem domowe rachunki), zdawałam sobie jednak sprawę, że spowalnia to moje ruchy, a wiedziałam już na pewno, że tylko szybkość może mnie uratować. Wywijałam mu się, wykręcałam, wyskakiwałam w górę z saltem w tył, gdy usiłował przyprzeć mnie do drzewa lub głazu; ilekroć zaś chybiałam mieczem, czyli za każdym razem, raziłam go kolaniem, łokciem, nawet głową. Sztylet Nyateneriego przynajmniej drasnął tamtych dwóch siepaczy, zanim spryt Rossetha ich oślepił; tymczasem ja mogłam pochłubić się tylko złożeniem na ciele mego przeciwnika własnoręcznego podpisu w postaci kilku sińców, i to w miejscach zupełnie nieistotnych dla dalszego przebiegu walki. Udało mi się jednak pozostać przy życiu. Długi zmierzch zaczął w końcu przygasać, może idąc mi w sukurs jako naturalny sprzymierzeniec, a może wprost przeciwnie, skracały się bowiem zarazem dające mi schronienie cienie księżyca. Mój przeciwnik nagle znieruchomiał, umyślnie pozwalając mi chwilę odetchnąć, abym mogła sobie lepiej uświadomić, jak ciężko jestem ranna, i rzekł: - Szermierko Lal, sprawiasz, iż zaczynam żałować, że nigdy nie będę miał dzieci ani wnuków, abym miał komu o tobie opowiadać. Mogę cię tylko zapewnić, że wieczyste kroniki, jakie prowadzimy w moim niezwykłym domu, gdzie nic się nie zatraca w niepamięci, będą po wsze czasy głośiły bohaterom większym jeszcze od tych, jakich znałaś, chwałę twojej męskiej śmierci. - Westchnął głęboko, mrugnięciem powieki stracił prawdziwą łzę i dodał: - Obiecuję ci ponadto, że twój wspaniały miecz nigdy nie sięgnie ziemi, chwycę go bowiem w powietrzu, nim ty jej dosięgniesz. Masz na to moje słowo. Wspominam z dumą, że natarłam na niego, zanim skończył mówić. Zaczęliśmy się przesuwac z powrotem wzdłuż brzegu, lecz tym razem to mój przeciwnik musiał się zwijac jak w ukropie: tańczyć, odskakiwać, nurkować, uchylać i wywijać z jednej sytuacji pozornie bez

wyjścia w drugą. Nie, ani razu nie dosięgłam go mieczem, mimo to zaczął oddychać z cichym poświstem, dostrzegłam też wreszcie napływające do jego białych oczu to samo zdziwienie, jakie i w moich musiało się odbijać: “Więc to ty? Naprawdę? Więc to masz być ty?” Miłym mi jest to wspomnienie... Tymczasem było już po pojedynku. Nie z powodu żebra - odnosiłam w przeszłości cięższe, o wiele cięższe rany, a jednak walczyłam lepiej - ani nie dlatego, że najlepsze lata miałam już za sobą, choć prawdą jest, że wiek dawał mi się już we znaki. Gdybym była młodsza, zadałabym temu siepaczowi w czasie, kiedy mnie wychwalał, cztery ciosy, nie zaś tylko trzy, choć i ten czwarty z pewnością by chybił. Mój przyjaciel miał rację: mistrz w mgnieniu oka poznaje mistrza większego od siebie, ten zaś drobny mężczyzna byłby dla mnie mistrzem nawet za moich najlepszych dni. Mimo to musiałam go zabić. - Tratwa płonie - mruczał. - Płonie, widać płomienie na wodzie. Nie odrywałam już jednak spojrzenia od jego oczu... na cóż by to się zdało Nyateneriemu?... i w rezultacie, co było nieuniknione, jakiś wyrzucony przez rzekę patyk obrócił mi się pod piętą i przewróciłam się nagle. Zerwałam się natychmiast i odskoczyłam w najmniej spodziewanym kierunku, mimo to przeciwnik dosięgnął mnie obiema bosymi stopami trafiając w górną część uda i w prawy bark. Upadłam. Kiedy czasem pokryje cię w morzu wielka fala, stwierdzasz, że płyniesz w dół, w czarną i zimną głębinę, zbyt oszołomiony, by uświadomić sobie, że kierunek ku życiu jest przeciwny. Gdy się podniosłam na jedno kolano, mój przeciwnik stał spokojnie z założonymi na piersiach rękami i przyglądał mi się z podziwem. - Nawet padając bez przytomności wznosisz swój miecz wysoko i dzierzysz go krzepko. Twoje serce może dotknąć ziemi, on nigdy. Musi w istocie mieć ogromne dla ciebie znaczenie, o Lal, opiewana w legendach! Wówczas wzięłam to za okrutny żart; dziś wiem, że chciał mi powiedzieć komplement. Zbawienne okazało się dla mnie to jedno słowo: legenda, przywołało mi bowiem na pamięć moje wychowanie i dziedzictwo, wobec którego cała ta głupia bijatyka spadała do poziomu dziecięcych bitew na kije. Odrzekłam: - Dokładnie takie samo, jakie posiadał dla wielu przede mną. Ten miecz wykuto w mojej ojczyźnie pięćset dziewięćdziesiąt lat temu dla poety ak'Shabandariyala, którego jestem potomkinią. Wieczyste kroniki, he? Nyateneri uzmysłowił mi kiedyś, że ci mnisi są, na swój sposób, takimi samymi niewolnikami pamięci jak moi ziomkowie, gotowi przerwać wesele, porzucić żniwa lub najzwyczajniej w świecie zapomnieć o umieraniu, byle tylko wysłuchać kolejnej opowieści o czyichś przygodach. Podobnie mój przeciwnik: mogąc z łatwością zadać mi cios śmiertelny, zwlekał z nim w nadziei, że z mym mieczem wiąże się jakaś ciekawa historia. Z najwyższym trudem dźwignęłam się na nogi; zamiast prawego boku miałam bryłę lodu, zamiast lewego

wyjącą z bólu miazgę. Opowieść zostanie jednak wygłoszona... - Z dziada pradziada, z ojca na syna, z matki na córkę - zauważył uprzejmie - wszędzie to samo. Szkoda, że tak piękne dziedzictwo musi oto znaleźć swój kres. Nie ośmieliłam się teraz zrobić nawet kroku w tył; skupiłam resztkę sił wpatrując się w oczy wroga w słabej nadziei, że zdołam z nich wyczytać zamiar na ułamek sekundy przed jego wykonaniem i modląc się w duchu, żeby mój przeciwnik nie wyczytał mojego. Następnie wciągnęłam głęboko powietrze i oddałam mu miecz. - Prawdę mówiąc, w mojej rodzinie panują nieco inne reguły dziedziczenia - powiedziałam. - Miecza nie przekazuje się z pokolenia na pokolenie: należy go wykraść. Zechciej spojrzeć na klingę. Podniósł miecz i mrużąc oczy w świetle księżyca przyjrzał się wyrytym na głowni słowom, które dotąd mało kto miał szansę choćby dostrzec. Wydawało się, że ma zajęte ręce i odwrócony wzrok, ale ja już wiedziałam, z kim mam do czynienia, więc pozwoliłam minąć tej złudnej okazji. - "Ukradnij mnie i poślub" - przeczytał na głos. - Dziwna przestroga! Jeśli to jest przestroga... Roześmiałam się, przyplacając tę chwilę rozbawienia rwącym bólem w klatce piersiowej. - Można by tak powiedzieć. Ten miecz jak magnes przyciągał złodziei od dnia, w którym go wykuto. Ba! Sam płatnerz próbował go ukraść mojemu przodkowi - poecie już w tydzień po prezentacji własnego dzieła i od tej pory biedny właściciel nie przespał spokojnie ani jednej nocy. Nie pozwalał mu zmrużyć oka ciągly najazd rabusiów, którzy spadali z dachu jego domu, podkopywali się pod fundamenty i bili z wrzaskiem między sobą, kiedy zdarzyło im się wpaść jeden na drugiego w sieni. Starzy i młodzi, mężczyźni i kobiety, a nawet drobne dziatki, ciągnęli ze wszystkich stron, chcąc spróbować własnej przebiegłości i uwolnić mego praszczura od miecza, który trzymasz w rękach. Biedny rymopis nie mógł ufać nawet najbliższym przyjacielom, nie mówiąc już o własnych zniedołężniałych na stare lata pocciwych rodzicach. Te złodziejskie zakusy stały się tak męczące, że mój przodek postanowił w końcu oddać miecz dobrowolnie pierwszemu włamywaczowi, jakiego przydybie w swej spiżarni, bądź pierwszemu bandycie, któremu uda się go zwabić w mroczny zaułek na tyłach targowiska. Mówię ci szczerą prawdę, zapewniam. - Ach, lecz nie oddał go, prawda, jak wszystko zresztą na to wskazuje? - Wciąż nie patrząc na mnie zabójca cofnął się o kilka kroków i ustawiając pod różnym kątem ostrze łowił nim blask księżyca. - I jakże zacny ów mąż wybrnął w końcu z tej kłopotliwej sytuacji? - Prawdę powiedziawszy mój przodek do szczególnie zacnych nie należał - stwierdziłam - odznaczał się za to wielką przebiegłością. Po dojrzałym namyśle kazał wygrawerować na głowni te słowa, któreś przed chwilą odczytał, a gdy pewien wyjątkowo odważny i szczwany młody złodziej zdołał w końcu wykraść miecz, i to w biały dzień, mój

protoplasta ścigał go tak długo, aż w końcu go dopadł i przedstawił mu następującą śmiałą propozycję: może sobie zatrzymać miecz, proszę bardzo, jeśli poślubi najstarszą córkę poety i tym samym wejdzie do rodziny. Złodziej z miejsca się zgodził, podobnie jak córka mego przodka, gdyż był najwidoczniej młodzieńcem urodziwym. I w ten oto sposób narodziła się najstarsza tradycja naszego rodu. W górę, w dół, ostrzem w stronę księżycy, ostrzem w mroczny cień. - Fascynująca historia! - W istocie był zafascynowany, choć starał się tego nie okazywać; zafascynowany do tego stopnia, że nie zauważył, kiedy pozwoliłam sobie w końcu na małe poruszenie, nieznaczne przesunięcie, raczej w bok niż do tyłu. - Założywszy nawet, że złodziej miałby do wyboru małżeństwo albo śmierć... z całym szacunkiem dla córki twojego przodka... - Och, o tym nie mogło być nawet mowy! Już był mój! Przestał poruszać mieczem i wlepił we mnie spojrzenie. Upodobił się wreszcie do zwykłego człowieka: w zaokrąglonych oczach (co prawda zwęził je zaraz) pojawiło się to ludzkie cudowne zdumienie i ta moja najkochańsza, najmiłsza, najdroższa ludzka ciekawość: co dalej? Choć ranna, ledwo żywa i zagrożona śmiercią, na widok tego wzroku poczułam się jak w domu. - Młodzieniec mógł odejść wolno, cały i zdrowy - powiedziałam - i nigdy więcej nie oglądać szlachetnego miecza. Ale on podporządkował się z radością wyrytemu na główni nakazowi: "Ukradnij mnie i poślub" i okazał się wiernym mężem dla obu swych małżonek. A ponieważ o niebo lepiej od mojego przodka znał fortele złodziejskiej braci, żaden z nich nie oglądał już miecza na oczy, prócz tych, dla których był to ostatni widok w życiu. Jedyna trudność polegała na tym, że nie mogłem pogodzić się z myślą, nawet na łożu śmierci, pozostawienia swego skarbu któremuś z własnych potomków. Osobiście sędzę, że kazałby go ze sobą pogrzebać, gdyby pewna dziewczka służąca o lepszych palcach nie podwędziła go w ostatniej chwili, co oznaczało oczywiście, że najstarszy syn mego przodka musiał ją z kolei wytropić i poślubić, aby zachować w rodzinie i sam miecz, i rzadki ów złodziejski talent. I tak to szło od tamtego czasu. Wyjątek stanowiła moja babka. Babka była zresztą pod każdym względem wyjątkowa. Wciąż jeszcze nie mogłam mieć pewności, że mój wróg połknął przynętę, mimo że zerkał to na miecz, to na mnie, i znowu na miecz. - Żeby krew nie przestawała krążyć, oto w czym rzecz - mruknął pod nosem. - Wyobraź sobie, że nie inaczej i my postępujemy. Widzisz, musiał poznać zakończenie tej historii, a co znaczy odległość niecałej stopy dla kogoś, kogo zjada ciekawość? - Twoja babka... - przypomniał, a ja wykrzyknęłam w duchu: "Jużes mój!" - Ach, babka! - westchnęłam. - Najbardziej niezwykła postać całego mojego dzieciństwa. - Tak rzeczywiście było, niech będzie błogosławiony jej podły charakter. - Babka była córką mojego pradziadka, nie mogła więc ukraść miecza i wyjść za mąż, aby go zatrzymać.

Uznała to za krzyżującą niesprawiedliwość, a niesprawiedliwości nie tolerowała. Była niska, podobnie jak ja, toteż nie zwracano na nią specjalnej uwagi, od dwudziestego wszakże mniej więcej roku życia nie zajmowała się niczym innym jak strzeżeniem miecza i nauką władania nim; przynajmniej do tego miała prawo. Każdego ranka (potem się bowiem upijał) pobierała lekcje u sędziwego kiriańskiego mistrza L'kl'yara - zauważyłam, że oczy mojego słuchacza zrobiły się jeszcze szersze - aż w końcu umiała tyle co on i potrafiła całymi godzinami, bez znużenia, wynajdywać własne wersje jego zasłon, wypadów, legendarnych już zwodów i kontr. W końcu stała się niemal niepokonana, ta moja cicha drobna babuleńka, która co wieczór śpiewała mi dziecięce piosnki, nawet gdy już podrosłam. A kiedy zrozumiała, że jest niepokonana, pewnego dnia po codziennym treningu po prostu zabrała miecz i zniknęła. - Zniknęła? Tymczasem ja już prawie śpiewałam, tak pochłonięta formą opowieści, jakiej mnie nauczono niemal równocześnie z moim imieniem, jak mój słuchacz był pochłonięty jej treścią. Wszelako od chwili poznania własnego imienia nauczyłam się jeszcze tego i owego, więc wiedziałam, że muszę spowalniać wszystkie, ale to wszystkie, funkcje swego ciała: nie tylko proces odsuwania się od przeciwnika, lecz także oddech, ból, tętno, a nawet przebieg myśli, spowolnić wszystko do zleniwienia zimnego cichego księżycyca. W prawo ode mnie majaczył pod karłowatym krzaczkiem jakiś nieforemny niebieskawo-ciemny cień, zapewne tobołek klasztorowego mordercy. - Prawdę mówiąc, zamknęła się w swoim pokoju - podjęłam. - Co wszakże na jedno wychodzi, bowiem przez następne trzy lata wynurzała się stamtąd tylko po to, żeby wypchnąć za drzwi zwłoki ostatniego z pretendentów do miecza, który zjawił się u niej o północy, po czym szybko cofała się z powrotem. Nie oglądał pustelnicy nikt prócz jej ofiar i służących, którzy przynosili posiłki. Biedni rodzice błagali, niemal każdego dnia, żeby zmądrzała, zwróciła miecz i poślubiła tego, który wykradnie ów skarb jak należy. Błagali na próżno. Babka pisała do nich czułe karteczki, pytała o zdrowie braci, przepraszała za opłakany stan ostatniego złodzieja, odpierała jednak wszelkie obłęzenia. W trzecim roku, o ile się nie mylę, dziadek w przystępie desperacji kazał żołnierzom wyłamać drzwi. Kiedy babka wybiła szturmujących do nogi, nie wstawiono już nowych wrót i od tej pory celowo trzymała pokój otwarty. Żaden jednak śmiałek nie odważył się choćby zajrzeć za próg, w każdym razie zanim nie stanęła tam moja jednooka babuleńka. Ale to już całkiem inna historia. Czy to jego tobołek? Chyba jego. Co mógłby jednak zawierać, z jakim bagażem ci osobnicy podróżują? Nyateneri powiedział, że jego prześladowca jest przygotowany na podróż wodą, jakaż jednak łódź poza dziecinną zabawką zmieściłaby się w tak małym zawiniątku? Głupia, nie patrz w tamtą stronę, jeśli ci życie miłe, przykuj do siebie

spojrzenie tych białych, zachwyconych oczu, nie wypuszczaj go, nie wypuszczaj! Teraz znajdź punkt oparcia, pół kroku, dobrze, pozwól prawej nodze drzeć i ugiąć się odrobinę, o co aż się zresztą prosi... ciekawa jestem, czy i po tej stronie nie pękło któreś zębro?... a pod tym drzeniem pozwól się rozwinąć innemu dreszczowi, głębszemu od wszystkich dygotek. Nadal to potrafię! Potrafię robić to, do czego zostałam stworzona, mój talent mnie nie opuści! Nadal umiem opowiadać! - Więc to babka nauczyła cię tak walczyć? Głos mężczyzny dziwnie mnie przeraził; przygotowując się całą swą istotą do uśmiercenia mego wroga, niemal na śmierć zapomniałam o nim samym, jeśli mnie dobrze rozumiesz. Przeciwnik wciąż chciał poznać zakończenie opowieści, zanim mnie zabije. - Nie - zaprzeczyłam - niezupełnie. A teraz pozwól nodze wywichnąć się na zewnątrz i załamać, jęknij przy tym, nie potrzebujesz wszak udawać. Ratując się przed upadkiem podeprzyj się lewą ręką wsuwając jednocześnie prawą za cholewę buta. A teraz złap w powietrzu miecz, bo tobie jednak przypadnie to zadanie, zanim zwali się na ziemię ten, który go trzymał. Mały sztylet utkwiał tak głęboko w gardle niskiego mężczyzny, że wystawała zeń tylko rękojeść, drżąc i poruszając się w rytm oddechu mego niedoszłego zabójcy, który wpatrywał się we mnie wytrzeszczonymi oczami. Podniosłam się powoli i podeszłam doń. - Moja babka nie wzięła w życiu do ręki nawet snycerskiego kozika - powiedziałam. - Kupiłam ten miecz od straganiarza w Fors na Shachim i podobnie jak ty nie mam pojęcia, co znaczy ta inskrypcja. Sztuki władania mieczem nauczył mnie zaś pewien stary zapijaczony żołnierz-awanturnik, który przed każdą lekcją podawał mi jej cenę i przypominał mi o niej przez cały czas trwania walki. Sztylet należał do niego. Jestem pewna, że przynajmniej tyle do konającego "dotarło, choć jego białe oczy zaczynały już mętnieć, kiedy powiedziałam: - Przepraszam, że cię podeszłam podstępem, ale byłeś zbyt dobry, bym mogła cię pokonać w uczciwej walce. Niech słońce oświetla ci drogę. Używamy tej formuły również jako pożegnania. Nie wiem, czy mnie usłyszał...

NYATENERI

Z początku nie uzmysławiałem sobie, że się poruszam. Może to zabrzmiało dziwnie, ale też dziwnie się czułem, jak człowiek ciężko chory, a pierwszą rzeczą, z której zdałem sobie sprawę, było to że oślepiłem na jedno oko; czerwona mętna ciemność z lewej strony odróżniała się bowiem od zimnej, rozjaśnionej księżycem nadržecznej ciemności po prawej. Po tym odkryciu, jakiego dokonałem mimo tępego dudnienia w głowie, uczyniłem po dłuższej chwili następne, uświadomiłem sobie mianowicie, że nie spoczywam nieruchomo, podczas gdy niebo i rzeka opływają mnie taktownie z daleka. Przeciwnie: moja prawa stopa wlokła się w wodzie, twarda

zaś gula, uwierająca mnie w krzyż, okazała się sękatym kawałkiem niesionej prądem gałęzi, która odpłynęła leniwie, gdy spróbowałem usiąść. Wbrew wszelkiej logice znajdowałem się na skleconej własnoręcznie z odpadków drzewnych tratwie, której w ogóle nie miałem zamiaru wodować, a która teraz rozlazła się pode mną pomaleńku - do tego ślepy na jedno oko i nie umiejący pływać. Nie zdarłem sobie gardła wzywaniem Lal na pomoc tylko dlatego, że byłem w owej chwili bardziej nawet oglupiały niż przerażony. Dość szybko się to zmieniło. Nie odważyłem się stanąć prosto, natomiast przez okres - tak mi się przynajmniej zdawało - następnym dwóch tygodni gramoliłem się ostrożnie, zanim nie przybrałem pozycji klęczącej. Ostatnie moje wspomnienie wiązało się z czynnością splatania warkoczy wodorostów, które miały nadać stercie patyków - w każdym razie w gorszym oświetleniu - wygląd czegoś, co od biedy może się przez chwilę trzymać kupy, gdyby ktoś niezbyt rozgarnięty zechciał ową wiązkę chrustu zwodować. Sądząc po położeniu księżyca minęła od tamtej pory godzina z okładem, a jednak szczególnym zrzędzeniem losu prawie cała tratwa zachowała się dotąd pode mną, choć stopniowo jej ubywało. Czułem, jak konstrukcja z pniaczków rozluźnia się i rozrzedza, gdy suche gałęzie, które między nie powtykałem, gwoli uszczelnienia, wymykają się jeden po drugim. "Loki nieboszczyka" są giętkie i łatwo je dzielić na włókna, mają wszak jeden poważny mankament: są rozciągliwe. Dawałem dzielnemu okrętowi o nazwie "Trumna Soukyana" najwyżej dziesięć minut istnienia, sobie samemu zaś, optymistycznie licząc, pięć minut życia. Największą irytację, większą nawet niż perspektywa utonięcia, budziła we mnie myśl, że umrę nie dowiedziawszy się, co mnie spotkało. Najwidoczniej wpadłem w zasadzkę, dałem się podejść, zaskoczył jak Rosseth lub Tikat, tak że nawet nie widziałem tego, kto mnie napadł. Mimo że czułem w całym ciele drętwy ból, nie pamiętałem nawet jednego spadającego na mnie ciosu. Moje lewe oko należało do niewielu nie targanych bólem części mego organizmu, nie dostarczało mi zresztą również żadnych innych wrażeń; na dobrą sprawę mogłoby w ogóle nie istnieć. Trwałem na klęczkach, bojąc się, że najmniejsza zmiana pozycji może przyspieszyć rozpadnięcie się tratwy. Rzeka, która w południe ciekła tak marzycielsko i leniwie, teraz stawała dęba, miotała mną w łóżysku czarnych brzegów i niosła z coraz większym pędem ku śmierci upokarzająco bezbronnej, śmierci, która zdecydowanie była mi nie w smak. Kolejna gałąź wysunęła się ze splotów "loków nieboszczyka", a kurczowo ściskany przeze mnie pień obrócił się w mej dłoni. Naszło mnie idiotyczne wyobrażenie następującej sceny: oto Chichotek rozsiada się wygodnie, żeby przedyskutować ze mną kwestię, w którym dokładnie momencie rzecz zwana tratwą przestanie istnieć jako taka, stając się jedynie luźnym konglomeratem poszczególnych

patyków. Potrafił podobne kwestie roztrząsać przez cały dzień, napadając na mnie co pewien czas, gdy własne argumenty go znudziły, a moje zniecierpliwiły. Rzecz zwana wodą zaczęła tymczasem przeciekać przez szczelinę po gałęzi i opluskiwać mi nogi. Odniosłem wrażenie, że lewe oko zaczyna odróżniać kształty od cieni, nie umiałbym jednak określić, jak daleko od brzegu - i którego - się znajduję, jakby to zresztą miało jakieś znaczenie. Wciąż klęcząc zacząłem macać wokół siebie rękami w niemądrej nadziei, iż natrafię na jakąś złamaną deskę lub cokolwiek, czego można by użyć w charakterze wiosła, by skierować tratwę w stronę brzegu, którego zresztą nie byłem w stanie dojrzeć. Po jakimś czasie moja dłoń natrafiła na małą tutkę z pozłacanego papieru, podobną do owych papierowych gwizdawek, jakich używa się w zachodnich krajach w święto Dnia Złodziei. Chwila poświęcona na domyślanie się, co to takiego, była najdłuższą w moim życiu; a gdy to w końcu odgadłem, zamachnąłem się z całą siłą, aż kostki dłoni zgrzytnęły o korę, i odrzuciłem maleńki przedmiot jak najdalej od siebie. Lecąc łukiem w powietrzu buchnął nagle bezgłośnym płomieniem i rozjarzył pół nieba łuną podobną do wstającego świtu przeciętego od horyzontu po horyzont krwawymi pręgami. W tym potwornym blasku ujrzałem spienioną rzekę, rosnące wzdłuż brzegów drzewa i śpiące w gałęziach ptaki, a wszystko białe, wyprane z barw i zanurzone w niesamowitej ciszy. Zobaczyłem też nocne owady zapalające się tysiącami wszędzie dookoła i natychmiast gasnące, co ułamek sekundy inna filigranowa pochodnia. I zobaczyłem Lal... Widziałem ją tylko przez mgnienie; potem mała raca, jakie dziesiątkami, zależnie od zapotrzebowania, wyrabiał w klasztorze pewien astmatyczny mnich, plusnęła do wody i zgasła. Znowu zapadła ciemność i straciłem z oka moją towarzyszkę i śpiące na drzewach ptaki. Widziałem ją jednak nadal w powidoku, jak dziś jeszcze widzę: goni za mną w dół rzeki, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na rufie łódki mniejszej od mojej tratwy, łupinki z dziobem, żagielkiem i sterem, i można by sądzić, że cmoka na nią jak na starą tłustą kobyłę, pociągając lekko za linki jak za lejce. Ujrzawszy mnie pomachała ręką. Odmachnąłbym jej, gdybym rąk i nóg nie miał zajętych, podejmowałem bowiem z pomocą moich kończyn daremne i komiczne zapewne wysiłki utrzymania w całości tego, co pozostało z tratwy. Rozpadała się teraz szybko na oddzielne, porywane zaraz przez wodę kawałki; zachowała zwartość i tak o wiele dłużej, niż można się było spodziewać. Luźny zbiór patyków i chrustu wyslizgiwał się oto swobodnie ze słabnących więzów "loków nieboszczyka". Usłyszałem, jak Lal krzyczy, żebym opuścił tratwę i chwycił się jakiegoś pnia, dopóki do mnie nie dotrze. Łatwo tak powiedzieć komuś, kto się urodził na wodzie; ja czułbym się pewnie na szczycie płonącej wieży, z którego skoczyłbym z daleko

większym spokojem, niż teraz, mając opuścić to abstrakcyjne pojęcie tratwy. Pewnie uznasz moje zachowanie za absurdalne, ale jeszcze zwlekałem, usiłując znaleźć mój łuk, wszakże gdy tak się guzdrałem w ciemnościach, kilka ostatnich trzymających się jeszcze razem pniaczków rozstało się pod moimi stopami, wpadłem do wody i zacząłem wierzgać, kąsać rzekę zębami i orać palcami, tańcząc w jej toni jak wisielec na wietrze. Zabawny widok, najzupełniej się z tobą zgadzam. Spróbuj jednak zaśmiać się jeszcze raz, a wcisnę ci głowę w tę miskę zupy i poczekam, aż lepiej się wczujesz w moje ówczesne położenie. Obiecuję, że nie będę cię trzymał pod powierzchnią dłużej, niż sam pod nią przebywałem. Lal utrzymuje, że kiedy mnie znalazła, obejmowała czule pień drzewa, trzymając się go tak mocno, że wraz z nim okręcałem się w wodzie. Nic mi o tym nie wiadomo. Gdy po raz drugi odzyskałem przytomność, leżałem na brzuchu, kaszląc i rzygając, w poprzek pokładu miniaturowej łódeczki Lal, podczas gdy moja wybawicielka ciągnęła linki bębniąc jednocześnie energicznie obiema stopami po moim grzbiecie, żeby mnie skłonić do jeszcze obfitszych wymiotów. Owszem, tyle pamiętam. Stopy Lal są drobne, ale mocno zapadają w pamięć, szczególnie pięty. Kiedy w końcu odzyskałem głos, wycharczałem: - To jego łódka. Moje stwierdzenie nie zasługiwało na odpowiedź, toteż jej nie otrzymałem. Powolotku, oszołomiony jeszcze i drżący, przyjąłem pozycję siedzącą, po czym otarłem usta. Nawet przy skąpym blasku księżyca, z jednym tylko okiem funkcjonującym prawidłowo, dostrzegłem skuloną pozycję mej towarzyszy i zimną bledość pod jej czarną skórą. - Ciężko jesteś ranna? - spytałam. - Złamane żebro - odrzekła cicho wskazując na lewy bok. - Być może dwa. Szum rzeki niemal zagłuszył jej słowa. Opanowana, niezdolna Żeglarka Lal rozwiła się jak dym; skoro już spoczywałem bezpiecznie na pokładzie, pozwoliła sobie na doznawanie bólu. Jej szeroko otwarte oczy przestały mnie widzieć; wszystko wskazywało na to, że za moment zemdleje, oddając problematyczny korab pod równie problematyczne dowództwo kapitana Soukyana, który nie dalej jak przed minutą tonął wraz z okrętem. Ująłem Lal delikatnie za ramiona i nachyliwszy się do niej spytałem: - Jak to się zatrzymuje? Byłbym za tym, żebyś skierowała tę łajbę do brzegu. Musiałem kilkakrotnie powtórzyć swoje słowa, zanim gwałtownie potrząsnęła głową, jakby chciała się otrząsnąć z zamroczenia, a następnie położyła moją lewą rękę na rumplu. - Pchaj - wyszeptła. Potem wcisnęła mi do prawej ręki linki przytwierdzone do małego żagielka i wykrztusiła ostatkiem sił: - Ciągnij - po czym straciła przytomność i obwisła mi w ramionach tak niespodziewanie, że martwy ciężar jej ciałaomal nie ściągnął nas obojga do wody. Chwyciłem się masztu, by uchronić ją i siebie od wypadnięcia za burtę. Nawet w panujących na rzece ciemnościach wargi Lal bieleły siną barwą. Jej serce tłukło się jak oszalałe,

natomiast oddech miała zbyt wolny i nieregularny, odetchnąłem jednak z ulgą nie dosłuchawszy się w nim rżenia, które kazałoby podejrzewać przebite płuco. Oparłem nieprzytomną jak najdelikatniej o podstawę masztu, a tymczasem przekłeta łajba okręcała się jak pies za własnym ogonem, ów zaś drąg, którego nazwy zawsze zapominam... bom, choć pasowało by doń lepiej: bum!... przelatywał nad pokładem, próbując mnie zabić, nie mogłem bowiem jednocześnie zajmować się Lal i pchać jedno, a ciągnąć drugie. Nie cierpię żaglówek! Dziś wiem na ich temat trochę więcej niż wtedy, a mimo to nadal serdecznie ich nie znoszę. Kiedy udało mi jednak wreszcie zasiać do żeglowania, zrozumiałem, że Lal udzieliła mi najkrótszej z możliwych lekcji kursu na sternika morskiego, dzięki czemu mogłem zwracać naszą jednostkę pływającą w kierunku mniej więcej przeze mnie pożądanym. Pchało się rumpel w jedną stronę - w moim przypadku jak najmocniej w lewo, żeby żagłówka skręciła ku prawemu brzegowi rzeki - a potem ciągnęło się linki w przeciwną, co teoretycznie powinno wydać żagiel i nadać łodzi zamierzony kierunek. Lecz jeśli wiatr nie dmucha ci prosto w plecy, a ty nie potrafisz wykorzystać tych bocznych powiewów, jakie masz do dyspozycji - obie te okoliczności odnosiły się zaś do mojego położenia - wówczas żagiel obwisa oczywiście i flaczeje, a cep zwany bomem z rozmachem roztrzaskuje ci czaszkę. Mimo takich przeciwności udało mi się w końcu sprawić - pchając, ciągnąc, klnąc, przymilając się żagłowce i nurkując pod bomem - że łódka pożegłowała posłusznie do brzegu, gdzie wryła się spiczastym dziobem między splątane korzenie jakiegoś drzewa. Przywiązałem ją i wyniosłem na brzeg moją nieprzytomną towarzyszkę. Nawet nie drgnęła, kiedy ją rozbierałem, by się przekonać, jak rozległych doznała obrażeń. Od razu wymacałem złamane żebro - chwała bogom tylko jedno - poza tym wydawało się, że nie odniosła groźniejszych ran. Wiedziałem oczywiście, iż jest inaczej, dziwny jednak, wręcz niesamowity wydał mi się widok ciała Lal nie noszącego śladu jakichkolwiek urazów; podobnie jak nie nosiło ich moje własne. Kiedy wszakże dotknąłem prawego boku mej towarzyszki, poczułem, że jest rozpalony, zaś Lal wzdrygnęła się i zajęczała; nie ocknęła się jednak. Naszych bagaży na łodzi nie znalazłem. Znam się co prawda nieco na ziołach i prostych lekach, lecz nie w ciemnościach nocy, a do tego w nie znanym mi kraju. W luku na dziobie odkryłem zapasowy żagiel. Pociąłem go na pasy, po czym złożyłem jak umiałem złamane żebro i owinąłem ranę. Następnie wlałem jej do ust trochę wody, zdjąłem przemoczone ubranie, położyłem się obok mojej nieprzytomnej towarzyszki i przykryłem nas oboje resztką żagla. Przez całą noc trzymałem Lal w objęciach, żeby ją ogrzać, a i siebie przy okazji. Nie sądziłem, że uda mi się zasnąć, a jednak zasnąłem - i to mocnym, kamiennym snem. Lal prawie się przez noc nie

poruszyła. Kiedy się obudziłem, oddychała chyba bardziej miarowo, lecz jej ciało pozostało nienormalnie zimne, a sina barwa ust rozlała się na całą twarz i szyję. Moje lewe oko odzyskało wzrok, przesłaniała mi go tylko leciutka mgielka; jeden z ciosów, których nawet nie zauważyłem, musiał sparaliżować nerw. Czułem się jeszcze mocno obolały, wiedziałem jednak, że ból wkrótce minie. Wstałem i rozejrzałem się wokół siebie. Przede mną, oblana delikatnym czerwonym blaskiem górskiego świtu, płynęła Susathi - jeszcze nie szczyrzyła kłów, ale i nie była tą potulną rzeką, jaką ją wczoraj pierwszy raz ujrzałem - w którąkolwiek zaś spojrziałem stronę, wszędzie widziałem tylko skały, bładą ścierń i rozrzucone tu i ówdzie drzewa-kpiarze. Widok mało zachęcający, niezaprzeczalnie, lecz każdy krajobraz z rzeką zawiera w sobie nadzieję. Na powrót przykryłem Lal żaglem i nagi pokuśtykałem nad wodę, żeby zakrzętnąć się koło śniadania. Ryby z tych górskich rzek trzymają się zwykle z dala od brzegów z uwagi na polujące na nie sheknathy. By je przywołać, należy pstrykać pod wodą palcami - jeśli się to robi prawidłowo, używając drugiego, a nie pierwszego stawu, drgania tak wywołane są dla ryb z jakiegoś powodu nieodparcie kuszące - a następnie dopóty łaskotać je wolno pod brzuchem, dopóki praktycznie nie zasną ci w dłoni. Moja siostra nauczyła mnie tej sztuczki. Przywabienie dwóch ryb odpowiednich rozmiarów wymagało czasu - spędzonego z pożytkiem, jak się okazało - mimo to Lal wciąż spała, kiedy do niej wróciłem. Ponieważ zgubiłem nóż, oczyściłem ryby mieczem mej towarzyszki, a potem upiekłem je nad ogniem rozpalonym na wyrzuconych przez rzekę patkach, kruchym i przejrzystym jak nieopierzone pisklą. Nęcący zapach przez dłuższy czas nie budził Lal, lecz gdy zaczął mnie już ogarniać prawdziwy lęk, uniosła powieki i wymamrotała: - Zgubiłam biały pieprz, przepraszam. Była zbyt obolała, by móc usiąść, a cóż dopiero przysunąć się do ogniska. Nakarmiłem ją, choć zjadła tylko odrobinę, zapadając co chwila w drzemkę, z której ją bezlitośnie budziłem, a potem dałem jej się jeszcze napić wody. Kiedy zasnęła po takim śniadaniu, zabezpieczyłem ognisko, pożyczyłem sobie jej miecz i wróciłem nad rzekę. Łowiąc ryby zauważyłem o kilka stóp od miejsca, w którym przywiązałem łódkę, kilka głazów z szarymi smugami porostów, co wyglądało tak, jakby od środka gniły. Porosty te, zwane na północy fasska-zascrin, jak mi się zdaje, na wschodnim pogórzu - występują wyłącznie wysoko w górach, lecz nigdy w obfitości. Oskrobawszy do czysta głazy zebrałem ich tylko garstkę. Fasska nie wolno zgniatać, ponieważ tracą wówczas swe właściwości; jeśli zaczynają śmierdzieć w sposób możliwy do zniesienia, to znaczy, że już się zniszczyły te mchy. Zaniósłem je bardzo ostrożnie zawinięte w moją koszulę, która zaczynała już schnąć - słońce wyrwało się bowiem nareszcie z pułapki górskich szczytów - z powrotem do

ogniska i zacząłem się rozglądać za jakimś naczyniem, w którym mógłbym zagotować wodę. Nasze przybory kuchenne zostały w tobołkach, gdziekolwiek się one obecnie znajdowały. Powiodło mi się w końcu, znalazłem bowiem pęknięte jajo tharakki, prawie połowę skorupki, wielkości moich złożonych dłoni. Sporządziwszy zabawną konstrukcję z patyków, mającą utrzymywać jajo nad ogniem, napełniłem je do połowy wodą, modląc się, by zechciała w ogóle się zagotować na tej wysokości. Lal budziła się kilka razy i milcząc zwracała na mnie oczy, które wydawały mi się za duże i zbyt sucho błyszczą. Ani na chwilę nie przestawałem do niej mówić, niezależnie od tego, czy oczy miała otwarte czy zamknięte. - Czy o n karmił cię kiedyś tą ohydłą breją? Smakuje jak brud spod paznokci, ale działa skutecznie, jeżeli duch człowieka oberwał takie same cięgi jak jego ciało i muszą zdrowieć jednocześnie lub nie wyzdrowieją wcale. Nasz mistrz uraczył mnie tą papką zaraz pierwszego dnia, ledwo się u niego zjawiłem, więc cud prawdziwy, że z miejsca od niego nie drapnąłem, kiedy mogłem się już utrzymać na nogach. Sporządził ją dla mnie potem tylko raz. Widziałaś tę bliznę na moich plecach? Skalny targ przegryzł mnie kiedyś prawie na pół i zabierał się właśnie do konsumpcji, kiedy udało mi się wpakować mu strzałę. Nim to się jednak stało, zdążyłem się nawrzeszczyć jak obdzierany ze skóry, pomodlić, zmoczyć i narobić w portki, owładnięty strachem tak obmierzłym, że samo zacerowanie mojej cielesnej powłoki nic by już nie dało. Gdyby nasz mistrz nie wlał mi wtedy do gardła takiej ilości fasska, że można by nią splukać rynek w Corcorui, byłbym pewnie do dzisiejszego dnia gapił się tępo w sufit jego chaty. To paskudztwo działa cuda, jeśli tylko uda się człowiekowi nie wyrzygać. Lal milczała. Kiedy woda w skorupie jaja wreszcie się zagotowała, zanurzyłem w niej zdrapane ze skał porosty i przykryłem je szerokim liściem, żeby zapobiec ucieczce ciepła. Fasska powinno się parzyć właściwie bez końca, a przynajmniej dotąd, aż już naprawdę nie można ani chwili dłużej wytrzymać ich smrodu. Kiedy napor ostygnie, najlepiej dodać dwa suszone liście kirrichanu, co podnosi nieco walory smakowe tego medykamentu, choć nie zmienia jego srebrzystoszarej jak śluz ślimaka barwy, czyniąc go tylko odrobinę odeń smaczniejszym; my odczuwaliśmy jednak brak tych dodatków równie dotkliwy jak wszystkiego innego, z wyjątkiem ryb. Trudna rada, Lal będzie musiała wypić swoje lekarstwo na surowo. Co dziwne, i niepokojące zarazem, nie stawiała żadnego oporu, gdy ją posadziłem i zacząłem jej wlewać tę breję do ust. Oczekiwałem, że ją wypluje - gdzieś w bok, jeśli będzie mi nadal dopisywało szczęście. Spodziewałem się wściekłych warknięć, przekleństw, kopnięć w golenie tymi twardymi jak róg stopami. Tymczasem Lal grzecznie przełykała fasska, a jej protest ograniczał się do kaszlnięcia od czasu do czasu; gdyby nie lekkie skrzywienie warg można by

sądzić, że popija mrożoną herbatę z winorośli lub czerwone piwo. Wypiwszy lekarstwo do dna, na powrót zamknęła oczy, opadła na plecy i aż do wieczora nie dawała znaku życia. Obmyłem ją i oporządziłem jak należy, po czym sam wykapałem się w rzece, zdrzemnąłem trochę, złowiłem jeszcze kilka ryb a następnie poddałem bacznym oględzinom naszą jedyną ruchomość - żaglówkę. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej łodzi; prawdę mówiąc przypominała raczej latawiec niż korab. Nie mogła mieć więcej jak dwanaście stóp długości, a szerokości w najszerszym miejscu zaledwie tyle, ile ja mierzę wzrostu; składała się zaś wyłącznie z okrągłych i spłaszczonych rurek dopasowanych tak ściśle, że nie widziało się niemal dzielących je szczelin. Niektóre z owych patyczków, na przykład maszt, wykonano z jakiegoś gatunku pustej w środku trzciny i wiele trzeba ich było wsunąć jeden w drugi, by się zmieściły w podróznym tobołku. Nie znałem dotąd drewna tak lekkiego jak to; żagle przypominały jedwab, ale nie były z jedwabiu. Dwóch mężczyzn mogłoby bez trudu podnieść tę konstrukcję z wody, choć przeznaczono ją najwyraźniej dla jednego tylko, acz śmiertelnie groźnego, pasażera. Pojęcia nie miałem, w jaki sposób udało się Lal złożyć ją bez niczyjej pomocy, nie potrafiłem sobie także wyobrazić naszego dalszego wojażu w dół rzeki, nie wiadomo przecież jak długiego, na tak bajecznie kruchej miniaturowej łodzi. Słońce kryło się już za góry i powiał ostrzejszy wiatr - na wyżynach noc wcześniej zapada - a ja wciąż łamałem sobie nad tym głowę. Powiedziałem, że ranna ani drgnęła przez cały dzień, chyba że poruszona moimi rękami, ani przed, ani po wypiciu fasska. Kiedy kładłem się obok Lal drugiej nocy, w jej stanie nie zaszła istotniejsza zmiana: serce biło miarowo, oddychała dość równo, ale temperatura ciała wyraźnie spadła. Regularny puls kłamał: jej organizm słabł i nic już na to nie mogłem poradzić, skoro nie poradził napar ze skalnych porostów. Skórę miała suchą niczym chitynka owada i zalaływało od niej, jakby z daleka, słodkawą wonią, która przeraziła mnie bardziej jeszcze niż chłód ciała mojej towarzyszki. Tak mogłoby pachnieć wspomnienie czyjegoś dzieciństwa albo czyjeś sny o życiu po śmierci. Samotnica Lal, Żeglarka Lal pachniała zupełnie inaczej. Obudziła mnie w jakiś czas po północy przewracając się niespokojnie i mamrocząc w języku jej rozwlekłych ojczystych pieśni. Jej głos nabierał siły; początkowo dźwięczał w nim strach, potem wzbierał gniew, aż w końcu zaczęła się z wysadzonymi oczami szarpać w moich ramionach. Starłem się ją przytrzymać delikatnie, choć najmocniej jak mogłem, bojąc się, że jeśli ją puszcze może któremuś z nas zrobić krzywdę. Mimo to zdołała mi paznokciami poharatać twarz, a sobie do krwi pokąsała usta krzycząc coś do kogoś, kogo imię słyszałem po raz pierwszy. To jednak była fraszka w porównaniu z nowym, niesamowitym zapachem jej ciała, równie nieznośnie słodkim, jak odór fasska był odrażający.

Później uderzyły na nią poty. Sucha gorączka nagle ustąpiła i Lal spłynęła normalnym ludzkim potem; dosłownie nim ociekała, dysząc i pochlipując niczym noworodek, z odrzuconą do tyłu głową, jakby kąpała się pod wodospadem. Napar podziałał, powrócił normalny zapach jej ciała, ostry i cierpki, niemal gorzki, w każdym razie jej własny - i oto Lal była znowu sobą, gdy wysliznąwszy się z moich zwilgotniałych objęć usiadła i stwierdziła drżącym głosem: - Mój miecz cuchnie rybimi flakami! Położyłem go przy właścicielce, niczym ulubioną zabawkę, aby znalazła go po obudzeniu u swego boku. Obecnie, nie wierząc własnym oczom, patrzyłem, jak moja towarzyszka po raz drugi obwąchuje klingę, krzywi się, dotyka kciukiem ostrza, w następnej zaś chwili - naga, trzęsąca się i z trudem trzymająca prosto - napada na mnie z wściekłością: - Coś ty nim robił? Czy zdajesz sobie sprawę, przekłety głupcze, że mi go zniszczyłeś?! Niech cię szlag trafi, Soukyan, zniszczyłeś mój miecz! Wyjąłem go z rąk Lal (niewątpliwie wracały jej siły, poznałem to po oporze, na jaki natrafiłem) i owinałem ją żaglem, żeby się nie przeziębila. Wyrwała się przeklinając, mimo to zmusiłem ją, żeby się położyła, a sam usiadłem obok i wyjaśniłem: - Potrzebny mi był nóż, a innym ostrzem nie dysponujemy. - Ostrzem? Ostrzem? Czy wiesz, ile czasu mi zajęło, zanim wywecowałam ten miecz jak należy? Już nigdy nie zdołam naostrzyć go jak trzeba! Co cię opętało? Coś ty nim robił, rąbałeś drwa do pieca? Choć była jeszcze słaba - kiedy ją położyłem, z trudem dźwigała głowę, żeby na mnie pomstować, a głos łamał jej się i co chwila zanikał - nigdy nie widziałem jej bardziej rozwścieczonej. - Marinesha by tak nie postąpiła! Shadry by tak nie postąpił! - Shadry i Marinesha nie musieli cię karmić i kurować - broniłem się. - Chwytałem, co było pod ręką. Gdybyś nie porzuciła naszych tobołków... - Musiałam zabić człowieka i zbudować łódź, żeby móc uratować to twoje głupie, bezsensowne życie! Ta cholerna tratwa mogła się lada chwila zapalić i zatonać! Nie wiedziałam nawet, czy w ogóle jeszcze żyjesz, a miałam tracić czas na zbieranie jakichś zasranych tobołków? Ten drań wciąż powtarzał: "Pali się już, pali". Głos jej się co prawda nie załamał i w oczach nie stanęły łzy, ale ja poczułem się tak dziwnie, jak wtedy, gdy nazwała mnie po raz pierwszy moim prawdziwym imieniem. Była na mnie wściekła jak sto diabłów i wyglądała na jedenaście lat. Opowiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło od momentu, gdy wyciągnęła mnie z rzeki. Słuchała w milczeniu, ani na chwilę nie odrywając wzroku od mojej twarzy. Co prawda przestała się już pocić, ale włosy miała nadal pozlepiane i tak mokre, że krople kapały z jej małych uszu, ja zaś po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jak bardzo schudła w ciągu tych raptem dwóch dni. Kiedy skończyłem, wpatrywała się we mnie jeszcze chwilę, po czym pokiwała głową i westchnęła cicho. - No cóż - szepnęła. - Dziękuję. -

Nic z tego nie pamiętasz? - spytałem. - Nawet fasska? Nie wierzę, żeby ktoś, kto pił fasska, mógł o tym kiedykolwiek zapomnieć. - Nic a nic - odrzekła zgaszonym głosem - i wcale mi się to nie podoba. - Znowu na jakiś czas zamilkła, po czym uśmiechnęła się; tym razem wyglądała na góra piętnaście lat. - Cokolwiek mi podałeś, lekarstwo okazało się skuteczne. Nie wiem, czy uratowało mi życie, ale sprowadziło mnie z powrotem... - zawiesiła głos - z miejsca, dokąd, jak się obawiam, nie dotarłaby nawet śpiewka ogrodnika... Dziękuję, Soukyan. - Ja także ci dziękuję, Lalkhamsinkhamsolal - odrzekłem. - A teraz już śpij. Wytarłem jej moją koszulą twarz i całe ciało, a Lal zasnęła, zanim skończyłem, tak mi się przynajmniej zdawało. Kiedy jednak położyłem się obok i objąłem ją ramieniem, jakbyśmy od lat dzielili poślanie, niczym starzy towarzysze broni, wymamrotała półsennie: - Jutro ruszamy w dół rzeki. - Wykluczone - szepnąłem jej do ucha. - Nie dowlokłabyś się nawet do łódki. W odpowiedzi usłyszałem chrapanie lekkie jak koronkowa chusteczka. Przez chwilę wsłuchiwałem się jeszcze w szmer wody i przyglądałem gwiazdom znikającym za ramieniem Lal. Pokłóciliśmy się na czczo, jeszcze przed śniadaniem. Lal najzupełniej poważnie obstawała przy natychmiastowym podjęciu podróży, tak że musiałem ją niemal obezwładnić siłą, żeby zechciała choć wysłuchać kontrpropozycji. Niełatwo ją zresztą było wysunąć: nigdy nie znałem nikogo, mężczyzny ani kobiety, odznaczającego się żywotnością Lal. Z jednym zębem pękniętym, stłuczonymi mięśniami drugiego, praktycznie bezwładnym lewym ramieniem, z prawym udem tak obolałym, że nie mogła go dotknąć bez syknięcia, resztą zaś ciała niemal płaczącą ze współczucia nad wszystkimi pokancerowanymi członkami - wcześniej ode mnie zerwała się rano na nogi, żeby poddać oględzinom łódź i spróbować naostrzyć miecz na różnych rodzajach skał. O stępie ostrza również wybuchła między nami sprzeczka. W końcu osiągnęliśmy ugodę, w której zawarciu pomogły chyba tylko zawroty głowy, jakich Lal przez chwilę doświadczała. Jeśli będzie wiatr i dobra pogoda, wyruszymy w drogę nazajutrz o świcie; moja towarzyszka zgodziła się ponadto nosić jeszcze przez jakiś czas opatrunek z żagla na potłuczonych żebrach. Ja zobowiązałem się ze swej strony nie okazywać jej specjalnych względów, traktować jak przez całą drogę z Corcorui i ani razu, ale to ani razu, nie zapytać, jak się czuje. Osiągnąwszy to porozumienie spędziliśmy resztę dnia na łowieniu ryb, drzemce i pogawędkach, dzieląc się z niejakim zawstydzeniem uwagami na temat owego trzeciego mordercy, który nas tak upokorzył, i układając plany napaści na dom Arshadina, z góry zresztą skazanej na niepowodzenie. Chciałbym, żebyś mnie dobrze zrozumiał. Lal i ja posiadaliśmy do spółki doświadczenie większe niż wszyscy niezwykli wojownicy, jacy kiedykolwiek toczyli boje na jeszcze

niezwyklejszych terenach. Żadne z nas nie żywiło jednak najmniejszych nawet złudzeń, że uda nam się pokonać czarownika tak potężnego, iż zdołał zmusić naszego mistrza do sromotnej ucieczki. Było tak, jak powiedziałem Rossethowi: mogliśmy w najlepszym razie odwrócić uwagę owego potężnego czarnoksiężnika, nic ponadto, ufając, że Chichotek zdoła uczynić użytek z tej chwili wytchnienia, o jaką się dlań postaramy. Pod warunkiem, oczywiście, że Arshadin zechce łaskawie w ogóle dostrzec nasz atak. Pewna część zdobytego przez nas doświadczenia polegała właśnie na umiejętności wyczuwania, kiedy ściągnęło się na siebie uwagę istot takich jak czarnoksiężnicy, tymczasem ja wcale nie miałem wrażenia, iżby ktoś nas obserwował, czy to gdy kąpaliśmy się w rzece, czy to gdy w południe suszyliśmy się na słońcu, czy to gdy gawędziliśmy o nadchodzących dniach. Co, nawiasem mówiąc, pozwoli ci wyrobić sobie trafną opinię na temat wartości wszelkiego doświadczenia. - Nigdy nie rościłem sobie pretensji do tytułu żeglarza - oznałm Lal - mimo to nie zaufałbym łódce, która mieści się w podróznym tobołku. Nawet ja potrafię dostrzec, że coś tu nie gra. - Jest cudowna! - uniosła się zachwytem moja towarzyszka. - Skończenie piękna konstrukcja! Życzyłabym sobie, byś wiedział coś więcej o łodziach bądź o swych dawnych kolegach w wierze, przydałoby się zresztą i jedno, i drugie. Byłam tak pochłonięta składaniem tej żaglówki, że prawie zapomniałam o własnych ranach, a nawet o tym, że znajdujesz się w niebezpieczeństwie. Obiecuję ci w każdym razie, że łódeczka nie zatonie pod nami. Prawdę mówiąc wątpię, czy w ogóle jest zatapiałna. Zdziwiająca konstrukcja! Była tak zachwycona tą przekłętą łajbą, jakbyśmy wypełnili już naszą misję i unicestwili Arshadina. Poczulem wyrzuty sumienia, że muszę przywołać Lal do rzeczywistości, a jednocześnie złość, iż czuję się z jej powodu winny, burknąłem więc: - Przydałoby się, żeby nas jeszcze bardziej zdziwiła. Przydałoby się, żeby umiała strzelać z łuku, drapać się na mury, zabijać skalne targi, nishori oraz czarowników, uszyć ubrania, polować na drobną zwierzynę i znać się na lekach. Tak się bowiem składa, że cały nasz ekwipunek, łącznie z orężem, pozostał gdzieś w górze rzeki pod strażą nieboszczyka. Liczyć możemy, wedle mego zdania, tylko na to, że Arshadin ryknie na nasz widok ogromnym śmiechem, od którego pęknie. Takie rzeczy się zdarzają, jak słyszałem. Oczekiwałem, że Lal znów ofuknie mnie za takie gadanie, tymczasem zachowała niewzruszony spokój, wydawała się nawet z lekka rozbawiona. - Wystarczy, gdy go rozdrażnimy - oświadczyła - a jeśli nie potrafimy zaleźć przeciwnikowi za skórę mając do dyspozycji wyłącznie paznokcie, to znaczy że pora się wycofać z rycerskiego rzemiosła i poprowadzić z Karshem oberżę "Pod Tasakiem i Ościeniem". A teraz pomóż mi zdjąć ten żagiel, spróbuję zmienić takielunek. Przy pracy zaczęła nucić te swoje monotonne,

pozbawione melodii pieśni. Obecnie słuchałem ich jednak niemal z przyjemnością. Kiedy w nocy wydawało mi się, że już zasnęła, odwróciła się nagle i przytuliła do mnie tak mocno, jak tylko pozwalało jej na to jedno zdrowe ramię. Nawet owej pamiętnej nocy w gospodzie nie obejmowała mnie w taki sposób. Pogłaskałem ją niezgrabnie po włosach i szczerzej otuliłem żaglem. - Co się stało? - spytałem. - Źle się czujesz? - Potem przypomniałem sobie, że miałem nie zadawać tego pytania, więc dodałem szybko: - Nie chciałem cię niepokoić mroczną oceną naszych szans. Nie bój się, zgładzimy Arshadina podobnie jak zgładziliśmy tego siepacza. To z kolei zabrzmiało głupio i protekcyjnie, bo takim zresztą w istocie było, aż zawstydzony umilkłem. Lal nie odpowiedziała; jeszcze przez chwilę przytulała się do mnie, po czym odwróciła się nagle i zaraz zasnęła, a ja jeszcze długo czułem jej rękę na plecach. Rankiem nie mieliśmy przynajmniej kłopotów z załadowaniem naszej kieszonkowej łódeczki. Na pokładzie znajdowaliśmy się tylko my dwoje, jeden stępiony miecz oraz tyle ryb, ile ich Lal zdążyła w ciągu ostatnich dwóch dni uwędzić. Moja towarzyszka wciągnęła żagiel, a ja odepchnąłem łódkę od brzegu i spiesznie wskoczyłem na pokład, chwytając się masztu i zdrowej kostki Lal. Na ochotnika byłbym skłonny wejść do wody najwyżej do pasa. Możesz sobie z łatwością wyobrazić, że nie czułem się jak u siebie w domu na tym ciasnym, śliskim pokładzie, w każdym razie nie w ciągu owych trzech dni, kiedy stanowił on cały mój świat. Bałem się wstawać, a gdy już koniecznie musiałem, bojaźliwie czepiałem się masztu; z miejsca na miejsce przemieszczałem się najczęściej ślizgając się na pupie jak niemowlę. Kiedy przybijaliśmy do brzegu i rozkładaliśmy obóz, prześladowały mnie całą noc koszmarne sny o tonięciu. Wędzone ryby okazały się nie tylko łykowate i pozbawione smaku, ale na domiar złego wytwarzały mi w brzuchu gazy, więc do przerażenia dochodziły ponadto zakłopotanie, złość i nieustanny głód. Rola zbędnego bagażu była dla mnie całkiem nowym doświadczeniem, niemal równie irytującym i ambarasującym jak samo przebywanie na łodzi. A mimo to przechowuję tamte trzy dni we wdzięcznym wspomnieniu. Romantyczne? Bynajmniej. Jeśli obejmowałem w owym czasie Lal, to wyłącznie po to, by nie wpaść do Susathi bądź założyć świeży opatrunek po upraniu żagla. Nasza zażyłość, jakkolwiek całkowita, zmuszała nas do dyskrecji. Zapewnialiśmy sobie nawzajem tyle odosobnienia, ile dwoje ludzi uwięzionych na długiej na dwanaście stóp tratwę świadczyć sobie musi, odwracając się plecami, zanim padała o to prośba, i jakoś udawało się znaleźć miejsce na prywatność. Pamiętam, że jeden z tych dni upłynął nam prawie w całkowitym milczeniu, nie licząc tych kilku słów, jakie musieliśmy wymienić, gdy przyszła moja kolej na objęcie rumpla. (Była to, nawiasem mówiąc, niezwykle delikatna operacja, która

przyprawiała mnie zawsze o wielkie zdenerwowanie, tył łodzi okazał się bowiem zbyt wąski, byśmy się mogli oboje bezpiecznie zamieniać miejscami. Odkryliśmy prędko, że idzie nam to najsprawniej, gdy Lal zsuwa się do wody, pozwalając mi przejść, a potem z powrotem wciąga się na pokład. Bywało, że podczas owych przemieszczeń pływała przez jakiś czas za żaglówką trzymając się linki i pozwalając rzece obmywać rany.) Nie licząc więc tych niewielu zamienionych wówczas słów, jedynymi głosami, jakie do nas dochodziły, były ptasie śpiewy, a czasem szum marszczącej powierzchni wody wiatru. Nasza łódka, zbudowana z myślą o bezszelestnym podróżowaniu, sunęła z nurtem rzeki niczym cień tych przelotnych porywistych powiewów. Tej samej jednak nocy Lal zerwała się ze snu z okrzykiem przerażenia, spowodowanym jednym z jej sennych koszmarów, co nie zdarzyło się od dnia opuszczenia przez nas gospody "Pod Tasakiem i Ościeniem". Szybko się uspokoiła, ale ponieważ bała się zasnąć ponownie, przegadaliśmy resztę nocy leżąc przytuleni przy ogniu, nie za dużym, by nie można go dojrzeć z daleka, i o wiele za małym, by nas ogrzewać. O czym to rozmawialiśmy w ciemności, dwoje zmaltretowanych, wytrawnych i starzejących się włóczęgów? Głównie o przeszłości, o dzieciństwie przede wszystkim. Lal ma dwóch braci, starszego i młodszego, których nie widziała od czasu, gdy ją, jako dwunastoletnią dziewczynkę, zabrano z domu. Ja miałem starszą siostrę, którą bardzo kochałem, najbardziej na świecie - zmarła, ponieważ jej ukochany okazał się nieczułym głupcem, który z kolei nikogo nie kochał. Był pierwszym człowiekiem, jakiego zabiłem. Miałem wtedy również dwanaście lat. Lal opowiadała mi o swoich przyjaciółkach i towarzyszkach zabaw. Wszystkie świetnie pamiętała, nawet jak się ubierały i w co najchętniej bawiły. Ja takich towarzyszy nie miałem, nie licząc siostry, choć zdarzyło mi się raz poznać pewnego drwala. Musiał być podówczas w sile wieku: wieśniak z południa, niewykształcony, zabobonny, bezgranicznie uczciwy, we władzy skostniałych lęków i zwyczajów. Jednak zawsze, ilekroć zdarzyło nam się spotkać w lesie, dzielił się ze mną posiłkiem i opowiadał mi nie kończące się historie o drzewach i zwierzętach; a kiedy krewni człowieka, którego zabiłem, mnie ścigali, ukrył mnie u siebie, tamtym zaś skłamał, że mnie nie ma, choć wiedział, że spaliliby nas obu w chacie, gdyby mnie odkryli. Uciekłem stamtąd zaraz następnego dnia, żeby nie narażać go dłużej na niebezpieczeństwo, i nigdy go już później nie spotkałem. Co rano po przebudzeniu wymawiam jednak ze złości jego imię. Z rzeki dolatywały do nas pluski żerujących przy księżycu leelti. Są to smukłe, czarne ryby o pletwiastych kończynach przednich, którymi rozchlapują wodę i płoszą owady; zdarza się nawet czasem, że płoszą nieopierzone pisklęta w gniazdach. - Opowiedz mi o swoich rodzicach - poprosiła moja

towarzyszka. - Sprzedali moją siostrę - powiedziałem, a Lal objęła mnie ramieniem. Po chwili dodałem: - Będę ich nienawidził do końca moich dni. Muszę ci się pewnie wydawać potworem. Milczała długo, lecz nie cofnęła ramienia. W końcu odezwała się z wolna: - Powiem ci coś, czego nigdy nie mówiłam głośno, nawet samej sobie. Kiedy mnie wykradziono i sprzedano, byłam śmiertelnie przerażona, wpół obłąkana ze strachu. Jedynym punktem oparcia pozostawała dla mnie niewzruszona pewność, że moi rodzice wkrótce po mnie przybędą. Byłam przekonana, że gdy działą się ze mną... te wszystkie potworności... moją wspaniałą matkę i cudownego ojca dzieliły ode mnie tylko godziny, minuty drogi, że szukają mnie niestrudzenie i nie spoczną, póki nie wrócę bezpiecznie do domu i nie zostanę pomszczona. Ta wiara pozwoliła mi prawdopodobnie pozostać przy zdrowych zmysłach. Tak mi się zawsze zdawało. Ostatnie słowa ledwo zdołałem dosłyszeć. - Lecz nigdy cię nie znaleźli - stwierdziłem. - Nigdy mnie nie znaleźli - zaszeptala mi przy uchu. - Niech ich piorun strzeli, niech ich jasny szlag trafi, nigdy mnie nie znaleźli! Żar jej słów niemal mnie oparzył. - Oni cię cały czas szukali - zapewniłem. - Szukali cię wszędzie. Jestem tego pewien. - Mogli się lepiej starać! Odwróciła ode mnie głowę i zdusiła w żaglu przeciągły skowyt, kłapiąc płótno i zgrzytając zębami jak oszalałe zwierzę w potrzasku, zdecydowane odgryźć sobie łapę, byle mnie boleśnie, toteż jej wargi smakowały kurzem, łzami, moją krwią i oboma naszymi ciałami, które od pięciu nocy spoczywały pod jednym żaglem. Mimo to zaczęliśmy się kochać z wielką delikatnością, co okazało się zresztą niezbędne, ponieważ obolała Lal nie zniosłaby mojego ciężaru, a jej ramiona i nogi nie byłyby w stanie objąć mnie tak, jakby pragnęła. Z tego też powodu kochaliśmy się długo, pomrukując cicho z podniecenia; gdy zaś skończyliśmy, Lal stwierdziła: - Rzeka będzie jutro niespokojna. - Po czym leżąc na mnie zasnęła z nosem przy moim lewym uchu; w tej pozycji zasnęłam i ja. Nazajutrz wyruszyliśmy w drogę o dość późnej porze. Trzy mile dalej w dół rzeki woda zaczęła się burzyć. Moją uwagę zwrócił najpierw wiatr: wzrastał się stopniowo i wiał porywiście, nie figlował już kapryśnie jak dotychczas, Lal nie miała więc kłopotu z chwytaniem go w żagiel, z coraz większym natomiast trudem panowała nad łodzią. Ów wiatr pachniał nawet trochę morzem. Susathi zaczęła się zwięzać już poprzedniego dnia, góry na obu brzegach piętrzyły się coraz wyżej nad naszymi głowami, a kanion się pogłębiał, tak że chcąc zobaczyć niebo, musieliśmy zadzierać głowy. Nie pokazały się jeszcze przed nami skały ani spienione bystrzyny, wyjąwszy na płycznach; łodzią zaczynało już jednak miotać, a gdy chwyciłem się masztu, wyczułem, jak pręży mi się w rękach. - Skąd wiedziałas? - zapytałam Lal. - Ryby mi powiedziały - odrzekła. - Te, które jedliśmy wczorajszego wieczoru. Ryby pływające we wzburzonej wodzie smakują

inaczej niż te, którymi się dotąd żywiliśmy. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale że tak jest - to fakt. Wpatrywałem się w nią dopóty, dopóki się nie roześmiała. - Rzeczywiście, to nieprawda, Soukyan - przyznała. - Prawdą jest natomiast, że byłam z tobą ostatniej nocy bardzo szczęśliwa. Takie szczęście jest dla mnie rzadkością i nie chcę do niego przywyknąć, ponieważ w ślad za nim postępują zazwyczaj kłopoty. To, co powiedziałam o rzece, powiedziałam po części dlatego, żeby nie zapeszyć. Rozumiesz? - Ja również byłem szczęśliwy - przyznałem. Chciałem powiedzieć coś jeszcze, ale w tej samej chwili żaglówka stanęła dęba, woda spod niej uciekła, w rufę grzmotnęła od tyłu fala i dziób łodzi poleciał w dół. Rozpląszyłem się na pokładzie i zamknąłem oczy. - Oho, zaczyna się robić ciekawie! - oceniła z niekłamana satysfakcją Lal. Istotnie, bardzo szybko zrobiło się ciekawie. Nasza łupinka miotła się i podskakiwała jak dżgana ostrogą; mając oczy zamknięte odnosiłem wrażenie, że wylatujemy nad wodę w najróżniejszych kierunkach, zdani całkowicie na los przypadku. Ilekroć jednak ośmielałem się odemknąć na chwilę powieki, okazywało się że jakimś cudem mkniemy wciąż z nurtem Susathi, równie niemal prosto jak przedtem, tyle że znacznie szybciej, fale zaś są w gruncie rzeczy względnie niewielkie, zważywszy na siłę, z jaką tłukły w łódź. Były jednak obecnie zupełnie białe, białe niczym lodowe kwiaty, śnieżnobiałe jak tłuszcz sangarti, którego rozplątał wielki sheknath, i sterczały z nich czarne ostre skały, obok których przelatywaliśmy tak blisko, że mogłem dostrzec zielone i czerwone brody porastających je wodorostów, falujące leniwie w rwącej kipieli. Ten pęd z prądem rzeki przypominał spadanie w dół długą pienistą gardzielą; starałem się nie myśleć o tym, do jakiego żołądka mieliśmy trafić u końca tej podróży. - To stara rzeka - zawołała do mnie w pewnej chwili Lal - dlatego pełna zasadzek. Stare, głębokie łóżysko z mnóstwem podstępnych bocznych prądów. Mamy szczęście, że nie jest wezbrana! Mogę z czystym sumieniem potwierdzić, że wszystkie opowieści, jakie krążą o Żeglarce Lal, są prawdziwe. Siedząc jak zwykle, ze skrzyżowanymi nogami, obryzgiwana strugami lodowatej piany, z tak obolałą szyją i barkami, że mogła patrzeć wyłącznie przed siebie, przewlekała naszą łódź przez te spienione wiry jak igłę przez fałdy jedwabiu. Czasem siedziała całkiem nieruchomo, nie poruszając ani ręką na rumplu, ani tą, w której trzymała linki, by w następnej chwili odchylić się lekko do tyłu albo kiwnąć palcem, jakby przywoływała ulubione zwierzątko, i łódź skręcała ostro w lewo, zawijała w prawo lub przemykała między dwiema skałami o zielonych dziąsłach; smaczny kąsek po raz kolejny wyslizgiwał się z paszczyki rzeki. Dziób naszej żaglówki co chwila znikał pod powierzchnią toni, a ja wraz z nim, na przemian topiony i wyciągany z wody niczym owe gałganki, jakie wioślarze na zachodzie przywiązują na szczęście

do piór wiosła. Wyznam ci jednak, że jedyny raz w życiu zaskoczyło mnie wtedy własne uniesienie i lepiej już rozumiem tych, którzy kochają żeglugę po wzburzonych wodach. Lal nigdy się jednak do tego nie przyznałem. Choć mistrz uprzedził nas, że dom Arshadina nie przypomina zamczyska, lecz prostą pasterską kleć, omal go nie przegapiliśmy. Naszą uwagę, jak wcześniej Lukassy, zwróciły na szczęście dharise: kilkanaście owych ptaków krążyło nad krytą strzechą chatą, a wszak wystarczy, żeby pojawił się gdzieś jeden na dwadzieścia lat, a jeszcze tego samego dnia przed zapadnięciem nocy wszyscy mieszkańcy opuszczają wioskę, porzucając pola, domy i cały dobytek. Nie potrafię wyjaśnić, dlaczego te małe szaroniebieskie, żywiące się rybami ptaszki o dość pospolitym ubarwieniu, jeśli nie liczyć biegnącej przez pierś ciemnoniebieskiej pręgi, do tego tak rzadkie, uchodzą we wszystkich znanych mi krajach za zwiastunów złego losu, nieszczęść i katastrof. Tu zaś cisnęły się jeden przez drugiego, by usiąść na parapetach okien domu Arshadina; na ten widok stężała mi twarz. Obejrzawszy się spostrzegłem, że moja towarzyszka robi w powietrzu jakiś znak lewą ręką; dziś wiem, iż miała odpędzić złe moce. Chętnie sam bym go wówczas nakreślił. Pchnęła rumpel z całej siły w lewo i wykrzyknęła do mnie: - Tak trzymaj! Nasza łódeczka skręciła ostro w stronę brzegu pod prąd i przeciwny wiatr. Naparłem na rumpel, podczas gdy Lal mocowała się z żaglem, który ni stąd, ni zowąd wydał się nienaturalnie wyszarpując linki z jej rąk. Bom przeleciał nad pokładem, wyrznął mnie w ramię, bo nie zdążyłem pod nim zanurkować, i zmiotł za burtę. Lecąc do wody usłyszałem krzyk Lal, ale jej słowa zagłuszyły świdrujące piski dharise, których chmara krążyła nad nami z furkotem. W następnej chwili przewróciła się łódź; maszt upadł na wodę tuż obok mej głowy, jeszcze zanim zacząłem tonać, po czym wydrążone, doskonale dopasowane elementy rozdzieliły się i pomknęły każdy osobno z prądem rzeki. Biedna łupinka! Przysięgam ci, że tak o niej wtedy pomyślałem. Jeszcze jedna myśl przemknęła mi wówczas przez głowę: Lal nie zdoła mnie tym razem uratować, nie było bowiem żadnych widoków na to, by udało jej się odszukać mą osobę w tej kipiącej gardzieli. Miałem jedynie nadzieję, że zachowała dość sił, by siebie samą ocalić. Rzeka porwała mnie i poczęła ciskać od skały do skały; próbowałem się ich czepiać, ale bezskutecznie, porastający kamienie mech był bowiem za śliski, a prąd wody zbyt rwący. Prosiłem w duchu (nigdy się nie modłę) o łaskę utonięcia, zanim zostanę ukamienowany. Usiłowałem powtarzać słowa, jakie godzi się wypowiadać przed śmiercią, ale rzeka wtłoczyła mi je z powrotem do gardła i wciągnęła mnie w swą toń. Po jakimś czasie tonięcie przestało być bolesne. Miałem wrażenie jakbym zasypiał, oddalając się z wolna od samego siebie w stronę wiecznego spoczynku. A potem dotknąłem stopą dna... Jeśli chcesz, żebym opowiadał dalej,

siedź cicho i spróbuj wyobrazić sobie, jak czuje się człowiek mający niezbitą pewność, że jego ciało kłamie, gdy mu oznajmia: “żyjesz”. Zapewniam cię, że stojąc tam, na twardym gruncie i patrząc, jak woda opada mi do piersi, potem do pasa, wreszcie do kolan, byłem święcie przekonany, że już umarłem. W klasztorze zabraniano nam surowo snuć spekulacje na temat życia pozagrobowego (zakaz egzekwowano siłą), gdy się jednak wtedy odwróciłem i o kilkadziesiąt kroków od siebie ujrzałem Lal stojącą w górze rzeki, na powiększającej się mulistej wysepce, a między nami jedynie wąski strumyczek, który z łatwością przekroczyłoby dziecko, cóż innego mogłem sobie pomyśleć jak nie to, co pomyślałem, a mianowicie: A więc tak wyglądają zaświaty, odchodzimy u boku przyjaciół w rzeczywistość tworzoną na nowo, coraz młodszą z każdym stawianym przez nas krokiem? Niewykluczone zresztą, że tak właśnie po śmierci będzie, choć podobnie jak ty mam nadzieję się tego nigdy nie dowiedzieć. Rzeka nie rozstała się przed nami jak rzeki w dawnych opowieściach - a raczej jak wierny pies, skarcony przez pana za przyniesienie do domu okrwawionej i jeszcze żywej zdobyczy, cofnęła się i skuliła pod przeciwległym brzegiem, udając, że w ogóle się nami nie interesuje. Słuchaj, dobrze wiem, że rzeki tak się nie zachowują i żaden z czarowników, o jakich słyszałeś, nie może ich do tego zmusić. Zgadzam się z tobą całkowicie i bez zastrzeżeń, przyjacielu. Opowiadam ci po prostu, co się wydarzyło. Idźmy więc dalej. Poczłapałem przez błoto, stanąłem obok Lal i gapiliśmy się oboje na daleki brzeg, wzdłuż którego skuliła się rzeka, nie wypełniając nawet połowy koryta. Podejrzewam, że w ogóle przestała płynąć; na bieżącej wodzie słońce migocze wszak i połyskuje, to zaś, na co patrzyliśmy, było cichą, martwą zielonobrunatną masą, która mogła być wodą, lecz równie dobrze ziemią. Nie bałem się, kiedy sądziłem, że tonę - przestraszyłem się, a nawet przeraziłem, dopiero na widok tego wybryku natury. Staliśmy oboje z Lal, przemoczeni, drżący i wyczerpani, po kostki w kamienistym mule i trzymaliśmy się za ręce jak dzieci, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Żadne z nas nie odważyło się obejrzeć za siebie na chatynkę, która - czuliśmy to oboje - piętrzyła się nad nami niczym wysoki zamek. Nie obejrzeliliśmy się nawet wtedy, kiedy rozległ się ów śmiech.

LAL

Śmiech nie zawsze znaczy dla mnie to samo co dla innych. Nazbyt wielu słyszałam w swoim życiu śmiejących się szaleńców, tak mężczyzn, jak i kobiet, choć nie aż tak szalonych, by nie zdawać sobie sprawy, że są wszechwładni. Słyszałam ich, a jednak żyję. Słyszałam nawet śmiech czerwonego sjarika w południe i żyję, a niewielu, którzy go słyszeli, może o sobie powiedzieć to samo. Jednak ten śmiech nad obnażonym kamienistym łóżyskiem rzeki był

najstraszliwszy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek trafiły do mych uszu. Nie brzmiała w nim żadna namiętność, dobra czy zła, nie wyczuwało się w nim śladu spontaniczności, okrucieństwa, radości ani triumfu. Koszmarną nieczułość tego śmiechu będę pamiętała nawet wtedy, kiedy już zapomnę, jak wygląda wstrzymana w biegu rzeka. - Odwróćcie się - odezwał się za naszymi plecami czyjś głos. - I podejdźcie do mnie. Nie wykonaliśmy żadnego z tych poleceń. Czarownik roześmiał się ponownie i rzekł: - Od razu widać, czyimi jesteście uczniami. No cóż, jak sobie chcecie... Ledwo to powiedział, rzeka ruszyła. Na naszych oczach obudziła się do życia, usłyszeliśmy ogłuszający huk zrywanych pęt, gdy porwała się ku nam, napełniając z rykiem kamieniste łożysko szybciej od najszybszego biegacza spośród istot żywych. Nie licząc nas dwojga: mokrzy i półnaczy wdrapaliśmy się na urwisty brzeg w tak panicznym pośpiechu, że dosłownie wpadłam na Arshadina wywracając się u jego stóp. Nyateneri minął go z rozpędu, ale natychmiast zawrócił i pomógł mi wstać. I tak to po raz pierwszy stanęliśmy oko w oko z czarownikiem Arshadinem. Wzrostu był pośredniego, między Nyateneriego a moim; stał w skromnej brązowej tunice, przysadzisty, o bladej, nagiej twarzy z mocno zarysowaną żuchwą. Powiedziałam "nagiej", choć nosił brodę i wąsy, ponieważ... jak by ci to wytłumaczyć? Owszem, miał siwiejące włosy, zmarszczki wokół ust i oczu, a nawet niewielką starą bliznę na podbródku, ale żaden z tych elementów nie składał się na wyraz twarzy. Życie przydaje nam wszystkim - nawet czarownikom, którzy żyją dłużej niż przeciętny człowiek, choć nigdy nie wyglądają na swoje lata - zmarszczek, worków pod oczami i tak dalej. Naszym twarzom nadają jednak wyraz wyłącznie przeżyte troski, tymczasem oblicze Arshadina było z nich wyprane tak całkowicie, że nie tylko jego zmarszczki, lecz w ogóle rysy sprawiały wrażenie namalowanych. Widziałam kilka razy niemowlęta, które zbyt wcześnie przyszły na ten świat, by mogły pooddychać na nim dłużej niż parę tylko minut: ich skóra odznaczała się chłodną przejrzystością i przeraźliwą miękkością. Arshadin był do nich pod tym względem podobny. - Witam - odezwał się do nas - Lalkhamsinkhamsola! i Soukyanie, który nosisz imię Nyateneri. Spojrzenie jego dziwnie zamglonych niebieskich oczu zdawało się nie dostrzegać niczego w szczególności, a głos można by równie dobrze uznać za kobiecy, jak i za męski. Miecz jakimś cudem wciąż tkwił za moim pasem. Ostry czy nie, potrafił przeszyć nawet grubego czarownika. Opowiadanie o tym, co dalej nastąpiło, wprawia mnie w zakłopotanie, któż bowiem jak nie ja powinien wiedzieć, iż fakt że czarownik na ciebie nie patrzy, nie oznacza wcale, że cię nie widzi? Bliskość tego człowieka zaczaadziła mi jednak umysł, oddzielając go jakby kłębam dymu od wszystkich mych - tak drogo nabytych - umiejętności i całej mojej wiedzy. Pchnęłam z wypadu, całkiem zgrabnie

jak na utykającą kalekę, i patrzyłam odskakując, jak ostrze zagłębia się w brzuch Arshadina, a zdążyłam jeszcze przeszyć mu pierś, zanim się na mnie osunął. Tylko że on się wcale nie osunął, a za klingą mojego miecza wynurzającą się z jego brzucha na światło słońca nie trysnęła krew. Nic: ani osuwającego się ciała, ani rany, ani kropelki krwi. Dosłownie ani kropelki, nawet na głowni miecza; jedynie pasemko czegoś, co przypominało świecący dym, szybko się jednak rozwiało. Arshadin przestał się śmiać i skarcił mnie spojrzeniem, jak kogoś, kto w pół słowa przerwał mu wypowiedź. - Daj spokój - mruknął z bezbarwną irytacją w głosie. - Od początku śledziłem waszą podróż i sterowałem każdym waszym krokiem. Potrafię rozkazywać rzekom i dharise, czyżbyś sądziła, że zdoła mnie zranić twój dziecinny mieczyk lub ten gwoździak do dywanów, który masz za cholewę buta? Zacisnął i otworzył lewą dłoń i Nyateneri - który tymczasem niedostrzegalnie przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, szykując się do zadania kopnięcia z obrotu - zgiął się wpół i pobladł na twarzy. Jeśli nawet wydał jakiś dźwięk, utonął on w radosnym gwarze rozkielznanej rzeki. Arshadin nawet nie spojrzął na swoją ofiarę. Powtórzył poprzedni gest i natychmiast zdrętwiały mi wszystkie mięśnie przykuwając mnie do miejsca, w którym stałam. Czarownik ciągnął: - Wasze plany zawiodły. Nie jesteście w stanie uczynić mi krzywdy, nie możecie też pomóc waszemu mistrzowi. Czy chcecie na to dowodu? Służę. Zakreślił nogą szerokie koło na ziemi i zamknąwszy oczy plunął do środka. W tej samej chwili ukazała się tam rozedrgana bryła szarości, w jej wnętrzu zaś... mój przyjaciel! Wszelako nie w postaci bezcielesnej wizji, jakie on sam mi posyłał na Północne Pustkowia: gdziekolwiek faktycznie przebywał nasz mistrz, pojawił się przed nami we własnej osobie, wyrwany z łóżka w zajeździe "Pod Tasakiem i Ościeniem". Spokojnie mrużył powieki i najwyraźniej nas widział i poznawał. Wciąż miał na sobie nocną koszulę - a na jego widok poczułam się nagle całkowicie i bezgranicznie bezpieczna, jak wtedy rankiem na nabrzeżu w Lameddin, gdy nagle uniósł się cuchnący kosz z rybami, za którym się kryłam, i zobaczyłam mego nauczyciela przed sobą, podobnie jak w tej chwili mrużącego oczy. - No, no, no! - zawołał rozglądając się ciekawie. - Maniery dość obcesowe nawet jak na ciebie, Arshadinie. - Nie zadał sobie nawet trudu, by spojrzeć na Nyateneriego lub na mnie, przyglądał się natomiast z żywym zainteresowaniem krytej strzechą chacie na zboczu. - Pięknie ją odbudowałeś, muszę przyznać. Nikt by się nie domyślił, jak wyglądała, kiedy stąd ostatnio odchodziłem. - Zniszczyłeś mi dom - stwierdził matowym głosem Arshadin. - Nie zapomniałem o tym. - Zapomniałeś jednak najwidoczniej, że kiedy cię prosiłem, żebyś pozwolił mi spokojnie odejść, ze ścian trysnęły płomienie, a w podłodze otworzyły się wielkie użębione jamy. Uznałem to wówczas za dziecinne igraszki i

przejaw niewdzięczności, nie wspominając już o tym, że marnie wykonałeś stolarkę. Powiedziałem ci to wtedy. - Co mam zrobić z twoimi sługami? - spytał Arshadin. - Ile jest dla ciebie warte ich życie? - Z kim, z nimi? Ile jest dla mnie warte ich życie? Mój przyjaciel przyglądał się nam przez chwilę, po czym odrzucił w tył głowę i roześmiał się tak jak tylko on potrafił - nikt na świecie nie może nawet marzyć o wydaniu równie potężnego dźwięku - tak zaraźliwie, że żadne z nas nie zdołało się powstrzymać, żeby mu nie zawtórować, choć w tak oplakany znajdowaliśmy się stanie i w takim ponizeniu. - Ile jest dla mnie warte? Ciągnąłeś mnie taki kawał, żeby mnie oto zapytać, Arshadynie? Ile razy cię ostrzegałem, żebyś nie marnotrawił w ten sposób sił, one naprawdę nie są niewyczerpane, jak wiesz. Wystarczyłyby zwykły list. Arshadin dotąd ani razu na niego nie spojrzał. - Potęga nigdy się nie marnuje, a nawet wzrasta od jej używania. Podobnie lekkomyślność, jak widzę. Zapytam cię więc po raz drugi: co mam uczynić z tą parą? Mówił głosem płaskim i dalekim, niemal bez intonacji pytającej. Mój przyjaciel znowu parsknął śmiechem. - Uczynić? A rób z nimi, co chcesz, co mnie to obchodzi? Ostrzegałem ich, żeby nie leźli ci w drogę. Radziłem, żeby zajmowali się dalej rozbójnikami i piratami, gdyż ty władasz potęgą przerastającą ich wyobraźnię, a cóż dopiero siły. Mimo to rzucili ci wyzwanie, więc muszą przyjąć teraz konsekwencje swej zuchwałości. Nie mogę przecież w nieskończoność ratować tych dwojga z opresji, w jakie wpędza ich własna głupota. Czy owe słowa wydają ci się okrutne i bez serca? W naszych uszach zabrzmiały jak najcudowniejsza muzyka; były jak pokarm, odzienie i dach nad głową jednocześnie. Choćby nie wiem jak zaskakiwał nas i rugał, nigdy by nas nie opuścił, oboje byliśmy najzupełniej o tym przekonani. Nawet dziś nie wstydzę się tego, że nasze ocalenie tak całkowicie odeń zależało: coś więcej bowiem niż jego życie zależało z kolei od naszej bystrości i czujności. Zwiesiwszy głowy w udanej rozpaczycy czekaliśmy na najmniejszy znak od mistrza, a tymczasem Arshadin przyglądał się nam zamglonymi oczami bez źrenic. - Co się zaś tyczy mojej osoby - podjął z ożywieniem mój przyjaciel - na twoim miejscu odesłałbym mnie czym prędzej do łóżka. Dopóki tu stoję, nie możesz mi nic zrobić i tylko tracisz energię, którą naprawdę nie powinieneś tak szafować, na samo utrzymywanie mnie w tym miejscu. Posłuchaj dobrej rady, Arshadynie. Wyglądał jeszcze mizerniej, niż kiedy go opuszczaliśmy; byłam wręcz zdumiona, że w ogóle trzyma się na nogach. A jednak jego oczy połśniewały odcieniem morskiej zieleni, który już od tak dawna w nich się nie zapalał, w siwiejącą zaś kłaczkowatą brodę były wplecione - znak dla mnie jeszcze ważniejszy - dwie jaskraworóżowe wstążki, jakie widziałam niedawno we włosach Marineshy. - Istotnie, dawałeś mi zawsze dobre rady - przyznał Arshadin -

i nic poza tym. Myślę więc, że będzie to dobrą dla ciebie nauką, jeśli zostaniesz i popatrzysz, jak się pozbędę twoich przyjaciół, czy kim tam dla ciebie są. Być może więcej skorzystasz na tym doświadczeniu, niż ja skorzystałem na twoich naukach. Przemawiał głosem jak wprzódy obojnaczym, szorstkim i bezbarwnym, przy ostatnich jednak słowach zmienił się na twarzy. Jeśli przedtem strachem napawała mnie ta maska, świadcząca o życiu wypranym z wszelkich uczuć, jeszcze większym przerażeniem przejęła mnie zmiana, jaka odbiła się w jego oczach, gdy zwrócił je w końcu na mojego przyjaciela. Wyraz zapiekłej nienawiści i ogromnego żalu, który się w nich ukazał, sprawił, że ta nieruchoma, do łopaty podobna twarz stała się naraz dziwnie delikatna, niemal przezrysta, jak płonący dom na chwilę przed runięciem. Jeden kącik uchylonych ust wygiął lekko do góry, drugi ku dołowi. Do dziś mam przed oczami płatek złuszczonej skóry sterczący w tym opuszczonym kąciku. - A potem przyjdzie się spotkać z tymi, którzy już niecierpliwie czekają... - zapowiedział. Mój przyjaciel milczał chwilę, po czym otarł dłonią usta, jak zwykł to robić dawnymi czasy, kiedy udawało mi się niebezpiecznie zbliżyć do zwycięstwa w jakimś sporze. - Jak sobie chcesz. Jeśli wszelako zamierzasz im uczynić to, o co cię podejrzewam, muszę ostrzec cię po raz drugi jak najsolennie, że nie możesz tego dokonać i jednocześnie zatrzymać mnie w tym miejscu. Prawdopodobnie dysponujesz odpowiednią mocą, zgoda - pobłażliwa wzgarda dźwięcząca w tym "prawdopodobnie" byłaby nawet mnie doprowadziła do szału, a cóż dopiero mówić o Arshadinie! - brakuje ci jednak niezbędnej dojrzałości i dokładności. Gdybyś nią dysponował, nigdy nie zdołałbym ci wtedy uciec, a jeśli zyskałbyś ją od tamtego czasu, nie zdołałbym pozostawać dla ciebie niedosiężny, jak i zresztą nadal pozostanę. Uwolnij się ode mnie, wykaż choć tyle rozsądku, a potem... - Spojrzał prosto na nas i wzruszył ramionami. - Nędzna tania salonowa sztuczka, zawsze byłem tego zdania, ale cóż, twoje gusta są tylko twoją sprawą, masz słuszość. Kimże ostatecznie jestem, bym miał cię dręczyć radami? Masz słuszość, zupełną słuszość. Jego głos wpadł w senne śpiewne zawrodo, co natychmiast obudziło czujność Nyateneriego i moją: nasz mistrz zawsze przybierał ten ton, ilekroć miał zamiar zadać jakąś szczególnie podstępna zagadkę lub rzucić wyjątkowo trudne wyzwanie. Gderał tak, brzęczał i obracał się wolno to w jedną, to w drugą stronę w obłoku szarej mgły niczym tłukąca o szybę tłusta mucha. Cała mordercza uwaga Arshadina na nim była skupiona; młodszy czarownik obserwował starszego z takim natężeniem, że na jedną maleńką chwilę nie starczyło mu dla nas bacności. Z tego, że możemy się ruszać, zdaliśmy sobie sprawę tak niespodziewanie, iż dalsze trwanie w bezruchu okazało się dla nas zaskakująco bolesne. Dotąd pamiętam ów dziwny ból znieruchomienia. Pierwszy skoczył

Nyateneri; spóźniłam się z dobytciem miecza o mrugnięcie powieki z powodu bolącego ramienia. Usłyszałam nabrzmiąły wściekłością krzyk mojego przyjaciela: - Idioci! Stójcie! Arshadin zwrócił na nas tymczasem pysk skalnego targa pocięty szkarłatnymi pręgami. Kościste kryzy tego zwierzęcia i jego olbrzymia ociekająca śliną paszczęka wieńczyły w koszmarny sposób nie zmienioną, przysadzistą postać czarownika. Nyateneri bez chwili wahania skoczył ku owym sztywnym tarczom, gołymi rękami sięgając do wciąż ludzkiego gardła, bo wierzył, że przyjdzie mu w sukurs mój miecz. I przyszedłby istotnie, gdyby nie nadleciały dharise z zamiarem wydrapania mi oczu; atakowały mi głowę i twarz, więc musiałam opędzać się mieczem i nie mogłam pospieszyć na pomoc Nyateneriemu, który wczepiał się desperacko w zmieniającą się co chwila postać Arshadina. Czarnoksiężnik przeistoczył się ze skalnego targa w ryczącego shekna, potem w wysokiego na osiem stóp nishoru z dziobem jak topór, a potem w coś, co sama chętnie bym zabiła tylko dlatego, żeby nie musieć dłużej na to patrzeć. Nyateneri wczepił się w gardło zmieniającego kształty czarownika i nie puszczał, choć trzymał się czasem tylko jedną ręką, mając przed sobą to kosmate barki, to skrzydła o piórach ostrych niczym brzytwy; przypominał zwierzęce niemowlę uczonego wysokiego grzbietu matki. Wargi, rozciągnięte w groteskowym śmiechu, odsłoniły zęby, co znów upodabniało go do skalnego targa, zresztą podobnie jak i rozszerzone oczy. Takim musiał go widzieć Rosseth, kiedy Nyateneri w kobiecej postaci zabił owych dwóch siepaczy w łaźni. Miałam wrażenie, że to wszystko rozgrywa się niezmiernie powoli, jak zresztą zawsze w takich sytuacjach. W rzeczywistości zdarzenia biegają oczywiście tak szybko, że twój umysł wlecze się za nimi daleko w tyle, kulejący i pokryty kurzem. Pamiętam, że gdy w pewnej chwili Nyateneri wychynął na chwilę zza chmury atakujących mnie dharise, pomyślałam najzupełniej serio: Szkoda mówić, on z całą pewnością woli to od żeglowania! Mój przyjaciel miotał się tymczasem jak szalony w swym mglistym więzieniu kopiąc i tłukąc w głuche szare ściany. Wydawało się, że zapomniał o wszelkim dostojeniu, nawet o dostojeniu uwięzionego w klatce zwierzęcia: był już tylko starcem w nocnej koszuli, który krzyczał tak głośno, że aż zdarł sobie gardło: - Przestańcie! Lal, Nyateneri! Dość, powiadam! Durnie! Natychmiast przestańcie! Do mnie, idioci, ale już! Wy nie jesteście w stanie go zabić! Arshadin po raz drugi przybrał postać z grubszą podobną do nishoru; rozpostarł krótkie, strupowate, lśniące skrzydła i udało mu się w końcu strząsnąć z siebie Nyateneriego; odrzucił go na dwadzieścia kroków w stronę rzeki. Mój towarzysz potoczył się po ziemi, lecz już po chwili zatrzymał się z hukiem na jakiejś skale. Z daleka było słychać, jak powietrze uchodzi mu z płuc. Tymczasem Arshadin już się odwracał, przybrałszy na powrót własną postać. Nie

zwrócił na mnie najmniejszej uwagi, gdy przebiegałam obok, spiesząc na pomoc Nyateneriemu. Wraz z przyrodzonym mu kształtem powrócił jego upiorny niewzruszony spokój. Spojrzał na mojego przyjaciela, który miotał się, daremnie ciskając przekleństwa, po czym wypuścił powietrze w długim, ledwo słyszalnym westchnieniu, które zmieniło się nagle w zygzak czarnej błyskawicy i przecięło szarą mglistość z odgłosem noża krojącego mięso. Szarość nie zniknęła ani się nie rozwiła, zaskwierczała tylko i pociemniała jak pieczeń nad ogniem. W następnej chwili straciłam mojego przyjaciela z oczu. Nyateneri podniósł się chwiejnie na nogi; chwyciłam go za rękę i odciągnęłam, bo Arshadin wykrzykując zaklęcia zaczął miotać na nas głazy i dharise. Te pierwsze staczały się ze zbocza, choć przedtem ich tam nie było, złościły jednak w ziemi prawdziwe bruzdy, obalały prawdziwe drzewa i powodowały prawdziwe kamienne lawiny. Straciłam kontakt z Nyatenerim i wołałam go dopóty, dopóki nie opadła na mnie szara mgła, niczym ciężka dławiąca chusta zarzucona na klatkę z ptakami, i nie odezwał się poirytowany głos: - Trochę mniej hałasu, chamata, jeśli łaska! Tę przeklętą sztuczkę dość trudno wykonać, nawet kiedy człowiek jest w szczytowej formie. Choć znajdował się tuż obok mnie, ledwo go mogłam dojrzeć, a cóż dopiero odróżnić od Nyateneriego. Siedział wyprostowany, jak na krześle z wysokim oparciem, nieco ponad moją głowę. Oczy miał zamknięte. Przełom rzeki, chata Arshadina i on sam zniknęli, podobnie jak ziemia, niebo i wszystko z wyjątkiem szarości, która nie miała początku ani końca, przechodziła tylko w oddali w inną szarość, w niej zaś, na samej granicy widoczności, pojawiały się i znowu znikwały - tak mi się przynajmniej zdawało - jakies ciemniejsze kształty. - Gdzie my jesteśmy? - spytałam głośno. - Co się stało? Kiedy my jesteśmy? Widzisz, miałam już do czynienia z czarownikami, wiedziałam więc, iż żaden z nich, nawet najwybitniejszy, nawet mój p r z y j a c i e l, nie potrafi się oprzeć pokusie poigrania z czasem, kiedy się owa nadarza. Przypuszczam, że przed takimi zabawami przestrzegają jak najsurowiej ich nauczyciele, tymczasem oni to właśnie zawsze czynią w trudnych chwilach, podobnie jak zwykli ludzie szukają zapomnienia w czerwonym piwie. Nie cierpię tego manipulowania czasem, nie lubię w nim uczestniczyć i zawsze potrafię przewidzieć, kiedy się na nie zanosz. Nie otwierając oczu mój przyjaciel odpowiedział: - Usiądź gdzieś sobie, Lal, i bądź cicho! Nyateneri ujął mnie za ramię i odciągnął na bok. Powietrze stało się niesamowicie rozrzedzone i zimne; choćby się je nie wiem jak łapczywie wdychało, nigdy nie wypełniało dostatecznie płuc. Słyszałam tylko jeden odgłos: nasze płytkie, gwałtownie przyśpieszone oddechy. Ani powiewu wiatru, najmniejszego światelka w szarości, najsłabszego uczucia, że się poruszamy, nic tylko te pojawiające się w oddali i znikające kształty, które mogły być jedynie

zwidami zmęczonych oczu. Objęłam się ramionami i przytuliłam do Nyateneriego chcąc się ogrzać. - Znajdujemy się daleko - odezwał się po chwili mój przyjaciel - ale ani "gdzieś" w przestrzeni, ani "kiedyś" w czasie, a w miejscu, które moglibyście nazwać gdziekiedy indziej. To - machnął ręką w otaczającej nas lodowatej mgle - nie jest ani karetą wróżki, ani latającym dywanem, który ma nas przenieść w bezpieczne miejsce; to bańka czasu, lecz nie naszego czasu. Czy mnie rozumiecie? Nyateneri odpowiedział po prostu: - Ja wcale nie chcę cię zrozumieć. Dlaczego zamykasz oczy? - Ponieważ nie mam pewności, co by się stało, gdybym je otworzył. Moglibyście na przykład przestać istnieć, ja sam mógłbym przestać istnieć. Albo samo istnienie mogłoby... nie, lepiej dajmy spokój, nawet mnie taka perspektywa zaczyna przyprawiać o morską chorobę. Najpewniej jednak wylądowalibyśmy z powrotem u Arshadina. Co by zresztą na jedno wyszło... Oprócz dobrze mi znajomej i napawającej otuchą ironii dźwięczał w jego głosie jakiś nowy ton. Nie było to echo strachu, niepokoju czy pospolitej niepewności; nie oddaje go żadne z takich słów, nie mieści się w żadnym z podobnych pojęć. Jeśli jednak o mnie chodzi, byłam przestraszona i kompletnie niepewna - tego nawet, co się znajdowało pod moimi stopami; na domiar złego zmarznięta, dosłownie trzęsłam się z zimna. - Co właściwie zaszło tam u Arshadina? - zapytałam. - Dokąd się teraz udajemy? I dlaczego, na imię... - zawahałam się, nie udało mi się bowiem znaleźć boga, który mógłby stanąć na wysokości danej sytuacji - dlaczego siedzisz w powietrzu? Mój przyjaciel wybuchnął śmiechem, ale tym razem nie przyniosło mi to pociechy. - Doprawdy siedzę w powietrzu? Nie zauważyłem! A dokąd się udajemy? No cóż, z powrotem do gospody, mam nadzieję, jeśli przestaniesz suszyć mi głowę czczą gadaniną. Nigdy nie lubiłem tego osobliwego sposobu podróżowania i nie sądzę, bym miał do niego wrodzoną predyspozycję. Co innego Arshadin: miglanc miał do tego prawdziwą smykałkę! Szwenął się w ten sposób bezustannie, nie bacząc na moje przestrogi. Bywało, że wyprawiał się tą drogą po obiad! - Zamilkł na chwilę i trochę mocniej zacisnął powieki. Potem zaś kontynuował: - To upodobanie teraz go zdradziło. Nie było sposobu, abym mu się oparł, kiedy skorzystał z bańki czasu, by mnie sprowadzić, ale samo tylko utrzymywanie owego zjawiska na tym świecie, nie mówiąc już o posługiwaniu się nim, kosztuje tyle energii, że byłem pewien, iż nie zdoła jednocześnie sprawować kontroli nad czasową bańką, nade mną i waszą parką na dodatek. A powtarzałem mu często: każda moc ma naturalne granice. Każda, nawet jego! Powtarzałem to jak komu dobremu... - Ostatnie słowa, wypowiedziane niemal szeptem, nie do nas były chyba skierowane. - A potem wy odwróciliście jego uwagę, dość pokracznie, niech mi wolno będzie stwierdzić, choć całkiem skutecznie, i spróbował mnie zabić we wnętrzu bańki podejrzewając, że

wami manipuluję, co świadczy, nawiasem mówiąc, o wzruszającej wierze w siły starego nauczyciela, nawet sterane wiekiem... - W jego uśmiechu wyczułam więcej żalu niż triumfu. - On wspomniął coś o "tych, którzy czekają" - odezwał się Nyateneri. - Czy na ciebie? - W istocie - odparł z nieoczekiwaną wesołością w głosie mój przyjaciel. - Będą jednak musieli jeszcze trochę poczekać. A teraz, jeśli przestaniecie mnie molestować pytaniami, mam nadzieję, jestem wręcz pewien, że zdołam doprowadzić to nieprzyzwoicie nienaturalne zjawisko do przystani u stołu jadalnego Karsha. Choć czy to będzie właściwy Karsh i właściwy stół Karsha... to już inna sprawa... w każdym razie powinno to być dla nas wszystkich, a w szczególności dla pana karczmarza, pouczające doświadczenie. Gdybyś również zechciała zamknąć oczy, Lal, przestałabyś się tak trząść, uwierz mi. Miał rację: ledwo przestałam gapić się w mglistą szarość, dojmujące zimno ustąpiło, jakby sam jej widok mrozem przenikał mi kości; nie mogłam się jednak powstrzymać od zerkania od czasu do czasu wokół siebie, choć w polu widzenia pojawiały się tylko - nie zbliżając się nigdy, ale i nigdy całkiem nie znikając - małe ciemne figurki. - Kim są te postaci? - spytałam. - Ludzie, z których czasu korzystamy - odrzekł krótko mój mistrz. - Zamknij oczy, Lal! Wykonałam polecenie, po czym dodałam: - Arshadin nie krwawi. Mój miecz przeszył go niemal na wylot, a nie wyciekła ani kropla krwi. - Bo on nie ma krwi - odparł mój przyjaciel. - Lukassa ma rację: oddał swoje życie Innym, tamtej nocy w czerwonej wieży, otrzymując w zamian taką formę żywotności, w której krew nie jest niezbędna. Słyszałem o podobnych transakcjach zawieranych w dawnych czasach, lecz nie sądziłem, że podobny interes zostanie ubity za mojego życia. Biedny Arshadin! Biedny Arshadinek. Wygłosiwszy tę cichą głuchą skargę nie odezwał się więcej. Ile czasu minęło, naszego czy cudzego, nie potrafię powiedzieć. Mój przyjaciel mruczał sobie w kółko jakąś monotonną melodyjkę, która zaczęła mi wkrótce przypominać warkot pracującego gdzieś w dole potężnego silnika, ciągły i dziwnie uspokajający. Mam wrażenie, że zasnęłam. Nie, jestem tego nawet pewna, pamiętam bowiem, jak się wzdrygnęłam, gdy Nyateneri ścisnął mnie mocno za ramię i szepnął mi nad uchem: - Coś się dzieje, Lal!... Nawet w spowijającej nas szarej mgle mogłam dostrzec, jak stężała i poblądła mu twarz. - Co takiego? - spytałam. Wydawało się, że nic się nie zmieniło: tkwiliśmy wciąż bez ruchu w lodowatej pustce, a mój przyjaciel siedział jak przedtem w powietrzu i mruczał sobie pod nosem wciąż tę samą melodyjkę. Jedyna różnica, jeśli to była różnica, polegała na tym, że znikome kształty na granicy widoczności w końcu całkiem zniknęły. Palce Nyateneriego zacisnęły się na moim lewym kontuzjowanym barku, a ja tego nawet nie poczułam; dopiero później odkryłam nowy siniak. - Patrz! - wyszeptał mój towarzysz. Szarość

rzędła z wolna, zmieniając się z mgły jakby w brudną wodę po kąpieli, w której dojrzelśmy wkrótce - nas samych. Jakże mam to prościej, lub obłudniej, wyrazić? Zobaczyłam naszą trójkę: kopie naszych postaci, wierne aż po wstążeczki w brodzie mojego przyjaciela i zaschnięty rzeczny muł na stopie Nyateneriego, oni jednak, ci inni “my”, nas nie widzieli. Zajmowali się własnymi sprawami, w zupełnie innym miejscu, otoczeni jakimiś sylwetkami ludzkimi; częściowo innymi “nami”, w większości jednak Karshami i Marineshami, choć najwięcej chyba dostrzegłam Tikatów. Wśród owych postaci nie było jednak ani dwóch identycznych; patrzyłam na różne wersje mojego przyjaciela: ze wstążeczkami i bez wstążeczek w brodzie, a nawet bez samej brody, w koszuli nocnej i nie ubranego w nią; patrzyłam na różne wcielenia Nyateneriego, również takie, w których bym go chyba w ogóle nie poznała, gdyby nie wzrost i zmienny kolor oczu. Jeśli zaś chodzi o mnie samą, zrobiło mi się słabo na widok tyłu paradykujących dwa kroki przede mną kopii mej własnej osoby, pomiędzy którymi zachodziły również niewielkie różnice, tak w stroju, jak i w ruchach. Dla mnie jednak wszystkie były bliźniaczo do siebie podobne: wszystkie za niskie, o zbyt szerokich ustach i nazbyt spiczastych podbródkach - twarz starego krasnala, którą nauczyłam się tolerować odbitą w lustrze, lecz nie w dziesiątkach przeklętych egzemplarzy! - ponadto każda z owych postaci szła tym samym okropnym rozkołysanym krokiem marynarza. Czyżbym ja tak chodziła? Dotąd nie mogę w to uwierzyć! Wokół tych sylwetek tłoczyły się i inne, to wyłaniając się z rzednącej szarości, to w niej znikając. Dostrzegłam Rossetha (we wszystkich wersjach, w jakich występował, miał szeroko otwarte oczy, był ujmująco sympatyczny i silniejszy, niż na to wyglądał), a także innych służących i gości gospody “Pod Tasakiem i Ościeniem”. Oprócz nich kłębiły się tłumnie w szarej mgle jakieś twarze zupełnie mi obce. Postacie nie były przejrzyste, ale i nie materialne: przenikały jedna przez drugą jak przedtem przez burą mgłę, nie dostrzegając się nawzajem. Wpatrywałam się w nie z wytrzeszczonymi oczami, kręcąc z niedowierzaniem głową. Nie uszło mojej uwagi, że nie ma wśród nich ani jednej Lukassy. U mego boku odezwał się nagle podniesiony głos: - Panie - tu Nyateneri użył słowa, które uważałam zawsze za imię mojego przyjaciela - chyba starczy już tych zwidów i mistyfikacji? Na co my właściwie patrzymy i kim są ci ludzie? Mój przyjaciel wciąż tak mocno zaciskał powieki, aż podjechały mu do góry kąciki ust, a gdy się do nas odwrócił, jego twarz wyglądała naprawdę strasznie. Miałam wrażenie, że w ogóle jej nie znam i przeraziłam się tego widoku. Potem powiedział wolno, głosem radosnym, niemal rozmarzonym: - Mamy wszyscy niezmiernie szczęście, że zachowałem choć tyle zdrowego rozsądku, aby nie zdradzić wam nigdy mojego prawdziwego imienia. Gdyby bowiem któreś z

was wymówiło je tutaj w tej chwili, nasza trójka zostałaby rozsmarowana w czasie... na czasie... jak masło na kromce chleba. Czy macie choć blade pojęcie, o czym mówię? Skuliłam się w milczeniu przed jego straszną twarzą i jeszcze straszniejszym głosem, jak wtedy, kiedy mistrz znalazł mnie po raz pierwszy. Tym razem było jednak gorzej, ponieważ z wiekiem nabrałam doświadczenia i mogłam sobie niemal wyobrazić, o czym on mówi. Nyateneri usiłował jeszcze przez chwilę trwać w hardej postawie, wnet jednak i on spokorniał. - No oczywiście, że nie - mówił dalej głos - co mnie opętało, żeby w ogóle o to pytać? Gdybyście zbliżyli się choć trochę do zrozumienia tego, o czym przed chwilą powiedziałem, świadomość grożącego nam niebezpieczeństwa przyprawiłaby was o pomieszenie zmysłów. Jeśli o mnie chodzi, mam wrażenie, że jak na razie trzymam się nieźle, choć obawiam się, iż prędzej czy później mogę się załamać. Czy cały ten ludek już zniknął? Istotnie, prawie wszystkie duplikaty różnych osób rozwiały się w nicość, z wyjątkiem dwóch Tikatów i jednego Karsha. Gdy oznajmiłam to mistrzowi, skinął głową i wyprostował się jeszcze bardziej na niewidocznym siedzisku. W dłoniach zaczął kształtować coś równie niewidzialnego jak owo krzesło, co zdawało się miotać i wrywać, przez cały czas rosnąc. - Kiedy znikną również ci ostatni - rzekł - poinformujcie mnie o tym natychmiast. Para Tikatów zniknęła jednocześnie, pozostał tylko Karsh, ale znacznie młodszy od właściciela gospody "Pod Tasakiem i Ościeniem", o piwnych oczach, ubrany w wyszywany serdak i skórzane getry zamożnego rolnika z południowego wybrzeża. Nie zdziwiło mnie bynajmniej, że jako jedyny z liczego grona zwielokrotnionych postaci znieruchomiał na chwilę i wpatrywał się ze skupioną uwagą w spowijającą go szarą mgłę. Gdziekolwiek rzeczywiście się znajdował, odgadł, że gdzie indziej dzieje się coś, co ma z nim jakiś związek. - Już znika - poinformowałam mistrza. - Zniknął. - Doskonale - rzekł cicho mój przyjaciel, zupełnie jak przedtem Arshadin. Następnie powiedział kilka słów, które nawet nie przypominały słów żadnego znanego mi języka; gdybym usłyszała je dobiegające z drugiego pokoju, pomyślałabym, że zachrapał lub odchrząknął. Niewidzialny kształt rosnący w jego dłoniach zdawał się wnikać weń, aż raptem wybuchnął mistrzowi w rękach, z siłą, która aż odrzuciła go do tyłu, niemal strącając z niewidzialnej grzędy, na której siedział w powietrzu. Szarość zmieniła się w noc, niepodobną do żadnej ze znanych mi nocy: powietrze było zanadto czyste, jakby odarto je ze skóry, a gwiazdy zbyt duże. Nie wciągnęłam go w płuca; wstrzymywałam oddech jeszcze przez godzinę, a może tylko chwilę, dopóki mój przyjaciel nie otworzył nagle oczu. Siedzieliśmy we trójkę, spokojnie jak wycieczkowicze na majówce, na niskim pagórku, na którym Karsh wznosił świątynię dla pątników. Był wczesny wieczór. Nad karczma wschodziła

siwa ćwiartka księżycy. Usłyszeliśmy chrumkanie wieprzków w chlewie i wrzaski Gattiego na podwórzu. Poprzedniej nocy nad masztem naszej żagłówki świecił złoty księżyc w pełni i dojrzałym blaskiem przeglądał się w rzece. Spojrzeliśmy na siebie z Nyatenerim. W stajni ktoś zaczął cicho pogwizdywać...

OBERŻYSTA

Za konie zapłaciły mi hojnie, musze przyznać, ale nie zaszczyciły mnie wyjaśnieniem, co się z nimi stało. Kiedy człowiek doszedł do mojego wieku, dawno już porzucił nadzieję, że kiedykolwiek usłyszy od ludzi słowo prawdy, ale potrafi też docenić, gdy go nie raczą kłamstwami zamiast niej. Co się zaś tyczy pytania, gdzie były i - co jeszcze ważniejsze - jak zdołały już po siedmiu dniach powrócić z podróży - którą czarna przypłaciła utykaniem na nogę i utratą co najmniej dziesięciu funtów wagi, a znów panna Nyateneri "Kłękajcie Narody" postarzeniem się o dobrych tyleż lat... cóż mogłyby mi powiedzieć, w co bym uwierzył, nie tylko wtenczas, ale i dziś nawet? Schowałem pieniądze, kazałem chłopaczysku powiedzieć Marineshy, żeby zaniósła przybyłym do pokoju kolację i machnąłem na nie ręką. Staruch zaczął mnie bowiem tymczasem denerwować bardziej niż one. Wiedziałem oczywiście, że jest czarownikiem, od pierwszego dnia - trudno ich nie poznać, to się czuje węchem - co samo w sobie nie stanowiło kwestii. Osobiście nie przepadam za czarownikami - pokażcie mi takiego, kto ich lubi! - ale przyznaję, że są przeważnie przyzwoitymi gośćmi, hojnymi dla służby i nieco bardziej od innych wrażliwymi na dobre samopoczucie gospodarza. Od Marineshy wiedziałem jednak, że ten jest kwękający, chory, na dobrą sprawę jedną nogą w grobie i że nie ruszał się z pokoju, odkąd Rosseth i Tikat go tam zataszczyli. A tymczasem teraz stał krzepko na własnych nogach i najwyraźniej tkwił po uszy w tarapatach, w które wpadły po wyjeździe z gospody owe dwie kobiety. A nie był zwykłym leśnym czarownikiem z tych, co to leczą kolkę u żywiny i obiecują słońce na żniwa - o nie! Należał do gatunku takich, za którymi kłopoty leżą do domu jak bezpańskie psy, nie pytając, czyj on i czy jest komu je karmić. Nie miałem pojęcia, jakiego rodzaju to będą kłopoty, ale czułem je węchem, jak się czuje nadchodzący deszcz albo wóz z nawozem nadjeżdżający zza zakrętu drogi. Trudno się pomylić; przynajmniej w tej jednej sprawie nigdy się nie mylę. Miałem go wyrzucić? Wyrzucić? A jużci! Ten sam Karsh, który nie śmiał wyprosić ze swej gospody trzech bab, miałby teraz kazać się wynosić czarownikowi! No cóż, nie wstydzę się przyznać przed tobą, że uśmiechałem się do niego i pozdrawiałem skinieniem głowy, ilekroć go spotykałem, dopytywałem się, czy pokój dość wygodny i posyłałem na górę lepsze wina niż te, nad którymi panna Lal Wybrednisia kiedykolwiek

zmarszczyła nosek. Stary to doceniał, nie powiem; przyznał to nie jeden raz wobec Jej Królewskiej Wysokości. No cóż, nawet karczmarze mają swe wielkie chwile. A jednak nic się nie wydarzyło - nic takiego, czemu można by przydać miano wydarzenia - niezależnie od tego, co zapowiadał mój nos. Letnie dni mijały w skwarze, podróżni przyjeżdżali i odjeżdżali (z jednym z nich uciekła żona Shadry'ego, jak zresztą zwykła uciekać prawie każdego lata, wyłącznie po to, żeby odpocząć trochę od mężulka), konie były dogładane, posiłki gotowane, naczynia zmywane, pokoje jako tako zamiatane, handlarze bydła wyciągali z piwnicy beczulki czerwonego piwa i "Córki Smoka", a rodzina pewnego druciarza z Narsai wyniosła się nocą ukradkiem, nie uściwszy należności. Moja wina, że nie policzyłem im z góry, ostatecznie mój ojciec był pół-Narsajczykiem, więc powinienem to i owo wiedzieć o owej nacji. Trzy damulki zachowywały się prawie jak zwyczajni goście: opalały się, kupowały błyskotki i starocie na rynku w Corcorui. Nie udało mi się jednak dociec, po jakiego licha ciągle u mnie siedzą, jeśli nie liczyć pielęgnowania przyjaciela-czarownika. Wyglądało na to, że Tikat zrezygnował w końcu z ugania się za tą stukniętą bielaską Lukassą. Prawie już na nią nie patrzył; wlepił w nią ślepią tylko wtedy, kiedy ustępował jej z drogi, gdy przechodziła, bardziej niż zwykle podobna do błąkającego się duszka. Byłbym chłopaka wyrzucił, dla samej przyjemności wyrzucenia kogoś, ale akurat on zarabiał z nawiązką na utrzymanie robotą w stajni, w domu i ogrodzie. Milczek ze zbójceją gębą, gadający gwarą z południa, od której kwaśniało piwo, ale dobry pracownik, to muszę przyznać. Szczerze powiedziawszy jedyna rzecz, na jaką mógłbym się wtedy uskarżać, dotyczyła zachowania mojego huncwota. Choć znając jego i siebie wolałem nie skarżyć się głośno. Po powrocie owych bab nie posiadał się oczywiście ze szczęścia, jakby wdepnął w gówno: robota leciała mu z rąk i wciąż się wymykał, żeby sprawdzić, czy im czego nie trzeba. Zgadza się, to było do niego podobne, co mnie jednak zaniepokoiło - to to, że najwyraźniej coś go gryzło i to z dnia na dzień bardziej. Rozumie się, nie bąknął o niczym ani słówkiem, w każdym razie nie do mnie, prędzej by zdechł, ale Gatti Jinni potrafił czytać w twarzy chłopaka i spostrzegł, że ten obwieś zaczął w najdziwniejszych chwilach rzucać wokół siebie spłoszone spojrzenia, jakby miał zamiar wymknąć się na schadzkę z Marineshą i zatrzymał go mój głos. Podejrzywałem, że to sprawka naszego czarownika. Pomyślałem, że nicpoń przylgnął do niego jak przedtem do tych damulek i poczułem się trochę nieswojo.

ROSSETH

Do pewnego stopnia przyczyną był z pewnością upał. W tym kraju, choć wysoko położony, u schyłku lata panuje żar jak w kuźni. Ja się do takiej pogody przyzwyczailem;

przyznam ci się, że nawet za nią tęsknię, po przybyciu czarodzieja miało się jednak wrażenie, że każdy dzień jest rozciągnięty nad paleniskiem z rozpalonymi do białości węglami jak skóra sheknatha przeznaczona do oskrobania. Noce przynosiły zwykle wytchnienie, dzięki powiewom od gór, ale tamtego lata w ogóle nie było wiatru. Psy i kury leżały pokotem na ziemi i ziajały, konie nie miały siły opędzać się ogonami od much, goście siedzieli w izbie jadalnej, żeby przynajmniej gardłom zapewnić ochłodę, nawet Karsh ciskał się i pomstował ciutkę mniej niż zwykle i nie zasypywał Tikata i mnie poleceniami. O upalnym świcie budziłem się na moim stryszku zlany gęstym potem i zupełnie wycieńczony, z głową jak popielnik. Minęło od tamtej pory blisko dwadzieścia lat, a wciąż doskonale pamiętam niesamowity, przepojony beznadziejnością smak tamtych ocknień. Przyczyną owej beznadziejności nie mógł być tylko skwar - nie tego smaku, uczucia że leży się pod szkłem, jak pod soczewką ogniskującą żar czyjejs uwagi na gospodzie "Pod Tasakiem i Ościeniem". Po powrocie Lal i Nyateneriego zrobiło się jeszcze gorzej: ani na chwilę, na jawie czy we śnie, nie opuszczało mnie poczucie, że jestem bacznie obserwowany przez czyjąś chłodną świadomość, całkowicie obcą mnie, Rossethowi, czy kim tam jestem, oraz wszystkiemu, co było mi bliskie i zrozumiałe na tym świecie. Czasami wydawało mi się, że ów niewidzialny obserwator przygląda mi się z daleka, to znów że znajduje się tuż obok, dzieli ze mną siennik i gmera w moich snach. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie mogłem się uwolnić od poczucia, iż jestem obserwowany, ani otrząsnąć z potwornego przygnębienia, jakie zawsze mu towarzyszyło, powodując mój nieustanny nieuchwytny lęk i przyprawiając mnie o śmiertelne zmęczenie. Mógłbyś powiedzieć, jak sądzę, że stałem się przeraźliwie smutny. Nawet jeśli Tikat cierpiał podobne jak ja męki, nie dawał tego po sobie poznać. Prawda, rzadko go w tamtym czasie widywałem: niepostrzeżenie przejął obowiązki niańki i strażnika, jakimi mnie obarczono, i spędzał większość wolnego czasu na piętrze u staruszka, którego nazywał tafiya. Bardzo za Tikatem tęskniłem - aż do jego przybycia nie miałem nigdy kolegi równego mi prawie wiekiem, z którym mógłbym razem pracować i prowadzić rozmowy, uprzętać gnój ze stajni i przed zaśnięciem gawędzić na stryszku - potwornie mu zarazem zazdroszcząc. Głównie tego, rozumie się, że zażyłość z czarodziejem pozwalała szczęśliwcowi przebywać codziennie w pobliżu Lal, Nyateneri i Lukassy; choć zazdrościłem mu i tego, że komuś zależało na jego towarzystwie i często o nie prosił, a to nie to samo, co być na posyłki. Mogłem co prawda sam o siebie zadbać, wiem o tym, lecz tego nie zrobiłem, i w tym właśnie rzecz. Byłem za młody... Moi przyjaciele coraz częściej przebywali we własnym gronie: a to razem dokądś wyjeżdżali, a to zamykali się w pokoju, a to

przesiadali w izdebce starca. Jeśli ich spotykałem, to zawsze we troje, a nie tego pragnąłem. Najbardziej zależało mi na wyjaśnieniu Soukyanowi - który nadal wyglądał, poruszał się i pachniał jak Nyateneri - że nie straciłem do niego sympatii z powodu jego oszustwa i nie unikam go ze złości czy wstydu. Chciałem też zapytać Lal, dlaczego tak szybko wrócili, a także zapewnić ją, że opiekowałem się czarodziejem najlepiej, jak umiałem. (Nawiasem mówiąc, ten trzeci morderca w ogóle się nie pojawił; do dziś nie wiem, co się z nim stało.) Natomiast chciałem powiedzieć Lukassie, że ile razy Tikat słyszy jej głos, zobaczy ją na schodach albo idącą przez podwórze, serce mu pęka na nowo. Oho, dla tej panny miałem przygotowaną piękną mówkę, nie tylko wygarnąć. Ćwiczyłem ją sobie przed koźmi. Ale jakoś nic z moich zamiarów nie wyszło; można by wręcz pomyśleć, że owa trójka nigdy nie wyjechała z za zakrętu przy źródle, drżące dołeczki w ramionach Lal jedynie mi się przyśniły, podobnie jak to, że Nyateneri na moich oczach sama jedna położyła trupem dwóch morderców. Rzeczywista była tylko samotność, dla której przed ich przybyciem nie miałem nawet nazwy; samotność, upał i strach. Pewnego razu spytałem Marineshę, bo Tikata zagadywać o to nie chciałem, jak się miewa stary czarodziej. Odpowiedziała mi nie swym zwykłym szpaczkowatym świergotem, lecz pełnym pokory i wahania szeptem: - Nie najgorzej, jak mi się wydaje. Kiedy zaś ją naciskałem, najpierw się nabzdyczyła, a potem rozplakała, nie w bolesnym milczeniu, jak dama, o co się przedtem zawsze, gdy do łez przychodziło, starała, ale z głośnym szlochem i chlipaniem, drąc mi przy okazji najlepszą chustkę do nosa. Z jej mazania się zrozumiałem tylko tyle, że od powrotu Lal i Nyateneri Marinesha prawie staruszka nie widuje. - Ale słyszę go, Rosseth, słyszę jak po całych nocach chodzi tam i z powrotem po izbie, coś do siebie mówi, coś sobie nuci, podśpiewuje. Rosseth, on w ogóle nie śpi!... Głaskałem ją po głowie i pocieszałem jak umiałem. - W takim razie musi spać w dzień. Nie zapominaj, że jest czarodziejem, Marinesho, a czarodzieje nie potrzebują niczego takiego jak sen, jedzenie i inne rzeczy; tym właśnie się od nas różnią. Dziewczyna wyrwała mi się jednak i spojrzała z tak bezgranicznym smutkiem, o jaki nigdy bym jej nie posądzał. - Są jeszcze ci drudzy - wyszeptala. - Czasami go odwiedzają i rozmawiają. Szczebioczą jak małe dzieci... Powiedziała to i uciekła z płaczem do gospody, zabierając moją chustkę do nosa. Tikat nie słyszał żadnych głosów; uwierzyłem mu, gdy mnie o tym zapewnił. Nie wydawało mi się bowiem, żeby bogowie, duchy, demony, potwory, czy ktokolwiek z tego bractwa chciał się ukazywać w jego obecności. Poczekałby raczej cierpliwie, aż Tikat wyjdzie. Co innego Karsh. Nigdy byś go o to nie posądził, a jednak to prawda. To muszę Karshowi oddać: potwory nie zawsze czekają, aż karczmarz wyjdzie. W parę dni po mojej rozmowie z

Marinesha grubas wytropił mnie w kuchni. Tikat, nie pierwszy raz zresztą, reperował zbutwiały koński żłób, a nasz ostatni kuchcik dał właśnie drapaką; kuksańce i grubiaństwo Shadry'ego wypłaszają ich w ciągu roku około tuzina. Ma to tylko tę dobrą stronę, że smarkacze często wieją nie oglądając się nawet na zapłatę. Karsh kłął Shadry'ego przez dobre pięć minut ani razu nie powtarzając tego samego przekleństwa, po czym (zawsze tak robi) odwrócił nagle wzrok i zobaczył mnie niby przypadkiem. - Zaczekaj na mnie na zewnątrz! - warknął. Stałem pod drzwiami i czekałem nań przez dobre pięć minut. W końcu wyszedł, purpurowy na gębie, ocierając usta; można by pomyśleć, że zjadł Shadry'ego z przystawkami. Chwilę stał nie patrząc na mnie i mruczał pod nosem: - Przeklęty głupiec, jełop zasrany, durna pała, taki z niego kucharz jak z koziej dupy trąba! Gdy się już napomstował, odwrócił się do mnie i burknął: - A, Rosseth! Zastanawiam się często nad tym, jak wymawiała moje imię Lal, a jak Karsh. Wciąż mi to nie daje spokoju. - Kazał mi pan czekać - przypomniałem. Kiwnął głową i mruknął: - Dziękuję. Nie stanę tu i nie przysięgnę, że wtedy po raz pierwszy i ostatni Karsh powiedział mi "dziękuję". Może i kiedyś już to zrobił, nie pamiętam. Nie mam nawet zupełnej pewności, że naprawdę to słowo usłyszałem, tak zdławionym rzucił je głosem. Powiem ci tylko, że kompletnie mnie zatkało, jakby zaczął nagle wywijać obertasa z palcem przytkniętym do czubka głowy. Wytrzeszczyłem nań gały, co go tak rozwścieczyło, że wrzasnął: - No i czego tak na mnie wybałuszasz ślepie? Co się z tobą dzieje? Gapiłbyś się tylko i gapił! W życiu nie spotkałem nikogo, kto by tak ciągle wybałuszał ślepie, i to od pierwszego dnia, od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem!... W tym miejscu urwał, zakasłał się i splunął, nie spuszczać jednak ze mnie wzroku. Czekałem zastanawiając się, czy zamierza mnie znowu obtańcować za te rowki pod łaźnią czy też każe, żebym przestał dokuczać Marineshy. Tymczasem on potrząsnął ze złością łbem, otarł gębę, nabrał powietrza i powiada: - Powiedz no, jak się czujesz, Rosseth? Aż się trochę oplułem jękając się przy odpowiedzi. - Jak ja się czuję?... Dobrze. Karsh pokiwał kilka razy głową, z taką powagą, jakbym oto udzielił odpowiedzi na dręczącą go przez całe życie zagadkę, i wymamrotał: - To dobrze, doskonale. - Po czym dodał, patrząc w przestrzeń obok mnie: - Chciałem ci coś powiedzieć, Rosseth. Noszę się z tym już od dawna. Czekałem, bo co miałem robić. - Byłeś... hm... nie byłeś takim najgorszym dzieckiem. Nie mazałeś się, nie plątałeś pod nogami. Całkiem doręczny był z ciebie dzieciak... Ostatnie słowa kosztowały go tyle wysiłku, że musiał je wyrzucić, jakby mnie prowokował, żebym zaprzeczył. Stał przede mną dysząc niczym miech i pożerał mnie wzrokiem, a jego oczy przybrały tę dziwną niebiesko-czarną barwę, jaką przybierają, ilekroć jest naprawdę wściekły. Trwało to tylko

chwilę; potem odwrócił się na pięcie, wpadł do kuchni i zaczął się drzeć na Shadry'ego, nie otworzywszy jeszcze dobrze drzwi. A ja stałem osłupiały pod tym białym, oskrobanym jak skóra sheknatha niebem, dygocząc ze zdumienia, zmęczenia i strachu, przepełniony pragnieniem, aby poznać wreszcie własne imię.

LIS

Za upalnie. Za upalnie! Biedny mały lisek wierci się i kręci wewnątrz tego okropnego wlokącego się worka z mokrej sierści. Ludzka postać nie jest porośnięta futrem, ale Nyateneri grozi, że ukatrupi, jeśli mnie zobaczy jako człowieka. A więc żadnej ludzkiej postaci, ani kufelka orzeźwiającego czerwonego piwka w karczmie, nic tylko gorący wietrzyk w upalnych chwastach pod drzewem, na którym śpią kury. To gorsze niż zjadanie starych mioteł. Biedny lisek. Dzień i noc, dzień i noc, i tak w kółko. Nic do roboty, tylko spać. Mogę spać choćby i sto lat, jeśli zechcę - bez jedzenia i bez picia; obudzę się, gdy o mnie pomyślisz. Raz jednak podnoszę wzrok i kogóż widzę? - spogląda na mnie Lukassa. Takie stare wydają się oczęta w tej buzi - prawie tak stare jak ja. Mówi cichutko: - Lisku, lisku. - Pochyla się, podnosi mnie, jak tamtej pierwszej nocy, ściska w ramionach, przytula do szyi. Zlizuję, tylko trochę, byle liznąć, słodziutką sól. - Pomóż mu, lisku - prosi. Jemu? Usłyszała moje warknięcie, przytula mnie mocniej. - Ach, lisku, to dobry człowiek, bardzo dobry dla ludzi. Ale nie dla lisów! Lukassa ciągnie: - A zawisło nad nim takie niebezpieczeństwo. To i świetnie! Niech teraz tamten jego ucapi za ogon i kark, zobaczymy jak mu będzie przyjemnie. Jeszcze jedno liźnięcie w szyjkę. A może by tak przybrać ludzką postać? Za mocno mnie ściska, już ledwo zipię. Powiada: - Ty znasz tych, którzy przychodzą nocami. Wiem, że ich znasz. Możesz ich zmusić, żeby odeszli. Zmusić czarownika, żeby odszedł, dobre sobie! Lukassa szepcze: - On powinien umrzeć. Nadszedł jego czas, powinien umrzeć. Zwijam się w jej ramionach i zamykam ślepie. Lukassa tłumaczy dalej: - Ale jeśli umrze teraz - chory, cierpiący na bezsenność, poirytowany - stanie się jednym z nich, tylko jeszcze gorszym, znacznie gorszym. Jest na to jakieś słowo, lecz go zapomniałam. Griga'ath, i owszem, niedobrze, fatalnie, ale kogo to obchodzi? Lukassa unosi mi łepkę i długo czeka, żebym na nią spojrział. - Lisku, lisku, wiem, że mnie nie możesz już pomóc, ale błagam cię, pomóż jemu. Proszę cię jak przyjaciela. Całuje mnie w pyszczek i stawia na ziemi. - Idź do niego! I stoi tak, i czeka, wcielenie ufności i wiary, żebym pobiegł i wybawił niegodziwego czarownika od wizyt nocnych gości. Kładę się tam, gdzie mnie postawiła, i wywałam język. W oczach Lukassy błyszczy żal. - Lisku! Czeka - aż w końcu się odwraca. Ziewam w piasek - może spadnie z gałęzi jakaś kurka, którą dręczą senne zmyry? Nic z tego. Teraz mnie z kolei ogarnia smutek. Jedno

oko otwarte wypatruje Nyateneri, jedno ucho na sztorc nasłuchuje grubego karczmarza, a potem zasypiam - głupie griga'athy nie są zmartwieniem lisów. Zmartwieniem lisów są czarnoksiężnicy. Aliści... Ledwo umościłem się wygodnie w kruchych chwastach, nawiedza mnie znowu stare nic. "Dowiedz się, wywiedz. Za dużo niepokoju wokoło, co się tak miota?" Ja wiem, co się tak miota - głupi czarownicy dybiący na siebie w przestworzach. Głupi, bezdennie głupi czarownicy, ni mniej, ni więcej. Lecz stare nic nie ustępuje: "Dowiedz się!" - no i koniec drzemki biednego liska, i jednak biegnę truchcikiem do czarownika Lukassy; serwus, podobno jakieś nieczne głosy nie dają panu zasnąć; drogi przyjacielu? Jak to miło, nareszcie jakaś sprawiedliwość. Być może i biedny lisek zdoła dorzucić od siebie kilka słów prawdy. Głęboka, duszna ciemność. Wszystkie drzwi w gospodzie zamknięte i zaryglowane, ale myszy wiedzą o pewnej zbutwiałej desce w kuchni, a o czym wiedzą myszy, wie i lis. Poskrobać, precisnąć się, otrząsnąć - i oto znajdujemy się pod wielkim piecem Shadry'ego. Oho! - wciąż jest ciepły, ogień umościł się na noc pod popiołem, podobnie jak ten brudny chłopczyzna śpiący na dwóch zestawionych w kącie krzesłach. Głucha cisza, tylko moje pazurki dzwonią na kamiennej posadzce. Wraz z przeciągiem dostaję się schodami w górę, biegnę przez korytarz razem z wystraszonymi chrabąszczami. Światło świecy wciska się w szparę pod drzwiami pokoju czarownika i próbuje się stamtąd wydostać. Nie dziwota! Ojojjoj, znam te głosy, znam te zapaszki. Pachną jak błyskawice, jak rowki ściekowe spod łaźni, cuchną jak krew na śniegu po uczcie sheknathów. Moje futerko przebiega dreszcz współczucia dla biednego starego maga, wnet jednak mija. Za dużo czarodziei na tym świecie, ja to wiem najlepiej. Jestem już pod drzwiami pokoju; do środka wolałbym nie wchodzić. Nie ze strachu, po prostu nie lubię się do nich zbliżać. Od tych odgłosów bolą mnie zęby. Stare mnie ponagla: "Do środka, lisie!" Jak lepiej: w ludzkiej postaci czy tak jak stoję? Namysłam się, w końcu przybieram ludzką postać, na wszelki wypadek. Chyba lepiej tam wejść na dwóch nogach, poza tym łatwiej się zagłębia przez dziurkę od klucza. W pokoju aż się od nich roi, jak od robaków w trupie, których mrowie sprawia wrażenie, jakby trup oddychał. Niektóre mają twarze, inne nie, jeszcze inne mają w miejscu twarzy szybę lub ogień, lub pulsujące kwieciste wnętrzości. Niektóre w ogóle nie mają kształtów, nie mają ciał, jedynie wiotkie cienie, ledwo dostrzegalne ciemniejsze fałdki w powietrzu. Jedne są śliczne jak gołąbki, jak małe króliczki - inne tak paskudne, że oczy same się od nich odwracają, nawet moje. Siedzą na wspornikach łóżka, wyciągają się na parapecie, biegają po belkach. Jeszcze nigdy nie widziałem ich tyłu w jednym miejscu. Na ogół trzeba patrzeć w pewien specjalny sposób, nieco z ukosa, przymknąwszy jedno oko, żeby je w ogóle

dojrzeć. Przychodzą z drugiej strony luster. Czarownik je widzi. Ho, ho, jeszcze jak wyraźnie! Krąży tam i z powrotem, tam i z powrotem, wcale na nie nie patrzy i ani na chwilę nie siada na łóżku. Nie wolno mu znieruchomieć w ich obecności, nie wolno spocząć. Przedtem siwiejący, teraz już siwiutki - siwy jak popiół, podpalana biel, biały jak Lukassa. Zmarszczki żłobią mu twarz, bezkrwiste ślady pazurków. Chodzi tam i z powrotem, przytupuje i śpiewa sprośną żołnierską piosenkę:

Pyta kapitan kaprala: “jak się miewa mać twa stara?” A kapral jemu odpowie: “Całuj mnie w d... i na zdrowie.” W lewo, w prawo, jeszcze milkę, w lewo, w prawo, postój chwilkę. Swój tobolek ciśnij chyżo i kapitanowi każ: “Całuj mnie waść w dupę ryżą!...”

Ochryłym głosem wyświstuje w kółko przyśpiewkę, której nie zna nawet Nyateneri. Tyle zwrotek! Gdyby przestał, wszystkie zaraz by się nań rzuciły - o, nie ze szponami i zębami, choć patrząc na nie można by to przypuszczać, ale spojrzeniami, głosami, słodkim śluzowatym śmieszkiem. Dopadłyby go dawnymi hańbami, dawnymi zdradami, dawnymi śmierdzącymi sekretami. Potrafią przeinaczać wspomnienia, przemieniać dobre sny w koszmary nie do zniesienia, zbyt prawdziwe, by można je znieść. W jednej chwili poszarpią ci duszę na strzępy, wiem coś o tym. Czarodzieje nigdy nie zamykają drzwi. Popycham je i wchodzę, pozostawiając lekko uchylone, na wszelki wypadek. Gdzie indziej żar, a tu w izbie - lodowaty ziąb. Jowialny dziadunio rozgląda się dokoła i jak nie pacnie czarownika w ramię, jak nie huknie: - A, ladaco, dlaczego mnie nie zawiadomiłeś, że wydajesz bal? Wszystkie oczy - i te wielkie jak młyńskie koła, i te w pociemniałych od wilgoci pękach, i te na końcach ogonów i wyrostków - zwracają się na ludzką postać. Ten jasnooki dziadunio nie ma prawa tu przebywać, nie ma prawa ich widzieć. Tylko czarodziej nie podnosi wzroku i nie przestaje krążyć po pokoju nucąc chrapliwie:

Kapitan pyta kaprala: “Co będziemy dzisiaj pili?” A kapral jemu odpowie: “Naszczaj w czapkę, to się dowiesz.” W lewo, w prawo, jeszcze milkę...

Ależ jest zmęczony! Uderzenie dłoni ludzkiej postaciomal nie zbiło kochasia z nóg. Lukassa zapłakałaby nad nim, ja nie mam zamiaru. Mówię do starego nic: “Oto masz, oto co się tak miota, nic innego. Do widzenia i dziękuję, lis może już odejść”. Ale ze starym nic nigdy nie wiadomo. “Zostań. Patrz. Za dużo tu złych mocy. Zostań i bacz.” Otóż i macie, otóż i sprawiedliwość! Jakby biedny lisek nie miał nic lepszego do roboty, niż czekać wśród tych obmierzłych zwidów, aż nadejdzie ranek albo czarownik wykituje, jedno z dwojga. Mam gnieść się z nimi na łóżku, na parapecie i słuchać przez całą noc śpiewki o kapitanie i kapralu tylko

dlatego, że stare nic ubzdurało sobie, że jeden czarodziej różni się czymś od drugiego? O nie, nie i nie, niedoczekanie, nie tym razem, nie ten lis, nie ma mowy. Za wiele kurek czeka na mnie poza tą izbą. Ale co począć? Ludzka postać nie może sobie ot tak po prostu wyjść, stare nic jej na to nie pozwoli. A więc trudno i darmo, muszą odejść zwidy, o co błagała Lukassa, muszą odejść, bo mnie się tak podoba - mnie, a nie komu innemu. Zastanów się chwilkę, lisie. Ludzka postać klepie czarodzieja po ramieniu i zaczyna śpiewać drugim głosem:

W lewo, w prawo, jeszcze milkę, w lewo, w prawo, poczkaż chwilkę. Swój tobolek ciśnij chyżo i kapitanowi każ: "Całuj mnie waść w dupę ryżą!...

Ładna śpiewka. Czarodziej przytupuje i śpiewa, ani na chwilę nie podnosząc oczu - ani spojrzy na ludzką postać miłego starego dziadunia, podobnie jak nie patrzy na zwidy. Ale dziadek spogląda na wszystko oczyma błyszczącymi jak moje zęby. Pokrzykuje do projekcji, wita je ich imionami, przy których wymawianiu w ustach zapada noc, imionami jak chrupane szkło, jak płonąca oliwa, jak stojąca woda, jak wiatr. Wiatr w zakazanych miejscach. One tego nie lubią, nie lubią, gdy je nazywać po imieniu. Nie krzyczą i nie rozpierzchają się, nie obracają się w kamień, ale stanowczo tego nie lubią. Nie mógłbym zrobić im krzywdy, nawet gdybym chciał - ani one mnie - a jednak to ciekawe. Dziadunio w ludzkiej postaci krzyczy coraz głośniej, stroi sobie z ich imion głupie żarty, wplata je nawet w marszową śpiewkę czarodzieja. Zwidy syczą i burczą, bardziej wściekle na mnie, niż kiedykolwiek były złe na niego. Goreją coraz płomienniej, jarząc się tym samym czarnym ogniem, znakiem mocy, która je nasłała na starego czarownika. Izba wzbiera ich głosikami oburzenia głośzącymi refren piosenki "w lewo, w prawo", zagłuszającymi nawet pokrzykiwania ludzkiej postaci. Pod czarodziejem uginają się kolana, pada na klęczki, zatyka rękami uszy, zasłania twarz, już nie śpiewa. Projekcje rzucają się na niego natychmiast całą chmarą, roześmiane, drwiące, uszczypliwe - biedaczysko nie podniesie się już na nogi tym, kim był. Kiepska sprawa, Lukasso... nawet dla ciebie, co, stare nic? O jednego czarownika mniej, o jednego gnga'atha więcej, kogo to obchodzi? Nie tego lisa. Nagle czarodziej się odwraca, wciąż klęcząc, a jego szeroko otwarte oczy płoną zielonkawo jak niebo w chwilę po zachodzie słońca. Wyciąga jedną rękę, wypowiada jakieś trzy słowa, podobne do szelestu suchych traw - i zwidy znikają, co do jednego, w jedno mrugnięcie oka, znikają jak płomyki zdmuchniętych świec, jakby zatrzaśnięto za nimi drzwi, jak żyjące w rosie skrzaty w pysku starika. Nic po nich nie zostaje - nawet echo, nawet smużka dymu, tylko pustka zimnego wąskiego pokoju, zogromniałego od ich nieobecności. Zaś czarodziej podnosi się pomaleńku i uśmiecha się z wolna. - Dziękuję - mówi, kiedy dziadunio kurczy się do postaci siedzącego na

łóżku lisa. - To stawało się już bardzo męczące. - Nie ma za co dziękować - odpowiadam. Jestem zdziwiony i zły, bo nie lubię być zaskakiwany. Dorzucam: - Nie zrobiłem tego, żeby panu pomóc. Jego uśmiech rozszerza się, coraz bardziej obnażając bezzębne dziąsła. - Wiem i mimo to jestem ci nie mniej wdzięczny. To, żeś się domyślił, iż ich własne imiona ranią im uszy równie dotkliwie jak nasze, dowodzi bystrości umysłu. Wkrótce pojawią się tu znowu, ale tymczasem przynajmniej trochę odzignę i może zdołam przypomnieć sobie jakąś nową śpiewkę, żeby je odstraszyć. Ta o kapitanie i kapralu zaczynała mi już wychodzić bokiem. Strzepuje mnie z łóżka jak kurz i sam wyciąga się z westchnieniem na pościeli. Zgrzytam moimi pięknymi zębami, ale nic ponadto; krąży już i tak niemało opowieści o lisach, które pokąsały czarodzieja. - Niech pan pstryknie palcami, wymamrocze stosowne zaklęcia i przegna je - doradzam. - Po co zawracać sobie głowę przyśpiewkami? Już prawie zasypia; wydaje się, że z każdym oddechem robi się mniejszy. - Jestem zbyt zmęczony - szepce. - Muszę im stawiać czoło, słuchać ich, jestem zbyt zmęczony, dopadłyby mnie. Jestem zbyt zmęczony, mogę tylko śpiewać. Dziękuję ci, stary przyjacielu. Ostatnie słowo niknie już w chrapaniu. Wbrew własnej woli staję przy śpiącym i długo mu się przyglądam. Lis miałby być przyjacielem tego czarodzieja? Ten zmęczony niegodziwiec zna prawdę. Przyszedłem do niego, choć wcale nie chciałem, pomogłem mu, chociaż nie chciałem, chciałem jedynie pomóc temu staremu lisowi. Zrobiłem dokładnie to, o co prosiła Lukassa, całując mnie w pyszczek. Nie cierpię tego. Czarodziej chrapie, końce jego wąsów furkoczą w podmuchach oddechu. Jest tu jeszcze ktoś, kto mnie obserwuje - nie stare nic, ale martwe miejsce na wysokości okna, tuż za łóżkiem, nie większe od moich złożonych przednich łapek. Tam, gdzie pojawia się owa martwica, zaczyna brakować powietrza. Ta izba nie jest odpowiednim miejscem dla małych lisków. Poczciwy dziadunio w ludzkiej postaci zostawia za sobą lekko uchylone drzwi. Z powrotem przez sień, skrob-skrob pazurkami po posadzce, przez inne pochrapywania, westchnienia, stęknienia, lis przepływa przez prądy ludzkich odgłosów, ludzkich woni. Dogania mnie głos czarodzieja mruczącego monotonnie przez sen:

W lewo, w prawo, jeszcze milkę, w lewo, w prawo, postój chwilkę...

Jedna z mych łapek zaczyna wbrew mojej woli przytupywać do taktu.

TIKAT

Wiedziałem oczywiście, że jest chory. Rano zwykle pierwszy do niego przychodziłem - nawet przed kobietami - a znam atmosferę izby chorych nie gorzej od innych. Ale dla mnie

chorobą jest morowe powietrze, gorączka połogowa, kolka, czarna krew, gnicie kości oraz te wszystkie wiejskie niedomagania, które leczymy dokładnie tak samo jak schorzenia zwierząt gospodarskich. Mój tafiya źle sypiał, to się rzucało w oczy; z dnia na dzień tracił na wadze, stawał się coraz bledszy, a jego głos coraz częściej wpadał w zgrzytliwy szept, równie przykry dla mnie, słuchacza, jak musiał być bolesny dla mówiącego. Kiedy jednak zgłaszałem chęć nocowania w jego izdebce, zabraniał mi, podnosząc do krzyku ten swój zdarty głos, podobnie jak zabraniał mi odwiedzać się po zmroku. Skąd mogłem wiedzieć, że każdej nocy zbliża się wielkimi krokami do obłądu, a potem wraca w połowie drogi między zachodem słońca a pianiem koguta? Nie rozumiem się na takich sprawach. Opieka nad chorym starcem dziwnie mnie i Lukassę zbliżyła. Poczułem się tak, jakbym skradał się znowu krok po kroku do mojego Królika, konia Mildasów, modląc się w duchu, żeby nie spłoszyć kuca nawet przelotną myślą o zamiarze pochycenia go. Rozmawialiśmy z Lukassą rzadko; istotne było jednak to, że już chyba nie bała się pozostać ze mną w tym samym pomieszczeniu, choć nie wiem, jak by się zachowywała, gdyby nie przebywał z nami staruszek. W milczeniu uzgodniliśmy między sobą podział obowiązków: ona kąpała chorego i goliła, nie pytając go zresztą o zgodę, ponadto zmieniała mu codziennie przeпоconą pościel. Nigdy się nie dowiedziałem, jak udawało jej się zdobywać świeże prześcieradła, które Karsh wydzielał swym gościom wyjątkowo skąpo. Prosiła mnie czasem, żebym jej pomógł przewrócić na drugą stronę materac, kilka razy zaś wyjąłem jej z rąk nocnik i sam go opróżniłem. Dziękowała mi uprzejmie, ale nigdy nie wymówiła mojego imienia. Do mych obowiązków należało przynoszenie staremu posiłków, zmiatanie podłogi, wynoszenie brudnych talerzy i wysłuchiwanie, gdy nachodził go nastrój do rozmowy. To ostatnie nie zdarzało się nigdy, jeśli w izbie przebywała Lukassa ani zresztą żadna z dwóch pozostałych kobiet, jak to sobie dzisiaj uświadamiam. Widzisz, one go kochały, ja nie. Człowiek nie musi kochać swojego tafiya, może go wręcz nienawidzić. Uważałem starego za najmądrzejszego człowieka, jakiego w życiu spotkałem, nie licząc mojej nauczycielki tkactwa, ale jego uczoność była jak na mój gust zbyt frywolna, gotowa w każdej chwili uządlić jakąś uszczypliwością lub przytykiem. Mimo to staruszek poczuł do mnie sympatię, wiem o tym; może dlatego, że niczego mu nie zawdzięczałem i nie dbałem aż tak bardzo o jego dobrą opinię. To mogło pochodzić właśnie stąd, choć taki był z niego przekora. Opowiadał mi czasem o swym życiu, które było niezwykle długie. Nigdy się nie dowiedziałem, ile naprawdę ma lat, ale gdyby tylko połowa tego, co mi opowiadał, okazała się prawdą, gdyby odbył tylko połowę tych podróży w poszukiwaniu tajemnej wiedzy, jakie podobno odbył, przebył tylko połowę tych prób, jakim

został podobno poddany, doświadczył tylko połowy tych straszliwych przygód, jakie podobno przeżył i odbył tylko połowę tych magicznych spotkań, o jakich mi opowiadał, trzeba by z pewnością co najmniej dwóch przeciętnych ludzkich żywotów, żeby to wszystko pomieścić. Czarownicy zapewne kłamią, nie inaczej niż zwykli ludzie (tylko zręcznie), ale on przebiegał spieszenie partie przygodowe, natomiast z uporem maniaka powracał do zwykłych ludzkich smutków i porażek. - Znałem raz pewną kobietę - wyznał mi kiedyś. - Podróżowaliśmy razem, przez długie, długie lata, a potem ona umarła... Nie dostrzegłem łez w jego wyblakłych zielonkawych oczach, ale czy z czarownikami można być czegokolwiek pewnym? - Przykro mi - wybąkałem. Chwilę wcześniej odwrócił ode mnie wzrok, a teraz uderzył mnie spojrzeniem z taką siłą, że aż się skuliłem. - Czyżby? Wyobrażasz sobie, że twoje mazgajstwo i usychanie z tęsknoty za Lukassą czynią cię zdolnym do zrozumienia cudzej straty? Tu nie ma żadnego porównania! Ty nic nie rozumiesz! I do końca dnia nie odezwał się już do mnie ani słowem. A znów innym razem narzekając na jakość chleba wypiekanego przez Shadry'ego, zapytał mnie całkiem nieoczekiwanie: - Czy jest coś, czego się lękasz, chłopcze? - Rzucił to pytanie od niechcienia, lecz jego głos przypominał trzeszczenie zdzieranej przez wiatr strzechy. - Powiedz mi, czego się boisz? Nie musiałem namyślać się nad odpowiedzią dłużej niż przez czas potrzebny do nabrania tchu. - Niczego. Przedtem... p r z e d t e m bałem się wszystkiego, co mogło grozić rozłączeniem mnie z Lukassą. Teraz to najgorsze już się stało więc nie mam się czego bać. - Urwałem na chwilę, ponieważ zaczął się uśmiechać, a następnie dodałem: - Naprawdę wolałbym, żebym miał się czego lękać. Nie wydaje mi się, by było dobrze, kiedy człowiek nie ma się już zupełnie czego bać. Jego uśmiech się poszerzył, ujawniając wysuszone dziąsła i pieńki poczerniałych zębów. Pomyślałem sobie, że nigdy bym nie dopuścił do takiego zaniedbania własnej osoby, gdybym mógł temu zapobiec pstryknięciem palcami. Czarodziej stwierdził cicho, niemal z rozmarzeniem: - Masz rację, lecz mimo to ci zazdroszczę. Widzisz, to, czego się najbardziej boimy, zawsze się spełnia. Zawsze! - Ostatnie słowo niemal osmaliło przestrzeń między nami. - My sami to sprawiamy, zarówno czarownicy, jak i prości tkacze, choć nie potrafiłbym ci wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje. Lecz oto jesteś, siedzisz tu przy mnie, twoja najgorsza obawa się ziściła, masz to już za sobą, a jednak nie umarłeś. Naprawdę ci zazdroszczę, Tikat! Myślałem, że mistrz sobie żartuje, odburknąłem więc: - Przeżyłem, to prawda, lecz nie jestem pewien, czy to znaczy to samo, co nie umrzeć. - Subtelne rozróżnienie jak na chłopca ze wsi! Tym razem trudno było nie usłyszeć gryzącej ironii w jego głosie. - Przypomniałem sobie teraz - ciągnął - że sam bałem się wielu, bardzo wielu rzeczy, w różnych okresach mego życia,

ale wygląda na to, że je wszystkie przeżyłem, podobnie jak miłość i nienawiść pospołu. Figiel polega na tym, że przez całe życie nigdy nie bałem się śmierci; ostatecznie byłem tym, kim byłem i swoje wiedziałem. A teraz się jej boję! Jak ciebie napawała przerażeniem perspektywa życia bez Lukassy, tak mnie paraliżuje potworny lęk przed śmiercią, a to wielkie upokorzenie dla czarownika... Z jego głosu zniknął ton kpiny, czy to ze mnie czy z samego siebie. Staruszek wyciągnął ręce i chwycił mnie za ramię, a ja aż się zdumiałem stwierdzając, jak chude i drżące stały się jego palce. - Tikat, jak się boję śmierci, ja nie chcę jeszcze umierać! Nie pozwól, abym umarł! Ogarnęła mnie trwoga i zamęt, jakby te uczucia przeniknęły z jego palców w moje ramię. - Dlaczego zwraca się pan do mnie? - spytałem. - Co ja mogę zrobić, żeby panu pomóc? Ale on odwrócił już wzrok w stronę jedynej w pokoju okna. - A, tu jesteś! - zawołał. - Zaczynałem już myśleć, że mnie odstępłeś! W pokoju nie było nikogo prócz nas dwóch. Staruszek zwracał się do rozedrganego pod parapetem słonecznego promienia. - Nie, nie, oczywiście, że nie, za dobrze cię znam! W jego głosie dźwięczało rozbawienie, niemal bliskie śmiechu. Wyszedłem nie czekając na odpowiedź słonecznego blasku. Na korytarzu Marinesha, która zamiatała podłogę, coś nazbyt szybko odwróciła wzrok. Domyśliłem się, że podsłuchiwała pod drzwiami. Biedaczka nie umie kłamać, zdradza ją nawet milczenie. - Nie poprawiło mu się od wczoraj - poinformowałem ją - ale i nie pogorszyło. Minałbym ją i oddalił się, ale podeszła i stanęła naprzeciwko mnie, bliżej niż zwykle. Jeśli nie powiedziałem ci dotąd, że Marinesha wydawała się całkiem ładna - miała duże, ciemnoszare oczy, pełne wargi i skórę, która powinna była już dawno schropowacieć od tak ciężkiej pracy, a wcale nie schropowaciała - to dlatego, że jej wygląd w ogóle mnie nie obchodził. Jak na mój gust za dużo mówiła, ale odnosiła się do mnie uprzejmie, choć Rossethowi pod byle pretekstem dawała poznać ciętość swego języka. Zwróciła się do mnie z niepokojem, ale i z wahaniem: - Tikat... czy on... rozmawiał z kimś w pokoju? - Aha - przytaknąłem - ze starym znajomym, który przypadkowo wygląda jak ściana. O ile mi wiadomo, czarownicy mają wielu podobnych przyjaciół. Prawdę mówiąc myślałem tylko o tym, żeby się oddalić i w samotności rozważyć słowa mojego taty, tymczasem Marinesha nie schodziła mi z drogi. Zagryzła wargę, znowu uciekła w bok spojrzeniem i powiedziała cichutko: - Tikat, Lukassa nie jest jedyną kobietą na świecie... Ledwo ją mogłem dosłyszeć. Oblała się przy tym tak ciemnym rumieńcem, iż wydawało się, że nawet jej płowo-brązowe włosy pociemniały od napływu krwi. Odburknąłem z szorstkością, jaka przychodziła mi wtedy coraz łatwiej: - A choćby i tak było, już bym jej nie zechciał, ani żadnej innej zamiast niej. Nie pragnę już nikogo, Marinesho. Skończyłem z miłością. Dotknęła nieśmiało mojego policzka.

Chwyciłem ją za przegub ręki i w milczeniu pokręciłem głową. Wydawało mi się, że nie zrobiłem tego brutalnie, ale gdy się po chwili obejrzałem, dziewczyna przyciskała nadgarstek do ust, jakbym jej posiniaczył rękę. Do dziś prześladuje mnie ów widok. Nie należało krzywdzić Marineshy. Dnie wlokły się powoli ku jesieni nie skracając się z pozoru ani nie oziębiając. Wydawało mi się, że jak Rosseth, całe życie przetyrałem w tej karczmie i zastanawiałem się nieraz, co mnie tu trzyma choćby następną godzinę. W domu zostało przecież kilka osób, które mogły za mną tęsknić, a pustkowie, mordercze na wiosnę, staną się całkiem nie do przebycia po nadejściu śniegów. W oberży nie miałem już na co czekać; tak zresztą było od początku. Traciłem tylko po próżnicy czas, pora to sobie powiedzieć otwarcie i ruszać w drogę powrotną. Mówiłem to sobie otwarcie i nie ruszałem się z miejsca. Pewnego popołudnia Karsh kazał mnie i Rossethowi wymienić kilka zbutwiałych krokwi w wędzarni. Praca męcząca przy każdej pogodzie, w panującym zaś podówczas upale zarazem wyczerpująca i niebezpieczna. Belki wciąż się wyslizgiwały ze spotniałych palców, a dwa razy omal nie zmiażdżyły nam nóg. Sklecieliśmy sobie w końcu praktyczny wyciąg. Stałem właśnie na dole i podawałem belkę Rossethowi na dach, kiedy zobaczyłem w drzwiach wędzarni Nyateneri. Obok niej siedział lis. Osadziliśmy belkę jak należy i Rosseth zaczął ją zapamiętałe, z wielkim hałasem przybijać. Na Nyateneri ani spojrział. Przystojna z niej była kobieta, o żołnierskiej postawie, mojego wzrostu, o zmiennej barwie oczu i brązowych, przetykanych siwizną gęstych włosach. Trudno by ją nazwać skończoną pięknnością, nie była nawet ujmująco ładna jak Marinesha, ale nawet w mojej wiosce obejrzałby się za nią każdy mężczyzna i pamiętałby o niej dłużej niż o prawdziwych ślicznotkach. Nigdy wcześniej nie widziałem jej i lisa razem. Bestia patrzyła wprost na mnie śmiejącymi się błyszczącymi żółtymi ślepiami położywszy do tyłu jedno ucho. Nyateneri oświadczyła: - Chciałabym porozmawiać z wami dwoma. Rosseth, zejdź stamtąd, z łaski swojej. Nie podniosła głosu, mimo to mój towarzysz oderwał oczy od roboty, namyślał się chwilę, po czym zeskoczył zwinnie z dachu i wylądował obok mnie na słomie. - Soukyan - mruknął prawie szeptem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, co to słowo znaczy. - On umiera - oznajmiła - i nie możemy nic na to poradzić. - Brązowa twarz Nyateneri nie wyrażała żadnych uczuć, ale kobieta mówiła wolno, tak jakby każde słowo wpychała jej z powrotem do gardła rozpacz; znam ten sposób mówienia z własnego doświadczenia. - Umrze jutro w nocy - dodała. - Skąd wiesz? - Rosseth chwycił mnie za rękę z taką nieprzytomną dziecinną gwałtownością, że jeszcze długo potem czułem jego uścisk. - Jest silniejszy, niż wam się zdaje! Nie sądziłem, że przeżyje tę pierwszą noc po przyjeździe, a jednak przeżył, przeżył, więc i dzisiaj przeżyje! Wy nic nie

wiecie! - zawołał, bardzo szybko mrugając powiekami. Nyateneri spojrzała na niego z taką tkliwością, jakiej się nie spodziewałem po tej wyniosłej kobiecie. - On umrze, Rosseth. I sam o tym wie. Wpatrywał się w nią długo, a potem bardzo wolno pokiwał głową. - Chce nas widzieć - powiedziała Nyateneri. - Ciebie, mnie, Lal, Lukassę... i Tikata. - Zrobiła pauzę dostatecznie długą, by dać mi do zrozumienia, czym pomysłem było włączenie do tego grona mojej osoby. - Chce widzieć nas wszystkich. - Ale dlaczego akurat jutrzejszej nocy? - Oczy Rossetha były suche i patrzyły z tak typowym dlań gniewnym uporem. - Skąd on... dlaczego jutrzejszej nocy? - Z powodu nowiu. - Nyateneri sprawiała wrażenie szczerze zdumionej. - Czarodzieje umierają tylko nocą podczas nowiu. Sądziła najwyraźniej, że nawet takie gamonie jak my powinni znać tak podstawową prawdę i była zła na siebie za tę pomyłkę w założeniu. Odwróciła się bez słowa, ale lis siedział dalej na miejscu i nie odrywał ode mnie spojrzenia żółtych ślepi. Słyszałem jego głos w głowie, trudno było bowiem nie poznać tego zgrzytliwego wzgardliwego szczeku: "No i co, chłopcze, no i co, koleżko koniokradzie, czyż nie znalazłeś się najdalej od domu ze wszystkich ludzi żyjących na tym świecie?" Nie byłem w stanie poruszyć się z miejsca dopóty, dopóki nie zaczął przeciągać się leniwie niczym kot lub pies, po czym powłókł się za swoją panią. Jakiś mały zakurzony ptaszek wzbijał się w powietrze tuż przed jego nosem i lis skoczył na sztywnych łapach, jednak chybił. Rosseth przyglądał mi się tak, jak ja przed chwilą tamtemu przecherze. - Masz nowego przyjaciela - stwierdził. - Nie sądzę - odparłem. - Zostawiam mu od czasu do czasu różne kąski, żeby oszczędzał kury Karsha. Przypuszczam, że poznaje mnie już po zapachu. - A odkąd to tak się troszczysz o kury Karsha? - wykrzyknął nagle piskliwie. Wzruszyłem ramionami i sięgnąłem po ostatnią belkę, jaka nam została, ale mój towarzysz chwycił mnie za rękę i zawołał: - Tikat, dlaczego nikt mi nie chce powiedzieć, co tu się wyprawia? Dlaczego umiera ten czarodziej? Skąd wie, że umrze jutro w nocy podczas nowiu? Tu się dzieje coś okropnego, a nikt mi nie chce powiedzieć, co! Goście biją się ze sobą po pokojach, konie kopią w drzwi boksów i atakują się bez żadnej przyczyny jak wściekłe biesy, nawet ten biedny stary Tunzi. Marinesha mówi, że Shadry budzi wszystkich po nocy krzycząc, że go żywcem pogrzebano. Dlaczego Gatti Jinni rzucił wczoraj butelką w ulicznego śpiewaka? Dlaczego woda ze studni cuchnie słodkawą zgnilizną jak zgangrenowana rana i dlaczego wiatr wciąż nie przestaje wiać? Dlaczego Karsh sprawia takie wrażenie, jakby usilnie chciał mi coś powiedzieć... i czemu akurat teraz, czemu teraz?... i dlaczego ty masz jakieś sekrety z lisem? Wreszcie co się nam tak przygląda, Tikat? Co się tak na nas stale gapi z wiatru ze studni i z końskich ślepi? Objąłem go ramieniem. Sprawiał wrażenie równie zaskoczonego tym gestem jak

ja sam. Rosseth zawsze wzbudzał we mnie coś takiego... jakieś pragnienie... coś, czego nie powodował nigdy żaden człowiek, z wyjątkiem Lukassy. Za każdym razem mnie to przerażało, choć coraz słabiej. - Nie wiem - odpowiedziałem. - Sądziłem, że to tylko moje przywidzenia. Pokręcił energicznie głową. - Nieprawda, to wszystko się dzieje naprawdę! Porozmawiaj ze mną, Tikat, podzielmy się ze sobą spostrzeżeniami. Ja ci powiem, co prawie widziałem, a ty mnie, co ci się zdawało. Ja ci powiem, czego zaczynam się chyba domyślać, ty mnie powiesz, czego sam... - ... się boisz - dopowiedziałem myśląc o czarowniku. Rosseth zamrugął ze zdziwieniem powiekami. - Nic, nic - uspokoiłem go. - Mów dalej, Rosseth. A więc dobrze, porozmawiajmy. Rozmawialiśmy długo, dłużej niż kiedykolwiek dotąd, osadzając ostatnią belkę, a potem utykając szczeliny w dachu słomą zmieszaną z końskim łajnem. Tak samo robimy w mojej rodzinnej wiosce. Opowiedziałem Rossethowi o lisie, który jest zarazem Czerwonym Płaszczem, i o mojej Lukassie, którą z dna rzeki podniosła pieśń Lal. Rosseth za każdym razem nabierał już powietrza, żeby zaprzeczyć prawdzie moich słów, lecz się powstrzymywał; podobnie zresztą jak ja sam, kiedy on z kolei wyjawiał, że Nyateneri nie jest wcale kobietą, ale mężczyzną o imieniu Soukyan, który zabił w łaźni dwóch okrutnych i bezwzględnych morderców. (Czy to ktoś do nich podobny pozbawił mnie dotknięciem przytomności wtedy w korytarzu pod drzwiami czarownika? Nigdy się tego nie dowiedziałem). Rosseth czerwienił się i zacinał, mimo to zrozumiałem z jego opowiadania dostatecznie dużo, by poklepać go pocieszająco po ramieniu i pokiwać głową. Jeden z księży z naszej wioski twierdzi, że miłość między mężczyznami jest okropnym grzechem, z kolei drugi utrzymuje, że nie ma innych grzechów prócz cienkiego piwa, przypalonego mięsa i rozpalania ogniska na sposób inny niż jego własny. Co do mnie, zachowam własny pogląd na podobne sprawy dla siebie. - Powiedzieliśmy więc sobie wszystko i co? - spytałem na koniec. - Wiem, że Lal i Soukyan przybyli tutaj w poszukiwaniu swego przyjaciela i mistrza i znaleźli go we władzy czarnoksiężnika imieniem Arshadin, jeszcze odeń potężniejszego. Jak dotąd zgoda? Rosseth nie zgodził się ze mną. - Wcale nie wiemy, czy Arshadin jest potężniejszym czarownikiem! Gdyby ten staruszek był wypoczęty, w pełni zdrowia i sił, sprawy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. Chłopak jest bardzo lojalny. - Możliwe - przyznałem - ale to jednak Arshadin nie daje mu odpocząć i nasyła na niego, jeśli wierzyć Marineshy, głosy i nieproszonych gości, żeby go nękali po nocach. Więc wedle mego rozeznania to czyni Arshadina jego panem. - Rosseth zaciął się w uporze i tylko zagryzł dolną wargę. Ciągnąłem: - A skoro ten Arshadin potrafi wyczyniać tak niekzemne cuda, to on najprawdopodobniej jest odpowiedzialny za wszystkie plagi, jakie nękają tego lata gospodę "Pod

Tasakiem i Ościeniem”. Uświadomiłem sobie, że po raz pierwszy od dnia, w którym tu przybyłem, wypowiedziałem nazwę karczmy, i chwyciła mnie nagle ogromna tęsknota za światem, w którym w ogóle nie znałem tej nazwy. Rosseth przytaknął mi z zapalem i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, lecz ja przybrałem zimny ton, czym zbiłem go z pantafyku. - Ale to ostatecznie nie mój interes. Ta kupa gnoju to twój dom, nie mój, co zresztą stanowi w tym momencie największą dla mnie pociechę. Cokolwiek się zdarzy, czy nie zdarzy, cokolwiek spotka twoich kłótliwych czarowników, ja wracam do siebie i zapominam o całym tym bajzlu. - Wstałem. - Uporaliśmy się już z robotą, muszę teraz pomóc Gattiemu Jinni w spiżarni. Rosseth poczekał, aż dojdę do drzwi, zanim stwierdził: - Lukassa tu przecież zostanie. Otwierałem usta, żeby odpowiedzieć, ale nie dopuścił mnie do słowa równie obcesowo, jak przedtem ja jego. - Podobnie jak ja, jak Marinesha, która była dla ciebie taka miła. Czy naprawdę nie będziesz ciekaw, co się z nami stanie, Tikat? Smarkacz był o dwa lata ode mnie młodszy, a już zachłanny jak wygłodniały sheknath. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Ja pierwszy spuściłem wzrok. - Nie odjadę stąd, dopóki ona nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu, jeśli dla niej w ogóle istnieje bezpieczne schronienie. Potem... no cóż, potem Królik i ja pojedziemy, dokąd nas oczy poniosą, może do domu, a może gdzie indziej. - Ponieważ chłopak milczał, ciągnąłem: - Wy musicie sami o siebie zadbać. Nie potrafię kochać więcej niż jedną osobę na raz, a i to przychodzi mi z trudem. Idę do spiżarni. Wyszedłem już przed wędzarnię i oślepiony falą słonecznego blasku, zamknąłem oczy, gdy dogoniło mnie wołanie Rossetha: - Tikat! Mieszkam tu całe życie, ale ani razu nie nazwałem tego miejsca domem. Słyszysz? Ani razu! Ale masz rację, to jednak jest mój dom i będę go bronił najlepiej, jak potrafię, a wraz z nim moich przyjaciół. Dziękuj ci, Tikat, dziękuję za tę naukę! Nie oglądając się za siebie ruszyłem w słonecznym żarze pod górkę do gospody.

KUCHCIK

To był najfajniejszy okres w tej gospodzie. Shadry zasypiał już w południe rozwalony na wielkim pniaku do rąbania mięsa, podobny do jednego z tych tłustych wilgotnych połci, które na nim siekał. Jak raz zaczął chrapać, to ani się poruszył, aż przychodziła pora szykować kolację, jeśli znalazł się taki, co by miał siły ją jeść. Mimo to żaden z kolegów nie ośmielał się wymykać ze mną z kuchni, najwyżej na chwilkę, żeby sobie popatrzeć na gości albo pogłaskać starego osła Rossetha. Zwijali się wszyscy w kłębek w najciemniejszych kątach, jakie mogli znaleźć, i przesypiali cały dzień jak nasz pryncypał. Niektórzy nawet chrapali tak samo jak on. Ja nie. Każdego dnia, ledwo Shadry zasypiał z głową na przedramieniu, przemykałem przez

pomywalnię i bocznymi drzwiami, zawczasu nabierając ustami powietrza, zanim uderzy we mnie fala porannego żaru, wychodziłem na podwórze. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem takich upałów: zaraz po wschodzie słońca człowiek czuł, jak pot zaczyna skwierczeć mu na skórze niczym plaster tłustego mięsa na patelni. Nigdy też nie widziałem podobnego nieba: z rana białe jak kość, po południu jak popiół. Późną nocą przybierało barwę lawendową z białym żyłkowaniem, ale nigdy bardziej nie ciemniało. A my wszyscy, dniem i nocą, pod dachem czy na dworze, skwierczeliśmy jak smażeni na patelni. Cały świat zmienił się w wielką patelnię. W pomywalni byłoby nieco chłodniej niż w kuchni - pomywalnia była w ogóle najlepszą ze wszystkich kryjówką, jeśli nie liczyć piwniczki na wina, gdzie najgorętszą porę dnia przesypiał gruby Karsh - lecz ja z własnej woli nie zostałem w tej kuchni ani chwili dłużej, niż musiałem, za nic na świecie, a żadnemu z nas, nie licząc Shadry'ego, nie było wolno wchodzić do żadnego innego pomieszczenia w gospodzie. Toteż zwykle wymykałem się do stajni i pomagałem Rossethowi przy koniach. Rosseth był moim przyjacielem. Był oczywiście dużo ode mnie starszy, już prawie dorosły, często miał masę roboty lub właśnie o czymś myślał, więc nie mogliśmy sobie gawędzić tak jak lubiliśmy. Ale nigdy się na mnie nie złościł, a dwa razy pozwolił mi się schować na stryżku i skłamał Shadry'emu, że nie wie, gdzie jestem, kiedy ów szukał mnie, zziąjany, wymachując tymi swoimi długimi łapskami. Rosseth nigdy się nie bał kucharza, choćby nie wiem co zbroił. Przy nim czułem się zawsze bezpieczny. Tamtego dnia konie leżały na słomie i nie chciały wstać, gdy chcieliśmy je wyszczotkować i obejrzyć kopyta. Rosseth robił przy nich, co się dało, a ja nosiłem wodę i zrzucąłem ze stryżku świeże siano. Potem odpoczywaliśmy w pustym boksie, gdzie nie było nas widać od drzwi, i trochę rozmawialiśmy. Pamiętam, że zapytałem, czemu jest wciąż tak gorąco, nawet w nocy, a Rosseth mi powiedział, że to dlatego, bo w niebie walczą ze sobą dwaj potężni czarodzieje. Wymyślił dla mnie na poczekaniu całą historię, ale zasnąłem w połowie opowiadania z głową na jego ramieniu. Długo nie spałem, bo zaraz wszedł Tikat i mnie obudził; zdaje się, że Rossetha też. Powiedział, że upał nie upał, Karsh kazał im rozładować wózek z warzywami z targu. Nie lubiłem Tikata, choć nie zrobił mi nigdy żadnej krzywdy; po prostu go nie lubiłem. Czasami nie rozumiałem, co mówi, przez tę jego południową gwara, a jak zrozumiałem, kazał mi właśnie zmykać i nie plątać się pod nogami. Kiedy jednak wychodził wtedy z Rossethem, wskazał na swoje drugie śniadanie - zimowe jabłko i dwie całe heshti pokryte brązową skórką chrupiącego sera - żebym sobie zjadł. Więc może jednak nie był taki zły jak na południowca. Przez resztę tego dnia kryłem się w różnych zakamarkach gospody, a od czasu do czasu wślizgiwałem się do

kuchni, żeby sprawdzić, czy Shadry jeszcze śpi. Chowałem się w wędzarni, w maślarni, w łaźni a nawet w cuchnącej małej świątyni na wzgórku, starając się gonić cień, w miarę jak przesuwało się słońce. Po jakimś czasie zaczęło mi się jednak wydawać, że w ogóle przestało się poruszać. Przyglądałem mu się i przyglądałem przez palce, a ono nie przesunęło się nawet na paznokieć. Od południa wisiało wciąż nad stajnią, coraz bardziej dojrzałe i ciężkie, aż w końcu zrobiło się dokoła niemal białe jak stokrotka, a w środku ciemne, twarde, nabrzmiałe i ciemne jak żółtko w dzbuku. Kiedy się takie zrobiło, przestałem się przyglądać i wtedy usłyszałem, że ono bije, kołatało jak serce z żelaza. Czuło się to bicie w całym ciele, w kościach i w oczach, a bijące słońce w ogóle się nie przesuwało. Nie wiedziałem, co robić. Chciałem poszukać Rossetha, żeby mu powiedzieć, że coś złego stało się ze słońcem, ale był gdzieś zajęty z Tikatem. Przed gospodę wyszedł Gatti Bielmo i zamieniliśmy ze sobą dwa słowa. Gatti nie znosi Shadry'ego, więc nie bałem się, że mu wygada, że uciekłem z kuchni. Gatti powtarzał jednak tylko w kółko, jak bardzo się boi nowiu księżycy podczas nadchodzącej nocy. Powtarzał to do znudzenia i przewracał tym swoim białym ślepiem. - Bardzo mi się nie podoba, kiedy na niebie nie widać księżycy, ogromnie mi się to nie podoba. Księżyc zawsze powinien świecić, choćby ciupinkę, żeby człowiek nie rozbijał sobie nosa o sprzęty. Niedobrze, kiedy w nocy nie widać księżycy. Tak gadał i gadał, więc rozmowa z nim nie przyniosła mi wielkiej pociechy. A potem zjawił się ten staruszek w czerwonym płaszczu i od razu zrobiło mi się różnie. Przyszedł późnym popołudniem; każdego innego dnia zaczynałoby się już zmierzchać. Zwykle przychodził o tej porze spacerkiem z Corcorui, gdzie mieszkał jego wnuk, i przysiadał na krótką pogawędkę przy piwie w izbie. Wiem o tym od Rossetha; w izbie dla gości byłem tylko raz, żeby posprzątać po jakiejś bójce; poza tym ten stary ze wszystkimi rozmawiał, wszystkich znał, nawet kuchcików. Miał taki zabawny głos, którego naprawdę trudno było słuchać - ostry, uderzał cię o tę kostkę w uchu wrażliwą jak rzepka w kolanie. Mimo to wszyscy go lubili, z wyjątkiem grubego Karsha. Kiedy staruszek dojrzał mnie schowanego w rozległym cieniu rosnących na podwórzu drzew, zawołał mnie po imieniu i zapytał: - A co ty robisz tak daleko od czajników i saganów, malcze? Czy wiesz, że słońce nie zachodzi, bo zdębiało ze zdumienia na twój widok? Wyjął z kieszeni płaszcza zakurzony cukierek i dał mi go. - A nieprawda! - zaprzeczyłem. Wydawało się, że wcale mu nie przeszkadza ten potworny upał; można by pomyśleć, że to normalny wieczór, choć gdyby to był zwyczajny wieczór, ja zwiłabym się jak w ukropie w kuchni, nosiłbym coś, mieszał, szorował i starał się uprzedzać o jeden odskok długie, rozmachane łapska Shadry'ego. Dodałem: - Nie wiem, co się stało ze słońcem, z pogodą i z ludźmi, ale to wcale nie moja wina.

Chciałbym, żeby to się już skończyło. Starszy pan podniósł mnie i zakręcił mną młynka w powietrzu. Był bardzo silny, jak na staruszka o siwych włosach i chudych ramionach. Zawołał: - Czy wiesz, malcze, że mogę to przerwać, skoro ci na tym zależy? Czy mam tak zrobić? Czy mam porozmawiać ze słońkiem i kazać mu położyć się do łóżeczka, żebyś i ty mógł udać się na spoczynek? Powiedz tylko słowo, a sprawa załatwiona! Kiwnąłem głową, a on postawił mnie z powrotem na ziemi. Obaj się śmialiśmy. Odszedłem kilka kroków i znowu się odwróciłem. Właściwie nie wiem dlaczego. Staruszek kuśtykał już w stronę drzwi do gospody, nie tych od izby karczemnej, ale tych wielkich, rzeźbionych, przeznaczonych dla gości. Kiedy za nim krzyknąłem, żeby przypomnieć o złożonej mi obietnicy, nawet nie zwolnił kroku. Nie zapukał też do drzwi, ale je pchnął i wszedł do środka śmiało jak sam oberżysta Karsh. Drzwi zatrzęsnęły się za nim z rozmachem, ale zupełnie cicho. Widziałem to na własne oczy. A potem nagle niebo pociemniało i to okropne miarowe bicie słońca ucichło. Ptaki w jednej chwili podniosły wieczorny rwetes. Wiedziałem, że gdybym odwrócił głowę, zobaczyłbym, jak wielka kula spływa po niebie i przypomina znowu masło na patelni, ale się nie obejrzałem. Stałem tam z zamkniętymi oczami i czułem, jak zapalają się gwiazdy.

LAL

To nie miało żadnego sensu. W życiu tak się nie wstydziłam za siebie. Oto tłoczyliśmy się - Soukyan, Lukassa, Rosseth i ja - wokół łóżka mojego przyjaciela, jakby miano nam zaraz odczytać testament przed złożeniem umierającemu dłoni na piersi, po czym miał łagodnie odfrunąć w zaświaty. W istocie byliśmy piątką przyjaciół, którym przyszło wypowiedzieć okrutne straszne słowa pożegnania. Jednak najżywiej pamiętam ból w kontuzjowanej klatce piersiowej, spotęgowany powstrzymywaniem ataku sztubackiego chichotu. Nie znajduję dla siebie żadnego, ale to żadnego usprawiedliwienia. Mam nadzieję, że tylko Soukyan coś dostrzegł, ale dobrze mi tak, jeśli wszyscy to zauważyli. Mistrz odszedł od nas już wieczorem poprzedniego dnia: nie umarł, nie zagubił się w głębi własnej jaźni, lecz stał na jej dalekiej granicy, której wyobrazić sobie nawet nie byliśmy w stanie, usiłując powstrzymać nów księżyca. Oczywiście nie miał na to szans, nawet on. Mimo to walczył, nieprzytomny, zaśliniony, sam zmarniały i podobny do ludzkiego nowiu; leżał na sienniku w ciasnym, obskurnym pokoiku i walczył o zatrzymanie światła dziennego. Aż przegrał. Ledwo słońce zgasło, wydał krótkie ciche westchnienie, otworzył oczy i odezwał się z takim spokojem, jakby przerwał mu na chwilę wątek napad kaszlu lub czyjeś głupie pytanie: - Oto, co musicie zrobić, żeby uchronić się przed griga'athem. Ze wszystkiego, co nastąpiło potem, ze wszystkiego, co spotkało mnie od tamtej

pory w życiu, nic nie wydało mi się równie przerażające jak owe kilka słów wypowiedzianych spokojnym ochrypłym głosem. Mój przyjaciel ciągnął: - Została nam tylko chwila, więc chociaż raz słuchajcie mnie uważnie. Nie ma żadnego sposobu pokonania lub unicestwienia griga'atha... czy mnie słyszysz, Lal? Możliwe jednak, że uda się wam odwrócić na moment jego uwagę i uciec, pod warunkiem, że postacie dokładnie tak jak powiem. - Rozejrzał się po ciemnym pokoju. - A gdzie Tikat? Odpowiedział mu Rosseth, głosem załamującym się i zachrypniętym: - Na pewno już idzie. Karsh kazał mu wyczyścić kamienie ofiarne w świątyni. Będzie tu za chwilę, obiecuję. Mój przyjaciel wyciągnął rękę, położył drżącą dłoń na dłoni chłopca i rzekł łagodnie: - Griga'ath zniszczy tę gospodę wraz ze wszystkimi, którzy się w niej znajdują. Może uda się wam ocalić kilka osób, sam nie wiem. Ja nie będę w stanie wam pomóc. Soukyan płakał bezgłośnie; stał z odciągniętymi do tyłu ramionami, po obu zaś stronach nosa na przemian spływały mu pojedyncze łzy. Twarz Lukassy, o dziwo, mieniła się kolorami, a jej usta zacisnęły się mocno, gdy mój przyjaciel podjął: - Jak wiecie, są istoty, które potrafią się poruszać tylko po linii prostej (najgroźniejsze z nich powstrzyma byle ekran), a są i takie, które nie potrafią przekraczać płynącej wody. Griga'athy nie mają słabych punktów. - Wskazał głową stojący na stole wazon srebrzystych pachnących melancholijek. - Podaj mi te kwiaty, Lukasso. Prędkiej! Postawiła je tam rano Marinesha; przywiędłe już i uschłe w chwili gdy je zrywała, stanowiły rzadkie znalezisko jak na tak późną porę tego złego lata. Wraz z pachnącymi melancholijkami (mieszkańcy południa, gdzie rosną wyższe i ciemniejsze, nazywają je "cieniami wiatru") dziewczyna wstawiła do wazonu kilka kwiatów shuli. Kwiaty shuli odznaczają się niezwykłą cechą: są zawsze barwy identycznej z aktualnym kolorem nieba; te były całkiem bezbarwne i ciepłe w dotyku, mimo że stały w wodzie. Mój przyjaciel wziął wazon z rąk Lukassy, choć wydawało się nam, że nie zdoła utrzymać go prosto. Kwiaty drgnęły lekko między jego dłońmi. - To was nie uratuje - rzekł. - Griga'ath nie cofnie się w popłochu przed bukietem i nie skuli drżący w kąciku, ale być może choć na chwilę zatrzyma go wspomnienie kwiatów. Może przypomni sobie, że był kiedyś człowiekiem. Nie dał nam nawet czasu na rozklejenie się. Przypuszczam, że żadne z nas nie śmiało spojrzeć na drugie (mnie w każdym razie z pewnością zabrakło do tego odwagi), miałam jedynie wrażenie, że wszystka krew w żyłach zmienia mi się w łzy. Mój przyjaciel podjął: - On będzie wyglądał tak samo jak ja. Jeśli wam życie miłe, m u s i c i e o tym pamiętać! Będzie wyglądał dokładnie tak jak ja i będzie bardzo wygłodniały. Słuchajcie mnie teraz uważnie. Rzucicie mu te kwiaty pod nogi, razem z wazonem - najlepiej, abyś to zrobił ty, Soukyanie - a potem odwrócić się i uciekniecie. Nie oglądajcie się za siebie,

nawet po to, by pomóc drugiemu. Pod żadnym zaś pozorem nie patrzcie griga'atbowi w oczy! Czy mnie zrozumieliście? Żadne z nas nie było w stanie wykrztusić słowa odpowiedzi. Usłyszałem ciche, zniecierpliwione westchnienie naszego mistrza - tak mi znane jak mój własny oddech i równie drogie - a potem ponownie uderzył mnie i zastanowił wyraz gniewu i determinacji odbijający się w suchych oczach Lukassy i na jej twarzy. Mój przyjaciel ciągnął: - Nie wolno wam płakać po mojej śmierci, nie będzie na to czasu... Ledwo to powiedział, otworzyły się drzwi i wszedł staruszek w czerwonym płaszczu. Teraz już znam prawdę o tym lisie; wiem, kim był, jak się spotkali - on i Soukyan - oraz ile dla siebie znaczyli, lecz wówczas nie wiedziałam nawet, że coś łączy naszego towarzysza z ugrzecznionym, jowialnym staruszkim w czerwonym szynelu. Tak więc zdziwiłam się, gdy Soukyan napadł na przybyłego z wściekłością, krzycząc coś w jakimś syczącym języku, który powinnam była rozpoznać zaraz tamtej pierwszej nocy, gdy odezwał się w nim do lisa. Czerwony Płaszcz nie zwrócił na tę napaść najmniejszej uwagi, uśmiechnął się tylko serdecznie i dobroduszenie do nas wszystkich i ruszył w stronę łóżka. Zastąpiłam mu drogę, nie wiedząc właściwie, dlaczego to robię. - Pozwól mi przejść, głupia kobieto! - rozkazał mi głosem, który najpierw zabrzmiał jak lisie szczekanie Czerwonego Płaszczu, a potem zmienił barwę na inną, również mi skądś znaną. Za moimi plecami odezwał się cicho mój przyjaciel: - Pozwól mu przejść, Lal. Wtedy się domyśliłam, kogo mam przed sobą i usunęłam się z drogi. Nie zmienił postaci, dopóki nie stanął przy łóżku i żółtymi lisimi ślepiami spojrzął z góry na mojego przyjaciela. Najpierw zmieniły mu się właśnie oczy, stały się niebieskie, pozbawione źrenic, takie jakie zapamiętałam. Reszta metamorfozy dokonywała się powoli, z obrzydliwą, ociężałą powolnością, ale gdy się w końcu dopełniła, niepodobna wręcz było uwierzyć, że kto inny przedtem stał na miejscu Arshadina mówiącego swoim matowym głuchym głosem: - Zapowiedziałem ci już kiedyś, że spotkamy się w takich właśnie okolicznościach, chyba nie zaprzeczysz. Mój przyjaciel odparł z tym swoim spokojem, którym doprowadzał mnie zawsze do szewskiej pasji: - Nie pusz się tak jeszcze, Arshadinie. Choć takiś potężny, a ja taki słaby, jednak długo, bardzo długo trwało, zanim wyrwałeś mi słońce z rąk i zmusiłeś je, by skryło się w ciemności. A nawet teraz nie możesz mnie zabić i musisz czekać na nów księżyca. Na twoim miejscu wziąłbym ze sobą coś do czytania bądź jakąś robótkę na drutach. Arshadin nie dał się jednak tym razem wyprowadzić z równowagi. Nie tracąc zimnej krwi odrzekł ponuro: - Mogę poczekać. Ty wiesz najlepiej, że potrafisz czekać. To ci inni nie mogą. - Więc będą musieli się nauczyć - odpalił mój przyjaciel. - Znam lepiej od ciebie tych twoich innych i wiem, że żaden z nich nie ośmieliłby się ze mną zadzierać, nawet

gdy leżą na łożu śmierci. Dalej, przysuń krzesło, utniemy sobie na zakończenie małą pogawędkę. Zrób tę przyjemność staremu pedantowi - dodał, a ja aż wstrzymałam oddech i pomyślałam: Oho, on ma jakiś plan, muszę się mieć na baczności! Nawet w takiej chwili skłonna byłam wierzyć, że mój przyjaciel wie coś, czego nie wie Kostucha. W izbie stał taboret, ale Arshadin nawet nań nie spojrzął, podobnie jak na nikogo z nas. Obojętny, przysadzisty i wilgotny, przypominał wielką gomółkę sera; jego uwaga była jednak do tego stopnia skupiona, że sprawiała niemal wrażenie cielesnej bestii czatującej z czerwoną paszczką przy łóżku mojego przyjaciela. - A o czym my obaj mielibyśmy ze sobą rozmawiać? - zapytał z flegmą. - Wiem tyle samo co ty, do ciebie zaś musiało w końcu dotrzeć to, co ci usiłowałem przekazać od dnia, w którym zostałem twoim uczniem. - Ostatnie słowo wyrwało się z jego napiętych, spłaszczonych warg z taką mocą, że mój przyjaciel aż podniósł rękę, jakby chciał się przed nim zasłonić. - Twoim uczniem - powtórzył Arshadin. - Twoim studentem, czeladnikiem, namaszczonego następcą tronu, twoim spadkobiercą. Z radością pozwoliłbym się sprzedać najnikczemniejszemu handlarzowi niewolników z zachodu, byle się wyzbyć na wieki tych moich fantastycznych przywilejów. Czy mnie słyszysz, czy pojmujesz mnie wreszcie, mój mistrzu? Czy mnie wreszcie słyszysz? Mój przyjaciel nic nie odpowiedział. Soukyan zawarczał cicho i zrobił krok w stronę Arshadina. Chwyciłam go za rękę. Rosseth przez cały czas wpatrywał się w drzwi czekając najwyraźniej na Tikata. Co się tyczy Lukassy, ta ani na chwilę nie odrywała oczu od Arshadina: topiła w nim zachwycone spojrzenie, jakby patrzyła na ukochanego, czemu znów przeczył grymas jej ust. Wyglądała na znacznie starszą, niż była w istocie. Arshadin nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Za oknem ostatnie plamy zmierzchu wsiąkały w dziwną bladawą ciemność, całkowicie niepodobną do przejrzystych letnich wieczorów dalekiej północy, wodnistą jak fałszywy świt, szarą i połyskliwą jak rtęć. Przenikał ją niezwykle blask rozświetlający izbę, mimo że nie paliła się tu ani jedna świeca. Rosseth stał jak skamieniały ze stężałymi rozszerzonymi oczyma. Objęłam go ramieniem, by przy mnie mógł sobie pozwolić na drżenie. Mój przyjaciel wymamrotał z łóżka: - Niewiele miałem ci do przekazania, Arshadynie, ale nawet ta odrobina będzie cię drogo kosztowała, kiedy w końcu ją sobie przyswoisz, od innego już nauczyciela. - Głos mu się rwał, a słowa zaczęły się zlewać. - Ty nigdy nie byłeś moim uczniem, na tym polegał mój błąd. Powinienem być kpić sobie z ciebie, pomiatać tobą, stale cię zaskakiwać, obrażać i drażnić od rana do wieczora, tak jak czyniłem to z Lal, Soukyanem i innymi. Lecz oni byli moimi uczniami, ty zaś byłeś mi równy, od pierwszego dnia, i dałem ci to poznać. Popełniłem błąd. - Nie miał już siły, by pokręcić głową, zdołał jedynie lekko ją obrócić.

- Ale czyż można postąpić inaczej z kimś równym sobie? Nie miałem w tej mierze żadnego doświadczenia; być może ty zachowasz się mądrzej, gdy przyjdzie twój czas. Ostatnie słowa zaszeleściły niczym krople deszczu na wyschniętych liściach. Myślałam, że już umarł; Arshadin jednak nie dał się zwieść. Pochylił się nad mistrzem i krzyknął prosto w jego zamknięte oczy: - Skoro uważasz mnie za równego sobie, czemu nie podzieliłeś się ze mną wiedzą, którą tak gorąco pragnąłem posiąść? Skąd twoja pewność, że użyję jej do niecznych celów? Byłem młody, stały przede mną otworem różne możliwości: inne drogi, inne podróże, miałem wybór! - Po raz drugi ujrzałam przez mgnienie, jak nalaną, pustą twarz Arshadina niemal rozświetla zastarzały ból, jak oblicze wroga niemal pięknieje w grymasie zawziętości. Wnet opanował się jednak i ciągnął sztywno: - Wiele się mogło potoczyć inaczej. Wcale nie byliśmy skazani na podobny koniec. Mój przyjaciel otworzył oczy. Kiedy się teraz odezwał, jego głos zabrzmiał zupełnie inaczej niż przedtem: był nieludzko zmęczony, a mimo to spokojny, wyraźny i dziwnie młody, jak to się często zdarza w obliczu śmierci. - Ależ tak, tak, byliśmy na to skazani, Arshadine. Miałeś przed sobą tylko tę jedną drogę, tylko ta jedna była ci pisana, a ja kochałem cię właśnie za to, że nie miałeś wyboru. Byliśmy więc, jak widzisz, skazani na taki koniec. - Niespodziewanie podniósł omdlewającą rękę i ujął prawą dłoń Arshadina. - Wiedziałem o tym, a jednak cię kochałem - zakończył. Arshadin wyszarpnął rękę, jakby dotyk starca na wskroś mu ją przepalił. - Kogóż to obchodzi? - spytał. - Twoja miłość do mnie to twoja prywatna sprawa; a ja miałem prawo do twego zaufania. Zaprzecz temu, a umrzesz jako kłamca! - Ostatnie słowa wykrzyczał, bardziej ludzki w gniewie i obrażonych uczuciach, niż go byłam sobie w stanie wyobrazić. - Na wszystkich przeklętych bogów i demonów, miałem prawo do twego zaufania! - To prawda - przyznał cicho mój przyjaciel - to prawda, miałeś prawo, przepraszam cię. - Nigdy wcześniej nie słyszałam podobnego wyznania z ust mistrza. - Ale mimo wszystko muszę ci powiedzieć, że postąpiłeś głupio prehandlowując własną krew za ambicję. To stary pakt, lecz interes kiepski. Spodziewałem się po tobie, że ubijesz znacznie korzystniejszy. Arshadin nic mu nie odpowiedział. Mój przyjaciel skinął na Soukyana i na mnie, dając nam znak, abyśmy się zbliżyli. Podeszliśmy i stanęliśmy obok siebie po przeciwnej stronie łóżka niż Arshadin. Czułam zapach włosów Soukyana i wyraźnie wyczuwalną chłodną woń śmierci bijącą od mojego przyjaciela. Arshadin pocił się obficie, lecz jego pot nie wydzielał żadnego zapachu. Mój przyjaciel spojrział w okno i skinieniem głowy pozdrowił księżyc na nowiu. Do Soukyana powiedział tylko: - Pamiętaj o kwiatach - a do mnie, ostrzejszym tonem: - Chamata, cokolwiek zamierzasz, masz w tej chwili porzucić ten plan! Lukassa i Rosseth wcisnęli się między nas i

usiłowali chwycić mistrza za rękę. Mój przyjaciel ostatkiem ziemskich sił odepchnął ich i wyszeptał: - Nie, nie zbliżajcie się do mnie, nie zbliżajcie! Odsunęliśmy się od łóżka wszyscy, nawet Arshadin, a leżący wyszeptał czyjeś imię, które pierwszy raz słyszałam, i skonał. Od tego momentu niektóre zdarzenia pamiętam bardzo wyraźnie. Pamiętam, że cała nasza czwórka skierowała natychmiast spojrzenia nie na ciało mistrza, lecz na Arshadina, jakby to on, co dość logiczne, miał zmienić się w demona. W pierwszej chwili wyglądał na dziwnie wystraszonego i oszołomionego, ale potem uczynił kilka pospiesznych znaków nad łóżkiem i wymamrotał kilka słów, od których pokryłam się gęsią skórą, a głęboko w uszach zakłuł mnie świdrujący ból, co zresztą zwykle się zdarza w następstwie podobnych zaklęć. Rosseth, biedne dziecko, zakrył sobie nawet uszy. Odsunęłam go za siebie. Potem z bladej nocy za oknem poczęły się wyłaniać nad ramieniem Arshadina migotliwe pary oczu: najpierw jedna, potem druga, a potem całe mnóstwo, niczym osiadający na szybie szron. Żadna z owych par oczu nie była podobna do drugiej, jeśli nie liczyć płonącej w lśniących spojrzeniach nienawiści. Arshadin odwrócił się i przemówił - do nich i do czegoś jeszcze, co podnosiło się za nimi z głębi, wzbierało jak wielka fala, która chlusnęła w okno tymi złymi, iskrzącymi się spojrzeniami. Wykrzyknął: - Patrzcie, oto on, już wasz, w waszej jest odtąd mocy na wieki wieków! Wykonałem, com wam przyrzekł, i nasze przymierze skończone. Zwróćcie mi moją krew, jak obiecaliście! Jeśli nawet otrzymał odpowiedź, ja już jej nie usłyszałam, bo właśnie w tym momencie zmarły mój przyjaciel poruszył się, coś wymamrotał i wolno otworzył powieki. Natychmiast, jak nam nakazał, odwróciliśmy odeń spojrzenia. Nie mogę mówić za innych, ale ja równie szybko zerknęłam za siebie kątem oka: po prostu nie mogłam się powstrzymać. On... nie, nie on: to - nawet dzisiaj z trudem o tym mówię... - podniosło się na łóżku, przeciągnęło i wydało jakiś cichy, pełen zadumy dźwięk. Można by sądzić, że dziecko w nocnej koszulce budzi się o brzasku nowego dnia. Potem demon zszedł z łóżka i podszedł do Arshadina. Uśmiechał się lekko, dość jednak, bym mogła dojrzeć ogień płonący za jego czarnymi zębami. Arshadin sprawiał wrażenie nieco poruszonego, lecz nie wystraszonego; to muszę mu przyznać i za to go podziwiam. Jeśli spodziewał się, że istota usiłująca się zmaterializować za mrowiem oczu w oknie, kimkolwiek była, podziękuje mu serdecznie i uwolni go od owych straszliwych stworów, nie okazał najmniejszych oznak trwogi. Przemówił do griga'atha wyniośle, tym razem w języku, w jakim rozmawiają między sobą czarownicy, języku który trochę rozumiem. Wezwał demona, by uznał w nim swego pana i oddał mu należną cześć. Nawet takie zwyczajne słowa wstrząsnęły całą izbą, jak gdyby ściany także chciały ich usłyszeć. Ściany słuchają czarowników, griga'athy nie. Demon kroczył przed

siebie, przestępując jedno po drugim zaklęcia, od których pękały niebiosy, a czarownik Arshadin cofał się przed nim coraz dalej. Griga'ath wyglądał nadal jak człowiek, któregośmy znali: nie przybyło mu ani wzrostu, ani wagi, nie wyrosły mu też rzędy dodatkowych głów i ramion, z jakimi przedstawia się zwykle podobne istoty na rysunkach w mojej ojczyźnie. Uśmiechał się jednak ognistym płomieniem, a z oczu tryskały mu gorące i cuchnące żółte łzy, gdy wyciągając zachęcająco obie ręce zbliżał się cicho do Arshadina. Czarownik nie uląkł się i wciąż stawił czoło demonowi wzywając nań moce, od których biedna stara gospoda "Pod Tasakiem i Ościeniem" trzęsła się w posadach aż po piwnice z winem; słyszeliśmy trzeszczenie belek nad naszymi głowami, a w sąsiednich pokojach łoskot okien i drzwi zatraskujących się z siłą, która łupała je na drzazgi. Widocznie dzielność nie idzie w parze z posiadaniem krwi oraz duszy, Arshadin odznaczał się bowiem odwagą prawdziwie nieustraszoną. Mógłby jej wszelako posiadać dziesięć razy więcej i być sto razy potężniejszym czarownikiem, a i tak nie zdołałby oprzeć się istocie, która była niegdyś moim przyjacielem, a teraz podchodziła doń coraz bliżej. A nasza czwórka? Soukyan nawet nie spojrzał na wazon z polnymi kwiatami, ja zaś ani sama nie uciekłam, ani nie nakłaniałam do ucieczki Rossetha i Lukassy. Rozpacзлиwa rada, jakiej nam udzielił umierający czarownik, poszła więc na marne: byliśmy oddzieleni jedno od drugiego jakby milami przestrzeni i stuleciami czasu, każde z osobna zamknięte na zawsze, sam na sam z griga'atbem. Co do mnie, nie znajdowałam w duszy wolnego miejsca na doznawanie uczuć innych od niedowierzania wywołanego niewiarygodnym istnieniem stwora, który podchodził do Arshadina uśmiechając się lekko, od czego na drżących ścianach zapalały się płomyki. Pamiętam jedynie, że stałam tam jak oniemiała, wytrzeszczając oczy i ciężko oddychając. Nic więcej nie potrafię ci powiedzieć. Arshadin okazał się człowiekiem nie tylko męznym, ale i dumnym, nie wzywał już bowiem pomocy, przynajmniej dopóty, dopóki griga'ath nie przyparł go do okna. Wtedy odwrócił się doń plecami, do nas, do wszystkiego prócz nocy, i zawołał w uniwersalnym języku czarowników: - Czy ośmielicie się tak mnie oszukać i porzucić na pastwę losu? Hola, potrafię i ja uczynić użytek z tego demona! Zwróćcie mi moją krew albo znajdę mu takie zajęcie, iż srodze pożałujecie, że nie dotrzymaliście danego mi przyrzeczenia. Dobrze wam radzę, panowie! Brawura? Być może. Arshadin nie odwrócił się od okna nawet wtedy, gdy ręce griga'atha prawie na nim spoczęły. Myślę, że naprawdę go dotknęły, ale już nigdy się tego nie dowiem. Potem wkroczyła do pokoju noc; weszła nie tylko przez stłuczone okno, wsączyła się każdą szczeliną, każdym pęknięciem, każdą dziurą po gwoździu w ścianie, porami starego drewna. I chyba podobnie jak wówczas gdy Arshadin wzywał ją z wieży, przybierała powoli w

kącie kształt zaokrąglony u szczytu, a niżej poszarpany w powykęcane macki cienia; całość sięgała zaledwie podbródka Rossetha. I podobnie jak tam powstało przejście do jakiegoś “gdzie indziej”: ciemny, łukowato sklepiony korytarz, który pojmał mój wzrok i już go nie puszczał. Po chwili z tej czeluści powiało chłodnym przeciągiem; wiatr z innej przestrzeni zalatywał spaloną krwią. A potem ciemność do nas przemówiła. Powiedziała zaś... nie, nie słowami: zaśpiewała to u korzeni moich włosów, wypisała odłamkami szkła na podszewce skóry: Chodź do mnie. Bądź ze mną. Bądź mną. Posłuchałam natychmiast, bez chwili wahania, nie zastanawiając się, co wybrać, nie pragnąc żadnego wyboru. Soukyan stał po lewej stronie, Rosseth ujął moją prawą rękę. Lukassa zaczęła coś krzyczeć, lecz zdawało się, że jej krzyk dobiega z jakiejś niezmiernej dali. Kroczyliśmy prosto w ów czarny portal, aż ujrzałam w pewnej chwili... a raczej domyśliłam się, a właściwie poczułam... co się znajduje po jego drugiej stronie. Nie to, co myślisz... Nie o tym jednak mam ci opowiadać... Ciemność dotrzymała przecież danego Arshadinowi słowa. Nie przybyła bowiem po nikogo z nas, lecz po mojego przyjaciela, który w tej postaci mógłby uderzyć w podwaliny świata, by je skruszyć. Ciemność przestała się nami interesować i nas nawoływać. Czy wiesz, jak się poczułam? Jak ktoś uratowany w ostatniej chwili z topieli, gdy ogarniała go już wielka senność i beźmierny spokój; lub jak ktoś, kogo zdjęto znad przepaści, kiedy wewnętrzny głos przekonał go właśnie, że tak czy owak musi w nią spaść, więc lepiej, aby to stało się zaraz. Jeszcze chwila i byłabym bezpowrotnie zgubiona, jestem tego pewna. Czuję wdzięczność, choć mam świadomość, że niedostatecznie wielką. Ciemność wołała teraz do griga’atha: Bądź ze mną, bądź mną, bądź mną. Demon odwrócił się gwałtownie od Arshadina wydając przy tym dźwięk, który byłam w stanie odczuć, lecz nie usłyszeć: przypominał głębokie westchnienie atmosfery, jakie poprzedza trzęsienie ziemi. Soukyan, Lukassa i Rosseth odwrócili twarze, tylko ja tego nie uczyniłam. Nie z odwagi ani z zuchwalstwa: po prostu zdrętwiałam, zbyt wstrząśnięta i oszołomiona, by odwrócić spojrzenie od oczu griga’atha. Nie rozpoznałam już w nich oczu mojego przyjaciela. Owszem, nadal były zielonkawe, ale zielenią najgłębszych mórz północy, lodowatą kleistą zielenią wodorostów, jakie kotwica okrętu wywleka z tych straszliwych głębi, które nigdy nie oglądały słońca. Te oczy czyhały na słońce, pragnąc je pożreć. O wiele bardziej przeraziło mnie jednak odkrycie, że reszta postaci nie doznała najmniejszej nawet zmiany. “On będzie wyglądał dokładnie tak jak ja”, ostrzegł nas mistrz - i demon rzeczywiście tak wyglądał: dokładnie tak jak on, a nawet bardziej jeszcze, podobnie jak zdarzało się często, że twarze osób, do których miałam całkowite zaufanie, stawały się niesamowicie, potwornie znajome w moich koszmarach sennych. Być może my wszyscy, nie

tylko czarownicy, jesteśmy tylko bladymi cieniami dobra, jakie w sobie nosimy, oraz zła, do jakiego jesteśmy zdolni: gdyby tak było, miałam oto przed sobą prawdziwą naturę mojego przyjaciela, kwintesencję jego ducha. Był bez reszty sobą, wszystkim, co w sobie potencjalnie zawierał, czyli wcieleniem destrukcji. Nie, nie obróciłam się na jego widok w kamień, jak to się przytrafiało bohaterom starożytnych podań, ale i cało nie uszłam. Reszta to już tylko moja sprawa. Griga'ath nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi. Przeszedł obok, wciąż zatrzymując twarz i postać - a nawet zapach, jak stara łódź na słońcu - osoby, którą kochałam. Ogień dopiero zaczynał przenikać przez jego ciało, mrugając zalotnie spomiędzy żeber i spod ramion. Griga'athy goreją wiecznym ogniem bez płomienia; w końcu stają się dosłownie gwiazdami w ludzkiej powłoce, niszczą i pochłaniają wszystko, do czego się zbliżą. Demon zatrzymał się krok przed portalem ciemności i zwrócił ciało mojego przyjaciela najpierw w jedną, potem w drugą stronę; od jego postaci było niezwykle wahanie; raz nawet obejrzał się za siebie. Ukryłam przed nim twarz, podobnie jak inni. Ktoś dobijał się zapamiętałe do materialnych drzwi rzeczywistego pokoju. Jak gdyby ów dźwięk przechylił nagle szalę, griga'ath zrobił krok do przodu i odszedł z tego świata. Widziałam go jeszcze - wydawało mi się, że przez czas nieskończenie długi jak gorejąc coraz jaśniej, w miarę jak malał w oddali, odchodził wirując wolno czarnym sklepionym tunelem, który łączy to, co nam znane, z tym, co nieznanie, a czego poznanie mogłoby nas zabić. Wydaje mi się, że coś za nim zawołałam; jeśli nawet tak, mój krzyk utonął w trzasku wyważanych drzwi, przez które wpadli do pokoju Karsh, a za nim Tikat.

OBERŻYSTA

Wydaje się, że powinienem podziękować za to, iż owe butelki spadły z półek na furmana z Kinariki, a nie na mnie. Biedaczysko płacił właśnie rachunek - jego dłoń zsunęła się z mojej, pozostawiając wielkodusznie należną mu resztę, oczy stanęły w słup i jak ścięty padł na podłogę. Czy bogowie oczekują ode mnie wdzięczności za ocalenie? Proszę bardzo: Składam im podziękowanie. Następnego już jednak ode mnie nie usłyszą aż po kres moich dni, możesz im to oznajmić, jeśli masz zwyczaj gawędzić sobie z nimi. W jednej chwili gospoda "Pod Tasakiem i Ościeniem", będąca mi domem od trzydziestu lat, na moich oczach obróciła się w ruinę, co zresztą przewidywałem od dnia, w którym wpuściłem za próg te trzy damule. W ślad za butelkami pospadały z półek wszystkie kubki i szklanki do wina, a potem pourywały się wszystkie lampy. Początkowo sądziłem, że to jajak, choć wirowe burze nie nawiedzały nas od czasu, gdy Rosseth był małym brzdącem, a kiedy oba okna wyleciały na zewnątrz, jakby w ogóle nie były osadzone w futrynach, a półki za szynkwasem zaczęły odpadać od ściany z przeciągłym

skrzypieniem starych gwoździ wyciąganych ze starych dech, zmiarkowałem od razu, że to nie żaden javaş. Kraniki z beczek piwa stękały i skakały mi w rękę próbując się wyrwać z obsady, a kilka zardzewiałych fragmentów zbroi, które przybiłem gwoździami do ścian, żeby ich nie rozkradziono, przeleciało przez izbę jak wystrzelone z kusz bełty. Tym razem padł ugodzony pewien handlarz skórami z Devarati, ale o ile wiem wylizał się potem. Czyżby trzęsienie ziemi? Trzęsienie ziemi? Ale podłoga pod naszymi stopami nie zadrżała. Moi goście - ci jeszcze przytomni - leżeli na brzuchach, wczepieni w nią pazurami niczym jaszczurki na ścianie, a nad nimi przewalała się lawina ławek, stłuczonego szkła i koziołkujących stołów. Po chwili byłem jedynym stojącym nadal prosto obiektem w izbie, utrzymywany w tej pozycji wyłącznie przez wściekłość. Nie wątpiłem bowiem ani przez chwilę, co było prawdziwą przyczyną katastrofy. Nie burze, wulkany ani nawet rodzinne sprzeczki tych cholernych bogów: przyczyna kataklizmu znajdowała się ledwo o piędź nad moją głową, ja zaś pędziłem już na górę, choć mogło się wydawać, że wciąż stoję w miejscu. Czekałem po prostu, aż moje stopy dogonią targającą mnie wściekłość. Właśnie wtedy przez drzwi od podwórza wpadł Tikat, nisko pochylony, żeby utrzymać się na nogach. Kiedy wyszedłem zza szynkwasu i ruszyłem w jego stronę, czułem się jak mała łupinka odbijająca od brzegu na spotkanie ryczącym szkwałem. Tikat coś do mnie krzyczał, wskazując ręką w górę. Nie dosłyszałem go w tym harmidrze, ale domyśliłem się, że pyta o tę pomyloną bielaskę Lukassę. Pokręciłem przecząco głową i odkrzyknąłem: - Gdzie ten huncwot? Nie widziałeś gdzie tego łajdaka? Nie pokwapił się nawet, by mi odpowiedzieć, tylko przebiegł obok mnie, depcząc po gościach i fragmentach zbroi, ślizgając się w kałużach piwa zmieszanego z winem. Wpadłem za chłopakiem na schody; dogoniłem go dobrze przed podestem i odepchnąłem na bok. Nikt oprócz mnie nie będzie wyważał tych przeklętych drzwi.

TIKAT

Ciężko było już w głównej izbie karczmy. Choć wyleciały tam wszystkie okna, ciśnienie panowało tak wielkie, że czułem się jak pod wodą, kiedy nurkowałem szukając Lukassy. Złapałem się na tym, że wstrzymuję oddech ze strachu przed utonięciem i przedzieram się do przodu rozgarniając powietrze wyciągniętymi rękami. Na schodach w Karsha i mnie uderzył z góry gorący śmierdzący wicher, oderwał nas od ściany i cisnął na balustradę, podczas gdy stopnie rozsypywały się pod naszymi stopami. Wydawało się, że w ogóle nie posuwamy się naprzód: przypominaliśmy ptaki, które zmagają się z przeciwną wichurą i powoli lecą do tyłu, za jedyny postęp mogąc sobie poczytywać opóźnienie owego cofania się. Nie potrafię ci powiedzieć, jak długo to trwało. Przypuszczam dzisiaj - powiadam: przypuszczam - że gdyby nie

Karsh, pewnie bym się wtedy poddał. Nie znaczy to, że odepchnąwszy mnie na bok poświęcił mi choć jedno spojrzenie, nie mówiąc już o słowie otuchy; prawdę mówiąc raz się nawet potknął, runął na mnie całym ciężarem ciała i byłby nas obu zwałił z tych rozlatujących się schodów, gdybym się w porę nie zapał i nie podtrzymał go. Muszę jednak przyznać, że ten wrzaskliwy tłuścioch nie stracił ducha. Pochylił mięsisty kark, skulił ramiona i nie oglądając się za siebie wdzierał się pod wiatr dysząc ciężko i przeklinając. Postępowałem za karczmarzem, wdzięczny, że mi toruje drogę, choć nie miałem pojęcia, co każe mu tak zaciekle przeć do przodu. Bo to był Karsh, pojmujesz; gdyby chodziło o kogoś innego, z pewnością bym się nie dziwił. Ale Karsh?... Na podeście zatrzymał się na chwilę roztrzęsiony i wtedy zobaczyłem na jego nalanej twarzy grymas furii, jaka chwyciła go zawsze, ilekroć rzeczywistość stawiała mu opór. Jego niebieskie oczy pociemniały stając się niemal lawendowe, a dolna warga, którą zagryzał z wściekłości, krwawiła. Po chwili ruszył dalej wdzierając się w głąb korytarza wypełnionego tumanami kurzu, osypującego się tynku i krzyczącymi półnagimi gośćmi, którzy tratowali się nawzajem w drodze ku schodom. Ani się obejrzałem, jak i mnie przewrócili, udało mi się jednak odturlać pod ścianę, a następnie stanąć z powrotem na nogach po przelezeniu przez jakieś cielsko w fioletowym szlafroku. Korytarz rozbrzmiewał hukiem podobnym do dźwięku, jaki wydawały arkusze blachy, którymi aktorzy z wędrownej trupy naśladowali grzmoty piorunów. Potykając się i osłaniając rękami twarz parłem naprzód w stronę pokoju staruszka. Karsh już tam dotarł i zaczął łomotać w drzwi, szarpać za klamkę, a potem tłuc w nie barkiem. Na ryk nie wystarczyło mu już teraz tchu w piersiach; słyszałem, jak powietrze wychodzi z niego ze świstem za każdym razem, gdy z głuchym dudnieniem walił całą masą ciała w grube stare drewno. Kiedy traciłem już nadzieję, że uda mu się wyłamać drzwi, te nagle ustąpiły i wpadliśmy obaj do środka. W miejscu przeciwległej ściany pokoju widniała pustka... słuchaj mnie teraz i nie przerywaj!... pustka o kształcie ust. Jej brzegi zwijały się i składały jak wargi do pocałunku, bo właśnie się zamykały. To spomiędzy nich wydostawał się ów porywisty cuchnący wiatr. Daleko w oddali, a może nisko w dole, spadała jaskrawa iskra gorejąc samotnie w ciemnej czeluści. Domyśliłem się, czym była ta iskra... Lukassa stała tyłem do mnie obok pustego łóżka. W pokoju znajdowały się jeszcze inne osoby, ale widziałem tylko ją. Nie obejrzała się, kiedy Karsh i ja wpadliśmy z hałasem do izby, przeciwnie: ruszyła w stronę czarnych ust, które zamykały się teraz coraz szybciej. Szła z ową lekkością, z jaką się zawsze poruszała i z jaką wybiegała mi na spotkanie, choć właściwie wybiegała nie biegnąc, samym tylko sercem i spojrzeniem. Weszła w usta owej pustki, zanim zdążyłem ją zawołać, a gdy do nich dopadłem, zatrzasnęły się przede mną i zniknęły w

wybrzuszonej popękanej ścianie ciasnego zrujnowanego pokoju, który wypełnił się w następnej chwili imieniem Lukassy.

LUKASSA

Nie jestem Lukassą. Jestem nikim. Nikt nie może dwa razy przejść przez wrota śmierci. Jestem nikim. Przeszłam przez nie, a oni tam na mnie czekali. Nie mają ochoty czekać, ale ich do tego zmuszę. Zimno, zimno, zimno jak w rzece. Ktoś wołał, wołał mnie, daleko za kresem Lukassy. Lecz ja nie byłam już wtedy Lukassą. Jestem rysunkiem, zamazanym, zatartym, wyskrobanym. Daleko przede mną gwiazda śpiewa, obiecuje wyjawić mi moje imię, jeśli ją dogonię. Czy po to tu jestem, byłam? Powinam się pospieszyć. Czy się pospieszyłam? Śmierć - to nigdzie w zygzakach błyskawic. Pamiętam. Zimne nigdzie pod stopami, mimo to idę szybko, gdyż pamiętam drogę. Otaczają mnie twarze, otaczały już przedtem, przepływają w ciemności, między mną a gwiazdą. Kiedy umrę po raz pierwszy, zobaczę te same twarze. Tu, na dnie rzeki, jest tak cicho, cichutko. Nade mną, na powierzchni, woda kłębi się i rozdziera, jak rozdrze i mnie, gdy wpadnę w jej paszczę. Kiedy z dna rzeki patrzyłam do góry, widziałam przepływające twarze, chmurę grubo ciosanych zmęczonych wiejskich twarzy, które nie powinny uśmiechać się do mnie z tak tkliwym zrozumieniem. Nie powinny tego robić. Jestem nikim. Nad nimi moja gwiazda. Rozgarniam twarze, wynurzam się z wody, wznoszę się ponad zagony fasoli i kryte strzechą dachy i podążam za śpiewającą gwiazdą. Jeśli będę szła nie doznając zmęczenia, nie myśląc i nie oczekując niczego, gwiazda pomaleńku się przybliży. Pamiętam. Teraz jest jakoś inaczej. Dlaczego? Śmierć pozostała śmiercią, lecz coś się zmieniło: ciemność. Widzę wielkie żółte pazury rozpruwające ją od przeciwnej strony: szarpią z góry na dół i przez rozdarcia przenika zielonkawy blask. Pazury cofają się, potem uderzają jeszcze raz, naznaczają ciemność nabrzmiałymi pręgami, jak te na jego plecach, kiedy wuj go wychłoscze za kradzież owocu. Wychłoscze kogo? Twarze zaczynają kłapać szczękami przepływając z sykiem obok mnie. Tak ich dużo, chwilami całkiem zakrywają gwiazdę. Czy muszę ciągle go słyszeć? Taki tu gwar, nie jak tam w rzece, kiedy twarze mierzyły we mnie niczym dzidy, a ta istota z drugiej strony ciemności chichocze do siebie drąc i szarpiąc żółtymi pazurami, a ciemność warczy z bólu, coraz głośniejszy przy każdym ciosie. Mimo to go słyszę - woła z bardzo daleka, z najdalszej dali, wykrzykuje to imię, którym mnie będzie nazywał. Imię, które nie jest moje, nigdy nie było moje, nie było mną. Muszę słuchać gwiazdy, nikogo więcej. Gwiazda ma głos kobiety, niski, po miejsku zachrypnięty, z obcym zaśpiewem. Często ją gubię, ponieważ ciemność burzy się i tętni wokół mnie, ale ten śpiew słyszę ciągle, czysty jak poranny wiatr. Któregoś dnia dogonię

gwiazdę, byle tylko śpiewała dalej, a wtedy poznam swoje imię. Tym razem bycie umarłą jest całkiem innym doznaniem. Tym razem śmierć gotuje się, kipi kolorami i ziemskim ruchliwym zamętem. Można by sądzić, że to jakieś targowisko, nie wiadomo tylko kto stoi za straganami i co na nich sprzedaje. Dla takich stworzeń, dla takich istot nie będzie słów ani myśli, ale to nic nie szkodzi, bo one nie były rzeczywiste. Dno rzeki jest rzeczywiste. Kiedy mijam te stwory z ognia i kurzu, ruszają za mną. Gaworzą, gruchają i skubią mój cień, bo własnych nie posiadają. Nie szkodzi. Ta obecna śmierć cała jest cieniem; przypomina zajączki z cienia, które ktoś lubił puszczać. Dla kogo? Szczupłe palce gną się i tworzą dymne potwory, a te kroczą... po czym? Po brudnym tynku przeciętej długą rysą ściany za komórką na miotły? Ta obecna śmierć to fałszywa, nędzna kraina, która łuszczy się i złazi zdrapywana warstwa za warstwą przez żółte pazury. Nawet owa istota po drugiej stronie nie okaże się niczym więcej jak hałaśliwym cieniem, kiedy w końcu stanę przed nią na ruinach ciemności. Pazury są miękkie i zmarszczone jak nadgniłe warzywa, a krwawy chichot przypomina starczy kaszel. Nie szkodzi, przechodź. Czyżby i gwiazda była tylko cieniem? Spod ciemności podartej na strzępy przeziera niskie, ciężkie niebo koloru tych pazurów. Gwiazda wydaje się większa, bliższa, porusza się jak mucha w smole, walcząc z lepkością nieba. Ta gwiazda była mężczyzną, nie kobietą. Płonie tak jasno, nic dziwnego, że ujrzę go wyraźnie z bardzo daleka, przyzywającego mnie śpiewem. Co mam zrobić, kiedy go dogonię? Nie mogę tego pamiętać, ale wiem. Tu coś jest. Coś, co nie jest cieniem. Za całym tym głupim rozgardiaszem i szopką czeka jakieś czekanie, coś, co prędko porzuca swe kukielki i umyka, kiedy się zbliżam. Czy kiedyś odnajdę to coś? Ono również pragnęło gwiazdy i dąży ku niej podobnie jak ja. Rzeczywiste jak łóżysko rzeki, mknie w stronę gwiazdy. - Ukaż się - mówię, lecz ono ani myśli. - Ukaż się - powtarzam - czego się boisz? To twoja, nie moja gra. Ono pozwala mi podejść do siebie blisko, brnąc po strzaskanym rumowisku wszechświatów zbudowanych z gontu i tynku, po czym szybko zmyka za gwiazdą, zanim zdążę się połapać. Chwycił mnie gniew, bo choć to coś nigdy nie dogoniło gwiazdy, będzie ją ode mnie zawsze odgradzało. Ja mam je zawsze, gwiazda nie. Skąd ja to mogę wiedzieć? Na dnie rzeki będzie przyjemniej niż tutaj. Pod nogami światy jak dziecięce zabawki, a w żadnym nic prawdziwego, prócz gwiazdy i mnie oraz tego podstępnego, zmykającego czegoś o krok przede mną. A tamten wciąż wrzeszczy wniebogłosy, wciąż wykrzykuje to imię, którym nie jestem w żadnym z bezkresnych sztucznych niebios i piekieł. Nad hałas, jaki robi, wzbijają się popielate stworzenia z mokrych martwych liści; złociste i szkarłatne motyle z długimi cienkimi rybimi ząbkami będą się kłębić wokół mojej twarzy i biadolić; istoty podobne do powłóczących nogami

pagórków podążają za mną cicho. Istoty podobne do mężczyzn i kobiet zbudowanych ze zmierzchu roją się wokół mnie i tańczą oglądając się ze łzami, gdy do nich nie dołączam. Skrywają je następnie, tarasując mi drogę, dławiące fale nieruchomej mgły. Ale gwiazda mnie przyzywa, więc idę dalej. Idę dalej, lecz dokąd? Gdzie? Czy to wszystko już kiedyś się zdarzyło? Gwiazda cofa się do mnie powolutku, a to niewidzialne coś usuwa się na bok i dyszy. Nagle twarze znikają, pierzchają karnawałowe olbrzymy, rozwiewają się malowane dekoracje; wszystkie kolory prócz koloru nieobecności spłynęły jak deszcz, pozostała tylko mrugająca woskowa gwiazdka nad wstęgą nigdzie i ja między nimi. W tej ostatniej pustce dźwięczą trzy cichutkie dźwięki: przede mną gniewny śpiew, daleko za mną wołanie i miękki kosmaty oddech towarzyszący mym krokom. Tysiąc lat, dziesięć tysięcy, dziesięć tysięcy tysięcy. Jak on może stale mnie wołać; jak ja mogę tak długo go słyszeć? Znowu kładę się na dnie rzeki, lecz tylko na chwilę, żeby zobaczyć jeszcze raz tamte twarze, one jednak także już zniknęły. Trudno mi się będzie teraz podnieść i ruszyć za gwiazdą, choć przecież nie może mnie dopaść zmęczenie. Przypuszczam, że chciałabym się zmęczyć, chciałabym się zgrzać, zziębnąć, rozgniewać się lub przestraszyć. Jak dobrze jest się bać. Mam jednak coś do zrobienia i tylko gwiazda może mi powiedzieć, co. Czemu on wciąż woła i woła to imię? Czy ja śpiewałam? Czyżbym to ja była tą, która śpiewała i przez te wszystkie wieki dążyła za własną pieśnią?

Jedni mówią tak, drudzy mówią nie- i wszystko idzie wspaniale, i wszystko idzie źle. Jedni mówią nie, drudzy mówią tak - i wszystko idzie dobrze, i bogom idzie w smak. Jedni mają więcej, drudzy mają mniej, jedni mówią tak, drudzy mówią nie- i dnie nie mają końca i świat nie kończy się...

To była dziecięca rymowanka, ale jakie dzieci ją śpiewały? Czyjeś głupie kuzynki, to one lubiły śpiewać takie niemądre wierszyki. A gwiazda? Czyżby gwiazda nigdy nie śpiewała, nigdy? Czy to zawsze ja przyzywałam go śpiewem z powrotem, jak ktoś śpiewem podniesie mnie kiedyś z dna rzeki? Warzywa. Ona śpiewała warzywom. Teraz jest tak blisko, że widzę, iż to nie gwiazda, a człowiek, stary człowiek spada przez stare, staruteńkie niebo. Uśmiechnie się i podniesie ręce, żeby mi pokazać płomień tryskający mu spod paznokci. Płomień również mnie widzą: kiwają na mnie, śmieją się, wyciągają się do moich rąk. Staruszek ma piękną twarz, mądrą i uduchowioną. Przemówił do mnie, lecz nie usłyszę jego słów, bo tłumi je ogień buchający spod jego języka. Wcale jednak nie potrzebowałam go słyszeć. Już znam swoje zadanie. Kiedy dotknę jego dłoni, zostanie uwolniony od tego nieba i tego ognia, uwolniony od oczekiwań, jakie ma wobec niego ta biała pustka. I wrócimy razem na dno rzeki. Tam jest cicho;

woda zagoi jego oparzenia. Staję na palcach, żeby dotknąć jego płomiennej dłoni. I wtedy. Tam. To coś staje między mną a starym człowiekiem i odzywa się głosem, który jest wszystkim, co kiedykolwiek istniało. Mówi: Moje. Nic nie widzę, przestaję myśleć. Moje. Muszą mi krwawić oczy, uszy, w głowie tętni krew. Głos dziurawi mnie w wielu miejscach wołając: Moje. Moje. Moje. Moje, aż padam, kulę się i próbuję krzyknąć: “Twoje, twoje, dobrze, twoje, on jest twój, ja jestem twoja!” Ale słowa nie chcą mi przejść przez gardło. Mam coś do zrobienia i te słowa to wiedzą. Moje, moje, przecież nie mogę ustąpić, nie wolno mi. Wstaję. Oto, co zobaczę. W pierwszej chwili to coś wygląda prawie jak człowiek. Jest wysokie, nagie, ma zapadniętą pierś i szerokie kościste ramiona wznoszące się ku końcom. Cienkie smużki bezbarwnych włosów. Wielkie oczy osadzone w głowie zbyt małej jak na tak gruby kark: piękne bezkształtne oczy podobne do kwiatów, do rozprysków wody z prześwietlonego słońcem stawu. Długie dłonie o trzech palcach; ani śladu uszu. Skóra biała jak u larwy, ciasno opięta, ściągnięta wokół wilgotnych sinych ust pełnych drobnych spiczastych ząbków, niebieskich i zielonych, jeżących się w jamie ustnej aż po wlot gardzieli. Nawet wargi są nimi wysadzane, nawet opleśniały język. Te okrągłe błyszczące usta nie są w stanie wypowiadać słów, ale jedno wciąż mnie prześladowuje, wciąż i wciąż - i dnie nie mają końca, i świat nie kończy się. Moje. Moje. Przyciskam rękę do uszu, choć to na nic. Mówię: - Nie. Moje. Rozżarzona igła wbiła się w szpik moich kości, ale nie upadam. Moje kości odpowiadają: - “Nie. On należy do mnie.” Nikt nie należy do mnie, gdyż jestem nikim, ale tak odpowiedzą moje kości. “Nie możesz go pojąć na własność.” Przyszłam tu, by zabrać go do domu. Odsuń się. Ponownie wyciągam rękę do gorejącego starca - a on znowu podaje mi dłoń z ognistymi paznokciami - i znowu to słowo chłoszcze mój mózg jakby liźnięte płomiennym językiem. Moje! Sam jednak ów głos będzie brzmiał przez chwilę jakoś inaczej, jakby zdumiony, niepewny, jak gdyby żądanie zmieniało się w pytanie. Więc inne słowo, nowy krzyk w moich kościach. Umowa. Ktoś odpowiada: “On nie zawierał żadnej umowy. Nie masz do niego prawa.” Mój własny głos, drżący i nagi u ostatecznego kresu. Jeszcze raz sięgam, chcąc ująć rękę starca. Słyszę zachłanną czujność w swej głowie, ale na razie żadnych więcej słów. Jego dłoń płonie w mojej, ale mnie nie parzy. Jasno-czarny dym wzbija się z miejsca zetknięcia naszych dłoni, ale ja czuję tylko, jakby między nimi poruszało się delikatnie coś żywego. Stary człowiek spojrzy na nasze złączone dłonie i z niespodziewaną powagą pochyli głowę, żeby mnie pocałować w rękę. Ten pocałunek parzy, więc próbuję wyrwać rękę, lecz on już do niej przywarł, stał się częścią mnie i uśmiecha się szeroko. Nie jest tym, kim przypuszczałam, w żadnym razie. Miałam jednak przecież coś jeszcze do zrobienia, coś do

zrobienia dla niego, z nim, ale jeśli nie chodzi o znalezienie cichego dna rzeki, o cóż innego może chodzić? Muszę postępować tak, jak gdybym to wiedziała. Muszę się poruszać. Tu nie ma lewej ani prawej strony, góry ani dołu - mogłabym kręcić się w kółko albo stać na głowie i nie wiedziałabym o tym - ale przecież każda droga odchodząca od nicości musi być właściwa. Ściskając tę dłoń, pod której pergaminową skórą czuję ogień bijący jak serduszko ptaka, zawróciłam w długą drogę powrotną. Ogniste palce zaciskają się na moim nadgarstku, wciąż nie sprawiając mi bólu, i zatrzymują mnie szarpnięciem. Stary człowiek wciąż się uśmiecha, śmieje się do mnie, czeka. Za jego plecami to coś również czeka, okrągłe usta pulsują jak serce, zaciskają się i rozprężają, zaciskają i rozprężają. Kiedy na nie spojrzę, poczuję, jak bicie mojego własnego serca zwalnia i krew odpływa mi z żył. Przypuszczam, że odczuwam lęk, ale przecież jestem nikim, jestem martwa, a kimże oni są, aby mnie przestraszyć? Z całej siły ciągnę staruszkę za rękę. - Idziemy teraz do domu - mówię, jakby był zablakowanym zwierzęciem albo czymś... czymś?... spokojnym pijanym ojcem. Mówię: - Wracamy oboje na dno rzeki. Przeszedł ze mną potulnie kilka kroków... t o patrzy, nie rusza się... a potem obraca się do mnie przodem i rozprostowuje ręce, zmuszając mnie, jak w dziecięcej zabawie, żebym i ja swoje rozłożyła. Jeszcze jeden szeleszczący płomieniem uśmiech i staruszek eksploduje rozrywając ludzkie wymiary; wzbija się w mglisty przestwór ponad nami tak szybko i wysoko, że mglistość, podobnie jak mój wzrok, ledwo go może pomieścić. Rośnie, przelewa się, napęnia sobą noc, napęnia ją cichym, rwącym krzykiem, który pochłonął mnie jak rzeka. Toczę się równie bezradna przez jego bezbrzeżny gniew jak on przez blade sędziwe niebo. Nie może mi jednak zrobić krzywdy. Dwa razy przeszłam już przez wrota śmierci, w tym raz z własnej woli, i tego, co mogłoby mnie skrzywdzić, tu nie ma. Wyciągam się więc w górę, by sięgnąć jego ognistej dłoni, i krzyczę do jego uszu, podobnych do obłoków o zachodzie słońca: - Masz iść ze mną! Zabiorę cię do domu! W rok później lub w miesiąc później albo po paru minutach wraca do właściwej człowiekowi miary i po raz pierwszy przygląda mi się ciekawie straszonymi oczyma zielonymi jak powietrze przed potworną burzą. Wydał dziwny dźwięk: niski, chrapliwy, ostrzegawczy i smutny syk. Mówię: - To nie jest twój kraj, mój także nie, i dobrze o tym wiesz. A teraz t o się porusza. Biegnie posuwając się na długich, ptasich nogach, które zginają się w przód i w tył, po czym staje rozkraczone na naszej drodze i wydyma niebieskie wargi w drgającej białej twarzy. Te wargi żyją własnym życiem, węsząc wysuwają się w moją stronę, aż bierze mnie chęć, żeby się schować za gorejącego staruszkę. Przypominam sobie jednak, że nie ruszyłam się z miejsca, a tylko skurczyłam w sobie. Trzeba tak robić, bo inaczej dzieci stają się

okrutne. Powtarzam: - Nie masz żadnych praw. Puść mnie! Umowa. Nasza umowa. Każde słowo ognistym piętnem odciska mi się w czaszce i nigdy się już nie zagoi. Moje własne słowa odpowiadają: - Nasza umowa? Porozmawiaj o tym z tym drugim, to była umowa między wami. Nie rozumiem tych słów, ale stary człowiek spogląda na mnie i wybucha czerwonym, bezgłośnym śmiechem. Potem, nie czekając na mnie, przechodzi bez jednego spojrzenia obok tamtego. Dłoń o trzech palcach wyciąga się i sięga do mojego ramienia. Nie mogę pozwolić, żeby mnie dotknęła owa ręka o długiej białej dłoni, po której wolno ścieka coś lepkiego. Odskakuję, ale ramię wskazuje obok mnie, w przód, tam gdzie powinien rysować się horyzont, a widnieje tylko niewielki bezbarwny wir na styku pustki z nicością. To coś chce, żebyśmy sobie poszli. Tak sobie pomyślałam. Oglądam się za siebie tylko raz i spieszę za starcem. Pojawiają się wszystkie jednocześnie, wszystkie naraz, wyłaniają się z ciemności jak konstelacje gwiazd. Jedno niepodobne do drugiego, żadne niepodobne do tego, a jednak takie same, różne okruchy tej samej natury. Jedno było nie większe ode mnie, o ludzkim kształcie, ślepe, całe porośnięte - jak owad - odnóżami podobnymi do maleńkich ludzkich kończyn. Inne przypomina od pasa w górę wielką spiętrzoną chmurę burzową, a od pasa w dół pulsujące czerwonym szlamem bagno; jeszcze inne jest tak piękne, na swój sposób, jak najpiękniejsza ryba, tak jednak płaskie i przejrzyste, że mogę dostrzec migoczące w jego wnętrzu małe ruchliwe cienie. Następne przypomina stos klejnotów z polśniewającymi tu i ówdzie parami oczu; jeszcze inne okazuje się tylko lśniącem ornamentem w powietrzu, gwiazdną konstelacją ozdobioną złotą folią i krwią. I jeszcze jedno, i jeszcze, i następne, nie mamy ich jak obejść, stary człowiek i ja. Są tutaj, lecz czekają również na dnie rzeki, a także w moich kościach, już na zawsze. Nasza umowa. Nasza umowa. Dziwne, ale ten okropny krzyk nie przejmuję mnie bardziej, gdy są wszystkie razem, niż wtedy gdy występują jako samo tylko t o. Przypuszczam, że to nasza natura, nasze pożądanie. Co do reszty, wiedziałam tylko, że pragnę czynić zło - choć już nie wiem, co znaczy "zło" ani czy one to wiedzą - i że są realne, niezależnie od tego, czy je widzę naprawdę, czy nie. Wiedziałam też, że pragnę dopaść gorejącego staruszka. - No widzisz - odzywam się do niego. - Czekają nas długa podróż, a one stoją nam na drodze. Tym razem to on wziął mnie za rękę. Ruszamy w ich stronę - zwierają się przed nami i nie ustępują, jak przestraszone zwierzęta, które się najeżają, żeby wydać się większymi. Kroczący u mojego boku starzec podniósł powoli rękę i wymierzył wszystkie pięć palców w stojące nam na drodze. Spod jego paznokci tryska wokół nas na cztery strony niebieskozielony ogień. Płomienie są zakończone głowami dzikich zwierząt, sheknath, nishori, skalnych targ, które powiększają się z każdym naszym krokiem. Tarasujące

nam drogę nie cofną się ani na krok, lecz widać, że się boją. T o się boi starego człowieka. Stary człowiek uśmiecha się do nich i lekko uchyla drzwiczki pieca swojej twarzy, by pokazać, co kryje się w środku. Ja mówię: “Za pozwoleniem”, jak panienka, którą nauczono dobrych manier, i tamte się rozstępują, ale tylko trochę, żeby nas wpuścić pomiędzy siebie. Potem zwierają się, giną nam w górze z oczu i naradzają się gorączkowo w moich kościach. Otaczają nas jednak również ogniste zwierzęta i prowadzą własne rozmowy sycząc i powarkując swoje “za pozwoleniem”, więc tam, gdzie zwrócimy kroki, będzie zawsze dość miejsca, abyśmy mogli przejść. Nagle poczułam, że tego wszystkiego już za wiele dla kogoś, kto umarł. Zbyt to dziwne, zbyt szalone, w zbyt wielkiej samotności. Myślę, że gdyby nie stary człowiek, położyłabym się tu, po drugiej stronie nigdy, położyłabym się wśród tych jasnookich klejnotów i poszeptujących par owadzich nóg i szczytów złożonych skrzydeł i pozwoliła, by t o zrobiło ze mną, co chce. Ale ono chce dostać tylko starego człowieka, nie wiem czemu, nie wiem też, dlaczego nie wolno do tego dopuścić. Wiem tylko, że nie wolno. Wczepiłam się w jego rozłopotaną płomieniami dłoń, a on spojrział na mnie i uśmiecha się tym swoim pustoszącym uśmiechem. I tak przejdziemy. Umowa, umowa. Nasza umowa. T o może być złe, ale przecież i zło odczuwa krzywdę. Skarga pokrzywdzonego wciąż za mną goni, jeszcze długo potem, kiedy t o przestało nas ścigać, jeszcze długo po naszym odejściu, jeszcze na drodze do łożyska rzeki. A może my wróciliśmy aż do wrót śmierci, może nawet przeszliśmy przez te wrota i dopiero wtedy urwało się to wołanie? Gdzie stary człowiek powinien się znaleźć, jeśli nie tam? Gdzie chciałby się znaleźć? Za każdym razem, gdy zerkam nań z ukosa, on również spogląda na mnie, i choć minę ma przy tym zawsze poważną, ogień pod jego skórą wciąż się śmieje. Szeleści jak papier, jakby ktoś pakował prezenty. Skąd ja to wiem? Kto pakuje prezenty dla nikogo? W drodze powrotnej... a może to droga w tamtą stronę? czy to droga tam czy z powrotem?... nie będziemy szli za żadną pieśnią, nie spotkamy żadnych wygłodniałych cieni, nie będziemy się przedzierać przez targowiska zwierząt, które okażą się całymi światami, które z kolei okażą się trocinami i skorupami stłuczonych garnków. Tylko nas dwoje, w cichej podróży przez ciemność i wieczność, choć dla mnie nie było już wieczności. Teraz jestem zmęczona, na co przedtem nie mogłam sobie pozwolić; im dłużej zaś idziemy, tym mniej wiem, dokąd. Przedtem tego również nie wiedziałam, ale wtedy prowadziły mnie śpiew i gwiazda. Teraz życzyłabym sobie prawie, by ktoś nadal wykrzykiwał owo moje imię nie będące moim imieniem. Poszłabym za nim, dokądkolwiek mnie poprowadzi, a stary człowiek podążyłby za mną. Ale ciemność wciąż się kurczy... czuję już, jak ściska mi ramiona... ponadto śmieje się i zaraz zacznie się bać. Jak żywy

człowiek. Jednak kiedy starzec się odwrócił, byłam przygotowana. Powiedziałam: - Nie! Idziemy nad rzekę. Potrzebujesz mojej pomocy, jeśli pragniesz odzyskać spokój. Lecz on staje nade mną dęba, ogień przeskakuje z jednej jego ręki na drugą i wydyma się białoniebieską opończę, a stary otwiera usta i strzyka mi prosto w oczy jadem płonącego chichotu. Daremnie zasłaniam rękami twarz i wołam kogoś na pomoc, dotarłam bowiem do kresu bezkresnej nocy i do kresu samej siebie. Któż jednak przybędzie na wołanie nikogo?

LIS

Ludzka postać! Ukradł mi ludzką postać! Czułem, jak odchodzi, czułem - zimny szept, nóż wysuwający się z rany. Nigdy, nigdy dotąd nikt się nie odważył na taki podstęp, na taką kradzież. Piękna ludzka postać dziadunia: sumiaste białe wąsy, czerwony żołnierski płaszcz, rumiane, śmiejące się policzki, błyszczące uważne oczy, wspaniała umiejętność stania na dwóch nogach, siedzenia za stołem, rozmawiania, śmiania się i śpiewania, popijania czerwonego piwa - wszystko przepadło, wypatroszone razem z wnętrznościami. Gdy się zabębniło w brzuch, odpowiadało echo - oto jaki był dziadunio. Przepadło, przepadło! To ten drugi. Nie zły, stary czarownik, ale ten drugi, jego pan, ten który go uwięził. Najpierw porywa słońce, teraz ludzką postać, ojoj, ojoj, coż może biedny lisek przeciwko takiej potędze? Ho, ho, więcej niż się głupiemu czarownikowi wydaje. Nawet stare nic nigdy nie rusza ludzkiej postaci, nie tknęło jej ani razu podczas tylu wypraw w jego sprawach na ten świat. O nieostrożny, próżny czarowniku, lisa nie wolno bezkarnie zaczepiać. I oto jakiś lis siada pod drzewem naril Marineshy i myśli gorączkowo i szybciotko. Słońce nareszcie zaszło, ale w powietrzu nadal wisi żar jak w ograbionym sercu pewnego lisa; ani najłżejszego powiewu, w każdym razie nie tu pod drzewem. Siedzę sobie i patrzę, aż tu nagle jak nie polecą na mnie okna gospody, migoczące szkliście niczym śniegowe płatki. Komin rozpada się na dachu, dach faluje zachwycająco - ach, żal, żal ślicznych ciepłych gołąbeczków! - okapy marszczą się niczym brwi. Ze środka dolatują trzaski, łaskoty i krzyki, gruby oberżysta ryczy jak pan sbeknath szukający małżonki. Błyskawice rozdzierają niebo i biją prosto w pokój czarownika - bo wszystko tam się poczyna, w tym pokoju - wiatr, ogień i ciemność, tak tak tak. Ludzka postać też się tam znajduje. A więc coż, lisie - już na zawsze lisie, chyba że wymyślimy na poczekaniu jakiś sprytny wybieg - wracamy do tego pokoju? Tak, ale... Nie pora, nie pora na żadne "ale"... a to co znów takiego? Mała biała płonąca szalona - Lukassa! Odlatuje z wiatrem, poza wiatr, daleko od przyjaciół, karczmarzy, lisich ulubieńców - tam dokąd ludzie nie powinni się zapuszczać. Tam, w tamto miejsce, za griga'athem, który był dotąd starym czarownikiem. Lukasso! Nie moja sprawa, nic mnie to nie

obchodzi, podobnie jak wojny między czarownikami. Obchodzi mnie tylko ludzka postać, nic więcej. Niechże plują na siebie zaklęciami, niechże sobie psują nawzajem zabawki, niech przeganiają się czarami z miejsca na miejsce po tym i po tamtym świecie - byle trzymali się z daleka od tego, co należy do mnie i do starego nic. Stare nic nakazuje: "Znajdź go. Znajdź złodzieja i przemów mu do rozsądku." Dobrze. Lukassa musi się teraz sama o siebie troszczyć. Ale... Stare nic i ja nie mamy przyjaciół. Porozumienia owszem, przyjemności owszem, ale przyjaciół - nie; to niepodobieństwo. Dostatecznie trudno odróżnić od siebie ludzi, a co dopiero uczucia, zaskakujące niespodzianki. Nyateneri, Lukassa - wygodna torba przy siodle, przytulne ciepłe ramiona na noc, nic więcej. Niech sobie całują w pyszczek, ile chcą, kogo to obchodzi? Niepodobieństwo. "Znajdź go" - powtarza stare nic. Nowe łoskoty, krzyki, jeszcze więcej okien zmienia się w płatki śniegu. Karczma grubego karczmarza chwieje się w posadach i trzeszczy. Przerażeni ludzie wypadają na dwór, uciekają, zderzają się, przewracają. Na górze, w pokoju czarownika, oparty o pustą potrzaskaną futrynę okna stoi - On, ten drugi. Mina jego mówi: zwyciężyłem, zwyciężyłem, ale ramiona nie są tak pewne zwycięstwa. Stare nic: "Tam. Prędnij!" Niech się teraz Lukassa martwi o Lukassę. Pomóż jej, pomóż niegodziwemu czarownikowi. Ani mi się śni! Zatrósz się o jednego choćby człowieka, a końca temu nigdy nie będzie. Niepodobieństwo. Nie zmienię swojej natury. Stare nic odzywa się: "Jesteś małym palcem u mojej nogi, moim wąsem, moją brodawką. Nieś mnie do niego, prędko. To on, to jego pragnienia zakłócają mi sen. Zwrócę ci ludzką postać, zawinę w nią jego moc. Uczynię go moją lewą ręką." Ponownie przegniła deska za piecem? Gdybym wmaszerował frontowym wejściem jak ważny gość, ugryzł w tyłek Gattiego, przeszedł między nogami grubego karczmarza, przystając tylko po to, żeby obsikać mu buty, któż by na to dzisiejszej nocy zwrócił uwagę? Ruszam w kierunku gospody, lecz po chwili staję. Stare nic pyta: "Co znowu?" Nie odpowiadam. "Co znowu, mój paznokietku, wąsiku?" Głos starego nic rozbrzmiewa we mnie tak pieścizotliwie, jakby wieczorny wiatr delikatnie głaskał mi futerko. "Czy jakaś ludzka istota więcej dla ciebie znaczy od ludzkiej postaci? Wybieraj. To nawet ciekawe." Kiedy stare nic nie śpi, wszystko je ciekawi, wszystko i absolutnie nic. W nocy przed zaśnięciem pytała zawsze: "Lisku, lisku, jak ci na imię?" Ja nie mam imienia, ona również swoje straciła. To nas trochę do siebie zbliża. Stare nic nakazuje: "Wybieraj!" Robię dwa kroki w lewo i cztery pod górkę. Znow w lewo? W lewo, właśnie tak, cztery kroki wokół rogu, jeden za drugim. Gotowe. Czarownicy robią wokół przemieszczania się tyle hałasu. Ta sama ciemność, po co wyobrażać sobie inną? Ta sama wąska czarna droga pod stopami, to samo złe niebo. Nieciekawe miejsce, wciąż o tym

zapominam. Zaglądam tu czasem, bo stare nic nigdy tego nie robi. Nie może? Trudno zgadnąć. Trudno tu się w ogóle w czymkolwiek połapać, zbyt dużo bocznych, potwornie śliskich odgałęzień. Siedź cicho, lisie, siedź pusty i nasłuchuj. W tym miejscu zresztą i tak nic nie widać. Nasłuchuj, co z Lukassą. Najpierw zwietrzyłem griga'atha. One pachną chłodem, bynajmniej nie gorącem - orzeźwiający daleki powiew chłodu spod ognistego żaru, zapach zimy w środku lata. Trudno nie poznać. Kładę uszy po sobie, futro się najeża, mimo woli zrywam się na nogi. Nie ze strachu przed griga'athem, wcale się ich nie boję, to tylko reakcja tego ciała. Potem słyszę Lukassę. Inaczej jest tu za rogiem. Czas nie ma znaczenia, koniec jest dokładnie równoznaczny z początkiem, przestrzeń wydaje się nierzeczywista. Lukassa i griga'ath mogą znajdować się za mną, obok mnie, a nawet pode mną. Możliwe, że stoję przed nimi, nie sposób tego stwierdzić. Lukassę słyszę, ponieważ nasłuchuję. Słyszy ją pustka po ludzkiej postaci. Jeden urwany, cichy okrzyk - po co więcej, skoro i tak znikąd pomocy - i griga'ath się odwraca? Odpowiadam szczeknięciem lisa, słowa odeszły wraz z ludzką postacią. W chwilę później w ciemności, tuż nade mną pojawia się Lukassa, niemal niewidoczna w spowijającym ją ognistym cieniu. Griga'ath chce ją połknąć, uczynić żywą częścią swego żaru. Nie wszystkie to potrafią, ten owszem, mógłby i mnie z łatwością pożreć, gdybym się choć na chwilę zagapił. Więc lis znowu siada, bardzo ostrożnie, i szczeka po raz drugi. Lukassa się odwraca. Pivne oczy poszarzały i zaszyły mgłą od przebywania w tym miejscu, równie niewskazanym dla ludzi, co dla kości znalezienie się na zewnątrz ciała. Nie dostrzega mnie, nie te oczy, nie widzi nic prócz griga'atha. Przeklęty niegodziwy czarownik powinien biedaczkę uprzedzić, co ją czeka. Teraz już za późno. Lukassa woła: - Mój lisek! - mnie zaś, choć wcale sobie tego nie życzę, te dwa słowa przeszywają jak zimne żelazo. - Mój lisek! - powtarza, odwraca się od griga'atha i przypada do mnie, klęka i sięga przez to całe nigdzie, żeby mnie przytulić. Ta dziewczyna to prawdziwe utrapienie - zapłakana, to znów roześmiana mieszanina lęku, zmęczenia, radości, szaleństwa, ignorancji i miłości. I dla takiego grochu z kapustą wyrzekłem się ludzkiej postaci! Wyświadczcie mi łaskę, gołąbki, przylećcie tu i zjedzcie niemądrego lisa. Griga'ath unosi się nad nami jak osobne białe pałające niebo. Postaw mnie, głupia Lukasso, rozkazuję bez słów, bo tymi już nie władam. Nie pozostaje więc nic innego, jak ukąsić w nadgarstek, boleśnie - krzyknęła, puściła, wygląda na to, że ją skaleczyłem, niedobrze. Wycofać się pomaleńku. Czy ten stary czarownik w środku griga'atha choć trochę nas poznaje? Nie. Zimne zielone oczy przeświecają przez płomienie; wyciąga ręce, żeby nas podnieść i połknąć, nasycić palenisko swego serca. Jest w stanie to zrobić. Skoro ja mogę przybrać ludzką postać, on może to zrobić.

Następna odnoga w lewo. Następna. A potem jak długo? O, długo, bardzo długo, nawet zły czarownik nie urodził się jeszcze, kiedy ostatni raz zapuszczałem się w te strony we własnej postaci. Teraz nie ma takiej potrzeby, za wielki ambaras, wystarczy lisia skóra. A gdzie nie wystarczy, tam wystarczy ludzka postać. Nie ma innej rady. Staremu nic to się nie spodoba. Ale starego nic tu nie ma. Nie widzę innej rady. Znowu obejmują mnie ramiona Lukassy. Nie dba, czy ją ugryzę, czy nie, drży, dygocze, ściska za mocno, usiłuje uchronić mnie przed griga'athem. Ta dziewczyna to istne utrapienie. Zaglądam jej w oczy - puść, Lukasso, nie wolno mi się zmienić w twoich ramionach, nie wolno, wierz mi. Moja przyjaciółko... Puść mnie, przyjaciółko. Patrzy mi w oczy i puszcza, a tymczasem rozczapierza się nad nią dłoń griga'atha. Sięgam w głąb, do wnętrza, w najgłębszą głębie, potrząsam własną osobą, żeby ją obudzić, tę głębie, która nie ma kształtu, formy, nie jest nawet częścią starego nic. Jest mną. Bardzo przepraszam, że niepokoję, wrywam z miłej jak się spodziewam drzemki, ale jesteś mi potrzebna. Nie mam pojęcia, jak teraz wyglądam, dostrzegam jednak zmianę w oczach Lukassy. Nie krzyczy, kiedy chwyta ją griga'ath, nie wrywa się z jego garści - ale w oczach takie przerażenie, taka rozpacz istoty zdradzonej, że chyba by mnie zabolalo, gdyby mogło zboleć. Czy nie widzieć mnie to naprawdę takie straszne, Lukasso? Ani śladu twojego liska, nawet w tej prawiecznej istocie, jaką jestem? Ja bym cię poznał. Griga'ath odwraca się i cofa, trzymając Lukassę między nami jak latarnię. Zastanawia się: bać się czy nie? Teraz na mnie kolej, żeby wyciągnąć ręce; mam długie, szare ramiona i dłonie o lśniącym zarysie; szare prążkowane palce zginają się w powietrzu. - Postaw ją! - nakazuję. Mam szary druzgoczący głos. Lukassa zatyka uszy, zakrywa twarz. - Postaw ją - powtarzam. Coś się we mnie budzi, jakieś wspomnienie. Woda i niebo... ten świat czasu mych narodzin... woda, niebo, ogromne drzewa i stare nic. I lisy, moc lisów, lecz ani jednego człowieka. I ani jednego griga'atha. Podobnie jak ani jednego czarownika, ani jednej sztuki tego ruchliwego plemienia pyszałków, usiłujących zostać bogami, demonami, demiurgami, czym tylko się da. Istniały tam za to stworzenia do mnie podobne oraz inne, mieszkające w wodzie i na drzewach. Lis zapomniał, ludzka postać zapomniała, ale ja pamiętam. Griga'ath również coś sobie przypomina. Wolno stawia Lukassę, która spogląda przed siebie, za siebie - Do mnie, Lukasso - mówię, ale ona nie może znieść dźwięku mojego głosu. Przysuwam się do niej i wyciągam ręce - odlatuje, znajduje się teraz za mną; to dobrze. Griga'ath syczy, uśmiecha się do nas wargami potworów, jeszcze się nie zdecydował. Przemawiam do niego w Języku Pierwszym, jakiego lis i ludzka postać nie znały: - Przypatrz mi się i odejdz. Suchy patyku, martwy liściu, odejdz ku swojemu przeznaczeniu. I odwracam się doń plecami. Dla mnie

przeprawa z nim jest już skończona. Pozostaje mi tylko odnieść Lukassę do domu, do jej świata, oddalonego od tego miejsca o grubość skóry, mniej nawet: o szept, ale bez żadnego przejścia między nimi, wyjąwszy dla umarłych, obłąkanych i dla lisa. Lukassa nie jest obłąkana. To byłaby sprawka starego czarownika... O głupcze, głupcze, jak mogłeś tego nie dostrzec? Biedna dziewczyna. Obejrzyć się po raz ostatni. Griga'ath przykucnął i nie rusza się, już nie zaatakuje. Pod płynną ruchliwą ciemnością ogień już przygasa - chciał nas połknąć, a tymczasem to jego wypija i wchłania ciemność. Dobrze ci tak, niegodziwy czarowniku, który budzisz umarłych, żeby cię podziwiali. To wstyd, nawet jak na czarownika. Zawsze byłeś tym, czym się w końcu stałeś. Pozostawić cię tutaj to i sprawiedliwe, i przyjemne. Ale Lukassa nie chce iść. Cztery kroki w prawo, dokoła i w dół - takie proste, a ona nie chce. Nadal się boi. Trudno, posłuż się strachem, nie ma czasu, nie ma wyboru. Umyka przede mną, pierzcha; uparta jak głupie kurczątko, wciąż próbuje wrócić do griga'atha. Jeśli to nie obłąd, to co? Mówię jej, żeby przestała, żeby poszła ze mną, ale mój głos naprawdę ją przeraża, skryłaby się za griga'atha, gdyby się nie bała. - Przyszłam tu po niego! - woła. Zawsze to samo, zawsze! Zadaj się tylko z ludźmi, pozwól sobie na jakieś uczucia i oto masz babo placek: trzeba udawać głupszego, niż się jest. Przeszłaby teraz przeze mnie na wskroś, przeze mnie, przez griga'atha, bez różnicy, a wszystko dla jednego na zawsze zgubionego starca. Żywy czy martwy, tak czy owak do szpiku kości dureń. Dobrze ci tak, głupi lisie. Usiłuję ją pochwycić, odnieść gdzie jej miejsce, skończyć wreszcie z tą błazenadą. Lukassa wymyka mi się jednak. - Nie, nie chcę, nie chcę, przyszłam tu po niego! Gdzie jesteś, lisie? Pomóż mi, lisie! - krzyczy i patrzy na mnie. Wcisnąć się z powrotem w lisią postać, żeby ją uspokoić? Za przykładem tej dziewczyny do reszty zgłupiałem. Oto, do czego potrafią doprowadzić ludzie. I znowu nie ma innej rady, odwracam się do griga'atha i mówię wolno, z namysłem: - A więc chodź. Chodź z nami. O, nigdy więcej, nigdy więcej! Stare nic musi teraz pękać ze śmiechu. - No chodź! Griga'ath robi krok, Lukassa wzdycha z zachwytem; jeszcze jeden krok, jeszcze jedno westchnienie. Griga'ath przystaje i przygląda się nam ślepiami płonącymi jak zielone żużle. Jeśli nas nie poznaje, czy może wiedzieć, czym jest sam? Czy potrafi wybierać: ten czy tamten świat? - No chodź, chodź. - Gorące niebieskie warknięcie, jeszcze jeden krok. Lukassa klaszcze w dłonie i śpiewa z radości. Nigdy, nigdy więcej! - No chodź!

ROSSETH

W tym miejscu mam dziurę w pamięci. Pamiętam tylko wicher, potworny hałas i ludzi krzyczących w korytarzach gospody "Pod Tasakiem i Ościeniem", trzęsącej się jak przerażony

koń. Pamiętam, że trzymałem za rękę Lal i zbliżałem się z nią i Soukyanem do dziury czerniejącej w miejscu ściany i zapraszającej nas do środka. Coś się w niej pokazywało, lecz nie pamiętam już co, pamiętam tylko, że szedłem tam z ochotą. I pamiętam griga'atha... A potem już nic: nawet mniej niż nic; nie dziura w pamięci, a ziewnięcie czkawki. Następne moje wspomnienie to Karsh: potrząsa mną i coś wrzeszczy jak obdzierany ze skóry. Rozpoznaję poszczególne słowa, ale nie rozumiem znaczenia całości. Fruwam w rękach Karsha jak ścierka do wycierania naczyń, a tymczasem stojący za nim Tikat krzyczy w stronę ściany: - Lukasso! Lukasso! Ten drugi czarownik przygląda mu się z coraz szerszym, niesamowitym uśmiechem na pozbawionych warg ustach. To wszystko dzieje się jak we śnie i wydaje się nie mieć końca. Zakończył to Soukyan. Jedną ręką przesunął mnie za siebie, drugą odepchnął Karsha. Pamiętam, jak powiedział, głosem tak grubym i chrapliwym, że Karsh musiał się domyślić prawdziwej natury tamtego pod maską kobiety. - Nie waż mi się ruszać z miejsca, grubasie! - Te słowa zrozumiałem; potem Soukyan zwrócił się do mnie: - Nic ci się nie stało, Rosseth? Zanim zdążyłem odpowiedzieć - zakładając, że zdołałbym to uczynić, Karsh ryknął: - A o co ja go niby pytałem, do ciężkiej cholery, jak ci się zdaje, ty durna babo? Dostałem ataku śmiechu, nie mogłem się powstrzymać. Śmiałem się nie tyle dlatego, że znałem prawdę, ile dlatego, że jeszcze nigdy nie słyszałem Karsha zwracającego się w ten sposób do płacącego gościa. Tym razem to Soukyan musiał mną trochę potrząsnąć. - Nie, nic, wszystko w porządku - wykrztusiłem, wyrwałem się z jego rąk i rozejrzałem dokoła. Pokój przedstawiał obraz kompletnej ruiny: okno wyleciało, drzwi wisiały na jednym zawiasie - dzieło Karsha, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Inna sprawa, że trudno zrujnować coś, co - jak ta ohydna klitka przeznaczona głównie dla flisaków, żeby mieli gdzie odsypiać wyżłopaną gorzałkę - już było ruiną. Ściany nachyliły się ku sobie w taki sposób, jakby izdebkę zgniótł w garści jakiś olbrzym. Połowę podłogi zwęgliło i wypiętrzyło w ostrą grań ogniste przejście griga'atha. Dostrzegłem rozsypane w przeciwległym kącie polne kwiatki Marineshy. Dziwne, ale roślinki w ogóle nie ucierpiały, rozbity był tylko wazon. Lal próbowała uciszyć krzyczącego przeraźliwie Tikata. Kątem oka dojrzałem, jak Soukyan z wypisaną na twarzy żądzą mordu przysuwa się powoli do czarownika Arshadina. Ten uśmiechał się przez cały czas z rozmarzeniem, dotykając swojej twarzy i całego ciała z jakimś niesamowitym zachwytem. Wydawało się, że jest tym całkowicie pochłonięty, mimo to miałem ochotę ostrzec krzykiem nie jego, a Soukyana. Nie zdążyłem, bo napadł na mnie znowu Karsh, dopytując się, czy naprawdę nic mi się nie stało, a w ogóle co, do jasnej cholery, robię w pokoju tego zasranego czarownika. Twarz mu to czerwieńiała, to bladła na

przemian i dygotał jak przerażony koń. Pomyślałem, że z powodu zrujnowanej gospody, jedynej rzeczy, którą w życiu kochał. Zrobiło mi się go żal. Soukyan szykował się już do skoku, zdołałem jeszcze krzyknąć, oczywiście za późno - Arshadin już się odwrócił. Jedna z jego pulchnych białych dłoni wykonała w powietrzu niedbały gest i Soukyan runął na podłogę. Usta miał otwarte, ale wyraźnie się dusił; oczy wyszły mu z orbit, pierś się naprężyła. Tarzał się u stóp Arshadina i jak oszalały szarpał paznokciami gardło, jakby je chciał rozedrzeć, by zaczerpnąć tchu. Czarownik przyglądał mu się i kiwał w zadumie głową. Chciałem się na niego rzucić, ale Karsh tak mocno chwycił mnie za ramiona, że jeszcze przez wiele dni miałem wielkie sińce. Tymczasem Lal już mknęła przez izbę jak ciśnięty czyjaś ręką sztylet; jej złote oczy zwięzły się w lodowate szparki. Arshadin zerknął na nią z ukosa i moja przyjaciółka zamarła w bezruchu, a potem zaczęła rzucać wokół siebie strwożone spojrzenia, kuląc się, parując ciosy i wymachując rękami, żeby odeprzeć napastników, których nikt poza nią nie widział. Najwidoczniej nie poznawała też nikogo, nawet wijącego się na podłodze Soukyana. Te wydarzenia również zdawały się trwać w nieskończoność, choć nie przypominały już snu. Następnie odezwał się Arshadin. - Skończone - oznajmił tym swoim pustym, beznamiętnym, przerażającym spokojnym głosem. - Oto stoi przed wami wasz nowy mistrz! Przerwało mu gwałtowne miotanie się Soukyana, który najpierw próbował ostatkiem sił kopnąć czarownika, a potem podciąć mu nogi i obalić na ziemię. Arshadin odstąpił o krok i wierzgania Soukyana chybiły celu, kończąc się słabym bębnieniem pięt w podłogę, podobnie jak ja bębniłem w ścianę, gdy przygważdżał mnie do niej niebieskooki dusiciel. Nie mogłem tego znieść. Udało mi się wrazić łokieć w bandzioch Karsha; grubas stęknął i puścił mnie, a wtedy po raz drugi skoczyłem na wroga. Czarownik skinął na Lal - obróciła się z wściekłością w półprzysiadzie i złapała mnie. Arshadin wskazał ręką skręcającego się na podłodze Soukyana i rzekł: - Niech jego los będzie wam przestroga... - Nie skończył, bo w tej samej chwili pojawili się z powrotem Lukassa i griga'ath. Wyłonili się jakby z zakładki powietrza, nagle powstałej i natychmiast wyglądzonej fałdy, która mignęła mi tylko przed oczami, rozchylona, aby ich przepuścić. Pierwsza wysliznęła się Lukassa, odwracając się najwyraźniej po to, by zachęcić do wyjścia griga'atha, a za nimi... za nimi ukazało się na ułamek sekundy coś, czego naprawdę nie mogłem widzieć, jestem tego pewien. Było ogromne, szare i patrzyło na mnie, choć nie mogło... nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia. Po chwili niezwykle przejście zamknęło się i zniknęło, a na podłogę skoczył lis Soukyana, usiadł niedbale na zadzie i wlepił wzrok w Arshadina. Czarownik mienił się na twarzy. Wydawał też jakieś odgłosy, ale nawet w części nie tak ciekawe jak zmiany na

jego obliczu. Wszystko, co nastąpiło potem, rozegrało się tak szybko, że jestem zmuszony opowiadać o tym z nadmierną drobiazgowością. Lukassa zrobiła dwa kroki do przodu i zemdląła; wpadła jednak nie w wyciągnięte ramiona Tikata, lecz w moje. Zbiła mnie z nóg, i boleśnie uderzyła głową w usta, rozcinając mi wargę i obluzowując ząb. Griga'ath otrząsnął się, kichnął i stał się na powrót starym czarodziejem; a jeśliś ciekawy, skąd o tym wiem, dowiedz się, że zaczął od wymówienia dwóch słów, po których Soukyan natychmiast głęboko odetchnął, tak mocno, jakby nabierał powietrza po stuletniej przerwie; zaczerpnął go następnie jeszcze raz, powoli usiadł i wyciągnął ręce do Lal. Pomogła mu wstać, przytulili się do siebie na chwilę, po czym zwrócili się oboje w stronę Arshadina. Ten był oczywiście obłąkany - każdy, komu tak szalenie zależy na zostaniu mistrzem, musi być szaleńcem - czy oznacza to jednak, że i jego odwaga pochodziła z obłądu? Co do mnie, nie byłbym tego zdania. Stał przed starym czarodziejem, nieustraszony i hardy jak zawsze, i rzekł: - Więc oto się znów spotykamy. Dokąd mam posłać cię następnym razem, jak sobie życzysz? Jego wargi zaciskały się jednak ciasno wokół każdego słowa, a oblicze przypominało topniejący lód. Starzec również wyglądał na zupełnie wyczerpanego, choć nie zalaatywała już odeń woń śmierci i rozpacz. Jego zielone oczy wydały mi się czystsze niż kiedykolwiek przedtem, jasne jak młode listki, a śmiech zadzwonił niczym wytryskujący spod skały wiosenny strumyk. - Nie troszcz się o mnie, mój biedny Arshadinie - zawołał. - Zastanówmy się, byle prędko, dokąd by tu ciebie posłać jak najdalej. Nicość jest dość daleko, ci zaś, których zawiodłeś, nie znają zawodu. W jego głosie, mimo prześmiewczego tonu, zabrzmiała twarda groźba. Lukassa drgnęła w mych ramionach; jak najdelikatniej podałem ją Tikatowi. Nasze spojrzenia spotkały się na moment, potem on zwiesił głowę i zaczął głaskać dziewczynę po włosach. Odwróciłem oczy. Arshadin tymczasem zawołał: - Ja dotrzymałem umowy! Jeśli okazali się zbyt słabi, by ciebie zatrzymać, cóż mogą uczynić mnie? Nic się nie zmieniło. Za moimi plecami Karsh zbulgotał: - Zabiję go, zabiję! Niech no go tylko dostanę w swoje ręce! Sądziłem, że ma na myśli Arshadina, że zrozumiał wreszcie, kto był rzeczywistym sprawcą zniszczenia gospody. Tymczasem on pożerał wzrokiem lisa, który siedział wyprostowany i wywiesiwszy język przyglądał się otoczeniu z wyrazem cichej pogardy. Usłyszawszy groźbę karczmarza zwierzak odwrócił się i spojrzał na mnie tak, jak tamtego pierwszego dnia, gdy wysunął pyszczyk z torby przy siodle Nyateneri; w głębi jego źrenic zabłysło moje prawdziwe imię. Starzec rzekł: - Szkoda czasu, Arshadinie. Zgodzę się na wszystko, na co tylko chcesz, musimy cię jednak czym prędzej stąd wyprowadzić. Posłuchaj mnie, Arshadinie. Proszę! Arshadin parsknął śmiechem - śmiechem zdumiewającym, przeciągłym,

zaskakująco naturalnym i szczerym; do dziś dźwięczy mi w uszach i wciąż mnie zdumiewa. Czy śmiał się w poczuciu hardej pewności siebie, przeświadczony że jego drogo nabyta moc ochroni go przed każdą zemstą, ludzką bądź też inną? Czy może był to śmiech kogoś, kto nie ma już nic do stracenia, żadnej możliwości ucieczki? Nie potrafię na to oczywiście odpowiedzieć, ale zgodzisz się, że po niegodziwcu może człowiekowi pozostać gorsze niż to wspomnienie. - Nic się nie zmieniło - powtórzył. - Jeśli chcesz, możesz wrócić do miejsca, gdzie zanudzałeś mnie błaganiami, żebym się zachowywał przyzwoicie. Powietrze zmarszczyło się ponownie, tuż obok jego postaci. Pojawiła się na nim fałdka, podobna do kręgu fali na spokojnej wodzie, do której wrzucono kamień. Ten jednak krąg pociemniał, napiął się i przemienił w sine usta o wilgotnych wargach najeżonych czerwonosinymi lśniącoymi zębami. Arshadin odwrócił się i uderzył w owe usta, wykrzykując przy tym słowa przypominające trzask łamanych przez wichurę drzew. Kolisty wargi wysunęły się, jakby się składały do potwornego pocałunku, po czym stuliły i wessały zbuntowanego czarnoksiężnika, aż straciliśmy go z oczu. W ciszy, jaka potem zapadła, rozległ się cichy, tkliwy śpiew Tikata, który nie podnosząc głowy kołysał w ramionach Lukassę. Długie jasne włosy spadały mu na twarz i mieszały się z ciemnymi lokami dziewczyny. Znałem tę piosenkę: była to kołysanka o Zatoce Byrnarik. Tikat całkiem przeinaczył jej słowa. Albo też mnie się wszystko pokręciło...

TIKAT

Prawie trzy dni przespała w zupełnym bezruchu. Nie pytając o pozwolenie położyłem ją w najlepszym pokoju na piętrze - który, według słów Rossetha, stoi czasem pusty przez okrągły rok, gdyż Karsh uparł się, aby trzymać tę izbę dla gości, jacy w Corcorui zjawiają się rzadko. Kiedy grubas zaczął się pieklić z tego powodu, mój tafiya przemówił doń pojednawczo: - Mój zacny gospodarzu, w dniu, kiedy Lukassa obudzi się w tym łóżku, przywrócę gospodę do poprzedniego stanu, i to bez śmierdzących pluskw na ścianach. Jeśli wszelako wyjdzie z pańskich ust do tego czasu choćby jeszcze jedno słóweczko protestu, obiecuję, że będzie pan do końca swych dni wzdychał do tego widoku - zatoczył ręką wskazując ruinę, w jaką czarnoksiężnik Arshadin obrócił gospodę "Pod Tasakiem i Ościeniem" - jak do pięknego wspomnienia. Karsh wypadł z pokoju, żeby sprawdzić stan przybudówek, a tafiya westchnął, usiadł przy Lukassie i czuwał przy niej przez całą noc. Trzeba przyznać, że dotrzymał z naddatkiem danego Karshowi przyrzeczenia. Rankiem trzeciego dnia stwierdziliśmy po przebudzeniu, że dach gospody powrócił na dawne miejsce, w nowych futrynach w odbudowanych ścianach siedziały jak się patrzy caluteńkie okna, podłogi były co najmniej tak

równe jak przedtem, oba kominy co najmniej tak samo proste, fundamenty chyba nawet solidniejsze, takie zaś elementy wyposażenia jak kraniki z piwem, kadzie i rury wodociągowe funkcjonowały tak doskonale, jakby ich nigdy nie wyrwano z obsady niczym chwastów z gruntu. Śmierdzące pluskwy naprawdę zniknęły, zaś szyld nad drzwiami wejściowymi został świeżo odmalowany, co jednak dziwnie rozwścieczyło Karsha. Przez cały dzień grubas tłukł się po gospodarstwie, mamrocząc pod nosem, że poprzedniemu szyldowi niczego nie brakowało i że nie urodził się jeszcze czarownik, który by wiedział, kiedy odczepić się od człowieka. Co wedle mojej dzisiejszej oceny wcale nie jest, nawiasem mówiąc, dalekie od prawdy. Lukassa obudziła się dopiero wieczorem w dniu odnowienia karczmy. Lis spał obok niej na łóżku, a i tafiya się zdrzemnął, tak mi się przynajmniej wydawało, bo pod pewnymi względami stary oszust z niego i zwodzenie ludzi sprawia mu najwyraźniej przyjemność. Lukassa obudziła się nagle i spojrzała na mnie oczyma gotowymi zaraz wypełnić się trwogą. Położyłem jej delikatnie ręce na ramionach i ryzykując, że ją przerażę, wymówiłem jej imię: - Lukassa. Nie jestem pewien, czy zniósłbym, gdyby mnie i tym razem nie poznała. Ale poznała, wiedziałem o tym, jeszcze zanim się odezwała. Powiedziała cicho, lecz całkiem wyraźnie: - Tikat. Jesteś tu, Tikat. - Jestem - potwierdziłem - i ty jesteś ze mną, i o n tu jest - wskazałem głową tafię chrapiącego głośno na krześle i dodałem: - Ocaliłaś go. Myślę zresztą, że ocaliłaś nas wszystkich. Nic nie odpowiedziała, tylko długo przyglądała mi się w milczeniu. Miała twarz obcej kobiety, jak zresztą być powinno. Choćbyśmy się bowiem kochali od dnia urodzin do śmierci, pozostajemy dla siebie obcy i nikt nie powinien o tym zapominać, nawet gdy życie nas do tego zmusza. Marinesha zajrzała do sypialni, uśmiechnęła się onieśmielona i odeszła od drzwi. Lukassa powiedziała: - Kiedy byłam tam, w tamtym miejscu, słyszałam, jak mnie wołasz. Od tamtego krzyku dotąd bolało mnie gardło. Pochyliłem głowę nad jej dłońmi. Zacinając się ciągnęła: - Tikat, ja nie pamiętam ciebie sprzed... sprzed rzeki. O n mówi, że nigdy sobie nie przypomnę - ani ciebie, ani siebie, ani nikogo. - W jej oczach zabłyśły łzy, ale nie spływały po policzkach. - Wiem jednak, że jesteś moim przyjacielem i naprawdę się o mnie troszczysz. I wiem, że zadałam ci ból... Poczulem uścisk jej palców na dłoni. - Nic na to nie mogłaś poradzić - powiedziałem. - Podobnie jak ja nie mogłem nie wołać za tobą. Nie myślałem, że mnie usłyszysz. - A jednak usłyszałam. - Uśmiechnęła się do mnie po raz pierwszy, starając się jak zawsze nie otwierać ust zbyt szeroko, aby w lewym kąciку nie odsłonił się krzywy ząb. - To było bardzo denerwujące, do czasu gdy twoje wołanie stało mi się potrzebne, abym odnalazła drogę powrotną. Ale wtedy już go nie słyszałam. - Bo nie mogłem już dłużej krzyczeć. Popatrzyła mi w oczy i skinęła

głową. Jej palce zacisnęły się mocniej na mej dłoni. - Nie mogłem, Lukasso - powtórzyłem. Powtórnie przytaknęła. Obróciłem głowę, chcąc przyjrzeć się lisowi: mocno zacisnął skośne ślepia i chrapał smacznie, posapując w nastroszoną kitę, którą przykrył pysk; jego oddech rozdmuchiwał czarne koniuszki sierści. Lukassa pogłaskała zwierzaka wolną ręką, a on, nie budząc się przeciągnął się pod tą pieszczotą. - To on jest staruszkciem w czerwonym płaszczu, wiesz? - powiedziałem. - Spotkałem go po drodze, kiedy szedłem tu za tobą i Lal. - Jest też kimś więcej - szepnęła Lukassa tak cicho, że ledwo ją mogłem dosłyszeć. - Kimś więcej, kimś niepodobnym do nikogo innego. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy, to znów odwracając wzrok, a wszystkie pytania, jakie pragnąłem jej zadać, siedziały z nami na łóżku; zdawało się, że materac ugina się pod ich ciężarem. W końcu Lukassa rzekła: - Chciałabym ci opowiedzieć o tym miejscu, w którym byłam, oraz o tym, jak się tam czułam. Chciałabym komuś o tym opowiedzieć. - Nie mam prawa... - zacząłem, ale mi przerwała. - Chciałabym ci opowiedzieć, ale nie potrafię. Osoba, która mogłaby to uczynić, już nie żyje. Wybałuszyłem na Lukassę oczy, nic nie rozumiejąc, a moja ukochana ciągnęła: - Ona nie wróciła: umarła po tamtej stronie czarnych wrót, tak samo jak dziewczyna, którą znałeś, w tamtej rzece. A ja znalazłam się tutaj i rozmawiam z tobą, ale kim jestem? Czy jestem martwa czy żywa? Potrafisz mi to wyjaśnić, Tikat? A jeśli żyję, kimże jestem? Próbowała wyrwać mi rękę, ale przytrzymałem ją mocno, aż pierścionek ze szmaragdem boleśnie wbił mi się w palec. Lis obudził się i ziewnął ostentacyjnie, przeciągając przednie łapy i mierząc nas wzrokiem. - Jesteś równie żywa jak ja - zapewniłem - i jesteś sobą. A jeśli nawet nie tą Lukassa, za którą goniłem, to nic. Być może tamtej dawnej w ogóle nie było. Jeśli o mnie chodzi, nie mogę już być Tikatem, którym kiedyś byłem, i bardzo się z tego cieszę, skoro dzięki temu mogliśmy się poznać. Otworzyłem palce i Lukassa cofnęła dłoń, ale po chwili położyła ją z powrotem w taki sposób, że opuszki naszych palców się zetknęły. - I co teraz zrobimy, Lukasso? Myślałem, że będziemy mogli wrócić do domu, do tamtych dwojga, ale widzę, że to niemożliwe. - To prawda - przyznała cichutko. - Lal wzięłaby mnie, co prawda, ze sobą, gdybym ją poprosiła, ale tylko dlatego, że proszę, a Soukyan... - Rozłożyła ręce i wtedy zobaczyłem blizny, które wcześniej wyczuwałem dotykiem: dwie podłużne ciemne plamy we wnętrzu bladej dłoni i ciemną pręgę jak od smagnięcia biczem na grzbiecie, tuż poniżej pierścienia na palcu. Lukassa zakończyła: - Soukyan wzięłaby mnie ze sobą, gdyby Lal go o to poprosiła. Błędne koło! Jej uśmiech nie przypominał już tamtego, który znałem. Ująłem rękę dziewczyny i pocałowałem pokrytą bliznami dłoń. Lukassa zacisnęła palce, lecz zaraz je rozwarła. - Poszedłbym z tobą gdzie oczy

poniosą, ale nie znam żadnego miejsca, dokąd moglibyśmy się udać - powiedziałem. Przez chwilę milczeliśmy oboje, po czym dodałem: - Ostatecznie możemy zostać tutaj, pracować w gospodarstwie i doczekać starości przy Karshu... Powiedziałem to żartem, ale twarz Lukassy natychmiast spochmurniała, więc zrozumiałem, że wzięła to na serio. Zabierałem się już do wyjaśnień, gdy za naszymi plecami zakasłał grzecznie tafiya. - Czy wolno mi coś zaproponować? - zapytał. Jak długo już nie spał i przysłuchiwał się naszej rozmowie? Nie dowiedzieliśmy się tego. Z tym czarownikiem człowiek nigdy nie może być niczego pewien. Odwróciliśmy się jak na komendę. Siedział przed nami z takim samym prześmiewczym błyskiem w zielonych oczach, jaki lśnił w żółtych ślepiach lisa, i z miną równie pewną siebie jak tamten przechera. - Wygląda na to, że moja lamisetha może jeszcze poczekać - rzekł. - Zabiorę was ze sobą. Potem spojrział na Lukassę i wyraz jego oczu się zmienił. - I ja przeszedłem przez wrota śmierci - zwrócił się do niej - ale byłem bardziej niż umarły. I pozostałbym taki przez całą wieczność, gdyby nie ty, dziewczyno. Dlatego do końca życia pozostanę twym niewypłacalnym dłużnikiem. A ponadto... Lukassa pokręciła gwałtownie głową i oświadczyła: - Zrobiłam to, co zrobiłam, bo nie miałam innego wyboru, nie wiedziałam nawet, co właściwie robię, więc nikt nie jest moim dłużnikiem. - Powiedziała to zmęczonym i bezbarwnym głosem. - Nie przerywaj mi! - skarcił ją starzec. - Kiedyś na dziesięć minut obróciłem Soukyana w kamień za to, że przerwał mi o jeden raz za dużo. - Uśmiechnął się jednak do Lukassy niemal z uwielbieniem i podjął: - A ponadto moja niewyżyta potrzeba nauczania najwidoczniej również przetrwała wycieczkę za czarne wrota, więc jeśli masz dość rozumu, żeby za mną pójść, zdołam może... Lukassa przerwała mu po raz drugi: - Nie chcę być czarodziejką, przenigdy, za nic na świecie! - zawołała i z całej siły chwyciła mnie za rękę. Staruszek westchnął z rezygnacją. - A czy Lal jest czarodziejką? Czy Soukyan jest czarodziejem? Siedź cicho i słuchaj uważnie, co mówię. Jeśli wrócisz ze mną do mojego domu, niewykluczone, że po jakimś czasie przypomnę sobie sposób, który umożliwi tej Lukassie i tamtej, która nadal spoczywa na dnie rzeki, spotkać się, porozmawiać, a może nawet - kto wie? - razem zamieszkać. Może, powtarzam. Niczego nie obiecuję. Dach jednak u mnie nie przecieka, a jedzenie jest przeważnie całkiem znośne. Uśmiechnął się szeroko ironicznym krzywym uśmiechem, mnie zaś przypomniały się słowa Czerwonego Płaszca, słowa lisa: "Kości pełne ciemności, krew gęsta i zimna od prawiecznych tajemnic." - Choć bywa czasem - dorzucił staruszek - trochę niespokojnie, na ogół jest całkiem przytulnie. Lukassa oświadczyła stanowczo: - Musiałbyś zabrać i Tikata. Bez niego nigdzie się nie ruszę. Tafiya spojrział na mnie i uniósł z lekka brwi podobne do gąsienic. Odezwałem się: -

Potrafię pracować, dobrze o tym wiesz. I nauczę się wszystkiego, czego zdoła mnie nauczyć pobyt w twoim domu. Ze zdenerwowania, że przemawiam do mistrza w ten sposób, bezwiednie obracałem pierścionek na palcu Lukassy. Tafiya długo milczała. Wydawało się, że przygląda się nie nam, ale lisowi, który po jakimś czasie ziewnął mu prosto w twarz, zeskoczył z łóżka i odbiegł dumnie z wysoko podniesioną kitą. Czarownik zaś przemówił tonem dziwnie melancholijnym: - Będiesz równie mile widziany jak Lukassa, Tikat, ale na twoim miejscu poważnie bym się nad tym zastanowił. Może się bowiem zdarzyć, że nauczyłbyś się więcej, niż pragnąłeś. Nosisz w sobie talenty, marzenia i głosy, które pod moim dachem mogłyby rozkwitnąć jak pod żadnym innym. Na twoim miejscu byłbym więc bardzo ostrożny... Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Bawiłem się pierścieniem Lukassy dopóty, dopóki nie zsunął się z jej palca i byłby spadł w moją dłoń, gdyby go w porę nie chwyciła. - Przystań, nie wolno mi go nigdy zdejmować! - zganiała mnie. - Dała mi go Lal podniósłszy mnie z martwych. Jeślibym go zgubiła, umarłabym na dobre i obróciła się w proch, jak już zresztą dawno powinnam. Jej dłonie zwilgotniały i zaczęły drżeć, a twarz aż postarzała się ze strachu. Tafiya wpatrywał się w dziewczynę z takim skupieniem i taką tkliwością, że jego własne oblicze upodobniło się na moment do twarzy Lukassy: wyglądał zupełnie tak, jak ona, jak inaczej mogę to określić? Trwało to tylko chwilę, ale będę pamiętał ową chwilę nawet, kiedy zapomnę już o wszystkich innych czarach, jakich kiedykolwiek dokonał na moich oczach. - To nie tak, Lukasso - rzekł do niej z ogromną czułością. - Ja sam dałem Lal ten pierścień, więc chyba wiem, co i jak. Powstał, by nieść pociechę i koić smutek pewnego określonego rodzaju, nic więcej. Twoje życie należy do ciebie, nie do pierścienia. Lukassę trzymają przy życiu serce, dusza i duch Lukassy, a nie martwy zielony kamień oprawiony w kawałek zimnego metalu. Daj mi ten pierścień, a dowiodę ci prawdy moich słów. Długo trwało, zanim przestała drżeć i zaczęła naprawdę słuchać, ale nawet wtedy nie chciała zdjąć pierścienia, mimo naszych perswazji. Z początku odpowiadała tylko "nie i nie", zaciskając przy ustach piąstki, w końcu odwróciła się jednak do czarownika i oświadczyła: - Oddam go tylko Lal. Kiedy odejdziemy stąd oboje z Tikatem, żeby pójść za tobą, wtedy zwrócę jej pierścień, a ona, jeśli zechce, odda go tobie. I przy tym się uparła. Tafiya pokręcił głową, dmuchnął w brodę i mruknął: - Skoro tak zaczynamy naszą karierę nauczyciela i uczennicy, jakże ją skończymy? Okazywałaś mi więcej posłuszeństwa, gdy byłem griga'athem! Musiał się jednak chęć nie chęć pogodzić z jej decyzją, a myślę nawet, że był z niej na swój sposób zadowolony.

OBERŻYSTA

Od tamtej pory nic nie działa jak należy i guzik mnie obchodzi, co obiecywał ten stary ani jak wielkim jest czarownikiem. Owszem, wszystko funkcjonuje, jeśli to rozumiesz przez działanie jak należy, to i owo nawet lepiej niż przedtem, nie jestem aż takim głupcem, żeby temu przeczyć, ale nic nie działa jak za dawnych czasów. Rzeczy można wymienić, wyreperować jak się patrzy, ale nie można ich przywrócić do poprzedniego stanu. "Zreperowane" nie znaczy "te same." Nie szkodzi, nic nie szkodzi, nic się nie stało, zresztą niewiele już pozostało do opowiadania. Następne dwa tygodnie wspominam jako jeden wielki koszmar, ni mniej ni więcej. Gospodę musieli prowadzić Marinesha i Rosseth - ulitujcie się nade mną, bogowie! - podczas gdy ja zajmowałam się ugłaskiwaniem i przepraszaniem gości wściekłych, poranionych (tych było na szczęście niewielu; jeśli chodzi o furmana z Kinariki, przepadł bez śladu, jak kamień w wodę), gości tak przerażonych, że niektórzy nie chcieli nawet wracać po rzeczy, nie mówiąc już o zapłaceniu rachunku. Nie tylko straciłem wtedy znaczną liczbę stałych klientów, ale na domiar złego wieść o całym zdarzeniu lotem strzały rozeszła się po okolicy i od tamtej pory staram się odzyskać dawną klientelę i po dziś dzień mi się to nie udało. W tym żmudnym trudzie żaden czarodziej nie zaproponował mi swej pomocy, mogę cię zapewnić! Lal, jedna z owych trzech damulek, powiadomiła mnie, że ona i jej towarzysze wyjadą, jak tylko czarownik i mała Lukassa nabiorą sił do podróży. Złożyła mi ponadto przeprosiny - próżne, ale trochę mnie tym ujęła, przyznaję - za wszystkie kłopoty, jakie sprawiły mi we trzy swą obecnością. "Wszystkie kłopoty..." - jakby była w stanie wyobrazić sobie choć połowę nieszczęść, które ściągnęła na mnie jej banda. Ponieważ jednak zawsze to jakaś odmiana, bo oto mnie proszono o wybaczenie, oświadczyłem, że nie ma o czym mówić i do czego wracać. Panna Nyateneri nie wysiliła się oczywiście na żadne przeprosiny, z czego byłem nawet rad, bo nie przeżyłbym chyba kolejnego wstrząsu. Rosseth schodził mi z drogi jak nigdy przedtem. Co nie znaczy, że i wcześniej nie starał się mnie ile możliwości unikać, ale wcześniej rzadko się zdarzyło popołudnie, bym nie musiał na niego wrzeszczeć. Prawdę powiedziawszy ja również starałem się go omijać. Ostatecznie wbiegłem po zawałających się schodach, przedarłem się przez gromadę uciekających z krzykiem durniów i wyważyłem najlepsze drzwi w całej gospodzie tylko dlatego, gdyż nie mogłem ścierpieć myśli, że będę musiał przyuczać do roboty nowego chłopaka stajennego. Człowiek nigdy nie wie, jak potem będzie się z czymś takim czuł. I czuje się czasem głupio. Byłem pewien, że łajdak przemyślał znowu o ucieczce z czarownikiem i jego towarzyszkami i nie chce mi spojrzeć w oczy, ponieważ wie, że w jednej chwili przejrzałbym jego zamiary. Pewnej nocy odbyłem sam ze sobą naradę, konsultując się w mym pokoju z

dwoma butelczynami owej sfermentowanej pasty do upręży, jaką wyrabiają po wschodniej stronie gór; miejscowi nazywają ten napój "sikami sbeknatha". Uzgodniliśmy w końcu we trójkę, że skoro tak bardzo chce odejść, niech się zabiera do jasnej cholery. Zatrzymywałem go siłą dziesiątki razy, gdy obaj byliśmy młodszy; już wtedy był dość sprytny, by czmychnąć ode mnie jeszcze tego samego dnia. A więc dobrze, niech się zabiera i szczęśliwej drogi, ale zanim pokaże mi pięty, mam mu i ja to i owo do powiedzenia. Na takich rozmyślaniach noc schodziła mi wolno, a "siki sheknałha" zniknęły o wiele za szybko, toteż nazajutrz ruchy miałem cokolwiek niepewne. Kiedy wreszcie znalazłem huncwota, zajęty był smarowaniem cuchnącą maścią własnego wyrobu boków gniadego wałacha, którego właściciel musiał czerpać szczególną przyjemność z używania ostróg. Rosseth jak zwykle przemawiał do konia przy robocie, nie słowami, a cichym mruczeniem, wcierając szkapie w otarte boczyska oprócz maści swój kojący głos. Przyglądałem się chłopakowi przez chwilę, aż wyczuł moją obecność i odwrócił się szybko, jak to mają w zwyczaju tamte baby. - Zaraz z nim skończę - powiedział - i idę do chlewu. Obluzowała się tam żerdź, pojmujesz, i już od tygodnia wierciłem mu dziurę w brzuchu, żeby ją wymienił. Skończywszy z wałachem, Rosseth wrzucił widłami trochę świeżego siana do żłobu i zanim wyszedł z boksu, oparł się o konia na chwilę, jak zwykły ocierać się o siebie konie. Staliśmy jeden naprzeciw drugiego i mierzyliśmy się wzrokiem; chłopak czekał dalszych rozkazów poglądając przy tym bacznie na moje kułaki, ja przyglądałem się jego krótkim łapskom i pierwszemu puszkowi na górnej wardze. Nie wyrosnie na takiego wielkiego chłopca jak ja, ale może się okazać ode mnie silniejszy. - Mam z tobą do pogadania - powiedziałem. Oho, jego ślepia natychmiast zrobiły się czujne i zaczęły strzyc w stronę stajennych wrót. - Ale ta żerdź... Świnie mogą... Wskazałem mu skinieniem głowy snopek siana i nakazałem: - Siadaj! Tak i zrobił. Sam wolałbym stać, ale we łbie tak mi huczało, że odwróciłem do góry dnem wiadro i usiadłem naprzeciw Rossetha. - Jeśli chcesz odjechać z tym starym czarownikiem i jego czeredą, nie musisz się wymykać chyłkiem - zacząłem. - Jedź. Nie stłukę cię i nie będę próbował zatrzymać. Zabieraj, co twoje i zmiataj... Zamknij japę! - warknąłem, bo szczeka mu obwisła jak nie przymierzając ta obluzowana żerdź w chlewie. - Zrozumiano? Kiwnął głową. Nie umiem powiedzieć, czy odczuł radość, ulgę czy złość, a może rozczarowanie - nie zawsze to potrafię odczytać z jego miny. Dodałem: - Zanim odejdziesz, musisz jednak czegoś wysłuchać. To mój jedyny warunek: masz tu siedzieć i słuchać, co ci mam do powiedzenia. Słuchać, aż skończę... Zamknij wreszcie tę japę, nie musisz robić z siebie jeszcze większego idioty! Słyszysz mnie, Rosseth? - Słyszę - odburknął. Kiedy człowiek nie ma

ochoty go słuchać, paple jak najęty, a kiedy znowu przydałoby się, żeby coś powiedział, nabiera wody w usta. Od samego patrzenia w te czujne głupie gały jeszcze bardziej rozboleł mnie łeb. Po jasną cholere wyjeżdżam właśnie teraz z tą całą przekłą historią? Mogła jeszcze poczekać! Tyle już czekała, nie mogła to poczekać jeszcze dzień, jeszcze tydzień, do końca moich dni? - No więc tak - zacząłem. - Będzie temu ładnych parę lat, kiedy musiałem raz pojechać do Cheth na'Deka, nieważne w jakiej sprawie. Droga w tamtą stronę była długa i ciężka, a jeszcze gorsza z powrotem. Czy wiesz dlaczego? - Zbójcy? Nie dziwota, że zgadł, zważywszy że Cheth od niepamiętnych czasów słynie z rozbójnictwa. - Zbójcy - potwierdziłem. - A może zresztą toczyła się tam akurat jakaś wojna? W owych stronach trudno to rozróżnić, chyba po przyodziewku rabusiów. Nigdy się nie dowiedziałem, jaka banda złupiła tę wieś. Rosseth słuchał. Wstałem, kopniakiem przesunąłem wiadro ciutkę w prawo, obszedłem je i znowu usiadłem. - Wracalem w pojedynkę i na piechotę, nie z wyboru, tylko dlatego, że za żadne pieniądze nie mogłem nająć wozu ani przewodnika. I dzisiaj trudno o to w tamtych stronach, o ile wiem. Za całe uzbrojenie miałem grubą pałkę, jeszcze po ojcu, taką maczugę zakończoną żelazną kulą. Podróżowałem nocami unikając głównych traktów. Trzeciego dnia pod wieczór dojrzałem w oddali dym, czarny, taki, jak kiedy się pali dom. Chłopak miał oczy nieruchome jak sadzawka stojącej wody, ale tułów pochylał do przodu trzymając się boków snopka. - Tej nocy nie ruszałem się z miejsca - ciągnąłem. - Słyszałem konie, dużo koni przejeżdżających tak blisko, że dolatywał mnie śmiech jeźdźców. Dopiero w południe następnego dnia ruszyłem dalej, a że przemykałem się ostrożnie wśród przydrożnych drzew, do wsi dotarłem dopiero dobrze po południu. Skradanie się na palcach bardzo opóźnia marsz. Nie chciałem, żeby sobie pomyślał, że strugam bohatera. I bez tego czekało mnie zadanie trudne jak jasna cholera. - Jak się nazywała? - zapytał tak cicho, że za pierwszym razem w ogóle go nie zrozumiałem. - Jak się nazywała ta wieś? - A skąd mam wiedzieć? Nie było tam nikogo, kto by mnie objaśnił. Wszędzie walały się trupy. Leżały na jedynej ulicy, na progach chałup, na stołach na placu, pływały w studniach, w końskich poidłach. Jeden, rozpruty jak worek mąki, podobnie jak reszta, wciśnięty był do chlebowego pieca; może żona piekarza, może jego córka, kto to może wiedzieć? Wyrzuciłem z siebie wszystkim grubym oschłym głosem, najszybciej jak się dało, żeby mieć to nareszcie za sobą. Kilka szczegółów jednak opuściłem. - Nie było tam żywej duszy? - Odchrząknął. - Nikt nie został przy życiu. - Nie stawiał pytania: stwierdzał. Przypominaliśmy wiernych w świątyni, kiedy ksiądz intonuje litanie, a ci posłusznie mu odpowiadają. - Tak i ja myślałem - odrzekłem. - Dopóki nie usłyszałem płaczu dziecka. Hm, zaoszczędził mi przynajmniej reszty tej drogi przez mękę. - Mnie -

wyszeptał. - To byłem ja. Znow wstałem. Naprawdę chciałem mu opowiedzieć, jak to wyglądało: cisza, leniwe brzęczenie owadów, zapach krwi, smród gówna, woń spalenizny, a nad tym wszystkim cichy, gniewny płacz głodnego dziecka wzbijający się w niebo wraz z ostatnimi smużkami dymu. Jednak zamiast to opowiedzieć Rossethowi, stałem odwrócony do niego plecami, z rękami w kieszeniach fartucha, gapiłem się na karego kucyka Tikata i żałowałem, że nie wziąłem ze sobą resztki "sików sheknatha". - Początkowo nie mogłem znaleźć miejsca, skąd ten płacz dobiegał - podjąłem po jakimś czasie. - Wystarczyło zboczyć z ulicy na krok i człowiek wpadał w wyrwy i dziury, w których można było jak nic skrócić sobie kostkę. To była zwykła jednoizbowa chata ze ścianami z gliny i poszyciem z torfu. Pamiętam, że przed progiem rosło kilka pachnących melancholijek, a na drzewach umieszczono pęk ciernistych gałęzi z drzewa dika. - Ludzie wieszają je, żeby odegnać złe moce. Rosseth milczał. Ciągnąłem: - Drzwi były zamknięte na skobel i czymś dodatkowo zaparte. Pukałem, napierałem, w końcu zacząłem wołać. - Odwróciłem się do chłopaka. - Mówię prawdę, Rosseth. Zawołałem jakieś cztery, pięć, a może nawet sześć razy. - Pojęcia nie mam, czemu mi tak zależało, żeby uwierzył. Jakie to miało znaczenie czy mi wierzy, czy nie? Lecz wtenczas wydawało mi się to czemuś ważne. - Wołałem: "Hej, jest tam kto? Jest tam kto? Czy mnie słyszycie?" Nie było jednak żadnej odpowiedzi, nic, tylko ten płacz. Spróbował powtórzyć: "mój", ale głos uwiązł mu w gardle i jedynie wargi wymówiły niemo to słowo. Usłyszałem na zewnątrz czyjeś kroki i głosy i urwałem czekając z nadzieją, że ktoś mi przeszkodzi, choćby Shadry, choćby nawet ów przeklęty lis. Drań nie pokazał się w gospodzie od tamtej katastrofalnej nocy, ale ja widziałem go już w każdym cieniu i dostrzegałem pod każdym krzaczkiem, wtedy natomiast byłbym naprawdę szczęśliwy, gdyby ni stąd, ni zowąd wparował do stajni. Znajdowaliśmy się w niej jednak nadal tylko ja, moja głowa, moje zaschnięte gardło, mój schrypnięty głos... i oczy Rossetha. - Podszedłem do okna - opowiadałem dalej. - Podważyłem kijem haczyk i przelazłem przez parapet. W środku było ciemno, że choć oko wykol. Pamiętaj, Rosseth, że chatę zamknięto na głucho, a ja wszedłem ze słońca. Słyszałem to dziecko... ciebie... ale nic a nic nie widziałem. Musiałem po prostu stać i czekać, aż oczy mi przywykną do ciemności. Wiedział, co dalej nastąpi. Nie wiem skąd, ale czułem, że wie. Nie patrzył na mnie, oblizywał tylko spieczone wargi i gapił się w klepisko. Twarz i ręce zupełnie mi zlodowaciały. - Ktoś mnie uderzył - wyszeptałem. - Z całej siły, o tu, w bok głowy. Myślałem, że mieczem. Padłem jak ścięty, a tamci rzucili się na mnie. Nie wydali ani jednego dźwięku, miałem wrażenie, że łomocze mnie jednocześnie dziesięciu chłopów, kopiąc i tłukąc, jakby ubijali w mózdzierzu korzeń tiał. Mordowało mnie dziesięciu

ludzi, a ja nie widziałem ani jednego z nich. Dokładnie tak było, przysięgam. - A było ich tylko dwoje. - Twarz mu zbieła jak twarz Lukassy i tak samo się skurczył. - Tylko dwoje... - powtórzył. - Przecież tego nie wiedziałem, no nie? Przecież mówię, że w ogóle się nie odzywali! Wiedziałem tylko tyle, że mnie mordują, do jasnej cholery! - Nie zdawałem sobie sprawy, że krzyczę, dopóki parę koni nie zarżało z przestachu. - Nic nie widziałem, Rosseth, oczy zalewała mi krew, myślałem, że rozplatali mi czaszkę. Widzisz? Po piętnastu latach wciąż w tym miejscu pozostała miękka. Myślałem, że jestem już zimnym trupem, jak ta biedaczka w piecu, kapujesz? Nic mi nie odpowiedział. Wstał ze snopka i z obwisłymi bezwładnie rękami i zamglonym spojrzeniem zaczął krążyć po stajni. Na mnie ani spojrział. Po chwili ruszył w stronę szkapiny, którą się przedtem zajmował, ale zaraz zawrócił i po prostu stanął nieruchomo. Podjąłem: - Miałem tę swoją łagę. Jakimś cudem udało mi się poderwać na nogi i zacząłem walić na osłep w ciemności. Chodziło mi tylko o to, żeby tamtych od siebie odegnać. Musiałem znowu przysiąc. Ociekałem cuchnącym potem i oddech zaczynał mi świszcząć, jakbym jeszcze raz wbiegł galopem po tych zawałających się schodach. Rosseth stał jak w ziemię wkopany i wlepił we mnie ślepią. - Mojego ojca i matkę - powiedział. Przytaknąłem, czekając na pytanie, które słyszę we śnie prawie każdej nocy, nawet dzisiaj jeszcze. Ale chłopak nie był w stanie go zadać, nie był w stanie wykrztusić słowa. Trudna rada, musiałem to z siebie wyrzucić sam, choć w piersi twardniała mi bryła murarskiej zaprawy. - Zabiłem oboje - wychrypiałem. - Nie chciałem tego. Nie wiedziałem, co robię. W mych snach Rosseth rzuca się w tym momencie z krzykiem, żeby gołymi rękami rozdrzeć mnie na strzępy. Byłem na to przygotowany, jak również na to, że się rozplące, ale nie zrobił ani jednego, ani drugiego. Ugięły się pod nim natomiast kolana, osunął się na klepisko i tak już pozostał. Klęczał ze zwieszoną głową, obejmował się ciasno ramionami i zanosił jakimś dziwnym suchym szlochem. Nie usłyszałbym go wtedy w tej spalonej wiosce, gdyby tak cicho płakał. - Musieli sobie pomyśleć, że wrócił jeden z morderców - ciągnąłem. - Żołnierskich ciurów, zbójców, kimkolwiek byli ci dranie. Powiedziałem Rossethowi, że pogrzebałem jego rodziców jak należy, nie zostawiłem ich, żeby zgnili jak reszta pomordowanych i mogę w każdej chwili zaprowadzić go na grób, gdyby kiedykolwiek zechciał pojechać do tej wioski. Co było z pewnością prawdą: odnalazłbym to straszne miejsce, nawet gdyby zalało je morze. Klęcząc kiwał się lekko w przód i w tył. Wyszeptał nie patrząc na mnie: - I wziął mnie pan ze sobą. Ich pan pochował, a mnie wziął ze sobą. - A co miałem robić? Dziękować bogom, nie byłeś już niemowlęciem przy piersi. W najbliższym miasteczku kupiłem kozę i przez całą drogę maczałem w jej ciepłym mleku okruchy chleba i tak cię karmiłem. -

Spróbowałem żartować, żeby przestał się wreszcie kiwać. - Szkoda mówić, byłeś ciężki jak małe kowadło! Na jednym ręku niosłem cię, drugą ciągnąłem kozę... pojęcia nie mam, jak te kobieciska sobie radzą. Gdybyś się okazał choć o uncję cięższy, musiałbym cię zostawić tam, gdzie cię znalazłem. I właśnie te słowa poderwały go wreszcie z klęczek. Trząśnięty, skuliwszy ramiona, twarz mu się skurczyła, wyszczerzył zęby, a zagięte jak szpony palce zwrócił nie w moją, ale w swoją stronę. - Bodaj się tak stało! O, bodajbyś mnie tam zostawił i poszedł w swoją śmierdzącą drogę i nigdy więcej o nas nie pomyślał! Bodaj ci zgnił ten twój tłusty kałdun! Czemuś mnie tam nie zostawił razem z rodzicami? Z moimi rodzicami! Wyrzucił z siebie wszystko, co mu się zebrało przez piętnaście lat. Pozwoliłem mu się wykrzyczeć. Uderzył mnie tylko raz, pewnie nawet nie zdając sobie z tego sprawy; w moim tłustym cielsku takie szturchańce toną jak w cieście. Kiedy się w końcu zasapał i zaczął świszcząć nie mniej ode mnie, powiedziałem: - Przykro mi, że zabiłem twoich rodziców, Rosseth. Zacząłem żałować już w chwili, gdy chwiejąc się na nogach w tej zdemolowanej chacie otarłem z oczu krew. Widok, jaki wtedy ujrzałem, prześladowuje mnie od tamtej pory nieustannie, na jawie i we śnie, żyję z nim dłużej niż ty. To moja sprawa i pozostanie taką po kres moich dni. Ale z jednego nigdy i przed nikim, także przed tobą, nie myślę się usprawiedliwiać, a mianowicie z tego, że wtedy cię stamtąd zabrałem. Była to bez dwóch zdań najgłupsza rzecz, jaką w życiu zrobiłem, ale może i jedyny mój dobry uczynek. No, może znalazłoby się jeszcze kilka, wiele jednak wskazuje na to, że będziesz wszystkim, czym będę mógł się pochwalić, gdy wybije moja godzina. Jak długo tak staliśmy i gapiliśmy się jeden na drugiego? Nie potrafię powiedzieć, przysięgłbym jednak, że czułem, jak za moimi plecami wschodzi i zachodzi słońce, zmieniają się pory roku, na pewno zaś widziałem, jak Rosseth na moich oczach się starzeje. Zastanawiałem się, czy i on dostrzegł to samo, gdy patrzył tak na mnie i widział, jak jego dzieciństwo przemija? Wreszcie, po tych wszystkich latach i całym tym zamęcie, wybałałem tylko: - Jesteś wszystkim, czym mogę się pochwalić. Mogło być gorzej. - Wpatrywaliśmy się w siebie jeszcze przez jakiś czas, po czym dodałem: - Dużo gorzej. W końcu oświadczył: - Nie odjadę z Lal i Soukyanem. - Powiedział to cichym głosem, bez śladu łez i złości, jasno i dobitnie. - Ale kiedyś odejdę. Jeszcze nie dziś, lecz już niedługo. - Kiedy tylko zechcesz - odrzekłem. - Kiedy tylko ci będzie wygodnie. Lecz na mnie już pora, muszę poczęstować kopniakiem Shadry'ego i zwymyślać Marineshę. Obowiązki karczmarza mnie wzywają. Zamrugał tylko powiekami; nigdy nie wie, kiedy żartuję, nigdy nie rozumiał się na moich żartach. Odwróciłem się i odszedłem. We wrotach stajni zatrzymało mnie jedno jedyne rzucone przezeń słowo. - Karsh? Szok, jakiego doznałem, był czysto fizycznej

natury: jakby nie dźwięk cię zatrzymał, lecz ktoś dotknął twego ramienia, gdy uważałeś, że nikogo za tobą nie ma. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz Rosseth zwrócił się do mnie po imieniu. Powiedział: - Pamiętam pewną piosenkę. Ktoś mi ją kiedyś śpiewał. Piosenkę o podróży nad Zatokę Byrnarik i o tym, że przez cały dzień będę się bawił nad jej wodami. Tylko tyle z niej pamiętam. Zastanawiam się, jak pan myśli... czy to oni mi ją śpiewali? Moi rodzice? Nie bez powodu odznaczam się taką posturą. Tłuszcz amortyzuje i osłabia nie tylko ciosy pięści. - Tylko rodzice mogli ci ją śpiewać - potwierdziłem. - Nikt inny tylko oni. Potem wyszedłem ze stajni i ruszyłem pod górkę na podwórze. Już niedługo będzie śpiewał "Nad Zatoką Byrnarik" własnym berbeciom, będą mu przy tym za każdym razem wilgotniały ze szczęścia oczy i zadrzy podbródek. Piosenka jest głupawa jak wszystkie z tego gatunku, ale innych nie znam. Śpiewałem mu ją w kółko całą drogę przez ten zbójcki kraj, gdzie go znalazłem, przez całą drogę do domu, do gospody "Pod Tasakiem i Ościeniem".

LAL

Co takiego? - zawołałam. - Coś ty powiedział? Co zamierzasz zrobić? - Muszę wracać - powtórzył Soukyan. - Naprawdę nie mam innego wyjścia. Byliśmy sami w świątyni wędrowców. Soukyan chciał odmówić modlitwę pożegnalną, gdyż nazajutrz zamierzaliśmy wyjechać. Nie wspominał dotąd o swych planach, zakładałam więc, że odbędziemy razem przyjemną podróż do Arakli, gdzie krzyżuje się wiele dróg. Umieszczając ostrożnie zielonkawę bryłki kadzidła w dwóch blaszanych lichtarzykach, wyjaśnił: - Jestem już zmęczony ciągłą ucieczką, Lal. I kapkę na to za stary. Jeśli nie zamierzam spędzić ostatnich lat krótkiego żywota na wymykaniu się deptającym mi po piętach kolejnym drużynom morderców, muszę wrócić tam, skąd oni pochodzą. Skąd sam pochodzę. - To czyste szaleństwo! - wykrzyknęłam. - Przecież sam mówiłeś, że mnisi nigdy nie wybaczą i nie spoczną, dopóki nie ujrzą cię martwym. Równie dobrze możesz popełnić samobójstwo tu na miejscu! Będziesz miał zapewniony godziwy pochówek i oszczędzisz sobie trudów podróży. Soukyan pokręcił wolno głową. - Nie chcę, żeby mi wybacжали, lecz żeby przestali mnie ścigać. - Uczynił szybki gest błogosławieństwa nad lichtarzykami i zapalił kadzidło. - Chcę, żeby to się nareszcie skończyło, tak czy siak, to wszystko. - O, skończy się, w samej rzeczy - parsknęłam. - Tego możesz być pewien. Nie zapominaj, że walczyłam z jednym z tych osobników. Odwrócony do mnie plecami, Soukyan mamrotał coś pod nosem do cienkich smużek dymu pachnącego bagienną wodą. Ogarnęła mnie wściekłość. - A więc staniesz do walki przeciwko nim wszystkim - wybuchnęłam - i sprawa będzie w istocie skończona! Bohaterska śmierć, nie ma co! Gdybym o tym wcześniej wiedziała,

pozwoiliabym ci utonać! Roześmiał się nagle. Jego śmiech sprawia zawsze wrażenie osamotnionego, nawet gdy współbrzmi z innym: dźwięczy w nim zawsze jakaś sekretna nuta. - Czy powiedziałem, że zamierzam walczyć przeciwko nim wszystkim? Czy tak powiedziałem? Myślałem, że znasz mnie lepiej, Lal! - Odwrócił się do mnie twarzą. - Mam pewien plan. Zachowałem tam jeszcze paru sprzymierzeńców, znam też kilka starych zaklęć i sztuczek magicznych, dzięki którym mogę zasiąść do targów. Wierz mi, będę tam równie bezpieczny, jak z tobą na rzece. - Położył mi ręce na ramionach i dodał cicho: - Choć nie tak szczęśliwy. Tak szczęśliwy nie będę już z pewnością nigdy... - Głupoty gadasz! - zawołałam. - Nie znoszę głupoty! - Mój okrzyk zabrzmiał jak wrzask Karsha. Nigdy nie byłam bardziej wściekła na Soukyana - nawet wtedy, gdy odkryłam jego mistyfikację - mój gniew powiększała zaś świadomość, że nie miałam najmniejszego prawa się złościć. - Jaki plan? - zapytałam. - Niechże choć poznam ten cudowny plan. Ponownie pokręcił głową. - Może później. To stanowczo za długa historia... - Wszystko jest stanowczo za długą historią! Poczułam się okropnie zmęczona i całkiem nagle odeszła mnie ochota do nowych podróży i przygód. Straciłam ręce Soukyana ze swych ramion i rozejrzałam się ze złością po ciasnej, ślepej kapliczce. Została zaprojektowana i urządzona z grubsza tak samo jak wszystkie świątynie dla wędrowców w tej połowie świata: zawsze jaśniejące świeżą bielą farby (nakazuje to prawo, któremu najwidoczniej nawet Karsh nie ośmielił się sprzeciwić), wyposażone w obrzędowe szaty, świece oraz posążki bóstw tuzina największych religii. Ich zestaw różni się nieco zależnie od regionu; figurek bóstw tej wioski, w której zostałam wychowana, nigdy jednak wśród nich nie znalazłam. Zwykle mało mnie to wzrusza, tym razem było inaczej. Soukyan odezwał się za moimi plecami: - To nie ma nic wspólnego z tobą, Lal. To moje życie, moja przeszłość, moje własne małe przeznaczenie. Mam już dość czekania, aż znowu mnie dopadnie. Dla odmiany wyjdę losowi naprzeciw, tyle że już nie w łaźni czy na brzegu rzeki, lecz na polu bitwy, które sam wybiorę. Naprawdę nie mam w tej sprawie nic więcej do powiedzenia. I niczego też więcej przez jakiś czas nie powiedział. Mamrocząc pod nosem zajął się skomplikowanym procesem przesuwania łuku, miecza i sztyletu przez dwie cienkie smużki kadzidlanego dymu. Wyszłam na dwór, usiadłam na suchej trawie i żując wściekle jej źdźbła przyglądałam się, jak stado ptaków tourik atakuje śnieżnego sokoła, który widać zanadto się zbliżył do ich gniazda. Po jakimś czasie wróciłam do świątyni, choć temu, kto wyszedł podczas nabożeństwa, nie wolno już wchodzić po raz drugi do środka. Soukyan klęczał ze zwieszoną głową nad swym orężem. - Nie przejdiesz zimą przez Pustkowie - stwierdziłam. Nie podnosząc oczu odpowiedział: - Wiem. Wyruszę w stronę wybrzeża i skręcę

w Leishai na południe. Droga dłuższa, ale bezpieczniejsza, przynajmniej na pewnym odcinku. - Kiedy dotliła się do końca resztki kadzidła, podniósł się sztywno i złożył ostatni pokłon nicości. - A co ty zamierzasz? - zapytał. Wzruszyłam ramionami. - Udam się chyba do Arakli. Spędzałam już tam zimę. Bagienny zapach kadzidła wciąż kręcił mnie w nosie, brzemienno wspomnieniami, które nawet nie należą do mnie. - A potem, z Arakli? - zapytał Soukyan. Zbyłam jego słowa milczeniem. - Daj spokój, Lal! Ja ci powiedziałam, dokąd się wybieram. Byłoby mi lżej, gdybym wiedział, gdzie przebywasz. - Jestem Lal - odparłam. - Oto, gdzie przebywam. Przypatrywał mi się przez dłuższą chwilę, po czym kiwnął głową i ruszył w stronę drzwi. Kiedy je otworzył, dobiegł nas dzwoniący gdzieś w pobliżu śmiech Lukassy. Oboje nie spodziewaliśmy się już nigdy usłyszeć tego dźwięku; przewiał przez nas jak wiatr przez suchą trawę. Soukyan przytrzymał dla mnie drzwi, powiedziałam jednak: - Zostanę tu jeszcze trochę - po czym odwróciłam się do białych gablotek z bogami innych narodów.

ROSSETH

Odprowadziłem moich przyjaciół do zakrętu drogi, gdzie ich pierwszy raz spotkałem, koło barciowego drzewa Marineshy. Tym razem nie siedziałem na koniu za Lal trzymając się jej kurczowo - jechałem na Tunzim, sędziwym białym wałachu Karsha, niezmiernie dumnym z tego, że stanowi część takiej kawalkady. Otwierał ją stary czarodziej na wysokim gniadym ogierze, który jakby nigdy nie pojawił się w stajni poprzedniej nocy i najspokojniej w świetle żuł obrok stojąc między szkapinami gości zajazdu. Tikat i Lukassa jechali za starcem na koźlookich kucach Mildasów, ja z tyłu między Soukyanem a Lal. Muszę ten obraz starannie przechowywać w pamięci, bo już nigdy ich nie zobaczyłem. Był zimny, wietrzny świt. Każdy podmuch wichury podrywał ze ścieżki setki szeleszczących, przedwcześnie uschłych liści. Kiedy skończyło się to straszne lato czarowników, jesień przyszła z jakimś gorączkowym pośpiechem, odzierając pola z suchych badyli, a drzewa z brunatnych strupowatych bryłek owoców, których nawet ptaki jeść nie chciały. Widok spalonych słońcem pól nappełnił mnie smutkiem, poczułem bowiem, że i moje życie zostanie w podobny sposób odarte z towarzystwa przyjaciół, podniecających wypadków i marzeń. Soukyan wyczytał chyba mój nastrój z mojej twarzy, pochylił się bowiem w siodle i położył mi dłoń na ramieniu, jak kiedyś. Ledwo straciliśmy z oczu karcznię, pozwolił swojemu kobiecemu wcieleniu unieść się niczym mgiełce i rozwiać w porannym słońcu. Wyrosły mu przetykane siwizną brązowe włosy przycięte na surową klasztorną modłę, ale oczy jakby zasnute zmierzchem i usta o delikatnym rysunku przekornie należały wciąż do Nyatenen. - Natura lubi generalne porządki i zaczynanie wszystkiego od

początku - rzekł. - Zapamiętaj sobie moje słowa: przyszłoroczna wiosna będzie tak bujna, jakiej najstarsi ludzie tu nie pamiętają. Nie poznasz nawet, że dwaj czarownicy toczyli w tych stronach śmiertelne zapasy. - Z pewnością - przyznałem - ponieważ następnej wiosny nie będzie mnie już w tych stronach. Lal objęła mnie ramieniem, wciągnąłem w nozdrza owiewający ją zapach rozległych przestrzeni i niezwykłych gorących gwiazd. - Tyle pięknych istot - powiedziała - uszło bez nadziei na osiągnięcie pełni. Bacz, by ciebie to nie spotkało. Następnie bezceremonialnie strąciła z mego karku dłoń Soukyana, maskując to gestem wicherzenia mi włosów, po czym zaczęła nucić cicho falującym głosem te swoje śpiewne ni to pieśni, ni to deklamacje. Wciągnąłem w płuca również i ten śpiew, podobnie jak pełne irytacji syknięcie Soukyana i spokojne, prawie niedostrzegalne skupienie Tikata na osobach Lukassy i starego czarodzieja. Chciałem podjechać do Tikata, żeby się pożegnać jak należy, byliśmy wszak przyjaciółmi, ale on już odszedł z mojego świata, równie bezpowrotnie jak wcześniej czarnoksiężnik Arshadin. Jazda do drzewa przy źródle na zakręcie drogi nigdy nie wydawała mi się krótsza niż tamtego dnia, nie byłem zaś w stanie ani zrobić, ani powiedzieć, ani choć pomyśleć nic takiego, co by ją przedłużyło. Pozostawało mi tylko uważnie notować w pamięci detale obrazu: podwiewane liście, przestraszonego shukri, który kucał przy drodze i parskał na nas śliną, nagłe podmuchy chłodu od gór, barwy sześciu wstążek wplecionych w brodę starego czarodzieja, monotonną pieśń Lal, furkoczący koniec białej chustki Lukassy i nieustanne popierdywanie Tunziego, które okropnie mnie zawstydzalo. Zapamiętałem to wszystko i z tym obrazem pod powiekami zasypiam każdego dnia. Dopóki się nie wyjedzie zza zakrętu, nie widać rozwidlenia drogi, której jedna odnoga biegnie wokół gór do Arakli, druga zaś skręca na południe do głównego traktu wiodącego do Derridow, Leishai i ku morzu. Czarownik ściągnął wodze przy barciowym drzewie, zatoczył koniem i obrócił się przodem do nas. Choć nadal osłabiony, wedle mojej przynajmniej oceny (wiem, że Soukyan uważał, iż nigdy już nie wróci do dawnych sił), trzymał się jednak w siodle równie prosto jak Tikat, a jego zielone oczy płonęły takim uniesieniem, jakby wszystko - ale dosłownie wszystko, dobre i złe - miało się dopiero zdarzyć po raz pierwszy. Ktoś tak młody, jak byłem wówczas, powinien znać to uczucie, nie doświadczałem go jednak zupełnie owego ranka. Przeciwnie, miałem wrażenie, że wszystko się kończy. - Tu się pożegnamy - oznajmił staruszek - by się już więcej nie spotkać. W jego ustach zabrzmiało to niemal radośnie, a nawet niosło nadzieję, dziś jednak nie umiałbym już tego wyjaśnić. - Tikat, Lukassa i ja - ciągnął - pojedziemy na zachód. Zdaje mi się, że posiadam dom gdzieś niedaleko Fors na Shachim, a może Karakosk. Domy czarowników mają tendencję do

przemieszczania się, podobnie zresztą jak sami czarownicy, ale jestem pewien, że prędzej czy później się spotkamy i że poczciwe domisko mnie pozna, nawet jeśli ja już o nim zapomniałem. - Następnie zwrócił się do Lal i Soukyana. - A dokąd udajecie się wy dwoje, godni bezgranicznej wdzięczności pewnego niemądrego próżnego starca, którego dawno już przerośliście? W którą stronę mam od jutra posyłać ku wam myśli? Lal nic nie odrzekła, odpowiedział mu natomiast Soukyan: - Ja wybieram się na południe. Czekam mnie ciężka podróż i twoje myśli będą mi potrzebne, zresztą jak zawsze. - Nonsens! - zachnął się czarownik, choć widać było, że słowa ucznia pochlebiły mu. - No dobrze, bacz jednak, abyś się dobrze prowadził, minąwszy zaś Bitave trzymaj się z daleka od Królewskiego Traktu. Porzuć też myśli o sekretnych schodach. Od tamtego twojego wyczynu są pilnie strzeżone; drugi raz nie popełnią tego samego błędu. Soukyan kiwnął głową. Czarownik wykonał niewielki gest, który mógł być znakiem błogosławieństwa, choć niekoniecznie, po czym zwrócił się do Lal: - A ty, chamata? Odpowiedź na jego pytanie skierowała do Soukyana, a tak cicho, jakby mówiła sama do siebie. - Skoro jedziesz przez Leishai, mogłabym ci aż do tego miejsca towarzyszyć. Zbyt długo już pozostaję z dala od okrętów, nic więc dziwnego, że tracę jasność myśli. Pora wejść na jakiś pokład. Soukyan dotknął jej dłoni i rzekł: - Odprowadzę cię więc na pokład. Zaczepnął już tchu, by coś jeszcze dodać, gdy z torby przy jego siodle wysunął się czarny nos i lśniące ślepia lisa, zupełnie tak samo, jak tamtego popołudnia wczesną wiosną. Soukyan powiedział do rudzielca: - A, więc jednak wybrałaś Lukassę! Przypuszczałem, że tak zrobisz. - Zwróciwszy się zaś do dziewczyny, rzekł: - On nie należy do mnie, nie mogę go ani zatrzymać, ani dać ci w podarunku; chadza zawsze własnymi drogami. - Poglaskał lisa po karku i powiedział do spiczastego ucha: - Żegnaj mi więc, koleżko! Ale Lukassa roześmiała się, pokręciła głową, podjechała bliżej koniem i zajrzała lisowi w ślepia. - Miałbyś pojechać ze mną i z czarownikiem? To mało prawdopodobne, nieprawdaż? Niepodobne do ciebie. - Ujęła w dłonie ostry pyszczek, nachyliła się i szepnęła coś, czego nie dosłyszałem. Potem musnęła pocałunkiem ryżą mordkę, a zwierzak prychnął z odrazą i skrył się z powrotem do torby. - Chciał się tylko pożegnać - wyjaśniła cicho Lukassa. Zaczynają się pożegnania; wszyscy się ze mną żegnają i robią to zbyt pośpiesznie. Tikat, nagle onieśmielony, ściska mi rękę i mamrocze coś o małym braciszku, którego zabrało morowe powietrze. Lukassa całuje mnie jak przedtem lisa, z uroczą nieporadnością, a ja nie dowiem się już nigdy, czy pamięta tamtą noc, czy o niej zapomniała. Lal całuje mnie inaczej. - Gdziekolwiek będziesz - mówi - cokolwiek ci się przydarzy, pamiętaj, że jest ktoś, kto cię kocha. Soukyan zdejmuje z szyi srebrny medalik... mam go dotąd, widzisz?... i wiesz mi na szyi. - Jest

praktycznie bezwartościowy i nie posiada żadnej czarodziejskiej mocy, ale może uda ci się kupić sobie za niego coś do jedzenia lub zyskać przyjaciela w osobie, która go rozpozna. Medalik ma z jednej strony ośmioboczną figurę, a z drugiej wypukły, niezrozumiały dla mnie napis. - A ja nie mam dla ciebie prezentu! - wołam z żalem, na co Soukyan uśmiecha się i wyjmuje z mieszka u pasa jakąś szmatkę, w której dopiero po chwili poznaję zniszczoną chustkę pokrytą rdzawymi plamami. Soukyan mówi miękko: - Czy sądzisz, że wielu przelewało krew w mojej obronie? Ta szmatka jest mi droższa od wszystkiego, co posiadam. I również mnie całuje, już trzeci. Jeśli chodzi o czarownika, ten rzucił niemal w roztargnieniu: - Powiedz Marineshy, że nigdy nie zapomnę jej uprzejmości. Żegnaj mi, żegnaj, chłopcze. Najwyraźniej spieszno mu było w drogę. Obracał już konia, kiedy Lukassa przypomniała sobie o pierścieniu ze szmaragdem, który miała zwrócić Lal. Lal zawahała się, spojrzała tęsknie na pierścień, po czym wręczyła go czarownikowi, ten zaś wetknął klejnot bez ceregieli do kieszeni i kopnął piętami boki konia. Ogier skoczył do przodu, a Tikat i Lukassa ruszyli za mistrzem nie oglądając się za siebie. Zanim jednak zniknęli za zakrętem, starzec obrócił się w siodle i krzyknął do mnie głośno: - Masz na imię Vand! Nie zapomnij o nas, Vand! I zostaliśmy sami: Lal, Soukyan, ja i moje prawdziwe imię. - Dobrze, że choć w ostatniej chwili przypomniał sobie o tym - mruknął Soukyan. - Ostatnio coraz częściej zapomina o ważnych sprawach. Lal była odmiennego zdania. - To w jego zwyczaju. Urodzony wędrowny komediant, do końca trzyma widzów w napięciu. Ponieważ nie zostało nic więcej do powiedzenia, pożegnali się ze mną na dobre i odjechali truchtem. Od razu zaczęli się kłócić; zanim jednak zniknęli mi z oczu, obejrzeni się jeszcze po raz ostatni, ale wtedy widziałem ich już bardzo niewyraźnie. Tunzi nie miał najmniejszej ochoty wracać do gospody. Rżał i rwał się, chcąc biec za tamtymi rumakami, a gdy szarpnąłem wodze, żeby skierować go z powrotem do karczmy, zaczął tańczyć niezdarnie na drodze i raz nawet stanął dęba, co okazało się niezmiernie wyczerpujące dla nas obu. W końcu zawrócił niechętnie i powlókł się ku domowi w tempie tak ślimaczym, że prędzej bym tam dotarł na piechotę prowadząc go za uzdę. Ponieważ jednak płakałem i nie mogłem się opanować, ta ślamazarność była mi nawet na rękę. Na krzyżówce dróg spotkałem Karsha: wydarzenie niemal równie niezwykle jak bunt Tunziego. Kiedy dostrzegłem mego gospodarza, szedł już powoli, odezwał się jednak głosem tak zdyszany, jakby przed chwilą biegł. - Bałem się, że jednak z nimi odjedziesz... Zmienisz w ostatniej chwili zamiar... - Powiem panu, kiedy będę chciał odjechać. Kiwnął głową i chwycił uzdę Tunziego, a koń parsknął i targnął łbem próbując zawrócić. - On miał jednak na to prawdziwą ochotę - dorzuciłem. - Pierwszy raz go takim widziałem. - No cóż -

Karsh wzruszył ciężko ramionami i powiódł Tunziego drózką w stronę gospody “Pod Tasakiem i Ościeniem.” - Nawet stare tłuste wałachy mają swoje marzenia. Niekiedy zadziwiające... Po jakimś czasie zeskoczyłem na ziemię, głupio się bowiem czułem jadąc wierzchem, kiedy Karsh idzie obok na piechotę. Nie odzywaliśmy się do siebie. Dopiero kiedy zbliżyliśmy się do gospody i usłyszeliśmy pianie kogutów, skrzypienie studni i wrzask Gattiego pomstującego nie wiadomo na co, powiedziałem: - Moje prawdziwe imię brzmi: Vand. Karsh powtórzył je sobie kilka razy, ja zaś dodałem: - Ale aż do mojego odejścia może mnie pan nadal nazywać Rossethem. Wszystko mi jedno. Pokręcił głową. - Nie, to ważne - mruknął. - Vand. Skoro tak masz na imię, tak cię będę nazywał. Vand. Tunzi zwietrzył złób i przyspieszył kroku.

KONIEC

Fragmety wypowiedzi Autora dla miesięcznika Locus

Pomysł "Pieśni oberżysty" zaświtał mi pewnego wieczora, gdy brzdąkałem sobie w domu na gitarze. Mam bowiem pewien zwyczaj, zajęcie najbliższe chyba medytacji ze wszystkich, jakim się oddaję: z gitarą na kolanach gapię się mianowicie jednym okiem w telewizor i od niechcienia potrącam struny. Przeważnie wygrywam coś bez ładu i składu - ćwiczę palcówki, powtarzam bezmyślnie jakieś znane melodyjki, tymczasem wtedy ułożyła mi się piosenka. Ponieważ komponować nauczyłem się późno, zwykle najpierw przychodzi mi do głowy słowa, dopiero potem powstaje melodia. Tym razem wyłoniły się jednocześnie, a gotowa piosenka powstała w ciągu jednego wieczora - osiągnięcie jak na mnie niezwykle. Często ją później śpiewałem, przy najrozmaitszych okazjach, aż po kilku latach zacząłem sobie uświadamiać, że w tej piosence "siedzi" cała powieść. "Pieśń oberżysty" poprzedza prolog, w którym nakreśliłem sytuację wyjściową: mała wioska gdzieś we świecie, naszkicowana kilkoma oszczędnymi kreskami. Młoda wieśniaczka tonie, gdy łamie się barierka mostu - śmierć w większości moich utworów gra rolę pierwszoplanową. Młody kochanek nieszczęśliwej dziewczyny dostrzega czarną kobietę, która wyławia jego narzeczoną z rzeki i uprowadza ze sobą. Chłopak wraca do domu, pakuje ubogi dobytek, kradnie konia i wyrusza śladem ukochanej. Od tej chwili toczy się opowieść z różnych punktów widzenia, w tym z punktu widzenia oberżysty, który zaklina się uparcie, że nie jest autorem przypisywanej mu pieśni i odżegnuje się od nieczystych mocy, jakie wzięły we władanie jego karcznię, gdy w niej zamieszkały, wdarłszy się niemal przemocą, trzy niezwykle nieznanome: jedna czarna, druga śmiertelnie blada, trzecia wysoka, o brązowej skórze. Od początku zdawałem sobie sprawę, że ta historia powinna zostać opowiedziana w duchu "Rashomona", z punktu widzenia różnych postaci - chłopca stajennego, lisa oraz innych, które w trakcie pisania zaczęły się pojawiać. Nigdy wcześniej nie pisałem powieści w pierwszej osobie. Okazało się, że sprawia mi ogromną frajdę wcielanie się w różne postaci, wymyślanie ich sposobów mówienia, ich "dykcji". Największą trudność miałem ze znalezieniem głosu lisa, lecz gdy w końcu uchwyciłem jego ton, nie mogłem się wprost oderwać od tego narratora. Uważam, że ludzie, opowiadający o tamtym świecie, powinni robić to równie rzeczowo, jak na przykład nowojorczyk opowiadałby o dniu spędzonym w San Francisco. Każda z postaci mojej powieści ma za sobą jakieś przeżycia, odbyła jakieś podróże, każda też opowiada swoją historię jakiemuś słuchaczowi. Wynika to zresztą z samego charakteru karczmy. Pierwszy raz w życiu doświadczyłem podniecającego uczucia, że tworzę scenografię, która staje się równie realna jak same postaci. Moim ideałem sztuki było zawsze chińskie i japońskie malarstwo pędzelkiem.

Artysta szkicuje tylko najniezbędniejsze zarysy kształtów. Gdy widz podejdzie zbyt blisko obrazu, nie ujrzy żadnej sceny, lecz gdy się cofnie o krok, rozmyte linie i kropki tuszu ułożą się w siedzącego na krzaku nad rzeką ptaka. Do tego ptaka najprawdziwszego z prawdziwych, w samą esencję ptaka nad esencją trzciny. To malarstwo uważam od dawna za ideał i wzór dla pisarstwa. Zamierzałem stworzyć świat, na ile się da prawdopodobny i wyrazisty zarazem, zaznaczając jego kontury jedynie kilkoma pociągnięciami pędzelka; nie chciałem nasycać go nadmiarą lokalnymi legendami i konfliktami. Ta lub owa postać wspomni czasem jakieś podanie lub przytoczy jakąś piosenkę - i na tym koniec. Istnieją autorzy - sam do nich należę, gdy mam lepszy dzień - którzy potrafią od pierwszego zdania wciągnąć czytelnika w stworzony przez siebie świat i w snutą historię. Ta umiejętność opiera się po części na sztuczce, po części jest kwestią wiary. Z drugiej zaś strony znam fikcyjne światy, stworzone z niezmierną dbałością o szczegóły - pieczołowicie opisany niezależnie od tego, czy pasował do całości czy nie - które na dobrą sprawę mogłyby być Stanami Zjednoczonymi, jeśli chodzi o język i sferę wrażliwości (...) Potrafię głądzić przez trzy kwadransy bez przestanku, wykładając powody mojej niechęci do większości trylogii i tetralogii fantastycznych, niezależnie od tego, w ile zaopatrzone je mapki i drzew genealogicznych. Geniusz Tolkiena polegał na stworzeniu nowego świata w gruncie rzeczy z języka, co należy uznać za akt stwórczy zaiste wyjątkowy. Sam Tolkien przyznawał, że najpierw powstał język, a dopiero potem reszta jego świata. Ta kreacja wyszła z głębi, z najgłębszych pokładów - i dlatego Średnia Ziemia trwa, niezależnie od tego, co z nią poniekąd próbują wyczyniać - większość zaś Tolkienopodobnych fantazji, "Tolklonów", powstaje od naskórka. Mam świadomość, że nie potrafiłbym pracować tak jak Tolkien. Jemu dzieło stworzenia zajęło pięćdziesiąt lat... Uważam, że "Pieśń oberżysty" to pierwsza dojrzała powieść, jaka wyszła spod mojego pióra. Każda z jej postaci jest naznaczona bliznami po ranach, jakie zadało jej życie, każda ma własną historię (...), żadnej nie czeka "szczęśliwe zakończenie", jak je pojmowała klasyczna fikcja bądź literatura fantasy (...) Zawsze lubiłem pisać książki "otwarte", nie sugerujące, że akcja dobiegła końca, więc można przestać czytać lub przestać o nich myśleć. Lubiałem stwarzać wrażenie, że bohaterowie moich powieści żyją nadal, choć czytelnik już książkę zamknął. W "Pieśni oberżysty" pozostawiłem wyjątkowo dużo takich otwartych możliwości. Pytają mnie często, czy zamierzam napisać dalszy ciąg tej lub innej książki. Nigdy nie nosiłem się z takim zamiarem, nie mam go i teraz, przyznaję jednak, że ten szczególny świat i ta szczególna historia niezwykle mnie wprost wciągnęły. Po raz pierwszy jestem w stanie wyobrazić sobie powrót do świata, którego zarysy stworzyłem, choć nie po to, by dopisać dalszy

ciąg opowiedzianej już historii; gdybym miał kiedykolwiek doń wrócić, wróciłbym do całkiem innego jego aspektu i powołał do życia całkiem inne postaci. Nie licząc młodzieńczych marzeń, by grać na pierwszej mecie w drużynie Jankeesów oraz pragnienia zostania wybitnym gitarzystą jazzowym, zawsze chciałem zajmować się tym, czym się zajmuję: literatura, a jednak od pierwszej napisanej książki wciąż przyłapuję się na takiej myśli: “Niech mnie gęś kopnie, to nie jest prawdziwa książka! Pan Iks - o, ten to pisze prawdziwe książki!” Nie spędza mi to na co dzień snu z powiek, choć dawniej spędzało. Jako odtrutkę przywołuję zwykle kilka zdań z *The Thirteen Clocks* Thurbera: Coś bardzo podobnego do czegoś, czego nikt nigdy nie widział na oczy, zbiegło po schodach i przemknęło przez pokój. “Co to było?”, zapytał pobladły Duke. “Nie wiem, w każdym razie coś, co rzeczywiście istnieje”. Często przywołuję ten fragment, dlatego, że jak sądzę, oddaje on w istocie moje podejście do własnej pracy. Książka Thurbera zrobiła na mnie niezatarte wrażenie. Znam ją niemal na pamięć. Najczęściej myślę o sobie - by jeszcze raz zacytować Thurbera - jako o facecie w średnim wieku, wiszącym na trapezie. Na polu mojego fachu wykłada się to tak: gibnij się w jedną stronę i wpadasz w fantasy, gibnij się w drugą i wpadasz w sentymentalizm lub patos. Odkąd pamięcią sięgam, zawsze dręczyło mnie uczucie, że jako artysta kroczę po linii, na dodatek żonglując po drodze. Ilekroć zaczynam nową książkę, przysięgam sobie, że więcej takiej nierozwagi nie popełnię, napiszę coś zwyczajnego, prostego, bez zbaczania na boki. Kiedy wszelako, w połowie mniej więcej pracy, spoglądam w dół, okazuje się, że znowu kroczę po tej przeklętej linii, żonglując formami, postaciami lub pojęciami (...) Pamiętam pewną rozmowę z Ursulą Le Guin, w której pisarka wyznała mi, że wprost uwielbia opisywać przedmioty, kocha plastyczne opisy, natomiast dialogi stanowią dla niej istną udrękę. Ubóstwiała stwarzanie i opisywanie światów, ale spisywanie tego, co ludzie do siebie mówią, kosztowało ją wiele trudu. Ze mną było zawsze na odwrót. Więc cieszę się, gdy słyszę, że świat w moich powieściach sprawia wrażenie realnego (...) Po wydaniu *Ostatniego jednoroźca* powtarzałem sobie nieraz: “Jednorożec, pal go licha! Wszystko, co do tej pory napisałem, to tylko wprawki, palcówki. Jeśli dopisze mi zdrowie, jeśli nie zbzikuję i nauczę się paru podstawowych rzeczy, nadejdzie jeszcze czas, kiedy naprawdę nauczę się pisać.” Czymkolwiek jest *Pieśń oberżysty*, myślę, że ta powieść stanowi początek czegoś nowego w mojej twórczości. Przewiduję jednak, że *Jednorożec* będzie nadal dominował nad moim dorobkiem, lecz na to już nic nie poradzę. Jednego jestem absolutnie pewien: *Pieśni oberżysty* nie mogłem napisać wcześniej. O sposobach, jakie mi posłużyły do obleczenia w ciała występujących w tej powieści postaci, dawniej mi się nawet nie śniło. Niewykluczone zresztą, że

one same się w to ciało przyobkleły, ale kiedyś by tego po prostu nie zrobiły. Komunikują mi rzeczy, które dopiero teraz jestem zdolny usłyszeć (...) Za młodu łatwo ulegałem wpływom. Pisząc Ostatniego jednoroźca w pokretny sposób składałem hołd autorom, których kochałem. Wszyscy oni odeszli już z tego świata, ich książki umiałem na pamięć, następnych napisać już nie mieli - T. H. White'owi, Thurberowi, Stephensowi, Robertowi Nathanowi. Tolkienowi już w mniejszym stopniu - on nigdy nie wywarł na mnie aż takiego wpływu. Ponadto Lordowi Dunsany - czytałem go kiedyś na głos moim dzieciom - zdaje się, że *The King of Elfland's Daughter*. Przeczytałem kilka rozdziałów, aż nagle przerwałem i wykrzyknąłem: "Mój ty Boże, toż ja kradłem od tego faceta!" Miałem na myśli nie tyle konkretną postać, fabułę czy coś podobnego, ale stosunek do języka. Istnieją też autorzy, których wpływowi mógłbym ulec, gdybym ich poznał w młodszym wieku, ale na całe dla mnie szczęście nie poznałem. Gdybym na przykład zetknął się już w szkole średniej z takim Jamesem Branchem Cabellem, usiłowałbym niechybnie pisać tak jak on (takie przedwczesne spotkania przydarzają się niektórym pisarzom - Thomas Wolfe na przykład "wpadł" na Bradbury'ego, gdy był w wieku najbardziej podatnym na wpływy). Co się jednak tyczy *Jednoroźca*, naśladowałem wymienionych autorów najzupełniej świadomie, z rozmysłem. Zasadnicza różnica między tamtą powieścią a *Pieśnią oberżysty* polega być może na tym, że w tej ostatniej naprawdę nikogo nie naśladowałem. Jeśli miałbym wskazać jakąś osobę, która się na niej jednak odcisnęła, wymieniłbym moją żonę, Padmę Hejmadi. Padma nie uprawia fantasy, jedynym zaś autorem tego gatunku, którego czytuje, jestem ja sam. Mimo to w pewien sposób ją właśnie starałem się naśladować. Nikt nie zdołałby dopatrzeć się podobieństw między naszymi utworami, nasze książki nigdy nie staną obok siebie na półkach tego samego działu księgarni, ale wiem, co mówię. Pojęcia nie mam, jak to wyrazić, lecz odnajduję ją w całej tej książce, jak gdyby przez cały czas wyglądała zza kurtyny. Niektórych fragmentów naprawdę nie byłbym w stanie napisać, gdybym nie przeżył z Padmą trzydziestu lat, nie poznał jej tak dobrze i nie był świadkiem jej twórczego trudu...